



editio

# DZIEWCZYNA Z KRAKOWA

ALEX ROSENBERG



**Alex Rosenberg**

**Dziewczyna z Krakowa**

Tytuł oryginału: The Girl from Krakow  
Tłumaczenie: Agnieszka Olszewska  
Projekt graficzny składu: Jakub Wiśniewski  
ISBN: 978-83-283-2477-0  
Text copyright © 2015 Alex Rosenberg  
All rights reserved.

No part of this book may be reproduced, or stored in a retrieval system, or transmitted in any form or by any means, electronic, mechanical, photocopying, recording, or otherwise, without express written permission of the publisher.

This edition made possible under a license arrangement originating with Amazon Publishing, [www.apub.com](http://www.apub.com).

Amazon, the Amazon logo, and Lake Union Publishing are trademarks of Amazon.com, Inc., or its affiliates.

Polish edition copyright © 2017 by Helion S.A.  
All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Wydawnictwo HELION  
ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE  
tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63  
e-mail: [editio@editio.pl](mailto:editio@editio.pl)

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

[Poleć książkę](#)

[Kup w wersji papierowej](#)

[Oceń książkę](#)

[Księgarnia internetowa](#)

[Lubię to! » nasza społeczność](#)

## In medias res

24 października 1942 roku. Margarita Truszenko — volksdeutsch, Niemka ze wschodu, prawie Aryjka, mająca potwierdzające to dokumenty — stała na peronie, czekając na ekspres do Warszawy o dwudziestą pierwszą. Nie, to nie była ona. To Rita Feuerstahl usilnie próbowała stać się Margaritą Truszenko. Wiedziała, że nie będzie łatwo. W ciągu ostatnich sześciu lat nie była nawet w stanie poczuć się jak mężatka nosząca to nazwisko. W środku zawsze czuła się Ritą Feuerstahl.

Jak więc zamierzała tego dokonać?

Niemiecki żołnierz sprawdzający dokumenty przy wejściu na peron powiedział „Danke” dwukrotnie: raz, kiedy wręczyła mu ausweis, i drugi raz, kiedy otworzyła walizkę do kontroli.

„Gdybyś znał prawdę, prędzej byś mnie zastrzelił, niż był taki *korrekt*”.

Czuła, jak strach ściska jej wnętrzności. Były to takie same skurcze, które towarzyszyły jej podczas pierwszych tygodni okupacji, jakieś szesnaście miesięcy wcześniej. A teraz wszystko wróciło — przerażenie i uczucie, jakby ktoś grał w rosyjską ruletkę o jej życie. Wiedziała, że ten stan będzie utrzymywał się przez najbliższe dni, lub nawet tygodnie. Postanowiła usiąść na peronie tak blisko żołnierza, jak to tylko było możliwe. Żołnierz zapewniał bezpieczeństwo. Rita... a raczej volksdeutsch Margerita Truszenko, tego właśnie potrzebowała, czekając samotnie na nocny pociąg do Lemberga na pustej i przestronnej stacji kolejowej. Wyjęła katechizm, który dostała razem ze sfalszowanym aktem urodzenia, i próbowała się go uczyć. Być może w ten sposób uda jej się przestać myśleć o tym, jak silny czuje *Angst*.

Kilka minut później na stację wjechał ekspres z zachodu — z Berlina, Warszawy, Lemberga — pełen oficerów i szeregowców, którzy mieli dołączyć do zwycięskich dywizji Wehrmachtu w Donbasie, gdzie wciąż przedzierano się przez całe jednostki armii sowieckiej. Rita udawała, że jest skupiona na lekturze, dlatego też nie zauważyła dwóch Niemców, w cywilnych ubraniach, wysiadających z wagonu pierwszej klasy.

W przeciwieństwie do niemieckiego wartownika, który uważnie i z szacunkiem zaczął sprawdzać ich dokumenty. Pierwszy miał niemiecką rangę Oberst, oznaczającą pułkownika. Drugi zaś, Friedrich von Richter, był generałem SS-RSHA — Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy — i najwidoczniej podróżował bez munduru. Oczywiście żaden z wartowników oraz nikt inny w Karpacynie nie mógł tej nocy wiedzieć, że Richter wcale nie należał do SS, ale do Abwehry, wywiadu wojskowego, i był oficerem komórki odpowiedzialnej za bezpieczeństwo szyfrowanych wiadomości.

Słyszała ich doskonale.

— *Herr Generalmajor*, nie czeka na pana żaden samochód — powiedział wartownik.

— Nie spodziewano się nas. Zadzwoń do Leideritzta. Powiedz mu, żeby natychmiast przysłał samochód.

Najwyraźniej znał już nazwisko tego, który jako Obersturmführer SS rządził miastem Karpacyn. Nie wiedział natomiast, że jednym z powodów, dla którego tu przyjechał, była siedząca na peronie i czekająca na pociąg jadący w przeciwnym kierunku Rita Feuerstahl. Ona także nie miała o tym pojęcia.

Gdy tylko samochód z generałem odjechał, wartownik wrócił na peron. Rita postanowiła się do niego uśmiechnąć. Odwzajemnił uśmiech ze wzrokiem współwinnego i lekko wzruszył ramionami, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że obojgu im będzie lepiej bez towarzystwa oficerów wysokiej rangi. Wzrok Rity przesunął się ze strażnika na ciemny kształt olbrzymiej

stacji, a potem w kierunku miasta.

Wiedziała, że nawet jeśli uda jej się przeżyć, nigdy już tu nie wróci. Nie ma do czego — nie do dziecka, a już na pewno nie do męża Ursa. Jej syn miał jeszcze mniejsze szanse na przeżycie niż ona. Urs miał nieco większe, będąc w oddziale medycznym Armii Czerwonej, ale to już nie miało żadnego znaczenia. Pozwoliła mu uciec na wschód, wiedząc, że nie jest na tyle silny, by przetrwać niemiecką okupację. Próbowwała też ocalić ich syna, Stefana, wysyłając go poza mury getta. Była niemal pewna, że nie przeżył. Dziecko było jedyną rzeczą scalającą małżeństwo przedwcześnie zniszczone przez jej zdradę. A teraz, nawet gdyby oboje z Ursem przeżyli niekończącą się wojnę, nic już ich nie łączyło.

Mogłaby pokochać Ericha, którego okupacja postawiła na jej drodze, gdyby tylko jej na to pozwolił. Chociaż musiał jednak na swój sposób ją kochać, skoro powierzył jej tajemnicę tak wielką, że tylko miłość mogła go zmusić do jej wyjawienia. Nie uwierzyłaby w to, co jej powiedział, gdyby nie jego odmowa ratowania samego siebie. Załatwiając dokumenty dla niej, Erich mógł także postarać się o papiery dla siebie. Zamiast tego pozwolił, żeby transportem liczącym ostatnie paręset ludzi wywieziono go z Karpatynia do obozu zagłady w Bełżcu.

Siedząc tak w przygaszonym świetle peronu, Rita wciąż nie mogła jednoznacznie stwierdzić, czy Erich powiedział prawdę czy wymyślił tylko inteligentną historyjkę mającą na celu ocalenie jej życia.

Tydzień wcześniej w nocy rozpoczęły się końcowe *Aktionen*. Po otrzymaniu wieści na temat syna Rita była gotowa ze sobą skończyć. Ciągle miała przy sobie fiolkę z cyjankiem potasu, którą zostawił mąż. Niemcy zwyciężą. Rzesza przetrwa tysiąc lat. Nie miała woli życia.

— Zostaw mnie, Erichu, pozwól mi to zrobić — powiedziała. Byli sami w ciemnościach.

— Nie, Rito. Niemcy przegrają. To kwestia kilku lat — dwóch lub trzech, nie więcej. A ty przeżyjesz, żeby to zobaczyć. Wiem coś, ale jeśli ci to powiem, przegrana Niemiec może stanąć pod znakiem zapytania.

— W takim razie zachowaj to dla siebie.

— Rito, posłuchaj, a potem postaraj się wszystko zapomnieć... Pod koniec września 1939 roku przez Karpatyń przejeżdżał polski rząd — głównodowodzący w lśniących butach, premier, wszyscy — w drodze do Rumunii. Odwiedził mnie pewien człowiek z Ministerstwa Spraw Wojskowych. Nawiązaliśmy bliskie relacje, kiedy w Warszawie razem studiowaliśmy matematykę. Nosił, przykutą do nadgarstka, walizkę na maszynę do pisania. I wyjaśnił mi dlaczego. W 1938 roku Sztab Generalny Wojska Polskiego przywiózł na Wydział Matematyki walizkę z „maszyną do pisania”. Jednak w środku nie było maszyny do pisania, tylko niemiecka maszyna szyfrująca. Wybrani studenci mieli odkryć, jak działa maszyna, i spróbować ją rozszyfrować. Powiodło się im. Zaczęliśmy odczytywać niemieckie wiadomości. Było już za późno na powstrzymanie gwałtownego ataku Niemców na Polskę, ale mając dostęp do najtajniejszych niemieckich wiadomości radiowych, alianci muszą zwyciężyć. Kiedy nastąpi całkowita mobilizacja, będą mieli sposób na wygranie wojny. A ty będziesz tego żywym świadkiem.

— Ale jeśli znają szyfr, to dlaczego wojska niemieckie przedzierają się przez Rosję niczym kosa? Jak ta wiedza pomogła Sowietom?

— Czerwoni go nie znają. Sztab Generalny nie miał zamiaru wtajemniczać Rosjan, kiedy byli sojusznikami Hitlera w 1939 roku. Jako jedyni sekret znają Brytyjczycy, ale nie ufają Stalinowi, tak samo jak polski rząd. — Rita skinęła głową. — Tak więc, Rito, pozostań przy życiu! Zrób wszystko, żeby doczekać końca. Koniec jest blisko, bliżej, niż ktokolwiek śmie przypuszczać.

— Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, powierzanie mi takiej tajemnicy jest szaleństwem.

Przy pierwszej okazji mogę zdradzić się strażnikowi sprawdzającemu dokumenty. Zmyśliłeś tę historię, żeby mnie ocalić, i może też po to, żeby zrekompensować mi utratę Stefana. Nie ryzykowałbyś niekorzystnego zakończenia wojny — to byłoby szaleństwo... Nawet jeśli uwierzyłabym ci chociaż przez chwilę.

— Uwierz mi, Rito. Mówię prawdę. A co do tego, czy jestem szalony, cóż, coś o tym napisał twój ulubiony filozof — Hume.

Gdy teraz Rita patrzyła na tory i nadjeżdżający pociąg, wspominała te słowa: „Nie jest sprzeczne z rozumem przedkładać zniszczenie całego świata nad zadrapanie mojego palca”. Tkwiły jej w głowie, zastanawiały ją, rozweselały oraz niepokoiły, odkąd pierwszy raz je przeczytała.

**Część I**  
**Wcześniej**



# Rozdział 1

Jednym z przedmiotów na pierwszym roku prawa w Krakowie było postępowanie cywilne. Do listopada zajęcia stały się już tak nudne, jak można się było spodziewać po samej nazwie. Jedyna pozytywna rzecz, jaka skłaniała Ritę do uczęszczania trzy razy w tygodniu na wykład, to dreszcz podniecenia, który towarzyszył jej, gdy przeciskała się przez wąskie przejście, szukając miejsca na sali wykładowej.

Studenci prawa o poglądach nacjonalistycznych zwykli zmuszać tych pochodzenia żydowskiego do zajmowania miejsc w wyznaczonym rzędzie, tak zwanym getcie ławkowym. Kiedy Rita siadała na jednym z takich miejsc, spotykały ją gniewne spojrzenia. Prześladowcy, należący do Ligi Zielonej Wstążki[1], byli zaskoczeni, widząc wysoką blondynkę siedzącą w towarzystwie żydowskich studentów. Niektórzy nawet się wychylali, nazywając ją zdrajczynią czy miłośniczką Żydków, lub gorzej, szepcząc, że jest jedną z ich aryjskich dziwek. Siedzenie tam sprawiało, że czuła się jak bohaterka. Dzięki temu życie studenckie stawało się nieco ciekawsze.

Jednak po godzinie siedzenia na twardym miejscu, w nieogrzewanej i słabo oświetlonej auli, trudno było pozostać skupioną. Rozlegający się nagle dźwięk dzwonka, sygnalizującego koniec wykładu, uświadomił Ricie, że drzemiała. „Ryzykowna drzemka” — pomyślała. Przekręciła nasadkę na wiecznym piórze, zamknęła notatnik i się przeciągnęła. Gdy ostatnim razem ze swojego miejsca przy tylnej ścianie spojrzała przez biegnące wzdłuż sali okna na niebo, miało ono szary, przypominający kolor munduru odcień. Jednak teraz posępny popołudniowy mrok zdążył już przybrać groźną, czarną barwę. Rita zapięła pasek od prochowca. Był zdecydowanie za cienki na jesienną pogodę, ale tańszy i modniejszy od płaszcza zimowego.

Najbardziej potrzebowała teraz godziny spędzonej w przytulnej kawiarni, z dużą szklanką herbaty w dłoniach. Espresso byłoby zdecydowanie za małe, żeby zdołała się nim ogrzać.

Zresztą, nieważne; obie te rzeczy stały się luksusami, których Rita nauczyła się sobie odmawiać. Nie chodziło tylko o koszt. Kawiarnie stały się miejscami, w których tracono czas na kłótnie o polityce. Każda sekta miała własny stolik, niektóre nawet całe kawiarnie. Jedyne, co je łączyło, to zobowiązanie „wolnej miłości” oraz życzliwy stosunek młodych mężczyzn do skromnego grona studentek.

Przesuwając się powoli w tłumie płynącym po szerokiej, marmurowej klatce schodowej, poczuła nagle, że ktoś ciągnie ją, za luźny koniec związanego paska od prochowca, w dół schodów.

— Puszczaj! — Jej głośny i wzburzony głos sprawił, że kilka osób odwróciło głowy, ale nie osobnik, który nieuważnie ciągnął ją na dół. — Co ty wyprawiasz? — Rita szarpnęła za pasek na tyle mocno, że osobnik wypuścił go z ręki, staczając się przy tym z ostatnich kilku schodków.

Mężczyzna złapał się poręczy i odwrócił w jej stronę.

— Przepraszam. Próbowałem tylko złapać koniec paska od mojego płaszcza. — Spojrzał na siebie i widząc, że ma rozpięty płaszcz, dodał: — Tak tu tłoczno! Musiałem przypadkowo złapać za pani pasek.

— Cóż, mógłby pan lepiej patrzeć, gdzie kładzie ręce. — Po tych słowach Rita ruszyła dalej schodami. Mężczyzna nadal mamrotał słowa przeprosin.

Rita przeszła przez szeroki korytarz Wydziału Prawa. Odwróciła się, kiedy była już przy drzwiach. Mężczyzna ciągle tam był, tuż za nią — bardzo wysoki, bardzo szczupły i bardzo młody, jak stwierdziła. Jego płaszcz był teraz zapięty, by chronić go przed zimnem, a w rękach



niósł bardzo ciężką książkę. Mężczyzna zauważył jej spojrzenie i się uśmiechnął. Rita zmarszczyła brwi, odwróciła się do niego plecami i ruszyła w kierunku drzwi. Nie zniechęciło to jednak ścigającego. W przeredzającym się tłumie szybko ją dogonił i znów znalazł się tuż obok.

— Tak mi wstyd, panno...?

Rita nie podała swojego imienia. Nie miała ochoty go zachęcać.

— Naprawdę — zaprotestował mężczyzna. — To była niewinna pomyłka. Mogła przytrafić się każdemu. Jak mogę panią przeprosić?

— Już pan to zrobił. Nie było sprawy. Dobranoc.

Na schodach przy drzwiach mężczyzna wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać. Rita najpierw spojrzała na znajdującą się na swoim ramieniu dłoń, a następnie powoli podniosła wzrok na jej właściciela.

— To już zamienia się w nawyk. Szykują się kolejne przeprosiny?

Natychmiast się wycofał.

— Jestem dosyć niezręczny w tych sprawach. Proszę posłuchać, bardzo mi przykro. Mogę okazać skruchę, zapraszając panią na kawę? — powiedział, wskazując na kawiarnie po drugiej stronie ulicy, z zapadającym zmrokiem coraz bardziej zatłoczone.

W tym momencie wzrok Rity padł na ciężką książkę w skórzanej okładce ze złotymi literami, którą miał pod pachą. *Patologia*. Książka medyczna. „A więc to Polak” — pomyślała. Niewielu Żydów studiowało medycynę.

Zimny podmuch powietrza wpadający przez otwarte drzwi zdecydował za Ritę.

— Kawa? — wzruszyła ramionami. — Dlaczego nie?

Wyszli z wydziału prosto w ciemność, podkreśloną przez blade światło lamp ulicznych. Był ziąb i szybko ruszyli w stronę największej kawiarni na rynku. Kiedy weszli z ciemności do jasno oświetlonego pomieszczenia, zostali oślepieni. Na ścianach wisiały lustra w ozdobnych ramach, w stylu art déco, które zajmowały powierzchnię od boazerii aż do samego sufitu. Pod lustrami rozpościerało się morze małych, okrągłych stolików i krzeseł z giętego drewna, na których siedzieli ludzie pochłonięci żywiołowymi dyskusjami. Kawiarnia była ciepła i wypełniona chmurą aromatycznego dymu palonego tytoniu Virginia.

Udali się na tył sali w kierunku dużego, biało-niebieskiego, porcelanowego pieca, położyli książki na stoliku i zapytali jednocześnie:

— Jak masz na imię? — Zaśmiali się i znów przerwali sobie nawzajem, odpowiadając jedno przez drugie na zadane pytanie:

— Urs, Urs Guildenstern.

— Rita Feuerstahl.

Po chwili zrobili to po raz trzeci, odpowiadając synchronicznie:

— Miło cię poznać, Rito.

— Zabawne, nie wyglądasz jak *urs*, to znaczy jak niedźwiedź.

Zamilkli na chwilę, uśmiechając się, kiedy nadszedł kelner.

Urs spojrzał na niego, a potem na Ritę, która od razu powiedziała:

— Dużą białą kawę.

W końcu płacił i śniadaniowa kawa mogła równie dobrze sprawdzić się jako kolacja.

— Ja poproszę herbatę — dodał Urs.

Gdy tak czekali, mieli okazję przyjrzeć się sobie nawzajem. On, siedzący naprzeciwko, wciąż wyglądał na bardzo wysokiego. Jego wklęsłe policzki odznaczały się małymi, ozdobnymi, ciemnymi punktami. A jego ciemne kręcone włosy zaczynały się już przeredzać, pomimo młodego wieku, który szacowała na dwadzieścia parę lat. Ale dominującym elementem rysów jego twarzy był wąski i długi nos.

Patrząc na Ritę, Urs widział kobietę wystarczająco wysoką dla siebie. Miała równo obcięte i proste, rozpuszczone blond włosy do ramion. Jedno falowane pasmo opadało na jej wysokie czoło i zakrywało jego część. Niebieskie oczy i wysokie kości policzkowe sprawiały, że Rita wyglądała bardziej jak Niemka lub Ukrainka niż kobieta jakiegokolwiek innej narodowości.

Podano im napoje.

— Więc studiujesz medycynę? — zaczęła Rita, wskazując na leżącą na stoliku książkę. Urs kiwnął głową, a ona pytała dalej: — Jesteś z Warszawy?

— Nie, pochodzę z miasta na wschodzie.

Dopiero teraz jej uwagę zwrócił jego wschodni polski akcent z elementami jidysz.

— Ale jesteś Żydem — rzuciła. — Jak dostałeś się na polską uczelnię medyczną?

— Dzięki ciężkiej pracy i chyba odrobinie szczęścia. Dziesięć procent miejsc jest przeznaczonych dla Żydów. — Zamilkł na chwilę. — Jesteś pierwszą chrześcijanką, która domyśliła się mojego pochodzenia, jeszcze zanim zdążyła zapytać.

— To dlatego, że jestem pierwszą chrześcijanką, która również jest Żydówką.

— Nie! Wziąłem cię za typową przedstawicielkę *BDM*. Blondynka, niebieskie oczy... — Rita spojrzała na niego ze zdziwieniem, ale zanim zapytała, Urs zaczął wyjaśniać: — *BDM, Bund Deutscher Mädel*, Związek Niemieckich Dziewcząt. To żeńska sekcja Hitlerjugend. Oboje zatem źle się nawzajem oceniliśmy. Zacniemy od początku?

— Właściwie to mi ulżyło — przyznała Rita. — Nie za bardzo interesuje mnie asymilacja, a byłam przekonana, że należysz do polskiej arystokracji.

— Zatem myślę, że nasze rodziny mogą spać spokojnie.

Rita zdążyła się już ogrzać.

— Co w takim razie robiłeś dzisiaj na Wydziale Prawa? Szukałeś aryjsko wyglądających studentek?

— Nie, jestem na ostatnim roku. Piszemy właśnie prace dyplomowe. Mój temat to medycyna sądowa i musiałem zapoznać się z pewną sprawą sądową. A ty? To trochę bez sensu, żeby kobieta studiowała prawo, szczególnie kiedy jest Żydówką. Brak dla was posad rządowych: „Nie dla Żydów, nie dla kobiet”. Interesujesz się polityką?

— Nieszczególnie — skłamała. — A ty? Interesujesz się polityką?

— Nie, dziękuję, tylko medycyną.

— Sprytnie. — Rita się uśmiechnęła. — Wygląda na to, że tutejsi mężczyźni interesują się polityką tylko po to, żeby podrywać dziewczyny. W każdym razie studiuję prawo, bo to jedyny wydział, na który się dostałam.

— Co będziesz robić po prawie?

— Nie wiem. — Rita wzruszyła ramionami. — Być może nic. Pewnie wrócę do domu, gdy skończę. Ale zawsze są jakieś szanse... Celujące oceny z egzaminów, zwrócenie uwagi profesora... Szanse są. — Rita wypila kawę i spojrzała na zegarek, szukając wymówki, by zakończyć rozmowę i uciec. — Jest już późno, a ja mam trochę pracy.

Niewiele myśląc, Urs złapał ją za rękę.

— Spotkamy się jeszcze?

— Często bywam w bibliotece na Wydziale Filozofii — odpowiedziała i wyszła.



Dlaczego powiedziała mu, gdzie może ją znaleźć? *Jeśli nie chcesz spotkać tego faceta zbyt szybko, lepiej trzymaj się przez kilka dni z dala od tamtego miejsca.*

Może nie będzie miała nic przeciwko ponownemu spotkaniu. Tak czy inaczej, trudno

będzie trzymać się z daleka od biblioteki. Nie zniechęcały jej nawet uporczywe spojrzenia innych studentów, w dodatku samych mężczyzn. Bawiły ją ich zakłopotane spojrzenia, kiedy zauważali siedzącą naprzeciwko nich kobietę, czytającą Kanta lub Platona. Przypominały jej reakcję prześladowców z Wydziału Prawa, widzących, jak zajmuje miejsce wśród mężczyzn w getcie ławkowym.

Stanowczo zbyt często, siedząc w czytelnianym mroku rozświetlanym jedynie przez lampki, gubiła wątek swojej lektury i zastanawiała się po raz tysięczny nad tymi samymi pytaniami, które zadał jej Urs. *Co tu robisz, Rito? Po co tak naprawdę tu przyjechałaś?* Nie z powodu prawa, nie naprawdę.

Chciała żyć. Pragnęła tego samego, czego każda dwudziestolatka, która wierzyła w swój potencjał i urodę: chciała zaryzykować i wystawić swoje przekonania na próbę. Nie udałoby jej się to w rodzinnym mieście ani okolicach. Czasami zastanawiała się, czy chodziło jej o emancypację czy apostazję? Jako czternastolatka zmusiła rodziców, by posłali ją do jedynego dziewczęcego gimnazjum w mieście, prowadzonego przez siostry benedyktyнки. Już wtedy, za czasów noszenia szkolnego mundurka, Rita była wysoka, koścista i zdecydowanie nie pasowała do przestrzeni matczynej kuchni.

Obowiązkowe zajęcia z katechizmu szybko potwierdziły, że jest niewierząca. A ateizm okazał się pomocny w odrzuceniu patriarchalnego charakteru kultury, do której należała. Jednak czy nie była to tylko wymówka, by robić to, co i tak chciała robić: żyć po swojemu, a nie tak, jak się po niej spodziewano? Czy apostazja oznaczała zwyczajną chęć bycia sobą?

Być sobą? A kim ona właściwie była? *Kim naprawdę jest osoba patrząca na świat z wnętrza mojego ciała i dlatego to właśnie jestem ja?* Próbowała znaleźć odpowiedź na to pytanie, odkąd sięgała pamięcią. Nie udałoby jej się to w małym galicyjskim mieście.

Zatem ogłosiła swoje zainteresowanie prawem i przyjechała do Krakowa.

Trzy dni od ich pierwszego spotkania zobaczyła Ursa pod marmurowymi schodami wydziału, czekającego, aż skończy się wykład z postępowania cywilnego.

— Spędziłem ostatnie dni w bibliotece Wydziału Filozofii, szukając cię. Mówiłaś, że tam będziesz.

Rita nie była tym szczególnie zaskoczona.

— Byłam niedysponowana. Uczyłam się na pokojach.

„Pokojach? Tak jakbym miała więcej niż jeden” — zaśmiała się do siebie.

— Mogę zaprosić cię na kolację?

„Czemu nie?” — pomyślała natychmiast, ale odpowiedziała:

— Jest odrobinę za wcześnie...

— Przyjdę po ciebie o siódmej, tylko podaj mi swój adres.

— Nie, spotkamy się na miejscu, tylko powiedz mi, gdzie mam być.

Nie miała zamiaru zdradzać, gdzie mieszka. Było na to stanowczo za wcześnie, zresztą jej adres nie był wystarczająco prestiżowy. Rita mieszkała na stacji, w kawalerce na piątym piętrze bez windy, po drugiej stronie Wisły — w jedynych kamienicach, na które było stać biedniejszych studentów. Tapeta odklejała się ze ścian, a wytarty dywan na klatce schodowej maskował schody, które zaczęły się uginać jeszcze w dziewiętnastym wieku. Skrzypiały nawet pod jej niewielkim ciężarem. Jej pokój wyglądał dosyć przeciętnie. Było w nim łóżko, stół i krzesło z miękkiego drewna, kredens, sekretarzyk, na którym stał wyszczerbiony, ale nadający się do użytku dzbanek oraz salaterka, a to wszystko w świetle gołej żarówki, wiszącej w miejscu dawniej należącym do lampy gazowej i rzucającej przytłumione światło. Na niższych piętrach zamontowano węzeł sanitarny, ale na tyłach miejsca, które uchodziło za ogród, wciąż dało się zauważyć pozostałości po wychodku. Pod łóżkiem stał nocnik, do którego nawet zamożniejsi

byli przyzwyczajeni. Był też palnik gazowy do podgrzewania posiłków. Jedyną prawdziwą niedogodnością było zimno. Rita była wiecznie zmarznięta. Aby mogło jej być ciepło, musiała mieć wystarczającą ilość węgla, żeby wypełnić palenisko, a ten był bardzo drogi, więc nigdy nie było ją na to stać.

— A może do Wierzynka? — zaproponował. Była to najlepsza restauracja w Krakowie i było tam ciepło.



Rita dotarła na Rynek około osiemnastej trzydzieści i spacerowała pod arkadami. Przechodząc przez przestronny dziedziniec, obserwowała zmieniający się kąt wieży zegarowej ratusza. Kostka brukowa wciąż jeszcze lśniła od przelotnego deszczu i odbijała światło latarni ku strzelistym wieżom kościoła Mariackiego, oświetlonym przez przebijający się przez chmury księżyc.

Powinna była odrzucić to zaproszenie. Urs wydawał się zbyt poważny. Ale kiedy przytrafi jej się ponowna okazja zjeść kolację w podobnym luksusie, przy stoliku pokrytym wykrochmalonym, lnianym obrusem, zastawionym srebrami, porcelaną i kryształami, przy wielodzielnym oknach i pod ciężkimi stropami odświętnej jadalni?

Rita zatrzymała się pod portykiem, skąd miała widok na drzwi wejściowe do restauracji. Niech Urs przyjdzie pierwszy. A co, jeśli w ogóle nie przyjdzie? Czy wyjdzie na idiotkę, pytając kierownika sali o zarezerwowany stolik? A jeśli przyjdzie, cóż, niech siedzi i przez chwilę nerwowo czeka, aż ona uroczyście wejdzie do środka.

Była za pięć siódma, kiedy spostrzegła go idącego przez Rynek. Zaczynało być jej zimno. Odczekała tylko chwilę i dogoniła go przy samym wejściu.

— Wejdziemy? — zapytała krótko. Uśmiechnął się, na jego twarzy dało się zauważyć uczucie ulgi. Najwyraźniej oboje mieli wątpliwości co do tego, czy to drugie się pojawi.

Wzięła go pod rękę, gdy przechodzili przez ciężkie, aksamitne kotary przy drzwiach. Urs podał swoje nazwisko i poprowadzono ich do stolika.

Rita przypomniała sobie, że mężczyźni wolą mówić, niż słuchać.

— Powiedz mi coś o sobie.

Pochodził z Karpacza, dużego miasta około pięćset kilometrów na południowy wschód od Krakowa, za Lwowem, nad Dnieprem, na północ od granicy z Rumunią. Miasto zamieszkiwało niewielu Polaków — głównymi mieszkańcami byli Ukraińcy i Żydzi.

— Mój ojciec jest lekarzem. W przyszłym roku wracam, żeby dołączyć do jego praktyki. — Nagle zamilkł.

— Coś jeszcze?

— Interesuję się w zasadzie głównie medycyną. A ty...?

— Pochodzę z małego miasteczka, o którym nigdy nie słyszałeś, nazywa się Gorlice. — Leżało jakieś sto kilometrów na południe od Krakowa, przy granicy z Czechosłowacją. — Mój dziadek zajmuje się wycinką drzew dla tartaku w Nowym Sączu. To on płaci na moje utrzymanie tutaj. — Urs skinął głową, dając znak, że nazwa brzmi znajomo. — Ale w rodzinie było zbyt wiele dzieci — po stronie babci często zdarzają się bliźniaki, więc dziadek wysłał jednego z synów do Gorlic, żeby założył tam skład drewna. Tym synem był mój ojciec. Nie ma głowy do interesów. Moi rodzice nie doczekali się bliźniaków. Mają tylko mnie. Nie czekam niecierpliwie na powrót do domu.

Zapadła między nimi cisza. Przerwał ją Urs.

— Więc co zamierzasz?

Znowu to samo pytanie. Rita od ostatniego razu nie znalazła jeszcze na nie odpowiedzi. Urs miał poważny wyraz twarzy. Rita zaczęła przeglądać menu.

Myśli Ursa były rzeczywiście poważne. Rita była pierwszą kobietą, która go tak głęboko zainteresowała. W ciągu trzech dni zdążył już zacząć o niej intensywnie myśleć. Potrzebował odpowiedzi na postawione pytanie. Ludzie od zawsze mówili, że Urs Guildenstern jest zbyt rzeczowy. Z pewnością był rozważny i metodyczny. Niekoniecznie wyrachowany, ale gruntownie się namyślał, zanim coś postanowił. Miało to związek z niepokojem, który nim kierował. Zawsze miał jakieś zmartwienie. A teraz jego zmartwieniem stał się problem Rity.

— Co zamierzam? Myślę, że coś zamówię — odpowiedziała w końcu Rita.



Nie mogła wtedy o tym wiedzieć, ale ten wieczór był dla niej początkiem końca na Wydziale Prawa. Do wiosny zaczęła już planować swoje nowe życie jako żona lekarza. Na Wielkanoc odwiedzili rodzinę Ursa. Latem wzięli ślub w domu jej dziadka w Nowym Sączu. Pod koniec września, po spędzeniu podróży poślubnej w Warszawie i nad Bałtykiem, Rita i Urs odbyli długą podróż, jakieś trzysta kilometrów na wschód, do Lwowa, a potem kolejne dwieście na południe do Karpatynia.



Siedząc samotnie w przytulnym mieszkaniu kilka miesięcy później, Rita zadawała sobie pytanie, jak to się stało. Czy znudziło jej się bycie wiecznie zmarznąętą w krakowskiej kawalerce? A może zbyt łatwo zniechęciła ją myśl o prawdopodobieństwie ponurej przyszłości z bezużytecznym tytułem zawodowym z zakresu prawa? O byciu zmęczoną nudnymi kontraktami i deliktami? Czy też zwyczajnie przekonały ją namowy ze strony rodziny, że na nic się zdadzą jej studia?

Dlaczego się poddała i przestała płynąć pod prąd? Najbardziej prawdopodobna odpowiedź sugerowała, że świat i tak nie pozwoliłby jej prowadzić zewnętrznego życia, o jakim marzyła. Małżeństwo z Ursem i wygodne życie u jego boku gwarantowało jej przynajmniej rodzaj życia wewnętrznego, jakiego naprawdę pragnęła. Będzie w stanie dokopać się do odpowiedzi, których tak szukała w bibliotece Wydziału Filozofii; Urs z radością kupował jej książkę za książką tej pierwszej wspólnej wiosny. A później w powietrzu wisiało niewypowiedziane oczekiwanie seksu.

Rita z niecierpliwością czekała na intymność pożycia małżeńskiego. Jej krótkie spotkania z seksem były wystarczająco przyjemne. Dwukrotnie znalazła się w ostatnim rzędzie krakowskiego kina w towarzystwie kolegi ze studiów, całując się namiętnie, zamiast oglądać film. Podczas obu tych sytuacji, gdy tylko odwracała się w stronę ekranu, czuła na plecach błędzącą dłoń chłopaka. Ręka przypadkowo znajdowała się na jej ramieniu i przesuwała w dół, wtedy palce powoli wędrowały w kierunku jej piersi, aż dotarły pod bluzkę i halkę do samego sutka. Przyjemne ciepło i wilgotność, jakie wywoływały, sprawiały, że z radością wyczekiwała intymnej sfery małżeństwa. Wtedy jednak powstrzymywała chłopców, gdy tylko próbowali dotrzeć do jej łona. Jednak we własnym łóżku nigdy się nie powstrzymywała, czerpiąc przyjemność z nasilających się dreszczy, które skutkowały, jak zwykli mówić Francuzi, *la petite mort*. A teraz miała nadzieję, że współżycie z własnym mężem zapewni jej wszystko to, czego potrzebowała.

W Krakowie spędzanie czasu z Ursem nie było zbyt wymagające. Gdy tylko zaczął się do niej zalecać, nie musiała oszczędzać na drobne zachcianki — kawę, parę rękawiczek, ładniejsze

wieczne pióro i książki filozoficzne. Najpierw przywykła do pobłażania z jego strony, a później zaczęła tego nawet oczekiwać. Jednak dobrze wiedziała, że to nie z powodu miłości pozwoliła mu się uwieść.

Odrzuciła Ursą przy pierwszych próbach oświadczyń. Próbowwała przekonać go, że jego uczucia nie wystarczą, by zbudować szczęśliwe małżeństwo. Ostatecznie doszła do wniosku, że fakt nieżywienia wobec niego uczuć nie jest przeszkodą nie do przejścia. Poza tym były inne rzeczy: byli tego samego wyznania i Urs pochodził z odpowiedniej klasy społecznej. Żadne z nich nie mogło trafić lepiej. W końcu, przy małej pomocy ze strony rodziców, zaakceptowała myśl, że Urs jest jej przeznaczony. Kiedy wspominał o małżeństwie po raz trzeci, zgodziła się.



Jeszcze długo po tym, jak przyjechali do Karpatynia, pan doktor Guildenstern, ojciec Ursy, nie zmienił swojego formalnego nastawienia. Polski zwrot *pan* przypominał w swojej świetności i grzecznościowym charakterze niemiecki odpowiednik *Herr* — inaczej niż zwroty *monsieur* i *mister* miał w sobie coś, co sprawiało, że u człowieka pojawiało się poczucie służalczości. Cała rodzina była nieco wycofana, nawet wobec siebie nawzajem, a już na pewno wobec obcej dziewczyny, która mówiła gwarą „warszawską” i wyglądała jak studentka z Krakowa.

Nawet po paru miesiącach wciąż wyczuwała w poprawnym zachowaniu teściów tę lekką, ale konsekwentną oziębłość. Nawet u Ursy dało się wyczuć nutę oficjalności, gdy wracał z gabinetu dzielonego z ojcem, po drodze wstępując do domu rodziców. Jako jedynak robił słusznie, będąc usłużnym wobec matki. Ale czy musiał wracać każdej nocy do domu z tym pełnym poszanowaniem zachowaniem?

Tak naprawdę to poza swoistą mieszanką znużenia, apatii i rutyny Rita nie miała na co narzekać. Teraz zawsze było jej ciepło. Nie brakowało nigdy jedzenia i mogła pić tyle kawy, ile chciała. Odmówiła posiadania pokojówki i nauczyła się obowiązków domowych metodą prób i błędów. Gotowanie przyszło jej z łatwością i dzięki niemu miała powód, by chodzić na zakupy, wychodzić z mieszkania i zwiedzać miasto.



Pierwsze wrażenia po zobaczeniu Karpatynia nie były dla Rity najgorsze. To czterdziestotysięczne miasto wznosiło się na płaskiej galicyjskiej równinie. Gdy jechała w tę stronę po raz pierwszy, przez większość drogi od Lwowa pociąg toczył się powoli wzdłuż polnych, wiejskich drózek zroszonych świeżym deszczem z nadciągających chmur. Pokryte koleinami polne dróżki zaczynały się poszerzać. Zamieniały się w mocno utwardzone drogi, na tyle równe i szerokie, żeby jeździły nimi wiejskie furmanki, ciągnięte do miasta przez wielkie konie pociągowe. Pierwsze domy, jakie zobaczyła, były dobudowane do stodół, grubo ociosane, z przestrzeniami między drewnem wypełnionymi gipsem. Im bliżej miasta, tym więcej było murowanych budynków. Niektóre, mające kominy, musiały być fabrykami. Teraz ulice przecinające tory były w większości wybrukowane, a wzdłuż nich rosły wątle platany z zabielonymi wapnem pniami, zbyt wiotkie, żeby przycinać je na francuski sposób. Bliżej rynku domy były otynkowane i pomalowane na biało lub w jasnych, pastelowych kolorach. Było też kilka domów udekorowanych kamieniem.

W końcu pociąg zatrzymał się na przestronnej stacji, przy gmachu zbudowanym w stylu wiedeńskim na dowód władzy imperialnej Austro-Węgier. Rita i Urs przekroczyli hol wejściowy i weszli na rynek.

Rita rozejrzała się i uśmiechnęła. Mogłaby tu mieszkać. Dziedziniec w kształcie trapezu otaczały rozłożyste drzewa, a dookoła znajdowały się sklepy, kawiarnie, a nawet kino. Było tam też coś na wzór torów tramwajowych wychodzących poza rynek. Czy to miasto było wystarczająco duże, żeby mieć tramwaje? Z miejsca, do którego prowadziły tory, widać było wielopiętrowe budynki, które pasowałyby nawet do Warszawy. Szynobus jechał powoli w dół szerokiej ulicy, w kierunku rynku. Tak, mogłaby tu mieszkać.

Mieszkanie znalezione dla nich przez Ursę znajdowało się w jednym z nowszych budynków, wystarczająco blisko rynku, żeby móc widzieć ciepłą lunę lamp elektrycznych, które nie tak dawno temu zastąpiły lampy gazowe.

W każdy czwartek na rynku odbywał się targ. Dwa razy w tygodniu mężczyźni w podeszłym wieku oraz kobiety w chustkach, o jednakowych twarzach, wystawiali warzywa. Zimą korzeniowe, latem owoce z sadów, dorodną zieloną cebulkę o wielkich główkach i okazałe pory, a ziemniaki przez cały rok. Można było tam zobaczyć wychudzone, w połowie oskubane kurczaki, świńskie nóżki, i, według Rity nazbyt często, ucho prosięcia. Czasami, kiedy podawał je dla odmiany jakiś starszy mężczyzna, wydawało się jej, że nieznacznie jej się kłania, jak gdyby zwyczaj pańszczyźniane nie zostały jeszcze zupełnie zniesione.

Rita uparła się, żeby robić zakupy na targu, chociaż jej teściowa wyrażała wyraźną dezaprobatę dla tego zwyczaju. Był to drażliwy temat, o który pani doktorowa nie omieszkała zaczepić, ilekroć pojawiała się w mieszkaniu Rity. Nie zawiodła na tym polu także i tego dnia, już długo po rozpoczęciu przez Ritę życia mężatki w Karpatyniu.

— Daj zarobić żydowskim sklepom, a nie tym antysemitom.

— Mają świeższe produkty i niższe ceny. Poza tym są dla mnie bardzo mili.

— Są mili z powodu pieniędzy albo twoich blond włosów. Poza tym, co się stanie, jeśli kupisz coś, co nie jest koszerne?

— Nie jem zbyt koszerne — wyrwało się Ricie.

— Nie jesz zbyt koszerne? — Drwina przerodziła się w gniew. — Więc może zajdziesz odrobinę w ciążę, skoro nie jesz zbyt koszerne? — Po tych słowach pani Guildenstern wyszła za drzwi.

Niewzruszona tym zajściem Rita usiadła. Złapała książkę, którą ukryła pod poduszką, gdy teściowa pojawiła się w pokoju. Była to *Kultura jako źródło cierpień* Freuda, łatwa lektura w niemieckim oryginale. Może aromat papierosów i delikatne uszczypnięcie w nozdrzach, gdy dym wydostaje się i rozprasza w formie dwóch chmurek, pozwolą jej przenieść się z powrotem do krakowskiej kawalerki. Odłożyła książkę i zapaliła.

Po kilku minutach dotarło do niej, że tym razem nic z tego nie wyjdzie. Wciąż słyszała irytujące słowa Pani Doktorowej. Ale to nie Rita była tu winna. Po ślubie Ursę wydawał się zainteresowany seksem w równie niewielkim stopniu jak przed ślubem. Przez ostatni rok w Krakowie była przygotowana na to, że będzie musiała go odtrącić, gdy odprowadzał ją do kawalerki albo zabierał na spacer, film lub obiad, jednak nie było to konieczne. Nigdy nie zrobił nic ponad trzymanie jej za rękę w kinie, niewinny pocałunek w policzek, gdy się spotykali, i przytulenie jej, gdy przyjęła jego oświadczenia. Był zupełnie inny niż studenci, którzy byli zwolennikami wolnego seksu i rozprawiali o polityce.

Sądziła, że wynika to z jego surowego wychowania i oszczędzania się. Z pewnością nie był świętoszkiem. Gdy tylko postanowili się pobrać, Ursę przedstawił swoje dokładne (jeśli nie medyczne), wystarczające rozumienie stosunku seksualnego. Miał w posiadaniu przetłumaczony z francuskiego *Poradnik małżeński*, w którym popierano grę wstępnią jako środek do przygotowania i zaspokojenia kobiety. Ursę ofiarował jej go do dyspozycji kilka tygodni przed ślubem, bez żadnych śladów zażenowania. Oddając podręcznik z zaznaczoną stroną na temat

zaspokajania kobiet, zasygnalizowała pewną informację.

Jak okazało się podczas nocy poślubnej, praca domowa wykonana przez nich za pomocą *Poradnika małżeńskiego* się opłaciła, a przynajmniej udaremniła pewne zenujące sytuacje. Ale od tamtej pory Urs nie był skłonny nagabywać swoją nową żonę o współżycie. Wydawał się usatysfakcjonowany, zaspokajając pożądanie raz w tygodniu, zazwyczaj w piątek wieczorem. W pozostałe wieczory Rita, paradując po mieszkaniu w koszulkach nocnych z głębokim dekoltem, wysyłała mu sygnały, że nie zostanie odepchnięty, jednak Ursowi rzadko zdarzało się chociażby rozluźnić krawat przed pójściem do łóżka.

Był gotowy zostawić ewentualne zajście w ciężę przypadkowi — być może w któryś piątek akurat przypadnie dzień owulacji. A teraz właśnie mijał rok, odkąd byli małżeństwem.



Poza targiem była w Karpaczu także druga atrakcja — księgarnia „U Jastrzębia”. Rita zaglądała tam co najmniej dwa razy w tygodniu: raz, żeby wymienić przeczytaną książkę w prowadzonej w księgarni wypożyczalni, oraz drugi raz, żeby przejrzeć najnowszą prasę z Warszawy i Krakowa, której nie dało się dostać nigdzie indziej w mieście. Pana Jastrzębia nie było w pobliżu, ale pani Jastrzęb najwyraźniej nie miała nic przeciwko temu, żeby Rita przeglądała najnowszą prasę.

Pewnego popołudnia 1937 roku, prawie rok po swym przybyciu do miasta, Rita, wychodząc z księgarni, rzuciła szybkie spojrzenie na stojak z prasą. Rozkojarzona, wpadła na niskiego, eleganckiego, młodego mężczyznę. Gdy się uśmiechnął, uniosły się wąsy nad jego górną wargą, tak samo czarne, jak przyglądzone brylantyną włosy. Był dosyć modnie ubrany jak na polskie miasto targowe i popołudnie w środku tygodnia: miał letnie, dwutonowe, włoskie buty, płaszcz w pepitę, brązowe spodnie, nie miał krawata, a kołnierzyk od koszuli leżał swobodnie na klapach marynarki, niczym u jednego z amerykańskich piosenkarzy, których można było zobaczyć w filmach. A może wyglądał jak jedna z francuskich gwiazd — jak mu było, Pierre Fresnay? Albo jak szczuplejszy Marcel Dalio?

— Proszę mi wybaczyć — powiedział z uśmiechem, nie ruszając się z miejsca.

— To moja wina. Nie patrzyłam, dokąd idę. — Odwzajemniła uśmiech.

— A dokąd pani idzie?

„Raczej przed siebie” — pomyślała.

— Na zewnątrz. Do widzenia.

Zdażyła już odejść kilka metrów w dół ścieżki, gdy ją dogonił. Było to nie lada zuchwałe z jego strony.

— Jestem mężatką. — Machnęła na niego lewą dłonią.

— Moje zainteresowanie ma charakter literacki, nie romantyczny. Po prostu zauważyłem, że wyniosła pani z księgarni moją ulubioną powieść.

— Czyli?

Spojrzał na książkę, którą trzymała.

— Mówię o *Trzech towarzyszach* Remarque’a.

— Ale dopiero co ją przywieźli. — Rita skierowała książkę w jego stronę. — Jak pan widzi, jest nowa, strony nie zostały przecięte. Jestem pierwszą osobą w mieście, która ją przeczyta, więc niemożliwe, żeby była to pańska ulubiona książka.

Skoro ustawiła go do pionu, zaczęła odchodzić. Książka miała wrócić za tydzień na miejsce, więc chciała już zacząć ją czytać.

Młody mężczyzna krzyknął za nią:



— Nie miałem jej z księgarni mojej matki. Czytałem francuskie tłumaczenie w zeszłym roku w Barcelonie. — Rita zawróciła. — Pani pozwoli, że się przedstawię. Nazywam się Tadeusz Sommermann. Jastrząb to panięskie nazwisko mojej matki. Jej rodzice otworzyli tę księgarnię.

Podał jej dłoń. Ona ją uściśnęła. Trzymał jej dłoń odrobinę za długo.

— Co pan robił z Barcelonie? — Nie codziennie spotykała kogoś, kto był w Hiszpanii.

— Jestem lekarzem wojskowym w jednej formacji Brygad Międzynarodowych.

Ricie zaparło na chwilę dech. Oto ktoś wart rozmowy.

— Wkrótce tam wracam — powiedział. — Mogę zaprosić panią na kawę?

Jakoś ten zbliżający się wyjazd sprawił, że zaproszenie wydało jej się dużo mniej zuchwałe.

— Nie, ale może pan zatelefonować do mojego męża, doktora Guildensterna, żeby zaprosić nas na herbatę i opowiedzieć o Hiszpanii. Bylibyśmy bardzo zainteresowani.

— Urs jest pani mężem! Nie było mnie bardzo długo! Kiedyś, gdy graliśmy w piłkę nożną, przyprowadził mnie o to. — Tadeusz wskazał bliznę na nosie. — Bardzo chętnie się z wami spotkam.

Ustalili datę i Tadeusz wrócił do księgarni. Nagle Rita zauważyła, że odżyła, czując się znów mieszkanką Europy.



Zadzwoił telefon. Urs wstał, ostrożnie odstawił filiżankę z herbatą na kredens i poszedł do korytarza. Po chwili wrócił i oznajmił:

— Jestem wzywany i mam na głowie pęknięty wyrostek. Prawdopodobnie spędzę noc w szpitalu. Przykro mi — zwrócił się do Tadeusza. — Nie ma potrzeby, żebyś wychodził. Przykro mi, że jutro wybywasz. Kiedy znowu przyjedziesz z Hiszpanii? — zapytał, zakładając wełniany szalik i kierując się w stronę drzwi.

— Nie mam pojęcia. To zależy od tego, jak dobrze lojaliści potrafią walczyć. Wszyscy spodziewają się tego lata ofensywy na rzece Ebro. Im lepiej będą walczyć, tym dłużej będę mógł zostać.

Urs kiwnął głową, przez chwilę rozmyślając nad tym, co usłyszał. Następnie wyszedł. Ale Rita była zainteresowana.

— Będę się o pana martwiła. — Wyglądała na zaniepokojoną. Wieści z Hiszpanii były dla Republiki od miesięcy niezmiennie złe.

Tadeusz zdał sobie sprawę, że w końcu będzie musiał powiedzieć jej coś zbliżonego do prawdy. Za bardzo ją lubił, żeby dalej kłamać.

— Proszę się o mnie nie martwić. Niedługo odchodzę z Brygad. Dostałem propozycję pracy w szpitalu dla kobiet w Barcelonie.

Pomyślał, że to, co powiedział teraz, jest prawie prawdą, a nie kolejnym kłamstwem. Nigdy nie był na froncie i pracował w szpitalu od ponad roku.

— Tak się cieszę. Przyjmie pan tę propozycję?

— A powinienem?

— Tak, koniecznie — powiedziała trochę nazbyt ochoczo, zdziwiona, że już ją to obchodzi.

— Opowiem pani o tym, jeśli pani pozwoli, żeby do niej napisał...

Rita czuła, że powinna spojrzeć na niego z dezaprobatą, ale tego nie zrobiła.

Tadeusz spędził popołudnie, odpowiadając na ich pytania na temat sześciu lat spędzonych

najpierw w Paryżu, później na południu Francji, a ostatnio w ogarniętej wojną Katalonii, i próbując dowiedzieć się jak najwięcej o Ricie. Ostatni rok, spędzony w prawie wyłącznie żeńskim świecie szpitala położniczego, nauczył go, jak należy słuchać kobiet. Czekał, aż Rita coś powie.

Usiadła naprzeciwko, zaciągając się mocno papierosem. To popołudnie przeniosło Ritę z powrotem do Krakowa, gdy siedziała zgarbiona, a czasami rozciągnięta na łóżku, w którymś pokoju, w towarzystwie innych studentów, znużona i rozleniwiona wykładami z całego tygodnia, świadoma, że mogła zostać na noc, i rozważająca — tylko rozważająca — uwiedzenie. Dlaczego właściwie zrezygnowała z Krakowa?

Nagle nastała cisza i atmosfera zrobiła się nieco napięta. Zadawali sobie to samo pytanie: czy będą jeszcze mieli kiedyś okazję być sam na sam, tak jak teraz? Znając doskonale odpowiedź, starali się wspólnie wybadać szansę, która się przed nimi otworzyła — próbowali zgłębić sytuację, nie ryzykując przy tym odrzucenia. Zaczęli mały duet taneczny, kierując rozmową na podobne tory, lecz każde uważnie stawiało kroki, by nie doprowadzić do sytuacji bez odwrotu.

— Opowiedział pan nam o swoich przygodach. — Zrobiła pauzę. — A na co pan liczy w życiu?

Po krótkim namyśle odpowiedział:

— Praca w klinice żeńskiej będzie zupełnie inna. Republika Hiszpańska przypomina, oczywiście, nieco Związek Radziecki. Kobiety mają takie same prawa jak mężczyźni. Zasiadają na wysokich stanowiskach politycznych, a nawet służą w wojsku. Antykoncepcja i aborcja są w Barcelonie dozwolone. Od lekarzy oczekuje się, że będą rozmawiali z pacjentkami o relacjach małżeńskich. Pracując w żeńskiej klinice, będę musiał zajmować się antykoncepcją i wykonywać aborcje.

Antykoncepcja i aborcja to dwie zupełnie różne rzeczy. Rita chciała dać do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko pierwszej z nich.

— Trudno mi pojąć, jak może pan zgadzać się na wykonywanie aborcji. To wbrew nauczaniu wszystkich religii — naszej, katolickiej, wyznań reformowanych, wszystkich. Aborcja musi być zła.

— Zgadzam się, trudno jest się z nią pogodzić. Ale skrupuły religijne mnie nie powstrzymają.

— Więc jest pan ateistą? — Obserwacja Rity była dosyć oczywista, to był tylko następny sprawdzian możliwości.

— Tak, ale nawet gdybym nie był, religia i tak nie pomogłaby mi z tym problemem.

— Dlaczego? — Nagle skupiła się na tym, co rzeczywiście mówił, a nie, co mógł sugerować.

— Oto argument, który usłyszałem w Paryżu i o którym nie mogę zapomnieć. Dotyczy zakazu aborcji. Bóg jej zabrania, prawda? Więc to dlatego jest zła — dlatego że jej zabrania? Czy może Bóg zabrania jej, bo jest zła? Jak jest naprawdę?

Rita domyślała się, co teraz nastąpi. Powinna mu przerwać? Nie, to by mu się nie spodobało. Przynajmniej mówił o czymś ciekawym. W przeciwieństwie do Ursa. Odpowiedziała zatem:

— Czy jest zła, bo zakazana przez Boga, czy zakazana, dlatego że jest zła? To oczywiste. Bóg jej zakazał, ponieważ jest zła.

— Zgadza się — przytaknął Tadeusz. — Zatem jeśli aborcja jest naprawdę zła, to musi być coś, co sprawia, że taka jest, coś poza faktem, że Bóg jej zakazuje. Co to może być?

— Jest zła. Oznacza morderstwo. Zabijanie niewinnych istot.

— Rito, nie odpowiedziałaś na pytanie. Dlaczego jest zła? Nie może tak być tylko dlatego, że Bóg jej zakazuje. Odrzuciliśmy tę odpowiedź. Musi chodzić o zabijanie samo w sobie i to, co czyni je czymś niewłaściwym, niemoralnym, złym. — Przerwał, żeby upewnić się, że ma jej przyzwolenie. Potem kontynuował: — Bóg prawdopodobnie rozgryzł, co sprawia, że zabijanie jest złe. Dlatego właśnie zakazał tego czynu. Ale co mógł odkryć na temat aborcji? Coś, co sprawia, że jest ona czynem niemoralnym, bo samo przykazanie o tym nie świadczy.

Był to rodzaj wywrotowej argumentacji, jaką Rita pamiętała z lektury Platona, jednak nie zamierzała o tym teraz wspominać.

— Zatem jak brzmi odpowiedź — co sprawia, że aborcja jest zła?

— Nie wiem. Chodzi o to, że sam fakt, że Bóg stwierdził, że jest zła, nie sprawia, że taka jest. Jeśli chodzi o to, co jest dobre, a co złe, musimy umieć zdecydować sami.

„Czy zauważy, że argument ten może się w podobny sposób odnosić również do »Nie cudzołóż«?» — pomyślał Tadeusz.

Rita wstała.

— Według Dostojewskiego „jeśli Boga nie ma, wszystko jest dozwolone”.

Wyszła z salonu, skręciła w ciemny korytarz i poszła do sypialni.

Kiedy wróciła, jakieś pięć minut później, miała na sobie granatowy, jedwabny szlafrok. Białe frędzle zafalowały, gdy minęła Tadeusza, podeszła do frontowych drzwi i zamknęła je na zasuwę. Odwróciła się powoli i przeszła po mieszkaniu, gasząc po kolei wszystkie światła. Stała w półmroku, patrząc na Tadeusza, który wciąż jeszcze siedział w fotelu, aż wreszcie ich oczy się spotkały. Skinąwszy zalotnie palcem, poprowadziła go korytarzem do skąpanej w mroku sypialni.

Usiadł wygodnie na łóżku, a Rita zawisała nad nim, między jego nogami. Słyszał, jak nieco sztywny materiał szlafroka ociera się o jej pończochy. Uchylony na wysokości bioder rąbek odkrył podwiązki, na których trzymały się pończochy, oraz pas do pończoch, ale nie miała na sobie majtek. Futrzana kępka, w kolorze zbliżonym do blond włosów, tworzyła trójkąt między pasami. Najwyraźniej wszystko poza majtkami zostawiła dla niego. Powoli zabrał się do dzieła, odpinając wszystkie żabki od podwiązek i zwijając w dół pończochy, podczas gdy ona unosiła nieco szlafrok. Rozsunęła go. Pas od pończoch wisiał luźno w jej talii, a czarne żabki ozdobione kokardkami nie trzymały już pończoch, ale wisiały swobodnie, odznaczając się na jej białych udach. Zdecydował, że zrobi coś, co Ricie dobrze zapadnie w pamięć. Była to jedna z rzeczy, których nauczył się kilka lat wcześniej, będąc w Paryżu.

[1] Liga Zielonej Wstążki — ruch nacjonalistyczny mający na celu kulturalną i gospodarczą izolację Żydów (przyp. tłum.).

## Rozdział 2

Nie wszystko, co Tadeusz Sommermann powiedział tego dnia, było kłamstwem. Był w Barcelonie i niedługo tam wracał. Zajmował się leczeniem kilku ofiar wojennych z Brygad Międzynarodowych. Chociażby tego Anglika z węsami wyglądającymi jak narysowane i raną po kuli w gardle. Co za pech zostać tak okaleczonym. To była wojna domowa Hiszpanów, nie jego. Oczywiście wiedział, po czyjej był stronie. „Nacjonałści”, jak siebie nazywali, byli zwykłymi faszystami, których oficjalnie uzbrajali Hitler i Mussolini. Ich *caudillo*, ich *Führer* Franco nie miał skrupułów, posługując się marokańskimi jednostkami uderzeniowymi. Tadeusz z pewnością mógł zajmować się czymś bardziej pożytecznym niż zatrzymywanie mauretańskich kul i jednoczesne wstrzykiwanie morfiny w udo jakiegoś żołnierza analfabety należącego do republikańskiej piechoty. Popierał Republikę Hiszpańską. W ogóle nie martwiło go to, że popierał ją także Stalin ze Związkiem Radzieckim oraz kilka różnych partii komunistycznych w obrębie samej Hiszpanii. On sam nie był najemnikiem partii stalinowskiej ani zwolennikiem POUM[2], partii trockistów. Paryż zrobił z niego „zarazę na te oba wasze domy” lewicowca. Musiał zachować swobodę działań, nawet będąc na barykadach Frontu Ludowego.

Pomysł wyjazdu do Hiszpanii zrodził się w nim, kiedy po ostatnim roku studiów medycznych spędzonym w Marsylii po raz pierwszy usłyszał o Brygadach Międzynarodowych. Tadeusz rozpoczął swoje kształcenie w Paryżu. Przez pierwsze dwa lata oddawał się licznym rozrywkom, które oferowało mu miasto. Jeśli chciał zdobyć wykształcenie medyczne, musiał się stamtąd wyrwać. Po przeprowadzce do Marsylii zapisał się na Wydział Medycyny Tropikalnej. Przyjmowano tam obcokrajowców, a po ukończeniu fakultetu nietrudno było o pracę w koloniach francuskich, takich jak Senegal czy Gujana. Niewielu francuskich studentów medycyny rzeczywiście chciało spędzić sześć lat w Dakarze lub Kajennie. Ale im bliżej był dostania się na jakiś kolonialny *paquebot*, tym bardziej odstręczała go perspektywa zostania kolonialnym inspektorem sanitarnym. Musiała istnieć jakaś alternatywa.

Zawsze jakieś były. Już kiedy był dzieckiem, zawsze udawało mu się znajdować jakąś mądrą alternatywę — sposób na pokonanie przeszkód, sprostanie wyzwaniom i walkę z przeciwnościami losu.

Już we wczesnym dzieciństwie Tadeusz wiedział, że księgarnia matki to nie jest miejsce dla niego. Uwielbiał wprawdzie czytać: począwszy od niekończącego się strumienia westernów Karola Maya, w obronie przed kradzieżami ustawionych na półce za ladą, przez książki historyczne, w szczególności o Napoleonie, po marksistowskich uczonych, dzięki którym zrozumiał ideę napoleońską i wszystko, co nastąpiło po niej. Upajał się historią. Ale czytanie książek to nie to samo co handlowanie nimi. Nie dałby się uwięzić w księgarni „U Jastrzębia”.

Tadeusz był dobrym uczniem, a jeszcze lepiej grał w szachy, co było jego atutem, ponieważ nie miał muskulatury niezbędnej do pracy fizycznej, ani też osobowości do gry w pokera. Około czternastego roku życia zdał sobie sprawę, że najlepszym wyjściem z sytuacji będzie zdobycie jakiegoś zawodu. Wiązało się to ze studiami za granicą. Nie zdołałby uczyć się na tyle dobrze, żeby dostać się na studia w Polsce.

Tadeusz chciał pójść na studia historyczne, jednak było ku temu kilka przeszkód. Po pierwsze, jeszcze zanim ukończył gimnazjum, posiadał przyzwoitą wiedzę na temat dziejów ludzkości ostatnich kilku stuleci. W momencie odkrycia socjalizmu naukowego doszedł do wniosku, że niewiele się może jeszcze nauczyć. Wystarczyła mu znajomość *O materialistycznym pojmowaniu dziejów* Plechanowa. W wieku dwudziestu lat przeczytał już wystarczająco dużo,

żeby wiedzieć, że historia jest otwarta księgą. Już wtedy wszystko zrozumiał.

Nawet jeśli mógłby się jeszcze czegoś nauczyć z dziedziny historii, to nie byłby w stanie z niej wyżyć. Jeśli miał uciec od księgarni „U Jastrzębia”, z Karpatynia, lub nawet z całej Galicji, musiał wybrać sześćioletnią medycynę, i to na terenie innego kraju.

Najlepszym miejscem na studia medyczne były Włochy. Włoskie kwalifikacje pozwalały na pracę w obrębie imperium brytyjskiego. Nie było trudno się tam dostać, czesne było rozsądne, a życie stosunkowo niedrogie. Musiałby tylko nauczyć się włoskiego. Nie stanowiło to dla niego problemu. Uczenie się języków przychodziło Tadeuszowi z łatwością. Jednak Włochy były objęte faszystowską dyktaturą człowieka, przy którym Piłsudski wyglądał jak demokratą. Lepszym wyborem była Francja. Poza tym francuski był znacznie bardziej przydatny niż włoski. Ponadto Paryż był nie lada pokusą. *Faculté de Médecine* znajdował się na lewym brzegu Sekwany, rzut kamieniem od Dzielnicy Łacińskiej.

Musiał tylko przekonać matkę. To ona decydowała o rodzinnym budżecie.



Paryż nie ułatwiał życia studentowi medycyny. Dla młodego człowieka, mającego wiedzę historyczną o świecie, było tam zbyt wiele sposobów na zatracenie się.

Tadeusz przyjechał na miejsce wczesnym latem 1932 roku. Trzy miesiące powinny były mu wystarczyć na opanowanie podstaw francuskiego, zanim jesienią rozpoczną się wykłady. Udało mu się znaleźć pokój na ulicy Monsieur le Prince, między bulwarem Świętego Michała a placem Odeona, z tyłu Wydziału Medycyny. Pierwszej nocy próbował zrobić sobie przyjemność kolacją w Crémérie Polidor. Tamtejsze kelnerki słynęły z grubiańskiej obsługi osób siedzących przy wspólnych stolikach. Sfrustrowany próbami rozszyfrowania odręcznie pisanego menu, które od niechcienia rzucono mu przed nos, zmuszony był wyjść na zewnątrz, żeby przy pomocy francusko-polskiego słownika zapoznać się z drukowaną wersją.

Pomimo bariery językowej Paryż okazał się być dokładnie taki, jak Tadeusz sobie wyobrażał. Poznał kilku studiujących medycynę Polaków, którzy ułatwili mu początki na wydziale, strojąc sobie z niego nieszkodliwe żarty. Na przykład wysyłając go do pasmanterii po *capot* — prezerwatywę — kiedy on potrzebował *chapeau*, kapelusza. Jeśli chodzi o wykłady wydziałowe, to bardzo szybko okazało się, że i tak na niewiele mu się zdadzą. Pod koniec drugiego roku miał odbyć się egzamin — *ex tern* — wyłaniający spośród wszystkich studentów tych zdolnych i sumiennych. Ale wykłady w niczym by mu nie pomogły.

Dwa lata od jego pierwszej spędzonej tam jesieni to był termin dosyć odległy. Znacznie bardziej interesujące i pilne były dla niego niecenzuralne powieści André Gide'a oraz dzieło nowego autora, Louisa Aragona. Pomagały w nauce francuskiego, który był równie ważny jak anatomia i fizjologia. Jeszcze bardziej pociągali go politycy Trzeciej Republiki Francuskiej. Przewodniczącym Partii Socjalistycznej był Léon Blum; komuniści podążali za Thorezem, słuchającym rozkazów Stalina; trockiści słuchali (lub przynajmniej próbowali słuchać) Trockiego; anarchiści nie słuchali nikogo.



Kiedy wracał myślami do tamtego czasu, najlepiej pamiętał zapachy: gryzącą, niebieską chmurę dymu z setki francuskich papierosów Gauloises, wiszącą pod sufitem kawiarni w zimowy dzień, zapach mielonej kawy, gdy czekał w kafejce na poranne *expresso*, zapach ozonu, gdy metro odjeżdżało ze stacji Châtelet, a bramki otwierały się dla nowej partii stłoczonych pasażerów, zapach krochmalu i wybielacza niosącego się z *blanchisseur* na Rue de Vaugirard

przez otwarte okna w gorący, majowy dzień oraz poranną woń *boulangeries* przez cały rok.

Najtrwalej wyrył mu się w pamięci zapach perfum Arpège — niesłychanej mieszanki brzoskwiń, irysów, róż, pelargonii oraz tuzina innych nut zapachowych, których nie potrafił rozpoznać. Już do końca życia, bez względu na to, gdzie i w jakich okolicznościach poczuje ten zapach, Arpège będą mu przypominały sytuację, kiedy poczuł je po raz pierwszy, podczas swojego drugiego lata w Paryżu. Unosiły się ze spadzistych ramion młodej kobiety ubranej w bluzkę z odkrytymi ramionami, na tyle luźną, że prawie zsuwała się poniżej piersi, które dokładnie podkreślała. Miała gęste czarne włosy, obcięte prosto, prawie jak u Chinki, z grzywką, opadające na tę samą długość po obu stronach szyi i ramion. Jej makijaż także był nieco orientalny — miała ciemne brwi i wyraziście podkreślone rzęsy. Nie był w stanie stwierdzić, czy na powiekach miała cień czy oznaki zmęczenia. Poniżej cienkiej, muślinowej bluzeczki, spod której przebijały sutki, miała ciemną, chłopską spódnicę, zero pończoch i płaskie buty. No i Arpège...

Przyklejała plakat Międzynarodówki Trockiego na ścianie École de Médecine od strony Rue Racine, zaklejając pierwsze słowo rzucającego się w oczy, wymalowanego czarnymi literami na szarej, kamiennej ścianie, hasła — *Défense d’Afficher* („Nie wieszać plakatów”). Wystarczyło jedno jej spojrzenie, żeby nakłonić Tadeusza do przyłączenia się do jej specjalnej komórki Międzynarodówki. Zatrzymał się i udawał, że czyta plakat.

Na imię miała Lena, chociaż dowiedział się tego dopiero później. Już po pierwszych wypowiedzianych przez nią słowach można się było zorientować, że również była Polką, ale ze znacznie lepszą znajomością francuskiego.

— Doniesiesz na mnie do *flic* za zniszczenie mienia?

— Tylko jeśli narusza to moralność rewolucyjną. — Tadeusz się uśmiechnął. — Jesteś Polką, prawda?

— Jestem proletariuszką. Ale urodziłam się w Warszawie.

— Ja jestem z okolic Stanisławowa. — Nie wyglądała na zainteresowaną, więc zaczął ją pytać o plakat.

— Chodzi o spotkanie. Poczytaj sobie sam. — Odwróciła się i ruszyła w dół Monsieur le Prince, w poszukiwaniu innych wolnych ścian. Tadeusz został, czytając władczą treść plakatu, aż znalazł czas i miejsce spotkania.



Spotkanie miało miejsce tego samego wieczoru w amfiteatrze w Sorbonie. Tadeusz pojawił się wcześniej, z zamiarem zajęcia miejsca jak najbardziej z tyłu, żeby mieć dobry widok i móc ją łatwo odnaleźć. Gdy przyszła, amfiteatr był do połowy pełny, a wkrótce po tym zaczęły się obrady. Kiedy mówca rozpoczął swoje przemówienie, Tadeusz się zorientował, że tematem nie była polityka francuska, lecz Niemcy. Motywem przewodnim był współdział Komunistycznej Partii Niemiec w wyborach, które niedawno dały władzę Hitlerowi. Na polecenie Stalina niemieccy komuniści stali z boku i pozwolili nazistom wygrać. Ich hasło brzmiało *Nach Hitler Uns* — „Po Hitlerze kolej na nas”. Ale jak zapewnił mówca, niemieccy komuniści nigdy nie będą następnymi, a stalinowska Rosja „zbierze burzę”. Używając wszelkich narzędzi dialektyki, przemawiający prognozował nieuniknioną wojnę między nazistami i faszyzmem stalinowskim, która zapoczątkuje światową rewolucję.

Wszystko to miało sens, ale Tadeusz tylko czekał na koniec spotkania. A gdy dobiegło końca po blisko godzinie, udało mu się wyjść w takim momencie, że Lena znalazła się tuż obok niego na Place de la Sorbonne. Grzebała w torebce, szukając zapalek, gdy nagle on podpalił jej

papierosa.

— *Merci*. — Spojrzała na niego. — A, to ty. — Uśmiechnęła się. Wciąż miała na sobie tę samą bluzkę, która groziła opadnięciem z jej ramion.

— Nie zgłosiłem cię.

— Na policję czy sługusom Stalina z Międzynarodówki Komunistycznej?

— Nigdzie. Mogę zaprosić cię na szklankę czegośkolwiek? — Skinęła głową i poszli w kierunku najbliższej spośród czterech kawiarni na Place de Sorbonne. Bez słowa poprowadziła go do stolików wewnątrz — tańszych i nieco odosobnionych. Spodobało mu się to.

Zapaliła kolejnego papierosa, odpalając go od pierwszego, i go poczęstowała. Zamówili dwa *blondy*, lekkie alzackie lagery.

— Kupiłeś tę gadkę na spotkaniu? — Wypuściła dym. Zdziwił go jej sceptyczny ton.

— A ty nie?

— Ani trochę.

— Przecież pomagałaś je organizować.

— To rodzinny interes. Mój ojciec należy do komitetu politycznego Międzynarodówki. Nie musisz wierzyć w słowa piosenki, żeby podobała ci się jej melodia.

— Myślałem, że analiza była poprawna.

Skrzywiła się.

— Jedyne sytuacje, w których materializm dialektyczny ma rację co do przyszłych wydarzeń, to te przypadkowe.

Jakaś część jego chciała się sprzeciwić. Ale nie chciał jej do siebie zniechęcić.

— To ma sens — powiedział zapobiegawczo.

— Tak, *Das Kapital* to wspaniała historyjka. Ale łatwo wymyślać dobre historyjki. Zbyt łatwo. Jeśli chodzi o przewidywanie przyszłości, Marks pomylił się co do wszystkiego. — Tadeusz nie zaprzeczył, więc postanowiła kontynuować. — Jedyne rzecz, którą marksizmowi udało się przewidzieć, to pustka mieszczańskiej moralności. Jednak marksiści nie zdają sobie sprawy, że ich analiza zniszczyła też wartości proletariatu.

— Nie nadążam. — Tadeusz nie chciał się do tego przyznawać, ale lubił jej słuchać.

— Wszystko jest napisane w *Ideologii niemieckiej*.

Tadeusz spojrział na nią bez wyrazu.

— To tytuł książki Marksa, której jeszcze nie przeczytałeś — kontynuowała bez zaproszenia. — W każdym razie Marks miał rację co do moralności mieszczańskiej. Nie wiedział jednak, że jego analiza dotyczy także jego własnych wartości. Kiedy nastąpi dyktatura proletariatu, będzie tylko kolejnym przykładem fundamentu gospodarczego, nowym sposobem produkcji, określania nowego zestawu zasad. Ale to nie sprawi, że będą one właściwe.

— Co masz na myśli? — Nie mógł za nią nadążyć.

— Posłuchaj, pięćset lat temu *le droit du seigneur* było obowiązującą moralnością.

— Co to takiego? — Tadeusz był w zupełnej kropce. Ta kobieta miała lepszą wiedzę historyczną niż on.

Lena postanowiła zwolnić.

— Pan feudalny miał prawo do spędzenia nocy z panną, która miała wyjść za mąż za jednego z jego wasali. Trzysta lat później *le droit du seigneur* oznacza gwałt, a rewolucja francuska orzeka o prawach człowieka i obywatela. *D'accord* — zgadza się? Teraz ludzie mają na własność pracowników, których mogą sprzedać temu, kto da więcej. Jaka w tym poprawa moralności? To tylko zmiana narzucona na wszystkich przez rewolucję przemysłową. Kiedy proletariatu w końcu dojdzie do władzy, czy to sprawi, że moralność komunistyczna będzie dobra? Tylko jeśli feudalizm sprawił, że *le droit du seigneur* było w porządku. Rozumiesz? — Zamilkła.

Pomyślał, że rozumie.

— Co sprawi, że moralność proletariatu będzie w porządku?

Spiorunowała go wzrokiem.

— Nic. Nie ma zła ani dobra. Jest tylko to, co narzuca nam metody produkcji.

— To nie marksizm. To nihilizm. Skąd to wszystko wzięłaś?

— Powiedzmy, że to tak tutaj krąży. — Wzruszyła ramionami.

— Jestem nieco zdezorientowany. Chodzisz po mieście, rozwieszając plakaty w miejscach, w których mogą złapać cię *flics*, Bywasz na spotkaniach, na których studenci i robotnicy zbierają się na rzecz lewicy. Ale nie masz takich poglądów?

— Nic nie rozumiesz. Oczywiście, że jestem za rewolucją. Ale to nie czyni mnie dobrą. To tylko kwestia gustu. Tak jak mówiłam, nie wierzę słowom piosenki. Po prostu podoba mi się melodia.

Lena zapaliła następnego papierosa i pociągnęła za zegarek przypięty do bluzki. Nagle Tadeusz zmartwił się, że zechce już iść. Nie chciał, żeby ten wieczór się skończył.

— Mogę postawić następną kolejkę?

— Mam lepszy pomysł. Chodźmy do Dzielnicy Łacińskiej, kupmy butelkę wina i pójdźmy do mnie.

Gdy tak szli wzdłuż bulwaru Świętego Michała w stronę Sekwany, od niechcienia wzięła go pod rękę i znów poczuł delikatny zapach *Arpège*. Może i była proletariuszką, ale przy tym zdecydowanie była mieszkanką Paryża.

Z pozoru opanowanego Tadeusza oczekiwania przyprawiły o zawrót głowy. Nigdy nie myślał, że straci dziewictwo tak wcześnie i z taką łatwością. Dlaczego się nim zainteresowała? Czy dlatego, że był skłonny jej wysłuchać?

Zboczyli w dół wzgórza, pod liściaste platany, mijając ruiny opactwa w Cluny. Lena ocierała się o niego udem, Tadeusz przestał zazdrościć parom, które mijali. Ulica zaczęła się przy kolosalnym pomniku uskrzydłonego Świętego Michała z brązu, odwróconego w stronę Sekwany. Miejsce było pełne par i grup ludzi oraz wszędobylskich kloszardów — pijaczków zebranych o drobne.

Przeszli z przestronnego placu w wąskie uliczki Dzielnicy. *Épicerie* na Rue de la Harpe w dalszym ciągu, pomimo dwudziestej drugiej, prowadziła ożywiony handel. Zapłacili za butelkę *Côtes du Rhône* po połowie. Następnie Lena poprowadziła go z powrotem w stronę Sekwany, gdzie minęli zamknięte schowki na książki *bouquinistes*, aż dotarli na Rue Bonaparte. Odchodząc od rzeki, poprowadziła go obok *École des Beaux-Arts*. Później skręcili w prawo w Rue Jacob.

Przy nieoznakowanych drzwiach Lena wyjęła klucz uniwersalny i otworzyła zamek. Rzuciła torebkę w korytarzu i powiedziała, do nikogo konkretnego, podniosłym głosem:

— Wróciłam.

Z kuchni docierało przytłumione światło, ale nikt nie odpowiedział. Zaprowadziła Tadeusza schodami cztery poziomy w górę i otworzyła drzwi na końcu korytarza. Nie zamierzał wypytywać o tego nihilistę, skoro jej rodzina pozwala, żeby przyprawiała do łóżka nieznajomego, młodego mężczyznę, w wieku dwudziestu dwóch lat.

Lena nie pytała, czy już to kiedyś robił.

— Nie ma pośpiechu. Zrobimy to powoli, tak żebyśmy oboje czerpali z tego przyjemność. Nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Staneła przed nim i powoli rozpięła mu koszulę, wyciągnęła ją ze spodni i upuściła na podłogę za nim. Nie miał podkoszulka. Dłońmi złapał za rękawy jej bluzki z odkrytymi ramionami i delikatnie pociągnął. Tak jak miał nadzieję około dwunastu godzin wcześniej, bluzka wreszcie zsunęła się na jej przedramiona. Spojrzał na dwie małe piersi, które zdawały się



rozkwitać wokół najciemniejszych okręgów, jakie kiedykolwiek widział. Podniosła ręce do jego głowy, przyciągnęła go do siebie i pocałowała z otwartymi ustami, zapraszając jego język do środka, a on dłońmi dotknął jej piersi i powoli zaczął pocierać sutki. Uśmiechnęła się i wydawało mu się, że usłyszał słowo *bien*. Miała na myśli „dobrze” czy wyrażała zniecierpliwienie — „więc”?

Teraz Lena zdjęła spódnicę, a Tadeusz spodnie i bokserki. Położyła dłonie na jego ramionach i pchnęła go na kolana.

— Najpierw ja, potem ty — oznajmiła.

Nie opierał się, ale przesunął powoli w dół, zsuwając jej bieliznę. Nigdy przedtem niczego takiego nie robił, ale wiedział wystarczająco dużo na ten temat, żeby podążać za jej niemymi wskazówkami. Nie było pośpiechu...

[2] *Partido Obrero de Unificación Marxista* (hiszp.) — Robotnicza Partia Marksistowskiej Unifikacji (przyp. tłum.).

## Rozdział 3

W lutym 1934 roku Tadeusz zaczął zdawać sobie sprawę, że powinien wyjechać z Paryża. Jeśli tego nie zrobi, będzie musiał zrezygnować z medycyny, dofinansowania rodziców i nadziei na wygodne życie. Jeżeli zostanie, będzie prowadził biedne, choć pełne ekscytacji i ryzykowne życie, a może nawet będzie miał okazję zostać bohaterem, kierowany solidarnością rewolucyjną.

Począwszy od lata 1933 roku Tadeusz zaczął spędzać coraz mniej czasu w *École de Médecine*. Wiedział już wtedy, że wykłady nie miały znaczenia. Liczyło się tylko zapamiętywanie całych podręczników. A to mógł robić zawsze. Tymczasem zależało mu na zupełnie innych rzeczach i nie musiał się niczym zajmować. Była przecież Lena, jej przyjaciele i przyjaciele jej przyjaciół. Koledzy ze studiów medycznych, z Francji i innych krajów, zabierali go na popijawy. Do tego zaczął się zadawać z bywalcami kina, przeżywając niekończącą się fascynację powiązaniem między życiem i twórczością Jeana Renoira. Późną wiosną i wczesną jesienią zawsze znajdował czas na długie, popołudniowe partie szachów pod stuletnimi kasztanowcami na ponurym placu przy kościele świętego Sulpicjusza. W sobotnie poranki zwykł polować na pamiątki po Komunie Paryskiej lat 70. XIX wieku w *Marché aux Puces*, powyżej *Porte de Clignancourt*. Nabawił się skądś niemożliwego do okiełznania zainteresowania architekturą miejską i spędzał całe ranki, spacerując z *Montparnasse* do *Montmartre*.

Polityka była wszechobecna. W piątym i szóstym okręgu byli sami bojownicy, zorganizowani w szeregi odłamów lewicowych i skrajnie lewicowych. Pewnego wieczoru kolega z wielkim cygarem w gębie wziął czarny grzebień i dla popisu przyłożył go sobie pod nosem, mówiąc poważnie raz za razem: „*Je suis Marxiste, tendance Groucho*”. Tylko ci naprawdę wierni Stalinowi mogli powstrzymać się od śmiechu.

Przed tegorocznym Świętem Pracy Tadeusz pojawił się w *École de Médecine* nie więcej niż dwukrotnie w ciągu pięciu miesięcy. Za każdym razem, kiedy otwierał książkę medyczną, ktoś pukał do drzwi i wołał go na kolejne spotkanie, demonstrację lub protest. Nie miał na tyle silnej woli, żeby odmówić. Chodził tam. Ale nie był w stanie pozbyć się sceptycyzmu, którego rok wcześniej nauczył się od Leny i jej małej grupy cynicznych marksistów. Wiedział, że gdy tylko raz wpuścisz do swojego domu stalinistów, pewnego dnia zamordują cię we śnie. Wiedział też, że schizma trockistów była równie bezskuteczna, co zabawna. Właściwie przysparzała aż nazbyt wiele rozrywki. Jeśli miał uchronić się przed wchłonięciem przez Lewy Brzeg — jeśli miał kiedykolwiek zostać lekarzem — musiał wyjechać z Paryża.

Kiedy wrócił tego lata do Karpatynia, wyjaśnił rodzicom, że chce studiować medycynę tropikalną i musi przenieść się na Wydział Medyczny do Marsylii. Zapewnił ich także, że życie na południu jest tańsze, a jego szanse na zdanie ostatniego roku i dostanie dobrej posady znacznie większe.

Gdy tylko znalazł się w Marsylii, pojawiło się ryzyko, że popełni te same błędy, których dopuścił się w Paryżu. Jednak nie wiadomo, skąd pojawiła się w nim żelazna determinacja, żeby skupić się na nauce.

Późnym latem 1936 roku *monsieur* Tadeusz Sommermann zaprezentował się na państwowych egzaminach lekarskich, *l'externat*, które miały ocenić jego szansę na podjęcie stażu medycznego w klinice — *l'internat*. Wieczorem w dniu ostatniego egzaminu wyjechał nocnym pociągiem do Paryża. Wyniki miały zostać opublikowane na łamach „*Journal Officiel*”, którego egzemplarz mógł kupić zarówno w kiosku na *Place l'Odéon*, jak i na dworcu kolejowym imienia świętego Karola w Marsylii.

Tydzień później Tadeusz otrzymał dobre i złe wieści. Co prawda zdał, ale nie na tyle dobrze, żeby móc podjąć staż w jakimkolwiek szpitalu w l'Hexagone — Francji metropolitalnej. Jego oceny z medycyny tropikalnej były jednak wystarczająco wysokie, żeby pełnić służbę medyczną *outré-mer*, zakładając, że uda mu się zdać *concours* ze służby kolonialnej nadchodzącej jesieni. Ale wiedział, że nie da rady. Nie mógł znieść myśli o nauce do kolejnego egzaminu. Nie potrafił odnaleźć w sobie dyscypliny, którą znalazł w Marsylii.

Tej wiosny pieniądze z domu przestały przychodzić. Będąc w Marsylii, zdołał zgromadzić pewne oszczędności. Miasto było tanie, a on był zbyt zajęty zakuwaniem, żeby mieć czas na roztrwonienie całego kieszonkowego. Jeśli będzie dysponował nim oszczędnie, powinny mu wystarczyć na spędzenie lata w Paryżu.



Podczas gdy Tadeusz szukał odosobnienia w bibliotece École de Médecine w Marsylii, działy się rzeczy, które miały pomyślnie rozwiązać jego nagłe problemy. Oczywiście chodziło o działania polityczne. W lutym i w maju rządy we Francji i Hiszpanii przejęły Fronty Ludowe. Prawie cała francuska lewica znalazła w końcu sposób, żeby zjednoczyć siły, a w Hiszpanii miejscowy Front Ludowy pokonał w wyborach rząd reakcyjny. We Francji partia socjalistyczna Léona Bluma zdołała przekonać wszystkich do siebie, przynajmniej na jakiś czas. Jednak w Hiszpanii triumf lewicy natychmiast wywołał gwałtowny wojskowy zamach stanu. Do lipca w Hiszpanii wybuchła wojna domowa. W następnym miesiącu we Francji rozpoczęto rozmowy na temat utworzenia oddziałów — Brygad Międzynarodowych — w obronie Republiki Hiszpanii. We wrześniu w Paryżu otworzyły się punkty rekrutujące.

Ponieważ dysponował już resztką pieniędzy i nie chciał wciąż żerować na przyjaciółach, pewnego ranka Tadeusz znalazł się przed nieoznakowanym budynkiem na Rue de Turenne, czekając na otwarcie republikańskiego biura rekrutacyjnego. Nie była to jedna z ulic codziennie polewanych wodą przez właścicieli sklepikarzy. Nieliczne witryny były zasłonięte. Rynsztok był pełen niedopałków papierosów, a podarty papier gazetowy rozrzuciły podmuchy wiatru. Kilku młodych, niechlujnie wyglądających mężczyzn stało już w kolejce. Niektórzy mieli w rękach dokumenty. Poranek był dosyć chłodny jak na październik, ale nikt nie miał na sobie płaszcza. Co najmniej jeden z nich wydierał mocny odór świadczący o życiu na ulicy.

Tadeusz wyjął papierosy i *le gar* stojący przed nim to zauważył. Proponując mu papierosa, choć nie było go stać na ich rozdawanie, Tadeusz rozpoczął rozmowę.

— Widzę, że masz ze sobą jakieś dokumenty. Jakie są wymagania?

— To co zwykle. Chcą zobaczyć *carte d'identité* i *permis de conduire*, jeśli powiesz, że umiesz prowadzić. Bardzo popularne jest też zwolnienie z prawdziwego wojska.

— A kwalifikacje medyczne?

— Nie, robią ci badanie lekarskie po tym, jak...

— Pytałem, czy potrzebują lekarzy — przerwał mu Tadeusz.

— A bo ja wiem. — Wzruszył ramionami mężczyzna.

— Co będziesz robił?

— Cokolwiek. Pochodzę z Lille. Nie ma tam pracy. W Hiszpanii jest ciepło, no i będą mnie karmić.

— To brzmi, jakbyś już się zapisał — zauważył Tadeusz. — Dlaczego stoisz w kolejce?

— Wróciłem z zezwoleniem. Byłem na przesłuchaniu w biurze politycznym. Pytali, do której konfederacji należę — komunistycznej CGT czy socjalistycznej CGTU. Na kogo głosowałem w pierwszej rundzie wyborów zeszłej wiosny. Jaką czytuję gazetę. Wszystko

dlatego, że Francuska Partia Komunistyczna i Rosjanie płacą, więc nie chcą trockistów lub innych awanturników.

Właśnie w tej chwili, dwadzieścia minut po planowanym czasie otwarcia, pojawili się pracownicy: trzy młode kobiety i starszy mężczyzna. Otworzyli biuro i zajęli miejsca przy biurkach. Jedna z kobiet rozdawała formularze w recepcji. Tadeusz usiadł i wypełniał je, bardzo się starając, żeby nie poplamić porowatego, dębowego blatu swoim wiecznym piórem. Odnosił formularze do recepcji. Kobieta je przejrzała i przekierowała go do siwego mężczyzny, siedzącego przy innym biurku, który najwyraźniej był kierownikiem.

Mężczyzna wziął formularze, nie podnosząc wzroku.

— Absolwent medycyny, co? Co będziesz miał z walki dla Republiki?

— Nie potrzebują tam lekarzy?

— Bardzo. Ale lekarze niekoniecznie potrzebują nas. — Tadeusz zwrócił uwagę na użyty zaimek.

— Ten akurat tak. Nie mogę skończyć studiów we Francji. Może w Hiszpanii będę mógł walczyć z faszystami i zdobyć kwalifikacje.

— Rozumiem. Będziesz musiał przekonać biuro polityczne. Taką stosujemy zasadę wobec wszystkich studentów uniwersyteckich.

Siwobrody wręczył mu kolejny formularz z adresem na alei Jeana Jaurès. Nie było się nad czym zastanawiać. Postanowił iść tam od razu.

Biuro mieściło się w tym samym budynku co redakcja partyjnej gazety — „L’Humanité” — oraz radzieckie przedstawicielstwo handlowe. Nie próbowali ukrywać, kto weryfikuje ochotników. Krótco ostrzyżony mężczyzna ze stalowymi zębami — Tadeusz nigdy przedtem takich nie widział — wziął formularze i kazał mu usiąść.

— Byłeś kiedykolwiek członkiem Francuskiej Partii Komunistycznej?

— Nie.

— A Międzynarodówki? — To był odłam Leny.

— A co to jest? — Tadeusz próbował wyglądać na zdziwionego, ale partyjny aparatczyk tego nie kupił.

— Nie udawaj idioty. To trockiści organizujący światową rewolucję na Lewym Brzegu.

— Proszę posłuchać, jestem z Marsylii. — Wręczył mu ostemplowany i opisany podręcznik z wykładów.

— W porządku. — Mężczyzna dalej przeglądał dokumenty. — Najlepiej bądź z nami szczerzy. Ostatecznie i tak cię sprawdzimy.

Wreszcie spojrzał w górę, prosto w oczy Tadeusza. Spojrzenie więziło go przez długie sekundy. Po czym mężczyzna wrócił do przeglądania dokumentów. Podbił wszystkie formularze.

A więc z powrotem na Rue de Turenne. Jeszcze zanim dzień dobiegł końca, Tadeusz miał bilet do Barcelony oraz instrukcje dotyczące stawiennictwa na wojskowe szkolenie medyczne w Brygadach Międzynarodowych.



Pociąg do Barcelony odjechał z Gare d’Austerlitz około godziny dwudziestej. Tadeusz zajmował miejsce w drugiej klasie dla niepalących, przy oknie, naprzeciwko rodziny, która posługiwała się innym językiem niż hiszpański. To musiał być kataloński. Obok niego siedziała kobieta mówiąca po francusku, będąca w ostatniej fazie ciąży.

Oboje patrzyli, jak zachodzące słońce maluje na żółto pola pszenicy. Nad nimi przesuwaly się długie cienie platanów, które rosły wzdłuż krajowych dróg, położonych

równoległe do torów. Zanim pociąg przejechał przez Auxerre, zrobiło się niemalże ciemno. W półmroku wreszcie poczuł, że może zaryzykować pytanie.

— Powinna pani podróżować?

— Nie mam wyjścia. Moja rodzina mieszka w Tarragonie. W Paryżu byłam sama.

Nie miała obrączki na swej lewej dłoni. Zauważyła, że na nią spojrział. W przedziale było już zbyt ciemno, żeby zobaczyć rumieniec zakłopotania, ale on miał wrażenie, że i tak go poczuł. Nie zdając sobie zupełnie sprawy, dlaczego to robi, położył swoją rękę na jej leżącą na oparciu dłoń i powiedział:

— Proszę się nie martwić, jestem lekarzem. — Zapadła cisza.

Kiedy obudził się o czternastej, pociąg stał na stacji Le Creusot, a jej głowa spoczywała na jego ramieniu. Nie miał nic przeciwko temu.



Zbudzony przez wschodzące słońce, Tadeusz wyszedł z przedziału na papierosa. Wychylił się przez okno na korytarzu i pozwolił, żeby wiatr owiewał jego twarz. Dlaczego właściwie czuł się tak dobrze z powodu wyjazdu do Hiszpanii? Zapał do służby Republice? Rewolucyjny entuzjazm? Z pewnością mu się udzieliły, gdy oglądał wycinki z kroniki filmowej. Widział tam wspaniałą przemawiającą komunistkę, kobietę, którą nazywano La Pasionaria. Rozkładała szeroko ręce, opasując swoich słuchaczy i obiecując im: „*No pasarán!*” — „Nie przejdą!”. Widok anarchisty o zabawnym nazwisku Durruti, stojącego na czele kolumny żołnierzy idących do Saragossy, wzruszył Tadeusza siedzącego w ciemnościach sali kinowej. Cieszył się, że nikt tego nie widział. Lena by go wyśmiała. Takie same łzy napływały mu do oczu, kiedy śpiewał *Międzynarodówkę*. Jak to było? Nie musisz wierzyć w słowa, żeby podobała ci się melodia?

Jednak Tadeusz musiał przyznać przed sobą samym, że to nie solidarność gnała go w stronę Hiszpanii. Nie była to też romantyczność. Ani nawet wyrachowanie, chociaż w późniejszym czasie udawał przed wszystkimi, nawet przed samym sobą, że tak. To było po prostu najłatwiejsze wyjście, po linii najmniejszego oporu. Było niczym przewrócenie kartki, puszczenie w niepamięć wszystkiego, oczyszczenie Tadeusza ze wszystkich obowiązków, które miał w Paryżu, Marsylii, a nawet w Polsce — wszystkich zobowiązań wobec rodziców. Nie musiał naginać się do ich zasad, żeby zachować ich wsparcie finansowe, tym bardziej wracać do domu. Nie musiał nawet się usprawiedliwiać i wyjaśniać im, ani nikomu innemu, swoich wyborów. Nie musiał zdawać więcej żadnych egzaminów. Żadna z tych rzeczy nie czyniła z niego bohatera, ale przynajmniej mógł tak myśleć. I kto wie, może nawet zostanie bohaterem. W końcu będzie musiał zostać żołnierzem, prawda?



Długo po świcie, gdzieś pomiędzy Awinion i Narboną, młoda kobieta wstała i wyszła z przedziału. Godzinę później znów zrobiła to samo. Gdy wróciła po raz trzeci, Tadeusz ośmielił się spytać:

— Skurcze? Możliwe, że to już porodowe? — Dziewczyna kiwnęła głową z grymasem na twarzy i opadła na siedzenie.

Zanim dojechali na południe od Perpignan, ścisnęła już jego rękę bardzo mocno, a siedząca naprzeciwko Katalonka także wiedziała, co się dzieje.

Tadeusz przypomniał sobie teorię na temat porodów i ich odbierania niemal bez problemu, jednak potrzebował więcej informacji.

Pochylił się do kobiety z naprzeciwka.

— Bardzo przepraszam, czy jest pani mieszkanką Barcelony? — zapytał z nadzieją, że znała trochę francuski.

— Tak.

— Czy może mi pani powiedzieć, czy gdzieś w pobliżu dworca kolejowego jest jakiś szpital?

— Tak, jest. Będziemy wjeżdżać na Estació de França w Barcelonecie. Najbliżej jest Hospital del Mar, to bardzo blisko.

— Dziękuję.

Do Barcelony wciąż jeszcze były dwie godziny jazdy, a w Cerbère czekały ich formalności związane z przekraczaniem granicy.



Może dlatego, że był poniedziałkowy poranek, może taki był socjalistyczny kodeks pracy republikańskich agentów celnych, a może zwyczajnie mieli szczęście, ale kontrola celna i paszportowa była tego ranka zdawkowa. Przed dziewiątą rano pociąg zaczął wyraźnie zwalniać, a do ich toru dołączyły inne tory, zbiegające się na stacji. Tadeusz zwrócił się do ciężarnej kobiety:

— Nie wytrzyma pani do Tarragony. Ma pani skurcze co cztery minuty. Zabieramy panią do tutejszego szpitala.

Kiwnęła głową, zgadzając się.

— Gdzie pani torba?

— Mają mi oddać w Barcelonie. Muszę przesiąść się na pociąg do Tarragony. — Wzdrygnęła się z bólu.

— To dobrze. Przetrzymają ją pani w *consigne*. A tak przy okazji: nazywam się doktor Sommermann. — Sam się zdziwił, słysząc swoje słowa, ponieważ nigdy wcześniej tak o sobie nie mówił.

Lubił brzmienie słowa „doktor”. Ona najwyraźniej też. Przedstawiła się z bladym uśmiechem na twarzy:

— Panna Borda, Aine Borda.

Powoli przebijali się przez pasażerów i walizy stłoczone już na korytarzu.

— *Permisso?* — Tadeusz już zaczął mówić po hiszpańsku, a może to był kataloński?

Kiedy znaleźli się już na peronie, opierała się mocno na jego ramieniu, a łzy płynęły po jej policzkach. Próbowwała powstrzymać krzyk bólu.

Przed wejściem na dworzec znaleźli taksówkę.

— Hospital del Mar — rzucił Tadeusz, wymawiając „s”, którego nie było we francuskim słowie *hôpital*, a którego mocne brzmienie bardzo mu się podobało.

W ciągu niecałych trzech minut znaleźli się na oddziale *Urgencia* — oddziale ratunkowym — gdzie drzwi otworzył im ubrany na biało młody mężczyzna, który na głowie miał kaszkiet z daszkiem, również w kolorze białym.

Gdy tylko weszli do środka, Tadeusz krzyknął:

— Czy ktoś tu zna francuski?

Z poczekalni rozległ się chórek „*Oui*”. Wtedy podeszła pielęgniarka, najwyraźniej dowodząca.

— Pan jest ojcem?

— Nie, jestem lekarzem. — Jej postawa nagle uległa zmianie. Wycofała się, czekając na

polecenia. Tadeusz postanowił odegrać swoją rolę. — Czy jest tu jakaś położna albo lekarz dyżurny?

— Tak, doktorze, pójdę ją znaleźć.

Kiedy się odwróciła, pojawił się sanitariusz z łóżkiem na kółkach.



Poród trwał około godziny i przebiegł bez komplikacji. Położna się wszystkim zajęła, ale Tadeusz był zaskoczony, że był w stanie przewidzieć i rozumieć prawie każdy jej ruch. Jako lekarzowi okazywano mu szacunek — raczej zbyt wielki, jak sądził — i pozwolono mu uczestniczyć w porodzie, przeciąć pępowinę i ją podwiązać. Urodziła się zdrowa dziewczynka, którą wraz z matką wywieziono na wózku z oddziału *Urgencia*.

Kiedy szukał w jej torebce kwitu bagażowego, zastanawiał się, jak nazwie córkę. Znalazszy kwit, poszedł w kierunku wyjścia. Po drodze minął przełożoną pielęgniarkę i rozmawiającą z nią położną. Obie na niego spojrzały.

— Idę odebrać torbę pacjentki. Wysiedliśmy z pociągu jadącego z Paryża.

Wyszedszy ze szpitala, rozejrzał się dookoła. Miał przed oczami Morze Śródziemne. Między nim a morzem rósł rząd palm, faliście wyginających się w błękit. Były to pierwsze palmy, jakie kiedykolwiek widział, i już wtedy wiedział, że je pokocha. Za nimi znajdowały się rozległe połacie piasku noszącego znaki obecności plażowiczów, którzy mieli na sobie mniej ubrań, niż zwykł widywać na jakiegokolwiek plaży w północnej Europie. Teren plaży obniżał się w kierunku wody, więc nie mógł zobaczyć, gdzie się spotykają, ale morze było puentylistyczną mieszaniną intensywnego fioletu i fosforyzującej bieli. Nie mógł patrzeć na nie zbyt długo bez okularów przeciwsłonecznych. Skręcił w prawo, przeszedł wzdłuż plaży i ponownie skręcił w prawo, w Barcelonetę. Dzielnica była zaprojektowana na wzór kraty z regularnie ustawionymi budynkami w pastelowych kolorach, spośród których wszystkie miały około pięciu pięter i były ułożone między wąskimi uliczkami na tyle blisko siebie, że zapewniały sobie nawzajem cień, nawet w obliczu późnego porannego słońca. Budynki nie miały balkonów, ale większość okien była okratowana, a na kratkach wiły się tropikalne rośliny i suszyły kolorowe ubrania. Na każdym skrzyżowaniu, co najmniej z trzech stron, widać było ostry błękit nieba. Nagle się zorientował, że ta część Barcelony leżała na półwyspie. Potem wśród barów zaczął zauważać sprzedawców ryb i stoiska ze smażonym jedzeniem. Handlarze rybami i pracownicy zajmujący się swoimi sprawami wyglądali na niewiarygodnie radosnych i znacznie bardziej towarzyskich niż ich francuskie odpowiedniki. Czuł, że spodoba mu się w Hiszpanii.



Minęła godzina, zanim wrócił do szpitala, niosąc bagaże. Ponownie skierował się w stronę wejścia na oddział ratunkowy. Gdy wszedł do środka, zobaczył mężczyznę w średnim wieku, w wąskim i dopasowanym garniturze w białe prążki oraz czarnym krawacie, rozmawiającego z pielęgniarką, która ich przyjęła. Nagle mężczyzna odwrócił się od niej, podszedł do Tadeusza, wyciągnął do niego dłoń i odezwał się po francusku z obcym akcentem.

— *Bienvenu, monsieur le médecin* — nazywam się doktor Marti. Spodziewaliśmy się pana dopiero jutro. Ale pojawił się pan w bardzo dobrym momencie, szczególnie dla jednej z naszych pacjentek.

Uśmiechnął się i zanim Tadeusz zdążył mu przerwać, zawołał dozorcę i wydał mu polecenie, najwyraźniej po katalońsku. Dozorca wziął od Tadeusza bagaż, a doktor Marti zaczął wyjaśniać:

— Dozorca zaprowadzi pana do pokoju.

Na tym etapie Tadeusz już zdecydował, że pozwoli, żeby to nieporozumienie potrwało nieco dłużej.

Do końca dnia nikt go nie niepokoił. Zatem rozpakował się, poszedł do szpitalnej stołówki coś zjeść i udał się na plażę. Ponownie był zdziwiony, poruszony i zadowolony z widoku kobiet spacerujących przy brzegu z odsłoniętą talią i w wiązanych na szyi bluzkach bez pleców. Wyglądały niczym z plakatu Josephine Baker, o której rozmyślał w Paryżu. Na długo zanim ktokolwiek w Barcelonie zdążył pomyśleć o kolacji, Tadeusz był już głęboko pogrążony we śnie w pokoju Hospital del Mar z widokiem na morze.

Następnego ranka przed jego drzwiami pojawiła się pielęgniarka, która zwracała się do niego jako do doktora Nadeau. Nie mógł pozwolić, by to nieporozumienie zabrnęło jeszcze dalej, więc ją poprawił:

— Doktor Sommermann.

— Dobrze, proszę pana — odpowiedziała po francusku.

Poszli na obchód. Gdy podeszli do pierwszego łóżka, pokrótce przedstawiła mu przypadek — objawy wskazywały na zapalenie opłucnej.

— Nie reaguje na leczenie. — Zamilkła, okazując mu szacunek i najwyraźniej czekając na polecenia.

Tadeusz, nie będąc w stanie ich wydać oraz bojąc się, że to, co powie, może zaszkodzić pacjentce, stwierdził, że włączy ją przyjacielsko do sprawy.

— A siostra co by zrobiła?

Pielęgniarka wyglądała na zaskoczoną. Widocznie nigdy dotąd lekarz nie pytał jej o zdanie. Uśmiechnęła się szeroko, wyraziła dwie lub trzy obserwacje na temat historii choroby i zasugerowała postępowanie.

— Chciałem powiedzieć dokładnie to samo — powiedział, uśmiechając się.

Na szczęście następnych dwóch pacjentów miało takie same objawy. Tadeusz musiał powiedzieć coś mądrego. Zerkając ukradkiem na karty, zauważył, że cała trójka nosiła to samo nazwisko zakończone na „-ian”. Musieli być Ormianami, może nawet pochodzili z Turcji. Już wiedział.

— Czy to może być rodzinny przypadek gorączki śródziemnomorskiej? Często występuje wśród osób pochodzących z terenu Turcji.

Był to tak rzadki przypadek, że tylko ktoś dysponujący wiedzą świeżo zapamiętaną z podręczników medycyny tropikalnej kojarzyłby nazwę. A najlepsze było to, że leczenie było identyczne jak w przypadkach zapalenia opłucnej.

Pielęgniarka spojrzała na Tadeusza lekko zdziwiona.

— Doktorze, skąd pan wiedział, że są z Turcji? To siostry z ormiańskiej rodziny żyjącej w Anatolii. — Wszechwiedza Tadeusza zdołała teraz nawet przyćmić jego zmyślanie z podręcznika.

Obchód nie przysporzył już większej ilości problemów, ale widać było, że personel szpitala był przyzwyczajony do zupełnie innego traktowania niż to, które stosował Tadeusz. Używał słów takich jak „proszę” oraz „dziękuję”. Pytał pielęgniarki o zdanie. Każda jego prośba spotykała się z entuzjazmem. Na każde pytanie odpowiadano bardzo dokładnie. Zaskakująca liczba pracowników znała chociaż trochę francuski, a kataloński nie był niemożliwy do rozszyfrowania. Wszystko układało się zaskakująco dobrze.

O szesnastej na oddziale pojawił się doktor Marti, ordynator, czerwony ze złości, ale milczący. Zobaczywszy Tadeusza, skinął nań palcem.

— Doktorze, proszę za mną! — powiedział z nutą złości.



Marti zaprowadził go do pustego gabinetu poza główną kondygnację.

— Mam tutaj telegram od doktora Nadeau. Otrzymał lepszą propozycję i zmienił zdanie co do przyjazdu. Kim pan właściwie jest? — Był wściekły, ale mówił nieco głośniejszym szeptem.

— Nazywam się doktor Tadeusz Sommermann. Staralem się poprawiać personel za każdym razem, kiedy się do mnie zwracał niewłaściwym nazwiskiem. Jestem lekarzem... Przyznaję, że nie jestem tym, którego się pan spodziewał. Proszę dać mi chwilę, a wszystko wyjaśnię. — Milczenie Martiego potraktował jako zgodę na kontynuację. — Przywiozłem tę młodą kobietę, która wczoraj rano urodziła dziecko.

— Tak, położna i przełożona pielęgniarek powiedziały, że dobrze się pan spisał, nadzorując poród. Proszę mówić dalej.

— Gdy powiedział pan, że potrzebuje personelu medycznego, pomyślałem, że może znajdzie się coś dla mnie. Przyjechałem do Barcelony z rozkazem dołączenia do jednostek medycznych Brygad Międzynarodowych. Ale znacznie bardziej się nadaję do pracy w szpitalu dla kobiet.

„A znacznie mniej do polowego punktu opatrunkowego na linii walki” — dodał w duchu.

— Na to wygląda. Cały dzień otrzymywałem od pielęgniarek wieści o pańskich błyskotliwych interwencjach. — Marti przyłożył kciuk i palec wskazujący do czoła i wziął głęboki wdech, a następnie wypuścił powietrze i westchnął rozpaczliwie. — Cóż mam począć? — Patrzył na Tadeusza, ale wyglądał, jakby mówił do siebie albo w powietrze. — Zabrali nam wszystkich doświadczonych lekarzy. Jedynym sposobem na zatrzymanie jakiegoś z nich było zatrudnienie takiego, który byłby dla nich bezużyteczny — ginekolog niemówiący po hiszpańsku ani po katalońsku. A teraz zabroniono nam mieć nawet jego. — Ponownie westchnął głęboko. Nagle skupił się na człowieku stojącym przed nim. Spojrzał na Tadeusza. — Jakie ma pan doświadczenie?

Sytuacja prosiła się o zdecydowane kłamstwo, a Tadeusz nie miał problemu z jego wymyśleniem.

— Spędziłem sześć miesięcy w Sisteron w Górnej Prowansji. — Nie wymienił nazwy żadnego szpitala i ku jego uldze nie była ona wymagana.

— Ma pan swoje świadectwa lekarskie? — Marti przeszywał go wzrokiem. — Proszę przynieść je do mojego biura natychmiast.

Zanim Tadeusz zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Marti odwrócił się i zaczął schodzić po schodach. Pięć minut później był już w biurze ordynatora szpitala, a przed nim i Martim na biurku leżały: książka obecności z wykładów oraz egzemplarz „Journal Officiel”, wydanie z poprzedniego kwietnia. To było najlepsze, na co udało mu się wpaść. Przedstawianie hiszpańskiego wojskowego przydziału do służb medycznych byłoby raczej nie na miejscu. Po chwili, która wydawała się nie mieć końca, ordynator skończył zapoznawać się z tym, co przyniósł Tadeusz, i oparł się w swoim fotelu.

— Potrzebuję personelu ginekologiczno-położniczego. Może pan zostać tak długo, jak pozwolą panu na to Brygady Międzynarodowe. Sto peset tygodniowo i posiłki na stołówce, ale nie mogę zapewnić noclegu w szpitalu. To zbyt niebezpieczne.

— Zgadzam się. — Tadeusz przelknął ślinę.



Tydzień później Tadeusz został wezwany z oddziału do gabinetu ordynatora.

— Dobrze pan pracuje, Sommermann. Chciałbym pana zatrzymać. Ale to nazwisko musi

zniknąć. Władze rozsyłają ostrzeżenia o ochotnikach przyjeżdżających, żeby dołączyć do Brygad Międzynarodowych, i znikających bez śladu. — Tadeusz milczał. — Oto akt zgonu, który wyjąłem z naszego archiwum. — Podał mu dokument. — Proszę zapamiętać dane, iść do rejestracji w *Ajuntament* i wyrobić nową *carte d'identité*. — Spojrzał na formularz leżący na biurku. — Od dziś nazywa się pan Guillermo Romero.

— Ale wszystkie pielęgniarki znają mnie jako Sommermanna.

— Proszę im po prostu kazać mówić inaczej. Posłuchają każdego polecenia, jeśli zacznie pan je wydawać, zamiast ciągle pytać je o radę. — Irytacja w głosie Martiego miała domieszkę humoru. — Poza tym rotacja pielęgniarek jest tak duża, że za trzy miesiące nie zostanie już prawie żadna, która by знаła pana pod innym nazwiskiem niż Romero.

## Rozdział 4

Pewnej kwietniowej nocy 1938 roku, dziewięć miesięcy od ostatniej wizyty Tadeusza u rodziców w Karpaczu, doktor Gil Romero stał przy ladzie małej kawiarni dla robotników w Barcelonie. Kawiarnia znajdowała się za rogiem jego kwatery, na Carrer de Balboa, blisko jego ulubionej restauracji na Carrer del Baluard, serwującej grillowane owoce morza. Nie była zbyt duża, a drzwi były szeroko otwarte, więc czuł delikatny wiatr docierający z *la playa*. Małe lampki na ścianach i barze daremnie walczyły z ciepłą, aksamitną ciemnością wlewającą się z ulicy. Raz na jakiś czas czuć było zapach grillowanej na *tapas pulpo* — ośmiornicy — który przewyciężał zapach morza i kusił, żeby zamówić *ración*. Gil liczył, że spotka jakichś znajomych. Jednak nikt się nie pojawił i po wypiciu piwa był gotowy do wyjścia.

Do tego czasu nie miał już problemu z postrzeganiem siebie samego jako doktora Romero, specjalisty, po katalońsku *ginecòleg*, jak coraz częściej siebie nazywał. Uwielbiał zajmować się kobietami i ich medycznymi dolegliwościami. Na początku musiał słuchać uważnie, żeby rozumieć kataloński. W ten sposób, niejako mimowolnie, przyswoił sobie umiejętność słuchania, a tym kupił sobie zaufanie pielęgniarek. Odnalazł swoje powołanie, coś, w czym był dobry i na czym mu zależało. Miał również okazję dorobić z powodu zamożnych kobiet, często żon oficerów, które przychodziły do niego uporać się ze swoimi niedyskretnymi postępkami pod nieobecność mężów znajdujących się na froncie.

Gil miał świadomość, że to już długo nie potrwa. Republice nie uda się zwyciężyć. Walczący po obu stronach wojny domowej już o tym wiedzieli. W Barcelonie z tego powodu aż wrzało. Żandarmeria wojskowa przeczesywała bary i domy publiczne, wyłapując mężczyzn i wysyłając ich na południe w kierunku rzeki Ebro. Większość tych, którzy mogli uciec — zamożnych, wolnomularzy, lojalnych oficerów sił morskich i powietrznych — wyjeżdżała do Francji.

Gil podniósł leżącą na barze gazetę. Nacjonalistycznym oddziałom generała Franco, w tym Włochom i Niemcom, nareszcie udało się odciąć Katalonię od Madrytu. W tym samym czasie, na polecenie Moskwy, rząd kataloński zgromadził wszystkich, którzy nie chcieli poddać się założeniom Komunistycznej Partii Hiszpanii. A ci, którzy stanowili pozostałość po rządach POUM — lewicowej opozycji — zostali postawieni pod murem i rozstrzelani. Gil spodziewał się takiej reakcji na zaistniałą tragedię. Poniesł porażkę w kolejnej bitwie i obarcz winą zbieraninę trockich konspiratorów, anarchistów, utopijnych socjalistów oraz innych, którzy nie posłuchaliby rozkazów Międzynarodówki Komunistycznej — stalinowskich rozkazów. Zajęła się tym hiszpańska wersja Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych, część Komunistycznej Partii Hiszpanii. Właściwie pomagało im też prawdziwe NKWD, dużo bardziej doświadczone w efektywnym pozbywaniu się wrogów lewicy.

Kiedy miał już wyjść, przez otwarte drzwi kawiarni wszedł doktor Marti. Uśmiechnął się, zatrzymał i podszedł do oświetlonego baru.

— Mogę się przyłączyć?

To była wyjątkowa sytuacja. Gil się uśmiechnął.

— Czego się pan napije?

— Weź cokolwiek, byle nie sangrię.

Zwrócił się do niego per „ty”, co od razu przykuło uwagę Gila. Po raz pierwszy od roku Marti okazał mu sympatię. Postanowił więc to wykorzystać.

— Panie doktorze...

— Mów mi Marti, Romero, tak robią przyjaciele. — Uśmiechnął się, czyniąc tę uwagę.

— *Molt be*. — Miał nadzieję, że ten kataloński zwrot oznaczał to samo co hiszpańskie *muy bien*. — Chciałem właśnie zapytać, czy należysz do partii. Uznałem, że tak, skoro jesteś ordynatorem miejskiego szpitala.

— Zgadza się. To całkiem opłacalne.

— Wybacz, ale to oczywiste, że nie jesteś jej posłuszny. Zatrudniłeś mnie, zamiast wysłać do baraków, albo chociaż kazać aresztować. Pomogłeś mi zatrzeć za sobą ślady.

— Dobry z ciebie lekarz. A ze mnie słaby stalinowiec. Właściwie to w ogóle nie jestem komunistą. Ale straciłbym stanowisko, gdybym nie wstąpił do partii. A ty? — Szczerść Martiego była niezwykle rozbijająca. I była też niebezpieczna. Takie wyznanie mogłoby kosztować go posadę, albo nawet gorzej.

Gil zastanawiał się: „Próbuje mnie zdemaskować? Wątpliwe. Wie już o mnie wystarczająco dużo, żeby wydać mnie NKWD albo jej hiszpańskim pomocnikom”. Postanowił pozostać czujny.

— Jestem po części marksistą, a przynajmniej zwolennikiem materializmu dialektycznego, tylko tyle. Nie mam zamiaru przyjmować stanowiska w prowincjonalnych kłótniach lewicy. — Marti spojrział na niego.

— Materializm dialektyczny? Jesteś lekarzem, naukowcem. Nie możesz zgadzać się z tym belkotem. — Wypił na raz pół piwa, spojrział na niego i kontynuował: — Jedyne słuszną część materializmu dialektycznego to sam materializm.

Ta myśl przypomniała Gilowi Paryż. Nic nie odpowiedział. Nie miał zamiaru się zdradzać, obierać stanowiska, przysparzać sobie problemów. Zapadła cisza.

— Jeśli nie zamierzasz być ze mną szczerzy, *joven*, to wychodzę. — Marti podniósł kufel i skończył piwo. — Dobranoc. — Uśmiech Martiego był szczerzy i sprawił, że Gil poczuł się jeszcze bardziej zakłopotany.



Do września sytuacja Republiki uległa znacznemu pogorszeniu. Pierwszą porażką była bezsensowna ofensywa na rzece Ebro podjęta przez wojska Republiki, które walczyły dobrze tylko w sytuacjach obronnych. Gil przypomniał sobie ich zwycięstwo w bitwie o Madryt. Oblegający miasto faszystowski generał Mola utrzymywał, że ma cztery kolumny poza miastem i jedną wewnątrz. Jednak wojsku Republiki udawało się odpierać oblężenie przez trzy lata. To walka w ofensywie wydawała się być ponad ich siły. A teraz, gdy przegrywali na froncie rzeki Ebro, Negrin, szef republikańskiego rządu, jednostronnie wycofał z udziału w wojnie swoich najlepszych żołnierzy — Brygady Międzynarodowe — licząc na to, że faszyci także wycofają swoich „ochotników”. Dlaczego? Gil był w stanie tylko się zaśmiać. Czy Negrin chociaż przez chwilę przypuszczał, że Franco naprawdę odeśle do domu niemieckie i włoskie oddziały razem z czołgami, bombowcami i samolotami transportowymi? I to był właśnie moment wybrany przez Stalina do zakończenia przez hiszpańską partię likwidacji swoich lewicowych sojuszników.

W tym samym czasie, przez znaczną część września, reszta Europy przygotowywała się na pewną wojnę o Kraj Sudecki w Czechosłowacji. Nawet w Hiszpanii wiadomości o podróżach brytyjskiego premiera Chamberlaina, najpierw do Bad Godesberg, a następnie do Monachium, zepchnęły z pierwszych stron gazet wiadomości na temat frontu nad rzeką Ebro.



30 września, dzień po tym, jak Chamberlain przywiózł z Niemiec do Londynu honorowy

pokój, Gil został wezwany z oddziału położniczego. Kiedy wszedł do gabinetu, Marti wstał.

— Zamknij drzwi, *joven*. — Gil posłuchał, nie odzywając się słowem. — Nadszedł czas, żebyś wyjechał, przyjacielu. NKWD było u mnie dwukrotnie, pytając o noszącego nazwisko Sommermann człowieka, który przyjaźni się z członkami trockistowskiej Międzynarodówki w Paryżu. Mówili, że miał dołączyć do Brygad, ale zupełnie stracili go z oczu, aż do chwili, w której otrzymali wiadomość z Paryża. Teraz jednostka go *potrzebuje*. Tak przynajmniej powiedzieli. Brygady muszą ewakuować się we właściwym porządku, bez spóźnialskich. To dotyczy również służby medycznej.

— Rozumiem.

— Musisz załatwić sobie hiszpański paszport, nie wydostaniesz się stąd z polskim.



Kilka wieczorów później wciąż jeszcze było bardzo gorąco, kiedy Gil, z aktówką i walizką, szedł na stację metra w Barcelonecie. Do walizki spakował przyrządy ginekologiczne, które owinął w ubrania, żeby nie robiły hałasu. W aktówce miał świadectwa lekarskie na nazwisko Guillermo Romero. Siedząc w dusznym wagonie, z potem spływającym po twarzy, Gil mijał kolejne przystanki na trasie do Barcelony Santas, głównej stacji kolejowej. Nigdy nie udało mu się wyjechać z Hiszpanii w taki sam sposób, jak tu przyjechał, a więc przez granicę w Cerbère, miejscowości leżącej na bezpośredniej trasie do Francji. Może i wyglądał teraz jak Katalończyk, ale jego akcent nie przekonałby ani straży granicznej, łapiącej dezertersów, ani francuskich celników, którzy bez litości odsyłali uchodźców nieposiadających wizy. Droga powrotna do Francji nie mogła przebiegać prosto.

Godzinę później niepocący się już Gil usiadł na drewnianej ławce w przedziale trzeciej klasy, w którym była tylko jedna starsza kobieta. Siedziała pod plakatem z promiennym wizerunkiem La Pasionaria, Dolores Ibárruri, oraz sierpem i młotem Komunistycznej Partii Hiszpanii. Kobieta z pewnością nie była jednak zagorzałą zwolenniczką Republiki. Pod koronkową mantylą widać było, że jest ubrana na czarno, a jej oczy przesuwają się tam i z powrotem po stronach mszału. Najwidoczniej nie musiała się obawiać, że dopadnie ją *generalissimus* Franco.

Pociąg z trzema tylko wagonami powoli piał się w górę, zatrzymując się w sześciu wioskach w okolicach Montserrat, zanim skręcił na północ, w stronę hiszpańskich Pirenejów. Linia kolejowa skończyła się w Berdze, daleko na południe od granicy z Francją. W tym pociągu nie przewidywał kontroli dokumentów.

W miarę jak zapadał zmrok, Gil zaczynał widzieć coraz mniej krajobrazu, a coraz więcej swojego odbicia w zakurzonej oknie. Podobało mu się to, co widział: wyraźniejsze rysy, które długie dni wryły na jego twarzy, znużone spojrzenie zmęczonych światem — a może pełnych wiedzy o świecie? — oczu, modne wąsy oraz garnitur w kolorze złamanej bieli, należący do człowieka, który znał Ramblas jak własną kieszeń. Obrazowi temu brakowało jeszcze tylko papierosa i unoszącego się dymu. Zapalił.

Gil myślał nie bez satysfakcji o tym, jak był przewidujący, dokonując właściwego wyboru na każdym rozstaju dróg swojej życiowej podróży. Dobrze mu się wiodło. Albo chociaż powiodłoby mu się, gdyby zdołał uciec przed pułapką zastawioną przez żandarmerię i policję polityczną resztek państwa katalońskiego, które znalazło się już pod prawie całkowitą kontrolą radziecką.



W przytłumionym świetle jedynej latarni, przyklejonej do boku budynku naprzeciwko dworca — czyli w rzeczywistości peronu z wiatą — Berga była miastem z jedną ulicą, pełną szarych, dwupiętrowych, otynkowanych domów z zamkniętymi okiennicami. Schodząc z peronu w kierunku słabo oświetlonego placu, Gil rozglądał się za taksówką. Nie było ani jednej, stał tam tylko szpakowaty mężczyzna w ogrodniczkach i kaszkiecie, opierający się o zderzak zakurzonego wozu dostawczego. Palił papierosa Celtas — marki dla powonienia Gila zbyt mocnej. Spojrzał na Gila, a ten odwrócił się i skinął głową.

— Za ile zawiezie mnie pan do La Seu d’Urgell?

Chodziło o małe miasto leżące sto kilometrów na północny zachód. A co najważniejsze, położone najbliżej Andory, jak to było możliwe. „Nie jestem przemytnikiem i przed nikim nie uciekam — pomyślał Gil. — Lepiej się potarguję.”

— To zależy od tego, jak dużo pasażerów tego pociągu będzie chciało jechać z panem — odpowiedział mężczyzna. Czekali w milczeniu, ale większość pasażerów zniknęła w ciemnościach. W końcu kierowca ciężarówki stwierdził:

— Sto peset. Będziemy jechać całą noc.

— Pięćdziesiąt — odpowiedział Gil. Był skłonny zapłacić tyle, ile będzie trzeba, ale nie chciał pokazywać, że mu się spieszy.

— Co jest w walizce? — Kierowca spojrzał na jego torbę. — W La Vella nie potrzebują marnych aktorzyn. — To było jedyne miasto w Andorze.

— Przyrzędy medyczne. — Gil nie musiał kłamać.

— W porządku, zawiozę pana za siedemdziesiąt pięć peset. Nazywam się Josep. A pan?

— Romero, doktor Guillermo Romero. — Wspiął się na siedzenie, walizkę położył na kolanach, a aktówkę obok kierowcy. Rozpiął dwie klamry, na które była zamknięta walizka. Kiedy ją otworzył, wziernik odbił odrobinę światła, która tam była.

— Jak widać, niewielka wartość dla kogoś, kto nie jest lekarzem, przyjacielu. — A może powinien być powiedzieć „towarzyszu”?

Jechali starą drogą żwirową z jednym pasem, prowadzącą wzdłuż doliny na zachód, ale nie było późnonocnego ruchu w drugą stronę, więc nie musieli zjeżdżać z drogi. Do północy padło między nimi tyle kłamstw, że obaj mogliby być spiskowcami.

— Przyjacielu, gdyby ktoś chciał dotrzeć przez Andorę do Francji, czy byłoby to możliwe z Urgell?

— Używają tu nazwy La Seu. Ale jeśli chce pan przekroczyć granicę, to jedź pan w złym kierunku.

— A co złego jest w Andorze?

— Francuska służba graniczna na granicy z Andorą jest trudna do przejścia. Wiedzą, że mogą z każdego podróżującego wymusić pieniądze na alkohol, papierosy albo perfumy. Od La Seu znacznie lepsza będzie Puigcerdá. — Gil nigdy o niej nie słyszał.

— Poza tym to dwa razy krótsza droga. — Josep zatrzymał ciężarówkę. — Właśnie przejechaliśmy zakręt.

— Może pan jednak zawieźć mnie tam? — Z tymi słowami Gil stał się zakładnikiem jego prawdomówności.

— *Sí*. Ale za tę samą cenę. — Josep wrzucił wsteczny i ostrożnie zawrócił na wąskiej drodze. Gdy ruszyli, kontynuował: — Jest jeszcze coś, czego pan pewnie nie wie. Zaraz za granicą w Puigcerdá leży mała część Hiszpanii, prawdziwej Katalonii, rodzaj wyspy bez dostępu do morza, hiszpańskiej, ale otoczonej przez Francję. To dosyć dziwne. Powodem tego jest jakiś traktat sprzed czterystu lat. — Przestał mówić, żeby móc skupić się na drodze, która stała się teraz bardziej uciążliwa, jako że jechali w górę na północ, bezpośrednio w Pireneje, zamiast

okrążyć je od południa.

Gil milczał w nadziei, że Josep sam opowie mu, jak przekroczyć granicę, i nie będzie musiał o nic pytać. „Nie wypada teraz być małowównym” — pomyślał.

— Ta mała część Hiszpanii nazywa się Llivia. Jest położona dwa kilometry od granicy. Najlepsze w tym przejściu granicznym jest to, że tak wielu ludzi podróżuje tam i z powrotem z Llivii do Girony po tej stronie, że wszystko, czego potrzeba, żeby przekroczyć tam granicę, to dowód tożsamości i dobra znajomość katalońskiego. Widziałem, jak cofali ludzi, którzy próbowali pokazać tylko paszport. Pański kataloński jest na tyle dobry, żeby oszukać Francuzów. Proszę pokazać mi dowód. Za dodatkowe dwadzieścia pięć peset chętnie zawiozę pana pod samą granicę.

Gil wyjął dowód z kieszeni płaszcza razem z republikańskimi banknotami, których nie będzie już potrzebował. Paszport miał w aktówce, a ta była zamknięta. Dalej milczał.

O pierwszej w nocy Josep zatrzymał samochód przy granicy, trzysta metrów od najbliższej ulicy i spokoju Puigcerdá. Miasto, które mieli za sobą, wydawało się pogrążone przez hiszpańską wojnę domową w głębokim śnie — we wszystkich oknach było ciemno.

Brama graniczna blokowała drogę i Josep musiał zatrąbić. Po około minucie w stróżówce granicznej zapaliło się słabe światło. Później drzwi się otworzyły i pojawił się mężczyzna w brudnym podkoszulku, mający na głowie charakterystyczną czapkę z lakierowanej skóry, jakie noszą w Guardia Civil — Guardia Civil Franco, a może Stalina. Josep musiał wyczuć wzdrygnięcie Gila.

— Nie należy do Guardii. Myślę, że po prostu podoba mu się czapka.

Mężczyzna włączył latarkę, poświecił na samochód i wyciągnął rękę. Josep wręczył mu dokumenty.

— Dlaczego chcecie przekroczyć granicę o takiej porze? — Podniósł wzrok znad dokumentów i spojrzał na ich twarze.

Gil nie wiedział, co powiedzieć, i nie ufał swojemu nie całkiem bezbłędnemu katalońskiemu. Po chwili milczenia Josep odezwał się na ochotnika.

— To lekarz. Położna go wzywa. Są komplikacje przy porodzie.

Strażnik celny obszedł wóz z drugiej strony, wszedł na stopień i spojrzał na Gila, pytając po katalońsku:

— Co jest w walizce?

— Proszę zobaczyć — odparł krótko Gil i otworzył walizkę.

Strażnik wzdrygnął się delikatnie na widok wziernika. Po czym zeskoczył.

— *Pasad*. — Podniósł szlaban i wrócił do stróżówki.

Josep zatrzymał się na skrzyżowaniu, pochylił się nad Gilem i otworzył drzwi.

— Jest pan we Francji. Za minutę będzie pan znowu w Hiszpanii. — Podali sobie ręce. — Udanej podróży.

Dwie minuty później Gil ciągle był jeszcze na skrzyżowaniu, kiedy Josep odjechał w przeciwnym kierunku, z powrotem do Hiszpanii. Zasalutowali sobie wzajemnie w stylu Frontu Ludowego: zaciśniętą pięścią podniesioną w górę.



Miesiąc później, w listopadzie 1938 roku, doktor Guillermo Romero był już członkiem personelu Szpitala Miejskiego w polskim Lwowie. Niezwykle było to, jak dobrze witano hiszpańskich lekarzy w Polsce. Lekarz z katalońskim świadectwem musiał być dobrym katolikiem, w przeciwieństwie do wielu kandydatów na te stanowiska.





## Rozdział 5

— Rito, musimy porozmawiać.

Urs właśnie wrócił z gabinetu. „Na pewno znowu był w domu swojej matki” — pomyślała. Zdecydowana odwrócić jego uwagę od czegokolwiek, co jego matka mogła mu natłuc do głowy, poszła do kuchni.

— Obiad gotowy... Zrobiłam *coq au vin*.

To zdecydowanie nie był polski sposób przyrządzania kurczaka, ale kojarzył się Ricie z innymi krajami i obyczajami.

Gdy zasiedli do stołu, Urs odchrząknął. Rita zorientowała się, że jednak nie udało jej się odwrócić jego uwagi. Szykowała się stała przemowa.

— W ciągu dwóch lat naszego małżeństwa kochaliśmy się około osiemdziesięciu czterech razy... — Mówił dalej, ale myślała tylko o tym, że liczył. — Wiem, że martwiłaś się o to, że nie możesz zająć w ciążę. Nie mówiłem nic wcześniej na ten temat, bo myślałem, że może to jest tylko mój problem.

Najwyraźniej dla tej maszyny stosunek seksualny służył wyłącznie do prokreacji. Nagle delikatna konstrukcja podpierająca spokój Rity runęła na ziemię. Czowała, że jest ciągnięta ku pytaniom, na które nie jest w stanie odpowiedzieć. *Dlaczego to zrobiłam? Jak mogłam popełnić taki błąd? Co ja sobie myślałam?* Pustka jej egzystencji przytłaczała ją i musiało być to widać.

Urs jeszcze pogorszył sprawę, źle interpretując źródło jej cierpienia. Podszedł i objął ją swoimi długimi ramionami. Ona zaczęła bronić się przed uściskiem. Nie zwracając na to specjalnej uwagi, kontynuował:

— Przeczytałem coś. Zrobiłem rozeznanie — mówił z kliniczną obojętnością. — Oddałem próbkę spermy do badania mikroskopijnego w szpitalu. Plemniki mają wystarczającą ruchliwość i koncentrację w metrze sześciennym.

Rita uwolniła się z objęć Ursa i wstała.

— A więc problem leży we mnie? — Usłyszała wewnętrzny rozkaz: „Weź się w garść!”.

— Nie wiem, problem może być między nami. Ale chciałbym, żebyś pojechała do Lwowa. Konsultowałem się z tamtejszym lekarzem. Nikt tutaj nie musi wiedzieć o naszym problemie. Poza tym nikt w tak małym mieście, jak to, nie jest w stanie pomóc.

— Do Lwowa?

— Tak, jest tam uniwersytet medyczny, duży szpital, żeńska klinika. W końcu to trzecie co do wielkości miasto w kraju. Nikt poza lekarzem, który będzie cię badał, nie musi o niczym wiedzieć. Poznałem go trochę w Krakowie. Teraz pracuje we Lwowie. Nazywa się Pankow. Prowadziliśmy korespondencję w tej sprawie i chce cię zbadać osobiście.

Rita chciała zaprotestować. Urs prowadził korespondencję z obcym człowiekiem na najbardziej intymny temat związany z relacjami małżeńskimi. Nie przyszło mu do głowy, żeby najpierw zapytać żonę o zdanie.

Jednak po chwili pomyślała: „Nie rób z tego problemu”. Nie mieli żadnych problemów, nie padały trudne i ostre słowa, nie było kłótni, scen, łez ani złości — a właściwie żadnych emocji. Urs nie wydawał się nigdy mieć jakichkolwiek, a Rita nauczyła się już do tej pory ich nie okazywać. Przekonała sama siebie, że brak silnych uczuć świadczy o dojrzałości. Życie ludzi, którymi targwały emocje, jak sobie powtarzała, było mniej szczęśliwe niż tych, którzy mieli je dobrze przemyślane. A teraz, kiedy szybko dochodziła do siebie po chwilowej rozpacz i zmuszała się do myślenia w taki sposób, próbowała zrozumieć sens argumentów Ursa.

Wychodząc za mąż dla wygody, musiała sobie na nią naprawdę zasłużyć. Poza tym chciała mieć dzieci — dzieci z Ursem, jeśli o to chodzi — po to, żeby wypełnić niewypowiedziane warunki umowy, i dlatego, że Urs miał wiele wspaniałych cech. Tak, plan przedstawiony przez Ursa był całkowicie rozsądny.

A później pomyślała: „Przynajmniej będę mogła wyrwać się z Karpacza na jeden dzień. Spędzić go w tętniącym życiem mieście, znacznie większym niż Kraków”.

Ze spokojem zapytała:

— Kiedy się mnie spodziewają?



Tydzień później, po dokładnie jednym napadzie małżeńskiej intymności, Rita znalazła się we Lwowie. Odbyła półtoragodzinną podróż pociągiem przez płaskie, podobne do stepowych tereny wiejskie południowej Polski, odsłonięte od czasu żniw. Każda wioska, przez którą przejeżdżali, wyglądała, jakby była tą ostatnią — brudne chałupy z otynkowanymi deskami stały ciasno wokół ukraińskiej cerkwi. Na żadnej z sześciu stacji między Karpaczem a Lwowem nie wsiadł ani nie wysiadł prawie nikt. „A dlaczego mieliby to zrobić?” — pomyślała Rita.

Lwów był pokrzepiającą niespodzianką. Dlaczego nie przyjechała tu wcześniej? To była metropolia. Elektryczne tramwaje przemykały bezgłośnie przez dworzec główny i jechały w dół brukowanymi ulicami prowadzącymi w trzech kierunkach. Duże czarne samochody, i nawet większe ciężarówki, szybko wyprzedzały nieliczne furmanki. Budynki po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko dworca, były cztero- lub pięciopiętrowe, pokryte fasadą z ciosanego kamienia, ze strzelistymi oknami, z których jarzące się światła oświetlały szare popołudnie. Na rogu była kawiarnia, zatłoczona wewnątrz, z kilkoma stolikami wciąż dzielnie stojącymi na chłodzie. Ulica tętniła życiem z powodu handlarzy, dobrze prosperującego kiosku z gazetami oraz człowieka handlującego na krawężniku pieczonymi kasztanami. Spojrzała tęsknie na kawiarnię. Nie miała czasu na kawę. Znalazła taksówkę — starego, ale lśniącego peugeota — i podała kierowcy adres doktora Pankowa.

Po pięciu minutach jazdy taksówką Rita zatrzymała się przed jednym z tych potężnych budynków pokrytych kamieniem. Zapłaciła i wysiadła. Przy wejściu, pod wysuniętym balkonem zobaczyła mosiężną tabliczkę z nazwiskiem lekarza. Za korytarzem znajdowały się białe marmurowe schody, wijące się wokół wykonanej z kutego żelaza kabiny windy, jakiej nie widziała nigdzie przez prawie dwa lata. Zaczekała, aż kabina zjedzie na dół. Winda zawiozła ją na drugie piętro, gdzie zapukała do drzwi z matową szybą. Dało się słyszeć, jak sam lekarz mówi: „Proszę wejść”. Spojrzał na nią zza biurka, ani uśmiechnięty, ani skrzywiony.

— Pani doktorowa Guildenstern? — Ritę od razu zaskoczył zwrot zarezerwowany wyłącznie dla jej teściowej.

— Tak, panie doktorze, miło mi pana poznać. — Wcale nie było jej miło.

Był budzącą grozę i surową postacią, przysadzistą i mającą głębokie boczne zmarszczki po obu stronach ust, a oczy schowane pod ciężkimi brwiami. Zastanawiała się, do kogo był podobny. Wtedy do niej dotarło: Otto von Bismarck! Dla uzupełnienia nieprzystępnego wyglądu doktor Pankow miał na sobie surdut i kołnierzyk koszuli frakowej. Kiedy ostatnio widziała kogoś ubranego w ten sposób? W zakładzie pogrzebowym?

Doktor Pankow bezceremonialnie podszedł do pokrytego materiałem parawanu, znajdującego się po drugiej stronie pokoju, i powiedział:

— Proszę być tak uprzejmą, rozebrać się i założyć fartuch leżący na stole do badań.

Słyszała lejącą się wodę, kiedy mył ręce, a potem wyszedł zza parawanu, ubrany w biały

fartuch i parę gumowych rękawiczek. Podczas badania zadał jej kilka oczywistych pytań.

— Jak regularnie pani miesiączkuje? Czy jest to bolesne? Nieregularne co do ilości? Czy była pani w ciąży i poroniła? Czy stosunek seksualny jest dla pani bolesny?

A ona myślała: „Dlaczego nie zapyta mnie pan o coś ważnego? Dlaczego pani mąż nie przejawia zainteresowania seksem? A kiedy już o tym pomyśli, to dlaczego nie jest w tym dobry? Dlaczego w ogóle pani za niego wyszła?”.

Badanie doktora Pankowa nie różniło się zbytnio od innych, których doświadczyła, i zaczynała się zastanawiać, jaką wyjątkową wiedzą mógł dysponować. Kiedy skończył, odłożył narzędzia, zdjął rękawiczki i powiedział:

— Może się już pani ubrać, pani Guildenstern.

Kilka chwil później znów siedzieli naprzeciwko siebie przy szerokim, dużym biurku.

— Cóż, według mnie wszystko jest w jak najlepszym porządku. Ale chciałbym, żeby zobaczył panią specjalista. — Rita wyglądała na zaskoczoną.

— Myślałam, że to pan jest specjalistą.

— Zajmuję się wyłącznie kobietami. Chcę, żeby zobaczył panią ktoś, kto specjalizuje się w problemach z rozmnażaniem. Rozumiem, że musiała pani tutaj dojechać. Zadzwoń i postaram się umówić panią na wizytę jeszcze dzisiaj. — Podniósł słuchawkę, stojącego na biurku telefonu oraz leżący obok notes.

Rita tymczasem wyjęła z torebki rozkład pociągów, żeby sprawdzić, jak długo może jeszcze zostać. Zanim znalazła pociąg o dwudziestej pierwszej, lekarz odkładał już słuchawkę. Pankow wziął pióro, zamoczył je w kałamarzu i naskrobał kilka linii na bloczku papieru.

— Proszę, oto adres. To adres oddziału ginekologicznego Szpitala Miejskiego. Pojedzie pani taksówką. Jest pani umówiona na piętnastą. — Wyjął z kamizelki zegarek kieszonkowy, rzucił szybkie spojrzenie i kontynuował: — Mogę zasugerować, żeby przeczekała pani tę przerwę we wspaniałej herbaciarni w George Hotel? Moja żona bardzo ją lubi. Do widzenia. — Nawet nie wstał.

Rita wzięła adres, przyjęła podwózkę oraz otrzymaną radę. Na zewnątrz czekała na nią ta sama stara taksówka marki Peugeot. Trzy minuty później była już w George Hotel. Mogła się przespacerować i oszczędzić parę złotych. Hotel był kolejną czteropiętrową kamienną budowlą, z trzema rzędami balkonów nad głównym wejściem. Rita przeszła przez wejście jak prawdziwa pani doktorowa Guildenstern. Portier ukłonił się nieznacznie i stał wyczekująco.

— Do herbaciarni poproszę — powiedziała. Jej wzrok podążył za jego gestem wskazującym na podwójne drzwi, za zakręconymi schodami, z potrójnymi mosiężnymi prętami przecinającymi szyby z matowego szkła.

Gdy do nich podeszła, otworzyła je kolejna, odziana w liberię ręka, która ukazała jej widok późnowiktoriańskiej tradycyjności. Starsze matrony nalewały herbatę swym patykowatym córkom — starym pannom, a w tym czasie ich grubsze synowe pochłaniały miękkie kanapki z rzeżuchą. Nie było to miejsce, w którym Rita chciałaby spędzać czas, ale nie było już odwrotu.

Zajęła miejsce i po raz kolejny się rozejrzała. Właśnie uczestniczyła w seansie życia, w które była teraz nieustannie wciągana. Te poważne i poprawne kobiety miały na sobie tyle warstw, że jakikolwiek ruch stawał się niemożliwy do wykonania. Zerkwały w menu przez okulary z rączką i gardziły prawie każdą potrawą. Gdyby miała na tyle szczęścia, żeby być zabieraną przez męża do Lwowa wystarczająco często, z pewnością zdążyłaby już przywyknąć do tego pokoju.

Uporanie się z dzbankiem herbaty i kilkoma słodkimi maślanymi bułeczkami zajęło prawie godzinę. Do tego czasu grube adamaszkowe obrusy, idealnie wykrochmalone serwetki oraz przytłaczający błysk srebrnego serwisu do herbaty zaczęły ją męczyć. Nie mogła zmusić się

do zostania w George Hotel ani minuty dłużej, bez względu na to, jak wczesne pojawienie się w szpitalu specjalistycznym by to oznaczało.



Droga do Szpitala Miejskiego okazała się dziesięciominutowym spacerem przez wciąż jej zdaniem tętniącą życiem metropolię. Kiedy bez większych problemów dotarła na miejsce, do wizyty wciąż jeszcze pozostało pół godziny. Znalazła główne wejście i zaczęła przeglądać informator, szukając oddziału ginekologiczno-położniczego. Dowiedziawszy się, że ten mieści się na pierwszym piętrze, ruszyła w kierunku szerokich, dwustronnych schodów. Miały takie same proporcje, jak te na Wydziale Prawa w Krakowie. Gdy wchodziła na górę, próbowała przypomnieć sobie, jakie to uczucie być studentką, a nie matroną.

Przy recepcji Rita zapowiedziała się pielęgniарce, która była najwyraźniej zbyt zajęta, żeby na nią spojrzeć. Dopiero kiedy Rita powiedziała, że została umówiona na wizytę rano przez doktora Pankowa, pielęgniarka błyskawicznie podniosła wzrok.

— Mam panią natychmiast zaprowadzić do gabinetu pana doktora. — Wstała i poprowadziła ją szerokim korytarzem.

Marmurowa podłoga była otoczona z jednej strony drzwiami, a z drugiej wysokimi oknami, przez które w szerokich szklanych szybach zakrzywiała się rozległa panorama Lwowa. Pielęgniarka zatrzymała się przy drzwiach, zapukała i niezwłocznie weszła, zapowiadając panią doktorową Guildenstern.

Młodo wyglądający mężczyzna z ciągle lekko opaloną słońcem cerą, w ciemnym, dobrze dopasowanym garniturze i aksamitnej kamizelce, z ciemnymi włosami i czarnymi wąsami oczekiwał jej. Rita na chwilę straciła oddech, ale pielęgniarka nie zwróciła na to uwagi, przedstawiając go oficjalnie:

— Doktor Romero. Doktor Guillermo Romero.

— Dziękuję, siostró, na razie dziękuję — powiedział nieco zbyt pospiesznie, wstał i ująwszy pielęgniarkę za łokieć, szybko wyprowadził ją z gabinetu. Następnie odwrócił się i uśmiechnął.

— Guillermo Romero?

Zanim Rita zdołała powiedzieć cokolwiek więcej, położył palec na swoich zamkniętych ustach, wziął ją za rękę i poprowadził do drzwi, za którymi było pomieszczenie do przeprowadzania badań. Gil włączył światło i zamknął drzwi na zasuwkę. Ujął Ritę za ręce i spojrzał jej głęboko w oczy. I ona spojrzała mu w oczy, lśniąco teraz od łez nabrzmiewających w kącikach. Nagle oboje zaczęli płakać ze szczęścia. Gil pochylił się, by ją pocałować, a jej usta otworzyły się dokładnie w tym samym momencie. Trwali tak przez minutę, po czym Rita zaczęła kierować palcami Gila po guzikach i haftkach, które podtrzymywały jej niewygodne ubranie.

Spódnica spadła na ziemię, a bluzka została rozpięta. Oboje nie mogli już dłużej czekać, aż Gil zdejmie jej halkę, stanik, pończochy, podwiązki, bieliznę... Dłońmi powędrowała w kierunku rozporka i zwinnie rozpięła wszystkie guziki, gdy on rozpinał pasek. Kładąc się na stole do badań, Rita zdjęła majtki i podniosła dla niego halkę. Posiadł ją, albo dokładniej, jak później stwierdziła, to ona posiadała jego. Ich wspólne podniecenie wezbrało zbyt szybko, żeby można je było kontrolować albo powstrzymać. Zanim zdążył ją dobrze spenetrować, zawładnął nim orgazm, zostawiając ją wilgotną i niezaspokojoną.

— Przepraszam. Następnym razem będzie lepiej. — Gil odsunął się i zaczął poprawiać ubranie, podając jej wykrochmalony, płócienny szpitalny ręcznik.

Ciągle jeszcze trwała w ferworze podniecenia, kiedy pytania zaczęły zakłócać jej

doznania. Ubierając się, nie mogła zdecydować, które z nich zadać najpierw. Jak to się stało? Co Tadeusz tu robi? Jak udało mu się wrócić do Polski? Dlaczego właściwie wrócił? Dlaczego udawał Hiszpana? Kim był Guillermo Romero? Jeszcze zanim udało jej się sformułować choćby jedno pytanie, zaczęły docierać do niej zaczątki odpowiedzi. Jednak ona chciała znać szczegóły.

— Naprawdę jestem teraz Guillermo Romero, Rito. Tak się teraz nazywam, tak mam w dokumentach. I tak o sobie myślę. — Mówiąc to czuł, że mówi prawdę. — W Hiszpanii musiałem wszystko zmienić. Zanim wyjechałem, byłem już Guillermo Romero.

— Ale ja bywam co tydzień w księgarni twojej matki i ona ciągle mówi o Tadeuszu, który jest w Hiszpanii. Liczyłam na to, że wrócisz, kiedy Brygady Międzynarodowe zostały wycofane... Gdy zobaczyłam w gazecie zdjęcie francuskiego żandarma prowadzącego po piasku mężczyzn w płaszczach wojskowych, którzy nieśli jedynie zwinięte koce, przyglądałam się każdej twarzy, szukając ciebie. Potem twoja matka powiedziała mi, że wyjechałeś do Meksyku.

— Pisałem do niej, żeby się nie martwiła. W Barcelonie adresem zwrotnym zawsze było *poste restante*. Kiedy brygady się wycofały, musiałem coś wymyślić. Napisałem do niej z Marsylii, że wyjeżdżam do Meksyku, gdzie będę bezpieczny. Wielu republikanów tam wyjechało. Teraz już się tutaj dobrze urządziłem, ale nie wymyśliłem jeszcze, co jej powiedzieć. Martwi się o mnie?

— Jeszcze nie.

Jednak Gil był zbyt rozkojarzony, żeby myśleć o tym, jakie problemy może wywołać niepokój matki.

— Jak długo możesz zostać?

— Ostatni pociąg powrotny jest o dwudziestej pierwszej.

Gil spojrzął na zegarek i się uśmiechnął.

— Chodźmy na kolację.

— Dokąd? — zapytała Rita niepewnie.

— Nie w miejsce publiczne. Mieszkam tu niedaleko. Spotkajmy się za pięć minut przy wejściu do szpitala.



Godzinę później byli przynajmniej na tyle odprężeni, że mogli wreszcie zacząć naprawdę wymieniać się pieszczotami, wspomnieniami i wzajemnymi oczekiwaniami. Już gdy byli kilka ulic od szpitala, Gil wziął Ritę za rękę, a ona z ochotą mu na to pozwoliła. Kiedy przechodzili pod arkadą na dziedziniec sporego budynku, nie niepokoił ich dozorca. Wewnątrz, na kępkach trawy, wciąż leżały wysychające liście dużego dębu górującego nad dziedzińcem. Gil wyciągnął klucz z zapinanego na pasek płaszcza, wyglądem przypominającego wojskowy trenecz, i otworzył drzwi.

Już w środku ponownie włożył klucz do zamka i przekręcił go dwukrotnie, mówiąc tym samym: „Teraz jesteśmy naprawdę sami”. Rita była gotowa znów paść mu w ramiona, jednak Gil szedł już w kierunku małej kuchni, z dala od wejścia. Podążyła za nim przez otwarte drzwi.

— Najpierw zjemy, chociaż trochę.

Zajrzał do małej lodówki, a ona zauważyła, że w brytfannie widocznej pod spodem nie było prawie wcale wody. Lodówka była prawie tak samo zimna wewnątrz jak na zewnątrz. Ciągle jeszcze będąc w płaszczu, Gil sięgnął do środka i wyjął jajka, masło oraz butelkę białego wina. Widział, że trzęsła się z zimna, więc odłożył jedzenie. „Ważniejsze będzie najpierw rozpalić” — pomyślał. Wrócił przez korytarz do salonu, pochylił się nad małym kominkiem i zapalił zapałkę.

Usłyszała syk uciekającego gazu na chwilę przed tym, jak ciepłe żółte światło przeskoczyło na pręty paleniska. Zanim podniósł się znad ognia, Rita przejęła inicjatywę w kuchni. Im szybciej ich nakarmi, tym więcej zostanie im czasu. Kiedy ona była zajęta przygotowaniem jajek, Gil wyjął dwa talerze, napełnił dwa kieliszki winem, ukroił dwie kromki leżącego na lodówce chleba i umieścił pojemnik z masłem między stojącymi naprzeciwko siebie talerzami.

Zanim skończyli jeść, pomieszczenia zdążyły się już nagrzać. Kiedy mieli jeszcze w kieliszkach wino, Gil wyjął z marynarki paczkę papierosów i poczęstował Ritę. Po chwili namysłu powiedziała: „Później”. Wstali i przeszli do ogrzanego już salonu, oświetlonego tylko ogniem z kominka.

Rozbierali się powoli, obserwując się nawzajem. Gil chwycił leżącą na kanapie kołdrę z gęsiego pierza, rzucił ją na dywanik przed kominkiem i tam się położyli. Tym razem Gil był tak samo cierpliwy jak rok temu, kiedy kochał się z nią po raz pierwszy. „Ciekawe, z iloma kobietami spał?” — zastanawiała się Rita. Pytanie rozpląnęło się w poczuciu błogości, kiedy dotknął jej ud. Jego usta były teraz przy jej sutkach, ledwo je muskając, ale starannie przygotowując ją dla niego. Ricie przysłała do głowy kolejna myśl: „Czy to pokaz wiedzy lekarskiej na temat kobiecego ciała?”.

Tymczasem Gil na zmianę wchodził w nią, wsuwając się nieznacznie, i wycofywał się, żeby zbliżyć usta do aksamitnej przestrzeni między jej nogami, a potem przenosił się w górę, by ją pocałować, gdy znów w nią wchodził. Kiedy wreszcie rozpoczął swoje natarcie, chwycił jej prawą rękę i przeniósł ją na wznósek łonowy. Nie miała żadnych zahamowań i zrobiła to, co sugerował — zaczęła dynamicznie poruszać palcami.

Później, gdy już doszła do siebie, zapytała sama siebie, czy teraz, już po wszystkim, czuje się zawstydzona, zażenowana, czy czuje wstręt do cielesności, zwierzęcości albo wymiaru zaznanej przyjemności... Odpowiedź brzmiała: nie, nie, nigdy.

— Teraz poproszę tego papierosa.

Leżeli naprzeciwko siebie, z głowami opartymi na założonych rękach, napawając się przez chwilę aromatem tytoniu Virginia. Patrzyli na siebie wzrokiem nieodgadnionym, ale jednocześnie ze zrozumieniem, czując się komfortowo ze swoją nagością. Następnie, zagasiwszy papierosy, ponownie zaczęli się kochać.



Kiedy Rita zauważyła wielki, głośno teraz tykający zegar na kominku, było już ciemno. Za ciemno, żeby mogła zobaczyć wskazówki.

— Która godzina?

Gil spojrzał na nadgarstek.

— Dwudziesta piętnaście.

— Jak daleko jest do dworca?

— Całkiem blisko. — Wstał.

Szybko się ubrali, a potem wyszli z dziedzińca i zaczęli szukać w ciemnościach taksówki. Panowała cisza.

— Chodźmy. Może zdążymy. I tak musimy porozmawiać. — Gil poprowadził ją szybkim tempem w kierunku, z którego wcześniej przyszli.

— Jako twój ginekolog wymagam cotygodniowych wizyt w celu leczenia twojego problemu z niepłodnością.

Rita nie nadążała.

— Jakiego problemu?

— Nie ma żadnego. A wizyty raz w tygodniu to i tak za mało. Ale nie przychodzi mi do głowy nic innego, co pozwoliłoby mi widywać cię tu częściej.



Pociąg odjeżdżał. Rita wychyliła się przez okno przedziału.

— Będę czekał na twój pociąg w przyszły czwartek rano — krzyknął Gil.

Oboje zapamiętali tę datę: 16 marca 1939 roku.

**Część II**  
**Podczas**





## Rozdział 6

Dwa tygodnie później Urs zaczął się zastanawiać, dlaczego nie otrzymał żadnego rachunku od swego kolegi ze Lwowa, doktora Pankowa. Mógł sobie z łatwością wyobrazić, że Pankow rzeka się honorarium za pierwszą wizytę. Była to dosyć powszechna zawodowa uprzejmość. Jednak jeśli Pankow myślał, że oczekiwano od niego leczenia żony kolegi po fachu bez zapłaty za kilka wizyt, to bardzo się mylił. Postanowił odczekać jeszcze tydzień. Jeśli do tego czasu nie przyjdzie żaden rachunek, napisze do dobrego lekarza, podziękuję za uprzejmość i delikatnie zbeszta go za nieuzasadnioną hojność.

Leczenie z pewnością pomagało Ricie. Wracając ze Lwowa pełna rumieńców. Za pierwszym razem przywiozła historie podsłuchane w herbaciarni w George Hotel. Za drugim razem opowiadała o filmach, które nigdy nie dotarły do Karpatynia. Udawało jej się przywozić ciasta. Jeszcze lepsze były archiwalne numery czasopism medycznych, które znajdowała dla niego w szpitalu.

Musiał tylko pamiętać, żeby napisać do doktora Pankowa...



Późnego popołudnia w ostatni czwartek marca Gil wyrwał się z odrętwienia po odbytych stosunku i zapytał:

— Rito, co z nami będzie?

— Prawdopodobnie nie od nas to zależy — odpowiedziała bez zastanowienia.

Gil uniósł głowę z jej nagiego brzucha i spojrzał na nią.

— A od kogo, jeśli nie od nas?

— *Herr* Hitlera, jak sądzę. — Skrzywiła się. — Niebawem będziemy prowadzić z nim wojnę.

— Polska wojnę z Niemcami?

— Oczywiście. Jesteśmy jego następnym celem. Czy to nie jest oczywiste?

— Nie, nie. Nie rozumiesz sytuacji międzynarodowej.

Rita spodziewała się nadciągającego wykładu. Westchnęła. Nie zauważywszy tego, Gil zaczerpnął powietrza i zaczął:

— Brytyjczycy i Francuzi dali polskiemu rządowi solidne gwarancje. — Sięgnął po jej papierosa, zaciągnął się nim i oddał go. — Mamy ważniejsze rzeczy na głowie... Nas samych.

Rita była skłonna mu się sprzeciwić.

— Chciałabym, żebyś miał rację. Żebyśmy mieli ten luksus i mogli myśleć o *nas*. Ale nie sądzę, byśmy go mieli. Myślę, że Stalin da Hitlerowi w Europie wolną rękę. Jeśli Hitler przegra wojnę z Brytyjczykami i Francuzami, Stalin wypełni próżnię na terenie Niemiec. Natomiast jeśli Hitler zwycięży, to okaże się, że Stalin i tak nie był wystarczająco silny, żeby go pokonać.

— Hitler i Stalin w koalicji? To trockistowskie podejście, Rito. Skąd ty to bierzesz?

— Wkrótce dowiemy się, czy mam rację. Ale zakładając, że jednak mam, co byś wtedy zrobił?

— Podejrzewam, że poszedłbym walczyć za mój kraj.

— Twój kraj, Guillermo Romero? Hiszpanię? Ona już przegrała tę wojnę.

— Cóż, będę walczył w imię słusznej sprawy.

— Ale co, jeśli to, co „słuszne”, nie będzie miało nic wspólnego ze stroną, po której

będziesz musiał stanąć? Dla kogo masz walczyć: brytyjskich plutokratów, francuskiej burżuazji czy Stalina, który zniszczył własnych sojuszników w Hiszpanii? Poza tym od tygodni mi powtarzasz, że moralność jest tylko narzuceniem sił produkcji, czyż nie? Jak teraz możesz mówić o obronie tego, co słuszne? — Teraz była już lekko podirytowana.

— Pozwól, że wyjaśnię... Mówiąc „słuszne”, miałem na myśli tylko to, co pozwoli na zmniejszenie ludzkiego cierpienia. Jeśli naziści zwyciężą, będzie ono bezgraniczne. Spójrz tylko, co się dzieje z Żydami w Niemczech. Chyba powinniśmy bronić się przed sprowadzeniem tutaj tak wielkiego ludzkiego cierpienia.

Rita skinęła głową.

— Tak, ale nie dajmy się omamić myślom, że istnieje jakaś obiektywna słuszność moralna, która nami kieruje. Będziemy walczyć z siłami — Hitlera, Stalina, Franco — które niszczą miliony żyć, czyniąc je niemożliwymi do zniesienia. Będziemy to robić, bo nasze człowieczeństwo lub emocje nas do tego zmuszają. A nie przez jakieś abstrakcyjne pojęcie o tym, co jest moralnie słuszne. — Spojrzała na niego, nie uśmiechając się.

Gil musiał zdjąć ten zły urok. Dzień nie mógł się tak skończyć. Wstał z łóżka i wrócił chwilę później z pudełkiem w kształcie wielkiej puderniczki.

— Bez względu na to, co się z nami stanie, jest jedna rzecz, której nie chcielibyśmy, przynajmniej nie wspólnie: zostać rodzicami. Kupiłem ci więc to. — Wręczył jej pokrowiec z krążkiem macicznym.

Nawet nie otwierając, wiedziała od razu, co to.

— Nie mogę tego przyjąć. Gdyby Urs znalazł to w domu, to byłby koniec.

— A czy to byłaby tragedia? — Zanim zdążyła odpowiedzieć, Gil kontynuował: — Nie martw się, będę go dla ciebie tutaj przechowywał.



List przyszedł z pierwszą dostawą tego dnia, w czwartkowy poranek pod koniec kwietnia, godzinę po tym, jak Rita wyjechała na swoje leczenie do Lwowa.

*21 kwietnia 1939 roku*

*Dr Urs Guildenstern*

*ul. Ulm 14*

*Karpatyń, Stanisławów*

*Drogi Kolego!*

*Dziękuję za uprzejme skontaktowanie się ze mną 23 marca. Mam zaszczyt potwierdzić, że rzeczywiście zrezygnowałem z wynagrodzenia ze względu na pierwszą konsultację w sprawie Pani Doktorowej Rity Guildenstern.*

*Gdybym rozpoczął leczenie, przedstawiłbym stosowny rachunek. Jednak po wstępnej konsultacji wysłałem panią do mego kolegi, doktora Guillermo Romero, specjalisty ginekologa w położniczej części Szpitala Miejskiego.*

*Rozumiem, że Pani Doktorowa Guildenstern znajduje się teraz pod jego opieką. Wierzę, że kontaktował się z Panem w celu określenia rachunków za usługi.*

*Do Pańskich usług*

*dr Stanisław Pankow*

Urs przeczytał list raz, drugi, trzeci. Co to mogło oznaczać? Z pewnością nie dostał żadnego rachunku od tego doktora Romero. Rita również nie prosiła o pieniądze na opłacenie wizyt, a do tej pory zdążyła mieć już co najmniej trzy. Nie wspomniała nawet słowem o tym nowym doktorze Romero. Nie wymieniła nawet jego nazwiska, podtrzymując wrażenie, że wciąż leczy się u Pankowa. Nagle Ursowi zaczęło się robić gorąco. Poczul, że poci się pod koszulą. Krople potu spłynęły po jego rękach w kierunku usztywnionych francuskich mankietów. Zdjął płaszcz, rozpiął kamizelkę i usiadł za biurkiem. Teraz cały pocił się już niekontrolowanie. Poluźnił krawat i rozpiął kołnierzyk. Następnie odpiął go od koszuli. Wciąż czuł, że w jego ciele wzrasta temperatura. Przypomniawszy sobie, że taka sytuacja miała już wcześniej raz miejsce: tego poranka rok temu, następnego dnia po odwiedzinach Sommermanna, kiedy to wrócił z całonocnego wezwania, zastając otwarte mieszkanie i nagą Ritę pod kołdrą puchową.

Jedynym sposobem, żeby mógł zapanować teraz nad swoim ciałem, było wyjście na zimne kwietniowe powietrze. Podniósł kołnierzyk i krawat, zdjął płaszcz, kapelusz i szalik z wieszaka. Przechodząc obok siedzącej w poczekalni matki z dzieckiem, powiedział na głos:

— Przepraszam. Mam nagłe wezwanie. Proszę przyjść jutro.

Na świeżym powietrzu nieco ochłonął. Dopinając płaszcz, ruszył w kierunku dworca kolejowego.

Popołudniowy pociąg do Lwowa włókł się wyjątkowo wolno. Zatrzymywał się w każdym napotkanym miasteczku, żeby rozładować dzisiejsze mleko. Miał tylko jeden wagon pasażerski. Siedząc tam, na widoku innych pasażerów, doktor Guildenstern musiał nad sobą panować. Gdy tak rozmyślał, jego podejrzenia wobec Rity się nie oddalały. Jego gniew łączył się ze zniechęceniem, a potem oba te uczucia wyparł wstyd.

O piętnastej stał już przy recepcji kobiecego oddziału Szpitala Miejskiego, pokazując swoją wizytówkę i pytając o doktora Romero.

— Przepraszam pana. W czwartki go nie ma. Ma dzień wolny. Nie przyjmuje dzisiaj pacjentów. Zechce pan wrócić jutro?

Podejrzenia przybrały na sile.

— Nie. To pilna sprawa zawodowa. — Kłamstwo przyszło Ursowi łatwo. — Może mi pani podać jego adres domowy?

— To bardzo nieprzepisowe.

Urs ponownie wręczył jej swoją wizytówkę.

— Siostrzo, jestem lekarzem. Rozumiem. Nie pytałbym, gdyby to nie było pilne...

Znów się pocił. Pielęgniarka zdawała się to zauważać. Złapała za pióro, zamoczyła je w kałamarzu i zaczęła pisać starannie swoją szpitalną ręką. Po czym podała mu karteczkę papieru.

— Mieszka na ulicy Iwana Gonty, między szpitalem a dworcem, na parterze.

Spojrzał na kartkę, wymamrotał „dziękuję” i odszedł. Gdy wracał szerokim korytarzem na klatkę schodową, zaświtało mu w głowie, że jeśli jego najgorsze przeczucia są prawdziwe, nie będzie potrafił zmierzyć się ani z nimi, ani z upokorzeniem, które będzie im towarzyszyło. Jednak ta myśl nie miała wpływu na to, w którym kierunku podążył po wyjściu z budynku, wracając wzdłuż Wałów Hetmańskich. Kiedy dotarł na ulicę Iwana Gonty, skręcił w prawo i po kilku chwilach znalazł się pod adresem, który otrzymał. Była szesnasta, a niebo było tego popołudnia zachmurzone. Jednak w żadnym z wychodzących na ulicę okien nie dostrzegł zapalonego światła, nawet kiedy obszedł wokół cały okazały budynek. Następnie odważył się przejść pod sklepieniem na dziedziniec i zobaczył duży dąb w samym jego środku. Światło dostrzegł tylko po jednej stronie. Znalazł na dziedzińcu takie miejsce, żeby dąb osłaniał go od grupy wielodzielnych, świecących w mroku okien. Zaczął żałować, że nie pali ani nie nosi ze sobą piersiówki dla rozgrzania i dodania pijackiej odwagi. Ale od alkoholu chorował, a od papierosów miał kaszel.

Był w stanie tylko stać tam i liczyć na to, że nie ma racji. Wyobrażał sobie, że ten doktor Romero otwiera drzwi, jest sam i wychodzi do restauracji. Starał się przedstawić sobie to wyobrażenie szczegółowo... Urs patrzyłby, jak mężczyzna zamyka drzwi, odetchnąłby z ulgą, odczekał jakąś minutę i ruszył w kierunku dworca, wciąż jeszcze zmieszany, ale odczuwający ulgę.

Następnie wyobraził sobie najgorszy rozwój wypadków: zobaczył siebie tłukącego w drzwi, wbiegającego do środka i znajdującego ich śmiejących się, nagich, odprężonych i zupełnie bezwstydnym, a nawet rozbawionych jego oburzeniem.

W tym momencie Urs zaczął szlochać. Próbował ponownie przywołać niewinny scenariusz — ten, który może go co najwyżej wprawić w zakłopotanie. Ale nie potrafił. *Chłopie, weź się w garść! Dlaczego właściwie płaczesz? Mógłby żyć bez niej, gdyby musiał.* Gdyby go zostawiła, jego życie wróciłoby do tego stanu, w którym było, zanim się poznali — byłoby nudne, ale spokojne. Z tym mógłby się pogodzić. Ale wcale nie tak wyglądałoby jego życie. Cokolwiek by zrobił, gdziekolwiek pojechał, towarzyszyłyby mu lub prześladowały go szepty kobiet, szyderstwa mężczyzn, podśmiewanie się dzieci. Tego by nie zniósł. Czułby ich *schadenfreude*: „Biedna pani doktorowa Guildenstern... Żona go zostawiła”. Ich kpiny: „To żadna niespodzianka, nic dziwnego”. Byłoby tak, jak gdyby całe miasto zobaczyło, kiedy oddaje publicznie mocz. Nie mógłby spojrzeć w twarz matce ani ojcu. Podzielając jego wstyd, musieliby chodzić alejkami miasta z oczami wbitymi w chodnik. Wrócił myślami do Rity. Mógłby żyć z nią, mimo iż go nie kocha, nigdy nie kochała. Poradziłby sobie z tym prywatnym rozczarowaniem, umartwianiem się. Ale nie poradziłby sobie z publicznym upokorzeniem. Mógłby równie dobrze umrzeć. Teraz szloch następował falami, raz za razem.

Właśnie wtedy zobaczył w oknie zakładającą sukienkę Ritę oraz stojącego za nią mężczyznę, zapinającego jej sukienkę wzdłuż pleców. Mężczyzna minął Ritę i podszedł do okna. Rozpoznał tę twarz. Zajęło mu to chwilę. To Tadeusz Sommermann.

Urs chwiejnym krokiem wyszedł z dziedzińca. Wyszedł spod sklepienia i przez lzy płynące mu teraz po policzkach zobaczył taksówkę. Wsiadł do niej i rozkazał:

— Proszę zawieźć mnie nad rzekę.

— Proszę pana, we Lwowie nie ma już żadnej rzeki. Zajęli ją na rynsztok, kiedy byłem mały.

Taksówkarz się zaśmiał, ale Urs przestał go słuchać.

— Jest tu jakieś jezioro, zbiornik wodny? Proszę mnie zawieźć.

— Tak, proszę pana. Staw Janowski. Jest spory, ale to trzydzieści kilometrów za miastem i droga jest dosyć trudna.

Taksówkarz nie zauważył, jak zrozpaczony był jego pasażer.

— Zawieź mnie pan tam. Natychmiast. — Urs oparł się na siedzeniu i zamknął oczy.



Około siedemnastej trzydzieści Gil i Rita wrócili z herbaty. Wciąż jeszcze mieli trochę czasu dla siebie przed jej pociągiem o dwudziestej pierwszej. Mając w perspektywie kolejny tydzień spędzony osobno, oboje wiedzieli, że to ospałe popołudnie ich nie zaspokoilo.

Pod strzelistym wejściem do budynku czekał szpitalny portier, którego Gil rozpoznał. Mężczyźnie wyraźnie ulżyło, kiedy zobaczył Gila. Zbliżając się do niego, przyjął coś w rodzaju pokornej pozy i powiedział:

— Panie doktorze, jest dla pana wiadomość ze szpitala. Mam tu poczekać, w razie gdyby chciał pan odpowiedzieć.

Gil wziął kopertę, otworzył ją, przeczytał liścik i podał go Ricie.

*Panie doktorze Romero,*

*na izbę przyjęć został przywieziony lekarz. Nazywa się Guildenstern. W jego rzeczach znaleziono Pański adres. Policja też tutaj jest ze względu na próbę samobójstwa. Sanitariusz otrzymał instrukcję: czekać na wiadomość od Pana.*

Wiadomość podpisał znany Gilowi lekarz z izby przyjęć. Rita wstrzymała oddech. Gil obrócił się do portiera.

— Chodźmy.

Cała trójka ruszyła szybko w kierunku szpitala.

Przed wejściem na izbę przyjęć stali mężczyzna noszący tradycyjną czapeczkę i plakietkę lwowskich taksówkarzy, policjant oraz młody mężczyzna ubrany w kitel. Gil od razu podszedł do nich. Rita dołączyła do niego. Zwrócił się do lekarza:

— Gerecki, co się stało?

— To lekarz spoza miasta. Próbował się utopić. Miał szczęście, że obecny tu taksówkarz zachował przytomność umysłu i go wyłowił.

Gil i Rita odwrócili się do kierowcy. Teraz zauważyli, że jego ubranie miało mokre plamy, a od pasa w dół było całkiem przemoczone. Bez dodatkowej zachęty i z ochotą taksówkarz powtórzył opowieść, którą przedstawiał już dwukrotnie:

— Facet poprosił o zawieszenie go aż do zbiornika wodnego — Stawu Janowskiego. Zapłacił mi, gdy tylko dojechaliśmy na miejsce, i powiedział, że nie będę musiał odwozić go z powrotem. No cóż, robiło się już ciemno, a tam nigdy nie ma nikogo o tej porze roku. Pomyślałem, że dziwnie się zachowuje, więc odjechałem kilkaset metrów, wyłączyłem światła, zawróciłem i obserwowałem go. Zaczął chodzić wzdłuż brzegu, zbierając największe kamienie, jakie mógł znaleźć, i wkładając je do kieszeni: płaszcz, marynarki, spodni i kamizelki, aż się napinały. Nie zwracał nawet uwagi na to, czy rwały mu się przy tym ubrania. Nie trzeba być lekarzem, proszę mi wybaczyć, żeby się zorientować, co zamierzał zrobić. Więc zapaliłem silnik

i podjechałem tak blisko, jak tylko mogłem. Zanim dotarłem do brzegu, był już po szyję w wodzie.

— Dziękuję za ocalenie mojego męża. — Rita usłyszała sama siebie.

Policjant spojrział na nią.

— Czy pani mąż umie pływać?

Rita zauważyła formę użytego czasownika.

— Wszystko z nim w porządku?

— Jego życiu nie zagraża już niebezpieczeństwo — odpowiedział lekarz.

— Nie, nie umie pływać, panie władzo. — Odwróciwszy się z powrotem do lekarza, zapytała: — Mogę go zobaczyć?

— Proszę za mną. — Lekarz odwrócił się i Rita ruszyła za nim.

— Panie władzo. — Gil odchrząknął. — Będę ręczył za kolegę. Nie musi pan zawracać sobie tym głowy. Dziękuję. — Próbował wykorzystać swój autorytet. Najwyraźniej podziało.

— Dobrze, proszę pana. Przypuszczam, że nie ma co tego roztrząsać. — Policjant stuknął obcasami, ukłonił się nieznacznie i odszedł.

Musiał tylko jeszcze zająć się taksówkarzem.

— Ile pasażer jest winien?

— Zapłacił za podróż tam, ale jest jeszcze kurs powrotny.

— Ile? — Gil sięgnął po pieniądze i dorzucił kilka złotych. — Za fatygę i mokre ubrania.



Zapadł zmrok i włączyła się latarnia, biała kula okrążona fioletową luną. Gil widział swój oddech, gdy stał pod nią, czekając i paląc.

Rita spędziła w pokoju szpitalnym Ursa ponad godzinę. W końcu pojawiła się i zobaczywszy Gila, podeszła do niego.

— Wszystko skończone.

Tyle już do niego dotarło. Gdyby wróciła w ciągu pięciu minut, wiedziałby, że zostaną razem. Im dłużej czekał, tym słabsza była jego nadzieja. Na długo przed upłynięciem godziny zaczął się już przygotowywać na koniec ich idylli.

— Jutro rano wracam z nim do Karpatynia — powiedziała. Przygryzła dolną wargę, żeby przestała się trząść. Gdy znów zaczęła nad sobą panować, kontynuowała: — Jest w pełni władz umysłowych. Powiedział, że znajdzie sposób, żeby to skończyć... Z zimną krwią, bez brawury... — Gil nic nie powiedział. Rita mówiła dalej: — Nie mogłabym żyć z tą świadomością. Powiedziałam mu, że z nim wracam.

— Więc dla niego jesteś ty albo nie ma nic? Nie umiem wyobrazić sobie Ursa napędzanego miłością.

— Obawiam się, że to nie miłość, ale wstyd. Mówił głównie o tym, co ludzie powiedzą albo pomyślą. Jego rodzice, pacjenci, całe miasto. Kiedy powiedziałam, że z nim pojedę, to jakby wieko trumny zostało zdjęte. Wrócił do życia.

Teraz Gil wiedział, z czym ma do czynienia. Jego kontra była gotowa.

— A więc nie ciebie kocha. To *amour-propre* prawie go zabiła. Czy to jest powód, żeby z nim wracać? Czy to dla jego samooceny mam... mamy poświęcać nasze szczęście? Nie powiem, że obchodzi mnie, jak lekarz z miasta targowego radzi sobie ze swoim nieszczęściem, nawet jeśli dorastałem w tym samym targowym miasteczku. Już tam nie mieszkam. Ty także nie musisz. — Słowa wybrzmiały. Gil czekał chwilę, oceniając, jaki wywołają efekt. Najwyraźniej Rita nie była gotowa odpowiedzieć. Może odciągały ją od podjętej decyzji. Gil kontynuował: — A co z tobą?

Co ty mu tak naprawdę zawdzięczasz? Nie masz prawa do życia? Dlaczego on może niszczyć twoje szczęście, grożąc rzuceniem się do stawu? Rito, musimy skończyć z tą drobnomieszczańską moralnością.

Rita w końcu mu przerwała. Jej słowa brzmiały niemal pogardliwie:

— Prześnij mnie pouczać. Posłuchaj sam siebie. To, co mówisz, jest zwykłą hipokryzją, egoizmem zamaskowanym przez moralistyczną filozofię. — Zanim zdążył odpowiedzieć, zaczęła mówić dalej, już nieco spokojniej: — Pamiętasz, co niedawno powiedziałeś? Słuszne postępowanie to po prostu minimalizowanie ludzkiego cierpienia. Zatem to właśnie zamierzam zrobić.

— A co z moim cierpieniem? Albo twoim? Nas jest dwoje. On jest tylko jeden.

— Nie rozumiesz. Nie kładę na jednej szali jego cierpienia, a na drugiej naszego szczęścia, by potem patrzeć, które z nich przeważą. To prawie to samo, co mieszczańska moralność.

— Więc dlaczego zamierzasz nam to zrobić? — W jego głosie dało się teraz słyszeć rezygnację. Wyjął paczkę papierosów, otworzył ją, wziął dwa do ust, zapalił je i podał jeden Ricie. Chciał, żeby ten zapach już zawsze przypominał im to popołudnie, które właśnie spędzili razem.

Rita zaciągnęła się i dym wyleciał jej nosem dwiema smugami. Gil stał na tyle blisko, by widzieć drobinki pyłu w świetle latarni.

— Robię nam to, bo nie mogę zrobić nic innego. Nie będę udawać, że to poświęcenie, przyzwoitość, poczucie obowiązku lub słuszna decyzja według kogokolwiek. Mogłabym żyć ze świadomością jego cierpienia. Ale nie z jego śmiercią. Do końca życia próbowałabym pozbyć się poczucia winy. Nic nie sprawiałoby mi radości... — Spojrzała na niego i sięgnęła do klapy płaszcza, lekko się uśmiechając. — Nie byłabym w stanie czerpać przyjemności z niczego, z tą prześladującą mnie na zawsze myślą. — Postanowiła, że musi mu to zobrazować. — O widoku Ursa wiszącego gdzieś na pętli, wkładającego luźny pistolet do ust, rzucającego się pod ekspres, biorącego za dużą dawkę Seconalu. Nie zniosłabym tego. Koniec kropka. — Jej dłoń ześlizgnęła się z jego płaszcza.



Następnego ranka Rita zawiozła Ursa do domu. Jego ubranie było czyste i uprasowane. Miał nowy kołnierzyk i mankiety. Krawat miał prosty i przypięty perłową spinką tuż nad kamizelką. Nie mógł wyglądać bardziej elegancko. Jechali pociągiem, rozmawiając o błahych sprawach, jak gdyby nic się nie stało. Urs był spokojny, Ricie ulżyło. Naprawdę. Przynajmniej mogła żyć sama ze sobą.



Pięć miesięcy później, późnym latem 1939 roku, zorientowała się, że w końcu zaszła w ciążę. Dziecko miało urodzić się na początku 1940 roku. Była zupełnie spokojna, kiedy powiedziała mu o tym i patrzyła, jak w myślach liczy miesiące, cofając się do czerwca, po czym się uśmiecha. Dziecko było jego.

## Rozdział 7

To było jak seria uderzeń w głowę, tak szybkich i mocnych, że po żadnym z nich nie było czasu, żeby dojsć do siebie przed następnym. Najpierw był pakt Ribbentrop-Mołotow o nieagresji. Czyżby radzieccy komuniści mieli wspólny cel z nazistami? Prawie natychmiast po tym Niemcy przekreślili Polskę. Zrobili to tak nagle, że kronika filmowa nie zdążyła nawet przeprowadzić relacji z kampanii. „Gdzie — zastanawiali się wszyscy — gdzie są Francuzi i Brytyjczycy?”. Dwa tygodnie później ze wschodu wkroczyła do Polski armia radziecka. Niemcy wycofali się nawet z tych części, które już opanowali, zostawiając tym samym Rosjanom prawie pół kraju.



Rita urodziła trzy miesiące po wtargnięciu Sowietów. Postanowili dać chłopcu na imię Stefan. Jednak nie mogła pokazać dziecka swoim rodzicom. Oddzielała ich teraz granica. Była to granica między zachodnią częścią Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej a okupowaną przez Niemców Polską. Na szczęście poczty ciągle działały i Rita była w stanie przesłać im zdjęcia.



Opuszczając szpital z dzieckiem na rękach, Rita wkraczała w zupełnie inny świat. Urs wręczył jej nowy dowód tożsamości. Nie była już Polką. Od tej chwili stała się Ukrainką, Sowietką, żoną dyrektora rządowej, publicznie dostępnej polikliniki. Przywilej Ursa, jakim było prowadzenie praktyki medycznej, zamienił się w prawo, a właściwie w obowiązek pełniony dla przyszłości socjalizmu. Porządek społeczny został wywrócony do góry nogami. Początkowo przyjął formę czegoś w rodzaju merytokracji. Rosjanie wymagali, żeby wszystko funkcjonowało, jak należy. Do tego trzeba było umieć liczyć, czytać, znać obsługę tokarki lub centrali telefonicznej. Jeśli ktoś posiadał takie umiejętności, był potrzebny i nagradzany. Rita wiedziała, że Związek Radziecki jest potężny, ale nieco zacofany. Życie miało stać się trudniejsze, ale niekoniecznie gorsze niż dotąd, a pod pewnymi względami może nawet lepsze.

Bezwarunkowy optymizm Ursa wobec nowego systemu czasami ją drażnił. Pokłócili się o to tylko raz.

— Chcą, żebym wstąpił do partii — powiedział z dumą pewnego lutowego dnia po powrocie ze szpitala.

— Ale nie zrobisz tego? — Słowa zabrzmiały jednocześnie jak pytanie i sprzeciw.

— Dlaczego nie? — Wyprostował się. — Jestem dyrektorem placówki rządowej. Nie zaufają mi całkowicie, jeśli nie będę należał do partii. Jako jej członek będę mógł zdobywać potrzebny szpitalowi sprzęt. To mój obowiązek wobec pacjentów.

— Urs, pomyśl. Gdy tylko wstąpisz do partii, będziesz musiał spełniać zachcianki wszystkich, którzy są nad tobą. I staniesz się ich kozłem ofiarnym, kiedy tylko pojawi się potrzeba ukrycia porażki.

— Co masz na myśli? — Pytanie było szczere.

Czy to możliwe, że Urs nie słuchał radia i nie czytał gazet przez ostatnie pięć lat? Oczywiście, Rita zdała sobie nagle sprawę z tego, że ta myśl nie była przesadzona. Medycyna była jedyną rzeczą, którą się zajmował przez cały ten czas.



— Pamiętasz czystki w Moskwie sprzed roku czy dwóch? Wiesz, o czym mówię? Czym były stalinowskie procesy pokazowe?

— To była sprawa trockistowskich szkodników i niemieckich agentów.

— Urs, to byli starzy, lojalni bolszewicy. To sprawka rządu, który zawarł pakt z Hitlerem w sprawie podbojów i podziałów. Nie możesz splamić sobie rąk ich krwią.

Na tym stanęło. Rita poczuła ulgę. Istniał jeszcze jeden argument, który mogła podać — coś, czego dowiedziała się dzień wcześniej — ale nie chciała go zranić.



Spacerując pewnego dnia z wózkiem, znalazła się kilka ulic od rynku, w miejscu, w którym znajdowała się księgarnia „U Jastrzębia”. Unikała jej od szesnastu miesięcy, odkąd wrócili z Ursem ze Lwowa. Pragnienie, aby zapytać o Gila, byłoby silniejsze od niej. A pokusa, aby opowiedzieć o jego losie, byłaby nie do pokonania. Nie miała pojęcia, czy syn, żyjący zaledwie sto kilometrów stąd, wyjawiał rodzicom kiedykolwiek miejsce swojego pobytu. Tęskniła za przeczesywaniem półek z książkami, korzystaniem z wypożyczalni i przeglądaniem lśniących czasopism, ale nie mogła sobie pozwolić na chodzenie do księgarni. Powtarzała sobie, że ze względu na dziecko i tak nie miała już czasu na czytanie.

Teraz, po raz pierwszy od ponad roku, znalazła się przed księgarnią. Szyld, który wisiał nad drzwiami, zniknął, a dwie przednie witryny zostały wybite. Drzwi wisiały krzywo, trzymając się na jednym tylko zawiasie. Zajrzawszy do środka, zobaczyła puste, popodpierane półki oraz połamane meble. Nagle usłyszała odgłosy dobiegające z tyłu budynku. Prowadząc wózek wzdłuż jednej ze ścian, zobaczyła ulicznika łamiącego deski pochodzące z czegoś, co służyło jako szopa na węgiel. Przestał na chwilę, spodziewając się upomnienia ze strony wytwornej pani z wózkiem. Jednak Rita milczała, więc odezwał się jako pierwszy.

— Moja rodzina marznie. Nie byłoby nas stać na węgiel, nawet gdyby dało się go kupić.

Rita kiwnęła głową, jak gdyby chciała powiedzieć: nie przeszkadzaj sobie. Po czym spojrzała na tylne drzwi domu.

— Wiesz może, gdzie oni są?

— Tydzień temu pojawiła się tu rosyjska policja. Wyglądałem tego ranka przez okno. — Wskazał wzrokiem mały domek stojący po drugiej stronie ulicy. — Podjechali dużym czarnym, niepolskim, autem. Inaczej poznałbym markę. Zabrali obydwój. Później zajęli się sklepem. Palili leżące na zapleczu gazety. Zabrali wszystkie książki. — Przerwał na chwilę, po czym coś sobie przypomniał. — Mój ojciec powiedział, że to są... — Przez chwilę szukał słowa i w końcu dodał: — *Czekiści*.

W jednej chwili Rita wszystko zrozumiała. To musiało być NKWD, Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych, służby bezpieczeństwa. Prawdopodobnie nawet przebywanie w tej okolicy nie było bezpieczne, chyba że robiło się coś niewinnego, takiego jak kradzież drewna.

Nie miała jednak zamiaru mówić Ursowi o niczym, co mogłoby mu przypomnieć postać Tadeusza Sommermanna. Nawet gdyby miała dzięki temu ostrzec go przed wstąpieniem do partii.



Rzeczywistość stopniowo ulegała zmianie. Polskie artykuły zniknęły ze sklepów. Zastąpiły je radzieckie, gorszej jakości, ale tańsze. Ludzie nauczyli się stać w kolejkach. Jednak targ zdolał przetrwać i nawet teściowa Rity zmieniła zdanie na temat robienia tam zakupów. Bardzo szybko w Karpacynie zaroilo się od uchodźców, ofiar nazistowskiej okupacji. Wzmógł się

popyt spowodował podwyżki cen. Na tamtą chwilę polski złoty wciąż był jeszcze w obiegu. Dla Rity nie miało to większego znaczenia, ponieważ Urs otrzymywał wypłaty w rublach.

Żadna z tych rzeczy nie była dla niej istotna. Liczyło się tylko dziecko. Nie podejrzewała, że aż taki wpływ będzie na nią miało bezbronne i nieme dziecko, którego potrzeby i zachcianki trzeba było nieustannie odgadywać. Nie było lepsze ani gorsze od innych dzieci, ale było jej własne i to wystarczyło, żeby odsunąć na bok wszystkie jej udręki oraz rozczarowania. Rita nie mogła się nadziwić, że miłość do dziecka wyparła inne zaprzatające jej głowę myśli, że wymazała wszystkie jej żale, łącznie z tym żalem, który miał związek z Gilem i ich zakończonym romansiem. Gdy teraz o tym myślała, to zastanawiała się tylko jak go nazwać — flirtem, chwilą słabości, krótką, czysto cielesną przygodą? Na pewno nie był to początek prawdziwego uczucia, a jedynie coś ukróconego przez dojrzałą krytykę, opanowany umysł, rozważę, lojalność i poczucie winy...



Po niespełna roku Stefan zaczął chodzić. Miesiąc później już gaworzył, a jego babcia zwróciła uwagę Rity, że zaczyna mówić. Jak niemądrze z jej strony, że nie zauważyła tego pierwsza!

W miarę jak Stefan rósł, stawał się coraz bardziej podobny do ojca — miał ciemne, kręcone włosy, bruzdę na brodzie — mniejszą niż Urs — oraz wąski nos. Patrząc na Stefana, nikt nie wątpił, że to syn Ursa. Biorąc pod uwagę to, jak długo potrafił bawić się sam, odziedziczył po nim także powagę i spokój. Urs zaczął się zastanawiać, kiedy będzie mógł nauczyć chłopca grać w szachy.

W czerwcu Stefan miał już rok i pięć miesięcy. Utrzymanie go w wózku stało się praktycznie niemożliwe. W sobotę przed południem, 21 czerwca, kiedy Stefan chodził między Ritą i jej teściową przy brzegu Dniestru, nagle zauważyli około tuzina dwusilnikowych radzieckich samolotów, lecących nisko w kierunku zachodnim. Nie co dzień widywało się samoloty wojskowe lecące w stronę okupowanej przez Niemcy Polski. Pół godziny później, gdy zbliżali się do rynku, zobaczyli naczelnika miejscowego NKWD oraz jego trzech podwładnych, wsiadających do samochodu wojskowego i odjeżdżających w pośpiechu.

O trzynastej Ritę i Stefana zaskoczył widok stojącego w drzwiach Ursa. Zwykle jadał drugie śniadanie w szpitalnej stołówce. Poza tym sobota była dla niego najbardziej pracowitym dniem. Większość ludzi nie mogłaby sobie pozwolić na dzień wolny od pracy. Po odgłosie kroków Stefan rozpoznał, że ojciec wchodzi z korytarza do mieszkania.

— Tatuś! — Słysząc było zachwyt w jego głosie.

Urs wszedł prosto do kuchni i spojrzał na Ritę.

— Nic nie wiesz? — Rita pokręciła głową. — Włącz radio.

— Minie chwila, zanim zaczniesz działać — odpowiedziała Rita. — Powiedz mi, co się stało.

— Około czwartej rano Niemcy zaatakowali wzdłuż całej granicy.

— Jak długo im zajmie dotarcie tutaj? — Powstrzymała się przed wzięciem dziecka na rękę.

— Tym razem nie napadli na Polaków czy Francuzów. Armia Czerwona bez wątpienia ich zatrzyma.

— Przy pomocy takich samych żołnierzy, jakich widzieliśmy w Karpacynie? — powiedziała Rita prześmiewczo. — Tych, którzy mają wokół stóp filc zamiast butów, zebranych o jedzenie, podczas gdy ich oficerowie upijają się polską wódką? — Złapała oddech. — Armia,

która dysponuje jednym karabinem na dwóch ludzi? — Nie był w stanie jej przerwać. — Ta sama, której nie udało się pokonać Finów w trzydziestym dziewiątym? — Jej głos był surowy. — Kiedy Niemcy tu będą?

Urs wzruszył ramionami. Rita rozejrzała się dokoła, zaczynając się zastanawiać, co powinni ze sobą zabrać.

— Możemy się ewakuować?

— Postaram się dowiedzieć. — Urs wstał. — Sprawdzę, co wiedzą w urzędzie miasta. — Chwilę później schodził już po schodach.

Radio zaczęło już działać bez zakłóceń. Rita przekreśliła pokrętko strojenia. Nic. Zła pora na transmisję? Dużo bardziej prawdopodobne jest to, że we lwowskich stacjach nikogo już nie ma.

Wyjrzała przez okno. Na ulicy było spokojnie. Nieliczni ludzie zajęci byli swoimi sprawami. Mogła jedynie czekać na powrót Ursa. Zresztą, dlaczego miałyby od razu zakładać najgorsze? Jej rodzice żyli na terenie okupowanym przez Niemcy już prawie dwa lata. Cierpieli z powodu niedoborów jedzenia i restrykcji zawsze dotyczących tych, którzy przegrali wojnę. Jednak żaden przejaw nazistowskiej przemocy jeszcze ich nie spotkał. Właściwie to w Gorlicach, małym miasteczku, gdzie mieszkali, rzadko nawet widywano niemieckich żołnierzy. Być może wszystkie wiadomości, które miała z kroniki filmowej i żydowskiej prasy, nawet te dotyczące *Kristallnacht*, były wyolbrzymione lub nieprawdziwe. A nawet jeśli nie, to większość Żydów przeżyła. Dlaczego tutaj miałyby być inaczej? Nie było powodów do paniki. Powtarzanie sobie tego nie zdołało jednak stłumić uczucia pustki w żołądku, ucisku na skroniach ani zaburzenia równowagi, jakie jej towarzyszyło, gdy wstała i podeszła do Stefana, który ciągle w skupieniu układał klocki na podłodze wzdłuż ściany pokoju.

Udało jej się usnąć Stefana, zanim wrócił Urs, mozolnym krokiem wspinający się po schodach na półpiętro, ewidentnie wyczerpany skokiem adrenaliny. Wszedł do kuchni i opadł na krzesło. Rita przestrzegła go, kładąc palec na ustach i wskazując na pokój dziecięcy. Urs zaczął mówić szeptem:

— W ratuszu panuje chaos. Niewiele lepiej jest w głównej siedzibie okręgu wojskowego. Ale skoro NKWD już nie ma, ludzie są nareszcie gotowi mówić. — Zamilkł i przez chwilę się zastanawiał, co powiedzieć jej najpierw. — Otóż, po pierwsze, wygląda na to, że główne natarcie nie jest skierowane w tę stronę. Dzisiaj po południu garnizon stacjonujący w okolicy został wezwany na północ. Jutro już ich tu nie będzie. Partyjnym urzędnikom kazano udać się na wschód. A wszystkie lokalne służby zostały zmilitaryzowane — policja, straż pożarna, każdy, kto może przydać się wojsku. Do tego zaliczają się też lekarze, pielęgniarki i pozostali pracownicy polikliniki.

— A ty?

— Otrzymałem rozkaz dzisiaj po południu. — Podniósł do góry złożoną kartkę papieru przebitkowego. Rita zabrała ją, rozłożyła i szybko przeczytała rozmytą kopię maszynopisu, na której widniały dwa zdania:

*Do doktora Ursa Guildensterna: rozkazuje się zgłosić nie później niż w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin od otrzymania tej wiadomości do poboru wojskowego na dworcu głównym w Karpatyniu. Do czasu aktywacji wojskowej jesteście zobowiązani do zachowania porządku w waszej placówce oraz zabezpieczenia zapasów na użytek wojskowy.*

Pod nagryzmołoną kopią nieczytelnego podpisu widniały słowa:  
*Z rozkazu okręgu wojskowego zachodniej Ukrainy.*

Spojrzała na niego. Czytając jej w myślach, Urs powiedział:

— Nie martw się. Nie będę musiał nigdzie jechać. Nie uda im się wprowadzić w życie rozkazów w tym zamieszaniu. Nie mogą nawet mieć pewności, że w ogóle dostałem ten rozkaz. Poczekajmy jeden dzień.

W niedzielę rano dalej nie wyjaśniło się, czy Urs będzie musiał posłuchać rozkazu i dać się zmobilizować. Przez cały dzień zastanawiali nad alternatywami, rozważając wielokrotnie każdą możliwą opcję. Wieczorem okazało się, że wszystkie drogi argumentacji doprowadziły ich do tego samego wniosku: musiał jechać. Co dodatkowo potwierdzały wciąż spływające nowe informacje.

Rita jako pierwsza powiedziała na głos to, co było nieuniknione:

— Musisz jechać. Musisz posłuchać tego rozkazu mobilizacyjnego. To może być twoja jedyna szansa. Nie możesz zostać w szpitalu. Niemcy zrobią tu dokładnie to samo, co na zachodzie: najpierw zastrzelą wszystkich lekarzy, prawników, wszystkich wykształconych ludzi, których uda im się znaleźć. Stefan i ja również będziemy w niebezpieczeństwie.

Urs się nie sprzeciwiał, a ona nie mówiła otwarcie, o czym tak naprawdę myślała. Powiedzenie tego wprost byłoby okrutne, ale jeśli Urs wyjedzie, nie będzie musiała już zajmować się kimś, kto jest na tyle słaby, że nie mógł się nawet pogodzić z nieudanym małżeństwem. Jej i dziecku będzie znacznie lepiej bez niego. Wkomponują się w przepelnioną uchodźcami populację miasta.

W poniedziałek rano szpital został otwarty jak zwykle. Personel był do dyspozycji i całkowicie oddawał się pracy. Wszyscy z wyjątkiem trzech ukraińskich sanitariuszy. Zniknęli. Podobnie jak ukraińscy pacjenci.

Tego popołudnia Rita wymieniła sztuczną biżuterię, kameę, świeczniki, trochę koronki i onyksową szkatułkę na dziesięć kilogramów mąki, trzy kilogramy cukru i pojemniki z sodą i proszkiem do pieczenia, a także kostki mocnego mydła do prania. Wieczorem pomogła Ursowi się spakować. Robiąc to, zastanawiała się, co czuje. Czy to była słuszna decyzja? Kiedy kładła rzeczy na łóżku i wybierała te, które powinien zabrać, tylko umacniała się w swoim postanowieniu.

We wtorek obudzili się, nie mając już wątpliwości, że będzie musiał wyjechać. To była jedyna rzecz, którą Urs mógł zrobić, żeby stłumić wzbierającą w jego umyśle ulgę — to uczucie, którego okrutnie się wstydził i do którego nie mógłby przyznać się nikomu. Rita czasami widziała na jego twarzy wstydlive pragnienie ucieczki. I ona odczuwała ulgę. Myślała o nim już tylko jak o wielkim ciężarze, który musiałaby dźwigać na swoich barkach w czasie okupacji.



Trzy dni później znaleźli się na peronie dworca kolejowego w Karpatyniu, skąd pociągi odjeżdżały na wschód. Wśród jasnych promieni porannego słońca widać było całe tłumy ludzi. Wszyscy mężczyźni byli między trzydziestym a pięćdziesiątym rokiem życia, kilku było ubranych w źle dopasowane mundury, a reszta w płaszczki i krawaty. Wszyscy prawnicy, lekarze, inżynierowie, kierownicy fabryki, księgowi — wszyscy wykształceni Żydzi oraz kilku Polaków, którzy zostali w mieście — stali na peronie, z którego mieli odjechać na wschód. Większość z nich otaczały żony, matki oraz siostry. Jednak żadna z tych kobiet nie była przygotowana do podróży. Przy każdej grupce stała tylko jedna walizka, a kobiety były tam jedynie po to, by pożegnać mężczyzn. Większość z nich przybierała dzielne miny.

Pociąg wojskowy jeszcze nie przyjechał. Dla Rity i Ursy to była okazja, żeby jeszcze raz omówić strategię. Już sami nie wiedzieli, jak wiele razy analizowali fakty i przypuszczenia, rozważali je pod każdym względem, mierzyli szanse i prawdopodobieństwo, oceniali informacje i plotki, tak samo jak każda z obecnych na peronie rodzin.

Urs wszedł do budynku dworca i wrócił na peron z biletem w dłoni.

— Rano otrzymaliśmy kolejny raport.

Nie musiał nawet nic wyjaśniać. Wieści docierały do nich prawie od pierwszego dnia. Wehrmacht miał rozkaz natychmiast stracić komisarzy, członków partii i każdego przedstawiciela Związku Radzieckiego. Czy *Kommissarbefehl* — rozkaz egzekucji komisarzy — był rosyjską kontrpropagandą, rozpowszechnioną przez Sowietów w celu umocnienia własnej kadry? Nie, informacja o tym rozkazie pochodziła z Zachodu, więc nie mógł być on zupełnie bez znaczenia.

Na początku ich to nie martwiło.

— Dzięki Bogu, że powstrzymałaś mnie przed wstąpieniem do partii — powiedział Urs. Ale teraz docierało do nich znacznie więcej informacji. Nie tylko Niemcy sprawdzali karty partyjne we Lwowie. Krążyły plotki, że Ukraińcy chętnie identyfikowali dla Niemców funkcjonariuszy radzieckich — zarówno partyjnych, jak i niepartyjnych.

Rita stała, trzymając za rękę Stefana i nie odrywając wzroku od Ursy. On także był w nią wpatrzony i nawet nie mrugał, aż w końcu zapytał:

— Jesteś pewna? — Skinęła głową.

Nagle z oddali dobiegł do nich gwizd i wszyscy na peronie spojrzeli na wschód, na szerokie, nowo położone według rosyjskiej miary tory. Na sygnał pociągu Stefan złapał mamę kurczowo za nogę. Wielka lokomotywa parowa, z małymi czerwonymi flagami powiewającymi po każdej stronie głównego tłoka, zatrzymała się wzdłuż peronu, blokując osiem ciężkich kół. Za nią stały cztery wagony drugiej klasy i tuzin wagonów towarowych. Wagony były ponumerowane kolejno, a każdy z wagonów towarowych miał na boku napisany kredą numer. Urs spojrzął na bilet, a jego przygnębienie nieco zelżało. Przydzielono mu miejsce siedzące w przedziale wagonu drugiej klasy.

Gdy tylko położył walizkę na półce nad siedzeniem w przedziale, otworzył szerokie okno i się wychylił. Rita trzymała Stefana w górze przed nim, ale kiedy spojrzął w dół, w przestrzeń między wagonem a peronem, zaczął płakać. Odsunęła syna i nachyliła się do Ursy, żeby przytulić go po raz ostatni. Kiedy to zrobiła, coś do niej powiedział. I nie były to czułości, których się spodziewała.

— Za ramą łóżka jest luźna listwa. Podnieś ją, kiedy będziesz sama. — Pociąg zaczynał już ruszać, Urs był zmuszony krzyczeć, żeby go usłyszała. — Słyszałaś? Zrozumiałaś, co powiedziałem?

Nie było sensu odpowiadać w akompaniamencie wypuszczanego z hamulców powietrza. Kiwnęła głową i po chwili Urs stał się tylko jednym z wielu niewyraźnych, owalnych kształtów, wychylających się z pociągu i znikających w oddali.



Tej nocy, kiedy Rita położyła Stefana do łóżka, zaczęła robić inwentaryzację. Miała sporo rzeczy na sprzedaż: ubrania (jej i Ursy), trochę biżuterii, kołnierzyk z lisa, naczynia i srebra, jeszcze jeden serwis, polskie książki medyczne, radio i przenośny niemiecki gramofon, aparat, lornetkę, której Urs czasem używał do obserwacji ptaków, oraz całą półkę książek filozoficznych, których nikt nie zechce. Wtedy przypomniała sobie ostatnie słowa Ursy. Wróciła

do sypialni, odsunęła łóżko i podniosła listwę. Urs udowodnił, że nie jest z niego zupełny *Luftmensch*. Za listwą, w zatraskowej, skórzanej lekarskiej torbie ukryte były dwa tuziny fiolek z morfiną, strzykawka, worek z pięćdziesięcioma złotymi polskimi dwudziestozłotowymi monetami oraz, być może najbardziej zastanawiająca, mała niebieska buteleczka, na której napisano po francusku: *Poison, Cyanure de potassium*. Jak dawno temu to kupił i dlaczego?

## Rozdział 8

Trzy dni później Karpatyń został przejęty, ale nie przez Niemców w *feldgrau*, tylko przez Węgrów w moro. Wszyscy odrobinę odetchnęli. To miała być następna okupacja — arbitralna, despotyczna, ale nie tak bardzo różniąca się od radzieckiej i o podobnym rygorze, który niektórzy mogli jeszcze pamiętać z czasów Wielkiej Wojny. Jedynym przejawem niemieckiego nadzoru był wymóg, aby wszyscy Żydzi nosili na ramieniu opaskę z żółtą gwiazdą Dawida.

Miesiąc później Węgrzy odeszli i ruszyli w kierunku rosyjskich stepów, a ich miejsce zajął oddział policji SS. Nagle rzeczywistość zamieniła się w piekło. Nawet po wielu tygodniach od ich przybycia Rita wciąż zadawała sobie pytanie, jak długo będzie musiała jeszcze żyć w ciągłym strachu. Gdy takie życie stało się codziennością, niektóre fizyczne objawy strachu złagodniały. Ciągłe doskwierały jej nagłe skurcze, ale nie musiała już prac codziennie dwóch lub trzech bluzek przesiąkniętych zjełczałym, gryzącym odorem. Każdemu skurczowi żołądka towarzyszyły pytania składające się jedynie z dwóch słów. Dlaczego tak? Dlaczego teraz? Dlaczego my? Dlaczego ja?

Czasami gapiała się na książki filozoficzne stojące na półce w salonie. W żadnej z nich nie znalazłaby odpowiedzi na te pytania. Tylko Stefan był w stanie skupić na sobie jej uwagę — poznawał słowa, zadawał pytania, stawał się każdego dnia bardziej ciekawy świata, żądał jej miłości i nie dostrzegał tego wszystkiego, co dręczyło jego matkę.



Od dnia swojego przyjazdu do Karpatynia, w sierpniu 1941 roku, Obersturmführer Peter Leideritz zmagał się z poważnym problemem: trzeba było zająć się sześćdziesięcioma tysiącami Żydów, a on do wykonania tego zadania dysponował jedynie tuzinem żołnierzy SS/SD i Gestapo oraz osiemnastoma wiedeńskimi policjantami. Nawet przy wsparciu stu Ukraińców, których miał natychmiast zrekrutować, jedynym sposobem na realizację tego zadania było wprowadzenie terroru. Nie miał z tym problemu. To było jak urozmaicenie monotonii. Leideritz był policjantem z Darmstadt, na tyle mądrym, żeby wstąpić do partii w 1931 roku, gdy tylko stał się pełnoletni. Pracował za biurkiem od 1938 roku. Ciasna, czarna oficerska bluza mundurowa uwierała go w brzuch, ale był zadowolony z powrotu na pole walki. Co prawda nie był to front, ale sprawa była równie ważna.

Do końca 1941 roku Leideritzowi udało się przeprowadzić trzy pokaźne masowe egzekucje. Była to ciężka praca i dosyć szybko stawała się nieprzyjemna. Ukraińcy dostali radzieckie karabiny maszynowe. W magazynku mieściło się dziesięć kul, więc nie trzeba było go przeładowywać po każdym oddanym strzale. Nie można było stać za blisko: mundur, a czasami nawet twarz mogły zostać pochłapane kawałkami ludzkiego mózgu. Coś okropnego. Jeden z wiedeńskich policjantów odmówił udziału w *Aktionen*. Trzeba było go wysłać do domu na urlop chorobowy, a pomimo ponawianych próśb Leideritz nie otrzymał nikogo na zastępstwo.

W późniejszym czasie, podczas przemowy Himmlera w Posen, Leideritz miał świadomość, że zasłużył na wyrazy uznania ze strony Reichsführera: „Większość z was tutaj obecnych wie, co to znaczy, kiedy sto ciał leży jedno obok drugiego, kiedy pięćset ciał leży lub kiedy tysiąc następnych czeka w kolejce. Przetrawianie tego i pozostanie — pomimo ludzkich słabości — dobrymi ludźmi sprawiło, że jesteśmy silni. To ta strona chwały, o której nie mówiono i o której nie należy mówić”.



Rita stworzyła jak najmniej ryzykowny plan dnia dla siebie i Stefana. Ale nieprzerwanie czuła się tak, jakby obstawiała wysokie stawki w grze w ruletkę. Budziła chłopca o świcie i szli razem na spacer, gdy policji jeszcze nie było na ulicach. Następnie wychodziła dopiero późnym wieczorem, gdy bandyci zwolnili już mężczyzn z prac przymusowych — zostawiała wtedy śpiącego Stefana z nadzieją, że się nie obudzi. W tym krótkim czasie odwiedzała sklepy, których zaopatrzenie malało z dnia na dzień. Nie od razu zaczęła się bać, że skończą jej się pieniądze albo rzeczy na sprzedaż. Rezerwy sklepowe pewnie i tak wyczerpią się znacznie szybciej.

Tak naprawdę potrzebowała kogoś, z kim mogłaby porozmawiać, spędzać dni albo długie wieczory. Po paru tygodniach zorientowała się, że ten problem można było łatwo rozwiązać. Miała dużo miejsca. Lokator zapewniłby jej towarzystwo. Może trafi się jej jakiś uchodźca z dzieckiem, towarzystwem dla Stefana, i odrobiną pieniędzy za wynajem.

Któregoś późnego popołudnia, dwa dni po tym, jak zostawiła karteczkę na tablicy ogłoszeń przed siedzibą Judenratu, wróciła z lichego targu i zobaczyła wysokiego, bardzo szczupłego młodego człowieka czekającego pod drzwiami. Miał ze sobą dużą, skórzaną walizkę. Wyglądał schludnie, nawet nieco zamożnie, na mniej wyniszczonego i upodlonego niż większość mężczyzn, których tego dnia widziała. Miał kruczoczarne, zaczesane do góry włosy i ciemne brwi przypominające znaki akcentu — poważne i przenikliwe — nad głębokimi brązowymi oczami. Miał odstające uszy i ciemną cerę z widocznymi porami. Jego twarz była zdominowana przez prosty, wąski nos, prostopadły do długich, cienkich ust. „Przystojny według żydowskiego wzorca” — pomyślała, wchodząc po schodach w kierunku frontowych drzwi.

— Przepraszam — powiedziała, przemykając obok niego, i włożyła klucz do zamka.

Zanim zdążył zareagować, stali po obu stronach na wpół zamkniętych drzwi. Nieznajomy zareagował na jej wyraźny niepokój, robiąc krok do tyłu i podnosząc lekko ręce w bezbronnym geście, sugerującym nieposiadanie broni. Uśmiechnął się.

— Przyszedłem w sprawie wolnego pokoju. Dała pani ogłoszenie? — Oslaniając się drzwiami, kiwnęła głową i zmarszczyła brwi.

— Sądzę, że nie jest pan odpowiednim kandydatem. Jestem sama z małym dzieckiem. Co ludzie pomyślą?

Tak naprawdę Rita zastanawiała się, co powiedziałyby na to jej teściowa. Mężczyzna wykrzywił przystojną twarz.

— Wszyscy tutaj cudem pozostajemy przy życiu. Nie może się pani przejmować tym, co ludzie pomyślą. — Spojrzał na nią, a potem zerknął badawczo na półpiętro, gdzie stał patrzący na nich z góry Stefan. Chłopiec, usłyszawszy głos matki, wyszedł z mieszkania na schody. — Poza tym jestem najlepszym lokatorem, jakiego mogłaby pani mieć.

Rita postanowiła go wysłuchać. Otworzyła szeroko drzwi i weszli po schodach. Na górze nieznajomy odłożył walizkę i kucnął, żeby zapoznać się ze Stefanem. Ewidentnie próbował zdobyć sprzymierzeńca. Rita wzięła Stefana na rękę.

— Zatem proszę mnie przekonać, że jest pan najlepszym lokatorem, jakiego mogłabym mieć.

— Po pierwsze, mam pewne stanowisko i solidne pozwolenie na pracę. Jeśli wynajmę pokój, nie będzie pani musiała szukać w najbliższym czasie następnego lokatora. Oficer zaopatrzeniowy tej dzielnicy wydał SS/SD rozkaz wypuszczania pracowników takich jak ja, więc Ukraińcy nie mogą mnie zabrać podczas łapanek na prace przymusowe. Będę płacił czynsz w reichsmarkach. W zasadzie to tylko tak mogę zapłacić. Ale mogę też bez żadnego ryzyka kupić



za nie jedzenie dla pani i dziecka.

— I jedyne, co muszę zrobić, to wynająć panu pokój? Czego jeszcze pan ode mnie oczekuje? — Uznała, że taka insynuacja wystarczy.

— Nie jest pani w moim typie. — Zmarszczył nieco brwi. — Ale Niemcy w szybkim tempie zamieniają Karpatyń w dżunglę. Będzie musiała się pani zacząć martwić nie tylko o Niemców i ich marionetki. Niedługo Żydzi zaczną wydawać Żydów, żeby przeżyć. A ja nie potrzebuję od pani niczego poza pokojem. I jestem gotów zapłacić. — Uśmiechnął się i wyciągnął rękę, żeby zmierzić Stefanowi włosy.

— To pokój chłopca. — Spojrzała na Stefana. — Przenieś go do mojego.

Odwróciła się i wyszła z salonu, następnie przeszła korytarzem, mijając sypialnię i weszła do pokoju dziecięcego, a mężczyzna podążył za nią.

— Biorę — powiedział, choć jeszcze nie zdążył się dobrze rozejrzeć.

— Ale nawet nie zapytał pan, za ile, nie widział pan kuchni i nie zdążył się zastanowić, jak zdobędę pasujące łóżko i meble. Skąd ten pośpiech? — Rita odwróciła się i poprowadziła go z powrotem do salonu.

— Nie mogę zostać tam, gdzie byłem do tej pory. I nie mam czasu zbyt długo szukać...

Rita mu przerwała, wskazując na wypchaną skórzaną walizkę.

— Właśnie widzę. — Nie zwracając na nią uwagi, kontynuował:

— ...i nie mogę sobie pozwolić na długie szukanie. A tak przy okazji, to za ile? — Rita rzuciła kwotę. — Na to mnie stać.

— Powinam była powiedzieć więcej? Panie... myślę, że powinienam znać pańskie nazwisko, jeśli ma pan tu zamieszkać.

— Erich Klein, do usług. — Chwycił za jej dłoń i chciał ją ucałować. Rita mu ją wyrwała.

— Wystarczyło już tego od Węgrów.



Tak oto zyskała lokatora i towarzysza rozmów, kogoś poza osiemnastomiesięcznym dzieckiem. Musiała przyznać, że od razu go polubiła. Nadzwyczaj miło było na niego patrzeć. A co najważniejsze, był interesujący, nawet bardzo, na swój sposób, którego Rita nie mogła rozszyfrować. Pewny siebie, naturalny, opanowany, pełen gracji i instynktownie wiedzący, jak dzielić wspólną przestrzeń. Co więcej, od razu przekonał do siebie Stefana. Miło będzie mieć w pobliżu Ericha Kleina.



Klein był księgowym w fabryce odzieżowej Terakowskiego. Pracował tam od prawie czterech lat i właściwie był jej kierownikiem. Fabryka znajdowała się w zachodniej części miasta. Przed wojną zajmowano się tam produkcją ciężkich wełnianych tkanin na rynek brytyjski. A teraz właśnie zaczynało się robić płaszcze wojskowe dla Wehrmachtu. Nikt nie pomyślał, żeby wspomnieć Niemcom, że w październiku było już za późno, aby zaczynać produkcję płaszczy na rosyjską zimą.



Rita pragnęła rozmowy. Następnego wieczoru, gdy Erich wrócił z pracy, zaprosiła go do kuchni. Dopiero co zaczęła rozpalać w palenisku. Ciągłe było zimno, więc nie zdejmował płaszcza. Wyciągnął z niego wysoką butelkę, świecącą na żółto w świetle gołej żarówki.

— Alzacka. Z Riquewihr.

— Ale jakim cudem?  
— Łupy wojenne. — Erich wzruszył ramionami i zaśmiał się, gdy Rita otwierała butelkę. Nie piła nic równie dobrego, odkąd dwa lata wcześniej zaczęła się rosyjska okupacja. — Co na obiad? — zapytał.  
— Pieczone ziemniaki w mundurkach. Niech się pan przyzwyczaja. Mam nadzieję, że będą pasowały do... — Spojrzała na etykietę. — Pinot Gris.  
Klein lubił jej uśmiech.  
— Co Stefan dzisiaj robił?  
Chłopiec lawirował między krzesłem i nogą stołu, ciągnąc drewniany pociąg.  
— Wysłuchał kilku opowieści i miał kolejną lekcję czytania. Jest jeszcze za mały, ale nie mamy zbyt wielu zajęć.  
— Może pozwoli pani, żebym spróbował pouczyć go arytmetyki?  
— Podwójnego księgowania?  
— Właściwie to myślałem o analizie tensorowej — powiedział pod nosem.  
— Co to? — zapytała, ale Klein zignorował pytanie, posadził Stefana na stopie i zaczął kołysać go tam i z powrotem. Stefan od razu pojął, że jest jeźdźcem, i zaczął naśladować ustami dźwięk bicza, żeby jechać szybciej.



Rita położyła Stefana do łóżka i wróciła do kuchni. Zostało jeszcze pół butelki wina i żadne z nich nie chciało zostawiać go do następnego wieczoru. Następnego mogło nie być.

— Zatem — zaczęła — mieszkaliśmy przez cztery lata w tym samym mieście i nigdy się nie spotkaliśmy. Jak to możliwe?

— Różne środowiska. Karpatyń to duże miasto — powiedział Erich, nalewając im po małej szklaneczce. Światła były zgaszone i jedyna jasność docierała przez otwarte drzwiczki pieca drzewnego. W ciemności było widać tylko kontury ich twarzy. Oboje zdawali sobie sprawę, że to ich zachęci do mówienia. — Pochodzę z Warszawy. Przyjechałem w trzydziestym siódmym z bliskim przyjacielem, Sylwanem Terakowskim, synem właściciela odzieżowej *Fabrik*. Zostałem księgowym. Sylwana Sowieci wywieźli razem z ojcem na Syberię, kiedy upaństwowili zakład w trzydziestym dziewiątym. — Przerwał. — A pani?

Rita przedstawiła mu ogólny zarys swojego życia — rodzinę, gimnazjum u sióstr benedyktynek, studia prawnicze w Krakowie, Ursa — ale bardziej była zainteresowana jego historią.

— Więc uczył się pan na księgowego w Warszawie?  
— Nie, zawodu nauczyłem się tutaj. W Warszawie studiowałem. Matematykę. — Westchnął i dodał z wielką powagą: — Na długo przed wojną Warszawa była światowym centrum matematycznym.  
— I pan tam był, w Warszawie? Ale zrezygnował i przyjechał tutaj? Co się stało?  
— To długa historia. Straciłem wiarę.  
— W Boga czy w matematykę? Czy matematyka jest religią? Nie rozumiem.  
— Gdy robiłem doktorat, wydarzyło się coś, co zniszczyło moją wiarę w matematykę i uczyniło ze mnie ateistę.  
— To znaczy?  
— To ma aspekt techniczny.  
— Proszę nie traktować mnie protekcjonalnie — odpowiedziała lekko poirytowana Rita.  
— Pomyślmy, jak to wyjaśnić... Byłem w połowie studiów, kiedy dowiedziałem się, że

Austriak — domyślam się, że teraz Niemiec — o nazwisku Gödel kilka lat wcześniej dowiódł czegoś strasznego. Wydaje mi się, że to było w 1931 roku. Wstrząsnął matematyką tak, że już nigdy nie doszła do siebie. Pokazał, że system matematyczny może zawierać prawdziwe twierdzenia na temat liczb tylko wtedy, kiedy zawiera też twierdzenia fałszywe, zwykłe głupstwa, nieprawdę, jak „dwa jest liczbą nieparzystą” lub „trzy plus dwa równa się czterdzieści siedem”. I jedyny sposób na uniknięcie tego fałszywego czynnika to dobrowolne milczenie, niepełne rozważanie teorii matematycznych, o których prawdziwości byliśmy przekonani. Kiedy dowiedziałem się, że matematyka musi być albo niekompletna, albo zawierać nieprawdę, to nie mogłem kontynuować studiów. Musiałem z nich zrezygnować. Zrozumiałem, że matematyka to tylko gra. Nie była oczywiście jedyną... — Nagle przerwał, pochłonięty własnym śmiechem. — To sprawdza się też przy argumentach, których uczą na temat istnienia Boga. Inna gra, ale logika ta sama. Teraz więc jestem ateistą grającym w księgowanie. Nie dziwi to pani, prawda?

— Bycie księgowym? Nie, z tym się mogę pogodzić. — Uśmiechnęła się. — A co do ateizmu, to witam w klubie.

Piec zdążył już wystygnać.

## Rozdział 9

Wraz z nadejściem Bożego Narodzenia zmniejszyła się liczebność służb porządkowych. Większość żołnierzy SD — Sicherheitsdienst — wróciła do Niemiec, a zwykli policjanci wyjechali na zasłużony odpoczynek do Wiednia, do swoich domów. Nawet po Nowym Roku, kiedy Niemcy wrócili, a Ukraińcy odespali tydzień świętowania, na ulicach panował względny spokój. Niektórzy mówili, że najgorsze już za nimi. Siły Wehrmachtu były w Moskwie, wojna skończy się przez wiosną. Niewątpliwie jej okrucieństwa ustąpiły miejsca rozsądkowi. Może nawet Węgrzy wrócą.

Pewnego poniedziałkowego poranka, pod koniec stycznia, Ritę obudził o szóstej bardzo wyraźny warkot niemieckiego samochodu zatrzymującego się przez domem. Zastygła w bezruchu, kiedy usłyszała otwierające się z impetem frontowe drzwi, a następnie stukanie wojskowych butów na schodach. Z transu wyrwało ją pukanie do drzwi. Był to rodzaj grzecznego, przedwojennego pukania, a nie łomotanie kogoś, kto wyważy drzwi, jeśli nie zostaną mu natychmiast otworzone. Erich pojawił się pod jej sypialnią.

— To Niemcy. Ja otworzę.

Wyszła z pokoju ze Stefanem na rękach, a jej oczom ukazał się sierżant żandarmerii i szeregowy z karabinem. Feldfelbel zwrócił się do Ericha:

— Doktor Urs Guildenstern. Pójdzie pan z nami. Ma pan pięć minut, żeby spakować walizkę na trzy dni. — Zwrócił się do Rity: — Musi mu pani spakować jedzenie na podróż.

— Szukacie innego człowieka. — Erichowi wyraźnie ulżyło.

— Zostały cztery minuty na pakowanie. — Wcisnął guzik na zegarku. — Marnuje pan czas — rzucił mężczyzna. — Rekrutujemy wszystkich lekarzy, dentystów, inżynierów i innych specjalistów do priorytetowych prac wojennych.

Rita zdobyła się na odwagę, żeby coś powiedzieć.

— Ale to nie jest doktor Guildenstern. To mój lokator. Mój mąż nazywał się Guildenstern, ale został zabity przez Rosjan.

Może obwinienie radzieckiego wroga zmiękczy serce temu feldfelbelowi. Sierżant spojrzął na Stefana, którego trzymała na rękach, i jeszcze raz na Kleina. Nie zobaczył żadnego podobieństwa.

— Poruczniku — awansował go Erich — oto mój ausweis. Nazywam się Klein. Nie jestem lekarzem. A to moje pozwolenie na pracę. Jestem niezbędnym pracownikiem w fabryce Terakowskiego. Zaszła jakaś pomyłka. — Wręczył mu dokumenty.

Drugi mężczyzna odchrząknął, a sierżant na niego spojrzął.

— Feldfelbel? Pozwoli pan?

— *Ja.*

— Ostatni mężczyzna, którego pakowaliśmy do wozu — starzec, którego żona robiła taką awanturę, że musieliśmy ją zabić — nazywał się doktor Guildenstern. Może mamy błąd na liście.

Sierżant ponownie spojrzął na dokumenty Ericha, rzucił je na stół i odwrócił się w kierunku wyjścia. Po chwili usłyszeli, jak drzwi frontowe zamykają się z trzaskiem. Erich spojrzął na Ritę.

— To był pani teść? — Kiwnęła głową.



Teraz, podczas zaawansowanej zimy i niekończących się mrozów, dni były krótkie, ale miały znacznie wolniej. Podczas jednego z nieznośnie nudnych popołudni, szukając rozrywki dla Stefana, Rita zdjęła z półki najgrubszą spośród książek medycznych Ursa. Posadziła dziecko na kolanach i otworzyła książkę z ilustracjami. Na jej stronach widniały błyszczące, kolorowe schematy ludzkich organów, tkanek, naczyń krwionośnych oraz nadzy mężczyźni i pozbawione owłosienia kobiety, z otwartymi jamami brzuszными oraz widocznymi głównymi organami. W Ricie budziły wstręt, ale Stefan był nimi zafascynowany.

Przez kilka najbliższych dni miała czym go zająć, aż w końcu pewnego wieczoru po powrocie Ericha Stefan z dumą nazwał każdy narząd w klatce piersiowej. Erich zaśmiał się, spojrział na dwuznaczne schematy anatomiczne na dalszych stronach i uśmiechnął się do Rity.

Tej nocy, leżąc na podwójnym łóżku, Rita została wyrwana ze snu przez krzyczącego we śnie Stefana, który mimo to sam się nie obudził. Leżała, próbując na nowo zasnąć i odrzucając kolejno każdą metodę, którą wynalazła w ciągu ostatniego roku, służącą osiągnięciu chwilowego zapomnienia. Obok niej leżał ciepły Stefan. Nagle dotarło do niej, dlaczego nie może zasnąć. Myślała o tym, że Erich leży samotnie w pokoju oddalonym o trzy metry od jej sypialni. Pomimo zimna poczuła się tak rozgrzana, jak leżące obok dziecko. Poczuła wilgoć — nie dlatego, że się pociła, ale tam na dole. *Dobrze to przemyśl, Rito!* Było już za późno? Czy już zdecydowała? W końcu, *czemu nie, Rito, skoro nie widzisz żadnych przeciwwskazań?* Rita wyslizgnęła się spod kołdry, wstała, wyszła po cichu z pokoju i ostrożnie zamknęła za sobą drzwi.

Złapała za klamkę w drzwiach Ericha. Były otwarte i uchylone. Znowu poczuła napływającą falę podniecenia.

Leżał na plecach z rękami założonymi za głowę. Czyżby na nią czekał? Podeszła bliżej. Nie, jednak spał. Rita podniosła koc i pościel i położyła po jego prawej stronie, a głowę ułożyła na klatce piersiowej. Następnie sięgnęła po jego prawą rękę i położyła na swoim ramieniu. Erich poruszył się i coś wymamrotał.

— Przepraszam, nie zrozumiałam — wyszeptała.

— W porządku — odpowiedział, przewrócił się na brzuch i odwrócony od niej zaczął cicho chrapać.

Ricie pozostało tylko przykleić się policzkiem do jego łopatki. Po chwili wstała i po cichu wróciła do swojego łóżka.

Kiedy patrzyła na niego następnego ranka, nie widziała żadnych oznak, jakoby był świadomy całego tego zdarzenia.

Tego wieczoru Erich zabrał Stefana do sypialni, żeby przeczytać mu bajkę do poduszki. Kiedy weszła Rita, dziecko już spało, a Erich ciągle jeszcze czytał.

— Stefan śpi tak bezgłośnie jak ty — powiedziała Rita i poszli razem do salonu.

Miała nadzieję, że zapyta ją: „Skąd wiesz?”, a wtedy powie mu co się wydarzyło poprzedniej nocy.

On jednak nie podjął tematu. Zamiast tego zapytał:

— Wierzysz w wolną wolę?

— Nie mam dzisiaj siły na filozofię, Erichu. — Miała siły, ale nie na filozofię. — Ale odpowiedź brzmi: nie.

— Dlaczego nie?

— Świadomość, że nie istnieje, pomaga mi spać w nocy.

— Dlaczego? — Erich był nieustępliwy.

Nie chciała być niemą.

— Bez wolnej woli żaden z tych drani nie jest odpowiedzialny za to, co robi. Są tylko chorymi, obłąkanymi, upośledzonymi jednostkami, którym powinniśmy współczuć. Musimy się

przed nimi chronić. Nie powstrzymamy się przed nienawiścią wobec nich, ale nie ma ona sensu tak samo jak nienawiść wobec lawiny. — Wierzyła w to. Ale tego nie czuła.

— Ale jeśli naziści nie mają wolnej woli, to my też nie.

— Zgadza się — potwierdziła Rita.

— Rito, właśnie sprawiłaś, że zacząłem czuć się lepiej, myśląc o własnym istnieniu. — Erich uśmiechnął się tajemniczo, wstał i poszedł do swojego pokoju.

„Cieszę się razem z tobą — pomyślała. — Ale nie rozumiem, dlaczego to ma uczynić życie jakkolwiek łatwiejszym”. Tym razem nie miała zamiaru czekać, aż zaśnie.

Dziesięć minut później, gdy Erich gasił świecę stojącą przy łóżku, wślizgnęła się do jego pokoju, niosąc w ręku drugą. Jej blask odbijał się w przezroczystym, czarnym peniuarze, który kupiła dla Gila i nigdy nie założyła dla Ursa. Kiedy stała przed nim, jedno ramiączko ześlizgnęło się jej z ramienia. Uśmiechnęła się, nie poprawiając go. On odwzajemnił uśmiech i zrobił dla niej miejsce na wąskim łóżku.

Gdy się położyła, przysunęła się do niego tak, żeby mógł zobaczyć jej głęboki dekolt, ułożyła twarz naprzeciwko jego głowy i czekała z rozchyłonymi ustami i wystawionym językiem na zabawę z nim. Kiedy ich nosy się dotknęły, Erich odwrócił głowę i lekko się zaśmiał.

— Rito, przepraszam, nie jesteś w moim typie... Mówiłem ci... Tego dnia, kiedy się wprowadziłem. Może byłem za mało bezpośredni. — Usiadł na łóżku i z kieszeni wiszącej na krześle obok koszuli wyjął jednego papierosa. — Zachowałem to dla siebie. Dobrze, podzielę się z tobą. — Zapalił papierosa i podał go Ricie. A potem objął ją w sposób, który mogła odczytać wyłącznie jako przyjacielski. Zaciągnęła się, a on patrzył, jak wypuszcza nosem dwie chmurki dymu.

— Robię to z mężczyznami. — Proszę, powiedział to. Jak ona zareaguje? Dlaczego nie domyśliła się wcześniej? Może zwyczajnie nie chciała.

Słowa dotarły do jej świadomości. Rita zrobiła się nagle czerwona ze wstydu. Jaka była głupia! Jaka z niej idiotka! Nagle dotarły do niej wszystkie wskazówki i sygnały. Fakt, że tamtego ranka zapewniał ją, że nie musi się go obawiać, pilne poszukiwanie stacji, przyjazd do Karpatynia z młodym mężczyzną — jak powiedział, bliskim przyjacielem.

Usiadła obok niego i po raz kolejny głęboko zaciągnęła się papierosem. Nie paliła od miesięcy. Czuła się oszołomiona, oddając go.

Gest dzielenia się papierosem natychmiast sprawił Erichowi ulgę. Wszystko będzie w porządku. W świetle świecy patrzyli, jak dym z palącego się papierosa unosi się w górę.

Atmosfera intymności, ciemność, zapach dymu, perfumy i ich ciała ośmieliły Ritę.

— A co dokładnie robią mężczyźni?

— Niektórzy robią dokładnie to samo co mężczyźni z kobietami. — Nie zamierzał być bardziej dobitny. — Ale ja nigdy nie potrafiłem. Ja preferuję... — nie chciał używać polskiego zwrotu. — Wiesz, co oznacza *fellatio*?

— Oczywiście. Lubisz dawać czy otrzymywać?

— Jedno i drugie... lubię tak samo.

Po chwili Rita spojrzała w górę, zauważając jego lekko zmieszany uśmiech, zdmuchnęła świecę i zaczęła wsuwać się pod narzutę łóżka.

## Rozdział 10

Einsatzgruppen nie były rozwiązaniem. Zbyt wielu Żydów, zbyt mało naboju. Według doniesień z Łotwy czasami trzeba było rozłożyć dwadzieścia pięć tysięcy ludzi nawet na kilka dni. Wpływ na morale też był zły, szczególnie gdy w grę wchodziło strzelanie do dzieci. Leideritz stracił dwóch kolejnych podwładnych, którzy odmówili wykonywania takich rozkazów. I zawsze istniała ewentualność, choć nie miało to jak dotąd miejsca, że około tysiąca Żydów może obezwładnić stu ludzi uzbrojonych jedynie w pistolety maszynowe. Teraz znaleziono rozwiązanie.

Jego Żydzi mieli zostać zgromadzeni w trzech gettach: A, B i C, razem pięćset dwadzieścia budynków. Każde getto miało być powtórnie zapełniane i likwidowane. Wywóz miał się odbywać do obozu zagłady w Bełżcu. Zadanie uczynienia Galicji *judenrein* — wolnej od Żydów — mogło zostać wykonane w ciągu roku, lub nawet szybciej, o ile infrastruktura w Bełżcu będzie działać właściwie.



Dzięki wczesnemu ostrzeżeniu Erich był w stanie wszystko przygotować. Kilka dni przed przeprowadzką wybrał dom na skraju getta A, największego z trzech. Budynek był dwupiętrowy, pokrytą deskami budowlą z gankiem i kilkoma schodkami. Krótka ścieżka prowadziła od tylnych drzwi do wychodka. Zaraz za nim budowano mur graniczny — a tak naprawdę płot z listew — żeby utrzymać robactwo w środku.

Gdy zaprowadził Ritę i Stefana prosto do budynku, ona zapytała:

— Dlaczego akurat ten, Erichu?

— To twoja ostatnia deska ratunku. Największe getto, najdłuższy płot, trudniejsze do strzeżenia. A twój dom jest zaraz z tyłu, blisko muru, łatwiej będzie przedostawać się przez ogrodzenie.

Myślał o przyszłości. Mogli zabrać ze sobą tylko to, co byli w stanie unieść. Dla Stefana był to duży, wypchany pies. Tylko Rita wiedziała, że była w nim morfina, trucizna i złote monety, zostawione im przez Ursę. Wiedziała, że Stefan nigdy nie wypuści z rąk swojego wypchanego pieska, a strażnicy nie przeszukają go przy wejściu.

Kiedy urządzili się już w pokoju na ostatnim piętrze budynku znajdującego się na skraju getta, naprzeciwko muru, zdziwili się, że są tam sami. Do każdego domu przypisanych było dwudziestu lokatorów, a oni zajmowali największy pokój na górze, z małym piecem drzewnym, do którego przydzielono pięć cienkich materaców. Erich zmierzał w kierunku mieszkania Rity, żeby przynieść kolejną torbę z artykułami pierwszej potrzeby. Mając pozwolenie na pracę, mógł swobodnie wychodzić i wracać przed godziną policyjną.

Po wyjściu Ericha do pokoju wsunął głowę starszy mężczyzna. Wzruszył ramionami i zajął miejsce w rogu. Miał krótkie, siwe, ale ciągle gęste włosy, zaczesane niestarannie na prawą stronę. Pasująca biała broda nie była symbolem przynależności do religii. Rzędy zmarszczek nad brwiami ustępowały miejsca kurzym łapkom, które pogłębiały się tak, że prawie nie było widać jego oczu, kiedy się uśmiechał, co właśnie teraz robił. Kiedyś był grubszy i wciąż miał puciołowate policzki dobrze karmionego świętego mikołaja.

Przedstawił się z silnym niemieckim akcentem:

— Friedrich Kaltenbrunner. Proszę wybaczyć mi mój słaby polski. Wychowywałem się w

Niemczech i przeprowadziłem do Polski dopiero w trzydziestym ósmym. Lub raczej kazano mi się przeprowadzić... — Te ostatnie słowa powiedział bardziej do siebie niż do niej.

— Proszę bardzo. — Rita uśmiechnęła się nieznacznie. — Jest jeszcze dużo miejsca. Jak na razie jest nas trójka, jeśli liczyć moje dziecko. Nie rozumiem, dlaczego mamy tyle szczęścia.

— Nie wie pani? To przez tego człowieka, z którym pani jest — nikt nie chce być z nim w pokoju. To pederasta. Wszyscy na dole tak mówią. Nie wiedziała pani? — Rita milczała, a jej pozytywne nastawienie do starszego mężczyzny zaczęło natychmiast znikać. Kaltenbrunner kontynuował: — Ale mi to nie przeszkadza. Jestem bardziej tolerancyjny niż inni mężczyźni. I tak już widziałem to wszystko w Berlinie, zanim brunatne koszule go oczyściły — nie żeby w NSDAP brakowało pedałów.

— Jeśli jest pan tolerancyjny, to proszę odnosić się z szacunkiem do *Herr Kleina*. — Celowo użyła niemieckiego zwrotu. — Jest moim przyjacielem.

— Moim też — wtrącił się Stefan, niebojący się odezwać do starszego mężczyzny.

— Macie racje, moi drodzy. Poza tym jestem za stary, żeby interesować się młodym mężczyzną. Będziemy najlepszymi przyjaciółmi. Tak, będziemy.

Spojrzał w dół, wziął do ręki psa Stefana i zaczął ruszać nim po podłodze, naśladując szczekanie. Natychmiast kupił sobie tym chłopca.

Może Kaltenbrunner okaże się być w porządku. „Nie żebyśmy mieli przywilej wybierania sobie współtowarzyszy” — pomyślała Rita.

— Stefan, zostań w pokoju i pobaw się ze swoim pieskiem. — Spojrzała na Kaltenbrunnera. — Mogę zostawić go na kilka minut? — zapytała.

Starzec uśmiechnął się krzepiąco i ponownie sięgnął po wypchanego zwierzaka. Instynktownie czuła, że może mu zaufać. Czy oczy rzeczywiście były zwierciadłem duszy? Oczywiście, że nie, ale oczy Kaltenbrunnera spotkały się z jej oczami i zabłyśły pokrzepiająco. Był nauczycielem, który miał wprawę w uspokajaniu podopiecznych i stosował ten zabieg wobec tej dwójki.

Rita zeszła po schodach i wyszła na ulicę. Od dłuższego czasu była to czynność obciążona wysokim ryzykiem. To było głupie, jako że teraz zamknięto ją w getcie, ale przez chwilę poczuła się wolna. Uwolniona od samotnego zamknięcia skazana, której w końcu pozwolono błąkać się po spacerniaku z innymi więźniami. To uczucie niebawem minie.

Kiedy Rita wróciła, starszy mężczyzna rozpakowywał walizkę. Zastanawiała się, jak się nazywał. „Nie mogę być tak niemila i znowu zapytać...”. Z pomocą przyszedł jej Stefan.

— Pan Kaltenbrunner powiedział, że mogę mówić do niego „Freddy”.

— To bardzo niegrzeczne, Stefanku.

— Będziemy mieszkać ze sobą zbyt blisko, żeby zwracać uwagę na takie szczegóły, proszę pani. — Kaltenbrunner wyjął dwie wielkie książki z płataniny ubrań w walizce. Ricie wyraźnie opadła szczęka. Książki! Czy on myślał, że wybiera się na uniwersytet? Położył je z przodu materaca. Zauważywszy jej rozszerzone oczy, wyjaśnił: — To moje poduszki.

Tego wieczoru wymienili się swoimi życiorysami. Życie starca było długą opowieścią.

— Urodziłem się w Warszawie, ale wywieziono mnie do Niemiec, gdy byłem dzieckiem, w 1872 roku.

Erich i Rita zaczęli wykonywać w głowach te same obliczenia. „Ma siedemdziesiąt lat” — pomyśleli.

— Studiowałem w Göttingen, a potem przez trzydzieści trzy lata pracowałem w Stuttgarcie jako nauczyciel nauk ścisłych, z przerwą na czas Wielkiej Wojny. Byłem na zachodzie, gdy prawie zwyciężyliśmy pod Verdun. — W jego głosie dało się słyszeć nutę patriotyzmu, ale nazwa Verdun niewiele mówiła słuchaczom.



— Jak udało się panu uciec z Niemiec? — zapytała Rita.

— Zostałem do tego zmuszony. Naziści pracowali terminowo. Na początku 1938 roku polski rząd ogłosił, że po upływie ostatniego dnia października tego roku nie przyjmie z Niemiec nikogo bez ważnego polskiego paszportu. Zatem rząd niemiecki odwołał prawo stałego pobytu wszystkim Żydom polskiego pochodzenia, żeby zmusić ich tym samym do wyjazdu przed upływem terminu. Mój Krzyż Żelazny drugiej klasy nic nie zdziałał.



Handel odzwierciedla sposób, w jaki świat jest urządony. Gdy tylko utworzono getta, nagle powstała cała gałąź gospodarki, która czerpała z nich pieniądze.

Jednak wcześniej Judenrat musiał ustanowić policję, Ordnungsdienst — służby porządkowe. Urzędująca w getcie *Judenpolizei*, *Jupo* — żydowska policja — szybko zaczęła spełniać swoją funkcję: utrzymać wysokie ceny kwitnącego czarnego rynku. Kiedy racje żywnościowe w getcie zostały zmniejszone poniżej dwóch tysięcy kalorii na osobę dziennie, służby i *Polizei* zaczęły działać jak magnes. Szansa stania przy bramie z obowiązkiem zapobiegania przemytom zachęcała pomysłowych mężczyzn i szerokie spektrum sadystów. Surowsza od stojących za bramą niemieckich i ukraińskich żołnierzy żydowska policja była najskuteczniejsza w znajdowaniu najbardziej intymnych schowków. Okradała w ten sposób robotników z jedzenia, które zdołali ukryć przed Niemcami.

Handel kwitł nad murami getta i poza nimi. Nieżydowscy ulicznicy wychodzili z cienia za murem, gdy tylko ktoś stał przy nim na tyle długo, żeby zostać zauważonym po drugiej stronie. Drapali lub stukali w deski, żeby dać znać, że czekają i są gotowi do handlu. Za odpowiednią kwotę można było kupić niemal wszystko, pod warunkiem że było na tyle małe, żeby to przerzucić nad murem lub podać pod nim. Niektórzy z polskich handlarzy zdobyli tak dobrą reputację, że mogli narzucać sobie najwyższe stawki. Tak długo, jak istniała perspektywa ciągłości w biznesie, nawet na mniej znanych „firmach” można było polegać.

W ciągu kilku tygodni otworzono godną zaufania pocztę, chociaż stawki za nadanie listu były zawsze kosmiczne i cokolwiek przychodziło, trzeba było to wykupić. Właśnie z takich listów Rita dowiedziała się, że jej rodzicom względnie dobrze się powodzi. W przeciwieństwie do Karpatynia, ich małe miasteczko na zachodzie, które należało wcześniej do Polski, teraz było częścią Reichu. Dystryktem zarządzał cywilny gauleiter i żaden z drakońskich środków *Generalgouvernement* nie został wprowadzony w życie — ani getto, ani restrykcje żywnościowe, a tylko żółta gwiazda. Jej rodzice żyli i powoli wyprzedawali swój dobytek.

Każdego ranka dwaj mężczyźni wyruszali do pracy — Erich do fabryki, a Kaltenbrunner do szkoły założonej w Judenracie. Gdy tylko wychodzili, Ritę ciągnęła do okien chorobliwa fascynacja. Dzień za dniem patrzyła, jak metodą selekcji naturalnej z getta eliminowani byli najslabsi — chorzy, starzy, niedołęzni. Ci, którzy przyszedli bez pieniędzy albo towarów na wymianę, szybko znikali. Ze swojego okna Rita była w stanie śledzić los takiej ofiary: począwszy od handlowania końcówkami ołówków, przez zebranie, obojętne siedzenie na krawężniku, przewracanie się, zbrukanie, aż do śmierci na skutek połączenia głodu z siłami natury, tyfusem i nieprzejednaną wolą umierania.



Nadszedł poranek, w którym nie mogła zmusić się do podejścia do okna ani do wyjścia na zewnątrz. Jej oczy zwróciły się w kierunku dwóch tomów, które naprawdę służyły Kaltenbrunnerowi jako poduszka. Sięgając po nie, Rita złamała niepisaną zasadę o niedotykaniu

cudzych rzeczy. Podniosła jedną książkę: *O pochodzeniu człowieka*, a później drugą: *O pochodzeniu gatunków*. Obydwie były autorstwa Darwina, napisane po niemiecku, dosyć wyeksploatowane i opatrzone komentarzami. Miały osłe uszy i były prawie tak stare jak Kaltenbrunner. Słyszała o tej bardziej znanej, ale nie była nią zainteresowana. Drugiej z nich nie kojarzyła. Oparła się o ścianę, otworzyła ją i przeczytała podtytuł: *Dobór płciowy*. Przewróciła stronę i zaczęła czytać. Odczytanie fraktury nie sprawiało jej problemu, niemiecki także był zrozumiały. Resztę ranka czytała, od czasu do czasu doglądając Stefana, który cieszył się zabawą drewnianymi klockami i kilkoma połamanymi ołowianymi żołnierzami. Musiała tylko sprawdzać, czy ich nie żuje.

Gdy minęło popołudnie, zorientowała się, że przestała zwracać uwagę na Stefana, który zapadł w swoją drzemkę, i że zaniedbała wszelkie przygotowania do wieczornego posiłku. A co najgorsze, naruszyła niewidzialną granicę otaczającą czyjąś niewielką własność. Ostrożnie odłożyła książkę, położyła jej bardziej znaną poprzedniczkę na górę i zajęła się swoimi sprawami.

Wieczorem, po zjedzeniu owsianki, Kaltenbrunner wziął Stefana na kolana. Chłopiec był zadowolony, siedząc tam ze swoim wypchanym psem.

— To jak daleko jesteś w *O pochodzeniu człowieka*, moja droga?

— Freddy, tak cię przepraszam... — powiedziała zażenowana Rita.

Kaltenbrunner machnął ręką, oddalając jej przeprosiny.

— Domyśliłem się tylko dlatego, że odłożyłaś je w złej kolejności. *O pochodzeniu gatunków* zawsze idzie na spód. — Rita spojrzała na niego ze zdziwieniem. Znowu jakby czytał jej w myślach. — Nie, nie jestem przesądny... to przynosi pecha. — Uśmiechnął się i tym razem Erich z Ritą zaśmiali się na głos. A Kaltenbrunner zaczął poważniejszym tonem: — *O pochodzeniu gatunków* jest na dole, bo to podstawa. Trzeba ją przeczytać jako pierwszą. Zawiera wyjaśnienia na temat świata i nadaje logiczny sens wszystkiemu, nawet losowi Żydów.

— Nie możesz wierzyć w te brednie. Naziści wierzą w Darwina. — W głosie Ericha słychać było ożywienie.

— Tak, wierzą też, że ziemia jest okrągła. Czy to czyni z tego nieprawdę? Poza tym naziści w ogóle go nie rozumieją.

— A ty tak? — Głos Ericha wciąż brzmiał pogardliwie.

— Spędziłem ostatnie czterdzieści lat, zajmując się tym tematem, napisałem kilka książek, prowadziłem korespondencję z wybitnymi ewolucjonistami... — Przerwał, żeby sprawdzić reakcję Kleina, który nie odpowiedział.

— Więc jak Darwin wyjaśnia istnienie świata, nie zajmując się losem Żydów? — wtrąciła się Rita.

— A potem możesz przejść do tego, dlaczego Niemcy go nie rozumieją — dodał Erich.

— To proste... Darwin odkrył niewymagający myślenia proces mechaniczny, który powtarzał się miliony razy, dał początek istnieniu, potem życiu człowieka, jego myślom, językowi, wszystkiemu, co ludzie uważali, że wymaga istnienia Boga jako stwórcy. To, co wygląda na cel, znaczenie, środki i efekty, to tylko czysty przypadek i środowisko pasywnie filtrujące przegranych w ostatnim wyścigu rasy, który nigdy się nie kończy.

W pokoju zrobiło się już ciemno.

— Nie potrzebny nam kolejny argument za ateizmem, Freddy. Mamy ich już wystarczająco dużo. Wystarczy się rozejrzeć — powiedział Erich.

— Zatem co naziści źle zrozumieli z nauk Darwina? — Pytanie Rity było poważne.

— Zrozumieli błędnie prawie wszystko, czego nauczał. Począwszy od tego, że w ewolucji nie chodzi o wyższy cel, nie mówiąc już o tym, że miałyby być osiągnięty skutki nazizmu. I nie

ma czegoś takiego jak rasa panów. Są tylko tymczasowi lokalni zwycięzcy i pokonani. Trzecia Rzesza jest chwilowym wynikiem większego procesu zmierzającego donikąd. Dzisiejsi zwycięzcy zostaną jutrzejszymi pokonanymi, gdy tylko środowisko się zmieni. Pomyślcie o dinozaurach.

Rita zaśmiała się ponuro.

— Ile milionów lat temu one żyły? Tysiąc lat rzeszy Hitlera może być równe milionowi lat w naszym przypadku. W każdym razie: jak Darwin postrzega los Żydów?

Erich milczał. Wiedział, że Rzesza nie przetrwa więcej niż parę lat, ale mówienie o tym, nawet współwzięniom skazanym na śmierć, było zbyt ryzykowne.

— Powiem wam pewnej nocy... Kiedy będziecie gotowi mnie wysłuchać.

Następnego ranka Rita zaczęła czytać *O pochodzeniu gatunków*. Kiedy skończyła, tydzień później, wróciła do pierwszej strony i zaczęła od nowa.



Tydzień później w szary poranek tuż po dziesiątej przez drzwi wpadł Erich.

— Bierz płaszcz, idziemy.

Podniósł Stefana z podłogi zbyt szybko, żeby ten zdążył złapać swojego wypchanego psa. Pośpiech Ericha nie znosił wahania. Rita założyła płaszcz i zeszła za nim po schodach. Na dole Erich odwrócił się i zaczął iść w kierunku tylnych drzwi, które prowadziły do wychodka i muru getta. Trzy listwy były odgięte. Trzymając Stefana na rękach, przepchnął między nimi Ritę. Naprostowując listewki, zerwał jej opaskę z żółtą gwiazdą, wziął pod rękę i zaczął iść ulicą jak najdalej od muru getta. Pod koniec pierwszej przecznicy w końcu się odezwał:

— Jesteśmy zwyczajną, miłą aryjską rodziną na spacerze. — W tym momencie dotarł do niej narastający za oddalającym się murem hałas. Erich powiedział pod nosem: — *Aktion* oczyszczania getta. Po prostu idź. To cię nie dotyczy. Nic nie słyszysz.

— A co, jeśli złapią nas tu bez opasek?

— Zostań dziś w środku, a na pewno cię „złapią”. Jest tam podwójnie wzmocniony oddział niemieckiej *Polizei*, razem z Ukraińcami i żydowskimi zbirami. Zabierają wszystkich bez pozwolenia na pracę do... tam, gdzie ich zabierają.

— W takim razie dokąd idziemy? Nie możemy tak chodzić cały dzień.

— Idziemy odwiedzić przyjaciół rodziny, moja droga.

Poklepał ją po ramieniu. Posadził Stefana na ramionach i poprowadził ich przez rynek, na którym odbywał się właśnie bezładny targ. Następnie skręcili na tramwaj w stronę dzielnicy fabrycznej.

Ulice były opuszczone, ponure i skąpane w szarych półtonach. Oszołomiona Rita powiedziała, prawie sama do siebie:

— Nie moglibyśmy wyjść po prostu z miasta?

Odpowiedź Ericha przywróciła jej świadomość umysłu.

— Dokąd mielibyśmy po prostu sobie pójść bez dokumentów i pieniędzy? Jesteśmy sto pięćdziesiąt kilometrów od najbliższego miasta na tyle dużego, żeby móc się w nim ukryć, i nawet tam prawdopodobnie nie przetrwalibyśmy tygodnia.

Dwadzieścia minut później przeszli obok ogromnego budynku z odpadającym szyldem „Terakowski. Ubrania gotowe do noszenia” i dotarli do wysokiego muru z bramą. Kiedy zwrócili się w kierunku wejścia, zobaczyli dużą willę. Rita poczuła nagłą ulgę nieprzebywania dłużej na niebezpiecznej ulicy. Podeszli do schodów przy wejściu. Erich zdjął Stefana z ramion i zadzwonił do drzwi.

Starsza kobieta zaprosiła ich do środka. Erich zaczął mówić:

— Pani Terakowska, proszę pozwolić, że przedstawię: oto pani doktorowa Guildenstern i — odwrócił się do chłopca — Stefan. — Następnie zwrócił się do Rity, wyjaśniając: — Terakowscy są właścicielami fabryki. Prowadzi ją teraz córka pani Terakowskiej, ponieważ jej ojciec... odszedł.

— Miło mi cię poznać, moja droga. — Staruszka poprowadziła ich do salonu. — Napijcie się herbaty?

Wszystkie siedzenia były pokryte pokrowcami. A sama kobieta wyglądała niczym z zeszłego stulecia: miała wyprostowaną sylwetkę, siwe włosy zawinięte w formie szerokiego, płaskiego wzniesienia nad czołem, trzymającego się z tyłu głowy na perłowym grzebieniu. Jej czarna sukienka szeleściła o podłogę, podnosząc frędzle dywanu, kiedy szła przez pokój do sznurka dzwonka przy kominku.

Rita miała wrażenie, że znalazła się na innej planecie.

— Bardzo miło panią poznać. Tak, chętnie napiję się herbaty. — Chętnie? Nieziemsko chętnie! Po czym pomyślała: „Mieszkańcy getta są brutalnie traktowani, a ja siedzę tutaj i czekam, żeby pić sobie herbatkę”.

Gdy usiadła, Stefan podszedł do niej i powiedział coś szeptem.

— Przepraszam — powiedziała zawstydzona Rita. — Dziecko potrzebuje do toalety.

— Jaka jestem niedomyślna. — Pani Terakowska poczuła się zażenowana. — Przecież oboje musicie się odświeżyć. Toaleta jest na górze przy schodach.

Rita spojrzała przez otwarte dwuskrzydłowe drzwi do przedpokoju. Na górze? Zdażyła już prawie zapomnieć, że istnieje kanalizacja wewnątrz domu. Kiedy wróciła, służąca serwowała właśnie herbatę.

Po pół godziny błahej rozmowy do salonu weszła młodsza kobieta, która ożywiła się na widok Ericha i przywitała go, całując w oba policzki, jak gdyby należał do rodziny, a następnie się przedstawiła:

— Nazywam się Lidia. Przepraszam, Erichu, ale potrzebujemy cię w zakładzie. — Najwyraźniej nie był wyłącznie księgowym. Potem zwróciła się do Rity: — Pójdzie pani z nami?

Rita wyczuła w jej głosie coś więcej niż zwykle zaproszenie.

— Oczywiście.

Wzięła Stefana za rękę i poszła z nimi.

Przeszli przez kuchnię i wyszli tylnymi drzwiami na brukowaną alejkę oddzielającą rezydencję od kompleksu magazynów i budynków fabrycznych. Wewnątrz największego z budynków krótkie schody prowadziły do biura z wielkim oknem wychodzącym na zakład. Trzymając Stefana za rękę, Rita miała problemy, żeby za nimi nadążyć, kiedy wchodzili po klatce schodowej. Na górze spojrzała przez okno na halę fabryczną.

Na stołach warsztatowych leżały ziemistoszare, wojskowe, niemieckie płaszcze, przeplatające się z maszynami do szycia, wielkimi pudłami metalowych guzików i torbami, z których wyjmowano materiały z insygniami wojskowymi. Robotników — mężczyzn i kobiet, niektórych bardzo młodych — przy stołach jednak nie było. Stali w małych grupkach, niektórzy płakali, inni rozrywali własne ubrania. Niektórzy krzyczeli, podczas gdy pozostali próbowali ich uspokajać. Kilka osób stało przy drzwiach wyjściowych, które były blokowane przez ich współpracowników.

Erich spojrzał na Lidię, a ona zaczęła opowiadać:

— Od rana przychodzą ludzie z coraz straszniejszymi opowieściami.

— Rozumiem. — Skinął głową, odwrócił się i zszedł na dół do zakładu.

Patrząc przez okno w biurze, widzieli go idącego na drugą stronę budynku, gdzie

zgromadziła się największa grupa robotników. Rita nie słyszała, co mówi, ale cokolwiek to było, po kilku minutach jego słowa przyniosły widoczne efekty. Niektórzy wrócili do stołów warsztatowych, inni powrócili do przenoszenia asortymentu z miejsca na miejsce. Kilka samotnych osób nie zmieniło położenia.

Erich wrócił do biura.

— Co im powiedziałaś? — zapytała Rita.

— Większość z nich zostawiła dzisiaj rano swoje dzieci w getcie. Powiedziałem im, że otrzymaliśmy stamtąd wieści i dzieci zostały ukryte. A potem, że mamy do wyrobienia normę i zależy od tego życie innych ludzi.

Erich usiadł przy biurku i przyciągnął do siebie główny rejestr. Potem podał trzy kolorowe kredki i kartkę papieru Stefanowi, który zaczął bawić się na podłodze. Lidia zajęła się korespondencją. Pozostawiona sama sobie Rita zeszła na dół i zorientowała się, że niektóre obowiązki robotników nie wymagały specjalnych umiejętności i dadzą jej chwilowe zajęcie. Znalazła więc miejsce przy jednym ze stołów warsztatowych i zaczęła sortować guziki.

## Rozdział 11

Tej nocy po godzinie policyjnej prześlizgnęli się tą samą drogą z powrotem do getta. W pokoju na górze znaleźli trzęsącego się Kaltenbrunnera. Nic nie powiedzieli. Jednak on nie mógł znieść milczenia.

— Nie chcecie wiedzieć? Jeśli wyrzycie przez okno jutro rano, ciała wciąż tam będą. Do południa musieli zabić kilka tysięcy ludzi w getcie. Zabijali każdego, kto nie wyskoczył przez okno, był nie na swoim miejscu, niósł cokolwiek, do momentu aż feldfobel kazał najemnikom wstrzymać ogień. Powiedział, że jeśli zabiją zbyt wielu, to nie uda im się wyrobić normy na bocznicach kolejowych.

— Słyszałeś to wszystko?

— I widziałem. Przez okno w piwnicy, gdzie ukrywałem się z około pięćdziesięcioma dziećmi. Jutro albo następnym razem, kiedy zorientują się, że nie dorwali zbyt wielu dzieci, będzie znacznie gorzej.

— Jutro mają oczyszczać getto B — zauważył Erich po cichu.

— Skąd ty to wszystko wiesz? — Rita nie tyle pytała, co wyrażała swoje zdumienie.

— Nie pytaj. — Zastanawiał się nad lepszą odpowiedzią. — Głównie od Lidii. Zawsze są jakieś przecieki.



Niemcy byli tak metodyczni, jak mówił Erich. Następnego dnia doszczętnie spalili mniejsze getto razem z tymi, którzy jeszcze się tam ukrywali. Rita po raz pierwszy poczuła taki zapach: najpierw płonących ludzkich włosów, potem skóry, a na końcu organów. Drażniący woń została zastąpiona przez charakterystyczny odór pieczonego mięsa, który najpierw był cukierkowo słodki, a potem unosił się w powietrzu niczym dym z tłącego się papierosa. Jedynym sposobem na pozbycie się zapachu było przebywanie w wychodku. Jednak nawet to działało tylko przez kilka minut. Dlaczego jej dziecko musiało to przeżywać?

Powietrze się oczyściło, ale woń została z nią już na zawsze.



Tej nocy Erich i Rita położyli się razem, żeby zaznać odrobiny ciepła i człowieczeństwa.

— Wkrótce wrócą po dzieci — zaczął szeptać Erich. Zamilkł na chwilę, zbierając się na odwagę. Następnie kontynuował: — Myślę, że możemy ocalić Stefana. — Rita nie odpowiedziała, więc przedstawił jej plan. Ostatni list od jej rodziców z Gorlic opisywał wciąż jeszcze względnie dobre warunki tam panujące. Lidia mogłaby znaleźć jakąś Polkę, która dostarczyłaby im Stefana. — Będzie bezpieczny, a my załatwimy ci pozwolenie na pracę w zakładach Terakowskiego.

— Nie mogę tego zrobić.

W ciemności dobiegł ich głos Kaltenbrunnera, który przysłuchiwał się rozmowie.

— Rito, musisz to zrobić. — Mówił przez zaciśnięte zęby. — Musisz. Słyszałaś kiedyś o *Kindertransport*? — Rita milczała, a on kontynuował: — W trzydziestym dziewiątym wszyscy wiedzieli już, że wybuchnie wojna. Brytyjczycy zorganizowali dziesięć tysięcy wiz dla niemieckich dzieci. Ludzie zabrali na *Bahnhöfen* — dworce kolejowe — swoje dzieci, spakowane i oznaczone, i byli pewni, że nic im się nie stanie. W ostatniej chwili niektóre matki

chwyciły swoje dzieci i uciekły do domów. Wszystkie te dzieci dzisiaj już nie żyją.

Rita nie miała zamiaru się kłócić. Życie bez dziecka straciłoby sens. Nie zostałyby jej dosłownie nic, dla czego mogłaby żyć. Żaden powód, żeby dalej oddychać.



Rita sądziła, że sprawa upadła. Została jednak zmanipulowana przez dwóch mężczyzn, którzy znali się na rzeczy lepiej niż kobieta. Nie było zbyt wiele czasu do stracenia. Freddy zaczął przygotowania, znajdując w rzeczach Rity adres jej rodziców. W ciągu trzech dni Lidia Terakowska znalazła kogoś — kuriera polskiej Armii Krajowej — kto podróżował między Galicją a okolicami Tarnowa, gdzie mieszkali jej rodzice. Następnie pewnego wieczoru wybrali odpowiedni moment, żeby poruszyć ten temat z Ritą.

Erich pokazał zdobyte od Terakowskich pozwolenie na pracę z jej imieniem i nazwiskiem.

— Rito, to pozwoli ci na poranne wychodzenie z getta i uniknięcie następnej akcji oczyszczania.

Spojrzała na dokument.

— Ale co ze Stefanem? Nie mogę zabierać go do fabryki.

— Musisz wysłać go do swoich rodziców. To jego jedyna szansa na przeżycie — odpowiedział Freddy pewnie i spokojnie.

— Powiedziałam wam już, że nie mogę zrobić tego własnemu dziecku. Wolę umrzeć.

— Wolisz, żebyście zginęli oboje, niż żebyście przeżyli? — powiedział Erich z irytacją w głosie. Nie mógł nad sobą zapanować. — Co z ciebie za matka?

Wtedy głos zabrał Freddy:

— Ktoś musi przeżyć tę wojnę. Ty, twój syn, ktokolwiek. Erichowi i mnie pewnie się nie uda. Tobie może też nie. Ale nie masz prawa pomagać im w zabijaniu większej liczby nas, niż są w stanie. Ktoś musi powiedzieć o tym wszystkim światu, dać świadectwo, dopilnować, żeby winni zostali ukarani.

Rita pozbierała myśli i odpowiedziała:

— Dać świadectwo ich zbrodni przed kreską odcinającą historię? — Fuknęła odmownie. — To nie powód, żeby pozostać przy życiu. Za sto lat będą mówić o Hitlerze tak, jak my teraz myślimy o Napoleonie. A za tysiąc lat stanie się następnym Aleksandrem Wielkim, który ocalił cywilizację przed bolszewickimi hordami, tak jak Aleksander uchronił Grecję przez Persami. — Zamilkła zmartwiona tą wizją. — Masz rację, nie mam prawa pomagać im zabijać. Ale moje emocje są prawdziwe i krzyczą do mnie, że nie mogę odesłać chłopca.

Kaltenbrunnerowi udało się w końcu zwrócić na siebie uwagę.

— Tak, twoje emocje krzyczą do ciebie. Ale one nie mają zdolności przewidywania. Nie potrafią spojrzeć w przyszłość. Patrzą wstecz na to, co pozwalało twoim przodkom przetrwać. Jeśli pozwolisz im podjąć decyzję w kwestii życia lub śmierci, pożałujesz tego w przyszłości, której twoje emocje nie są w stanie przewidzieć.

Rita słuchała, jednocześnie zajmując się czymś innym. Próbując zmusić się do rezygnacji ze Stefana. Wyobrażała sobie uczucie straty, żalu, przerażenia oraz udręki, których doświadczyłyby, gdyby Niemiec, Ukrainiec albo *Jupo* wyrwał jej Stefana i zrobił mu coś tak podłego, że nie mogła nawet tego ubrać w słowa pomimo tego, że te obrazy przemykały w jej wyobraźni. Wyobrażała sobie mimowolnie, jak mężczyzna spycha Stefana ze swojego bagnetu za pomocą wojskowego buta, z którego potem czyści krew, pocierając obcasem o krawężnik, jak gdyby został zbrukany przez psa. Zmuszała się do patrzenia, jak Stefan skacze w grupie dzieci,

blągając o skórkę od chleba. W jej wyobraźni były rozstrzeliwane jedno po drugim jak gliniane cele poruszające się w karnawałowej grze. Na końcu wyobraziła sobie Stefana ściskanego przez żołnierza, który trzymał go mocno w ręce, aż nagle ją otworzył i rzucił jego małym ciałem w ceglany mur. Uczucia, które wywołała tymi wyobrażeniami, zmyły ból, jaki czuła na myśl o odesłaniu go.

— Zgadzam się.

Erich zaczął szeptem:

— Nie mamy zbyt wiele czasu. Jutro zmiotą getto C. A na początku następnego tygodnia znów przyjdzie kolej na nas. — Rita skinęła głową. — Musisz go przygotować na przekazanie jutro po południu. Osoba kontaktowa Lidii być może będzie w stanie zrobić to tak szybko.



Właściwie przekazanie miało miejsce dwa dni później, późnym popołudniem, kiedy Erich wślizgnął się z powrotem do getta i poprowadził Ritę, trzymającą Stefana blisko siebie, na ulicę po drugiej stronie muru. Osobą kontaktową znaną przez Lidię była bardzo wysoka kobieta o prostych plecach, w długim płaszczu i kapeluszu w kształcie hełmu, z piórem jak u Robin Hooda i twarzą osłoniętą do połowy całkiem modną woalką. Delikatny czarny ażur na woalce składał się z linii i węzłków i kończył się tuż nad jej ustami, które były lekko, ale zauważalnie przechylone w prawo. „Czy to był skutek udaru czy — chyba prawdopodobniej — ostatni znak trudnego porodu kleszczowego?” — zastanawiała się żona lekarza wewnątrz Rity. Nieco później, kiedy oddała Stefana w jej ręce, zauważyła delikatnie pomalowane lakierem paznokcie. Kobieta ostrożnie postawiła Stefana na chodniku. Rita podała jej małą torbę, ale kobieta odmówiła.

— Nie możemy wyglądać, jakbyśmy wyjeżdżali na dłuższy czas.

— Rozumiem. Już to pani robiła? — Kobieta potwierdziła skinieniem. Rita przyjrzała się jej dokładniej, próbując zapamiętać twarz. Musiała ją później rozpoznać. Ale woalka jej to utrudniała.

— Mogę wiedzieć, jak się pani nazywa?

— Przepraszam. Nie mogę tak ryzykować. Jestem z Armii Krajowej. — Był to narodowy polski ruch oporu. — Zazwyczaj jestem kurierem. W Nowym Sączu jest nasz oddział. Zabiorą chłopca do dziadków w Gorlicach. Nauczyłam się adresu na pamięć. — Rozejrzała się w obie strony ulicy. Po czym wyjęła z kieszeni kawałek landrynki. — Proszę, Stefanku, a teraz pocałuj mamusię i pójdziemy razem na spacer. — Erich stał z boku, czując, że powinien coś zrobić.

— Rito — szepnął. — A co z jego wypchanym psem? Może zabierze przynajmniej jego. — Potrząsnęła głową.

— Muszę mieć po nim pamiętkę. — Zaczekała z płaczem, aż Stefan zniknął za rogiem.



Następnego dnia była sobota. Dla Rity, żyjącej teraz tylko z powodu pracy przymusowej, był to dzień pracujący. Gdy zapadła noc, wyszła za Erichem przez bramę getta, pokazując przepustkę z wyuczonym znudzeniem, zostając kilka kroków w tyle i nie okazując zdziwienia widokiem ulic poza gettem. Pomimo mroku i zimna spacer do zakładu Terakowskich na swój sposób dawał jej poczucie wolności.

Po wypiciu bardzo gorącej i słabej herbaty oraz zjedzeniu kawałka chleba z żyta i trocin, na którym było więcej margaryny, niż widziała w ciągu miesiąca, Rita została przydzielona do obszywania dziurek na guziki. Była to praca manualna wymagająca dobrego wzroku i równomiernego szwu, ale niosła za sobą niewielkie ryzyko zniszczenia płaszcza. Siedziała przy



stole, pracując w skupieniu przez cały ten dzień i następny i starając się nie chodzić do biura za każdym razem, kiedy widziała wchodzącą tam Lidię — nie mogła już niczego więcej zrobić dla swojego dziecka i wiedziała, że i tak nie ma wpływu na jego dalszy los. Poza tym, nie znając go, mogła sobie wyobrazić, że Stefan siedzi na kolanach babci, jest karmiony i rozpieszczany w ciepłe i czystości.

Do wtorku zdążyła już tak dobrze opanować ten trik, że nic jej już nie rozpraszało. Zajmowała się właśnie guzikami do płaszcza *feldgrau*, kiedy podszedł do niej Erich i usiadł obok.

— Dopiero co się dowiedzieliśmy. Kobieta, kurier, została zatrzymana przez Gestapo. — Rita wstrzymała oddech. Ścisnął ją mocno za nadgarstek i zadając jej ból, powstrzymał ją od krzyknienia. — Nie wiedzą, kiedy i gdzie dokładnie. Miała przy sobie dokumenty Armii Krajowej. Nie mają pojęcia, czy zdążyła dostarczyć Stefana bezpiecznie na miejsce.



Dwa tygodnie później przyszedł list od ojca Rity. Ostatni. W Gorlicach warunki uległy zmianie. Stary gauleiter został usunięty, a nowy zaczął bezlitośnie zaprowadzać w mieście nowe porządki. Żydom, którzy zostali, nakazano spakować walizki do podróży na wschód i stawić się następnego ranka. Ojciec Rity wiedział, że wysyłają ich na śmierć. Przeczytała list trzykrotnie. Nie było w nim ani słowa na temat Stefana.



Cała trójka siedziała na podłodze. Każde opierało się o inną ścianę i gapiło na świecę lampy, która stała na środku pokoju. Przypominali rodzinę, która przestała ze sobą rozmawiać. Panująca między nimi cisza była złowieszczą.

Przerwał ją głos Ericha:

— Freddy, powiedziałeś kilka tygodni temu coś, co ciągle do mnie wraca. Coś, czego w ogóle nie rozumiem.

— Co takiego? — zapytał obojętnie Kaltenbrunner.

— Powiedziałeś, że Darwin wyjaśnia wszystko, nawet los Żydów. W tej książce nie ma nic na temat Żydów, Niemców, ani nawet jakiegokolwiek ludzkiej historii, prawda?

Rita spojrzała w górę. Przypomniała sobie to pytanie, które wracało do niej, kiedy wszyscy już spali.

— Tak, opowiedz nam, Freddy. Opowiedz nam, jak twój profesor Darwin przewidział, że Niemcy wymordują Żydów.

— Wręcz przeciwnie. Niemcy nie wymordują Żydów. I ostatecznie poniosą klęskę.

— Ostatecznie, kiedy już wszyscy będziemy martwi? — Ton Ericha był spokojny, ale też ostry.

— Nie wszyscy, Erichu. Zabiją wielu z nas, ale nie wszystkich.

— Dlaczego jesteś tak optymistycznie nastawiony?

— Posłuchaj, Rito, pomyśl o nazizmie jak o chorobie przenoszonej przez zarazki, takiej, która jest wysoce zakaźna i wdziera się do mózgu, używając ludzkiej nienawiści, strachu i chciwości. Przez lata słabła, nie mogąc się rozprzestrzeniać. A potem świat się zmienił — nadszedł Wielki Kryzys — i zaczęła się rozmnażać, i szerzyć.

— Nas nie zaatakowała, ale zdoła nas zabić — wtrącił Erich.

— Być może... Prawdopodobnie. Przy sprzyjających warunkach nazizm przechodzi z jednego mózgu do drugiego. Zabija swojego nosiciela jak każdy pasożyt, więc potrzebuje

rozprzestrzeniać się szybciej, żeby móc przeżyć. Pomyślcie o wszystkich tych nazistach ginących na froncie wschodnim.

— Skąd masz pewność, że choroba zostanie wykończona, zanim zdoła wykończyć wszystkich innych.

Nie widzieli, że Kaltenbrunner uśmiechnął się, kiedy usłyszał pytanie, którego się spodziewał.

— Jak każda choroba nazizm rodzi opór. Pomyślcie chociażby o dżumie dymienicznej szalejącej w XIV wieku. Dżuma zabiła trzydzieści procent całej populacji Europy. Ale stworzyła dla siebie nowe, niekorzystne warunki. Zostawiła całe odporne na chorobę pokolenie. „Czarna śmierć” już nigdy się nie powtórzyła. W przypadku nazistów będzie tak samo.

— Ale dlaczego Niemcy nie mieliby wymordować nas wszystkich, zanim jeszcze nazizm zostanie wypalony albo sam się wypali? — Rita była nieustępliwa.

Kaltenbrunner milczał przez chwilę.

— Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Nikt nie zna. Darwin doszedł do wniosku, że nie da się przewidzieć, gdzie, kiedy, a nawet jaka wariacja wyłoni się na oślep, żeby zacząć wykorzystywać swoje otoczenie. Wiadomo tylko tyle, że zawsze jakaś będzie. Gdzieś, kiedyś, z jakiegoś powodu, może nawet teraz powstaje właśnie jakaś wariacja — jakaś odpowiedź, reakcja wywołana nowym środowiskiem, które nazizm sobie stworzył, reakcja, która go zniszczy.

Erich słuchał i myślał: „Freddy, masz rację i twoje rozumowanie nie jest dalekie od prawdy. Gdybyś tylko wiedział”. Istniało coś pracującego już nad zniszczeniem nazizmu. I Erich przysięgł zachować to w tajemnicy. Czy mogłaby ona jakkolwiek odmienić ich sytuację? Nie rozumiał, w jaki sposób miałyby tego dokonać.

## Rozdział 12

Z końcem kwietnia dotarły rozkazy, żeby zawiesić *Aktionen* oczyszczania getta. Leideritz zastanawiał się dlaczego. Być może inne, większe getta — we Lwowie i Lublinie — miały wyższy priorytet. Nieważne, tyfus i głód załatwiały część roboty za niego. Najważniejsze było, żeby nie dopuścić do rozprzestrzeniania się choroby poza murami getta. Będzie to wymagało ostrej dyscypliny. I tak już był zmuszony grozić frontem wschodnim niejednemu nieogolonemu *Polizist* z powodu jego niechlujstwa.



Przejście przez bramę getta wymagało codziennego dwukrotnego wykorzystywania zdolności do nierzucania się w oczy. Nigdy nie wracać jako pierwsza. Nigdy się nie spóźniać. Nie mieć niczego przy sobie. Żadnych jasnych kolorów, żadnych łachmanów i ponad wszystko zero kontaktu wzrokowego, ani ze współwięźniami, ani z *Polizist*. Co najmniej raz Rita sądziła jednak, że jej się nie uda.

Wróciła późno, gdy już rozlegały się syreny na godzinę policyjną, popychano ją w tłumie i przypadkowo otarła się o rękaw jednego z Niemców.

— *Entschuldigung, mein Herr* — powiedziała tak uniżenie, jak tylko potrafiła.

Może spowodował to nienaganny niemiecki, ale słowa wstrząsnęły gefrejterem, który zdruzony płynącym tłumem, złapał ją za płaszcz i pchnął na ziemię.

— Za blisko, żydowska locho.

Rita patrzyła, jak sięga dłonią do paska nośnego, szukając broni bocznej, a potem usłyszała, jak trzasnął metalowy zamek kabury i cicho pisnęła sztywna, polerowana skóra. Cała scena wydawała się rozgrywać w nadzwyczaj zwolnionym tempie. Próbowwała nawiązać kontakt wzrokowy. Nie było szans! Jego twarz była zasłonięta przez czarne rondo czapki z długim daszkiem. W tej chwili ukazała się jej metaliczna, granatowa lufa pistoletu. Nawet czuła jej zapach — czy to była kosmolina, nafta do pistoletów, proch?

Z budki wartowniczej wyszedł leutnant. Kapral wyprostował się.

— Wracać na pozycję, gefrejter. Nie możemy już marnować naboju, szczególnie na robotników.

Oficer oddalił się, a żołnierz tylko kopnął Ritę w udo. Wstała i odeszła, jak gdyby nic się nie stało. Zupełnie nic się nie stało — postanowiła.



Firma tekstylna Terakowskiego była siedliskiem konspiracji. Większość pracowników zdołała dołączyć krewnego lub dwóch do załogi. Teraz w budynkach znajdowały się już ich setki, które każdego dnia karmiono, ogrzewano i trzymano z dala od niebezpieczeństw. Każda wyprodukowana część odzieży podlegała wymagającej, niemal obsesyjnej kontroli wad i prawie każda wymagała jakichś poprawek. Pracę rozkładano na wolne pary rąk.



Kilka dni po tym, jak zaczęła obszywać dziurki na guziki, Rita zwróciła uwagę na młodą kobietę, właściwie dziewczynę. Trudno było jej nie zauważyć. Była niska, miała ciemną skórę i obcięte na pazia włosy, które wyglądały, jakby codziennie były myte i podcinane przez

francuskiego fryzjera — jak ona to robiła bez szamponu lub chociażby ciepłej wody? Miała ciemne brwi, a między nimi, nad wydatnym nosem, zmarszczki mimiczne, które sprawiały, że miała poważny wyraz twarzy, przez Niemców nazywany żydowskim. Ale to w jej oczy Rita nie mogła przestać patrzeć. Małe tęczówki w wielkich białkach sprawiały, że można było stwierdzić z dowolnej odległości, że dziewczyna patrzyła na nią.

Trzeciego dnia rano Rita otwarcie się do niej uśmiechnęła, spoglądając znad kubka z parującą herbatą. Do tego popołudnia dziewczyna pracowała przy stole za nią, stojąc na wysokim stołku bez oparcia i mając przed sobą zapinany na pasek płaszcz gabardynowy oraz małą książkę schowaną do połowy pod jego fałdami. Nie przerywając szycia, Rita zapytała:

— Co tam czytasz?

— *Pana Tadeusza* — usłyszała szept.

— Wszyscy na tym dorastaliśmy, prawda? — Rita uśmiechnęła się nieznacznie.

— Zabawne. W szkole tego nie znosiłam. Była to obowiązkowa lektura w trzech klasach gimnazjum, do którego zostałam posłana. — Przerwała. — Mam na imię Daniela, po dziadku. Ale mówią do mnie Dani. Pani imię znam... Brzmi Rita. Pani jest przyjaciółką Ericha, prawda? — Rita skinęła głową.

— Dlaczego znowu ją czytasz, skoro jej nie znosiłaś?

— Kazali nam ją czytać, dlatego jej nie znosiłam.

— Więc teraz ci się podoba? — Rita zamyśliła się na chwilę.

— Teraz mogę tylko myśleć o tym, jak nakłoniła nas do polskiego patriotyzmu.

Rita spojrzała w dół na robótkę ręczną.

— Zobacz, dokąd nas doprowadził. Patriotyzm jest dla Niemców! Nie dla Polaków, a już na pewno nie dla nas.

Dani nie dała się przestraszyć.

— Jednak wciąż jest piękna.

Rita musiała pokazać, że nie jest ignorantką. Odłożyła igłę i naporstek, zamknęła na chwilę oczy i zaczęła recytować wiersz:

*O Matko Polsko! Ty tak świeżo w grobie*

*Złożona — nie ma sił mówić o tobie!*

Spojrzała na dziewczynę.

— A nasze siły? Czy powinniśmy je marnować, czcząc Polskę?

— Jest piękna. — Dani nie pozwoliła na zakwestionowanie swojego argumentu.

— Tak, wiersz jest bardzo piękny, ale tylko tyle. Pomyśl o słowach wychwalających kraj, który o tobie zupełnie zapomniał. Niech Niemcy go sobie wezmą — do diabła z nim...

— Przestań. — Dani powiedziała to tak głośno, że robotnicy przy innych stołach odwrócili się w ich kierunku, gotowi przerwać bójkę.

Ale Dani właśnie przytulała się do Rity i szeptała słowa, które tylko ona była w stanie usłyszeć.

— Jest piękna i to wystarczy.

Puściła ją i wróciwszy do pracy, zaczęła recytować z pamięci.

Rita na początku nie słuchała. Wciąż jeszcze czuła jej gwałtowny uścisk, nawet długo po tym, jak ją wypuściła. Dlaczego? Nie chodziło o zwykły kontakt z człowiekiem. Przeszył ją dreszcz, którego nie potrafiła porównać z niczym, czego do tej pory doświadczyła. Uczucie w

końcu ustąpiło. Rita zaczęła przysłuchiwać się recytacji. Kiedy Dani skończyła, Rita zapytała:

— Po co ci książka? Znasz ją na pamięć.

— Nie znam jeszcze całej. Próbuję ją zapamiętać.

— Całą? Jak to możliwe? Przecież to czterysta stron.

— Ale słowa się rymują. Więc to możliwe. *Iliadę* i *Odyseję* śpiewano z pamięci, na długo zanim zostały spisane. Kiedy nauczę się całej książki, nikt mi jej nie odbierze. Będę w stanie uciec od tego wszystkiego, kiedy tylko zechcę.

Machnęła jej lekceważąco ręką przed twarzą. Potem przegryzła nić i w końcu odłożyła część, nad którą pracowała.



W ciągu kilku dni Rita i Dani stały się nierozłączne, siadały przy jednym stole. Rita słuchała długich fragmentów *Pana Tadeusza*, chwilami zamykając oczy i spokojnie wsłuchując się w rytm delikatnego głosu dziewczyny. W niektóre dni milczały, a Dani bezgłośnie poruszała ustami, powtarzając fragmenty, których jeszcze nie umiała, a otwartą książkę przytrzymywał leżący na stole materiał. Rita jej nie rozpraszała. Od czasu do czasu wracały wieczorami razem do getta. Wtedy także nie miały okazji porozmawiać. Dani poświęcała te dwadzieścia minut na sprawdzanie, ile tego dnia udało jej się zapamiętać. Pewnej nocy Rita zrozumiała, że jedyne, na co czeka, to wykonanie zadania, które Dani przed sobą postawiła.

Kiedy rozstawały się za bramą, często uśmiechały się do siebie, wyciągały ręce i pocierały dłonią o dłoń. Ale Rita nigdy nie pytała Dani, gdzie mieszka, skąd pochodzi, z kim tam jest, ani nawet co jeszcze ceni poza epopeją. Rita nie chciała nic wiedzieć. Taka wiedza mogłaby sprawić, że prysnąłby czar między nimi. A Dani była podobnie niezainteresowana.

„Dani zna Ericha. Może on mi o niej opowie” — zastanawiała się czasami Rita. Ale nigdy nie pamiętała, żeby rzeczywiście go o nią zapytać.



Pięć miesięcy później, mniej więcej w połowie września, gdy szli przejściem między głównymi budynkami fabryki a ulicą, Erich wyprzedził Ritę, mamrocząc:

— Idź obok mnie. — Dogoniła go. Z czystej rozwagi rzadko spotykali się na drodze między pracą i gettem. W końcu zaczął mówić. — Ma być ogólna rejestracja. Lidia prosiła mnie, żebym sporządził wierną listę niezbędnych pracowników, najwyżej dwustu z sześciuset pięćdziesięciu, których obecnie chronimy.

— Na kiedy masz to mieć?

— Powiedziałem jej, że nie mogę tego zrobić. Nie sporządzę listy ludzi, którzy mają zginąć — jedni teraz, a inni później.

— Nie możesz mieć pewności, że tak się stanie. Poza tym zrobisz tylko to, co ci każą.

— Posłuchaj sama siebie... Wszyscy wiedzą, co jest przewożone linia kolejową do Bełzca. Nikt nie jedzie na wschód na przesiedlenie. Wypisywałbym na nich wyroki śmierci.

— Zatem zamierzasz pozwolić zrobić to Lidii albo któremuś z jej brygadzystów? Tylko po to, żeby nie ubrudzić sobie rąk?

— Rito, czy nigdy zwyczajnie nie odmówiłaś zrobienia czegoś tylko dlatego, że nie mogłaś się do tego zmusić?

„Raz” — pomyślała Rita i powiedziała to pod nosem.



Zbliżając się do swojego zrujnowanego budynku, Erich i Rita zobaczyli ciało leżące niedaleko drzwi. Nic w tym nadzwyczajnego. Nie przyspieszyli nawet kroku, póki się nie zorientowali, że na chodniku widać było ślady płynącej krwi, a ciało ciągle się ruszało. Jednak nawet to ich nie wzruszało, dopóki nie odkryli, że to Kaltenbrunner.

Wnieśli go do środka i po schodach na górę. Położyli ostrożnie na materacu. Rita pochyliła się nad jego twarzą, a Erich zaczął go oglądać.

Kaltenbrunner szeptał:

— Napadli dzisiaj na sierociniec... Dowiedzieliśmy się pięć minut wcześniej i próbowałem ukryć najmłodsze dzieci. Ale mieli psy... To nic nie dało... Zabrali je wszystkie. A potem zajęli się nauczycielami.

Erich skończył go badać:

— Udało mu się doczołgać tutaj ze złamaniem otwartym kości udowej... Nie patrz. — Powstrzymał ją, gdy kierowała dłoń w stronę jego nogi. — Stracił dużo krwi i wydaje mi się, że ma obrażenia wewnętrzne — sądząc po siniakach, może mieć uszkodzoną śledzionę. I z pewnością ma wstrząśnienie mózgu.

Erich spojrzał na jej lewą rękę. Trzymała na niej głowę Freddy'ego i dłoń była cała we krwi. Bez chwili zastanowienia wytarła ją o spódnicę.

— Wątpię, żeby przetrwał noc. Spróbujmy ułożyć go wygodnie — powiedział Erich.

— Nie powinniśmy czasem wezwać medycznego zespołu ratowniczego?

— Już prawie nikt z nich nie został. Poza tym nie mają jedynej rzeczy, której on potrzebuje — morfiny.

Rita wstała, podeszła do swojego materaca i wyjęła spod pościeli wypchanego psa Stefana. Rozdarła szew. Ze środka wypadły dwa małe woreczki. Podniosła jeden z nich i przyniosła go Erichowi.

— Morfina.

Erich opróżnił woreczek, przejrzał zawartość i wziął jedną fiolkę morfiny i strzykawkę, wkładając resztę z powrotem do worka. Potem wyjął pasek ze spodni i podał go Ricie.

— Podciągnij mu rękaw i zaciśnij pasek na ramieniu, powyżej łokcia. — Wykonała polecenie, a on w tym czasie nabrał do strzykawki pięćdziesiąt mililitrów płynu. Patrzyła, jak żyła w ręce Kaltenbrunnera się uwypukla. Erich wbił igłę i naciągnął do strzykawki wystarczająco dużo krwi, żeby płyn w niej stał się czerwony. Wtedy Rita zemdląła. Chwilę później ocknęła się, zawstydzona swoją chwilą słabości.

— Ludzie często mdleją na widok zastrzyku oraz krwi. Większość tak reaguje. Mnie przytrafiło się to, kiedy po raz pierwszy robiono mi odczyn Wassermanna. — Jej wzrok wskazywał na to, że nie ma pojęcia o chorobach wenerycznych, a Erich nie miał zamiaru jej uświadamiać. — Zazwyczaj lekarz lub pielęgniarka każą ci nie patrzeć. — Erich spojrzał na Kaltenbrunnera. — Przez chwilę będzie mu lepiej. Jeśli przeżyje następnych kilka godzin, to damy mu więcej. — Erich spojrzał teraz na dwa woreczki. — Skąd to masz? — Najpierw zważył woreczek z fiolkami morfiny, a dopiero potem monety.

— Mąż mi zostawił, kiedy wstąpił do Armii Czerwonej.

— Przecież to twoja ostatnia deska ratunku stąd, Rito — powiedział Erich ożywiony.

— Pieniądze?

— Nie. Woreczek takich złotych monet to tylko magnes na pijawki. Ale mając morfinę... Możesz wykorzystać ludzi do pomocy i nie będą chcieli od ciebie nic więcej.

— Wyjaśnij mi, proszę.

— Za pomocą kilku fiolek Lidia mogłaby prawdopodobnie zdobyć każdą możliwą pieczętkę, której mogłabyś kiedykolwiek potrzebować na swojej polskiej ausweis. I ktokolwiek

dostanie morfinę w zamian, na pewno nie doniesie na ciebie do Gestapo. Będzie po twojej stronie. — Zamilkł na chwilę, a potem zaczął stanowczym tonem: — Nie idź jutro rano do pracy. Weź jakąś przyzwoitą sukienkę do fotografa w getcie i zrób sobie zdjęcia. Nie musisz mu mówić, że potrzebujesz zdjęć do paszportu. I tak mogą robić już tylko takie. I nie zakładaj przed wyjściem sukienki. Zrobisz to, kiedy będziesz na miejscu. No i przede wszystkim nie mów fotografowi, do czego potrzebne ci są zdjęcia.

— Mogę po drodze coś jeszcze zrobić źle? — Uśmiechnęła się, ale bez wyrazu.

— Wybacz — zaczął znowu Erich. — Ale musimy to zrobić w ciągu najbliższych trzech dni. — Rita spojrzała na niego.

— Dlaczego?

— Po to chcą listę robotników. Dlatego zamknęli sierociniec i zabrali dzieci. Będą kolejne *Aktionen*.

Erich włożył do kieszeni trzy fiołki, po chwili zastanowienia dołożył czwartą. Oddał jej pozostałe sześć, odkręcił igłę ze strzykawki i wyjął z niej tłok.

— A co z tobą? — zapytała. Uderzyło ją nagle, że Erich cały czas mówił tylko o niej. — Jeśli potrzebujemy tylko kilku fiołek, to dla ciebie też wystarczy.

— Ja mam inne plany. Poza tym mężczyźni nie wystarczyłyby nawet prawdziwe dokumenty, żeby móc się za nimi ukryć.



Freddy nie potrzebował więcej, żeby umrzeć w komfortowych warunkach. Kiedy Erich kończył drugą fiołkę zastrzyków, Rita przestała już mdleć na ich widok.

Nie mogła zasnąć. I nie chodziło tu o leżące między nimi ciało. Widziała ich już wiele. To trzeci woreczek zaszyty w wypchanym psie Stefana spędzał jej sen z powiek. Ten zawierający małą niebieską buteleczkę z napisem *Cyanure de potassium*. Nagle wszystko stało się dla niej jasne. To była najlepsza droga ucieczki. Stefana już nie było. Erich, Dani, każdy, kto miał dla niej jakiegokolwiek znaczenie, i tak wkrótce umrze, w taki albo inny sposób. Nawet gdyby jakimś cudem udało jej się uciec, nie chciałaby przeżyć bez nich. Nie mogła żyć w świecie stworzonym przez nazistów i codziennie sobie o nich przypominać. Zwyczajnie nie miała powodu, żeby dalej to ciągnąć.

— Erichu, śpisz? — szepnęła.

— Nie. — Dobiegł ją głos z drugiej strony ciała Kaltenbrunera.

— Nie wpisuj mnie na listę. Nie próbuj załatwiać dla mnie dokumentów. Nie zrobię sobie tych zdjęć. Chcę, żeby to się skończyło teraz. Nie chcę już dłużej czekać.

— Powiedziałem ci, że nie zamierzam robić tej listy. Ale ty i tak przeżyjesz.

— Znam inny sposób i zamierzam z niego skorzystać.

— Rito, ukrywasz coś jeszcze w tym wypchanym zwierzaku? — Milczała. *Skąd mógł wiedzieć?* — Cóż, Rito, to byłby wielki błąd. — Nie odpowiedziała. — Niemcy przegrają wojnę. A ty masz wielkie szanse na przeżycie... A może nawet na odnalezienie Stefana.

Teraz odpowiedziała sarkastycznie:

— Nie zasypuj mnie teoriami Freddy'ego. Na pewno miał rację, ale w międzyczasie Rzesza ciągle może przetrwać tysiąc lat. — Gwałtownie potrząsnęła głową. — Zostaw mnie, Erichu, pozwól mi to zrobić.

Erich przeczołgał się wokół ciała, które ich przedzielało, i był teraz kilka centymetrów od zadartej do góry twarzy Rity.

— Nie, Rito. Niemcy przegrają. To kwestia kilku lat — dwóch lub trzech, nie więcej. A

ty przeżyjesz, żeby to zobaczyć. Wiem coś, ale jeśli ci to powiem, przegrana Niemiec może stanąć pod znakiem zapytania.

— W takim razie zachowaj to dla siebie. — Ton jej głosu był obojętny.

— Rito, posłuchaj, a potem postaraj się wszystko zapamiętać... Pod koniec września 1939 roku przez Karpaty przejeżdżał polski rząd — głównodowodzący w lśniących butach, premier, wszyscy — w drodze do Rumunii. Odwiedził mnie pewien człowiek z Ministerstwa Spraw Wojskowych. Nawiązaliśmy bliskie relacje, kiedy w Warszawie razem studiowaliśmy matematykę. Nosił, przykutą do nadgarstka, walizkę na maszynę do pisania. — Przerwał na chwilę i dotarło do niej, dlaczego powiedział, że on i jego gość nawiązali ze sobą bliskie relacje. Potem kontynuował: — I wyjaśnił mi dlaczego. W 1938 roku Sztab Generalny Wojska Polskiego przywiózł na Wydział Matematyki walizkę z „maszyną do pisania”. Jednak w środku nie było maszyny do pisania, tylko niemiecka maszyna szyfrująca. Wybrani studenci mieli odkryć, jak działa maszyna, i spróbować ją rozszyfrować. Powiodło się im. Zaczęliśmy odczytywać niemieckie wiadomości. Było już za późno na powstrzymanie gwałtownego ataku Niemców na Polskę, ale mając dostęp do najtajniejszych niemieckich wiadomości radiowych, aliansi muszą zwyciężyć. Kiedy nastąpi całkowita mobilizacja, będą mieli sposób na wygranie wojny. A ty będziesz tego żywym świadkiem.

Rita była sceptycznie nastawiona.

— Ale jeśli znają szyfr, to dlaczego wojska niemieckie przedzierają się przez Rosję niczym kosa? Jak ta wiedza pomogła Sowiecom?

— Czerwoni go nie znają. Sztab Generalny nie miał zamiaru wtajemniczać Rosjan, kiedy byli sojusznikami Hitlera w 1939 roku. Jako jedyni sekret znają Brytyjczycy, ale nie ufają Stalinowi, tak samo jak polski rząd. — Rita skinęła głową. — Tak więc, Rito, pozostań przy życiu! Zrób wszystko, żeby doczekać końca. Koniec jest blisko, bliżej, niż ktokolwiek śmie przypuszczać.

— Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, powierzenie mi takiej tajemnicy jest szaleństwem. Przy pierwszej okazji mogę zdradzić się strażnikowi sprawdzającemu dokumenty. Zmyśliłeś tę historię, żeby mnie ocalić, i może też po to, żeby zrekompensować mi utratę Stefana. Nie ryzykowałbyś niekorzystnego zakończenia wojny — to byłoby szaleństwo... Nawet jeśli uwierzyłabym ci chociaż przez chwilę.

— Uwierz mi, Rito. Mówię prawdę. A co do tego, czy jestem szalony, cóż, coś o tym napisał twój ulubiony filozof — Hume.

Odwróciła się i spojrzała na niego z bladym uśmiechem. Wyciągając dłoń w ciemności, szukając jego twarzy, Rita zaczęła szeptać słowa, niczym czułości:

— „Nie jest sprzeczne z rozumem przedkładać zniszczenie całego świata nad zadrapanie mojego palca”.



**Część III**  
**W międzyczasie**



## Rozdział 13

Kiedy w dniu rejestracji wybiła ósma rano, przed rzędem stołów na kozłach, ustawionych przed biurami Judenratu, stało około dwóch tysięcy osób. Dla niektórych absurdalny był fakt, że zarówno Żydzi, jak i Niemcy starali się wobec siebie prezentować jak najlepiej. Niemcy w pełni umundurowani, w hełmach i z paskami, z dobrze naoliwioną bronią, stukający obcasami przed Untersturmführerem Leideritzem. Z drugiej strony kobiety z czystymi twarzami, wymalowanymi kredkami policzkami, czerwonymi ustami z resztkami szminek, niektóre w kapeluszach-kloszach, z krótko przystrzyżonymi włosami i wstążkami przy kostiumach i sukienkach, które wisiały na ich wychudzonych ciałach. Spośród mężczyzn większość miała na sobie ubrania robotnicze — starali się wyglądać na czystych i silnych. W całym tłumie niewiele było osób starszych, za to sporo kobiet chroniło ramionami własne dzieci i strofowało je, żeby stały prosto oraz na tyle dobrze i dorośle się prezentowały, by trafić na usługi do Niemców.

Untersturmführer Leideritz odchrząknął i zaczął mówić:

— Najpierw odbędzie się rejestracja robotników tartaku. — Postawny mężczyzna w kraciastej koszuli wystąpił naprzód z listą, ale Leideritz odprawił go machnięciem ręki. — Robotnicy z tartaku wystąp! — krzyknął.

Wystąpiło czterdziestu mężczyzn, którzy zaczęli kolejno odliczać, a Leideritz mierzył każdego wzrokiem od góry do dołu.

— Dobrze. Na lewo. — Grupa mężczyzn wyraźnie się rozluźniła. — Teraz cegielnia.

Wystąpiło kilkaset osób. Były wśród nich kobiety z dziećmi. Leideritz wziął jakiś papier ze stołu i machnął nim w powietrzu.

— Na tej liście jest czterysta nazwisk. To absurd! — Stał tak, ostukując buty szpicrutą i nieświadomie parodiując samego siebie. — Kobiety i dzieci poniżej czternastego roku życia cofnąć się!

Kilku Ukraińców, wspomaganych przez nadgorliwych *Jupo*, wmieszało się w tłum i przepychało mężczyzn do przodu, a kobiety i dzieci, próbujące iść z mężczyznami, na tył.

— Ustawić się w kolejce! — krzyknął feldfebel do mężczyzn.

Teczka została położona na miejscu przy biurku należącym do Leideritzza. Po tym, jak każdy z kolejki podawał urzędnikowi swoje nazwisko, szpicruta wskazywała na prawą lub na lewą stronę. Kiedy skończył, siedemdziesięciu pięciu młodszych mężczyzn stało po lewej, a mniej więcej taka sama liczba starszych, niższych i bardziej wyniszczonych stała po prawej. Kazano im dołączyć do kobiet i dzieci. Rozpoczęła się nowa selekcja.

Proces ten trwał przez większość dnia. W porze drugiego śniadania rozkazano wszystkim pozostać na miejscach i pozostawiono pod nadzorem czujnej *Juden Polizei*, podczas gdy Niemcy i Ukraińcy udali się na stołówkę. Próby przemieszczania się przez wyznaczoną granicę były karane uderzeniami pałek *Jupo*.

Zaspokoiwszy głód, urzędnicy wrócili do swoich maszyn do pisania. Do piętnastej trzydzieści Żydzi stali, kucali albo siedzieli na otwartym placu już od siedmiu i pół godziny. Kiedy wreszcie nadeszła pora na *Fabrik* Terakowskiego, Leideritz był już zmęczony wrzaskiem i wyznaczył do wydawania rozkazów swojego adiutanta. Ale nie przekazał mu dokonywania selekcji. Kiedy nadeszła kolej zakładu odzieżowego, selekcji podlegali mężczyźni i kobiety. Palce urzędnika biegały po maszynie, kiedy szpicruta wskazywała dokonany przez Leideritzza wybór. Szczycił się tym, że sortowanie robotników posiadających nieoczywiste umiejętności wymagało wyćwiczonego oka. Ale dla ustawiających się przed nim było oczywiste, że o

szansach każdej osoby decydował wygląd lepszy niż otaczających kobiet lub lepsza postawa na tle innych mężczyzn. Rita przeszła szybko na lewą stronę i patrzyła z chorobliwym zainteresowaniem, którzy z jej współpracowników zostaną także uznani za dobrych krawców lub szwaczki. Najdłużej patrzyła na Dani i lekko jej ulżyło, kiedy zobaczyła ją po lewej stronie, chociaż widziała też dwoje ludzi, którzy musieli być jej matką oraz ojcem — z wyglądu postawnym robotnikiem — wysłanych na prawo. Dani nigdy jej o nich nie wspominała.

Teraz wystąpił Erich. Podoficer nachylił się do Untersturmführera i coś powiedział. Tymczasem Erich spojrział na Leideritza, łapiąc z nim kontakt wzrokowy z zamysłem rozwścieczenia go. Untersturmführer odpowiedział na tę prowokację. Spojrział w tył na sierżanta i potrząsnął głową. Szpicruta wskazała prawą stronę. Erich skinął głową, a Rita widziała, jak zadowolony staje w rozrastającej się grupie kobiet, dzieci oraz ludzi starych i zniedołężniałych.

Zanim selekcja dobiegła końca, było już dawno po zmroku. Był to długi dzień pracy nawet dla najbardziej gorliwego policjanta.



Tym, których wysłano na lewą stronę, rozkazano wyjść poza bramę getta. Strażnicy wyznaczyli im trasę, a z kilkoma, którzy rozkaz zignorowali, szybko się rozprawiono. Linia graniczna między stronami była na tyle szeroka i dobrze strzeżona, żeby zapobiegać ewentualnej końcowej zamianie wybranego i skazanego. Między stronami zachodziły tylko nieme wymiany długich spojrzeń. Było już zbyt ciemno, żeby widzieć twarze po drugiej stronie z odległości większej niż metr. Trasa marszu prowadziła przez rynek na kolejową stację rozrządową z tyłu dworca kolejowego, gdzie czekały na nich wagony bydłowe oraz towarowe.

Rita stała w mroku. Od wielu godzin nie spuszczała wzroku z sylwetki Ericha. Wzbierały w niej strach i uczucie osamotnienia. Nie czuła się tak, kiedy odszedł Urs ani kiedy przyszły wieści o tym, jaki los spotkał jej teściów. Te emocje różniły się od tych, które czuła, odsyłając Stefana, oraz od tych wywołanych wiadomościami o losie jej rodziców. Rita odczuwała stratę kogoś, kogo kochała miłością romantyczną, zmysłową. Wiedziała, że tak się czuje ktoś, kto traci życiowego partnera. Nagle zdała sobie sprawę, że Erich wypędził z niej permanentny strach, który odczuwała, zanim się wprowadził. A który teraz powrócił, ściskając jej żołądek i sprawiając, że zamiast zimna czuła zjełczały pot.

W końcu zobaczyła go, jak wstaje z pozostałymi, niemal nonszalancko się rozciąga i idzie w kierunku wagonów bydłowych. Kiedy przechodził obok, zobaczyła na jego twarzy niemal wstydlivy, konspiracyjny uśmiech. „Na swój sposób Erich musi wiedzieć, co robi” — pomyślała.



Następnego ranka Rita, w czystym ubraniu roboczym, stawiała się przy szlabanie getta, gdzie oddała swoje stare pozwolenie na pracę. Jej nazwisko odnaleziono na liście i otrzymała nowe pozwolenie. W przeciwieństwie do ostatniego to miało trzymiesięczną datę ważności.

Późnym popołudniem Lidia wysłała na halę gońca. Mijając Ritę, wskazał na biuro.

— Ma się pani tam zgłosić.

Rita skończyła wyszywać dziurkę od guzika, wstała i przeszła do podnóża schodów prowadzących do biura. Lidia wyszła z niego, zeszła po schodach i poprowadziła ją do magazynu.

— Posłuchaj uważnie. Jutro będę miała dla ciebie komplet dokumentów. Jeśli chciałabyś coś ze sobą zabrać, spakuj walizkę. Zanieś ją za tylną ścianę budynku dzisiaj o dwudziestej

drugiej trzydziści. Ktoś ją od ciebie odbierze. Nie możesz sama wynieść walizki z getta. Nie możesz też nieść jej stąd na dworzec. Aresztowaliby cię, zanim byś tam dotarła. Ktoś zanieś ją na stację do przechowalni przed jutrzejszym wieczorem. Załatwię ci kwit. Jakies pytania? — Rita potrząsnęła głową. — Na miłość boską, nie zrób nic głupiego przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny.

Lidia wyszła z magazynu, zostawiając ją samą.



Co miała spakować? Nie posiadała prawie nic. Może tylko trochę bielizny, coś do spania, szczoteczkę, która od pół roku nie widziała pasty ani proszku do czyszczenia zębów, szal, który kiedyś był z jasnego, kolorowego jedwabiu, no i sukienkę, w której robiła zdjęcia. Poza tym były jeszcze dwie rzeczy, z którymi nie mogła się rozstać: zawartość wypchanego psa i dwie wielkie książki Freddy’ego po niemiecku. Po raz kolejny przerwała szwy na zabawce, wyjęła z niej zawartość i bezwiednie z powrotem zaszyła psa, myśląc, co powinna zrobić z dwoma woreczkami. Równomiernie rozłożyła sześć fiolek z morfiną w dole płaszcza i je zaszyła, metalowy tłok strzykawki oraz igłę dołączyła do igieł w przyborniku, a szklane rurki włożyła do pustego już pudełka na biżuterię. Czy jeszcze kiedykolwiek będzie jej dane mieć jakąś biżuterię? Dotknęła płatków uszu. Dziurki zarosły. No cóż. Następnie zaszyła złote monety w rąbku sukienki, którą miała zamiar założyć. Rita nie miała złudzeń na temat tych skrytek. Nie przetrwają kontroli. Skończyła się pakować, zatrzasnęła walizkę i zapięła ją na pasek. Skradając się po schodach w ciemności, wyszła tylnym wyjściem i siedziała w wychodku do chwili, kiedy jej zegarek wybił dwudziestą drugą trzydziści. Jak udało jej się go ocalić? Chwilę później przypomniała sobie: miała już go wymienić, ale zaczęła pracować i jadać w fabryce.



Przekazanie bagażu odbyło się bez słowa. Jedyne, co widziała, to ręka mężczyzny sięgająca po walizkę przez dziurę w płocie, którą zrobiła, podnosząc jedną z listew. Później usłyszała, jak ktoś zapala zapalnik i przypala papierosa, a następnie się oddala. Och, papierosy. Jak bardzo chciałyby teraz zapalić.



Nadszedł ranek. Po Erichu nie było w pokoju ani śladu. Po nikim innym też nie. Przy bramie było wejście do jaskini lwa. Do środka wchodziło znacznie mniej osób niż wcześniej. Tak niewiele, że niemieccy strażnicy mogli sprawdzić każdą przepustkę i dobrze obejrzeć każdego przechodzącego robotnika. Brakowało także *Jupo Ordnungsdienst* pyszniących się w cieniu... Słęczała nad ulicą i patrzyła w górę i w dół, wzdłuż i wszerz na normalnych ludzi przemierzających się w jedną i drugą stronę. Czy będę jeszcze kiedyś jedną z nich — wolnym człowiekiem? Nie. W tym momencie dotarło do niej: „Będę jedną z nich już jutro. Nie wychylaj się, nie dopuść do nawiązania kontaktu wzrokowego z kimkolwiek”.

Dogonił ją jeden z pracowników *Fabrik*.

— Dlaczego Ericha wczoraj odesłali? — Wzruszyła ramionami. A on dokonał oczywistych spostrzeżeń: — Był w dobrej formie. Prawdopodobnie na samym początku listy. Nic nie rozumiem. — Rita znów nie odpowiedziała. Przeszedł dalej.

Dzień włókł się w tempie ślimaka. Rita przez cały dzień patrzyła ukradkiem na główne wejście i biuro Lidii na poddaszu. Nie działo się nic nadzwyczajnego. Przez główną bramę wszedł co najmniej jeden Niemiec, który przepchnął się do strefy załadunku i zwyczajnie wziął

jeden z płaszczy dla Wehrmachtu z nowej partii towaru. Biorąc pod uwagę to, że każdego dnia żołnierze byli odprawiani na służbę na froncie wschodnim, nie było w tym nic nadzwyczajnego. Wybrakowaną partię trzeba było uzupełnić i zabrano akurat ten, który kończyła Rita. Gdy za piętnaście piąta nadszedł koniec pracy, specjalnie wyszła jako ostatnia. Kiedy wyszła z budynku w stronę głównej bramy, ktoś złapał ją i wciągnął z powrotem, zatrzasnął drzwi. To była Lidia, która teraz prowadziła ją na zewnątrz bocznym wyjściem i ścieżką do tego samego domu, w którym ugoszczono ją razem ze Stefanem na herbacie trzy miesiące wcześniej. Nie odezwały się do siebie słowem, dopóki nie znalazły się w środku.

— Proszę. — Lidia wręczyła jej starannie opieczętowany fragmentem polskiego rządowego stempla dokument ze zdjęciem paszportowym, które Rita dała Erichowi tydzień wcześniej. Następnymi rzeczami były akt urodzenia oraz dokument napisany ukraińską cyrylicą. A na koniec dała jej kwit z przechowalni bagażu na dworcu kolejowym. — Będziemy musiały zrobić dwa odciski palców. — Wzięła prawą rękę Rity i przesunęła nad biurko nad poduszkę do tuszu, a następnie wprawnie przycisnęła ją do poduszki dwoma palcami. — Umyj dobrze ręce. Nie możesz pobrudzić dokumentów. A jeśli sprawdzą twoje dłonie dzisiaj, to się domyślą. — Wskazała na małą miednicę na kredensie. Kiedy Rita osuszała ręce, Lidia zaczęła mówić dalej: — Dokument zapisany cyrylicą to twój akt chrztu. Od teraz jesteś Margaritą Truszenko, ukraińską katoliczką z matką volksdeutsch. To ostatnie powinno ci trochę pomóc. A tutaj masz katechizm z pobliskiego kościoła. Naucz się go. — Lidia wręczyła jej małą książeczkę. Rita schowała ją do kieszeni płaszcza. — Najważniejsze, żebyś zapamiętała każdy szczegół z dowodu osobistego — datę i miejsce urodzenia, imiona rodziców, ich daty i miejsca urodzenia. Wszystko, Rito. Od teraz jesteś Margaritą Truszenko. A ten czwarty papierek to kwit do przechowalni bagażu. Dzięki niemu odbierzesz walizkę na dworcu. A tutaj masz bilet do Lemberga, *panno* Truszenko, sto złotych i kilka reichsmarek.

— Do Lemberga? — zapytała zdezorientowana.

— To niemiecka nazwa Lwowa. — Teraz Lidia wstała zza biurka i powiedziała: — Margarito — to było nowe imię Rity — chodźmy do kuchni i zjedźmy kolację. Twój pociąg odjeżdża dopiero o dwudziestej pierwszej. — Rita uśmiechnęła się na wysiłki Lidii, żeby pomóc jej zapamiętać nową tożsamość. — Jakies pytania?

— Tak. Dlaczego to robisz? Wiesz coś na temat Ericha?

Lidia zaczęła rozgrzewać garnek.

— Wiesz, że Erich był droгим przyjacielem mojego brata. — W jej głosie nie było podtekstu seksualnego. — Był blisko naszej rodziny przez wiele lat. Poprosił mnie o pomoc w załatwieniu dla ciebie dokumentów i nie mogłam mu odmówić.

— Dlaczego to dla mnie zrobił? Dlaczego pozwolił, żeby wywieźli go do... — Rita przerwała. Nie była w stanie dokończyć zdania, nawet w myślach.

— Cóż, kochał cię... jak siostrę, tak mi powiedział. I czuł się odpowiedzialny za los twojego dziecka, ponieważ za bardzo cię naciskał, żebyś oddała Stefana.

— Ale miał rację, zmuszając mnie do tego. Poza tym nie wiadomo, czy Stefan gdzieś tam nie żyje. — Po raz pierwszy wypowiedziała tę myśl na głos.

— Ale kuriera zatrzymało Gestapo — powiedziała zaskoczona Lidia.

— Dostałam list od ojca kilka tygodni po tym, jak powinna już dostarczyć Stefana na miejsce. Był to list pożegnalny, przemycony z pociągu do Bełżca. — Zastanowiła się chwilę. — Nie było w nim nic na temat Stefana. Ani słowa. Mój ojciec na pewno wspomniałby o nim, gdyby był z nimi.

— Więc można mieć nadzieję. A co do tego, dlaczego Erich nie próbował ratować siebie samego, to właśnie próbuje. Ale w inny sposób. Erich był pewien, że reszta getta zostanie

zlikwidowana w ciągu następnych tygodni. Obóz zagłady w Bełżcu stoi i działa na pełnych obrotach. Ta część *Generalgouvernement* musi być *judenrein* przed końcem 1942 roku. Wiedział, że nie ma szans z niemieckimi dokumentami i swoim wyglądem... Wiesz, o co chodzi. — Niechętnie mówiła wprost. — Więc spędził ostatnie kilka dni, robiąc ostre szczytce przegubowe, które mógłby ukryć gdzieś na swoim ciele. Miał zamiar utorować sobie nimi drogę przez płoty z drutu kolczastego lub przeciąć skobel w drzwiach od wagonu bydłowego, wyskoczyć i zabrać ze sobą jak najwięcej osób. Potem udać się na Polesie i dołączyć do partyzantów.

Jedno danie ustawiła przed Ritą, a drugie postawiła na tacy.

— A teraz, jeśli nie masz więcej pytań, to zaniosę mamie supkę. Zjedz kolację i ucz się nowej tożsamości. Wiesz, którą na dworzec. Wyjdź frontowymi drzwiami i zgaś światło. Udanej podróży... Margarito. Ucałowawszy ją, czym Rita była bardzo zaskoczona, Lidia udała się w kierunku schodów.



Niemiecki żołnierz sprawdzający dokumenty przy wejściu na peron powiedział „Danke” dwukrotnie: raz, kiedy wręczyła mu *ausweis*, i drugi raz, kiedy otworzyła walizkę do kontroli.

„Gdybyś znał prawdę, prędzej byś mnie zastrzelił, niż był taki *korrekt*”.

Czuła, jak strach ściska jej wnętrzności. Były to takie same skurcze, które towarzyszyły jej podczas pierwszych tygodni okupacji. A teraz wszystko wróciło — przerażenie i uczucie, jakby ktoś grał w rosyjską ruletkę o jej życie. Wiedziała, że ten stan będzie utrzymywał się przez najbliższe dni, lub nawet tygodnie. Postanowiła usiąść na peronie tak blisko żołnierza, jak to tylko było możliwe. Żołnierz zapewniał bezpieczeństwo. Rita... a raczej *volksdeutsch* Margarita Truszenko, tego właśnie potrzebowała, czekając samotnie na nocny pociąg do Lemberga na pustej i przestronnej stacji kolejowej. Wyjęła katechizm i próbowała się go uczyć. Być może wspomnianie gimnazjum u sióstr benedyktynek sprawi, że przestanie myśleć o tym, jak silny czuje *Angst*.



O dwudziestej czterdzieści osiem na stację wjechał ekspres z Lemberga, Warszawy, Drezna, Berlina, pełen oficerów i szeregowców, którzy mieli dołączyć do zwyczajnych dywizji *Wermachtu* w Donbasie, gdzie wciąż przedzierano się przez całe jednostki armii radzieckiej. Rita nie zauważyła dwóch Niemców, w cywilnych ubraniach, wysiadających z wagonu pierwszej klasy.

W przeciwieństwie do niemieckiego wartownika, który uważnie i z szacunkiem zaczął sprawdzać ich dokumenty. Pierwszy nosił niemiecką rangę *Oberst*, oznaczającą pułkownika. Drugi zaś, Friedrich von Richter, był generałem *SS-RSHA* — Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy — i najwidoczniej podróżował bez munduru. Oczywiście żaden z wartowników oraz nikt inny w Karpacynie nie mógł tej nocy wiedzieć, że Richter wcale nie należał do *SS*, ale do *Abwehry*, wywiadu wojskowego, i był oficerem komórki odpowiedzialnej za bezpieczeństwo szyfrowanych wiadomości.

Słyszała ich doskonale.

— Herr Generalmajor, nie czeka na pana żaden samochód — powiedział wartownik.

— Nie spodziewano się nas. Zadzwoń do Leideritza. Powiedz mu, żeby natychmiast przysłał samochód.

Leideritz najwyraźniej nie spodziewał się Richtera, ale on miał zamiar się z nim

zobaczyć. Wartownik na stacji dobrze o tym wiedział.



Dwadzieścia pięć minut później Peter Leideritz stał na baczność ubrany w paradny mundur, gdy Richter wraz z adiutantem wszedł do budynku i skierował się w stronę jego biura. „Skąd ten oficer wie, gdzie jest moje biuro? — zastanawiał się Leideritz. — Przecież nigdy tu nie był”.

Richter usiadł przy biurku Leideritza. Jego adiutant stał za nim. Nie powiedział Leideritzowi, żeby ten także usiadł.

— Szukamy kogoś, Żyda będącego pod pańską jurysdykcją. Nazywa się Klein, Erich Klein.

— Mogę zapytać dlaczego, Generalmajorze?

— Oczywiście, że nie — odpowiedział Richter, piorunując go wzrokiem. — Powiedz mi tylko, gdzie on jest. W getcie, na robotach, gdzie dokładnie?

Leideritz odwrócił się i krzyknął do urzędników, którzy tymczasem zebrali się w sekretariacie:

— Schmitz, przynieś mi oficjalną listę robotników. — Wyciągnął rękę i dostał ją w ciągu kilku sekund. Zaczął przeglądać listę, zadowolony, że została ona już ułożona alfabetycznie. — Joachim, Junkers, Kalfuss... Klepfiz... — Sprawdził kolejny raz. — Przykro mi, Generalmajorze, nie ma żadnego Kleina.

Richter wpatrywał się w niego przez chwilę, a następnie powrócił do rozmowy:

— Wyjaśnij zatem jego nieobecność. Gdzie on jest? Pozwoliłeś mu uciec?

Odwróciwszy się ponownie do sekretariatu, Leideritz krzyknął:

— Schmitz, podaj listę Żydów z transportu do Bełzca. — Dosłownie po chwili lista znalazła się w jego rękach.

Był to wielki plik półprzezroczystych kartek papieru ułożonych datami. Leideritz zaczął od ostatniego transportu, wiedział, że było z niego kilka ucieczek. Przesuwając palec po liście, odetchnął z ulgą.

— Tak, jest. Pojechał do Bełzca cztery dni temu. Prawdopodobnie już nie żyje.

Czy to możliwe, żeby Generalmajor SS znał prawdę? O tym, że poszukiwany mógł być wśród uciekinierów z wagonu bydłowego? Nie, chyba że sprawdził odpowiednie listy z Bełzca. Leideritz musiał liczyć na to, że nie było na to czasu albo takiej potrzeby przed wprowadzeniem Żydów do komory gazowej.

Richter przerwał swoje rozmyślenia i powiedział:

— Zamknij drzwi i siadaj, Untersturmführerze. — Leideritz zrobił to z wyraźną ulgą. — Pozwól, że powiem ci, dlaczego to takie ważne. Ścigamy siatkę wywiadowczą i musimy mieć pewność, że ten Klein nie miał tajnych informacji. — Richter zastanawiał się: „Co jeszcze mogę powiedzieć? Że przed wojną był matematykiem w Warszawie? Nie, zbyt blisko kryptografii. Niech nie wygląda na takiego ważnego”. Po chwili kontynuował. — Mógł widzieć dokumenty naukowe na temat procesów przemysłowych, które teraz są tajne.

Wyglądało na to, że taka ilość informacji wystarczy, żeby zaspokoić ciekawość tego Leideritza. Nie było potrzeby, żeby ktoś nadmiernie interesował się sprawą.

— Cóż, i tak już nie żyje. Sprawa zamknięta, *jawohl*?

— Nie do końca. — Odchrząknął Richter. — Nawet jeśli nie żyje, to i tak musimy dowiedzieć się, z kim miał kontakty, z kim mieszkał albo pracował i które z tych osób jeszcze żyją.

Dla Leideritza to była kolejna okazja, żeby pokazać swoją skuteczność i inicjatywę. Wstał, otworzył drzwi i po raz trzeci krzyknął:

— Schmitz, przydziały mieszkaniowe i robotnicze w dzielnicy żydowskiej, natychmiast. — W ciągu kilku minut Leideritz miał to, na co czekał Generalmajor. — Więc... Erich Klein, przydział robotniczy: Fabryka Tekstylna Terakowskiego, przydział mieszkaniowy... Getto A, zamieszkały z Kaltenbrunnerem — nieboszczyk; Stefanem Guildensternem — dziecko, zaginęło, prawdopodobnie zmarło; oraz Ritą Guildenstern, z domu Feuerstahl. — Ponownie spojrzął na listę robotników. — Pracuje w *Fabrik* Terakowskiego. Zatem została tylko jedna osoba do złapania, Generalmajorze.

— Wezwij ją natychmiast.

Leideritz stuknął obcasami.

— *Zu Befehl*, Generalmajorze.



Następnego ranka Generalmajor Friedrich von Richter wyjechał do siedziby Abwehry w Berlinie. Nie zdołał przesłuchać tej Rity Guildenstern. Ale miał wystarczająco dużo informacji, by się nią niepokoić, i jeszcze więcej, żeby liczyć na jej odnalezienie. To była tylko kwestia rozesłania rysopisu do wszystkich jednostek policyjnych w kraju. Coś na pewno się w końcu trafi.



## Rozdział 14

Wojna była dla Gila trudna — sześć miesięcy niedogodności i życia pełnego zagrożeń. Teraz, w marcu 1942 roku, przy odrobinie szczęścia miało się to skończyć.

Najgorszym momentem ze wszystkich był atak bombowca nurkującego na linię kolejową, gdzieś w okolicach Humania, w trakcie tysięckilometrowego odwrotu do Dniepropietrowska. Gil, przydzielony we Lwowie do mobilnego szpitala polowego, był wówczas w Armii Czerwonej od niecałego miesiąca. Na początku biegał od przypadku do przypadku, bez specjalnego nadzoru, pośród związanego z wycofywaniem się wojska chaosu, podczas którego wszelkie działania wydawały się opierać na zasadzie *sauve-qui-peut* — ratuj się kto może. Jakimś sposobem szpital polowy został przydzielony do sztabu 15. Dywizji Strzeleckiej Piątej Armii. Dzięki temu otrzymał lokomotywę i sześć wagonów pasażerskich, którym od razu namalowano — na górze i po bokach — wielkie czerwone krzyże. Pociąg skierowano na wschód od Kijowa kilka dni przed tym, jak cała południowa część armii, licząca sześćset pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy, została otoczona.

Kiedy pociąg stał na stacji rozrządowej, czekając na uzupełnienie wody i węgla, rozległy się oznajmiające atak syreny przeciwlotnicze. Wtedy Gil usłyszał warkot silników i wzmagający się głośny szum. Wyglądając przez duże okno swojego wagonu, zobaczył charakterystyczne skrzydła Junkersa 87 — sztukasa. Pocisk właśnie wynurzał się z jego przypominającego szpon podwozia. Uwolniony z ciężaru samolot wzbił się w górę poza ramy okna. Gil niewiele wiedział na temat lotnictwa wojskowego, ale akurat sztukas był typem samolotu, który znał ze zdjęć prasowych z Hiszpanii. Niemiecki Legion Condor latał takimi, wspierając Franco. Przenikliwy pisk, wściekle płomienie wyrzucane przez chłodnice, niebezpieczeństwo w czystej postaci, drapieżny, mechaniczny, żerujący ptak — ta charakterystyka uczyniła z niego ikonę po obu stronach wojny domowej. Jednak Gilowi dotychczas udawało się unikać ujrzenia tej maszyny w locie na własne oczy.

Gil pobiegł korytarzem, wyskoczył z wagonu na żwirowy nasyp i wbiegł pod koła pociągu, żeby się schować. Spod wagonu zobaczył sanitariusza, który dziesięć metrów dalej wystawił głowę z wąskiego okopu i wzywał Gila, żeby przeczłogał się i dołączył do reszty osób z pociągu. Zastygły w nagłej ciszy Gil nie był w stanie się ruszyć. Trwał, czekając, aż kolejne cztery sztukasy zanurkują. Kiedy druga grupa bombowców zakończyła akcję, Gil był chwilowo ogłuszony i trząśł się niekontrolowanie, ale nic innego mu nie dolegało.

Ostatni wagon został wykolejony przez najbliższy z podmuchów. Na szczęście, skoro dowódca szpitala polowego nie ponosił odpowiedzialności za tabor kolejowy, mogli go porzucić. Szeregowcy i oficerowie stali wokół, kiedy kolejarze odłączali przewrócony wagon. Jeden z oficerów służb medycznych podszedł do Gila.

— Kapitanie Romero, pozostanie przy pociągu było dosyć bohaterskie — krzychał z powodu chwilowej głuchoty. — Widział pan już coś takiego, jak podejrzewam... W Hiszpanii?

— Co ma pan na myśli? — krzyknął.

— Mówią, że walczył pan po stronie republikanów w wojnie domowej. Sanitariusz stwierdzili, że zostanie przy pociągu było bardzo głupie, skoro wszyscy wiedzieli, że to on był celem bombardowania. Ale dowódca powiedział, że pan wie, co robi. Bombowce są przerażające, ale — jak stwierdził — pan wiedział, że nie są zbyt dokładne.

Gil przyjął komplement, ale wewnątrz czuł wstyd z powodu własnej głupoty. Brak doświadczenia mógł zamaskować brawurą, ale ile razy mogło mu się udać? Musiał znaleźć

sposób na wydostanie się ze służby w szpitalu polowym, byle jak najdalej od frontu.



Po pięciu miesiącach odwrotu jednostka opuściła pociąg na wschód od Woroneża, zakładając szpital ewakuacyjny. Do tego czasu, nie licząc krótkiego okresu, gdy mijali Dniepropietrowsk, wycofywali się zbyt szybko, żeby być świadkami prawdziwych ofiar. Pewnej nocy Gil opiekował się pacjentami, dla których nic więcej, a w wielu przypadkach w ogóle nic, nie można było już zrobić. Mówiło się, że w Wehrmachcie frontowi sanitariusze oraz personel ewakuacyjny nosili przy sobie pistolety małego kalibru, żeby takich pacjentów wybawić od cierpienia. Gilowi wydawało się, że to dobry pomysł.

Umierający przed nim pacjent wciąż miał na sobie resztki munduru z czerwonymi oznaczeniami kapitana NKWD. Był zatem komisarzem politycznym, co było dla Gila wielkim zaskoczeniem, jako że rzadko zdarzało się, żeby tacy ludzie przebywali w strefach zagrożenia. Ten miał wewnątrz kogoś, kto przyjął szrapnele mogące zabić całą kompanię. Wybudzał się ze snu morfinowego i Gil zastanawiał się, czy jest jeszcze dostępna jakaś morfina. Zobaczywszy jego biały kitel, kapitan zapytał:

— Towarzyszu, czy ja umrę?

— Oczywiście, że nie.

To była jego automatyczna odpowiedź. Umierający przyciągnął go bliżej i mocnym uściskiem, którego Gil nie mógł się spodziewać, chwycił go za gardło.

— Kłamiesz.

Gil był tak blisko jego twarzy, że niemal czuł smak jego śliny.

— W porządku, tak, umrze pan, i to prawdopodobnie dzisiaj w nocy. — Ten człowiek zasługiwał na absolutną szczerą w zamian za ból, który sprawił właśnie Gilowi. — Miałem właśnie zamiar dać panu wystarczającą ilość morfiny, żeby dotrwał pan do końca.

— Najpierw musisz mnie wysłuchać. Nie mogę umrzeć, zanim komuś o tym nie powiem. Zrobiłem coś. Coś złego. Coś, co zrobiło NKWD. To wszystko zmieniło. Muszę o tym komuś powiedzieć.

Gil potrząsnął głową. Nie potrzebował poznawać tajemnic NKWD.

— Cokolwiek pan zrobił, zrobił pan dla Związku Radzieckiego, dla towarzysza Stalina. Proszę odpoczywać w spokoju.

Kapitan zamknął oczy.

— Należałem do organów bezpieczeństwa od trzydziestego siódmego, kiedy to biciem wymuszaliśmy zeznania od starych bolszewików — nieszkodliwych... starych towarzyszy. Robiliśmy to dla dobra partii, prawda? Musieliśmy dać znać niszczycielom, nawet jeśli to oznaczało likwidację niewinnych, gorących zwolenników. — To było właśnie to, czego Gil nie chciał wiedzieć. Ale mężczyzna przynajmniej mówił szeptem i nie było tej nocy na oddziale nikogo, kto mógłby go usłyszeć. Mężczyzna nagle przerwał, a Gil odetchnął z ulgą. Ale po chwili ranny ciągnął dalej: — Nawet kiedy Stalin zawarł pakt, myśleliśmy, że gra na czas, że nie jesteśmy gotowi.

W tym momencie Gil mógł się wreszcie z nim zgodzić:

— Tak, to prawda, towarzyszu, Stalin wszystko wiedział.

— Więc dlaczego zabił tysiące polskich oficerów, którzy mogli pomóc nam w walce z faszystami, gdy tylko bylibyśmy gotowi? — Gil chciał zatkać uszy, ale teraz zahipnotyzowały go słowa umierającego. O czym on mówił? — Kiedy tylko Stalin położył swoje łapska na Polsce, otrzymaliśmy rozkaz, żeby zabrać ich z obozów jenieckich i rozstrzelać. Czy to był sposób

towarzysza Stalina na przygotowanie się do wojny z Niemcami? Zabicie ludzi, których jedyną zbrodnią była walka przeciwko Niemcom? Nie. On nie przygotowywał się na wojnę przeciwko Hitlerowi. Miał zamiar dołączyć do wojny Hitlera i wróg jego przyjaciela stał się też jego wrogiem. Nasz kraj jest w rękach jednego z pionków Hitlera... Który walczy z nim teraz tylko dlatego, że został zdradzony.

Gil już prawie sięgał dłonią, żeby zakryć usta komisarzowi, kiedy zorientował się, że są jedynymi wciąż przytomnymi, albo nawet jedynymi żywymi, ludźmi na oddziale. „Nikt nie może tak mówić, nawet umierający człowiek” — pomyślał. A ci polscy oficerowie? Trudno było Gilowi znaleźć w sobie dla nich chociaż odrobinę współczucia, w ogóle jakiegokolwiek współczucie. Prawdopodobnie byli praktykującymi katolikami, zniewieściałymi synami z rodzin ziemiańskich, konkurującymi w ujeżdżaniu koni, bywającymi na przyjęciach w ambasadzie i obojętnymi na cierpienia robotników, a zwłaszcza mniejszości w ich nowej Polsce. Ci martwi oficerowie nie mieli pewnie zbyt wiele przeciwko swoim niemieckim kolegom oficerom, a za to łączyli w sobie trzystuletnią nienawiść do Rosjan i Żydów. Stalin z pewnością wiedział, co robi, kiedy eliminował to potencjalne wewnętrzne zagrożenie. O tym w każdym razie miał zamiar sam siebie przekonać Gil teraz, kiedy usłyszał to, czego nie chciał wiedzieć.

Oczywiście kapitan z NKWD mógł wszystko zmyślić. A może to nawet był rodzaj próby. Czy jest możliwe, że jeśli nie zgłosi tych uwag, to sam będzie miał kłopoty? Czy byliby w stanie okaleczyć tak kogoś tylko po to, żeby go zrobić? Nie, popadał w zbyt dużą paranoję, nawet żyjąc z narodem, dla którego była ona środkiem do przeżycia.

Oficer NKWD zaczął znowu mówić.

— Słuchaliśmy Koby. — To było przezwisko Stalina. — Zdradziłem rewolucję. Stałem się niegodnym człowiekiem. — Położył się i uśmiechnął. — Wyspowiadałem się. — Po chwili milczenia znów się uśmiechnął. — Znowu jestem Sowietem.

Umierający kapitan zasnął wyczerpany swoim wysiłkiem i morfina nie była już potrzebna. Zmarł, zanim następnego ranka Gil skończył zmianę.

Kiedy przyszedł jego zmiennik, zapytał go:

— Towarzyszu kapitanie, wierzy pan w prawdziwość spowiedzi na łożu śmierci?

— Tak, jeśli pochodzi od wrogów państwa — padła odpowiedź.

Jak każdy rozsądny człowiek jego kolega także był zawsze czujny.



Nie sprawiaj kłopotów. Nie zwracaj na siebie uwagi, nie w stalinowskiej Rosji. Gil dobrze znał tę maksymę. Ale nie mógł na to nic poradzić. Po tym, jak wycofali się z Dniepropietrowska, wiedział, że musi coś zrobić, zanim regularny przyływ rannych zamieni się w powódź. Musiał znaleźć jakąś drogę ucieczki, zanim front znów go dopadnie. Istniała tylko jedna szansa.

Zakładając czysty mundur, starał się wyglądać tak wojskowo, jak tylko mógł. Bluza mundurowa dobrze leżała. Dobrej jakości materiał, z podszewką. Spodnie miały eleganckie zdobienia, a skórzany pas oficerski przygotowane miejsce na broń osobistą. Jako lekarz wojskowy Gil oczywiście nie nosił broni. Ale miał wojskowe naszywki i naramienniki. Miał krótko obcięte włosy, ale wciąż nosił cienkie wąsy. Przybrał odrobinę na wadze, ale karnację miał ładną. Bez wątplenia z powodu czasu spędzonego na świeżym powietrzu. Lubił patrzeć na siebie w mundurze. Żał będzie mu go oddać. Ale nie jest wart utraty życia.

Przygotowawszy się, poszedł do namiotu pułkownika i poprosił o rozmowę. Natychmiast go wprowadzono.

— Tak, Romero?

Dyrektor szpitala ewakuacyjnego, pułkownik Wołodin, nie był lekarzem, tak samo jak podpułkownik Briąńsk, stojący za nim komisarz partyjny.

— Jak pan może pamiętać, przyjechałem do Polski z Hiszpanii przed wybuchem wojny. Radziecki rząd zawarł porozumienie z polskim rządem na uchodźstwie w sprawie zezwolenia byłym mieszkańcom Polski znajdującym się na terenie Związku Radzieckiego na dołączenie do formującego się teraz na radzieckim terytorium Wojska Polskiego.

— Tak, wiem o tym.

— Proszę o pozwolenie na opuszczenie jednostki, żebym mógł dołączyć do nowych oddziałów.

— Chcesz dołączyć do Andersa i byłych jeńców na wschodzie w Czkałowie? To w środku Azji, człowieku — nie ma tam czego szukać. — Wołodin najwyraźniej wiedział na ten temat znacznie więcej od Gila. Wydawał się nawet wiedzieć, kto dowodzi tą świeżo utworzoną armią Polaków. — Dołączyłbyś do wojska bez broni, które prawdopodobnie nie jest nawet karmione. To tylko kolejne głupie marnowanie ludzkiej siły roboczej. Poza tym potrzebuję cię tutaj. — Zamierzał już powiedzieć: „Nie wyrażam zgody”, kiedy komisarz Briąńsk głośno odchrząknął. Gil starał się udawać, że nie zobaczył, jak duży efekt wywarło to na pułkowniku, który odwrócił się do niego.

— Podpułkowniku, co pan sądzi o tej prośbie?

— Pierwszy sekretarz, towarzysz Stalin, dał taką gwarancję Polakom, panie pułkowniku. Nawet wypuścił ich generała, Andersa, z Łubianki, żeby nimi dowodził. Gdyby Romero złożył skargę, miałby do tego podstawy.

Gil zaśmiał się w środku. Nikt w Armii Czerwonej nie składał skarg. Jednak jego twarz ani drgnęła. Czy ta mowa o skardze to nie była jakaś zaszyfrowana wiadomość?

— W porządku — zwrócił się do Gila Wołodin. — Zgłoś się po rozkazy jutro rano.



O szóstej rano był już spakowany, ale wciąż jeszcze czekał do jedenastej w namiocie adiutanta, aż dotrą jego rozkazy:

*Zwolniony z dotychczasowej służby, major Romero stawia się w siedzibie głównej Polskich Sił Zbrojnych w Moskwie w celu dokonania ponownego przydziału.*

I teraz został awansowany na stanowisko majora. Może pułkownik Wołodin nie chciał, żeby Gil zapamiętał jego słowa o „kolejnym głupim marnowaniu ludzkiej siły roboczej”, zanim komisarz wspomniał o więzieniu na Łubiance.



Major nie musiał jechać „gorszą klasą” do Moskwy, chociaż podróż ta wymagała trzech przesiadek. Ale nie było pośpiechu. Jego rozkazy nie miały daty, więc dopóki miał na sobie mundur, mógł jadać w kantine oficerskiej wzdłuż trasy kolejowej, cieszyć się ciepłem w poczekalniach dla oficerów, a nawet korzystać z muzyka, który nosił po peronach jego bagaże z jednego pociągu do drugiego.

Czerpanie maksymalnych korzyści z jego sytuacji wymagało chwili zastanowienia i posiadania pewnych informacji. Po przyjeździe do Moskwy 24 listopada major Romero przedstawił swój rozkaz na Dworcu Pawleckim, otrzymał kwit na zakwaterowanie i odprawił

bagaż. Zamierzał zwiedzać Moskwę pieszo na tyle długo, żeby zdążyć rozprostować nogi. Wychodząc z budynku, Gil się odwrócił. Wielki trzypoziomowy budynek dworca, z proporcjami jak w dziełach barona Haussmanna, czarnym, zaokrąglonym mansardowym dachem i łukami nad wejściami, przypominał mu dawną Europę. Wspomnienie paryskiego dworca d'Orsay nad Sekwaną sprawiło, że po raz pierwszy od wyjazdu z Barcelony poczuł się światowcem.

Koniec listopada 1941 roku nie był dobrym momentem na zwiedzanie. Niemcy zbliżali się nieubłaganie i większość moskiewskiej produkcji przemysłowej przeniosła się już na wschód. Romero nie miał pojęcia o tym, że *babuszki*, babcie z chustkami na głowach, zajmowały się kopaniem rowów przeciwczołgowych na zachodnich przedmieściach. Mówiono, że biuro polityczne się wynosi. Gil nie uwierzył w te plotki, gdy usłyszał je kilka dni później. Ale na dworcu wyczuwało się brak NKWD, na ulicy przed dworcem był mały ruch i nikt nie wydawał się zdążyć w stronę placu Czerwonego, który wskazywały znaki.

Ludzie jednak tu byli — szybko przemieszczali się po terenie dworca i wysypywali z budynku. Moskwa była największym miastem, jakie odwiedził, odkąd wyjechał z Barcelony. Był podekscytowany anonimowością, jaką mu zapewniała. Gdy skręcił w prawo, wychodząc z patetycznego dworca w stronę dwupasmowej alei, wciąż oświetlonej przez walczące z zimowym mrokiem wysokie latarnie uliczne, rozpętała się śnieżycy. Gil zaczął szukać baru lub kawiarni, gdzie mógłby wypić drinka i może zacząć zastanawiać się nad swoim nowym położeniem. Od razu uderzył go prawie całkowity brak sklepów, domów towarowych i innych lokali. Jakim cudem milionowe miasto mogło funkcjonować bez nich? Nie mogło. Więc gdzie je pochowano?

Znalazł się na spacerze wzdłuż rzeki Moskwy, a przynajmniej przy jej kanałowej części. Nawałnica śnieżna minęła i natężenie ruchu sprawiło, że chodnik aż się błyszczał. Zobaczył zdeterminowanych mężczyzn i kobiety przechodzących przez most w obu kierunkach — niektórzy szli z aktówkami, inni ze stertami dokumentów, a jeszcze inni z pustymi rękami, za to wszyscy, włącznie z kobietami, poruszali się prężnie, najwidoczniej z powodu misji wagi wojennej. Nikt nie wydawał się potrzebować czujnego oka służb bezpieczeństwa, żeby dać z siebie wszystko. Dla niego, z jego małym doświadczeniem w radzieckich realiach, było to coś zupełnie nowego. W pojęciu logiki, która wykraczała daleko poza linie frontu, nikt nigdy nie pracował zbyt wytrwale, kiedy nie był obserwowany przez władze. Do tego właśnie poranka w Moskwie nie miał pojęcia, jakim cudem Rosja mogłaby wygrać wojnę. Teraz zaczynał ponownie zastanawiać się nad powodami swojego pesymizmu. Nagle zapragnął stać się częścią czegoś znacznie większego niż on sam.



Następnego ranka okazało się, że Gil jest jedyną osobą siedzącą w poczekalni wewnątrz jednego z wielkich gmachów z dziedzińcami, zaledwie kilka metrów od jego kwatery i dworca. W pokoju był ruch, ludzie wchodzili i wychodzili, a pomieszczenie pełne było polskich akcentów. Niektórzy z wchodzących i wychodzących mężczyzn mieli na sobie polskie mundury, niestety te najmniej wygodne, inni dystynkcje armii radzieckiej, a kilku wydawało się być ubranych w wyczyszczone więzienne kombinezony. Wszyscy byli szczupli, niektórzy wręcz wychudzeni, ale nosili się z niedorzecznym entuzjazmem.

Nagle otworzyły się drzwi i ktoś krzyknął po polsku:

— Major doktor Romero.

Gil wstał i zrobiwszy cztery kroki, wszedł do małego pokoju z biurkiem, za którym siedział oficer w spłowiałym polskim mundurze, a za nim na wieszaku wisiała jedna z tych absurdalnych rogatywek, czapek kawalerzystów sprzed wojny. „To pewnie rekwizyt” —

pomyślał Gil. Oficer wziął od niego ciężki, wełniany płaszcz, podniósł go i uśmiechając się, powiesił na wieszaku.

— Przydatny w taką pogodę. Chciałbym taki mieć, majorze. — Gil powstrzymał się przed próbą handlu wymiennego. — Jestem pułkownik Radecki. — Uścisnął Gilowi dłoń, a potem zaczął przeglądać jego rozłożone na biurku dokumenty: radziecki identyfikator, rozkazy wojskowe, polski meldunek, uwagi ordynatora szpitala we Lwowie, świadectwa medyczne z Marsylii i Barcelony.

— Więc chce pan dołączyć do Wojska Polskiego? — Spojrzał ponownie na dokumenty. — Nie jest pan Polakiem.

— Czy to jakaś przeszkoda? — Taki problem Gil mógłby rozwiązać, rozpruwając szew w torbie medycznej i wyciągając swoje prawdziwe dokumenty polskiego obywatela Tadeusza Sommermanna.

— Właściwie to nie. Nie jest pan Rosjaninem, więc obejmują pana założenia układu Sikorski-Majski. Ale jedyne, co on powoduje, to uczynienie wszystkich tych, którzy po agresji sowieckiej w 1939 roku stali się obywatelami ZSRR, ponownie obywatelami Polski w lipcu 1941 roku. Może pan dołączyć do armii, którą organizuje generał Anders, lub nie. Jeśli pan nie zechce, może pan próbować żyć w Rosji jako cywil.

Gil był zaskoczony wyborem.

— Rozumiem. Co się stanie, jeśli dołączę do armii?

— Pojedzie pan na wschód do Tockoje w okolicach Czkałowa i będzie czekać. Być może będzie pan miał okazję walczyć z Niemcami u boku Rosjan, a może przesiedzi pan wojnę. A może Stalin zmieni zdanie i ponownie nas zsowietyzuje. Może odeśle nas z powrotem do obozów jenieckich. Większość z nas stamtąd przyjechała. A może uda nam się przebić do kraju. Tak jak zrobił Korpus Czechosłowacki w 1920 roku — dwadzieścia tysięcy ludzi przebiło się aż z frontu wschodniego i okolic Władywostoku. — Gil słyszał o tej wyprawie wojennej. Będąc w Hiszpanii, spotkał kilku weteranów, wciąż szukających przygód w zaawansowanym wieku. Interesował się tym jedynie jako historycznym detalem.

Radecki dobrze zinterpretował jego milczenie:

— To nie dla pana, prawda? Ta nasza mała polska armia? Szczerze, to oczekujemy zdeterminowanych ochotników, Polaków, którzy będą zaciekle walczyć dla narodu. Straciliśmy już sporą liczbę rekrutów, którzy po jednym spojrzeniu na Tockoje stwierdzili, że to nie dla nich. Generał Anders wydał rozkazy, że nie wolno ich zatrzymywać siłą. To nie jest sprawa dla mniejszości narodowych. — Gil odczytał to jako kod odnoszący się do Żydów. — Polska nigdy nie była specjalnie przychylna mniejszościom. A pan jest prawdziwym przedstawicielem mniejszości — Hiszpanem w Polsce!

— Myślę, że pan mnie rozumie, pułkowniku Radecki. Co pan sugeruje?

— No cóż, dam panu dokumenty poborowe. Powinny wystarczyć, żeby wypisać pana z radzieckich służb medycznych. Potem proszę wrócić, a my je unieważnimy. Będzie pan miał dokumenty, które powinny trzymać pana jako cywila z dala od kłopotów, na tyle, na ile to możliwe w tym kraju.

— Jak mogę panu podziękować?

Radecki tylko pokręcił głową, ściskając wyciągniętą dłoń Gila. Ale odpowiedź na zadane pytanie natychmiast sama się Gilowi nasunęła.

Tydzień później do głównej siedziby Wojska Polskiego przyszła paczka. Miała oznaczenie: „Pilne: pułkownik Radecki”. Kiedy adresat ją otworzył, ze zdziwieniem i radością zobaczył najlepszej jakości płaszcz wojskowy, pozbawiony wszystkich radzieckich insygniów wojskowych.



Zanim bitwa pod Moskwą dobiegła końca, Guillermo Romero już ciężko pracował w Miejskim Szpitalu Położniczym nr 6, najstarszej i najlepszej moskiewskiej klinice położniczej.

W obliczu zbliżającej się niemieckiej ofensywy na przedmieściach Gil zauważył, że może wybierać. Tchórzliwi lekarze nagle zaczęli mieć pilne sprawy na wschodzie, zostawiając tym samym wolne miejsca pracy, które należało szybko obsadzić. Porody nie mogły jednak czekać — urlopy w czasie świąt Bożego Narodzenia czy plany Wehrmachtu nie miały na nie wpływu. Tak stwierdziwszy, trafił do Miejskiego Szpitala Położniczego nr 6 przy ulicy Miuskiej. Przez sanitariuszy i portierów budynek ten nazywany był „Morelą”, niepatriotyczną nazwą dawnej fabryki czekolady, jeszcze niewykrytą przez organy bezpieczeństwa państwowego. Budynek zajmował większą część kwartału, miał trzy piętra, na wszystkich rogach wieżyczki połączone wnękami o dziewięciu oknach, i był otoczony starymi drzewami, teraz zimą bezlistnymi. Gdy nadchodziła wiosna, na czworokątnym dziedzińcu budynku zakwitał piękny ogród.

Znalezienie na placu Miuskim mieszkania z oknami wychodzącymi na obszerny dziedziniec za szpitalem nie było dla Gila zbyt trudne. Wielu ważnych urzędników „wezwanym” zza Uralu na wschód chętnie pozwalało dozorcóm podnajmować swoje mieszkania.

Miał rację, sądząc, że Moskwa się utrzyma. Gil był dumny ze swojej umiejętności przewidywania rzeczy, od których zależało jego życie i wygoda. Do czasu powrotu miejscowego personelu rok później, po bitwie stalingradzkiej, stał się niezastąpiony. Tutaj miał bez problemu stawić czoło wojnie.

## Rozdział 15

Dokończywszy badanie, doktor Romero zdjął gumowe rękawiczki.

— Może się pani już ubrać, towarzyszeko Małow. A potem proszę wejść i usiąść.

Gil odwrócił się i wrócił do swojego gabinetu.

Po kilku miesiącach nadzorowania położnych na porodówce Gil odnalazł swoje powołanie na oddziale ginekologii, podobnie jak to było we Lwowie. Wynikało to z połączenia jego umiejętności, sposobu obchodzenia się z żeńskim personelem — umiejętności słuchania — oraz manier. Romantyczny charakter jego nazwiska oraz egzotyczna przeszłość także nie przeszkadzały. Jednak myślał, że jego największą zaletą było to, że lubił kobiety, także tę młodą siedzącą teraz przed nim. Zaledwie kilka lat wcześniej wystąpiła z Komsomółu, a jej czerwona spódnica oraz biała bluzka stanowiły praktyczny rodzaj hołdu dla czasu spędzonego w organizacji młodzieżowej.

— Towarzyszeko, czy może mi pani powiedzieć, kiedy ostatnio miesiączkowała?

— Nie miałam dwóch cykli, towarzyszu doktorze.

Większość kobiet w Moskwie dokładnie pamiętała takie rzeczy. Nawet przed wojną polowanie na środki higieny było dla kobiet comiesięcznym zadaniem. Teraz stało się misją i kobiety od razu zauważały, kiedy upływał miesiąc bez konieczności ich szukania.

— Gratuluję, jest pani w ciąży.

Towarzyszeko Małow lekko się zakrztusiła.

— Tego się obawiałam.

— Obawiała się pani? — Gil widział już wystarczająco dużo pacjentek, żeby nie być zaskoczonym reakcją.

— To nie jest odpowiedni moment, towarzyszu doktorze. A nawet gorzej. Mój mąż się załamał, to zniszczy moje małżeństwo, wyrządzi przyjacielowi krzywdę na całe życie... Co mogę teraz zrobić, panie doktorze?

Oboje doskonale wiedzieli, o co tak naprawdę pytała. Zaledwie kilka lat wcześniej nie stanowiłoby to problemu. Na długo po 1917 roku aborcja była kwestią prawa do reprodukcji. Antykoncepcja była szeroko dostępna, a podwójne standardy negowano jako pozostałość po mieszczańskiej moralności. Jednak kiedy w życie weszły kolejne pięciolatki[1], swoboda seksualna zaczęła być postrzegana jako zbyt rewolucyjna, wręcz trockistowska. Potem w 1935 roku Rada Najwyższa wprowadziła surowe obostrzenia — jak mówiono, głównie po to, żeby przyspieszyć przyrost naturalny populacji.

— Nie mogę pani pomóc, towarzyszeko. Oboje znamy obowiązujące prawo.

— Proszę posłuchać, doktorze. Mojego męża nie ma w Moskwie od ośmiu miesięcy, najpierw był na Dalekim Wschodzie, a teraz jest na Froncie Leningradzkim. Ma prawie czterdzieści lat, jest dużo starszy ode mnie i jest wysokim rangą wojskowym, dowódcą dywizji. Popełniłam błąd z młodszym przyjacielem z partii. Jeśli urodzę dziecko, wszystko będzie stracone. Podwładni mojego męża dowiedzą się i będą z niego drwić, jego przełożeni go potępiają, mój przyjaciel z partii będzie skończony, a mąż wyrzeknie się dziecka. Proszę, musi mi pan pomóc. — Jej prośby wydawały się nie wywoływać żadnego efektu. Lekarz już nawet na nią nie patrzył. Zamiast tego notował coś na bloczku. Postanowiła zmienić strategię. Jednym tchem powiedziała: — Doktorze, będę bardzo zobowiązana...

I zaczęła rozpinąć białą bluzkę poniżej czerwonej jak sztandar chusty.

— Proszę natychmiast przestać, młoda damo. Właśnie przeprowadziłem badanie pani



macy. Czy sądzi pani, że muszę przebadać też pani piersi? — Teraz zaczęła bić się w piersi i zalana łzami zawodziła tak, że Gil spodziewał się wtargnięcia pielęgniarki.

— Droga pani, proszę się uspokoić, pomogę pani. Sam nie wiem dlaczego. Nazwijmy to przejawem patriotyzmu.

— Dziękuję, doktorze, bardzo dziękuję. Zdobędę pieniądze, żeby panu zapłacić.

— Proszę bez żadnych pieniędzy.

Źle zrozumiała jego odmowę.

— W takim razie *walutę*...

Czyżby miała dostęp do innej waluty? To była w Związku Radzieckim gorsza zbrodnia niż aborcja. Na jakie narażał się niebezpieczeństwo, pomagając młodej towarzyszcze Małow?

— Nie. Nic od pani nie chcę. Pomogę pani, a pani w zamian będzie mi tylko wdzięczna, rozumiemy się?

Nigdy nie można było być pewnym, kiedy taka wdzięczność może stać się przydatna, szczególnie gdy znało się sekrety członkini partii zameźnej z dowódcą dywizji. Wpływy, kontakty i ochrona były cenniejsze niż złoto. Wręczył jej kartkę papieru, na której coś pisał. Był tam jego adres domowy i data spotkania wyznaczona na przyszły tydzień.

Przygotowanie wszystkiego zajmie mu tydzień. Nawet podstawowe rzeczy mieli w tak małej ilości, że Gil mógł pozwolić sobie na wzięcie jedynie tego, co konieczne — odrobiny eteru, gazy oraz trochę środka dezynfekującego. Wziernik i łyżeczkę ginekologiczną, które były niezbędne, miał w domu w torbie lekarskiej. W jadalni miał też mocny, dobrze oświetlony stół, na którym będzie mógł przeprowadzić zabieg. W Barcelonie i we Lwowie wielokrotnie wykonywał już podobne, pomagając kobietom w różnych dolegliwościach i przeprowadzając potajemne aborcje.



Pani Małow — nie mógł myśleć o niej jak o towarzyszcze, chociaż to był jedyny akceptowalny zwrot — zapukała do jego drzwi dokładnie, kiedy zegar wybił ósmą rano w sobotę. Gil otworzył.

— Zakładam, że nie ma pani żadnych planów na resztę dnia. Będę upierał się, aby została pani wystarczająco długo, żebyśmy mieli pewność, że nie ma żadnych komplikacji.

Kiedy dwadzieścia minut później skończył zabieg, pomógł swojej chwiejącej się na nogach pacjentce dojść do sypialni i podtrzymał ją, kiedy kładła się na rozłożonym na łóżku ręczniku.

— Proszę w miarę możliwości nie ruszać się i przespać się trochę. — Zaciągnął kotarę, zasłaniając w ten sposób szare niebo, i po cichu wyszedł z pokoju. Późnym popołudniem, kiedy z powodu zapadającego zmroku zaczął włączać lampy, pani Małow pojawiła się w drzwiach sypialni.

— Jak się pani czuje?

— Dobrze, dziękuję, doktorze. Nigdy się pan nie zwraca do mnie po imieniu. Zna je pan?

— Tak, jest w pani karcie. Irena Jarasłowa.

— Proszę, niech się pan tak do mnie zwraca. Koniec z panią towarzyszką Małow.

— W porządku, Ireno. — Nie dodał już patronimika. Nigdy tego nie robił. Takie postępowanie było wpisane w hiszpańską część jego osobowości. — Teraz możesz już iść. Wykąp się, kiedy będziesz miała ochotę, ale żadnego współżycia przez tydzień.

— A nie przez rok?

— Jako twój ginekolog nie mogę radzić takiej abstynencji. Ale mogę przepisać ci coś, co

zapobiegnie powrotowi tego problemu. Przyjdź do mnie w przyszłym tygodniu.

— Z całą pewnością tak zrobię — powiedziała, zakładając zimowy płaszcz.

Jednak Gil już jej nie słuchał. Zapisywał sobie notkę, żeby nie zapomnieć załatwić krążka macicznego, i wtedy ugodziło go — zobaczył twarz Rity podczas tego popołudniowego spotkania we Lwowie, kiedy wręczył jej taki krążek. Rita. Rita. Rita. Seria obrazów wyrażona była tym jednym słowem, cicho rozbrzmiewającym w jego głowie. Co się z nią stało?

Gil doskonale wiedział, co wydarzyło się w Karpacynie po przybyciu Rosjan. Wiedział, jaki los spotkał jego rodziców. Listy zaadresowane *poste restante* do Marsylii i wysyłane dalej do Lwowa przestały dochodzić na początku 1940 roku. Kiedy zobaczył, co stało się z księgarzami i ich właścicielami we Lwowie, to, co wydarzyło się w Karpacynie, także stało się dla niego oczywiste. Wiedział, że próbując się czegoś dowiedzieć, nie osiągnie niczego dobrego. Ale co z Ritą? Gdzie była? Żywa, martwa, a może uciekła... Postanowił myśleć o czymś innym. Na przykład o piersiach towarzyszkii Małow.



Codzienne życie w Moskwie było trudne, ale nigdy nudne, a czasami nawet ekscytujące. Gdy tylko zagrożenie ze strony Niemiec ustąpiło, ludzie znowu zaczęli wierzyć, że mają przed sobą świetlaną przyszłość. Później stali się bardziej ostrożni, powściągliwi, podejrzliwi i dużo bardziej uważali na to, co mówią. Ale wraz z nadejściem pierwszych wieści o tym, że jednak nie zostaną pokonani, mieszkańcy Moskwy poczuli się prawie jak wolni ludzie. Wieści wojenne były okrutne, szczególnie wiosną 1942 roku, kiedy to Niemcy rozpoczęli swoją drugą ofensywę na pełną skalę, wzdłuż całego frontu wschodniego. Jednak tragedie tego pierwszego lata — sześćset trzydzieści pięć tysięcy osaczonych pod Briańskiem, sześćset pięćdziesiąt tysięcy poddanych pod Kijowem i trzysta tysięcy w Białymstoku — nie powtórzyły się. Dzięki angielskim bombowcom wiążącym milion żołnierzy Wehrmachtu w ramach obrony przeciwlotniczej oraz Amerykanom, którzy w końcu dołączyli do wojny, przekonania na temat wyniku wojny nie były już wyrażane tylko po to, żeby pozbyć się z karku organów bezpieczeństwa. Gazety na tyle wierne relacjonowały wydarzenia, że ludzie wiedzieli, co tak naprawdę się dzieje. Nuda była czymś niemożliwym.

Nawet kiedy do Moskwy wrócili ludzie i zapasy, w sklepach wciąż nie było z czego wybierać, jeśli chodzi o jedzenie, papierosy albo alkohol. Gil w końcu zaczął zauważać sklepy detaliczne — nieliczne, małe i opustoszałe, ukryte w rogach kolejowych przejść podziemnych, w sennych zaułkach, z bezładnymi rzędami półek i niewieloma towarami do zaoferowania. Większość ludzi żyła tym, co można było zjeść w pracy i co udało się przynieść rodzinom do domów ze stołówek. Nikt nie wychodził z domu bez torby na zakupy — tak „na wszelki wypadek”. Prawie wszystko, co nadawało się do jedzenia, noszenia, kupienia lub palenia, można było oczywiście zdobyć pod stołem *naljewe* — na lewo — za cenę przekraczającą możliwości większości ludzi.

Jednak pieniądze nie były w stanie załatwić tyle, co dobra pozycja w krzyżujących się sieciach partii, wojska albo rządu. Właśnie tam teraz znalazł się Gil. Jego szpital położniczy znajdował się w centrum starego miasta i znany był już przed rewolucją ze swojej doskonałej opieki. Jego półoficjalną, akceptowaną nazwą była „Krupska”, po zasłużonej wdowie po Leninie. Krupska okazała się być punktem węzłowym we wszystkich trzech sieciach specjalnego traktowania. Kiedy brakowało jej czegokolwiek, można było mieć pewność, że naprawdę brakowało towarów. A jeśli chodziło o żony przodowników proletariatu, ich nowonarodzone dzieci i tych, którzy się nimi zajmowali, zawsze można było oczekiwać jakichś udogodnień.

Dlatego też Gil przez większość dni jadał dobrze w stołówce, nosił świeżo wykrochmalony biały fartuch, korzystał z ciepła swojego gabinetu lekarskiego, każdego ranka czytał gazetę na drewnianych szpulach w pokoju wypoczynkowym dla lekarzy, pijał razem z kolegami podawaną w przedrewolucyjnej porcelanie prawdziwą kawę oraz mógł popijać w bufecie zaopatrzonym w gruzińskie koniaki i trunki — podarki od wdzięcznych mężów.

Pomimo ubóstwa i niedoborów wspominał swoje lata wojenne w Moskwie jako najlepsze lata swojego życia. Wiedział, że stanowi część czegoś dobrego i ważnego, tak jak wtedy, kiedy był z hiszpańskimi republikanami, ale tym razem wygrał. A teraz, kiedy słyszał słowa Międzynarodówki — tym razem po rosyjsku, a nie katalońsku — znowu miał ochotę ją śpiewać. I zaśpiewał!



Pewnego ranka, kiedy Gil zajmował się aktualizacją kart pacjentek, w jego gabinecie zadzwonił telefon.

— Ministerstwo Spraw Zagranicznych do pana, towarzyszu doktorze.

Zanim zdążył odchrząknąć, głośny i natarczywy głos mówił już zbyt szybko i... Skąd? Pewnie z Kremla.

— Tutaj trzeci sekretarz Dalglaszyn, doktorze Romero. Muszę się z panem szybko zobaczyć w ministerstwie. Może pan przyjechać teraz? — Gil spojrzał w terminarz, ale zanim zdążył odpowiedzieć, usłyszał ponownie głos sekretarza, prawdopodobnie mówiącego do kogoś innego: „Rozumiem, rozumiem”. A potem najwyraźniej znowu do Gila: — Jednak nie potrzebujemy pana teraz, towarzyszu. Dziś wieczorem? Wyślę po pana samochód do szpitala. Powiedzmy o dwudziestej pierwszej? Do widzenia.

Gil nie powiedział ani jednego słowa, ani jednego. Skąd ten człowiek — jak on się nazywał, Dalglaszyn? — miał pewność, że mówił do właściwego człowieka?

Czy mógłby się dowiedzieć, kim on był? Z pewnością nie mógł skorzystać z żadnego informatora, a pytanie mogłoby wydać się podejrzanym. A tak w ogóle, co on zrobił, żeby zainteresować swoją osobą ministerstwo? Z pewnością poszukiwania Tadeusza Sommermanna przez hiszpańskie NKWD w 1938 roku nie mogły interesować radzieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych w 1942 roku.

Gil zazwyczaj kończył pracę o osiemnastej albo osiemnastej trzydziści, ale tego wieczoru znalazł jej wystarczająco dużo, żeby czymś się zająć, zanim cały dzienny personel wyszedł. Parę minut przed dwudziestą pierwszą poszedł do szatni po płaszcz, podszytą futrem czapkę oraz rękawiczki i czekał przy głównym wejściu, kiedy nadjechał czarny ZIS 101, który powoli zatrzymał się przy krawężniku. Ubrany w mundur kierowca wysiadł i otwierając tylne drzwi, zapytał:

— Doktor Romero?

Gil zobaczył, że w samochodzie nie było nikogo więcej — to dobry znak. Skinął głową kierowcy i wsiadł.

Przeszedł przez punkty kontrolne przy murach Kremla, wszedł do dużego gmachu i ponownie poddał się kontroli tożsamości. Na liście, którą mieli, widniało nazwisko Romero.

— Proszę iść. Czekają na pana.

Gil poszedł za kierowcą po wyłożonej dywanem klatce schodowej. Potem przez korytarz z marmurową posadzką, która wzmaciała dźwięk metalowych czubków u butów kierowcy, kiedy uderzali podeszwami o podłogę. Na korytarzu nie było nikogo. W końcu mężczyzna zatrzymał się przed dwuskrzydłowymi drzwiami, które otworzyły się na niestrzeżony przedpokój.

Poprowadził Gila do następnych wypolerowanych, drewnianych drzwi, przed którymi się zatrzymał, zapukał raz, kiwnął głową do jedynej osoby znajdującej się w biurze, poczekał, aż Gil wejdzie do środka, po czym wyszedł cicho, zamykając za sobą drzwi.

W pokoju siedział bardzo wysoki mężczyzna o końskiej twarzy, z ciemnymi włosami z przedziałkiem pośrodku, ale zaczesanymi do tyłu. Miał tak głęboko osadzone oczy, że Gil nie widział, jakiego były koloru. Po obu stronach ust miał dwie głębokie zmarszczki, a na jego policzkach było widać kilkunastu zarost człowieka, któremu szybko rosła broda. Miał na sobie dwurzędową, szarą marynarkę, zbyt ładną, żeby mogła być wykonana gdziekolwiek w Moskwie, i palił papierosy Gitanes — Gil nigdy nie zapomniał ich zapachu.

— Siadajcie, towarzyszu Romero. Papierosa? — Podał Gilowi paczkę, a on wziął jednego. Mężczyzna podał mu ciężką zapalniczkę.

Gil musiał wyglądać na równie zaniepokojonego, jak się czuł.

— Nie ma powodów do obaw, doktorze. Nie ma pan żadnych problemów. Nazywam się towarzysz Dalglaszyn, Władimir Dimitriow Dalglaszyn, trzeci sekretarz ministerstwa, odpowiedzialny za... — przerwał. — Cóż, to nie jest istotne. Zaprosiłem pana tutaj w sprawie osobistej. Znam pańskie nazwisko od mojej córki Sławy. Jest bliską przyjaciółką Ireny Jarasłowej Małow. — Gilowi tak bardzo ulżyło, że na jego twarzy zagościł szeroki uśmiech, niezrozumiany przez Dalglaszyna. — Irena Jarasłowa opowiedziała Sławie o... usłudze, którą pan dla niej wykonał, i o zupełnej dyskrecji, jakiej pan przy tym dochował.

Gil uznał, że to dobry moment, żeby się wtrącić.

— A pańska córka wspomniała panu o tym, ponieważ znajduje się w takiej samej kłopotliwej sytuacji. — Powiedział to tak obojętnie, jak tylko potrafił. A następnie przybrał inny ton. — Żałuję, że Irena Jarasłowa zawiodła moje zaufanie. Pomogłem jej, bo uważam, że ciąża przeszkodziłaby jej w spełnieniu się w roli przykładowej Nowej Radzieckiej Kobiety. Złamałem prawo radzieckie, żeby uratować wizerunek jej męża na froncie. Odmówiłem przyjęcia zapłaty i w zamian Irena Jarasłowa mnie zdradziła. — Gilowi podobało się wzburzenie we własnym głosie.

— Spokojnie, doktorze. Nie zdradziła pana. Nikt poza mną i moją córką o tym nie wie. I nikt się nie dowie. Jeśli pan pozwoli, wyjaśnię sytuację, i być może znajdzie pan sposób, żeby pomóc kolejnej wartościowej, młodej osobie, która popełniła błąd.

Gil nie musiał tego słuchać. Ale przeczekał, aż zaniepokojony ojciec wszystko opowie. Potem zgodził się na jego propozycję.



Ciała młodych ludzi są wytrzymałe. Znoszą dobrze zabiegi, których starsi ludzie nie są w stanie przetrzymać. Szybko dochodzą do siebie, nie doświadczają długotrwałych powikłań. Ani jedna z kobiet, którym Gil był w stanie pomóc w ciągu następnych trzech lat, nie miała powikłań, ani jedna nie stała się bezpłodna, a przynajmniej wszystkie wróciły do regularnego miesiączkowania. Dwukrotnie zdarzyło się, że musiał ponownie interweniować. Starał się także rozwiązać ich problemy na stałe. Niestety, miał ograniczony dostęp do antykoncepcji. Nie mógł zdobyć jednorazowo więcej niż pół tuzina krążków. Do czasu bitwy na Łuku Kurskim w sierpniu 1943 roku całkowicie zniknęły.

Kilka spośród pacjentek Gila było szeregowymi, wziętymi przez oficerów za żony na czas działań wojennych i odesłanymi, gdy zaszły w ciążę. Inne były bolszewickimi damami w średnim wieku, wychowanymi na wczesno radzieckiej akceptacji wolnej miłości i wciąż zagorzale jej oddanymi. Jedna z nich była pielęgniarką w szpitalu położniczym, która okazywała

mu później niejednokrotnie swoją wdzięczność podczas cichych nocy na oddziale.

Gil spędził lata wśród bohemy z Lewego Brzegu w Paryżu. A teraz dostrzegał w młodych ludziach tę samą gotowość do podejmowania ryzyka, zdobywania podejrzanej reputacji, próbowania w życiu wszystkiego chociaż raz i ogólnej lekkomyślności w obliczu wojny. Był pewien, że tak jest wszędzie. I nie miał nic przeciwko temu.



Kiedy jesienią 1944 roku zaczęto organizować przemarsze niemieckich jeńców wojennych po placu Czerwonym, Gil poczuł, że musi dokonać jakichś zmian w swoim życiu. Moskwa może przestać być życzliwa, kiedy wojna dobiegnie końca. Rozsądek nakazywał mu mieć coś na wymianę, co mógłby mieć przy sobie, jeśli zajdzie potrzeba. Dlatego zaczął przyjmować proponowane wynagrodzenie.

Gil był świetnym ginekologiem i był niewiarygodnie dyskretny. Jego klientki miały tak dobre kontakty, że uznał, iż nie ma zbyt dużego ryzyka aresztowania. Ostatecznie był ostrożny w kwestii tego, w jak bardzo zaawansowaną ciążę ingeruje. Przyjmowanie zapłaty nie tylko nie zmniejszyło znacząco liczby klientek, ale pozwoliło mu stać się częścią obiegu różnorodnych złotych monet w Związku Radzieckim. Po dwudziestu pięciu latach komunizmu Rosja wciąż była zalana dwudziestorublowymi monetami z Mikołajem II, dwudziestofrankowymi z wizerunkiem Napoleona III oraz złotymi amerykańskimi dwudziestodolarówkami, tak samo nielegalnymi zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. W ciągu kilku miesięcy Gil zgromadził po kilka sztuk każdej z nich. W miarę jak rosły jego zapasy, zwiększało się także ryzyko. Już samo aresztowanie i bycie w posiadaniu takich monet groziło karą śmierci. Gdzie je ukryć? W końcu postanowił: w bibliotece szpitalnej, za dwunastoma egzemplarzami książki *Historia Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików): Krótki kurs*, napisanej na zlecenie Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego (bolszewików). Krążyły plotki, że napisał ją pierwszy sekretarz, towarzysz Stalin we własnej osobie. W bibliotece naukowej nie znano pojęcia zbyt wielu egzemplarzy.



Na długo przed tym, jak Gil zaczął pobierać opłaty za wykonywanie swojego patriotycznego obowiązku, jego oferowana darmowo pomoc otworzyła przed nim wiele drzwi, w tym co najmniej jedno, których progu nigdy nie chciał przekroczyć.

[1] Pięcioletnie plany rozwoju gospodarki narodowej ZSRR (przyp. tłum.).

## Rozdział 16

Towarzysz Dalglaszyn z Ministerstwa Spraw Zagranicznych miał kapryśną córkę. Miał także żonę z dolegliwościami bardziej powszechnymi u starszych kobiet. Do matki dotarło sprawozdanie córki na temat podejścia Gila do pacjenta. Wkrótce lekarz poznał całą rodzinę — ojca, córkę oraz matkę. Gdy tylko Gil ulżył pani Dalglaszyn, z czym związane były także korzyści dla towarzysza Dalglaszyna, było już pewne, że zostanie przechwycony przez grono ich przyjaciół i znajomych. Oprócz tego, że doktor Romero miał przyjemne usposobienie, egzotyczne imię i międzynarodowe doświadczenie, grał także w szachy, a to Dalglaszyn cenił. Miał też wprawną rękę do brydża kontraktowego, gry, której pani Dalglaszyn nauczyła się podczas delegacji na Zachodzie, a w którą nie chcieli grać z kolegami Dalglaszyna z partii.

Kilka zaproszeń do czwórki, czasami z młodszą siostrą pani Dalglaszyn, zaczęło dawać Gilowi wgląd w nomenklaturę rządzącą w Związku Radzieckim. Mieszkanie Dalglaszyna niewiele różniło się od życia wyższej warstwy klasy średniej, z którą Gil miał styczność w Paryżu i Barcelonie: duże, ciepłe i przygaszone pokoje, z ciężkimi zasłonami zapewniającymi prywatność, z dywanami zbyt wysokimi, żeby były stare, i ciemnymi meblami, na których stała niejedna zrobiona z samowara jasna miedziana lampa. Na fortepianie dziecięcym stały portrety rodzinne w srebrnych ramkach, a wokół wisiały pejzaże, być może autorstwa Corota, oświetlone od góry przez światła i dyskretnie opisane u dołu ramy. Rząd karafek stojący na kredensie pokazywał upodobanie do trunków, które przesunęło się od wódki w kierunku francuskich alkoholi i amerykańskich koktajli.

Któregoś wieczoru, po rozegraniu dwóch robrów, pani Dalglaszyn przeprosiła i udała się spać, a z nią wyszła z pokoju także jej siostra. Dalglaszyn spojrzął na zegarek. Było tuż przed dwudziestą drugą.

— Jest pan dzisiaj pod telefonem, doktorze? — Gil potrząsnął głową. — Jest zbyt wcześnie na zakończenie wieczoru. Proszę za mną. Pokażę panu moją ulubioną knajpę w Moskwie.

Była końcówka lata w Moskwie i wyszli z mieszkania Dalglaszyna na przyjemny spacer cichymi ulicami.

— Idziemy do Hotelu Metropol. Mają tam najlepszy bar w mieście.



Hotel Metropol okazał się być przedstawicielem moskiewskiej idei wielkiego budynku w stylu art déco, jak większość przedrewolucyjnych budowli, cierpiącym z powodu niedawnej przebudowy. Był zlokalizowany przy rzece, zaledwie kilka minut drogi od placu Czerwonego, którego łuna widoczna była za hotelem.

Drzwi zostały bezszelestnie otwarte przez portiera w stroju rosyjskiego „białego” Kozaka.

— Dobry wieczór, towarzyszu ministrze.

Przytrzymując drzwi, portier uklonił się bardzo nieznacznie. Gil spodziewał się stuknięcia obcasami, ale nie się doczekał.

Wejście do baru było widać już z holu. Bar nie był duży. Lada znajdowała się we wnęce wspieranej na rogach przez cztery marmurowe kolumny. Pozostała część pokoju naśladowała wystrojem szacowny londyński klub. Stały tam fotele uszaki ze skórzanymi obiciami z mosiężnymi ornamentowymi gwoździkami, a każdy miał dostawiony mały stolik, na którym

świeciła się mała lampka. Radio grało jedyną piosenkę, która była w pełni radziecka, a przy tym wystarczająco romantyczna — *Katiuszę*. Przy barze stało kilka długonogich i szczupłych młodych kobiet, a najwięcej było mężczyzn w ciemnych garniturach, rozmawiających ze sobą szeptem.

Kiedy Gil i Dalglaszyn weszli do środka, z jednego z foteli wstał mężczyzna, który rozłożył ramiona i szeroko się uśmiechnął, promieniejąc śródziemnomorskim ciepłem. Dołeczki znajdujące się w dużych policzkach dodawały mu rozbrajającej niewinności, a ciemne włosy i opalona skóra sprawiały, że wyglądał jak gwiazda hollywoodzkiego westernu. Był ubrany w źle dobrany garnitur, ale podniósł się z głębokiego fotela niczym bardzo silny i sprawny mężczyzna.

— Przyszedł pan, towarzyszu. Już prawie straciłem nadzieję na to, że pan się pojawi dzisiejszej nocy.

Zatem wizyta w Metropol nie była przypadkowa, tak samo jak i prezentacja mająca się za chwilę dokonać.

— Enrique, oto twój rodak, o którym ci opowiadałem. Towarzyszu doktorze Guillermo Romero, pan pozwoli, że przedstawię: towarzysz generał Enrique Lister. — Ugięcie się jego nóg musiało być widoczne, bo Dalglaszyn złapał go za łokieć silnym uchwytem. Następnie Lister ofiarował mu stalowy uścisk dłoni.

— *Que bo coneixer-te* — powiedział po katalońsku i Gil wiedział, że oczekiwano od niego odpowiedzi w tym samym języku.

— *Tinc l'honor de conèixer-la*, generale Lister.

Naprawdę był zaszczycony, mogąc poznać najbardziej znaną i charyzmatyczną postać wojskową po republikańskiej stronie hiszpańskiej wojny domowej. Nazwisko to było znane mu tak dobrze jak inne, które poznał w Hiszpanii. Jednak ani premierzy Negrin i Largo Caballero, ani nawet La Pasionaria, komunistyczna mówczyni Dolores Ibárruri we własnej osobie — nikt z nich nie przewyższył sławą Enrique Listera.

Lister wskazał na fotele znajdujące się po obu stronach jego własnego i cała trójka usiadła. Przechodząc na rosyjski, przez wzgląd na Dalglaszyna, Lister zapytał, czego się napiją. Dalglaszyn powiedział „gruziński koniak”, a Gil kiwnął na zgodę.

— Cieszę się, że w końcu mogę poznać swojego rodaka i patriotę, doktorze Romero. Pańska reputacja lekarska pana wyprzedza. Ale nie wiem nic na temat pańskich doświadczeń z naszego kraju. W tym sensie może pan mieć nade mną przewagę.

Gil odpowiedział z największą ilością iberyjskiej uprzejmości, na jaką mógł się zdobyć:

— Moja wiedza na temat pańskich dokonań wojennych jest niewątpliwie znacząca. Nikt w Barcelonie nie mógł nie usłyszeć o pańskich zwycięstwie w Madrycie oraz bohaterstwie w Brunete, Belchite i Teruel. W Katalonii do samego końca oddawano cześć ofiarom 11. Dywizji na rzece Ebro.

Gil miał nadzieję, że to wyliczanie postawi go w dobrym świetle.

Lister skinął głową.

— Nie każdy w Barcelonie był taki zadowolony z mojej walki. Kiedy wysłano mnie do Aragonii, żebym rozbił anarchistów i położył kres POUM, serca niektórym krwawiły, a trockiści pragnęli mojej krwi.

Gil dobrze pamiętał sytuację, kiedy prawie został wplątany w czystki stalinowskie, gdy NKWD zaczęło szukać Tadeusza Sommermanna. Jednak nie była to odpowiednia pora na ujawnianie takich wspomnień.

— Byłem lekarzem na oddziale położniczym w Hospital del Mar i nie miałem wtedy czasu zajmować się polityką.

— A teraz pan ma, doktorze?

Pytanie Dalglaszyna mogły być podchwytliwe. Gil nie był w stanie tego stwierdzić.

— To niemożliwe. Ledwo znajduję czas na oddychanie w Miejskim Szpitalu Położniczym nr 6.

Lister z chęcią zmienił temat:

— *Joven*, jak udało ci się uciec?

Nikt nie nazywał go tak od dłuższego czasu, a Lister nie mógł być dużo lat od niego starszy. Czy może używał tego zwrotu jako wyrazu sympatii? Gil miał taką nadzieję.

— Wyjechałem razem z sześćdziesięcioma tysiącami ludzi, którzy skończyli w Gers.

Był to największy z obozów dla uchodźców utworzonych przez francuski rząd Frontu Ludowego. Był niezorganizowany, ale na swój sposób humanitarny, szybko zbudowany na falistych polach niedaleko miasteczka u podnóża Pirenejów. Za cichym przyzwoleniem życzliwych żandarmów ucieczka z Gers nie była problemem dla tych, którzy znali francuski i mieli gdzie się podziać. Gil poznał kilka osób, które z niego uciekły. Gdyby rzeczywiście przebywał w Gers, mogło nie być tam żadnej ewidencji, a jeśli nawet się zarejestrował, nie musiał długo tam przebywać. Kłamstwo było bezpieczniejsze niż powiedzenie prawdy. W końcu uciekł przed łapanką, w której Lister odgrywał wiodącą rolę.

— Ach tak, Gers. — Lister zwrócił się do Dalglaszyna. — Co ministerstwo wie na temat wydarzeń w Hiszpanii, towarzyszu? Teraz, kiedy rzeź dobiegła już końca, czy Franco dalej sprawuje kontrolę?

— Amerykanie trzymają go z dala od wojny i karmią cały kraj.

— Z dala od wojny? Na Froncie Leningradzkim jest cała hiszpańska dywizja — Niebiescy — walcząca przeciwko nam. Zaciekle. — W głosie Listera nie było słyhać zbytniego poczucia dumy.

Dalglaszyn wyjaśnił:

— Miałem na myśli to, że Roosevelt trzyma Hiszpanię z dala od wojny z Amerykanami i Brytyjczykami. Z grupą przedstawicieli Guardia Civil Franco mógłby zdobyć Gibraltar choćby jutro. — Przerwał na chwilę, a potem kontynuował, próbując znaleźć płaszczyznę porozumienia z Listerem. — Dochodzą nas także słuchy, że Franco pozwala wypuszczać niektórych republikańskich więźniów, jeśli są niscy rangą i mają faszystowską rodzinę, która za nich poświadczy. Niektórzy republikanie dołączyli nawet do tej Niebieskiej dywizji, tu w Rosji, żeby udowodnić swoją lojalność albo wyciągnąć rodzinę z więzienia.

Lister prychnął.

— Musiał zastrzelić jakieś pięćdziesiąt tysięcy ludzi, kiedy w końcu dorwał się do władzy. Dziwi mnie to, że miał jeszcze kogo aresztować. — Po chwili się ożywił. — Są jakieś szanse na to, że zachodnim sojusznikom uda się go obalić?

— Żadne, dopóki nie wchodzi im w drogę. Pamiętaj, że minęło ledwie kilka lat, odkąd Churchill pochwałal Franco i atakował Republikę.

— Sytuacja może ulec zmianie, prawda? W końcu minęły tylko dwa lata od czasu, kiedy to Stalin popierał Hitlera.

Dalglaszyn szybko, ale ukradkiem rozejrzał się w obie strony. To było oczywiste, ale niebezpiecznie było tak mówić, lub nawet pozostawić takie słowa, nie kwestionując ich. Zaczął mówić nieco głośniejszym głosem:

— Enrique, jesteś teraz niesprawiedliwy. Wszyscy dobrze wiemy, że towarzysz Stalin grał na czas. Nie byliśmy jeszcze w trzydziestym dziewiątym gotowi.

— A w czterdziestym pierwszym już byliście? — Lister w ogóle się nie spieszył.

Dalglaszyn spojrzal ostentacyjnie na swój zegarek i wstał.

— Enrique, muszę już iść. Towarzysz Mołotow zwołał spotkanie na ósmą rano. Nie mogę



pozwolić, żeby minister spraw zagranicznych czekał.

Gil poszedł w jego ślady i również wstał. Lister siedział dalej, uprzejmie się uśmiechając i nie próbując opóźnić wyjścia trzeciego sekretarza z ministerstwa Mołotowa. Ale wyciągnął rękę i złapał za nadgarstek Gila. Zrobił to z taką samą siłą, z jaką wcześniej uściśnął jego dłoń.

— *Joven*, ciebie towarzysz Mołotow nie potrzebuje jutro rano. Zostań. — Znowu uśmiechnął się przyjaźnie, jednak jego uścisk był stanowczy.

Gil wrócił na miejsce i pomachał do Dalglaszyna, który już odwracał się do wyjścia.

— Sam wrócę do domu. Proszę pozdrowić rodzinę.

Lister zaczął mówić po katalońsku:

— Cóż, szczerza rozmowa szybko sprawiła, że nasz przyjaciel wyszedł. — A zatem było to zamierzone.

— Tak, ale nie boi się pan ani trochę tak mówić? — Gil odpowiedział także po katalońsku.

Teraz Lister zaczął mówić już dużo spokojniejszym tonem, ale ciągle po katalońsku:

— Szczerze powiedziawszy, jestem przerażony. — Gil milczał. — Nie wiem, jak zdołam przeżyć w ZSRR. Znasz dobrze historię? — Nie czekał na odpowiedź. — Cóż, może nie. „Prawda” o tym nie napisze, ale Stalin zdążył się już pozbyć wszystkich ważnych zagranicznych komunistów, którzy przyjechali do Rosji od czasów jego paktu z Hitlerem. Krążą plotki, że zamierza zamknąć Komintern i pozbyć się wszystkich.

— Komintern? — Gil powtórzył słowo, żeby zaznaczyć swoją niewiedzę.

— Kom... intern... Międzynarodówka Komunistyczna. Naprawdę jesteś apolityczny, jeśli nie wiesz, co to jest. To organizacja zrzeszająca wszystkie prawdziwe partie komunistyczne na całym świecie. Jeśli nie jesteś w Kominternie, to uważają cię za trockistę. Zapamiętaj moje słowa: do przyszłego roku, nawet jeśli będziesz w Kominternie, to i tak zrobią z ciebie trockistę. To jakiś obłąd, a przynajmniej wymówka dla Stalina, aby mógł pozbyć się, kogo tylko zechce. A to, czego chce najmniej, to głośni obcokrajowcy, którzy mają własne pomysły i jakiegokolwiek doświadczenia, jeśli chodzi o to, jak jest poza granicami ZSRR. Nie lubi wykształconych ludzi i nie przepada za Żydami, ale ja nie należę do żadnej z tych grup.

— Ale dlaczego? — zapytał Gil. „Zawsze lepiej grać ignorantą”.

— Ale dlaczego? — zadrwił z niego Lister. A potem odpowiedział szeptem: — Gdybyś nie przespał ostatnich piętnastu lat, wiedziałbyś, że to dlatego Stalin wciąż jest u władzy: jest paranoicznym megalomanem. Jeśli wybijesz każdego, kto mógłby być zagrożeniem, to istnieje duża szansa, że gdzieś po drodze wytępiłeś rzeczywiste zagrożenie.

Gil nie chciał brać udziału w jego bluźnierstwie.

— Towarzyszuszu generale, nie będę tego słuchał.

— Młodzińcze, mów do mnie Enrique. Nie mówię ci nic nowego. Byłeś w Hiszpanii. Wiesz tyle samo co ja na temat głodu na Ukrainie, procesów pokazowych...

„Jak mogę go powstrzymać przed mówieniem?”.

— Głodu? Kułacy blokowali zapasy.

Lister zaśmiał się szyderczo.

— Przypuszczam, że wierzysz też w to, iż Kirow został zabity przez drobnego złodziejzka. — Gil pamiętał zabójstwo najbardziej znanego lidera Związku Radzieckiego na początku lat 30. Stalin prowadził osobiste dochodzenie w tej sprawie. Lister kontynuował: — Jedyna rzecz, którą udało im się zatuszować, to sposób, w jaki uśmiercili marszałka Tuchaczewskiego i resztę dowództwa Armii Czerwonej w trzydziestym siódmym. — Teraz w jego tonie było słyhać złośliwość.

— Słucham?

Gil ledwo mógł przyswoić tę informację. Była naprawdę oszłamiająca. Nie miał pojęcia o procesie dowództwa sił zbrojnych. Czy to dlatego Stalin podpisał z Hitlerem pakt o nieagresji — ponieważ uśmiercił większość oficerów potrzebnych do obsadzenia własnej armii?

— Zdążyłeś już zapomnieć, czy nigdy o tym nie słyszałeś? Procesy nie były trzymane w tajemnicy. W 1937 roku Hitler wciąż był uważany za wroga. Stalin przeprowadził czystkę, likwidując czterdzieści tysięcy oficerów armii i każąc rozstrzelać kolejne siedem tysięcy osób za szpiegostwo dla Niemiec — w niektórych przypadkach szpiegostwo jeszcze od czasów poprzedniej wojny.

— Dlaczego?

— Bez powodu. Kaprys Stalina... Z paranoicznego strachu przed obaleniem lub zazdrości o wyszkolonych oficerów wojskowych. Tego nie wie nikt. Ale wszyscy są przerażeni. Może znowu to zrobić w biurze politycznym, partii. Myślę, że w Komiternie już się zaczęło. Zagraniczni przedstawiciele partii w Moskwie przechodzą sami siebie, żeby udowodnić swoją lojalność i uratować tym samym życie.

— Zatem co pan zrobi?

— Co *my* zrobimy? — Lister poklepał go po dłoni. — Tak, my. Jestem pewien, że mi pomożesz.

— Tak?

Gil starał się nie odmawiać od razu. Nie chciał nawet pytać, co Lister miał na myśli. Nakłonienie go do dalszego mówienia to było wszystko, na co zdołał wpaść.

— Romero, świetnie mówisz po katalońsku jak na galicyjskiego Żyda. Lepiej niż ja.

— Nie pochodzę z Galicji.

— Nie mówię o tej w Hiszpanii. Ja jestem z tej Galicji. Ty jesteś z tej znacznie bliżej położonej, Galicji austro-węgierskiej. Prawdopodobnie jesteś Polakiem i nigdy nie widziałeś wnętrza Gers.

— Proszę?

— Proś, ile chcesz, doktorze Romero. — Nadał temu zwrotowi szyderczej powagi. — Ale naprawdę mnie nie nabierzesz. Po pierwsze, mam ucho rodzimego użytkownika języka, nawet jeśli nie mówię jak taki. Żaden z ciebie Katalończyk. I mam listę wszystkich osób, które były w Gers, stworzoną przez hiszpańską partię. Nie ma cię na niej. Sprawdziłem.

Nie było sensu zaprzeczać, chociaż nie miał też zamiaru pomóc Listerowi zgłębić całą historię pochodzenia jego tożsamości. Wzdychając, zapytał:

— Więc co z tym zrobimy?

— Delikatnie mnie zabezpieczymy, w razie gdyby Diaz, pierwszy sekretarz partii hiszpańskiej, albo ta wiedźma Ibárruri zdecydowali się wydać mnie NKWD.

— La Pasionaria? — Jedyne tak Gil myślał kiedykolwiek o Dolores Ibárruri. Przydomek wziął się od okrzyku: „*No pasarán!*” — „Nie przejdą!”. — Cóż ona mogłaby mieć przeciwko panu?

— Nie słuchałeś mnie. I ona, i ja chcemy przeżyć w stalinowskiej klatce ze skorpionem. Więc oboje musimy być gotowi do podstępów. Wyda mnie bez skrupułów, a ja ją, jeśli będę musiał zrobić to, żeby móc dalej walczyć o Hiszpanię.

— Ale co ona by mogła na pana znaleźć?

— Mogłaby sfingować dokumenty partyjne wskazujące na moje powiązania z Międzynarodówką.

Gil wolałby nigdy nie usłyszeć tej nazwy. Ale usłyszał ją od Leny w Paryżu latem 1936 roku. Chodziło o Międzynarodową Ligę Komunistyczną.

— Generale, nikt pana nie oskarży o popieranie Trockiego. Osobiście poprowadził pan

dywizję republikanów przeciwko POUM w 1937 roku.

— To nie będzie miało znaczenia. Oskarżą mnie o zabicie ich w celu zatarcia za sobą śladów. To pokrętna logika NKWD. — Gil skinął głową z żalem. — I oto moment, w którym wkraczasz do akcji. Ja także mam coś na nią. I ty to dla mnie przechowasz.

Nagle Gil poczuł ucisk w dołku. Lister zamierzał wpisać go na karty historii, czy tego chciał, czy nie — a to była niebezpieczna sprawa. Gil potrząsnął głową. Lister odebrał to jako przejaw niedowierzania. Skinął głową.

— Tak, siostra Ibárruri kumała się z anarchistami, lewicowymi rozłamowcami, a nawet członkami partii socjalistycznej. Robiła to, jeszcze zanim Stalin i Komintern nawoływali do Frontu Ludowego. Więc *my* możemy walczyć tą samą bronią. — W chwili, gdy Lister akcentował „*my*”, Gil został boleśnie dźgnięty palcem wskazującym w klatkę piersiową. — Mój przyjacielu, w ciągu najbliższych kilku tygodni i miesięcy będę dostarczał ci oryginalne zapiski z archiwum Komunistycznej Partii Hiszpanii, z raportami bezpieczeństwa datowanymi wstecz do wczesnych lat 20. Ty ukryjesz je w jakimś sprytnym miejscu, gdzieś, gdzie nikt nie będzie szukał. Nie powiesz nikomu, nawet mi, gdzie zamierzasz je ukryć. Jedyne, co będziesz musiał zrobić, to wysłać do Álma-Aty na wschodzie pustą kopertę z wpisaną, jako adres nadawcy, lokalizacją skrytki. To wszystko. Jeśli nie będę znał miejsca skrytki, nie będę w stanie wyjawić tego ani NKWD, ani nikomu innemu.

Gil nie mógł przestać podziwiać tego człowieka, ale nie zamierzał dla niego tak ryzykować. To było gorsze, dużo gorsze nawet od wiedzy, którą został obarczony podczas spowiedzi umierającego kapitana NKWD.

— Ale ja mogę im ją wyjawić — powiedział. — I powiem im wszystko, jeśli będą mnie torturować.

— Spokojnie. Przy odrobinie szczęścia organy bezpieczeństwa nigdy nie dowiedzą się o twoim istnieniu. Jeśli go zabraknie, wrócisz do Polski, czy skądkolwiek pochodzisz, zanim zdążą się o tobie dowiedzieć. A jeśli naprawdę dopisze nam szczęście, żadna z tych niewygodnych prawd o La Pasionaria Ibárruri nie zostanie ujawniona. Powiedzmy, że to jest cena, która musisz zapłacić za możliwość dalszego podszywania się pod katalońskiego bohatera hiszpańskiej wojny domowej. Jeżeli odmówisz, może cię spotkać co najmniej to, że sprawimy, iż będziesz wyglądał na prawdziwego szpiega.



Już przechodząc tej nocy przez lobby Hotelu Metropol, Gil zaczął myśleć nad swoim problemem. Może od razu przekazać otrzymane materiały do organów bezpieczeństwa? Niemożliwe. Zatrzymaliby go jako polskiego szpiega, gdyby tylko poznali jego tożsamość, i z pewnością zabili, jeszcze zanim odkryliby jego powiązania z Paryżem. Zrobić to, czego zażądał Lister — ukryć dokumenty? Gdyby kiedykolwiek zechciał ich użyć, oznaczałoby to dla niego wyrok śmierci.

Jak mógł się z tego wyplątać? Zupełnie nie mógł. Ale mógł sprawić, że cała sprawa będzie wyglądać jak fuszerka. To może mu pomóc uwolnić się od kłopotów.

Zapakowane w brązowy papier i obwiązane sznurkiem paczki z napisem „Czasopisma medyczne” zaczęły przychodzić w październiku 1942 roku, średnio raz w miesiącu. Pierwsza zawierała adres w Álma-Acie, na który miał wysłać kopertę z lokalizacją skrytki jako adresem zwrotnym. Tego wieczoru Gil został dłużej, aktualizując przy biurku karty pacjentów. Następnie wszedł na trzecie piętro do działu kartotek medycznych, dużej, otwartej przestrzeni otoczonej szafami na dokumenty, z kartotekami pacjentów datującymi się na czasy przedrewolucyjne.

Krążąc po pomieszczeniu, zapamiętał sobie szafy na dokumenty, które zawierały kartoteki sprzed ponad trzydziestu lat. Numery od 43 do 63 stanowiły następną grupę, która miała zostać spalona pod koniec roku. Później podszedł do biurka, zabrał kopertę z adresem szpitala i włożył ją do maszyny do pisania. Nad słowami: „Zbiór kartotek, Miejski Szpital Położniczy nr 6” wpisał „numery akt 43 – 63”, dopisał adres w Ałma-Acie, wytarł wszelkie odciski palców z koperty i zostawił ją na tacce z korespondencją wychodzącą. Gdyby ktokolwiek ich kiedyś szukał, dowie się, że zostały spalone jako trzydziestoletnie kartoteki medyczne.

Następnie Gil wziął do domu nieotwartą paczkę „Czasopism medycznych”. Kiedy dotarł na miejsce, otworzył piec węglowy, podsycił ogień, rozerwał paczkę i wrzucał kolejno każdą kartkę w płomień, bardzo starając się, żeby nic nie przeczytać.



Komintern zakończył działalność w czerwcu następnego roku, dokładnie tak, jak Lister przepowiedział. Któregoś wieczoru, podczas gry w brydża u Dalgaszyna, trzeci sekretarz Ministerstwa Spraw Zagranicznych nawet poruszył ten temat. Czy hiszpański przyjaciel nakáže Gilowi ujawnić coś nietaktownego? *Czy pokój był na podsłuchu?* Gil nagle stracił wątek w grze.

— Rozwiązano Komintern? — Gil starał się, aby jego głos zabrzmiał obojętnie.

— Tak, to sposób towarzysza Stalina na zapewnienie zachodnich sojuszników, że ich lokalne partie komunistyczne będą lojalne wobec ich własnych krajów, a nie Moskwy. Jeśli naprawdę to zrobi, nie wiem, co wszyscy ci zagraniczni sekretarze partii będą robić, żeby przeżyć tutaj w Związku Radzieckim.

Gil nic nie odpowiedział. Wracał tej nocy do domu pożerany przez strach. A co, jeśli ktoś przyjedzie teraz po kartoteki?

Rok później paczki przestały przychodzić. Kiedy Enrique Lister zaczął pojawiać się na okładkach czasopism patriotycznych w mundurze generała Armii Czerwonej, Gil mógł znowu zacząć oddychać swobodnie.

**Część IV**  
**Nieprzemijająco**



## Rozdział 17

Najpilniejszy problem wojenny, jakiego Gil doświadczył, okazał się być związany mniej z historią świata i dużo bardziej z kosmicznym przypadkiem niż konflikty wewnętrzne wśród hiszpańskich komunistów.

Pewnego ranka pod koniec 1943 roku na biurko Gila trafiła nowa karta należąca do młodej moskiewskiej gospodyni domowej, Karli Guildenstern. Szybko przejechał palcem po jej danych, aż dotarł do męża: Ursa Guildensterna. Miejsce urodzenia: Karpatyń, zachodnia Ukraina. Zawód: lekarz, czynna służba w Armii Czerwonej w szpitalu ewakuacyjnym na Froncie Leningradzkim. Oczywiście jego żonie należał się priorytet, najlepszy szpital, jaki można było dostać. To oznaczało Krupską.

Gil musiał się zastanowić. Czy mógł ryzykować, przyjmując tę kobietę? Jej mąż był lekarzem. Na pewno będzie rozmawiała z nim o badaniu. A on zapyta ją o nazwisko lekarza. Przypomni sobie starą historię oraz wstyd. A nawet jeśli nie, to ciąża, jeśli to z nią przychodzi, ostatecznie doprowadzi do spotkania z Ursem przy jej łóżku.

Co zrobiłby Urs? Zignorowałby to, udawał, że nic się nie wydarzyło, odwróciłby się plecami i zignorował ból, którego przysporzył mu romans Gila z Ritą? Czy może jednak zrobiłby scenę? Albo gorzej — ujawniłby, że Gil Romero to tak naprawdę Tadeusz Sommermann?

Teraz jego świadomość zaprzątnęły inne pytania. Skoro Guildenstern ponownie się ożenił, to co stało się z Ritą? Wydostała się? Rozwiedli się? Żyła czy nie? Czy Urs coś wiedział? Czy wiedział cokolwiek na jej temat? Jedyne sposoby, żeby znaleźć odpowiedzi na te wszystkie pytania, to zrobienie tego, czego nie mógł zrobić: ujawnienie się przed Ursem Guildensternem.

Gil szybko podjął decyzję. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do pielęgniarki w poczekalni.

— Źle się czuję. Muszę iść do domu. Proszę przekazać wszystkie moje dzisiejsze wizyty doktorowi Iwanowowi.

Zdjął biały kitel, przeszedł przez drzwi i po kilku chwilach był już z dala od budynku.

Kilka dni później Gil poprosił kartę pani Karli Guildenstern. Rzeczywiście była w ciąży, termin rozwiązania: 15 maja 1944 roku. Jeśli zamierzała urodzić w jego szpitalu, w Krupskiej, spotkanie z Ursem stanie się prawie pewne. Gil miał sześć miesięcy na załatwienie tego problemu.



W końcu 1943 roku mieszkańcy Moskwy widzieli już zbliżający się koniec wojny, chociaż brakowało do tego jeszcze kilku lat. Poprzedniej zimy w czasie bitwy stalingradzkiej Niemcy stracili sześćset tysięcy ludzi oraz swojego dowódcę Paulusa. Hitler mianował go feldmarszałkiem, kiedy ten był już otoczony, wiedząc, że jak dotąd żaden niemiecki feldmarszałek się nie poddał. Paulus okazał się być pierwszym.

Wojna wycofywała się z Moskwy, a społeczność kawiarniana miasta wciąż chętnie ryzykowała pokazywaniem się publicznie. I dotyczyło to egzotycznych i interesujących ludzi, takich jak doktor Guillermo Romero. Po tamtym nocnym spotkaniu postanowili z Listerem nie spotykać się więcej w tym samym barze czy na przyjęciu. Jednak dla wielu mieszkańców Moskwy hiszpańska wojna domowa była żywym wspomnieniem, honorową odznaką niesplamioną taktyczną ugodą z nazistami. Tacy ludzie chętnie gościli u siebie Katalończyka, nawet jeśli ten nie wspominał o własnej przynależności do Brygad Międzynarodowych.

Stojąc samotnie któregoś wieczoru z koktajlem z szampana i brandy w jednej dłoni, a amerykańskim papierosem Lucky Strike w drugiej, Gil obserwował gości na przyjęciu, zwłaszcza kobiety. Chwilę wcześniej jego nozdrza zostały zaatakowane przez aromat Arpège, przebijający się przez dym tytoniowy. Przywołało to wspomnienie Paryża i wywołało ukłucie tęsknoty. Zaczął się zastanawiać: „Czy to możliwe, żeby Lena była gdzieś w tym tłumie?”. Jego zaduma została przerwana przez wysokiego, palącego fajkę mężczyznę, który podszedł do niego, patrząc tak intensywnie, że Gil nagle przestraszył się, iż za chwilę zostanie aresztowany. Mężczyzna miał siwiejące włosy bez wyraźnego przedziałka, a ich strąki wisiały nad jedną z jego brwi. Miał pomięte ubranie wysokiej jakości i profesorski wygląd. Kiedy podał mu rękę na powitanie, Gil zobaczył, że były na niej plamy z atramentu. Trzymając w lewej dłoni drinka, Gil musiał wziąć papierosa do ust, żeby móc się z nim przywitać. Nieznajomy przedstawił się, jednak Gil nie dosłyszał go w otaczającym ich hałasie.

— Przepraszam — powiedział Gil. — Myślałem, że powiedział pan „Erenburg”, to nazwisko pisarza, którego czytywałem, będąc w Paryżu.

— Dokładnie to powiedziałem. Ilja Erenburg.

Gil nie umiał się opanować — otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Nie zdał sobie nawet sprawy, że powtarza nazwisko rozmówcy na głos.

— Ilja Erenburg.

Zamilkł, myśląc: „Następną osobą, którą poznam, będzie Charlie Chaplin!”. Rzeczywiście, pierwszą rzeczą przeczytaną przez niego w Paryżu była publicystyka Erenburga, potem jego opowiadania oraz powieści. W romantycznym ujęciu lewicy był on drugim, tuż po Hemingwayu, kultowym korespondentem zagranicznym w Hiszpanii. W przeciwieństwie do Hemingwaya Erenburg dotarł jednak na front i został tam na tyle długo, żeby stać się dla Hiszpanów kimś w rodzaju bohatera.

Gil odstawił drinka i złapał Erenburga za przedramię, żeby upewnić się, że ten nie jest zjawą.

— *Con mucho gusto!* Nazywam się Guillermo Romero.

Erenburg uśmiechnął się serdecznie i odpowiedział po hiszpańsku:

— Lepiej, żebyśmy rozmawiali po rosyjsku. Nigdy nie wiadomo, kto chciałby nas podsłuchać — przestawił się na rosyjski. — Mówią, że pochodzi pan z Barcelony i był aktywnym zwolennikiem Republikanów.

— Niestety, nie walczyłem. Pracowałem tam jako lekarz, tak jak teraz tutaj w szpitalu położniczym. Kiedy Niemcy zaatakowali, byłem w zachodniej Ukrainie i dołączyłem wtedy do służb medycznych Armii Czerwonej. Formalnie jestem Polakiem, więc zwolniono mnie ze służby wojskowej, kiedy utworzyła się armia Andersa.

— Miał pan okazję widzieć dużo walk, zanim odszedł pan ze służby, Romero?

— Armia wycofywała się przez jakieś pół roku, ale zaczęły do nas trafiać ofiary, kiedy wojsko zatrzymało się w Dniepropietrowsku.

Wróciło do niego niemiłe wspomnienie spowiedzi kapitana NKWD na łożu śmierci.

— Doktorze, proszę mi powiedzieć, czy przysięga Hipokratesa zobowiązuje pana także do leczenia rannych Wehrmachtu oraz żołnierzy Waffen-SS?

— Obawiam się, że tak.

— Nawet pomimo tego, że służby medyczne Wehrmachtu nie zajmują się leczeniem żołnierzy radzieckich — stwierdzenie zabrzmiało nieco jak pytanie.

— Przysięga Hipokratesa nigdy specjalnie nie obowiązywała niemieckich służb medycznych, towarzyszu. Ich sanitariusze noszą broń osobistą, żeby skrócić cierpienie ich własnych żołnierzy, spowodowane przez ich śmiertelne rany. — Gil podzielił się tą informacją

pomimo tego, że wiedział o tym tylko z plotek.

— Obawiam się, że w tej kwestii jestem po ich stronie. Musimy ich wszystkich zabić — przyznał Erenburg.

— Wiem, czytałem pański artykuł dla „Prawdy”, *Zabijanie*. Taki miał tytuł?

— Nie zgadza się pan ze mną?

— Nie możemy zabić ich wszystkich i nie wszyscy z nich są nazistami. Proszę pomyśleć o Niemcach z Batalionu im. Ernsta Thälmana w Hiszpanii. Musieli się różnić od nazistów. Poza tym artykuły pokroju pańskiego znacznie utrudnią nakłonienie ich do tego, aby się poddali. — Oto stał on, nikt, krytykujący wybitnego rosyjskiego korespondenta wojennego, jednego ze swoich niewielu osobistych, prawdziwych bohaterów. Jednak Gil musiał zostawić w Erenburgu jakiś ślad po sobie. Tak chciał zostać przez niego zapamiętanym.

Erenburg rozłożył ręce, pozornie się poddając.

— Dosyć polityki — stwierdził Gil.

— Nie dosyć, ale to nie jest dobre miejsce — odpowiedział po hiszpańsku Erenburg.

— Zatem wracamy do przysięgi Hipokratesa? Jak można ją pogodzić z marksizmem i leninizmem? Szukam odpowiedzi na to pytanie od czasu moich studiów we Francji.

— W czym tkwi problem? To relikw, wytwór przestarzałej struktury klasy drobnomieszczańskiej — odpowiedział Erenburg.

— To nie wystarczy, towarzyszu. Przysięga Hipokratesa została ustanowiona dwa tysiące lat przed nastaniem drobnomieszczańskiego kapitalizmu.

— Przypuszczam, że ma pan rację.

Gil nie zwrócił uwagi na ustępstwo z jego strony.

— Poza tym założmy, że spisujemy na straty przysięgę Hipokratesa jako element moralności klasy średniej, pustą nadstrukturę, narzędzie mające na celu kontrolę proletariatu dla korzyści klas kapitalistycznych. Dlaczego nie możemy przyjąć takiego podejścia do naszej własnej socjalistycznej moralności? Jaki sens ma wychwalanie wyższej moralności: „Od każdego wedle jego możliwości, a każdemu wedle jego potrzeb”. Czy to nie jest kolejna nadstruktura, produkt nowej socjalistycznej podbudowy. — Erenburg nie przerywał, więc Gil przeszedł do końca swojego małego wykładu. — Właściwie to nie ma żadnych podstaw do moralności.

Gil pomyślał, że nawet jeśli Leny tam nie było, to jej duch z pewnością krążył w pobliżu.

— Rozumiem. — Erenburg wydawał się być pod wrażeniem. — Lenin kiedyś zacytował słowa Proudhona o tym, że własność jest kradzieżą. Ale dodał: „Tak, ale kradzież także jest kradzieżą”. Myślę, że w tym, co powiedziałaś, byłaby z perspektywy Lenina jakaś moralność. — Uśmiechnął się. — Ale nie jestem w stanie teraz powiedzieć, co nią jest dokładnie. — Gil się zaśmiał. A Erenburg dodał: — Spotkajmy się jeszcze kiedyś. Gra pan w szachy? — Gil kiwnął energicznie głową. — W którym pan pracuje szpitalu? Znajdę tam pana kiedyś.

— W Miejskim Szpitalu Położniczym nr 6.

— Aha, w szpitalu nomenklatury. Bardzo dobrze.



Przez całą zimę i wiosnę Erenburg dzwonił do Gila i umawiał się z nim na spotkania w klubie szachowym albo innych miejscach. Zazwyczaj, paląc papierosy i sącząc wódkę z małych kieliszków, rozgrywali trzy partie, z których jedna kończyła się remisem, a pozostałe dwie wygraną po razie każdej ze stron. Następnie szli na spacer. Obaj doskonale rozumieli, że prawdziwe rozmowy należy zostawiać na spacerach. Dla Gila zawsze było tajemnicą, dlaczego światowej sławy dziennikarz odnajdywał w nim spowiednika, na którego on zupełnie się nie



nadawał!

Podejrzane było dla niego także to, że Erenburg nigdy nie wspominał o Enrique Listerze, chociaż musieli się znać bardzo dobrze z Hiszpanii. Erenburg tak samo jak Lister był całkowicie oddany władzy radzieckiej oraz ideałom komunizmu, ale dręczony okrucieństwem rządów Stalina. Erenburg nigdy nie poruszył kwestii prawdziwego pochodzenia Gila. Nie znał hiszpańskiego na tyle dobrze, żeby zorientować się, że nie jest to język ojczysty Gila, ani nie znał katalońskiego. Było całkiem możliwe, że w rozmowie między Listerem i Erenburgiem nigdy nie padłyby słowa na temat katalońskiego ginekologa, którego obaj znali. Choć zdarzały się bardziej nieprawdopodobne rzeczy, takie jak ta, że nowa żona Guildensterna trafiła do poczekalni szpitala Romero.

Erenburg przebywał w Paryżu jako nastolatek, w latach 20. i 30., na długo przed tym, jak pojawił się tam Gil. Opowiadał niekończące się historie na temat Diego Rivery, Modiglianiego, Picassa, André Gide'a, swoich małżeństw i romansów, powieści, scenariuszy, a nawet jednego czy dwóch filmów, które zrobił. Opowiadał o czasach, kiedy cieszył się względami, i o czasach, kiedy się nimi nie cieszył, gdy aresztowała go Czeka, poprzedniczka NKWD, gdy deportowali go Francuzi i kiedy został ocenizowany po tym, jak swoimi doniesieniami na temat nazistowskich Niemiec naraził się paktowi Ribbentrop-Mołotow. Oczywiście Erenburga lśniły, gdy opisywał poddanie się Paryża Niemcom.

— Byłem jedynym zagranicznym korespondentem poza niemieckimi.

Było to doświadczenie możliwe dzięki temu samemu porozumieniu, które uczyniło z nazistowskich Niemiec i radzieckiej Rosji sojuszników, bo niewielu nieniemieckich dziennikarzy mogło tam zostać. Erenburg mówił o swojej przyjaźni z hiszpańskim anarchistą Durruttim oraz o POUM, do którego miał sentyment, co z pewnością nie spodobałoby się Listerowi. Razem wspominali parne noce na Ramblas, bary flamenco i nurkowanie pod wodą. Pewnego razu, kiedy obaj byli pijani, obiecali sobie, że wrócą razem na nadbrzeże w Barcelonecie i będą nim spacerować.



Erenburg głównie zdawał Gilowi relacje wojenne, których nie mógł zamieszczać w „Czerwonej Gwieździe”, gazecie podległej armii. Czytało ją ponad dwa i pół miliona radzieckich żołnierzy. Jak na ironię, kiedy Erenburg pojawił się po raz pierwszy w szpitalu, to Gil wyjaśnił coś wielkiemu dziennikarzowi.

Erenburg wygrał wszystkie trzy rozgrywki i właśnie wychodzili z klubu szachowego. Kiedy wyszli na ulicę, zaczął mówić.

— Słyszałeś o najnowszej niemieckiej propagandzie? Niemcy twierdzą, że odnaleźli dwanaście tysięcy ciał pochowanych w okolicy Smoleńska. „Doktor” Goebbels próbuje przekonać cały świat, że Rosjanie zastrzelili dwanaście tysięcy polskich oficerów w 1940 roku — szydził Erenburg. — A metoda, jaką sobie wybrali na uwiarygodnienie tej tezy, to ściąganie detektywów śledczych z okupowanych krajów oraz więźniów wojennych, tak jakby ci ludzie mieli jakikolwiek wybór poza tym, żeby tańczyć, jak im Goebbels zagra. I Polacy w Londynie także wierzą Niemcom! Skandal!

— Ilja, a co jeśli to prawda? Czy to by coś zmieniło?

— Co ty mówisz? To miałyby być prawda? To nazistowska propaganda.

— Posłuchaj, Ilja. W 1941 roku, kiedy byłem jeszcze w wojsku, zajmowałem się umierającym kapitanem NKWD. — Gil próbował powtórzyć to, co powiedział mu przed śmiercią mężczyzna. — To było dwa lata temu, Ilja. Długo przed tym, jak Goebbels mógłby

dorwać te ciała. — Dlaczego mówił to Erenburgowi? Dlaczego w ogóle sam o tym pamiętał, narażając siebie i jego na ryzyko? Ponieważ tak bardzo podziwiał tego człowieka. Ponieważ przez chwilę chciał wyjawić mu niebezpieczną prawdę, stać się tak szlachetnym jak jego przyjaciel. — Czy to naprawdę ma jakieś znaczenie?

— Tak, ma znaczenie. Powiększa brzemię, które musimy nosić w sobie. To kolejne kłamstwo, które musimy pogrzebać dla dobra sprawy. — Łzy płynęły po policzkach Erenburga. — Nie, to ma znaczenie tylko wtedy, kiedy działa na czyjeś sumienie.

Gil był niewzruszony. Nie nosił żadnego brzemienia. Pocieszył się myślą: „Przypuszczam, iż to, że żaden ze mnie artysta, wynika z tego, że brakuje mi jego emocji”.



— Wygrywamy, ale jakim kosztem, Gil! — Głośno myślał Erenburg pewnego popołudnia, kiedy spacerowali błotnistą ulicą wczesną wiosną.

— Co masz na myśli z tym kosztem? Wojna zawsze kosztuje!

— Za wszystko, co poszło dobrze, ludność radziecka musiała zapłacić znacznie wyższą cenę z powodu szaleństwa, głupoty i podejrzeń Stalina. Zaczynając od tego, że każdy głupi wiedział, że wojna się zbliża, na kilka miesięcy przed tym, jak Niemcy zaatakowali. Stalina ostrzegali Churchill, Amerykanie oraz jego najlepsi agenci w Japonii. Nie zrobił nic — a nawet gorzej niż nic. Rozkazał Armii Czerwonej zaprzestać mobilizacji na granicach. „Żadnych prowokacji” — żądał. Więc w ciągu pierwszych sześciu tygodni wojny straciliśmy półtora miliona ludzi, tylko dlatego, że tak bardzo chciał się podliznąć Hitlerowi.

— Skąd o tym wiesz?

— Od Żukowa. — Erenburg wymienił nazwisko najbardziej zasłużonego marszałka Stalina. — Wrócił z granicy mandżurskiej i ocalił Stalinowi skórę. W każdym razie Żukow uważa, że Stalin jest szalony.

— Naprawdę myślisz, że Stalin oszalał? Znasz go, Ilja.

— Wiem, że Stalin nie nadaje się do poprowadzenia kraju na wojnę. To tylko zasługa jego przybocznych, że utrzymał się przy władzy. Przez miesiąc po niemieckim ataku był ukryty w swojej daczce, w depresji, pijąc i śpiąc całymi dniami, nie mogąc się otrząsnąć. W końcu biuro polityczne przyszło go aresztować. Każdy wiedział o jego zbrodniach. Ale kiedy tam dotarli, zostali rozbrojeni przez ochroniarzy Stalina. Wtedy, w furii wywołanej przez własnych przyjaciół, Stalin w końcu się ruszył. I po co? Żeby rozkazać daremne ofensywy, które kosztowały nas kolejne siedemset pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Porucznik z rezerwy lepiej zorganizowałby działania obronne ojczyzny.



Kiedy spotkali się kilka tygodni później, Gil tryskał energią.

— Czytałeś wiadomości? Jestem głupi! Sam je musiałeś napisać. — Erenburg czekał. — Nowy Stalingrad, otoczenie Dniepru. Sto tysięcy Niemców?

— Zgadza się. Ale samozadowolenie jest nie na miejscu, Gil.

— Jak zwykle musisz wiedzieć coś więcej.

— Więcej, niż chciałbym wiedzieć. Zawsze tak jest. Zginęła połowa tego, co ogłosiliśmy. I straciliśmy w tym zwycięstwie więcej ludzi niż Niemcy — dwa razy więcej — i pięciokrotnie więcej czołgów.

— Dlaczego?

— Z wielu powodów. Ponieważ wojsko rzuca żołnierzy pierwszych zamiast używać

broni. Gil, czy wiesz, czym są jednostki karne albo blokujące?

— Nie, nigdy o nich nie słyszałem.

— Formacje blokujące to jednostki z karabinami maszynowymi, rozmieszczone za naszymi szeregami i mające za zadanie zestrzelić naszych wycofujących się żołnierzy... Nie tylko pojedynczych dezertersów, ale całe jednostki. Dlaczego całe jednostki się wycofują, sprzeciwiają rozkazom? Czy to tchórze? Faszyci? Nie. Ponieważ słuchają bezsensownych rozkazów i atakują niemieckie fortyfikacje. Kiedy wybuchła wojna, otrzymali rozkazy, żeby atakować bez broni! Tylko pomyśl, Gil! Nawet po zwycięstwach z 1943 roku wojsko wciąż potrzebuje formacji blokujących!

— A jednostki karne... Czym one są?

— Bataliony karne, pełne więźniów, dezertersów — ludzi, których wola walki jest wątpliwa. Lub więźniowie z gułagów oraz, co najgorsze, nasi żołnierze — więźniowie wojenni, których udało nam się uwolnić. Używa się ich jako ludzkich poławiaczy min. Poi się ich wódką i każe maszerować w prostych liniach na pole minowe. Ktokolwiek dotrze na drugą stronę, ten znalazł właśnie drogę dla reszty wojska. Czy dowódcy wydali takie rozkazy, ponieważ nie mają wykrywaczy min? Czy robią to, bo są sadystami, czy dlatego, że ktoś im kazał to robić? — Gil nie potrafił odpowiedzieć na to wszystko. — Trudno jest cieszyć się ze zwycięstw, kiedy ma się świadomość, jaką trzeba było zapłacić cenę.



Gdy w 1944 roku marzec przeszedł w kwiecień, problem Karli Guildenstern stał się coraz bardziej naglący. Co kilka tygodni prosił o jej kartę wraz z innymi i widział, że jej ciąża przebiega normalnie. Najbardziej pechowe było to, że po tym, jak ostatecznie przełamano niemieckie oblężenie Leningradu, jej mąż prawie na pewno będzie mógł przyjechać do Moskwy na poród. Jako że Urs jest lekarzem, będą mu przysługiwały wszelkie dogodności takie jak kolegom, w tym wspólny pokój lekarski i stołówka. Zostanie oprowadzony po szpitalu. Nie będzie się dało uniknąć spotkania z nim. Co robić?

Do Święta Pracy sprawa stała się bardzo pilna. Następnego ranka personel szpitala został wezwany przez ordynatora na spotkanie.

— Panowie i panie — zaczął. — Otrzymałem rozkaz szukać ochotników do — szukał właściwego słowa — nieprzyjemnej... hm, trudnej misji. Będzie ona wymagała od ochotnika wyjazdu na dwa tygodnie do miesiąca i rozpocznie się w ciągu tygodnia. Mogę zdradzić tylko tyle, że lekarze wojskowi mają towarzyszyć dużej, przymusowej deportacji na wschód. Będą to ludzie narodowości, która pomagała i zapewniała wygody faszystom podczas ich okupacji. Warunki będą dla nich bardzo surowe, a dla tych, którzy będą przeprowadzali deportację, będzie to niełatwy orzech do zgryzienia. Od członków partii oczekuje się zgłoszeń. Pozostałych także zapraszamy. — Przerwał na chwilę, zastanowił się i mówił dalej: — Nie zgłaszajcie się, jeśli problemem jest dla was zbiorowa odpowiedzialność oraz wina ludzi jako wspólnoty.

Wszyscy zgromadzeni zdali sobie sprawę, że ordynator wiele ryzykował, mówiąc o swoich spostrzeżeniach w obecności kilku lekarzy, którzy jako członkowie partii mieli obowiązek zgłosić jego uwagi. Podziw, jaki wywołała w Gilu odwaga ordynatora, ustąpił jednak natychmiast miejsca zrozumieniu, że zgłoszenie się na ochotnika mogłoby zapewnić mu pobyt poza szpitalem i Moskwą w tym samym czasie, w którym Karla Guildenstern byłaby w szpitalu.

— Jeśli chcecie się zgłosić do tej misji, zróbcie to u szpitalnego sekretarza partii. Tymczasem ta sprawa jest tajna i nikomu nie wolno o niej wspominać. To już wszystko, koledzy.



Guillermo Romero spędził zatem szesnaście dni w pociągu, który na początku zappełniło dwa tysiące czterysta dziewięćdziesięcioro czworo Tatarów krymskich — kilku starszych mężczyzn, ale głównie kobiety i dzieci. Mieli zostać zabrani ze swoich domów na Półwyspie Krymskim i przewiezieni pięć tysięcy kilometrów dalej, do Samarkandy w odludnej środkowej Azji. Kiedy było po wszystkim, Gil doszedł do wniosku, że bez względu na to, jak ciężko mu było, przynajmniej mógł cieszyć się jazdą i ciepłem samochodu strażników. Biednym Tatarom dano pół godziny na opuszczenie domów, a potem poprowadzono ich na tory kolejowe, gdzie zostali wepchnięci do wagonów bydłowych, którymi wyruszyli w dwutygodniową podróż bez chwili postoju przez surową, spustoszoną przez wojnę Ukrainę i pustą kazachską pustynię, by w końcu znaleźć się na stepach na północ od Samarkandy.

Zanim rozpoczęła się deportacja, Gilowi streszczono ich zbrodnie. Powitali oni, a przynajmniej zbyt wielu spośród nich, Niemców jako wybawicieli. Co gorsza, byli winni przekazania sporej liczby mężczyzn do Wehrmachtu, w którego oddziałach ci ostatni walczyli zaciekle przeciwko Armii Czerwonej, nawet po tym, jak Krym został już odebrany Niemcom. A to wszystko uczynili po dwudziestu latach radzieckiego oświecenia, elektryfikacji, edukacji, zmechanizowania ich rolnictwa. Dwadzieścia lat po tym, jak naukowy socjalizm uwolnił ich od feudalnego jarzma ich własnej religii. Po tym wszystkim ciągle nie byli lojalni wobec państwa.

Zrobił dla tych Tatarów, co tylko mógł: odebrał trzy porody, z czego jedno dziecko przeżyło, opatrywał rany dorastających chłopaków, na tyle hardych, żeby prowokować strażników, a nawet zajmował się kilkoma postrzelonymi, którzy podjęli próby ucieczki. Jednak nie mógł zrobić nic dla starszych ludzi umierających z głodu i wycieńczenia. Udało mu się wymusić higienę na tyle, że nie musiał borykać się z tyfusem, ale nie był w stanie nic zrobić w kwestii czerwony. Na końcu oszacował, że z jego pociągu w drodze zmarło trzysta osób. Odpowiedzialny za deportację główny lekarz wojskowy pogratulował mu — niektóre pociągi straciły połowę transportu. Istniała dokładna liczba ludzi, którzy zostali zmuszeni do przesiedlenia: około dwustu tysięcy. Jednak rozkazy zakazywały liczyć ofiary śmiertelne.

Kiedy zakończono manewry, prawie czterdzieści tysięcy pracowników bezpieczeństwa NKWD miało zostać przesiedlonych z powrotem na Ukrainę. Podczas podróży powrotnej z Kijowa Gil znalazł się w przedziale z innymi lekarzami, którzy brali udział w deportacji. Przez trzy dni pociąg toczył się na północ do Moskwy. Cały przedział kłócił się na temat moralności tego, co właśnie zrobili. Gil nie był zainteresowany tą debatą.

## Rozdział 18

Margarita Truszenko, volksdeutsch, stała na peronie, kiedy o dwudziestej pierwszej na stację w Karpatyniu wjechał ekspres do Warszawy.

Znała siebie jako Ritę Feuerstahl, nawet nie Ritę Guildenstern — nigdy nie była w stanie tak o sobie mówić. I nigdy nie będzie.

Tej późnej październikowej nocy 1942 roku na peronie stała zatem Rita Feuerstahl, starająca się z całych sił stać Margaritą Truszenko. Zaczęła swoje starania, skupiając się na katechizmie, który kiedyś, będąc w gimnazjum u benedyktynek, znała na pamięć. Zaczęła nieuchronnie błądzić myślami.

„Nie jestem już tą samą osobą, która piętnaście lat temu po raz pierwszy nauczyła się na pamięć tych zdań. Za dziesięć lat każdy, kogo znam, będzie o mnie myślał jako o Margaricie Truszenko już na tyle długo i tak bardzo, że naprawdę się nią stanę”.



Początkowo niezauważalny szum zamienił się w rosnący w siłę huk pociągu pasażerskiego nadjeżdżającego ze wschodu. Gdy tylko minęła ją lokomotywa z dwiema namalowanymi swastykami, rząd wagonów zaczął zwalniać do momentu, aż cały pociąg dopasował się do peronu.

Kiedy mijały ją kolejne wagony, mogła dostrzec na drzwiach zatarte symbole polskiej kolei państwowej, wyglądające spod insygniów Reichsbahn. Wreszcie jeden z wagonów zatrzymał się przed nią i drzwi się otworzyły.

Kiedy kładła walizkę na półkę nad głową, czuła, że bagaż jest nierównomiernie obciążony przez ciężkie książki, które zsunęły się na jedną stronę. Wiedziała, dlaczego zabrała je ze sobą. Nie po to, żeby pamiętać o Freddym. Potrzebowała ich. Książki stały się środkiem ciężkości, i to nie tylko w walizce, którą podniosła w górę na półkę bagażową nad siedzeniem. Stały się jej własnym środkiem ciężkości. Co za ironia, że to w getcie, gdzie jej głównymi potrzebami było jedzenie i dach nad głową, znalazła dokładnie to, czego od zawsze szukała: prawdziwe źródło rzeczy, którego szukała, odkąd sięgała pamięcią. Wielokrotne czytanie tych dwóch książek zaspokoiliło pragnienie, które żywiła od czasów uczęszczania do gimnazjum siostr benedyktynek.

Usiadła na swoim miejscu. W ciągu kilku minut czerń nieoświetlonego miasta oraz noc zamieniły okno, przy którym siedziała, w lustro. Nie widziała nic poza odbiciem własnej twarzy, więc zaczęła się w nią wpatrywać, próbując uczynić z niej twarz Margarity Truszenko. Zmiana tożsamości nie powinna być takim problemem. Począwszy od tej chwili pomoże jej każdy wokół, zakładając, że sama pożyje na tyle długo, żeby można było jej pomóc. „Ja sama, ja, mnie, moja tożsamość. To tylko przydatna iluzja, narzucona nam przez naturalną selekcję tak samo jak inne rzeczy. Jakże błyskotliwe dzieło uczynił Darwin z wielkich zagadek filozofów”.



Pociąg przejeżdżał przez wsie, które w świetle dziennym przypominałyby jej podróże do Lwowa sprzed trzech lat, co z kolei przypominałoby jej lekko nerwowe oczekiwanie, przyływ radości na jego widok — Gila czy Tadeusza? — na peronie we Lwowie, proste uczucie wyzwolenia seksualnego, intymność wspólnego posiłku oraz rozgoryczenie podczas tego

ostatniego powrotu do domu z Ursem. Nic z tego nie pamiętała. Różniła się od tamtej Rity.

Konduktor pojawił się za nią bezgłośnie i odchrząknął, żeby zwrócić na siebie jej uwagę. Nie zauważając tego, jak bardzo Rita przestraszyła się na widok jego niemieckiego munduru, uchylił kapelusza i poprosił o bilet, który pewnie skasował, po czym poszedł dalej.



O dwudziestej drugiej trzydziści Margarita Truszenko wysiadła z pociągu i przeszła wzdłuż długiego peronu pod szklanym i żelaznym dachem Hauptbahnhof w Lembergu. Nie było widać ani jednego polskiego znaku. Przywitała ją fraktura — wszystko było napisane gotycką czcionką. Strzałki w stronę *Befehlshaber* — centrali wojskowej, *Wartehallen* — poczekalni, *Gepäckaufbewahrung* — przechowalni bagażu.

Rita zdecydowała kierować się w stronę *Gepäckaufbewahrung*. Z pewnością prawomocne zasady z Karpatynia obowiązywały także tutaj. Wałęsanie się w nocy po ulicy z walizką było zaproszeniem dla policji. Podeszła bezpośrednio do otwartej szafki i podała bagaż. W zamian za kilka groszy otrzymała mały kwit. Kiedy się odwróciła, podszedł do niej młody, raczej miły mężczyzna, w płaszczu i z postawionym kołnierzem, zdjął kapelusz i ją objął. Był niższy od Rity, gładko ogolony i miał kręcone, brązowe włosy.

— Kochanie — powiedział zbyt głośno, żeby kierował to słowo tylko do niej. — Cieszę się, że cię widzę. — Przyłożył usta do jej ucha i zapytał szeptem: — Twoje imię, kochana, szybko.

— Margarita — odpowiedziała szeptem, wciąż mając jego ucho przy swoim policzku.

— Margarita. Dzięki Bogu, że wróciłaś — powiedział znowu nieco zbyt głośno. Wziął ją pod rękę i wyprowadził z budynku dworca na plac po drugiej stronie. Zatrzymał się, żeby zapalić papierosa, i poczęstował ją jednym. — Weź, nawet jeśli nie palisz. Pomaga.

Zatrzymali się i Rita spojrzała za siebie na szklany sufit nad holem, ledwo oświetlony na tle czarnego nieba. Potem spojrzała ku jaśniejszemu łukowi nad wejściem do budynku. Nie zmienił się w ciągu tych czterech lat. Za to wszystko inne tak.

— Tak, palę. Dziękuję — powiedziała, wydmuchując dym. — W czym palenie pomaga? Kim jesteś i o co w tym wszystkim chodzi?

Młody mężczyzna się uśmiechnął.

— Moja droga, palenie pomaga, bo przyzwoite kobiety nie palą na ulicy, w szczególności przyzwoite Żydówki. Tam w środku było pół tuzina ludzi z SS i Gestapo, gotowych, żeby cię schwytać i wysłać prosto do getta w Lembergu, gdyby jeszcze takie istniało. Nie zauważyłaś, że cie otaczają? — Wskazała na dworzec. — Ocaliłem przed chwilą twoją śliczną główkę. — Szli dalej, a on kontynuował: — Przyjechanie tutaj w pojedynkę nocnym pociągiem ze wschodu to dla nich wskazówka.

— Nie mam przed policją nic do ukrycia — upierała się Rita.

— Oczywiście, że nie. Dlatego tak czule przywitałaś się z zupełnie nieznanym sobie człowiekiem i podałaś mu swoje imię. Każda mała Żydówka zaczęłaby wołać o ratunek przed takim typem, prawda?

— Prawda! Zabierz mnie z powrotem — fuknęła Rita. — Nalegam.

Ale kiedy się zatrzymał, wzruszył ramionami i zaczął zawracać, zmieniła zdanie. Zmusił ją do pokazania kart. Kiedy zaczęli ponownie oddalać się od dworca, zapytała go, jak się nazywa.

— Jerzy Sawicki, do pani usług, *madame*.

— A dlaczego się dla mnie narażasz?

— Przez zwyczajny patriotyzm.

— Zatem dokąd idziemy?

— Do hotelu bardzo oddalonego od dworca. Niedługo tam będziemy.

Kilka chwil później znaleźli się w Hotelu Nowożytnym, znajdującym się w zniszczonej kamienicy czynszowej, zszarzałej na skutek pięćdziesięcioletniej ekspozycji na pył węglowy i mającej pojedyncze drzwi i dwa okna wychodzące na ciemną, wąską ulicę z podobnymi budynkami. Na beczce po mleku siedział opierający się o ścianę mężczyzna, ubrany w koszulę bez marynarki i skórzaną kamizelkę. Wstał, gdy podeszli do drzwi, i wszedł do środka przed nimi.

Drzwi otwierały się na mały przedsionek, w którym znajdował się wąski kontuar, a za nim widać było rząd przegródek z kluczami. Były też strome schody wiodące na górę, a pod nimi tylne drzwi, „prawdopodobnie — pomyślała Rita — prowadzące do wychodka”, którego przestano używać na długo po tym, jak wybudowano hotel.

Człowiek w skórzanym kamizelce, który wszedł przed nimi, okazał się być recepcjonistą. Wyjął z ust wykałaczkę — a może to była zapalka — i przemówił.

— Jerzy, przyprowadziłeś mi następnego gościa? — Spojrzał na Ritę. — Zamieszka pani ze mną, czy woli własny pokój?

— Ile za jedynekę?

— Dwie marki. Dowód poproszę. Odzyska go pani rano. — Położyła dokument razem z banknotem. Mężczyzna przepisał jej dane do cienkiego, zniszczonego i poplamionego rejestru, wręczył jej klucz i wyszedł z powrotem na zewnątrz na nocne powietrze, mrużąc: — Pokój nr 2 na pierwszym piętrze, najlepszy pokój w naszym hotelu.

Jerzy wziął swój klucz z półki nr 5 i poszli w kierunku schodów.

Rita dotarła do pierwszych drzwi i zaczęła grzebać w zamku ciężkim kluczem uniwersalnym. Jerzy zaoferował pomoc, ale odmówiła. Kiedy w końcu udało jej się za trzecim razem otworzyć, próbował się wprosić do środka. Rita go powstrzymała.

— To był długi dzień. Jestem zmęczona. Może jutro.

Próbowała się uśmiechnąć, stanowczo zamykając drzwi.

W wąskim pokoju znalazła gołą żarówkę nad głową, pojedyncze łóżko z widocznymi pod materacem sprężynami, kiwającą się szafkę, okno wychodzące na ulicę dokładnie nad wejściem do hotelu i drzwi, za którymi znajdował się zlew. Na suficie było sitko prysznicowe, a na środku podłogi odpływ. W pomieszczeniu nie było toalety.



Następnego ranka Rita wstała o świcie. Ubrała się po cichu, założyła płaszcz z wszytym balastem monet oraz morfiny i zeszła po schodach. Dyżur pełnił ten sam recepcjonista, ale teraz chrapał z głową na kontuarze. Zabieranie ze sobą klucza nie miało sensu. Nie zostawiła w pokoju nic. Włożyła klucz do przegródki i przeszła przez drzwi wyjściowe.

Dokąd teraz? „Ostrożnie, Margarito!”. We Lwowie, a raczej Lembergu, знаła tylko jedną osobę: doktora Stanisława Pankowa, lekarza, do którego wysłał ją Urs i który następnie przekazał ją Gilowi. Gdzie był jego gabinet? Zaczęła poszukiwania, wracając na dworzec. Stamtąd wystarczył jeden zakręt, a potem drugi i już była przy gabinecie doktora Pankowa. Kiedy dotarła na miejsce o siódmej trzydziści, było jeszcze zdecydowanie za wcześnie na to, żeby gabinet był otwarty. Najbezpieczniejszą rzeczą wydawało się wejście do budynku i oczekiwanie na klatce schodowej nad jego gabineciem.

Kiedy usiadła na żelaznym okuciu schodów, poczuła chłód rozchodzący się po ciele. Wstawiała raz za razem, żeby się go pozbyć.

Punktualnie o dziewiątej usłyszała, że Pankow przyjechał, otworzył drzwi i włączył światło. Rita zeszła po schodach, uświadamiając sobie, że podczas spotkania z nim może być znowu Ritą Guildenstern, a następnie zapukała do drzwi.

— Proszę. — Komenda była stanowcza. Nie spodziewał się pacjentki. Pankow spojrzał znad biurka. Nie poznał jej. — Jest pani umówiona na wizytę, panno... czy może pani?

— Doktorze Pankow. — Przerwała. — Byłam pańska pacjentką bardzo krótko, cztery lata temu. Rita Guildenstern.

Pankow zastanawiał się przez chwilę, a po chwili się zaczerwienił. Odłożył pióro, wyprostował się na krześle, podniósł obie ręce do kamizelki i zaczął gładzić jej powierzchnię, widocznie zakłopotany.

— Tak, pamiętam. — Jego twarz przybrała gniewny wyraz i zmierzył ją wzrokiem. — Jak pani śmie się tutaj pokazywać? Pani zachowanie wywołało skandal w miejscowym środowisku lekarskim. To, co pani zrobiła, było niedopuszczalne. Proszę natychmiast wyjść.

Zanim skończył, jego złość ustąpiła miejsca niepokoju. Jak gdyby mógł się od niej czymś zarazić.

Świadomość niebezpieczeństwa, jaką miała, sprawiła, że nie odczuła rozczarowania.

— Proszę, doktorze, jestem tutaj sama i nikogo nie znam. Nie mam do kogo się zwrócić. Czy może mi pan pomóc? Nie potrzebuję pieniędzy ani fałszywych dokumentów. Potrzebuję tylko zatrzymać się gdzieś co najmniej na najbliższe kilka dni.

— Nie jestem w stanie udzielić pani żadnej pomocy. — W jego głosie słychać było złość, sprzeczną ze strachem, jaki miał w oczach. — Gdybym to zrobił, naraziłbym swoją praktykę, pacjentów i rodzinę.

„Nie wspominając o panu samym” — pomyślała.

— Proszę natychmiast wyjść.

Wstał i wskazał na drzwi w ostatecznym geście, który wykluczał jakiekolwiek negocjacje.

Rita trzymała już rękę na klamce, kiedy Pankow odezwał się:

— Proszę chwilę poczekać. Nie mam pojęcia, dlaczego to mówię, ale w lipcu 1941 roku odwiedził mnie pani kochanek. Miał zamiar dołączyć do czerwonych, czego można było się spodziewać po hiszpańskim komuniście. — Pankow wstał, podszedł do szafki, otworzył ją i wręczył jej mały pakunek. — Prosił mnie, żebym to pani oddał. I właśnie to robię. Proszę to wziąć i wyjść.

Podszedł do drzwi i gestem wyprosił ją z gabinetu. Rita słyszała, jak zamyka za nią drzwi na klucz.

Jedynym wyjściem z sytuacji wydawał się powrót do hotelu. Ciągłe byli w posiadaniu jej ausweis. Kiedy dotarła na miejsce, w wąskim wejściu stał Jerzy, zabijający czas rozmową z nowym portierem, którego wygląd nie dodawał hotelowi uroku.

— Proszę, oddaję pani dowód. — Portier wręczył jej dokument z wyraźnie dwuznacznym spojrzeniem.

— Gdzie się podziewałaś, Rito? — zapytał Jerzy z widoczną ulgą. Spojrzał na mały pakunek, który miała w rękach. — Co masz w pudełku?

— Wysłałam zjeść śniadanie. — Dlaczego nazwał ją Ritą? Czy już ktoś zdążył ją wydać, a może jej samej wymyśliło się przypadkiem niewłaściwe imię?

— Może pójdziemy na górę do twojego pokoju, Rito? — powiedział ponownie. Skąd wiedział, jak się nazywa?

— Tak, chodźmy. Ale mam na imię Margarita.

— Wiem, ale to długie imię. Więc je sobie skróciłem — wyjaśnił, kiedy wchodzili po schodach.



Otworzyła drzwi i weszli do środka. Kiedy drzwi się zamknęły, Jerzy zbliżył się do niej.

— Podobało mi się, kiedy przytuliliśmy się wczoraj w nocy na dworcu. Możemy to powtórzyć?

— Być może, kiedy wrócisz stamtąd razem z moją walizką. — Rita wyłowiła z kieszeni płaszcz kwit bagażowy. Jerzy się ożywił.

— Świetny pomysł, mała. Nie ruszaj się z miejsca. Zaraz wracam.

Wyszedł z pokoju i usłyszała, jak zeskakuje po schodach. Podeszła do okna. Kiedy spojrzała w dół, zobaczyła, że zatrzymał się, aby zamienić parę słów z portierem, który znajdował się teraz po drugiej stronie wąskiej uliczki. Cicho otworzyła okno i zaczęła się przysłuchiwać rozmowie.

Jerzy akurat odpowiadał na pytanie portiera:

— Miałem zamiar się trochę zabawić, zanim przekażę ją dalej. Ale może ma w walizce coś wartościowego. — Podniósł kwit bagażowy. — Będę z powrotem w trymiga. Musiałeś oddawać jej dokumenty?

— Myślałem, że to dziewczyna na telefon, a nie jakaś naiwniaczka, którą tu przyciągnąłeś.

Ricie nie podobało się to, co zobaczyła, ale wpadła na pewien pomysł. Zamknęła okno i podeszła do płaszcz. Wyjęła jedną fiolkę morfiny i zaniósła ją do umywalni. Potem przypomniała sobie o paczce, którą dostała od Pankowa. Podniosła ją z łóżka i otworzyła. Nie było żadnego liściku ani wizytówki, tylko krążek maciczny w białoniebieskim pokrowcu, który próbował dać jej niegdys Gil.

Ktoś zapukał do drzwi. Otworzyła. Stał przed nią lekko zziębnięty Jerzy z jej walizką w ręku. Blokując drzwi stopą, wyciągnęła rękę po walizkę. Podał jej ją, a ona powiedziała:

— Jerzy, idź wziąć prysznic, a potem wróć tutaj.

Kiedy go nie było, sprawdziła dokładnie walizkę. Otwierano ją scyzorykiem, na każdym spoiwie był ślad. Jerzy najwidoczniej miał doświadczenie w takim przeszukiwaniu i bez wątpienia wciąż miał przy sobie nóż, albo nawet drugi, bardziej niebezpieczny.

W kufierku na biżuterię znalazła części strzykawki, a w zestawie do szycia igłę do niej, której Jerzy najwyraźniej nie zauważył. Wzięła je razem z fiolką morfiny i umieściła w szafce na lekarstwa w łazience. Następnie rozebrała się do naga i włożyła na siebie tylko halkę.

Kiedy Jerzy zapukał po raz drugi, wpuściła go. Bez jakiegokolwiek wstępu podszedł do niej i zaczął ją całować. Ku jego zdziwieniu odpowiedziała tym samym. Pomyślał, że może nie była znowu taką pruderyjną Żydówką, jak mu się wydawało. Żydówka czy nie, była nowoczesną dziewczyną. To dobrze. Trzymając ją jedną ręką, drugą zdjął ramiączko jej halki i odkrył pierś, którą zaczął najpierw nieumiejętnie ścisnąć, a potem całować.

Wbrew sobie Rita zaczęła czuć podniecenie. Czula jego erekcję i działało to na nią — stwardniały jej sutki, a ciało przestało zwracać uwagę na chłód nieogrzewanego pomieszczenia. Minęły dwa lata, odkąd odbywała z kimś stosunek, oraz cztery, odkąd była nim usatysfakcjonowana. Kiedy Jerzy zaczął się rozbierać, powiedziała:

— Mam krążek maciczny i chciałabym go użyć. — Sięgnęła do walizki.

„Naprawdę nowoczesna dziewczyna” — pomyślał Jerzy.

— W porządku.

Wypuścił ją i Rita poszła do umywalni. Wróciła kilka minut później, trzymając w dłoniach strzykawkę i fiolkę z morfiną.

— Jerzy — powiedziała gardłowym i nawilżonym głosem. — Kochałeś się kiedyś przy użyciu odrobiny stymulacji? Opium, heroiny, morfiny?

Nigdy tego nie robił. Czy zamierzał pozwolić tej małej latawicy na uczenie go nowych

sztuczek?

Otworzyła dłoń, żeby pokazać mu fiolkę i strzykawkę.

— To przebiję twoje najdziksze doznania, Jerzy. Musimy spróbować.

Pokusa była silna, ale nie przestawał być czujny.

— Zróbmy to. — Uśmiechnęła się.

Kiwnął głową i powiedział:

— Ty pierwsza. — Skinęła głową.

— Daj mi swój pasek.

Jerzy usiadł na łóżku, wyciągnął pasek ze szlufek spodni i podał go Ricie. Ona zacisnęła go mocno wokół przedramienia, pamiętając czynność, której nauczyła się w nocy, gdy pomagała ulżyć umierającemu Kaltenbrunnerowi. Spojrzała na Jerzego, chcąc, żeby powtórzył wszystko to, co wtedy robiła, chcąc, żeby zareagował na przyływ krwi w strzykawce tak samo jak ona. Jeśli tego nie zrobi, będzie miała kłopoty.

Napełniwszy strzykawkę dużą dawką morfiny, znalazła żyłę na swojej ręce, przebiła skórę i pociągnęła za tłok. Krew wypełniła cylinder, potwierdzając kontakt z żyłą, i oto stało się — jej widok w strzykawce sprawił, że Jerzy spadł z łóżka. W ciągu dziesięciu sekund, zanim zdążył ocknąć się na tyle, żeby zdać sobie sprawę, co się stało, Rita szybko wyciągnęła strzykawkę i wycisnęła krew, zostawiając nową dawkę dla niego.

— Nie przejmuj się, Jerzy, każdy tego doświadcza, kiedy widzi po raz pierwszy krew w strzykawce. Daj mi rękę. Muszę zrobić to szybko, zanim zacznie na mnie działać. — Po chwili niewyraźnego wahania, podwinął rękaw i położył rękę na jej kolanie. Rita ścisnęła paskiem jego ramię i znalazła żyłę. Tym razem Jerzy zamknął oczy. Po piętnastu sekundach osunął się nieprzytomny na podłogę. Tak duża dawka z pewnością wystarczy, żeby stracił przytomność na jeden dzień, o ile nie zabije go od razu.

Rita rozmontowała strzykawkę, ubrała się i spakowała walizkę. Potem przewróciła Jerzego, przejrzała jego portfel i zabrała z niego pieniądze — trzysta siedemdziesiąt pięć reichsmarek i parę złotych. Później spaliła jego dowód. Jak dużo problemów przysporzy mu wyjaśnianie okoliczności jego zgubienia? Następnie odnalazła klucz do drzwi wejściowych.

Niosąc walizkę, weszła po schodach i zakradła się do jego pokoju. Kiedy przeszukiwała jego skromny dobytek, pomyślała: „Zamienili taką przyzwoitą Żydówkę w złodziejkę”. Jeśli nią właśnie musiała być, żeby przeżyć, to zamierzała być w tym dobra. Znalazła nóż, którego używał, piersiówkę, która mogła się przydać, kilka jedwabnych krawatów oraz wełniany szalik, który mógł być wart markę lub dwie u handlarza używaną odzieżą — jeśli jeszcze jacyś zostali w Polsce — i puszkę proszku do czyszczenia zębów, luksusowego towaru, którego nie widziała od dwóch lat. Był tam też prawie cały karton papierosów — polskich, ale nadających się do palenia — oraz para ładnych, skórzanych rękawiczek, męskich, ale w małym rozmiarze. To wszystko zebrała na jego łóżku i spakowała do swojej walizki. Zrobił się późny poranek i słyszała, jak sprzątaczką wchodzi z trudem na najwyższe piętro, chcąc posprzątać wolne pokoje. Na klamce drzwi Jerzego i swoich powiesiła wywieszki „Nie przeszkadzać”.

Gdy wyrzała szybko przez okno, zobaczyła recepcjonistę, siedzącego przed budynkiem w tym samym miejscu, w którym jego kolega z nocnej zmiany spotkał się z nią i Jerzym poprzedniej nocy. Rita założyła płaszcz, podniosła walizkę, cicho zeszła po schodach i wyszła tylnymi drzwiami. Wyszła z uliczki pomiędzy hotelem i innym budynkiem, za obróconym do niej tyłem recepcjonistą, i tak zbyt zajęтым rozmową, żeby zauważyć jej wyjście. Po dziesięciominutowym spacerze była z powrotem na stacji, gdzie stanęła w kolejce po bilet do Warszawy.

## Rozdział 19

Jak nie popełnić tych samych błędów w Warszawie? To był teraz główny problem Rity — lub byłby, gdyby udało jej się dojechać do Warszawy. Ale to wydawało się być coraz mniej prawdopodobne, gdy pociąg wyjechał już ospale ze stacji w Lembergu.

„Dlaczego — pytała samą siebie — w tym niemal pustym wagonie zbliża się do mnie ogromny, postawny mężczyzna w trenczu, który coraz szerzej się uśmiecha? Dlaczego pomimo tylu wolnych miejsc postanowił zająć właśnie to obok mnie? Równie dobrze mogłam pozwolić Jerzemu mnie wydać”.

Wysoki mężczyzna miał siwe włosy obcięte w sposób typowy dla wojskowych. Zdjął płaszcz i odsłonił źle dopasowany garnitur oraz krzykliwy krawat na tle źle wyprasowanej koszuli, której kołnierzyk z jednej strony zakrywał klapę marynarki. Bez wstępu i formalności rozpoczął rozmowę:

— Nazywam się Mikołaj Bilek i jestem z Komendy Miejskiej Policji we Lwowie, oj, przepraszam, w Lembergu. Trudno to zapamiętać, kiedy używało się nazwy Lwów przez dwadzieścia trzy lata. — Nie pozwolił Ricie wtrącić nawet słowa. — Zatem poznała pani naszego przyjaciela, Jerzego, i teraz chce jak najszybciej wydostać się z miasta? Nie winię pani. Niezbyt miły typ. — Rita nie byłaby w stanie wejść mu w słowo, nawet gdyby wiedziała, co powiedzieć. — Zastanawiam się, jak udało się pani uciec. Musi pani być zaradną dziewczyną. Nie zrobiła pani tego za pomocą pieniędzy. Pieniądze to jedyna rzecz, która sprawia, że Jerzy i jego „przyjaciele” przyklejają się jak pijawki. — Nareszcie przerwał, czekając na jej komentarz odnośnie wszystkiego, co powiedział.

— Nie rozumiem. — Rita zdobyła się na niepewną odpowiedź, wyciągając z torebki dowód osobisty i resztę dokumentów.

Przejrzał je pobieżnie.

— Tak, tak. Bardzo ładne. Mam nadzieję, że są pomocne. Ale w Warszawie będzie pani potrzebowała kenkarty, jeśli nie chce pani wpaść w łapy granatowej policji.

Wiedziała, co to kenkarta: karta identyfikacyjna wystawiana przez Rzeszę każdemu Niemcowi i wystarczająco aryjskim Polakom spośród tych, którzy zostali w Polsce. Nie miała natomiast pojęcia, czym była granatowa policja.

— Nie rozumiem, panie Bilek. Zamierza mnie pan aresztować? — Jej strach szybko został wyparty przez konsternację. — Proszę powiedzieć, czym jest granatowa policja.

— Aresztować? A złamała pani jakieś polskie prawo? Proszę nie odpowiadać... Mam aresztować panią za bycie Żydówką? — Uśmiechnął się. — To nie jest przeciwko polskiemu prawu, przynajmniej nie było, kiedy ostatnio sprawdzałem. Ale pani nie jest Żydówką, prawda? Tam jest tak napisane. — Wskazał na dokument, który jej oddał i który miała ciągle w dłoni. — Katoliczka z Ukrainy, z pewnością bezbłędnie znająca swoje modlitwy. Ale sądzę, że potrzebuje pani małej lekcji historii i przewodnika. Granatowa policja to zorganizowane przez Niemców patrole uliczne, złożone głównie z byłych polskich policjantów. Nie wszyscy pracują zawodowo, a większość to antysemita i zwolennicy nazizmu. Ma pani szczęście, że znalazła panią normalną policjantką, lub raczej to, co z nas zostało. Należę do Armii Krajowej.

— Armii Krajowej? — przerwała mu Rita.

Doskonale wiedziała, o co chodzi. Przecież odesłała Stefana z kurierem Armii Krajowej. Ale pomyślała, że lepiej udawać naiwną.

— Może to rzeczywiście było niewinne pytanie. Dużo ryzykuję, mówiąc to pani. Armia

Krajowa jest przedstawicielem głównego ruchu oporu w Polsce. Jest też kilka innych — faszyci, socjaliści, komuniści — ale tylko my jesteśmy powiązani z rządem na uchodźstwie w Londynie, mamy także najwięcej ludzi, najlepszą broń i jesteśmy najlepiej zorganizowani. Armia Krajowa zdołała nawet przeniknąć do granatowej policji. — Cicho się zaśmiał. — W każdym razie miałem oko na Jerzego i jego przyjaciół. Tak właśnie zauważyłem panią na stacji zeszłej nocy, kiedy serdecznie się z witaliście. Wziąłem panią za kobietę lekkich obyczajów. — Rita próbowała sprawiać wrażenie, że nie zna tego określenia. — prostytutkę — dopowiedział Bilek. — Dlatego zdziwiłem się, widząc, jak wsiada pani tak szybko do pociągu.

— Cóż, nie jestem prostytutką. — Próbowała być w tej kwestii rzeczowa. Choć jeśli wyglądała na taką, to może nawet i lepiej. — Ale Jerzy miał zamiar wydać mnie Niemcom.

— Nieprawda, a przynajmniej nie tak od razu. Najpierw zamierzał panią wykorzystać, a potem sprzedać grupie szmalcowników — szantażystów i pijawek, oprychów, którzy trzymają go jako żydowskiego pieska.

— Żydowskiego pieska?

— Oczywiście. Jeden Żyd jest w stanie wywęszyć następnego. Jerzy jest żydowskim bandziorem, który od dziecka ma kłopoty z policją we Lwo... Lembergu. Teraz jest cenny dla miejskiego podziemia szantażystów, tych, którzy żyją z ukrywających się Żydów. Nie wydają ich Gestapo, dopóki ich do cna nie wyssa. Nagroda za Żyda jest żalosna — płacą pięćdziesiąt złotych. To nic w porównaniu z tym, co można wyciągnąć od tych ciągle gdzieś tam na zewnątrz żyjących. Jerzy miał zatem zamiar wyciągnąć z pani trochę pieniędzy, a potem przekazać gangowi z resztą. Może udałoby im się jeszcze wyciągnąć więcej od pani przyjaciół albo rodziny. A kiedy już wycisnęliby panią jak cytrynę — i dopiero wtedy, proszę zwrócić uwagę — sprzedaliby panią Niemcom.

Rita była zdezorientowana.

— Dlaczego Żydzi żerują na innych Żydach? A jeśli Jerzy jest Żydem, to dlaczego swobodnie porusza się po Lembergu?

— Nie mogę odpowiedzieć na pierwsze pytanie, ale jeśli chodzi o drugie, to większość Polaków nie wyda Żydów Niemcom. Nienawidzimy Niemców tak samo jak Rosjan. Oczywiście są także fanatyczni antysemita. Niemcy większość z nich odnaleźli i zaangażowali do pracy. Ale w większości miejsc liczba takowych jest nawet dwudziestokrotnie mniejsza od liczby porządnym Polaków, a ci nie mają zamiaru pomagać Niemcom w żaden sposób. Polacy nie zamierzają być stroną w tej wojnie, którą Niemcy prowadzą przeciwko Żydom. Właściwie to większość z nich zignoruje fakt żydowskiego pochodzenia i nie wyda takiej osoby, a może nawet jej pomoże, jeśli to nie będzie zbyt ryzykowne. Z policją jest tak samo. Jeśli jakiś Untergruppenführer przystawi mi lufę do głowy, wydam im Żyda, żeby ocalić własny kark, ale nie zamierzam pomagać tym draniom. Dlatego Jerzy chodzi wolno. Co do jego szajki, to mają powiązania z ludźmi z granatowej policji, więc niewiele mogę im zrobić, chyba że sami zrobią coś poważnego. Przeszukania, jak to pani, nie są zbyt istotną sprawą. Właściwie to duża część granatowej policji bierze w tym udział. To zapewnia im przeżycie.

Rita przyswoiła te wiadomości. Westchnęła i zdecydowała, że nie pozostało jej nic innego, jak tylko do wszystkiego się przyznać. Może coś na tym zyska.

— Panie Bilek, proszę posłuchać, przez ostatni rok mieszkałam w getcie w Karpacynie. Jestem zupełnie zagubiona. Nie rozumiem, co się dzieje. Wątpię, żebym była w stanie przeżyć chociaż minutę w *Generalgouvernement*. Może mi pan pomóc?

— W porządku. Pora na kilka zasad. Po pierwsze, nigdy, przenigdy proszę nie mówić nikomu tego, co mi właśnie pani powiedziała. Po drugie, proszę nie nosić przy sobie dużych ilości pieniędzy. W Warszawie cały czas istnieje ryzyko, że zostanie pani wciągnięta w jakiś

zaulek. Jeśli będzie pani miała wystarczająco dużo pieniędzy, szantażysta je zabierze i będzie je z pani wyciągał, aż się skończą, a potem sprzeda pani głowę Niemcom za pieniądze. W Warszawie lepiej poradzi pani sobie bez pieniędzy i z porządną kenkartą, niż gdyby była pani Żydówką milionerką. Po trzeciej, proszę nie pokazywać się z innymi Żydami. Dziewczyna taka jak pani będzie w stanie zupełnie wmieszać się w polskie otoczenie. Proszę nie próbować pomagać innym Żydom. Zostaną zauważeni i pociągną panią w dół za sobą.

Bilek przerwał na chwilę, a potem widocznie uznał, że musi wyjaśnić wszystko nieco lepiej:

— W Warszawie mieszka milion ludzi. Może pani ufać dziewięciuset pięćdziesięciu tysiącom, ale Niemcom spokojnie wystarczy pięćdziesiąt tysięcy szmalcowników. Poza tym jest mało pracy, jeszcze mniej jedzenia i nie ma prawie żadnego węgla. Nic dziwnego, że szantażowanie stało się normalnym zajęciem, rządzącym się własnymi prawami. Proszę się ich nauczyć. A kiedy dojedzie pani do Warszawy — wrócił do kwestii praktycznych — proszę znaleźć sobie pokój z antysemitą, kimś z reputacją osoby nienawidzącej Żydów.

Bilek wyjął wizytówkę. Na odwrocie napisał adres. Następnie ostrożnie postawił małą, niebieską kropkę pod literą „l” w swoim nazwisku.

— Wsiądę w Żółkiewce i wrócę do miasta. Proszę zanieść tę wizytówkę pod adres na odwrocie. Proszę pokazać ją kobiecie. Jest z Armii Krajowej i pomoże pani, przynajmniej przez jakiś czas. Proszę wysiąść na stacji Warszawa Wschodnia, na Pradze, po tej stronie Wisły. — Rzeka dzieliła Warszawę oraz Kraków i całą Polskę. — Kiedy wyjdzie pani z dworca, proszę skręcić w lewo, potem znowu w pierwszą ulicę w lewo, przejść cztery przecznice w dół, wzdłuż torów i będzie pani na miejscu. I proszę, moja droga, wyglądaj, jakbyś wiedziała, dokąd idziesz. Jeśli ktoś do pani podejdzie — ktokolwiek, mężczyzna, kobieta, dziecko — proszę połknąć tę wizytówkę albo wpadnie pani z nią... I ja też.

Wstał i wysiadł z wagonu, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.



Zimowy wieczór w Warszawie. Para rozchodząca się z hamulców wagonów i łącząca się ze skroploną parą z oddechów pasażerów, którzy spieszenie przemykali peronami. Jedyne światłem w mroku było oświetlone dworcowe biuro Wehrmachtu — *Kommandantur*.

Rita musiała wtopić się w tłum pasażerów. Musiała postępować tak jak oni — bez wahania, rozglądania się, żadnych badawczych spojrzeń. Minęła mężczyznę w mundurze — z pewnością to była granatowa policja, sądząc po kolorze bluzy mundurowej — szczególnie badającego dokumenty nędznie ubranego pasażera, jego bilet oraz twarz. Przejdź obok, nie za szybko, nie za wolno. Wyjdź z dworca, skręć w lewo, jeszcze raz w lewo, w ulicę Topazową, cztery ulice w dół, wzdłuż torów. Rita bardzo starała się wyglądać jak warszawianka wracająca do domu po jedenastogodzinnej podróży pociągiem. Ulica wyglądała jak każda inna w sąsiedztwie głośniejszych i pokrytych sadzą torów miejskiej stacji kolejowej — była zabudowana rzędem wąskich kamienic czynszowych, oświetlona nielicznymi latarniami i prawie zupełnie opustoszała. Rita stanęła przy bramie budynku nr 46 i nacisnęła przycisk dzwonka, oznaczony ogólnym napisem „czwarte piętro”. Usłyszała stukot drewnianych butów schodzących po schodach. Kiedy drzwi uchyliły się, wysunęła się przez nie dłoń. Rita włożyła do niej wizytówkę Bilka.

Drzwi otworzyły się szeroko.

— Proszę wejść — usłyszała. Kobieta była przed czterdziestką, wysoka, z brązową grzywką, szczupła i schludnie wyglądająca, ubrana w białą bluzkę, granatową spódnicę i ciężki,

węlniany rozpinany sweter, który wyglądał na męski. Po bardziej szczegółowych oględzinach w świetle pokoju kobieta się uśmiechnęła, oddała jej wizytówkę i wyciągnęła rękę na powitanie.

— Mam na imię Krystyna. A ty jesteś...?

— Margarita, Margarita Trusz...

— Zostańmy przy imionach. Tak będzie bezpieczniej. Chodźmy na górę. Pozwól, że wezmę walizkę. Czwarte piętro jest dosyć wysoko.

Kiedy dotarły na górę, Krystyna wniosła jej walizkę do mieszkania, którego okna wychodziły na szyb wentylacyjny, utworzony przez sąsiadujące ze sobą budynki, osłonięte czarnym niebem. Odwróciła się do Rity.

— Filiżankę herbaty, Margarito? A potem pewnie zechcesz się już położyć.

— Mam mnóstwo pytań, ale zakładam, że mogą poczekać.



Rano Rita wstała późno. A właściwie to spała jeszcze w południe, kiedy Krystyna wślizgnęła się do pokoju, żeby ją zbudzić.

— Muszę wyjść na kilka godzin. Proszę, zostań tutaj. Czuj się jak u siebie. W kuchni znajdziesz chleb i margarynę. Możesz też zrobić sobie więcej herbaty. — Przerwała na chwilę. — Mogę mówić do ciebie Rita? Margarita wymaga wysiłku. — Uśmiechnęła się nieznacznie i zniknęła.

Zatem Jerzy nie był jedynym, który skrócił jej nowe imię do starego. Może bezpieczniej będzie myśleć o sobie dalej jak o Ricie.

Spędziła chwilę, przechadzając się po mieszkaniu. Nie było tu nic specjalnego do oglądania. To była kryjówka Armii Krajowej, więc nie było tu nic osobistego, co mogłoby kogoś wydać. Wzięła letnią kąpiel i zrobiła sobie coś do jedzenia. A potem zwinęła się w kłębek z jedną ze swoich książek Darwina. Stanowiły niekończące się źródło fascynacji i zainteresowania.

Krystyna wróciła o zmroku z siatką na zakupy wypełnioną kilkoma warzywami korzeniowymi, których nikt przed wojną nie uznałby za apetyczne. Rita siedziała przy kuchennym stole, kiedy Krystyna gotowała warzywa na parze i smażyła ziemniaki na smalcu.

— Jak dużo pytań na temat Armii Krajowej mogę ci zadać?

— No cóż, mogę powiedzieć ci to wszystko, co nasi i tak już wiedzą. Zajmujemy się zdobywaniem informacji, ochroną sprzymierzonych żołnierzy, współpracą z innymi ruchami oporu, nawet z komunistami po tym, jak Niemcy zaatakowali Rosję, oraz z niektórymi osobami żydowskiego podziemia. Ale nie wiem zbyt wiele. Głównie jestem kurierem na terenie Warszawy i nigdy nie czytam wiadomości, które dostają.

Zainteresowanie Rity wzrosło.

— Znasz innych kurierów Armii Krajowej? Takich, którzy działają poza Warszawą, może na wschodzie?

— Nie wolno nam nawet wiedzieć, jak inni wyglądają, nie mówiąc już o imionach. Kiedy przekazujemy sobie wiadomości albo dokumenty, robimy to tak, żeby nie mieć kontaktu wzrokowego i nie patrzeć w twarz. Więc nie, nie znam nikogo takiego. I nie chcę znać. Wszystko, co muszę znać, to hasła i skrzynki kontaktowe. — Rita wyglądała na skonsternowaną, więc dodała: — Miejsca, gdzie mogę zostawiać albo odbierać wiadomości, nie spotykając innej osoby, która je dostarcza albo odbiera. Posłuchaj, mamy ważniejszą sprawę do omówienia.

— Tak.

— Możesz tu zostać tylko kilka dni. To dla mnie niebezpieczne. Masz polski dowód, tak? I akt chrztu? — Rita skinęła głową. — Dobrze. Musisz iść do biura *Generalgouvernement* po

drugiej stronie rzeki, żeby wyrobić niemiecką kenkartę. Przy twoim wyglądzie nie powinno to stanowić problemu. Powiedz im, że jesteś uchodźcą ze wschodu. Narzekaj na Rosjan. Oni to lubią. Jeśli uda ci się zdobyć identyfikator, będziesz mogła szukać pracy, wynająć pokój i wmieszać się w społeczeństwo. Pokój znajdziesz, przeglądając drobne ogłoszenia w gazetach. Lepiej po tej stronie Wisły niż po drugiej. To rejon zamieszkiwany przez robotników i przywykli tutaj do sezonowców i nowo przybyłych. — Rita kiwnęła głową. To była w stanie zrobić. — Mówisz po polsku jak prawdziwa Polka. To najważniejsze. Znasz niemiecki?

— Tak.

— Nie używaj go wśród Polaków. Niektórzy cię za to znienawidzą, a inni uznają, że jesteś wykształcona i wyciągną z ciebie pieniądze jak z Żydówki. Niemcy nie wiedzą, że to istotna informacja na temat Polaków.

Rita wykorzystwała chwilę przerwy w wydawanych instrukcjach.

— Krystyno, muszę spytać, czy słyszałaś o kurierach Armii Krajowej, którzy ratują żydowskie dzieci albo je ukrywają — lub coś w tym stylu?

— Nic takiego nie robiłam. Ale wiem, że inni tak robią. Armia Krajowa współpracuje z żydowską organizacją o nazwie Żegota, która zajmuje się głównie pomocą finansową dla Żydów ukrywających się tutaj w Warszawie i w całym kraju. Mogą też robić to, żeby ratować dzieci. Dlaczego pytasz?

Teraz Rita westchnęła. Będzie musiała powiedzieć Krystynie, jeśli chce się czegokolwiek dowiedzieć.

— Może Żegota będzie w stanie pomóc. Mam syna. Był ze mną w getcie w Karpacynie do zeszłej wiosny. Powierzyłam go kurierowi Armii Krajowej, mającemu dostarczyć go do moich rodziców, którzy stosunkowo dobrze radzili sobie na zachodzie. Ale zostali zabrani podczas *Aktion*, może jeszcze zanim dotarł do nich mój syn. Zanim zdążyłam dowiedzieć się czegokolwiek na temat jego losu, kurier został zatrzymany przez Gestapo.

— Rozumiem.

— Czy mogę się jakoś dowiedzieć, co się z nim stało?

— Nie masz co liczyć na pomoc Armii Krajowej. Przede wszystkim mamy wśród nas antysemitów, a nawet ci, którzy nimi nie są, nie będą ryzykować bezpieczeństwa, żeby pomóc w poszukiwaniu zaginionych dzieci. Posłuchaj, w warszawskim getcie ciągle jest jeszcze sierociniec. Jeśli twój syn nie dotarł do dziadków, może został zabrany tam.

— Co masz na myśli, mówiąc, że ciągle jest jeszcze sierociniec?

— No cóż, był tam inny, nawet znany, ale zamknęli go rok temu, a wszystkie dzieci wywieziono na wschód. Ale słyszałam, że teraz jest tam kolejny.

— Jak mogę się tam dostać?

— Oszalałaś? Jesteś wolna, może nawet przeżyjesz. Chcesz wejść do getta?

— To moje dziecko, Krystyno.

— Wyprawa do getta to podróż w jedną stronę — pomijając przestępców, mafię żydowską i szajki działające po obu stronach muru.

— W Warszawie istnieją żydowskie gangi? — Po chwili zdała sobie sprawę, że nie powinno jej to dziwić po tym, co spotkało ją ze strony Jerzego.

— Było ich kilka, a za każdy razem, kiedy Niemcy likwidowali jeden, natychmiast pojawiał się następny. Na początku, kiedy zaczęła się okupacja, działała sławetna „Trzynastka”, nazwana tak od ich głównej siedziby przy ulicy Leszno 13. Ci bandyci mogli równie dobrze być nazistami lub należeć do Gestapo. Przez jakiś czas pełnili w Judenracie funkcję policji. Potem zajęli się przemytem i szantażami, udając służby medyczne. Ale zostali zlikwidowani. Inne grupy wypełniały pustkę. Niemcy są zbyt zajęci Rosjanami, żeby to opanować. Granatowa policja jest

skorumpowana. W mieście jest jeszcze wystarczająco dużo Żydów, żeby móc ich szantażować, wyzyskiwać albo sprzedać im obietnicę ochrony — dlaczego niektórzy z tych pasożytów nie mieliby być także Żydami? To właśnie przez takie grupy Armia Krajowa nie może się dowiedzieć, z kim dokładnie ma do czynienia w getcie. Krążą nawet plotki o nowej organizacji, Żagwi, która walczy dla Niemców z żydowskim ruchem oporu w getcie. To przerasta ludzkie wyobrażenie. W każdym razie, jeśli gangi żydowskie wciąż działają po obu stronach getta, nie ogłaszają tego tak jak kiedyś.

— Rozumiem.

Krystyna nie zamierzała niczego dodawać.

— Rito, posłuchaj. Tak jak mówiłam, jutro stąd wyjdiesz. Znajdziesz pokój, zdobędziesz kenkartę i znikniesz.

— Krystyno, myślę, że mam coś, co może się przydać Armii Krajowej. Ale potrzebuję pomocy.

Siedziały przy stole śniadaniowym. Krystyna wyglądała na zdeterminowaną. Rita zresztą też.

— Tak, co takiego? — Krystyna patrzyła na nią z irytacją. Równie dobrze mogłaby powiedzieć: „Tak, co *znowu*? Żydzi nigdy nie są wdzięczni, zawsze oczekują więcej. Dlaczego w ogóle cię poznałam...?”.

„Cóż — pomyślała Rita — czy można ją winić za tę odpowiedź albo za jej obawę przed podejmowanym ryzykiem? Nie. Więc bądź cierpliwa”. Rita wstała, podeszła do płaszcza, przyniosła go do stołu i zaczęła rozdzierać szwy na dole. Na stole pojawiły się fiolki morfiny. Rozstawiła je, poszła na poddasze i wróciła z trzema częściami rozłożonej strzykawki.

— Morfina.

Krystyna wyraźnie się rozluźniła.

— To coś, co nam się zawsze przyda.

— To prezent dla Armii Krajowej.

— Co chcesz w zamian? — Krystyna przeszła do interesów.

Rita rozdarła szew dalej i zaczęła wyciągać złote monety, moneta po monecie, do czasu, aż osiemnaście spośród dwudziestu monet znalazło się na stole. Dwie zostawiła ciągle ukryte w szwie płaszcza.

— Nie mogę chodzić po Warszawie z takim skarbem, prawda?

— Nie. Zostałyby ci odebrane stopniowo albo w całości. Samo ich posiadanie przy sobie wystarczy niektórym, żeby udowodnić to, że jesteś Żydówką.

— Wiem. Powiedziano mi, że będę bezpieczniejsza bez wartościowych rzeczy przy sobie. Oddałabym Armii Krajowej również te monety, ale wydaje mi się, że będę ich potrzebować. Dlatego potrzebuje kogoś, kto je dla mnie przetrzyma.

— Cóż, nie będę to ja. Mówiłam ci już, kiedy przyszłaś, że nie możesz tutaj zostać. Nie możesz też tutaj nigdy wrócić. Musisz zapomnieć o mnie i o tym miejscu. Poza tym, na co potrzebne ci będą te pieniądze? Bez problemu dostaniesz kenkartę. A wtedy będziesz bezpieczna.

Rita wzięła głęboki wdech.

— Muszę dostać się do getta. Muszę odnaleźć sierociniec. Muszę szukać mojego dziecka.

— Krystyna kręciła głową. — Muszę. To będzie kosztowało. Potrzebuję kogoś, kto je przechowuje. — Krystyna nadal kręciła głową i zacisnęła w grymasie usta. — Posłuchaj, sama mówiłaś wczoraj, że są sposoby... Jak je nazywałaś? Skrzynki kontaktowe? Możesz przechować moje pieniądze, a potem przekazać mi je tak, żeby nikt się o tym nie dowiedział, niczym nie ryzykując. Będiesz mogła nawet zatrzymać to, czego nie będę potrzebowała.

Rita widziała, jak opór Krystyny słabnie.



— W porządku — odpowiedziała po chwili namysłu Krystyna. — Wymienię to na złote u Armii Krajowej. Potrzebują twardej waluty i dadzą ci uczciwą sumę na wymianę. — Przerwała. — Niedaleko na tej ulicy jest kawiarnia. Nazywa się „Le Cheminot”, to po francusku znaczy kolejarz. Mijałaś ją, idąc tutaj. Bywam tam wczesnym wieczorem napić się wina — okropnego, ale robię to codziennie o osiemnastej trzydzieści. Jeśli będziesz potrzebowała pieniędzy, przyjdź tam, zamów sobie piwo lub coś innego, sztuczną kawę, cokolwiek. Powieś płaszcz na wieszaku, zawsze na lewą stronę. W ten sposób będę wiedziała, który należy do ciebie. Kiedy wejdziesz, nie reaguj. Gdy wyjdiesz, będziesz miała pieniądze w płaszczu.

— Nie wiem, dlaczego to robię. — Dodała po chwili. — To niebezpieczne dla ciebie, dla mnie, dla ruchu oporu...

Rita wiedziała dlaczego. Krystyna, jak większość ludzi, reagowała życzliwie na ludzkie emocje, tym bardziej że mogła na tym coś zyskać.

— A teraz masz klucz. Idź. Wiesz, gdzie masz iść i co robić. Kiedy wrócisz po swoje rzeczy, mnie tu nie będzie. Połóż klucz na górze futryny, kiedy będziesz wychodzić. Jesteś na tyle wysoka, że powinnaś tam dosięgnąć.

Godzinę później Rita była po drugiej stronie Wisły, na placu Trzech Krzyży w centrum Warszawy, i stała z dokumentami w rękach w kolejce do Wewnętrznego Biura Paszportowego *Generalgouvernement*. Po około trzydziestu minutach znalazła się przed prętami kraty okiennej, stając oko w oko z wychudzoną, przypominającą ptasią, twarzą człowieka, zwracającego się do niej po polsku z niemieckim akcentem.

— Tak?

Rita bez słowa wręczyła mu polski dowód, akt urodzenia, akt chrztu i wypełniony formularz z wymaganym zdjęciem, zrobionym dziś rano w małym zakładzie na Pradze. Drobnym mężczyzną pozoznaczał różne rubryki na swojej liście, spojrzał w górę i powiedział po polsku:

— Przyjdź za tydzień.

Rita była na to przygotowana. Zaczęła mówić swoim wywiczonym niemieckim:

— Ale, *mein Herr Inspektor*, nie udałoby się zrobić tego dzisiaj? Nie mogę chodzić po Warszawie bez dokumentów, no i mam zamiar starać się dzisiaj o pracę w *Generalgouvernement*. — Na tyle dyskretnie, na ile mogła, przesunęła pod okienkiem jeden z banknotów reichsmarek, który ostatniej nocy w Karpaczu dostała od Lidii. Przy bieżącym kursie złotego był wart co najmniej tyle, co tygodniowa pensja biednego urzędnika. Jednocześnie błagała, tak uniesiona, jak tylko mogła: — *Bitte, mein Herr*, nie mógłby pan tego zrobić dla dobrej volksdeutsch? — Wskazała palcem imiona matki na akcie chrztu.

— Zawsze to samo. Specjalne traktowanie. — Westchnął, a potem dodał spokojniej: — Przyjdź przed siedemnastą trzydzieści, zanim zamkniemy. — Potem spojrzał w górę i głośniej, niż można by się było po nim spodziewać, krzyknął: — Następny!



Ruszyła w stronę urzędu pracy, chociaż nie miała pojęcia, jak negocjować tam bez dokumentów. Biuro znajdowało się w następnym budynku, pozostałym po przedwojennym polskim urzędzie państwowym. Rita przeglądała listę ofert wywieszoną w oszklonej gablocie na ścianie. Znalazła jedną, która wyglądała zachęcająco — pracę asystentki w domu towarowym — i podeszła do stanowiska. Otrzymała następny formularz do wypełnienia, tym razem na temat doświadczenia zawodowego. Jej jedynym, odnoszącym się do tematu, doświadczeniem był fakt bycia klientką w takim sklepie. Ale to nic by tutaj nie pomogło, więc wypisała kilka posad w sklepach w Lembergu. Czy będą to sprawdzali?

— Zatem jest pani zainteresowana posadą ekspedientki u Braci Jabłkowskich? Nie za wiele dziewcząt chce tam pracować.

— Dlaczego?

— To przez okolicę. Blisko getta. Dużo kontroli. — Kobieta spojrzała prosto na Ritę, jak gdyby chciała powiedzieć: „Żydówka? Nie bierz tej pracy”.

— Nie widzę problemu. Poproszę o adres.

— W porządku. Proszę się zgłosić tam w czwartek o ósmej trzydzieści. I zabrać ze sobą dokumenty.

Miała zatem jeden dzień, żeby znaleźć kwatery. Wydawało się jej bezpiecznym zadać pytanie, które z pewnością zadałby obcy:

— Gdzie dokładnie znajduje się dzielnica żydowska? — Taka była oficjalna nazwa getta. — Przy moim szczęściu trafiłabym tuż obok.

— Otacza plac Mirowski, kilka przecznic na północ od Domu Towarowego Braci Jabłkowskich na ulicy Brackiej. Teraz łatwiej ją omijać. Znacznie się zmniejszyła.

Rita nie musiała pytać dlaczego.

Kiedy wróciła z urzędu pracy, dochodziło południe i było zbyt późno na szukanie pokoju. Każde atrakcyjne ogłoszenie w gazecie na pewno było już nieaktualne. Zresztą spacerowanie po chodniku bez dokumentów w torebce byłoby szaleństwem. Nie pozostało jej nic poza znalezieniem hotelu na noc i przekonaniem obsługi, że do wieczora pokaże dokumenty.

Rita przyłączyła się do południowej krzątany tętającego życia miasta. Na pierwszym skrzyżowaniu rozejrzała się we wszystkie cztery strony. Zauważyła trzypiętrowe, otynkowane, połączone ze sobą budynki, wszystkie pomalowane na pastelowe kolory, głównie ochrę, i widocznie wyniszczone przez trzy lata okupacji. Nie było zbyt wielu samochodów, a te nieliczne miały oznaki rekwizycji niemieckiej. Widziała też kilka powozów konnych. Było jej szkoda koni i woźniców, dokładnie w takiej kolejności. I konie, i woźnice wyglądali, jak gdyby wiedzieli, że ich życia się zakończą, zanim skończy się wojna.

Na końcu ulicy stał rozpadający się budynek z małym szyldem, który była w stanie przeczytać: była to niemiecka nazwa, „Hotel Handel”. Ruszyła w jego kierunku. Od chwili, kiedy przeszła przez ulicę w pobliżu urzędu pracy, czuła za sobą czyjąś obecność. Kiedy mijiała wąską wnękę między dwoma budynkami, nagle została w nią wciągnięta. Gdy się odwróciła, zobaczyła dwóch nastoletnich chłopaków. Obaj byli od niej niżsi, a jeden wymachiwał złamanym ostrzem scyzoryka.

— No, żydowska suko. — Odezwał się ten drugi, nieco wyższy od towarzysza. — Dasz nam sto złotych i puszczamy cię wolno.

Rita spojrzała na nich: dwóch uliczników, prawdopodobnie głodujących na ulicy, ale gotowych grozić kobiecie dla kilku złotych. Nóż był wystarczająco prawdziwy. Ale jeśli chciała przeżyć w Warszawie, musiała być w stanie sobie z tym poradzić. Najgłośniejszy, jak potrafiła, zaczęła krzyczeć po niemiecku:

— *Hilfe!* Niemkę atakują polscy bandyci uliczni! Niech ktoś mi pomoże! Niemka wzywa pomocy! — A potem zwróciła się do nich po polsku: — Słyszycie? Jestem Niemką, a wy będziecie mieli kłopoty, jeśli was złapią... — Znowu przeszła na niemiecki: — *Hilfe! Hilfe!*

Ulicznicy spojrzeli po sobie i zaczęli biec w dół ulicy.



Recepcjonistka w Hotelu Handel była pomarszczoną starą panną, a w każdym razie nie miała obrączki.

— Tak, mamy wolny pokój. Bez bagażu? Cóż, płatne z góry, piętnaście złotych. Żadnych gości, żadnych Żydów. Pani dokumenty. — Wystawiła rękę. Rita potrząsnęła głową.

— Właśnie są wyrabiane w biurze na tej ulicy. Doniosę je o osiemnastej. Odbiorę bagaż z dworca i wrócę, kiedy dokumenty będą gotowe.

Kobieta wzruszyła ramionami.

— Jeśli szkopy potrafią zrobić cokolwiek dobrze, to właśnie wydać papiery na czas.

Rita usłyszała to słowo w Warszawie po raz pierwszy. „Szkopy” było pogardliwym określeniem używanym w Polsce wobec Niemców. Ta kobieta najwidoczniej nienawidziła ich tak samo jak Żydów.

Przed osiemnastą Rita odebrała dokumenty meldujące ją w Warszawie. Papiery były ważne na terenie całej Rzeszy do 1948 roku i zawierały zdjęcie podbite pieczętką z trzymającym swastykę orłem. Po dostarczeniu ich do hotelu Rita wsiadła do tramwaju i pojechała z powrotem na Pragę, na drugą stronę Wisły, rozmyślając intensywnie nad tym, gdzie w mieszkaniu Krystyny ukryć ostatnie dwie złote monety. To miała być jej rezerwa i zdawała sobie sprawę, do czego będzie ich potrzebowała.

Tak jak zapowiedziała Krystyna, mieszkanie było puste. Rita szybko spakowała kilka swoich rzeczy. Następnie zaczęła szukać kryjówki na dwie złote monety. „Jakieś ciemne miejsce, w które trudno będzie poświecić latarką” — pomyślała. Będąc w kuchni, uklękła przed dużym, emaliowanym żelaznym zlewem. Znajdował się pod oknem wychodzącym na szyb wentylacyjny. Sięgnęła ręką za zlew i wepchnęła ją aż do punktu styku zlewu ze ścianą, do której był przytwierdzony. Każdą z monet owinęła wystarczającą ilością materiału, aby je tam zmieścić i by tam pozostały. Potem stanęła przy zlewie, próbowała ciągnąć i popychać jego konstrukcję, aby go przemieścić. Ani drgnął. Zadowolona z tego, że monety trzymają się mocno, zamknęła walizkę, wyszła z mieszkania i zostawiła klucz na futrynie tak wysoko, żeby nikt go nie zobaczył.

— Dziękuję, Krystyno — wyszeptęła.

## Rozdział 20

Rita leżała w ciemnościach na wąskim, skrzypiącym łóżku, próbując ogrzać chłodną pościel i ułożyć nierówną poduszkę i nie będąc w stanie przykryć jednocześnie ramion i stóp krótkim kocem. Mały, ale irytujący, niebieski, neonowy szyld hotelowy błyskał przez prześwitujące żaluzje co siedem i pół uderzenia serca.

Sen nie przychodził. Myślami wracała do tego, czego się dowiedziała w przeciągu zaledwie kilku dni od ucieczki z getta. Tak jakby naziści nie byli wystarczający. Istniała także granatowa policja, Armia Krajowa, mnóstwo wszelakich frakcji, a dodatkowo jeszcze żydowski bandyci, pastwiący się nad innymi Żydami, i żydowskie gangi, próbujące przejąć władzę w getcie. Czy nie było końca mnożącym się zagrożeniom?

Pytanie zrodziło się w jej głowie jako czysto retoryczne. Jednak potem przerodziło się w to, co Freddy mówił o czarnej śmierci. Nie postrzegaj ludzi jako agentów, którzy dopuszczają się potworności. Myśl o nas jak o podatnym środowisku, miejscu, które atakują choroby, zamieszkujące w nas i nas zmieniające. Jesteśmy ofiarami, żywicielami, którymi karmią się wirusy, zarazki i pasożyty przenoszące chorobę. Infekcja nazizmu stworzyła podatny grunt dla innych pasożytów, zarażając nawet Żydów, którzy zaczęli żerować na ofiarach Niemców.

A potem pomyślała: „Rito, twój umysł również jest podatnym gruntem. Jaki pasożytniczy pomysł żyje w twojej głowie, pozwalając ci przeżyć?”



Następnego ranka Rita wyszła z hotelu, żeby znaleźć pokój jak najbliżej ulicy Marszałkowskiej. Ulica ta ciągnęła się od placu Mirowskiego, gdzie połączono dwie części getta biegnącą nad torami tramwajowymi drewnianą kładką dla pieszych, aż do samych Alei Jerozolimskich, przecnicę od domu towarowego na Brackiej. Nie sądziła, że znalezienie pokoju na Alejach Jerozolimskich będzie takie trudne. Teraz getto było już znacznie mniejsze niż wtedy, kiedy powstało w 1940 roku. Wywiezionych na zagładę zostało tak wielu mieszkańców, że Niemcy zamknęli małe getto, połączone z większym za pomocą kładki. Jednak Polacy, a tym bardziej ukrywający się Żydzi, ciągle nie chcieli mieszkać obok pustego getta. To z pewnością była ta część miasta, w której Niemcy sprawdzali dokumenty częściej niż gdziekolwiek indziej. Ale mimo to w gazetach nie było żadnych ogłoszeń dotyczących pokoi do wynajęcia w tej okolicy. A kiedy przeszła ulicą od domu towarowego do niemieckiego budynku administracyjnego getta i z powrotem, nie dostrzegła w oknach zbyt wielu tabliczek „Do wynajęcia”. Dzwoniła do wszystkich drzwi, które miały takie tabliczki, ale najwyraźniej było w niej coś, co zniechęcało właścicieli. Co najmniej jednej kobiecie, mającej pokoje do wynajęcia, nie podobała się zupełnie nowa kenkarta, a kilka innych oskarżyło ją prosto w twarz o bycie uciekającą Żydówką. Jeszcze inni nie chcieli wynająć pokoju samotnej kobiecie: „Kto wie, jaki zawód naprawdę wykonujesz, skarbie”. Późnym popołudniem Rita straciła już nadzieję i pogodziła się ze spędzeniem kolejnej nocy w Hotelu Handel, bez szans na kontynuowanie poszukiwań następnego dnia. W czwartek musiała zgłosić się do pracy.

Była już praktycznie z powrotem na Brackiej, na której znajdował się dom towarowy. Kobieta w ostatnich drzwiach, do jakich zapukała, przynajmniej jej współczuła.

— Nie, nie mam nic. — Ale kiedy Rita odwróciła się do wyjścia, zawołała: — Proszę poczekać. Przyjaciółka powiedziała mi dzisiaj, że straciła lokatora. Może zajmie pani jego

miejsce. Dam pani adres. — Napisała na kartce „Widok 44”. Rita poznała już tę ulicę w trakcie swoich spacerów. Podziękowała kobiecie i ponownie się odwróciła. Kiedy wychodziła, kobieta dorzuciła: — Spodobasz się jej. Jej ostatnim najemcą był mężczyzna, Żyd, którego trudno było się jej pozbyć. W końcu musiała zadzwonić na policję.

Pani Kamińska pod adresem Widok 44 była nieco podejrzliwa, szczególnie że Rita nie pamiętała nazwiska kobiety z za rogu, która dała jej adres.

— Przepraszam, nie mam wolnego pokoju.

— Ale pani przyjaciółka, pani... W każdym razie mówiła, że dopiero co straciła pani lokatora... — Kobieta milczała. — Mówiła, że musiała się go pani pozbyć. Był Żydem.

Jak mogła ją przekonać?

— Ale ja, jak pani widzi, nie jestem Żydówką. Jestem Aryjką, volksdeutsch. Proszę, jestem obca w Warszawie i nie mam gdzie się podziąć. — I w końcu dodała: — Zapłacę z góry! Proszę.

Drzwi lekko się uchyliły i pani Kamińska zaczęła zmieniać zdanie.

— Żadnych gości, żadnych Żydów, żadnego hałasu i nie pytaj, czy możesz skorzystać z kuchni. Kąpiel tylko dwa razy w tygodniu. Światła mają być zgaszone od dwudziestej drugiej. Dwadzieścia złotych tygodniowo. Policyjne potwierdzenie zameldowania... Muszę je mieć do jutra.

— Tak, tak, zgadzam się. Dziękuję. — Rita wcisnęła jej pieniądze do ręki i niemal przepchnęła się przez drzwi. — Mogę zobaczyć pokój?

— Tak przypuszczam, skoro zmusiłaś mnie, żebym ci go wynajęła.

Pani Kamińska nawet nie zaśmiała się z własnego niezamierzonego żartu.

Pokój nie był specjalnie lepszy od tego, który miała na Pradze u Krystyny. Jednak to właśnie tutaj musiała się znaleźć, jeśli chciała kiedykolwiek dostać się do getta i wydostać z niego ze swoim synem, o ile uda jej się go odnaleźć.



Dom Towarowy Braci Jabłkowskich musiał być w przedwojennej Warszawie okazałym składem i wciąż był imponującym budynkiem. Teraz żył swoją przeszłością i tym, na co klienci mogli sobie w obliczu niemieckich rekwizycji w całej Europie pozwolić.

Nie zwracając sobie nawet głowy dokładnym sprawdzaniem ważności jej dokumentów, nadzorujący pracę sprzedawców natychmiast zatrudnił Ritę i zaprowadził ją na stanowisko z materiałami biurowymi i wyprawkami szkolnymi. Wszystko, czego potrzebowała, to znajomość niemieckiego i roztaczanie wokół siebie służalczej atmosfery. Dano jej brązowy fartuch z napisem „Artykuły papiernicze” wyszytym na piersi i wysłano ją za ladę w kształcie wiecznego pióra, żeby nauczyła się swoich obowiązków. Towar był wyeksponowany pod szybą długiej lady naprzeciwko drzwi obrotowych, przy głównym wejściu do sklepu. Po lewej stronie znajdowało się stoisko z perfumami i kosmetykami, zaopatrzone w to, co zostało na eksport Francuzom po tym, jak okupacyjne oddziały niemieckie wzięły swoją część. Po prawej sprzedawano kapelusze, rękawiczki, apaszki oraz walizki. Na każdym dziale pracowała jedna lub dwie ekspedientki — w wielu przypadkach dziewczęta. Ricie wydawało się, że każda z nich ją obserwuje, mierzy wzrokiem i zgaduje jej tajemnice, kiedy prowadzono ją na stanowisko pracy.

Nadzorca był ubrany we frak, miał nawoskowane wąsy i przedziałek pośrodku głowy, przypominający Ricie o bohaterze z filmu z Charliem Chaplinem. Niemal chciała zostać tam na noc, założyć wrotki i jeździć po dużej przestrzeni między stanowiskami i obrotowymi drzwiami. Zaprowadził ją na stoisko, bardziej dbając o zrobienie wrażenia na klientach, szczególnie

niemieckich. Domyślała się, że rzadko zwracał uwagę na to, co tak naprawdę działo się pod jego zwierzchnictwem.

Ogólne niedobory pogorszyły handel w głównych branżach przemysłu: ubraniach i tekstyliach. Rita знаła powody tego niejako „od środka”. Prawie cała polska produkcja tekstylna została przerobiona na mundury, produkowane w ramach pracy przymusowej wyłącznie na potrzeby Wehrmachtu. Jednak do Warszawy ciągle docierały, szczególnie z Niemiec, niektóre luksusowe towary, takie jak pióra wieczne. I znowu były wywożone z powrotem do Niemiec, ponieważ tutaj ceny w złotych sprawiały, że niemiecki kapral po wymianie swoich pieniędzy był zamożniejszy niż warszawski adwokat.

Nadzorca nie zauważał jednej ważnej rzeczy: że jego pracownicy wydawali się dzielić na dwa rodzaje ludzi — fanatycznych sprzedawców-antysemitów oraz Żydów z fałszywymi dokumentami albo bez nich. Dla Rity stało się to jasne, kiedy pierwszego dnia pracy weszła do stołówki na drugie śniadanie.

Została pokierowana do stolika przez koleżankę zza lady, młodą kobietę o imieniu Lotte. Gdy już usiadła, zachęcano ją do wzięcia udziału w systemie rozgrywek mających na celu znieważanie i ubliżanie Żydom zamieszkującym Warszawę, Polskę i Europę. Nie tego się spodziewała.

Jedna z nielicznych starszych kobiet zaczęła rozmowę:

— Dopiero co zaczęłaś, prawda siostrzo? Powinnaś była tu być, kiedy to miejsce należało do Żydów. Własność żydowska na potrzeby Żydów. Żaden katolik nie miał szansy awansować na stanowisko wyższe niż nadzorca. Zwalniali ludzi za najmniejsze przewinienia — jak zabranie ze sobą świecidełka, którego nikt by nie żałował, albo wychodzenie z pracy przed czasem w dni świąteczne. Jakie to miało znaczenie, skoro byli tacy bogaci?

Teraz Lotte dodała:

— Każdy Żyd, jakiego widziałam, jest milionerem. Szmalcownicy potrząsają tymi samymi ludźmi całymi tygodniami. Żydzi nigdy nie wysychają z pieniędzy. Ta zaraza żyje z wpływów i mimo że nie wykonuje ni krzty uczciwej pracy, zarabia więcej niż biedna, uczciwa ekspedientka. Sama mam ochotę odegrać się na tych pasożytach.

Dziewczyna ze stoiska z kosmetykami zaczęła głośno myśleć:

— Żydzi byli bogaci, więc dlaczego stracili głowę dla komunistów i socjalistów? Kiedy dom towarowy należał do Jabłkowskich, to związki rządziły tym miejscem. Kazali płacić katolikom składki członkowskie nawet wtedy, kiedy kardynał arcybiskup powiedział nam, żebyśmy unikali wszystkiego, co ma związek z czerwonymi.

Zanim zdołała się powstrzymać, Rita zadała pytanie:

— Czy ci, którzy nie należeli do związków zawodowych, dostawali podwyżki wtedy, kiedy ci należący je dostawali?

Lotte była na tyle spostrzegawcza, żeby wyczuć przewrotność pytania.

— Oczywiście. Tylko w tym byli uczciwi. Gdyby Żydzi tak otwarcie faworyzowali swoich ulubieńców ze związków zawodowych, zaczęlibyśmy strajkować. O co ci chodzi? Jesteś miłośniczką Żydów? Socjalistką, komunistką?

Rita będzie musiała na nią uważać. Wycofała się:

— Nie, po prostu byłam ciekawa. Jestem przekonana, że teraz, kiedy Żydów już nie ma, sprawy mają się lepiej. Pracowałam dla nich w sklepie we Lwowie, zanim nadeszli Rosjanie. A potem byłam zmuszona pracować dla Sowieców.

— Biedactwo. Będiesz musiała nam o tym opowiedzieć. — Starsza kobieta wstała i wszystkie wróciły do pracy.



Następnego dnia, tuż przed drugim śniadaniem Rita zobaczyła duży, ewidentnie niemiecki samochód, zatrzymujący się przy drzwiach obrotowych przed głównym wejściem, dokładnie naprzeciwko jej wystawki z wiecznymi piórami. Do budynku weszło trzech mężczyzn, ubranych w całości w skórę i przedstawiających różne stereotypy oficera Gestapo. Nadzorca podszedł do nich, uklonił się i wykonał gest „*Heil Hitler*”. Stuknęli obcasami, zgięli się lekko w pasie, odwrócili i ruszyli prosto w kierunku Rity. Kiedy dotarli do jej stoiska, równocześnie obrócili się w lewo i rozstawili wokół znajdującego się naprzeciwko stoiska z perfumami. Za ladą stała młoda kobieta. Była drobna, miała ciemne włosy, duże oczy i jasną cerę, która dobrze pasowała do jej fartucha. Kiedy mężczyźni ustawili się wokół lady, powoli rozpięła fartuch, wzięła torebkę i wyszła zza lady. Nie odzywając się do nikogo, zajęła miejsce między nimi i cała czwórka wyszła z budynku. Spokój, z jakim się poruszała, wyraz akceptacji w jej oczach, zmarszczenie i podniesienie jednej z brwi, to wszystko wysyłało jednoznaczną wiadomość: „Cieszę się, że nie muszę się już ukrywać, żyjąc w ciągłym oczekiwaniu i zastanawiając się, kiedy po mnie przyjdą. To już koniec i mogę się w końcu poddać”.

Kogo przypominała Ricie? Do kogo była podobna? Uderzyło ją to z mocą, która sprawiła, że los dziewczyny stał się jej nagle bardzo bliski: miała karnację, posturę, a nawet spokój tamtej dziewczyny z fabryki Terakowskiego z Karpacza. Tej, która uczyła się na pamięć *Pana Tadeusza*... Tak, Dani.

Przez dłuższą chwilę po tym, jak dziewczyna i Gestapo wyszli, panowała cisza. Wszyscy sprawiali wrażenie, jakby wstrzymywali oddech, bojąc się zareagować i zastanawiając się, czy mała tragedia naprawdę dobiegła końca. Niektórzy wyglądali tak, jakby w myślach odmawiali „zdrowaśki”, inni rozglądali się dookoła tak, jakby byli w stanie dostrzec, kto na nią doniósł. Następnie hala wybuchła plotkami. Nadzorca biegał tymczasem dookoła w swoim fraku, uciszając pracownice i uspokajając wyrażające swą dezaprobatę klientki — majątne wdowy i starsze damy.

Kilka chwil później, gdy Rita polerowała odciski palców z szyby na ladzie, Lotte podbiegła, pochyliła się i rzuciła pod nos:

— Wiedziałam, że była Żydówką, odkąd pierwszy raz ją zobaczyłam. Była nieco zbyt wytworna i miła. — Rita przytaknęła. — Poza tym na stołówce jadła zbyt dużo jak na swoje rozmiary. Prawdopodobnie to był jej jedyny posiłek dziennie. To oczywiste, kiedy się obserwuje ich tak długo jak ja.

— Znikaj, siostró — powiedziała Rita. — Jeśli nie wyczyszczę tej lady, to cholerny nadzorca wytarga mnie za włosy.

Czy była wystarczająco wulgarna? Czy Lotte znów wychwyci jej ironię?

Być może. Ale Lotte mówiła dalej:

— Połowa pracujących tutaj dziewczyn musi być Żydówkami. Może ty też nią jesteś.

Podnosząc głos wystarczająco, żeby usłyszał ją klient, czy nawet dwóch, Rita rzuciła bez zastanowienia:

— Jezus Maria! — Spojrzała gniewnie na Lotte. — Mów tak dalej, a pomyślę, że to ty nią jesteś! Chcesz zobaczyć mój akt chrztu? — Sięgnęła pod ladę po torebkę. — A gdzie jest twój?

— Spokojnie, siostró, spokojnie — mówiła szeptem Lotte. — Wiesz, widziałam ją w poprzedni weekend, tą, którą zabrali. Była z podoficerem Wehrmachtu, chyba sierżantem. Pewnie nie chciała z nim iść wtedy, kiedy chciał, więc ją wydał.

Nadeszła kolej Rity, żeby się zdenerwować.

— Czy uważasz, że niemiecki żołnierz wydałby dziewczynę tylko dlatego, że broniła swojej cnoty?

— Pewnie. Dlaczego nie, jeśli wiedział, że to Żydówka?

— Lotte, pochodzę ze wschodu i od niedawna jestem w dużym mieście. Wyjaśnij mi coś. Dlaczego niemiecki żołnierz miałby mieć cokolwiek do czynienia z żydowską lochą? Dlaczego dziewczyna miałaby w ogóle powiedzieć mu, że jest Żydówką?

— Żydówki puszczają się na prawo i lewo. Wszystkie tak robią. Więc to jedyne dziewczyny, które żołnierz może mieć. Co do żołnierzy, to nie wszyscy są nazistami, a nawet dla tych, którzy nimi są, istnieją granice lojalności wobec partii, prawda? Jeśli dziewczyna chce się przespać z Niemcem, to prawdopodobnie jest Żydówką. Jeśli odmawia, to trzeba jej pozwolić udowodnić, że nią nie jest. Proste.

— Rozumiem. Dzięki.



## Rozdział 21

Pani Kamińska była zadowolona ze swojej lokatorki. Ta nigdy nie sprowadzała nikogo do domu, nie prosiła o dostęp do kuchni, była cicha i porządna i wychodziła każdego wieczora, prawdopodobnie załatwiać coś na mieście. Jednak nie sprawiała problemów. Ostatecznie Kamińska ją polubiła. W końcu któregoś wieczora złamała swoją własną zasadę i zaprosiła Ritę na herbatę, podczas której wyraziła zgodę na korzystanie przez lokatorkę z kuchni. Ulżyło jej, kiedy się dowiedziała, że jej lokatorka jada posiłki na stołówce domu towarowego i nie musi gotować. Jednak młoda kobieta mogła się jeszcze czegoś nauczyć od starszej pani i najwidoczniej obie były same na tym świecie.

Pan Kamiński zginął z rąk bolszewików w czasie wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku. Od tamtej pory Kamińska była sama i zajmowała się wynajmem pokoi. Przydałoby jej się jakieś towarzystwo, szczególnie w długie, zimowe dni. W niedzielne poranki zapraszała Ritę do wspólnego pójścia na mszę, a ta chętnie jej towarzyszyła. Kiedy po raz pierwszy zaproponowała, że nauczy ją gotować, Rita grzecznie odmówiła. Zapachy docierające z kuchni jednak pokonały w końcu jej opór. Jakimś cudem Kamińska potrafiła zamienić odrobinę mąki, smalcu i wody w ciasto. Następnie rozciągając, ugniatając, dorzucając kilka rodzynek, stare, pomarszczone jabłka, których nikt by nie chciał, orzechy włoskie, których jako jedynych nie racjonowano, a do tego odrobinę cukru i cynamonu, zawijała całość w strudel, którym zachwycony byłby każdy gaulejter. Obserwując ją przy pracy raz czy dwa, Rita błagała o szansę, żeby spróbować. To był jej sposób na wypełnienie czasu w niedzielę po mszy.

Jedynym problemem związanym z mieszkaniem pani Kamińskiej było to, że znajdowało się ono trochę za daleko od getta. Każdego wieczora Rita musiała pokonywać znaczną odległość. O osiemnastej, kiedy była po pracy, szła Marszałkowską w kierunku getta, robiąc, co tylko mogła, żeby zwrócić na siebie uwagę szmalcowników. Aż za często wzbudzała jedynie zainteresowanie niemieckiego żołnierza. Najwyraźniej musiała mieć bardziej ukradkowe spojrzenie, wyglądać bardziej tajemniczo i mniej aryjsko. Jak blisko była założenia na ramię żółtej gwiazdy?

Desperacko chciała zostać ofiarą szmalcowników, zainteresować sobą tych, których powinna była bać się najbardziej. Zmuszała się do tego każdego wieczora. Kilka złotych w torebce, dokumenty w pogotowiu, a nawet egzemplarz niemieckiej warszawskiej gazety w kieszeni płaszcza, żeby uwiarygodnić swoją fałszywą tożsamość. Jednak jak miała przybrać pozę ukrywającej się Żydówki? To nie powinno być takie trudne. Przecież właśnie nią była. Po pewnym czasie zdała sobie sprawę, że spacerowanie, przechadzanie się, pokazywanie się publicznie — wszystko to było częścią problemu. Nikt nie brał jej za uciekinierkę. Była tylko następną latawicą tułającą się po ulicy. Nie przypominałaby takowej bardziej, nawet gdyby stała pod latarnią, pałac papierosa i poprawiając podwiązki.

Kiedy tak chodziła ulicą, co chwilę widziała, jak inni ludzie są wciągani w boczne uliczki i przeszukiwani. Ale to nigdy nie była ona. W ciągu pierwszych paru tygodni spędzonych w Warszawie dwukrotnie widziała konwoje Gestapo — ciężarówkę i jeden lub dwa samochody osobowe — zatrzymujące się przed rzędem kamienic. Kilku potężnych esesmanów dowodzonych przez oficera w przepisowej czerni wpadało do środka i wyważało kolejne drzwi. W ciągu paru chwil mężczyźni celujący bronią automatyczną zaganiali na zewnątrz trzęsące się dzieci, matki z niemowlętami przy piersi oraz wychudzonych i pobitych mężczyzn. Następnie wypędzeni podejmowali żałosne próby wejścia na tyły ciężarówki, spadając z braku sił i nie mogąc

dosięgnąć do uchwytów, łańcuchów, lub chociaż podłogi czy otwartej klapy ciężarówki. Deszcz pocisków z karabinów oraz pojedyncze wystrzały z pistoletów nie pomagały im ani trochę, a tylko wzmagaly gorączkowe wdrapywanie się. Ostatecznie żołnierze byli zmuszeni podnosić ich i wrzucać do tyłu, gdzie wyciągały się ręce, próbujące udaremnić czyjś upadek i złapać jakieś dziecko.

Rita wiedziała, że musi obserwować przypadkowych świadków wydarzenia, żeby dowiedzieć się jak Polacy — albo nawet jak volksdeutsche — reagowali na takie sceny. Niektórzy gapili się z otwartymi ustami, inni się uśmiechali, kilka osób szydziło, a większość zwyczajnie się oddalała. To ostatnie Rita mogła zrobić bez problemu.

Potrzebowała tylko znaleźć żydowskiego bandytę, kogoś pokroju Jerzego z Lemberga. Ale kiedy w końcu zaczęto ją zauważać, to przyciągała jedynie polskich szmalcowników. Tych ignorowała, jak tylko mogła, po prostu mówiąc: „Zostawcie mnie w spokoju. Jestem volksdeutsch i znajdziecie się w nie lada tarapatkach, próbując zaciągnąć mnie do Gestapo”. Zalewała ich zwykle potokiem niemieckich słów na tyle głośnych, żeby usłyszał to przechodzący niedaleko granatowy policjant albo niemiecki żołnierz. To zazwyczaj wystarczało. Wiedziała, jak rozpoznać żydowskiego szantażystę — po nacechowanym akcentem polskim, wyrażeniu w jidysz albo charakterystycznej intonacji. Kilka razy, kiedy wciągano ją do alejki, przystawiano nóż do gardła i grożono natychmiastową krzywdą, miała wątpliwości — wtedy oddawała pieniądze, które miała w torebce, i uznawała złodzieja za zwykłego przestępcę. Jednak uważnie wsłuchiwała się w to, jak mówił po polsku. Czy był to jego język ojczysty? Czy mówił kolokwialnie? Płynnie?



Boże Narodzenie minęło i nastał nowy rok. „Szczęśliwego 1943 roku” — mówił osamotniony napis nad wnętrzem obrotowych drzwi w Domu Braci Jabłkowskich. Wyplata Rity zawierała skromną premię, a do przyjęcia świątecznego wszyscy podeszli dość sceptycznie. Jeśli cokolwiek miało wywlec na światło dzienne żydowskie pochodzenie pracowników, z pewnością był to sposób, w jaki obchodzili święta, lub raczej to, że tego nie robili. Ale Polacy na takich przyjęciach składali się z tych zbyt pijanych, zbyt miłych lub zbyt nijakich, żeby to wyłapać.



Podczas wieczornych wędrówek Rita podchodziła coraz to bliżej getta. Czasami strażnicy zatrzymywali ją do kontroli. Dużo częściej ostrzegano ją, że okolica jest niebezpieczna. Granatowa policja była *korrekt*: „Zdesperowani Żydzi, przestępcy, nawet partyzanci — lepiej trzymać się z daleka, panienko”, czy też, równie często — „*Fräulein*”.

Jednak wszystko wyglądało bardzo spokojnie. Po jej doświadczeniach w karpatyńskim getcie i tamtejszych *Aktionen* nie rozumiała, dlaczego warszawskie oszczędzano. Widywała kilku mężczyzn wchodzących i wychodzących z getta, pokazujących dokumenty przy wejściu, ale żadnych wchodzących Niemców. Czy próbowali zagłodzić mieszkańców getta? Ewidentnie go już nie likwidowali. A może jedzenie jakoś się przedostawało do środka? Jeśli tak, to może mogła dostać się tam razem z nim.

Tygodniowa pensja Rity nie wystarczała na jej potrzeby: czynsz, dokładanie się do kuchni pani Kamińskiej oraz spłacanie szmalcowników i zubożałych szantażystów — bardziej żebraków — których do siebie przyciągała. Dlatego któregoś wczesnego lutowego wieczoru po pracy zajrzała dokładnie o osiemnastej trzydzięci do kawiarni „Le Cheminot” na Pradze. Krystyna siedziała samotnie przy końcu *zinc* — to naprawdę była lada baru prosto z Paryża, ze lśniącego i

gładkiego srebrnego metalu. Rita weszła do środka, powiesiła płaszcz na lewą stronę i usiadła przy stoliku. Krystyna, widząc ją, skierowała się na tył baru, wyraźnie zmierzając w stronę toalety.

Kilka chwil później, powoli sącząc piwo, Rita nawiązała kontakt wzrokowy z żołnierzem Wehrmachtu. Był chwilowy, ale niewystarczająco krótki. Zachęcony podszedł do jej stolika. Co robić? Nie mogła wyjść. Uśmiechnij się, jesteś *Volksdeutsche Mädchen*. Dodaj otuchy niemieckiemu młodzieńcowi z dala od domu. Uśmiechnęła się, odsunęła krzesło i przesunęła piwo, żeby zrobić dla niego miejsce.

— Dobry wieczór, *Fräulein*. Czy pozwoli panna zająć chwilę swojego czasu żołnierzowi w drodze na front wschodni?

W jego niemieckim wychwyciła charakterystyczny zaśpiew. Czy był to akcent szwabski?

— Z przyjemnością, chociaż sama muszę zdążyć na pociąg. — Starła się mówić po niemiecku tak swobodnie, jak tylko mogła. — Skąd pan wiedział, że jestem Niemką?

— Chyba po wyglądzie. Ale miałem taką nadzieję. Nie znam polskiego, żeby rozmawiać z tutejszymi dziewczętami.

„Zatem niezobowiązująca rozmowa?” — pomyślała Rita.

— Powie mi pan, dokąd jedzie? Nie, proszę nie mówić. — Uśmiechnęła się. — Tajemnica wojskowa. Nawet niemieckiej dziewczynie nie wolno ufać. Lepiej proszę powiedzieć, co pan porabiał. Był pan w domu na przepustce z jednostki?

— Niestety, nie. Najgorsze zadanie, jakie można dostać blisko frontu wschodniego, i trafiło się mnie. — Przerwał. — Moja jednostka pełniła wartę w dzielnicy żydowskiej. — Użył oficjalnej nazwy.

— Dlaczego najgorsze? — Rita próbowała nie wyglądać na zainteresowaną.

— Z powodu miejsca... Obrzydliwe. Nie można w nim wytrzymać. Na ulicach leżą rozkładające się zwłoki, wokół biegają zdesperowani ludzie. Ich zapach, zapach żywych trupów. Ale najgorsze są głodujące dzieci. Bez względu na to, jak ważne jest, żeby oczyścić świat z tych ludzi, to jest trudna i bardzo nieprzyjemna praca. Nawet członkowie partii czasami się zastanawiają, czy to cierpienie jest naprawdę konieczne? Czy nie dałoby się wyzwolić od niego szybciej? Właściwie to właśnie robiliśmy, wywożąc duże liczby Żydów, odsyłając ich... daleko. — Nie chciał powiedzieć wprost, a Rita nie mogła pozwolić sobie na kończenie jego myśli na głos. Napił się piwa. Ona poszła w jego ślady. Wtedy kontynuował: — Ale cała operacja zakończyła się tydzień temu.

Czy powinna ośmielić się zapytać? Czy będzie mówił dalej? Oczekiwanie było trwającą kilka sekund agonią. Rozejrzał się, pochylił się bardziej, jak gdyby osłaniał swoje piwo i zaczął mówić szeptem:

— Oni się bronią. Jakimś cudem mają broń, przynajmniej niektórzy. Może od polskiego ruchu oporu, może z czarnego rynku. W zeszłym tygodniu zaczęli strzelać podczas oblawy. Kiedy nasza jednostka rozbroiła ich i wyprowadziła, rozbili transport z getta. Żydzi rozbiegli się do kryjówek. Setki uwolnionych Żydów. Nie było wystarczająco dużo strażników, żeby ich osaczyć. Wszyscy wrócili oczywiście do getta.

Jego pośpiech pozwolił jej na zadanie pytania:

— Co było potem?

— Cztery dni walk ulicznych z terrorystami wewnątrz. Wzięliśmy mnóstwo zakładników. Ale to ich nie powstrzymało. Oberkommando twierdzi, że Żydzi szykują nam zorganizowaną zbrojną rewoltę lub jakąś inną niespodziankę.

— Co zrobią pana dowódcy? — zapytała, chociaż tak naprawdę chciała zapytać, kiedy to się stanie.

— Nie wiem. Na razie zaprzestali wywożenia z getta. W końcu będą musieli użyć siły. Ale to już nie mój problem. — Przerwał. — Jadę na wschód. Przeczesują jednostki, żeby wysłać kogoś na nasze miejsce. Najmniejsze przewinienie i wylatujesz.

— Przykro mi. — Rita zastanawiała się, czy volksdeutsch powinna współczuć.

Wpatrując się w kufel z piwem, żołnierz bez ponagień kontynuował:

— Jeśli powiem więcej, zasłużę sobie na akt zgonu.

— Proszę nie mówić, jeśli może mieć pan przez to problemy.

— Gorzej niż front wschodni nie będzie. Byłem szyfrantem — całkowicie bezpieczna praca w sztabie. Zresztą było tak wiele wiadomości do wysłania. Ale kazali nam codziennie zmieniać ustawienia maszyn szyfrujących. To było zbyt uciążliwe.

Rita go powstrzymała.

— Nie może mi pan mówić niczego więcej, żołnierzu.

Przez cały czas się zastanawiała: „Czy Erich mógł mieć rację co do szyfru? Czy to dlatego Amerykanie i Brytyjczycy wygrywają w Afryce? A brytyjska marynarka wojenna z każdym tygodniem zatapia coraz więcej U-bootów?”.

Jednak on nie przestawał mamrotać:

— Szyfr i tak jest nie do złamania. Więc raz na jakiś czas nie zmienialiśmy ustawień. Ktoś na górze to zauważył i teraz jestem oddelegowany do Grupy Armii „Środek” na Wołdze. — Podniósł kufel i splunął rozgoryczony. — *Prost.*

Rita dołączyła do toastu. Skończyli piwo równocześnie.

Do tego czasu Krystyna wróciła już na swoje miejsce przy barze. Rita nie zauważyła nawet, żeby wkładała coś do jej płaszcza. To byłaby idealna transakcja. Wstała i wzięła żołnierza stanowczo za rękę.

— Życzę panu powodzenia.

— *Heil Hitler* — odpowiedział bez entuzjazmu.

— *Heil Hitler* — odpowiedziała bez zastanowienia, po czym odwróciła się i wyszła.



Teraz, jeśli getto miało naprawdę zostać zlikwidowane, Ritę zaczął naglić czas. Musiała pilnie znaleźć właściwego bandytę. Zanim będzie za późno, musiała zadbać o to, żeby w odpowiednich miejscach dowiedziano się, że ktoś szuka sposobu na dostanie się do środka.

Zaczęła chodzić na coraz dłuższe spacerki, coraz późniejszym wieczorem. I już nie tylko spacerowała. Starła się raczej chodzić na tyle szybko, żeby zwrócić czyjąś uwagę, ocierając się o ludzi, zmuszając ich do zastanawiania się, gdzie tak pędzi — a nawet więcej: od czego tak ucieka. Podziałało. Kilkakrotnie zatrzymała ją i przeszukała ta sama grupa szantażystów. W końcu zebrała się na odwagę i zapytała:

— Znacie jakiegoś Żyda robiącego to, co wy?

— Bo co? — To była jedyna odpowiedź.

— Nie pytajcie. Ale jeśli zdołacie mi takiego przyprowadzić, nie pożałujecie.

Nie mogła stracić szansy na zdobycie kontaktu. Musiała podać im swój adres. To było najgorsze, co mogła zrobić, ale teraz była równie zdesperowana, jak wszyscy ukrywający się Żydzi. Jednak w przeciwieństwie do nich ona musiała zostać odnaleziona.

Pewnego ranka w połowie lutego Rita ubierała się w pokoju, gdy przyszła do niej pani Kamińska. Jej pukanie było stanowcze. Zanim zdążyła odpowiedzieć, starsza kobieta była już w środku.

— Mówiłam ci: żadnych gości, w szczególności Żydów! Przykro mi, ale będziesz

musiała odejść.

— Żydów? O czym pani mówi, pani Kamińska?

Rita miała mieszane uczucia, była podniecona i jednocześnie spięta.

— Jeden z tych szantażystów z rogu ulicy przyprowadził zeszłego wieczora szukającego cię Żyda. Powiedziałam, żeby sobie poszedł. Zostawił dla ciebie ten liścik. Jest tu twoje imię. Mówiłam ci: żadnych Żydów. — Podała jej liścik. — Jutro ma cię tu nie być.

— Nie ma szans, żebym znalazła inny pokój tak szybko, pani K. Proszę dać mi jeszcze jeden dzień.

— W porządku, zatem do środy. — Zamknęła drzwi nieodwoływalnym gestem.

Rita przeczytała liścik:

*Będę pod kładką getta na Mirowskim o 14.30. Bądź tam. Przynieś sto złotych albo naślę na ciebie Gestapo.*

Czy to był właściwy kontakt? Czy pułapka? Czy będzie miała wystarczająco dużo pieniędzy, żeby ci ludzie zrobili to, czego chce? Rozgorączkowana, udała się do pracy za ladą stoiska papierniczego. Przed drugim śniadaniem odwiedziła kilka razy toaletę i w końcu poprosiła nadzorcę, żeby zwolnił ją z reszty dnia: „Ból menstruacyjny”. Przeczulony na tym punkcie, nie chciał słyszeć nic więcej. Tak, mogła iść do domu.

Wysiadła z tramwaju kilkadziesiąt metrów od kładki. Specjalnie przyjechała tramwajem, żeby pokazać, że mogła swobodnie się poruszać, korzystać z tego, czego Żydom zabraniano. Jej kontakt musiał to zauważyć. Stał tam z dzieciakiem, z którym miała do czynienia dwa dni wcześniej. Wyszli z cienia kładki i ruszyli w jej stronę. Zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć, Rita wyciągnęła dwudziestozłotowy banknot do chłopaka, który zdobył dla niej kontakt.

— Proszę. A teraz spadaj. Nie chcę cię tu więcej widzieć.

Kiedy zniknął, osobnik wyglądający niczym wymizerowana zjawa podszedł bliżej.

— Niech pani najpierw mi to da. — Z pewnością miał akcent osoby niewykształconej i dawało się usłyszeć w nim jidysz. I był głodny.

Wciągnęła go do zaułka. „To dla niego coś nowego” — pomyślała.

— Oto sto złotych. Dostaniesz kolejne, jeśli znajdziesz mi albo kogoś, kto pracował dla „Trzynastki”, albo kogoś z kontaktami w *Jupo* — kogoś, kto pomoże mi dostać się do getta i z niego wyjść. Rozumiesz? Jeśli go znajdziesz, nie przychodź pod mój adres. Już tam nie mieszkam. Znajdziesz mnie spacerującą po Marszałkowskiej stąd do Alei Jerozolimskich między dziewiętnastą a dwudziestą drugą przez trzy najbliższe wieczory. Spróbuj jakichkolwiek sztuczek, a nie dostaniesz pieniędzy.



Następnego dnia po pracy poszła znowu do „Le Cheminot”. Kiedy weszła, zobaczyła Krystynę jak zwykle opartą o ladę. Ta wyszła, gdy tylko zobaczyła Ritę. Rita zamówiła filiżankę herbaty, wypila jednym haustem i ruszyła prosto do domu Krystyny. Krystyna była w środku. Była czerwona na twarzy — ze złości, zasapania albo obu tych rzeczy naraz.

— Tak myślałam, że to ty. Co ty wyprawiasz? Mówiłam ci, żebyś nigdy...

— Wiem. Widzisz mnie po raz ostatni. Ukryłam dwie złote monety w twoim mieszkaniu. I teraz ich potrzebuję.

— Wiem. Znalazłam je. Wam, Żydom, nie można ufać nawet wtedy, kiedy ktoś ryzykuje własne życie, żeby wam pomóc. Osiemnaście złotych monet wydawało mi się dziwną liczbą. Domyśliłam się, że były jeszcze co najmniej dwie monety i znalezienie ich po twoim wyjściu nie zajęło mi zbyt dużo czasu. Nie zasługujesz na nie, żydowska krowo.

Rita wybuchła płaczem. Krystyna miała prawo być wściekła. Rita zawiodła jej zaufanie. Ale musiała to zrobić.

— Potrzebuję natychmiast resztę moich pieniędzy, a te dwie monety... To jedyny sposób, żeby sprawdzić, czy mój syn jeszcze żyje.

— Zaczekaj tutaj. — Wróciła po chwili. — Masz. — Wręczyła Ricie dwie monety. — Armia Krajowa nie ma zamiaru być dłużej twoją skrzynką depozytową. Resztę monet zabieramy. Uznaj to za odsetki. A teraz się wynoś.

Zatrzasnęła przed nią drzwi.



Tego wieczora Rita pokonała mniej więcej kilometrowej długości trasę między domem towarowym a gettem kilkakrotnie, tym razem wyglądając na niezainteresowaną i emanując nieprzystępnością. Nawet prostytutka nie zwlekałaby tak bezwstydnie na każdym skrzyżowaniu. Jednak nikt nie podchodził. Wróciła pod adres Widok 44 dopiero po dwudziestej trzeciej. Na drzwiach znajdował się liścik: „Wynoś się. Masz czas do jutra albo zabiorę twoje rzeczy i doniosę na ciebie”. Tej nocy się spakowała.

Rano wyszła z walizką. Kiedy pojawiła się w Hotelu Handel, recepcjonista rozpoznał ją.

— Tak, wróciłam do miasta na jakiś tydzień. Znam zasady. Jutro zgłoszę się na policję.

Poprosiła o pokój z umywalką, jak najbliżej łazienki i toalety znajdujących się na korytarzu. Od razu udała się do pokoju.

Następny dzień spędziła za ladą z piórami wiecznymi razem z Lotte gładzącą w kółko o racjonowaniu żywności, swojej rodzinie i kontaktach z mężczyznami oraz wygłaszającą swoje obraźliwe opinie. Dzień wydawał się nie mieć końca. Ale o dziewiętnastej Rita znowu szła wzdłuż ulicy Marszałkowskiej.

Okolo dwudziestej pierwszej jej bezimienny żydowski kontakt w końcu zagwizdał, zapraszając ją do zaułka, a potem w boczną uliczkę. Stamtąd poprowadził ją bez słowa na północ, w stronę getta. Na placu Bankowym przeszli przez zabite deskami wejście do wyniszczzonego budynku i w ciemności po omacku zeszli do piwnicy. Kiedy tam weszli, ktoś czekający w środku zapalił zapałkę, przypalił papierosa i poczęstował nim Ritę. Skorzystała. Kiedy jej oczy przyzwyczyły się do światła zapałki, zobaczyła mężczyznę w średnim wieku — miał wyniszczoną, ale nie noszącą śladów pobicia twarz. Jego szyja była pokryta kilkoma zmarszczkami, sięgającymi za usta i aż do linii brwi. Na tyle, na ile była w stanie stwierdzić, miał przerzedzone włosy, wyraziste usta oraz nos, który najwyraźniej kiedyś był złamany. Jednak jego oczy emanowały życiem i uporem. Ubrany był w łachmany, ale nie wyglądał na głodnego.

— Cóż, znalazła pani osobę, której szukała. Niech sobie pani nie myśli, że jestem sam, nawet w tej dziurze. Czego pani chce?

— Muszę się dostać do getta.

— Więc proszę wejść przez główne wejście, jest otwarte.

W ten sposób chciał jej powiedzieć, żeby przestała tracić czas i po prostu to zrobiła.

— Moje dziecko może być w getcie. Muszę to sprawdzić. Potrzebuję kogoś, kto zaprowadzi mnie do środka i wyprowadzi stamtąd z dzieckiem, jeśli je znajdę w sierocińcu, lub tym, co z niego zostało. Czy jest pan w stanie to zrobić?

— Być może. Jak bardzo pani na tym zależy? — Otworzyła dłoń, żeby pokazać jedną złotą monetę. — To za mało. I dlaczego nie miałbym teraz sobie jej po prostu wziąć i przekazać pani w ręce moich przyjaciół z Gestapo?

— Ponieważ jest ich trochę więcej i straciłby pan okazję, aby je zdobyć, gdyby zrobił pan

którákolwiek z tych rzeczy.

Nie pytał, ile ich ma. Najwyraźniej zamierzał zdobyć je wszystkie, bez względu na to, ile ich było.

— Chyba będę mógł pani pomóc. Kiedy chce pani tam iść?

— Teraz. Oboje wiemy, że nie zostało zbyt wiele czasu, zanim rozwalą getto.

## Rozdział 22

— Teraz? Chce pani iść tam teraz? — powtórzył. — Nie tak ubrana. Zdarliby pani te ciuchy z pleców. Nawet taki brutal jak ja nie byłby w stanie pani ochronić. Są tam ludzie, którzy zabiliby panią za sam zdrowy i aryjski wygląd. — Zastanowił się chwilę. — Może będziemy mogli coś na to poradzić. Proszę za mną. Niech pani uważa na głowę.

Zagłębili się w niewysoki tunel, którym trzeba było przemieszczać się ze zgarbioną sylwetką. Rita postanowiła przerwać panującą ciszę.

— Jak ma pan na imię?

— Żadnych imion. Pani imienia też nie chcę znać. Nie są nam one tutaj potrzebne i w dołach, w których nas pochowają, też nie będą.

Rita powstrzymała się od zadania pytania, które nagle zaświtało jej w głowie: zatem po co robić coś dla kilku złotych monet?

Najwyraźniej znajdowali się w długim, prowadzącym w dół tunelu, który jak się domyślała, biegł na zachód w kierunku getta. Kiedy przeszli jakieś sto metrów, tunel zaczął wznosić się w górę. Jego wylot znajdował się w pokoju, w którym siedziało dwóch mężczyzn, przypuszczalnie strażników. Skinęli głowami na jej przewodnika, ale nie wydobyli z siebie ani słowa. Przewodnik rozejrzał się po pomieszczeniu.

— Mamy jakieś łachmany, w które można by ją ubrać?

Jeden z mężczyzn podniósł się niemrawo i podał mu podarte części garderoby — postrzępioną spódnicę i znoszony płaszcz. Bezimienny gospodarz przekazał je Ricie.

— Niech się pani w to przebierze. — Zawahała się. — Nie ma czasu na skromność, paniusiu. Mogą patrzeć, ale pani nie tkną. — Zwrócił się do swoich współników: — Nie róbcie krzywdy kurze znoszącej złote jaja, chłopcy.

Nie pozostało jej nic innego, jak zdjąć płaszcz i przebrać się w łachmany. Zdążyła jeszcze tylko zabrać z płaszcza kopertę z dokumentami.

— Zatem zabiorę panią do pozostałości po biurze Judenratu. Jeśli ktokolwiek tam jeszcze jest, to będziemy mogli zmusić go, żeby sprawdził ewidencję albo zaprowadził nas do dzieci, które zostały w getcie.

Rita skinęła głową i pozwoliła się poprowadzić przez tunel do pierwszego kręgu piekła.

Była wdzięczna za ciemności przysłaniające panującą dookoła nędzę. Ale niestety mrok nie był w stanie zabić odoru, który czuła. Nie był to zapach płonącego ludzkiego mięsa, który pamiętała jeszcze pół roku po pożarze karpatyńskiego getta. W pewnym sensie był bardziej znajomy, ale nadal nieznośnie cuchnący. Był to fetor odchodów, nieczystości, biegunki, wymiocin, a także rozkładającego się mięsa lub substancji organicznej — czyżby ludzkich ciał? — w późnej fazie rozkładu. Woń docierała do niej falami, które nie pozwalały jej nozdrzom przyzwyczać się do niej na tyle, żeby przestała ją czuć. Rita zaczęła odruchowo przelykać ślinę, a wreszcie zwymiotowała. Bezimienny przewodnik wręczył jej nasączoną benzyną szmatkę.

— Niech pani zakryje tym nos.

Zapach, który uważała do tej pory za odrażający, uratował ją i mogła iść dalej.

W ciemnościach kilkakrotnie potykała się o ciała, a te spośród nich, które były jeszcze żywe, odpowiadały cichym jękiem. Raz, przez nieuwagę, stanęła na coś miękkiego, co ugięło się pod jej ciężarem, a wyciekający śluz rozlał się po całym bucie. Wolała nie myśleć, co pokrywało jej stopę z każdym następnym krokiem.

Idąc w mroku, czuła, że czają się wokół nich cienie, które wycofywały się, gdy tylko



przewodnik podchodził bliżej, unikając tym samym spotkania z nim lub jego towarzyszką. Dlatego instynktownie zmniejszyła dystans między nimi.

Po dziesięciu minutach znaleźli się na otwartym placu. Po jednej jego stronie Rita dostrzegła szubienicę. Była dwu- lub trzykrotnie dłuższa od tej, którą widziała w karpatyńskim getcie, i wciąż wisiały na niej ciała. Nawet w mroku była w stanie dostrzec opadające na boki głowy i ciemniejsze od nocnego nieba owalne kontury ciał, z wąskimi taliami i rękami spętanymi z tyłu. Zdała sobie nagle sprawę, że odruchowo patrzy w dół, szukając odchodów, które zawsze towarzyszyły takim egzekucjom. Zmusiła się, żeby odwrócić od nich wzrok.

Nagle przyszło jej coś do głowy. Nie widziała na ulicach getta nikogo poza nimi. Odsuwając na chwilę szmatkę z benzyną, krzyknęła do swojego bezimiennego przewodnika:

— Gdzie są wszyscy? Getto jest puste? Nie mijaliśmy ani jednej osoby.

Zatrzymał się na chwilę.

— W tym getcie było kiedyś trzysta pięćdziesiąt, albo nawet czterysta tysięcy ludzi. Teraz zostało już tylko około pięćdziesięciu tysięcy. Przeludnienie nie stanowi już problemu. Zresztą wszyscy w pełni sprawni są dosłownie pod ziemią — budują tam bunkry i ukrywają się w nich. Wiedzą, że Niemcy niedługo tu będą.

„»Oni«, a nie »my«? Więc dokąd on zamierza pójść?” — pomyślała.

— Nocami nie ma na powierzchni nic do roboty, można tylko dostać nóż w plecy od takich ludzi jak ja — zaśmiał się złowieszczo i zakomunikował: — Jesteśmy prawie na miejscu.

Siedziba biura Judenratu znajdowała się w dwupiętrowym budynku z charakterystycznym trójkątnym szczytem. Przed wojną musiała tu być szkoła albo jakiś urząd. Budynek wyglądał na opuszczony. Weszli do środka i ruszyli korytarzem. Jej przewodnik najwidoczniej doskonale wiedział, dokąd zierają. „Tutaj wreszcie pojawili się śpiący na podłodze ludzie, żywi ludzie” — pomyślała Rita z niewielką ulgą. Krocząc ostrożnie między śpiącymi ciałami, od czasu do czasu budzili kogoś swoimi krokami, ale za każdym razem ciała odwracały się i pogrążyły z powrotem we śnie. W końcu znaleźli się przed zamkniętymi drzwiami. Przewodnik otworzył je jednym pchnięciem, zapalił zapalniczkę i wyjął kawałek świecy z wewnętrznej kieszeni płaszcza. Kiedy zobaczył leżące w rogu ciało, podszedł do niego i potrząsnął nim, próbując zbudzić śpiącego.

— Pracujesz w archiwum? Potrzebujemy pewnych informacji. — Mężczyzna poruszył się. Przewodnik złapał go za klapę marynarki, zerwał na równe nogi i chwycił szyję mężczyzny, żeby zmusić go do mówienia. Po czym zwrócił się do Rity: — Pytaj go, o co chcesz.

— Czy istnieje rejestr dzieci przywiezionych tutaj z innych miejsc — tych osieroconych albo przewiezionych z innych gett? — W świetle świecy widziała jedynie zamglone oczy, ale głos odpowiedział:

— Był potrzebny do przydzielania racji żywnościowych, ale od ostatniej jesieni stał się bardzo wybiórczy. — Odwrócił się, wyciągnął rękę po świecę i zaczął przeglądać księgi ewidencyjne. — Przyjazdy są zapisywane chronologicznie. Zna pani datę przyjazdu?

— Kwiecień zeszłego roku. Stefan Guildenstern. — Miałby wtedy dwa i pół roku. — Po chwili dodała po cichu: — Już trochę mówił. Po polsku. Znał swoje imię.

Urzędnik oświetlał świeczką regał, przesuwając palcem po grzbietach ksiąg.

— Nie ma.

— Jak to nie ma? — oburzyła się Rita. — Czego nie ma?

— Księgi z tego miesiąca.

Rita była stanowcza.

— Niech pan szuka dalej. Pewnie są nie po kolei.

— Proszę pani, gdyby „Kwiecień 1942” tu był, znajdowałby się na tej półce. — Przeleciał

wzrokiem w tę i z powrotem. — Przykro mi, ale od miesiący ludzie tutaj wchodzą i wychodzą. Zabierają księgi i przynoszą je z powrotem, wycinają z nich strony, z których robią ulotki, dokumenty i inne rzeczy. Połowa tomów zniknęła. — Przerwał. — Poza tym, jeśli szuka pani dziecka, proszę iść do sierocińca. Już mało kto tam został, ale jeśli tu był, może ktoś go pamięta.

Przewodnik zacisnął uścisk na jego szyi.

— Gdzie?

— To boli. Niedaleko. Naprzeciwko Gęsiówki na Smoczej. Wiecie, gdzie to jest?

Uścisk się rozluźnił.

— Dobra. Idziemy.

W ogóle na nią nie patrzył, zwyczajnie przepchnął się przez drzwi, odsuwając leżące na korytarzu ciała. Nie zamierzając wracać do głównego wejścia, zdmuchnął świecę i skierował się w stronę bocznych drzwi.

Na zewnątrz Rita znowu poczuła feter, więc sięgnęła do łachmanów w poszukiwaniu szmatki nasączonej benzyną. Latarnie zza murów getta oświetlały teren dużo lepiej, niż Rita by tego chciała. Wokół siebie dostrzegała każdą możliwą formę zrujnowanego ludzkiego życia: wyłamane drzwi, powybijane szyby, roztrzaskane meble, wnętrza tapicerek, lodówek, rur, góry śmieci, wszelkiego rodzaju resztki, rozkładającą się końską padlinę. Oraz cały ogrom ludzkich ciał, których widoku nie była w stanie teraz uniknąć: latarnie rzucały światło na latające nad otwartymi ranami muchy i upiornie białe larwy, wijące się w oczodołach rozkładających się na chodnikach zwłok. Tak samo jak w Karpaczu, tutaj również widziała martwe dzieci — niektóre leżały u boku swoich matek, inne, z wyprostowanymi, zeszywniałymi na skutek *rigor mortis* nogami, pólśdziały, oparte o krawężnik. Kiedy tak szli, wydawało się jej, że w oknie poruszyły się zasłony. Byli obserwowani... Ale przez kogo? Tych skazanych na śmierć, zbyt już słabych, żeby się poruszyć? A może obserwowała ich któraś z nielicznych już pijawek pokroju jej przewodnika?

Nagle opanował ją strach. Ta wyprawa była nie tylko daremnym trudem, ale i samobójczym błędem. W chłodnym powietrzu Rita zaczęła się trząść i niekontrolowanie pocić. W tej chwili nie czuła już żalu ani litości, żadnego ludzkiego współczucia ani troski. Nagle zaczęła mieć problemy z oddychaniem. Tonęła, dusiła się, paraliżował ją strach. Wyciągnęła rękę w kierunku bezimiennego przewodnika, który szedł przed siebie.

— Nie mogę dalej iść. Wracajmy.

— Już prawie jesteście. Weź się w garść — usłyszała szorstką odpowiedź.

Poczuła mocne uderzenie i odzyskała pozorną kontrolę nad swoim ciałem. Po bardzo długiej chwili mężczyzna zatrzymał się przed jedną z opuszczonych kamienic.

— To tutaj. Niech pani tam wejdzie i będzie ostrożna. Jeśli są tam jakieś dzieci, to od pewnego czasu już nikt się nimi nie zajmuje, więc mogły zdziczeć. — Wręczył jej świecę i podпалиł knot.

Ostrożnie otworzyła wiszące na samotnym zawiasie drzwi i zajrzała do środka. Pierwsze, co zdołała zobaczyć, to widok wielu małych przedramion, których było coraz to więcej i które osłaniały oczy przed blaskiem świecy. Następnie zobaczyła dzieci: począwszy od małych, uczących się chodzić, po takie około dziesiątego roku życia. Te spośród nich, które leżały splecione na ziemi, musiały być rodzeństwem. Dzieci były sine z zimna i miały na sobie łachmany, ubrudzone wszystkim, co można było sobie wyobrazić. Kiedy przywykły już do światła, te, które miały jeszcze siły, zaczęły podchodzić z wyprostowanymi rękami. Niektóre wzbudzały litość, inne wyglądały groźnie, ale wszystkie wyglądały na tak samo wychudzone i głodne. Te, które się nie poruszały, były martwe, wzdęte z powodu niedożywienia, unieruchomione albo za młode, żeby skojarzyć zająście z potencjalnym źródłem jedzenia. Kiedy

Rita tak na nie patrzyła, nie mając im nic do zaoferowania, na chwilę zapomniała, po co tam przyszła i czego właściwie szukała.

Mężczyzna wyrwał ją z histerycznego transu.

— Widzi go pani? Jak ma na imię?

— Stefan — szepnęła. A potem krzyknęła: — Stefan? Stefan Guildenstern! Tu twoja mama.

Tuzin starszych chłopców oraz kilka większych dziewczynek — dzieci, które rozumiały, co się dzieje — zaczęło machać chudziutkimi rączkami, z których spadły wszelkie pozostałości materiału.

— To ja... jestem tutaj, proszę.

Rita nie zwracała na nie uwagi. Obniżyła świecę, żeby obejrzeć najmłodsze dzieci, szybko przeskakując po twarzach i bardziej skupiając się na tym, żeby już skończyć, niż żeby znaleźć własne dziecko. Spojrzała na ostatnie z dzieci, a następnie zmusiła się, żeby szukać od nowa, odpychając na bok wyciągnięte ręce i małe ciała, które liczyły na ocalenie, ale były zbyt duże, żeby mogły być jej dzieckiem. W końcu zwróciła się do dziewczynki, która wydawała jej się najstarsza:

— Jak długo tutaj jesteście?

Dziewczynka nie odpowiedziała. Rita machnęła ręką przed jej nieobecny wzrok. Powieki ani drgnęły. Rita była wystarczająco blisko, żeby czuć wydobywającą się z jej ust woń śmierci, którą jej blada skóra tylko potwierdzała.

Wstała i powiedziała w przestrzeń, jak najgłośniejsz potrafiła:

— Czy ktoś zna chłopca o imieniu Stefan?

Rita miała świadomość daremności swojego pytania, już kiedy je zadawała. Czowała się teraz niezręcznie i okrutnie, ogarniał ją strach i pogrążała się w żalu, jednocześnie trzęsąc się z zimna i pocąc. Otaczająca ją teraz gromada dzieci zaczęła przerażać ją swoją liczebnością oraz siłą. Czyjaś pewna dłoń złapała ją i odciągnęła do tyłu, a następnie wyciągnęła na ulicę, która teraz była niemal oświetlona przez latarnie zza muru getta.

— Muszę zabrać panią stąd przed świtem, jeśli mam zobaczyć jeszcze jakiegokolwiek z tych pani złotych monet. — Przewodnik wyprowadził ją z budynku na ulicę. Kiedy Rita była dwa kroki za nim, odwróciła się niepostrzeżenie i wróciła do budynku. Kiedy z niego wyszła, dziesięć sekund później, przewodnik się rozglądał, szukając jej.

— Co się z panią stało? — zapytał, kiedy go dogoniła.

— Zakręciło mi się w głowie — odpowiedziała. — Na chwilę straciłam pana z oczu.

— Nie mogę sobie teraz na to pozwolić.

Złapał ją za nadgarstek i zaczął za sobą ciągnąć. Szli labiryntem bocznych uliczek i większych ulic, które były ponurym świadkiem grobowca, jakim było getto. Ta podróż wydawała się Ricie niekończącą się torturą. Zapach benzyny ze szmatki zdążył już osłabnąć i z każdym oddechem zbierało się jej na kwaśne wymioty, aż wreszcie dotarli na miejsce, od którego zaczęli. Kiedy wchodzili do piwnicy, bezimienny przewodnik, asekurując jej głowę, jednocześnie sięgnął do kieszeni płaszcza po kopertę z dokumentami, którą wniosła do getta.

— Oddaj mi to — wysyczała i zaczęła się z nim szarpać. Spokojnie odpierał jej atak za pomocą jednej ręki, w drugiej trzymając kopertę. W końcu Rita się zmęczyła. — To tylko moje dokumenty. Złotych monet tam nie ma. Myślisz, że byłabym na tyle głupia, żeby nosić je przy sobie?

Otworzył kopertę i zaspokoił swoją ciekawość.

— Więc gdzie są? Nie pozwolimy ci odejść, jeśli nie dostaniemy całości zapłaty.

— Dajcie mi tylko pójść tam, gdzie zostawiłam ubranie — wyrzuciła z siebie. Mężczyzna

się odwrócił, nie wypuszczając z ręki koperty.

Kilka minut później byli już przy wejściu do tunelu. Trzymając ją kurczowo, mężczyzna sięgnął na ziemię i podniósł jej sukienkę i płaszcz. Ręką zaczął sprawdzać ubranie w poszukiwaniu monet.

— Nie zapłacisz, nie odzyskasz dokumentów.

— Druga moneta jest w tamtym budynku z dziećmi. Na nadprożu drzwi. Po prostu idź tam i ją sobie weź. Wróciłam, żeby ją schować, kiedy powiedziałam, że zakreśliło mi się w głowie. — Uśmiechał się ponuro. — Żeby dostać następne, będziesz musiał oddać dokumenty i mnie puścić. Wiem, że każesz mnie śledzić, żeby dowiedzieć się, gdzie mieszkam. Kiedy stwierdzisz, że jest wystarczająco bezpiecznie, wyślij do mojego pokoju kogoś, komu ufasz, a reszta monet będzie tam czekała.

Ze wzrokiem pełnym podziwu oddał jej dokumenty.

— Żydówka czy nie, jesteś całkiem sprytna. Ale masz rację. Niewiele osiągniesz, jeśli nie spłacisz reszty. A jeśli drugiej monety nie ma tam, gdzie mówisz, to przed kolacją będziesz już w rękach Gestapo.

Puścił jej nadgarstek, oddał dokumenty i pospiesznie poszedł w stronę getta. Rita ubrała się i wróciła na ulice Warszawy.

Czuła, że jest śledzona, jeszcze zanim zdołała kogokolwiek zobaczyć. Być może idący za nią zbir miał za zadanie się z tym nie ukrywać. Nie próbowała go nawet zgubić. Zapadł już zmrok i byli na Marszałkowskiej sami. Kierując się w stronę hotelu, pozwoliła, żeby chłopak przeszedł za nią całe Aleje Jerozolimskie. Z tyłu w oddali dostrzegła pierwszy dzienny tramwaj. Znajdował się trzy przystanki od niej i pełno w nim było pasażerów jadących wczesnym rankiem do pracy. Szła w takim tempie, żeby zdążyć na przystanek tuż przed tramwajem, wskoczyć do niego i zapłacić za przejazd. Chłopak z grymasem na twarzy został po drugiej stronie ulicy. Rita mogła jedynie mieć nadzieję, że nie był przygotowany na puszczenie się biegiem za tramwajem i zwrócenie na siebie uwagi albo że był Żydem i miał zakaz wstępu do tramwaju, bez względu na okoliczności.

Pomyślała sobie, że przechytrzenie tych szmalcowników wcale nie było trudne. Ale co, gdyby znalazła swoje dziecko? Ten plan nigdy by się nie powiódł. Czy naprawdę myślała, że uda się jej go odnaleźć? Czy w ogóle tego chciała? Czy nie powinna była się poddać całemu temu horrorowi, wiedząc, że go nie odnajdzie lub że skaże ich dwójkę na śmierć? Czy naprawdę musiała dowiedzieć się tych wszystkich rzeczy na temat warszawskiego getta? Czy te poszukiwania nie pogorszą jedynie jej osobistego dramatu, który przeżyła w getcie w Karpaczu? To wszystko były pytania bez odpowiedzi, pytania, które musiała sobie zadawać. Nedorzeczne pytania. Musiała przekonać siebie, że były równie bezcelowe, jak retoryczne. Niestety, samo ich odpędzanie w niczym nie pomagało. Tymczasem tramwaj zatrzymał się przy stacji kolejowej Warszawa Główna.

Rita wysiadła i ruszyła w stronę dworca. Rozglądała się ukradkiem, czy aby nie ma w pobliżu Gestapo, chociaż miała pewność, że przetrwa ich kontrolę. Dużo bardziej niepokoiła ją szmalcownicy, żerujący na pieszych przed wejściem do budynku dworca. Być może nie zwrócą na nią uwagi, jeśli wejdzie tam bez walizki czy innego bagażu.

Nagle zobaczyła jednego z mężczyzn, których spotkała w ciemnym tunelu prowadzącym do getta. Opierał się o balustradę bramki biletowej. Nawet w panującym tam przygaszonym świetle musiał zdążyć dobrze ją sobie obejrzeć, gdy przebiegała się w łachmany. Ona nie miała problemu z jego rozpoznaniem. Po chwili stało się dla niej jasne, że i on ją poznał. Podejdzie do niej? A może zwyczajnie nie pozwoli jej uciec? Odepchnął się od barierki i ruszył w jej kierunku.

Rita sięgnęła do kieszeni płaszcza, żeby wyjąć kwit z przechowalni bagażu. Wszystko, co

tak misternie zaplanowała — ocalenie książek Darwina, zabranie kilku ostatnich rzeczy z pokoju bez wymeldowywania się, znalezienie w przeddzień taniej walizki na dworcu, spakowanie jej i oddanie do przechowalni — wzięło w łeb. Kiedy wyciągała kwit, z kieszeni wypadł jeszcze jeden papier. Spojrzała na niego. „Mikołaj Bilek, inspektor, Komenda Miejska Policji, Lemberg” — z małą niebieską kropką pod literą „l” w nazwisku. Spojrzała przed siebie i rozejrzała się po dworcu. Miedzy nią a przechowalnią bagażu stał umundurowany przedstawiciel granatowej policji.

— Czy może mi pan pomóc? Policjant z Lemberga dał mi tę wizytówkę. Powiedział, żebym pokazała ją dowolnemu policjantowi, jeśli kiedykolwiek będę potrzebowała pomocy.

Mężczyzna spojrzał pobieżnie na nią, a następnie na wizytówkę, którą natychmiast jej oddał.

— Odejdź, kobieto. Nie stoję tutaj po to, żeby pomagać damom w opałach.

— Ależ proszę. — Rita wręczyła mu wizytówkę jeszcze raz. — Mógłby pan spojrzeć na nią nieco uważniej? — Palcem wskazała kropkę pod nazwiskiem.

Niechętnie rzucił na nią okiem po raz drugi. Po czym spojrzał na nią znacząco.

— Czy mogę w czymś pomóc, panienko?

Rita była mu taka wdzięczna, że mogłaby się dla niego w tamtej chwili rozebrać. Ale uśmiechnęła się tylko do niego najszczerzym uśmiechem, na jaki mogła się zdobyć.

— Mam bagaż w przechowalni. Potem muszę kupić bilet do Krakowa i przejść przez bramkę biletową. Dokumenty mam w porządku. — Spojrzała wprost na niego, jak gdyby chciała powiedzieć: „Niczym pan nie ryzykuje”. — A potem chyba dam już sobie radę.

— Chętnie panience potowarzyszę. — Uśmiechnął się konspiracyjnie i stuknął obcasami.

Rita wzięła go pod ramię.



Zorientowanie się, że Rita nie wróci już do pracy u Braci Jabłkowskich, zajęło Lotte niecałe dwa dni. Nikt nie mógł sobie pozwolić na opuszczanie pracy w domu towarowym i oczekiwać, że ją zachowa. Jednocześnie dotarło do niej, że mogła na tym niezapowiedzianym odejściu skorzystać. Tuż przed otwarciem przywłaszczyła sobie cztery najładniejsze wieczne pióra spod lady i natychmiast podeszła do nadzorcy, snując podejrzenie, że Rita uciekła i zabrała je ze sobą. Co więcej, zasugerowała, że Rita mogła być Żydówką.

— Kilka dni temu podczas drugiego śniadania mówiła, jakby była komunistką, proszę pana.

— Dziękuję, Lotte. Złożę raport i zainteresuję sprawą *Kripo*.

Miał na myśli niemiecką policję kryminalną i był do tego skłonny. Kradzież stanowiła najgorsze możliwe przewinienie w rejestrze przestępstw nadzorcy. Poszedł do biura i podniósł słuchawkę telefonu. Jak jej było... Truszenko, Rita Truszenko.

## Rozdział 23

Najpierw z Karpacina do Lwowa-Lemberga, z Lemberga do Warszawy, a teraz z Warszawy do Krakowa. Stukający, kołyszący się i szarpący pociąg jechał na południowy zachód, w kierunku miasta, o którym myślała, że je zna i rozumie. Kiedy skończy się jej łut szczęścia? Jak długo jeszcze będzie wygrywała w ruletce swoje życie? To była jej ostatnia myśl, zanim ogarnęło ją zmęczenie i zapadła w mocny sen.

Zbudzono ją dwukrotnie. Pierwszy raz zrobił to proszący o bilet konduktor, a potem *Schutzpolizist* Gestapo chcący zobaczyć jej kenkartę. Kiedy oddawał jej kartę, przypomniał jej, że musi zmienić warszawski meldunek na krakowski, jeśli zamierzała tam zostać.

Teraz już nie spała i patrzyła na znajomy krajobraz: ponury zimowy pejzaż małych gospodarstw, ogrodzonych połamanymi płotami i szkieletami żywopłotów, które latem pozostawały nieprzeniknione. Pola były porzuconymi ścierniskami, na których leżały nieruszone przez wieki głazy. Nie było na nich widać żadnych rolników, zaprzęgów, ani nawet leżących w bajorach krów. Dym unosił się nad kamiennymi i drewnianymi zagrodami. Czy życie w nich bardzo zmieniło się w przeciągu ostatnich pięciu lub dziesięciu lat?

Pociąg zwolnił na zakręcie. Przez chwilę Rita dojrzała przez okno wychylający się nieco parowóz, a następnie jej oczom ukazał się cmentarz. Czy to grabarz? Nie, to stróż albo rolnik szedł w stronę wysokiej kobiety, trzymającej białe prześcieradło, które powiewało na silnym wietrze. U jej stóp zauważyła dwa ryjące w ziemi psy myśliwskie. Wyglądało to, jakby ktoś wystawiał scenę z *Pana Tadeusza*, której Dani uczyła się tego poranka w fabryce Terakowskiego, kiedy Rita odezwała się do niej po raz pierwszy. Jak to było?

*Zbyt często postrzegano, że psy ziemię ryły  
I jak gdyby śmierć wietrząc, przeraźliwie wyły:  
Co wróży głód lub wojnę; a strażnicy boru  
Widzieli, jak przez smętarz szła dziewczica moru,  
Która wznosi się czołem nad najwyższe drzewa,  
A w lewym ręku chustką skrwawioną powiewa.*

Nagle rytm słów ustąpił miejsca wspomnieniu dreszczu, który Rita poczuła w momencie, kiedy Dani ją obejmowała tamtego popołudnia, wiele miesięcy temu w getcie, które teraz wydawało się być tak bardzo odległe.

Mężczyzna i kobieta z cmentarza byli jedynymi ludźmi w zimowym pejzażu nieruchomych gospodarstw, z których unosiły się co najmniej po dwie regularne kolumny dymu. „Tym polskim chłopom było przynajmniej czasami ciepło w trakcie tej długiej zimy” — pomyślała. Nawet ich zwierzęta miały schronienie przed działaniem żywiołów. Ale nie ona. Rita czuła się, jakby ona nie przestawała marznąć, odkąd Sowietci najechali na Polskę, albo przynajmniej odkąd Niemcy zaatakowali na wschodzie. Zdała sobie właśnie sprawę, że jedyny, jaki pamięta ze swojego życia, okres, kiedy było jej zimą ciepło, to miesiące spędzone po przyjeździe do Karpacina. Zimno było oczywistym stanem rzeczy, do którego teraz dołączył głód. Na tym świecie można było się spodziewać jedynie niekończącego się zima.

Musiał istnieć jakiś powód, dla którego była zmarznięta, głodna i samotna. To musiało mieć jakieś znaczenie. Sąd, kara, próba, test, wzmocnienie — coś, co nadałoby temu głębszy sens. Jakiś plan, do którego to wszystko pasowało i według którego miało się wydarzyć — Rita, Urs, Tadeusz, Stefan, Erich, Freddy... Historia, z której przynajmniej mogła nauczyć się czegoś o sobie i swoim życiu. Może kiedyś, kiedy wojna już dobiegnie końca, a ona przeżyje, pojawi się

fabuła z naturalnym początkiem, długim, bolesnym, pełnym napięcia rozwinięciem ze złoczyńcami i bohaterami oraz satysfakcjonującym, albo przynajmniej bliskim satysfakcjonującego, zakończeniem — jej ocaleniem. Kiedy to wszystko się skończy, historia złoży w całość to, co się wydarzyło — jej dyskomfort i ciągle niebezpieczeństwa — i nawet jeśli nie nada to znaczenia wszystkim tragediom, które spotkały miliony ludzi cierpiących w tym szalonym melodramacie, zakończy go jej ocaleniem. Tak, jeśli przeżyje, na końcu powstanie z tego historia — fabuła pełna niebezpieczeństw i ucieczek, w której czyny jej i innych nabiorą znaczenia. Ale czy zdoła wyjaśnić, jak i dlaczego udało jej się przeżyć?

Rita wiedziała, że nie. Prawdziwym wyjaśnieniem będzie zwykły przypadek! Szanse były po jej stronie — nieznacznie, ale na tyle, by jej przeżycie nie było czymś niezwykłym. O wszystkim decydował ślepy los. A to wyjaśnienie nie zdoła jej zadowolić. Nawet jeśli będzie prawdziwe. Nie miała zamiaru się oszukiwać.

Prawda była taka, że większość ludzi nie wzięłaby na siebie kłopotów związanych z doniesieniem na nią. Zwyczajnie nie było wystarczająco dużo prawdziwych nazistów, zażartych i prawdziwych antysemitów oraz fanatycznych polskich nacjonalistów gotowych cierpieć, żeby uwolnić otoczenie od wrogów natury rasowej, kulturalnej i klasowej. Większości ludzi przeznaczenie innych było obojętne. Panie Kamińskie tego świata wołałyby raczej przejść obok, niż walczyć w imię swoich uprzedzeń, szczególnie kiedy miałyby do czynienia z osobami, które znały, i szczególnie, kiedy miałyby wydać znajomego Żyda. Taki czyn wymagał motywacji oraz określonego zysku i łączył się z pewnym ryzykiem.

A co z uległym posterunkowym granatowej policji na dworcu w Warszawie? Czy to nie był przypadkiem palec boży albo wygrana zakładu „trzydzieści sześć do jednego” przy stole do ruletki? Rito, pomyśl. Jakie były szanse na to, że posterunkowy okaże się należeć do Armii Krajowej tak jak Bilek z Lembergu? Czterdzieści procent? Pięćdziesiąt? Więcej? Jakie były szanse na to, że jeśli nie był w Armii Krajowej trzy miesiące wcześniej, to teraz już jest? Niemcy przegrali bitwę stalingradzką dwa tygodnie wcześniej. Może sprzymierzeńcy w Polsce obracali się powoli przeciwko nim?

Dołóżmy do tego jej aryjski wygląd, dwa blond warkocze, nienaganny polski, świetną znajomość niemieckiego, kenkartę i świadectwo chrztu. Wszystko było po jej stronie. Jej szanse rosły każdego dnia.

„Tyle tylko, że stawka jest bardzo wysoka — powtarzała sobie Rita. — A moje oszacowanie szans może być niezbyt trafne. Łatwiej myśleć, że przetrwanie zależy od szczęśliwego trafu lub cudu, a potem próbować to wszystko zrozumieć”. Tak jakby oczywistym wyjaśnieniem uniknięcia tych wszystkich kul była wola boża, opatrność boska albo to, że jakimś cudem miała przeżyć.

Przemyślenie sobie wszystkiego na spokojnie sprawiło, że stała się bardziej świadoma. To dobrze. Uwolniło ją to od niewłaściwego przypisywania sobie zasług za własne przeżycie. Może nawet pozwoli jej pozbyć się ciężkiego brzemienia związanego z tym poczuciem winy. Rita zadawała sobie pytanie, czy aby nie była z powodu takiego myślenia nieczułym potworem? Czy zimne kalkulacje odzierały ją z człowieczeństwa, znieczulały żal po tych, których straciła — po rodzicach, teściach, nawet Ursie, prawdopodobnie Tadeuszu i z pewnością Stefanie? Wciąż potrafiła płakać, prawda? Wciąż wzruszało ją poczucie pustki, jaka powstała w jej życiu po utracie syna. Wciąż, mimo wszystkich dowodów i na przekór zdrowemu rozsądkowi, miała nadzieję, że Stefan jednak żyje. Stałaby dla niego na skraju przepaści, albo nawet w nią zeszła, gdyby miała szansę go odnaleźć. Z pewnością, pomimo całego racjonalizmu, do którego się zmusiła, ciągle była w pełni człowiekiem.

Dlaczego jeszcze żyła? Czy dzięki własnej inteligencji, zdolności przewidywania,

odpowiednim decyzjom? Jak pochopne jest takie myślenie? Lepiej zapytać, dlaczego myśli ciągle szukają historii i znaczenia? Dlaczego bez końca próbujemy nadawać rzeczom sens? Dlaczego nigdy nie satysfakcjonuje nas prawidłowa odpowiedź — „łut szczęścia”? Dlaczego zawsze szukamy powodu? I dlaczego podróże kolejną zawsze wywołują wewnętrzne monologi natury filozoficznej?



„Kraków jest miastem, które znam” — próbowała się uspokoić. Nie będzie musiała chodzić ulicami, udając, że dokąś zmierza. Chociaż z pewnością zaszło tam wiele zmian, odkąd wyjechała wiosną 1936 roku. Począwszy od tego, że Kraków był prawdopodobnie *judenrein*. Z około sześćdziesięciu tysięcy Żydów, którzy mieszkali tam przed wojną, zamykanie w getcie i *Aktionen* z pewnością pozostawiły najwyżej garstkę, za małą, żeby zorganizować jakikolwiek opór podobny do tego w Warszawie. Czy w mieście ciągle są ukrywający się Żydzi? A co z uniwersytetem? Czy ktokolwiek zdoła ją tam rozpoznać? Nie. Minęło zbyt dużo czasu, odkąd była studentką, każdego roku była spora rotacja, a liczba kobiet na prawie była na tyle duża, że Rita mogła pozostać względnie anonimowa. Zresztą w dużych salach wykładowych lub egzaminacyjnych nigdy nie pytano o nazwiska. Duch Rity Feuerstahl nie będzie prześladował Margarity Truszenko.

Wszyscy wiedzieli, że Kraków stał się stolicą okupacyjnej administracji niemieckiej w Polsce, a główna siedziba generalnego gubernatora mieściła się w zamku na Wawelu, niedaleko Rynku. Czy germanizacja miasta sprawi, że przeżycie pod fałszywym nazwiskiem będzie łatwiejsze czy trudniejsze? Wkrótce miała się o tym przekonać.

Wysiąść z pociągu, przejść peronem do budynku dworca, przejść przez bramkę biletową i kontrolę dokumentów, zostawić walizkę w przechowalni bagażu, kupić gazetę i znaleźć pokój. Jak w zegarku. I oto była na miejscu, na absurdalnie dużym placu przed równie ogromnym, trzypiętrowym, dziewiętnastowiecznym dworcem kolejowym, w dalszym ciągu pochyłającym się pod zawieszoną nad nim balustradą i wciąż mającym czerwono-żółty kolor włoskiego *palazzo*. Nic się nie zmienił... Przybyły tylko te wszystkie napisy frakturą.

Rynek, na którym Rita czaiła się w ukryciu tego wieczora, kiedy po raz pierwszy jadła kolację z Ursem, był pełen Niemców. Oficerowie ze skórzanymi teczkami pod pachami zatrzymywali się nawzajem i podnosili rękę w wiadomym geście, zamiast salutować. Ostentacyjnie otwierali te czki i wymieniali się świstkami papieru przebitkowego pod kontrasygnatę. Podoficerowie noszący naszywki oraz odznaczenia z frontu wschodniego pozowali przed katedrą albo na tle ratusza przed swoimi trzydziestopięciomilimetroowymi aparatami firm Leica i Retina. Starsi mężczyźni w szarych flanelowych spodniach i ciemnych krawatach przemykali z jednej strony Rynku na drugą, zazwyczaj niosąc te czki i starannie związane sterty papieru. Widok ten był normalny, cywilizowany — odległy od chaosu, w którym ci sami mężczyźni utopili obszar rozciągający się od Rygi aż po Ateny.

Rita szybko przeszła przez Rynek i odkryła, że jej stare nawyki prowadzą ją do Uniwersytetu Jagiellońskiego i sal wykładowych Wydziału Prawa. Wychodząc z zachodniej strony Rynku, w ciągu kilku minut znalazła się w prawie martwym punkcie wśród ulic, gdzie przed wojną gromadzili się młodzi ludzie. Kiedyś kawiarnie były zatłoczone, riksarze oferowali przejażdżki po mieście, a studenckie życie wylewało się z zaciekle ze sobą konkurujących sklepów. A teraz... nic. Przedziwna cisza przerywana od czasu do czasu dudniącymi krokami pieszych.

Na rogu ciągle stał kiosk, w którym studenci kupowali stalówki, atrament i papier



listowy. Jednak kiedy Rita tam podeszła, zauważyła, że nie prowadzono już sprzedaży. Otworzyła gazetę na stronie z ogłoszeniami i zaczęła szukać kwatery w pobliżu uniwersytetu. Widziała niemieckie tabliczki kierujące w przeciwnym kierunku do dzielnicy żydowskiej, za rzekę, do zatłoczonych kamienic, w których ona i wielu innych studentów mieszkało przed wojną. „Powinnam trzymać się jak najdalej od tego miejsca” — powtarzała sobie.

Z braku wynajmujących studentów w Krakowie był nadmiar wolnych pokoi. Rita obejrzała kilka. Niektóre wykluczyła, ponieważ nie podobały jej się ich nadgorliwe właścicielki, dyktujące zasady jeszcze przed pokazaniem pokoju: żadnego gotowania, żadnych panów i nade wszystko żadnych Żydów. Ten ostatni przykaz wyglądał jak ceremonialne oświadczenie, złożone, żeby zasygnalizować *bona fides* danego domostwa. Ale dwukrotnie stwierdzenie to zostało nieco rozwinięte. W pierwszym przypadku właścicielka ubolewała nad tym, że została oskarżona przez Gestapo o przetrzymywanie robactwa.

— Skąd miałam wiedzieć? Byli bardzo spokojni, porządni, płacili z góry. — Po czym odpowiedziała sobie sama: — Powinnam domyślić się, kiedy tak szybko płacili i nie mieli żadnych zaległości.

W drugim przypadku właścicielka nawiązała do swoich przedwojennych doświadczeń ze studentami:

— Socjaliści, komuniści, spotkania polityczne, zabawy do późnych godzin, plakaty na ścianach. Bogaci Żydzi, bez lojalności wobec rządu, kościoła, kogokolwiek.

Niektóre pokoje były z braku lokatorów zakurzone. Rita mogła pozwolić sobie na wybrzydzenie. Po obejrzeniu sześciu, wróciła do trzeciego z kolei, położonego najbliżej Wydziału Prawa lokalu na ulicy Wenecja, głównie dlatego, że nawiązała dobry kontakt z właścicielką. Kobieta w średnim wieku zadała jej kilka pytań, ale stwierdziła, że tęskni za tryskającymi energią studentami, ich wyjściami i powrotami, entuzjazmem młodych ludzi, ich romansami, a nawet odgłosami ich kłótni.

— Wróciła pani. — Przywitała ją pani Wilkowa za drugim razem.

— Tak. Wezmę pokój, jeśli nadal jest dostępny.

— Od pani wizyty, godzinę temu, nikt się nie pojawił, moja droga. Raczej nikt się już nie pojawi, chyba że otworzą uniwersytet, ale na to są marne szanse.

Rita nie chciała, żeby uniwersytet stał się tematem rozmowy. Była zwykłą dziewczyną ze wschodu, która straciła rodzinę w wyniku rosyjskiej okupacji i uciekła na zachód. Władze niemieckie twierdziły, że była także *Volksdeutsche Mädchen*, ale nie chciała wyróżniać się wśród Polaków.

— Pani Wilkowa, czy może mi pani powiedzieć, gdzie jest urząd pracy?

— Na Rynku, zaraz obok siedziby granatowej *Polizei*. Nie zapomnisz się zarejestrować, prawda, moja droga?

Miała ochotę odpowiedzieć „*Sofort*” i stuknąć obcasami. Ale zamiast tego lekko kiwnęła głową.

— Zrobię to po odebraniu bagażu z dworca.

Właścicielka wręczyła jej klucz do drzwi wejściowych.

Droga powrotna Rity prowadziła znów obok Wydziału. Zatrzymała się przed budynkiem, w którym poznała zimą 1935 roku Ursę. Rozejrzała się w obie strony ulicy i nie zobaczyła nikogo. Widziała tylko surowe platany i chwasty wyrastające spomiędzy niegdyś zadbanych płyt chodnikowych. Nawet kawiarnia, w której spotkali się z Ursem po raz pierwszy, teraz wyglądała na opustoszałą. Mimo wszystko pokonała trzy schodki, które prowadziły na wydział, i otworzyła duże drzwi. Zatrzasnęły się za nią z głośnym hukiem. Chwilę później zobaczyła światło za drzwiami z matową szybą, pod marmurową klatką schodową. Wyszedł przez nie starszy,

znajomo wyglądający, niski mężczyzna z kilkuniedniowym zarostem i siwą czupryną. Tak, to był ten sam staruszek, którego widywała jako studentka. Był swego rodzaju dziwakiem i głośnym patriotą, a raczej zabawką w rękach nacjonalistycznych prześladowców z Ligi Zielonej Wstążki, słynących ze swoich prześladowań żydowskich studentów. Czy po trzech latach nazistowskiej okupacji wciąż podzielał ich entuzjazm?

Podeszła do niego.

— Studiowałam tutaj kiedyś. Gdzie są wszyscy?

— Cóż, proszę pani. — Dotknął białego zarostu i zamyślił się na chwilę. — Niemcy wywieźli wszystkich profesorów i zamknęli Wydział. Nic pani nie wiedziała? — Z jego tonu jasno wynikało, że nie miał pojęcia dlaczego. — Prawie żaden z nich nie wrócił... Niemcy zabrali nawet ich rodziny. — Wyjął brudną chustkę z kombinezону. — Arcybiskup uratował jednego albo dwóch. Mówią, że reszta została rozstrzelana. Widziałem kiedyś tych dwóch, którzy wrócili, ale byli za starzy, żeby wykładać. Poza tym, co mogliby zdziałać dwaj wykładowcy? Nie było już studentów.

Ricie zrobiło się żal starego antysemitę. Czy możliwe, żeby należał do Armii Krajowej? Miała ochotę zapytać, ale bała się to zrobić.

— Dlaczego *pan* wciąż tu jest? Do czego służy teraz ten budynek?

— Dostaję wypłatę co tydzień, więc przychodzę. Nawet bez ogrzewania jest tutaj odrobinę cieplej niż w domu, no i jest też prąd. Poza tym Niemcy skorzystali raz czy dwa z sali wykładowej. Widziałem nawet ich przywódcę, gauleitera Franka, który przyszedł przemówić przed mnóstwem mężczyzn w czerni. Mówił wyłącznie po niemiecku, więc nic nie zrozumiałem...

Spróbowała delikatnie przeprowadzić małe dochodzenie.

— Widział pan tutaj kiedyś jakichś Polaków — byłych studentów, ludzi związanych z uczelnią?

— Nie, nikogo. Pani jest pierwszą osobą, która przyszła od bardzo długiego czasu... to znaczy, nie licząc Niemców. Powiedziała pani, że studiowała tutaj przed wojną, pani...? — Patrzył na nią, bezskutecznie próbując ją sobie skojarzyć. Rita milczała. — Zimno w tym korytarzu... — Odwrócił się i bez słowa pożegnania wrócił do swojej klitki pod schodami, zamknął drzwi i zgasił światło.



Urzędnik z biura ewidencji granatowej *Polizei* uważnie przestudiował dokumenty Rity. Najwidoczniej był zaznajomiony ze sztuką ich podrabiania i pałał do niej niechęcią, będąc tak blisko głównej siedziby niemieckiej.

— W porządku — powiedział bardziej do siebie niż do niej, po czym dopisał do listy jej nazwisko i dane razem z miejscowym adresem zamieszkania, a następnie kontrasygnował drugie z czterech miejsc na kenkarcie. Bez ponownego sprawdzania oddał jej dokumenty.

Chwilę później Rita przeglądała już ogłoszenia wiszące na ścianie urzędu pracy. Zauważyła, że kilka z nich wymagało znajomości niemieckiego, były nieco lepiej płatne i miały wymagania rasowe: „Tylko volksdeutsche”. Te sobie zanotowała, podała nazwisko i czekała na swoją kolej na ławce w poczekalni. Tego ranka było tam tylko kilku innych kandydatów. Dlaczego? Czy bezrobotni wiedzieli o czymś, o czym ona nie miała pojęcia?

Kiedy wywołano ją po nazwisku po raz drugi, „Truszenko”, zerwała się z miejsca. Na chwilę zapomniała swojego fałszywego nazwiska. Był to błąd, który nie powinien mieć miejsca. Wstała i podeszła do biurka.

— Tak... — stwierdziła kobieta patrząca na jej formularz. Po czym zaczęła mówić po niemiecku: — Aplikuje pani na stanowisko gospośi? To praca w Inspektoracie Podatkowym. Pani kwalifikacje?

— Pracowałam w szpitalu oraz hotelu — kłamała Rita płynnym niemieckim.

— Potrafi pani gotować dla Niemców? Nie jedzą świńskich nóżek, flaków ani kaszy.

— Mogę przyrządzić wyśmienity strudel.

„Dzięki bogu za panią Kamińską” — pomyślała.

— A prasowanie i krochmalenie? Ile koszul na godzinę może pani zrobić?

Rita nigdy nie prasowała męskiej koszuli, nie miała bladego pojęcia.

— Piętnaście.

— Nie! Naprawdę? Sama panią zatrudnię! — Najwyraźniej trochę przesadziła. Urzędniczka wydawała się traktować jej odpowiedź jako wybaczone wyolbrzymienie: — W porządku. — Wręczyła jej adres. — Będą się pani spodziewać jutro rano. Na okres próbny.

Kobieta patrzyła na nią niemal przyjaźnie.



Tego wieczora zapytała panią Wilkową, tak zwyczajnie, jak tylko mogła, ile koszul jest w stanie wykrochmalić i wyprasować dobra praczka w ciągu godziny.

— Jeśli jest szybka, to może nawet sześć — brzmiała odpowiedź.

## Rozdział 24

Inspektorat Podatkowy Rzeszy znajdował się na północ od Rynku, na ulicy św. Jana, w nowym dwupiętrowym budynku naprzeciwko kościoła. Weszła po schodach na pierwsze piętro i zapukała do drzwi. Otworzył je niski mężczyzna, który spoglądał na nią znad bezoprawkowych okularów do czytania. Miał siwe, zaczesane na prawą stronę włosy. Skóra jego twarzy wskazywała na brak kontaktu ze słońcem, ale widać było na niej co najmniej dwa zacięcia od maszynki do golenia. Przez jego czoło przebiegały cztery proste zmarszczki i nie miał zarysowanego podbródka. Rozpięta szara kamizelka idealnie podkreślała jego szare oczy.

Na mankietach jego koszuli widać było plamy z atramentu. Najwyraźniej dopiero co oderwał się od ksiąg rachunkowych. Kiedy zobaczył Ritę, odezwał się po niemiecku:

— W końcu jesteś, *Fräulein*.

— Miałam zgłosić się dziś rano, *mein Herr*. Jestem spóźniona? — Rita spojrzała na zegarek. Była punkt dziewiąta.

Będąc pod wrażeniem jej punktualności i znajomości niemieckiego, odpowiedział:

— Nie, nie, młoda damo. Po prostu byłem w pilnej potrzebie, odkąd straciliśmy ostatnią gosposię. Nazywam się Lempke, a pani jest...?

— *Fräulein* Truszenko.

Wręczyła mu swoje dokumenty oraz przydział do pracy, który dostała w urzędzie. Zdecydowała, że nie będzie pytać o ostatnią gosposię. Odsunął dokumenty na bok.

— Dokumenty są w porządku. Jak szybko może pani zacząć?

Za nim było widać otwarte drzwi prowadzące do zaniedbanej kuchni.

— Choćby zaraz, proszę pana.

— Bardzo dobrze. Proszę zacząć od kuchni. Omówimy szczegóły pracy, jeśli znajdę po południu wolną chwilę.

Zszedł na dół korytarzem prowadzącym do co najmniej sześciu różnych pomieszczeń. Na końcu korytarza Rita zobaczyła wielkie biuro i siedzącą tam sekretarkę, pracującą na bardzo dużej maszynie do pisania z długim wałkiem, najwidoczniej niezbędnym do wypełniania rubryk i głównych ksiąg rachunkowych.

Zaraz przy wejściu znajdowała się wielka jadalnia, w której meble były znacznie większe i ciemniejsze od tych w jadalni w Karpatyniu, które już ledwo pamiętała.

Rita zdjęła płaszcz, ciesząc się ciepłem płynącym z grzejników pod oknami, i zajęła się stosem naczyń. Kiedy skończyła, rozejrzała się uważnie po kuchni. Była dobrze zaopatrzona, a w spiżarni jej uwagę zwrócił duży, czysty obrus. Miała wrażenie, że przeniosła się w czasie do świata, o którym myślała, że przestał już istnieć.

W południe *Herr* Lempke wszedł do wysprzątananej kuchni i odetchnął z ulgą. Poprosił Ritę do siebie, usiadł na krzesłach i wyjaśnił, co będzie należało do jej obowiązków. Wydawał się niepewny, lub nawet nieco nieśmiały. Wyglądało to prawie tak, jakby nie chciał jej wystraszyć nowymi obowiązkami.

Miała za zadanie dbać o czystość w biurach i zajmować się budynkiem, w tym także prac i gotować dla pracowników. Zazwyczaj w budynku przebywało jednocześnie dwóch lub trzech inspektorów podatkowych z Rzeszy. Natomiast jego żona i sześcioro dzieci zostali w Mannheim. Rita miała dostawać zadatek na zakupy spożywcze i tyle pieniędzy, ile było jej potrzebne, żeby wyżywić pana Lempkego i jego współpracowników. Odwiedzający przywozili z Niemiec niewielkie ilości pewnych towarów — przysmaki oraz wino i inne trunki. Dla służby

przeznaczono dwa pokoje. Mogła wybrać, który chciała, a jej pensja miała wynosić trzysta złotych miesięcznie lub ich równowartość w reichsmarkach. Miała także zagwarantowane dwa wolne wieczory tygodniowo — w środę i niedzielę. Czy takie warunki odpowiadały *Fräulein*...?

Rita po raz kolejny powiedziała na głos swoje nowe nazwisko:

— Truszenko... I tak, są one całkiem zadowalające. — Nigdy nie podejrzewała, że będzie jej odpowiadała taka domowa atmosfera, ale skoro mogła mieć ją teraz tylko dla siebie, to zamierzała się jej kurczowo trzymać.

— *Herr* Lempke, wynajmuję pokój w mieście. Mogę tam zostać czy muszę przeprowadzić się tutaj?

— *Fräulein* Truszenko, może pani spać, gdzie jej się żywnie podoba, o ile będzie pani tutaj codziennie rano przed śniadaniem.

Ostatecznie jednak postanowiła się wprowadzić — ciepło i wyżywienie wynagrodziły jej brak prywatności — ale dalej wynajmowała pokój u pani Wilkowej i przez kilka następnych tygodni od czasu do czasu się tam pojawiała. Jak się miało okazać, po raz kolejny jej się poszczęściło.

— Proszę przygotować na dziewiętnastą obiad dla trzech osób.

Wstał i miał zamiar wyjść.

— Wliczając w to pańską sekretarkę? — Rita spojrzała przez jego ramię na koniec korytarza.

— *Fräulein* Halle? Nie. Ona tu nie mieszka.



Ciekawe, czy targ wciąż znajdował się tam, gdzie przed wojną. Czy po czterech zimach niemieckiej okupacji było jeszcze czym handlować? Czy o tej porze dnia można było jeszcze spotkać rozłożone stragany? Co mogła znaleźć w spiżarni? Jeśli miała zachować tę posesję, pierwszy posiłek musiał być bez zarzutu. Najlepiej będzie, jeśli zasięgnie porady u właścicielki pokoju. Zabrawszy ze spiżarni zapas puszkowanej szynki, buszel ziemniaków i zeschniętą cebulę, Rita pomaszzerowała na ulicę Wenecja, mijając po drodze Wydział Prawa.

— Targ ciągle jest na swoim miejscu, na Biskupiej, Niemcy nie zdołali jeszcze wszystkiego rozkraść. — Czy to była polityczna aluzja? Rita opowiedziała o swojej nowej pracy i wyraziła chęć dalszego wynajmu.



Żywność, jaką udało jej się tego wieczora zgromadzić, byłaby w stanie wyżywić dużą rodzinę w getcie przez jakieś trzy tygodnie. Suszone jabłka, rodzynki i orzechy z targu oraz znalezione w zimnej spiżarni masło wystarczyły Ricie na upieczenie strudla, dużo bardziej okazałego niż ten, który była w stanie przyrządzić pani Kamińska. Tego wieczoru, kiedy trzech niemieckich urzędników wstało po obiedzie z krzeseł i zaprosiło ją do stołu, była już pewna, że zostanie zatrudniona.

— *Fräulein* Truszenko, gdzie nauczyła się pani tak dobrze gotować?

Lempke poczęstował ją papierosem. Rita postanowiła odmówić. Nie mogła pozwolić sobie nawet na odrobinę odprężenia w obliczu rozmowy z przedstawicielami uprzywilejowanej burżuazji.

— Ojciec prowadził hotel na wschodzie kraju, a matka nauczyła się gotować od swojej niemieckiej babci, która pozostawiła jej w spadku książkę kucharską z daniami kuchni śląskiej. A potem ja nauczyłam się tego od niej.

Rita postanowiła nie rozwijać tematu. Z tego, co się orientowała, istniało ryzyko, że jeden z nich może pochodzić ze Śląska.

— A co się stało z pani rodzicami?

— Zostali uznani za kapitalistów i wywiezieni na Syberię przez Rosjan, proszę pana. Więcej się do mnie nie odezwali. Matka była schorowana. Nie sądzę, żeby po tym jeszcze długo żyła.

— To wiedeński strudel, moja droga. Gdzie nauczyłaś się tak dobrze go przyrządzać?

— Lata praktyki, proszę pana.



Tego wieczoru, kiedy uporała się ze sprzątaniami, wzięła papier listowy oraz kopertę, usiadła przy stole w kuchni i zaczęła pisać list:

*Droga Lidio,*

*Z koperty dowiesz się, że jestem obecnie zatrudniona w Inspektoracie Podatkowym Rzeszy Niemieckiej.*

Nagle dotarło do niej, że nawet korespondencja wychodząca z biur Rzeszy może być cenzurowana, szczególnie kiedy wysyłano ją na wschód. Postanowiła, że pisząc list, będzie dużo bardziej ostrożna, niż początkowo planowała. Zaczęła jeszcze raz.

*Dobrze mnie tu traktują i cieszę się, że my, volksdeutsche, jesteśmy tak ciepło witani w Rzeszy. Po ciekawej podróży ze Lwowa i kilku tygodniach spędzonych w Warszawie ostatecznie zamieszkałam w Krakowie. Piszę, żeby zapytać, czy otrzymałaś jakieś wieści od kuzyna Ericha, który wyjechał, żeby dołączyć do sił zbrojnych walczących na wschodzie. Będę wdzięczna za informację o nim oraz adres, pod który mogłabym wysłać mu ciepłe skarpety i ubrania, które robię na drutach dla naszych dzielnych chłopców.*

*Możesz odpisać na adres znajdujący się na górze tego listu.*

*Z serdecznymi pozdrowieniami*

*Margarita Truszenko*

Czytając list po raz kolejny, „Lwów” zamieniła na „Lemberg”, zakleiła kopertę, nalepiła znaleziony w jednym z biur znaczek z podobizną ubranego w pruski błękit Hitlera i włożyła list do skrzynki nadawczej. Rano *Fräulein* Halle zaniesie go razem z resztą korespondencji do urzędu pocztowego.

List pozostał bez odpowiedzi. Ale jej brak mówił znacznie więcej niż jakakolwiek wiadomość na temat Ericha, którą mogłaby dostać.



Następnego ranka Rita zaprosiła *Fräulein* Halle do kuchni na filiżankę kawy zbożowej. W Polsce nikt już nie pijał prawdziwej kawy. Kobieta była towarzyską Niemką i chętnie z nią rozmawiała, przynajmniej na temat ich pracodawcy. Była wyższa od Rity, szczupła, ale nie z powodu niedożywienia, i posiadała typowe cechy aryjskiej kobiety — wysoko uniesione kości policzkowe oraz ciemno niebieskie oczy, nieodłączne blond włosy i hollywoodzką trwałą w wersji niczym z filmowego studia Babelsberg. Nie miała na sobie biżuterii i była ubrana w białą bluzkę oraz nieprzystającą damie parę spodni.

Rita przerwała milczenie jako pierwsza:

— Jaki naprawdę jest *Herr* Lempke?

— Jest urzędnikiem. Zwykłym *Muss-Nazi*.

— Skąd wiesz?

Ulżyło jej, ale wolała mieć pewność, że nie był prawdziwym fanatykiem.

— Bardzo rzadko wykonują tutaj gest „*Heil Hitler*”. Podśledzałam ich nawet kiedyś, jak żartowali z niedouczonej, chciwych i niechlujnych gauleiterów, którzy przejeżdżali przez Kraków. A teraz wszyscy bardzo się boją. Uważają, że Niemcy nie mają szans utrzymać zdobytych w Rosji terenów. Cały czas powtarzają, że jedyne, co można teraz zrobić, to znaleźć sojuszników wśród Rosjan, spróbować zawrzeć rozejm na zachodzie i trzymać się kurczowo Ukrainy, na wzór tego, co robili przez kilka lat po Wielkiej Wojnie.

— Przecież mówienie takich rzeczy grozi rozstrzelaniem!

Rita poczuła ulgę, ale nie mogła się nadziwić. Byli gorzej nastawieni do niemieckiej wojny niż ona sama!

— Właśnie dlatego nikt obcy nie może dowiedzieć się o tych rozmowach. Ale póki zachowują to dla siebie...

— A ty? *Muss-Nazi*?

— Nie. Jestem z Berlina. Tam nigdy nie mieliśmy na to czasu. Jestem zwykłą Niemką, która trafiła do złego biura administracji państwowej. Dobrze tu płacą. RAF i siły amerykańskie nie nękają nas tak daleko na wschodzie. A Lempke jest nieszkodliwy, więc planuję zostać tutaj przez jakiś czas.

— Proszę, poczęstuj się ostatnim kawałkiem strudla. — Uśmiechnęła się Rita, czując, że w końcu znalazła sojuszniczkę, a może nawet i przyjaciółkę.



W ciągu dwóch tygodni Rita wpadła w rutynę, która pozwalała jej spać w nocy, przybrać na wadze, słuchać koncertów radiowych z Berlina i spotykać się kilka razy w tygodniu z panią Wilkową. Nie chciała przenosić swoich dwóch książek Darwina na ulicę św. Jana. Nie były synonimem działalności wywrotowej, ale nie współgrały z jej fałszywym wizerunkiem. Co córka właściciela hotelu z Kresów Wschodnich miałaby robić z książkami Darwina? Dlatego trzymała je w walizce pod łóżkiem w pokoju, który nadal wynajmowała. Do tej pory zdążyła przeczytać je już tyle razy, że miały dla niej głównie wartość sentymentalną. Prawie zaśmiała się na głos, kiedy ta myśl przemknęła jej przez głowę.

Pewnego poranka, po trzech tygodniach pracy w Inspektoracie, kiedy Rita wracała z targu, zastała na schodach przy głównym wejściu od ulicy postać o ciemnej twarzy, z chustką na głowie. Kobieta miała brudne, postrzępione ubranie i śmierdziała. Promienie słoneczne oświetlały jej twarz i Rita najpierw zorientowała się, że była to osoba z Karpatynia, po chwili dotarło do niej, że zna ją z odzieżowej fabryki Terakowskiego i w końcu przyszło olśnienie. To

była Dani, dziewczyna, której recytacji *Pana Tadeusza* słuchała miesiącami. To była wyniszczona Dani o wystraszonej twarzy, jeszcze chudsza niż wtedy, kiedy Rita widziała ją po raz ostatni w dniu swojej ucieczki, wychodzącą z fabryki do getta. Rita przypominała sobie elektryzujący dreszcz, który przeszył jej ciało, kiedy czytająca przy stole warsztatowym Dani dotknęła ją tego pierwszego dnia.

Dani zauważyła, że Rita ją rozpoznała, ale nic nie mówiła. Milczała tak długo, że Rita zaczęła się już bać, że została niemową. Czy ktoś wyrwał jej język? A może straciła słuch od uderzenia w głowę?

Tak czy inaczej, nie miały czasu na rozmowy. Rita zaczęła wchodzić po schodach, ciągnąc Dani za sobą.

— Chodź ze mną, szybko. — Zaprowadziła ją przez jadalnię do przedpokoju, prosto do jednego z nieużywanych pokoi dla służby. — Zostań tutaj. I siedź cicho. Wróć z jedzeniem tak szybko, jak tylko będę mogła. Muszę zająć się przygotowaniem południowego posiłku.

Rita wskazała na korytarz. Zatrzasnęła za sobą drzwi i próbowała odzyskać panowanie nad sobą.

Wykonując swoje obowiązki, Rita zaczęła się zastanawiać, jak poradzić sobie z nieproszonym gościem. Zaburzało to rutynę, którą Rita tak pieczołowicie sobie wypracowała. I ponownie narażało ją na niebezpieczeństwo, przed którym udało jej się uciec. Najgorszym obrotem spraw byłoby zobaczenie jej w towarzystwie osoby o żydowskim wyglądem, bez dokumentów i środków do życia, która mogłaby zacząć używać jidysz, podczas gdy ona próbowała mówić po niemiecku. Ale wszystkie te zagrożenia były niczym wobec tego, że tą osobą była Dani. I nie chodziło tylko o to, że nagle Rita miała kogoś, z kim mogła porozmawiać o tym, czego doświadczyła, ani o to, że ktoś potrzebował jej pomocy. Oto pojawiła się Dani, za którą Rita, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, tęskniła. Dani, której recytacje ukoili jej cierpienie w zakładzie w Karpaczu.

Godzinę później Rita wróciła do małego pokoju z kubkiem słodkiej herbaty, grzankami i odrobiną dżemu truskawkowego. Dani była pogrążona we śnie i niechętnie ją budziła. Ale kolejna taka okazja do dłuższej rozmowy mogła się już nie przytrafić.

— To ty, to ty! Ze wszystkich ludzi właśnie ty! — powtarzała, budząc Dani ze snu i przytulając się do niej. Została nagrodzona uśmiechem. Ale tak naprawdę chciała powiedzieć jej coś zupełnie innego. Coś bardziej zbliżonego do: „Co u diabła tutaj robisz? Dlaczego mnie narażasz? Kto kazał ci mnie znaleźć?”. Ale te wszystkie pytania, podsuwane jej przez instynkt przeżycia, zostały stłamszone przez rozpierającą ją radość.

— Mów szybko, jak mnie znalazłaś, jak się tutaj dostałaś, co stało się w Karpaczu?

Dani się wyprostowała.

— No więc... Uciekłaś pod koniec października. Tydzień później zaczęli robić ostateczne czystki w gettach. — Rita przez chwilę myślała, że Dani wybuchnie płaczem, ale ona zachowała spokój. — Zaraz po tym, jak zagonili wszystkich starych, schorowanych oraz dzieci do wagonów bydłowych, spalili drugie getto. W związku z tym kilkuset pracowników, z nowymi pozwoleniami na pracę, było zmuszonych zamieszkać w dużym getcie. — Przerwała na chwilę, zbierając myśli. Po czym kontynuowała opowieść.

Do końca tygodnia Karpaczu miał wreszcie stać się *judenrein*. Ostatni wracający do getta robotnicy mieli zostać zatrzymani przy bramie i przewiezieni do Bełżca. Dzień wcześniej rano podsłuchiwała jak dwóch *Jupo* plotkuje za latrynami o tym, co usłyszeli od wiedeńskiej *Schutzpolizei*. Tego wieczora, kiedy robotnicy opuszczali fabrykę, Dani poczekała, aż wszyscy wyjdą, i ukryła się u góry, na jednej z belek, wśród nietoperzy i wróbli, których gniazda było widać, kiedy zapalano światła. Następnego dnia to, co mówili *Jupo*, potwierdziło się: nikt nie



przyszedł do pracy, hala fabryczna była pusta. Dani siedziała w kryjówce na krokwi tak długo, jak tylko mogła. Następnie zeszła na dół i biegnąc do wychodka, zobaczyła, że wszystko jest opuszczone — dziedziniec, hale, strefa załadunku i warsztat mechaniczny. Nie było już nikogo, nawet Polaków. Postanowiła, że spróbuje ukrywać się w fabryce do czasu, aż ponownie ją otworzą. Wtedy wyjdzie z kryjówki i opuści ją z pierwszą zmianą nowych robotników.

W ciągu najbliższych kilku dni między stołami warsztatowymi, na stołówce, w magazynie oraz w biurze Dani udało się znaleźć kilka dobrze ukrytych skórek od chleba i wyschniętą resztkę salami. Nie zdołało to zatrzymać na zbyt długo skurczów żołądka, ale wystarczyło jej, żeby przeżyć. Po pięciu długich dniach nie było już żadnych resztek, a Dani była wzdęta od wody z kranu, którą próbowała oszukać żołądek.

Piątego dnia rano obserwowała z góry, jak właścicielka, Lidia Terakowska, oprowadza po zakładzie jakiegoś mężczyznę, pokazując mu maszyny do szycia, stoły montażowe, żelazka, paski nad stołami oraz pozostały sprzęt. Dani zauważyła, że Lidia zorientowała się nagle, że nic nie wyglądało tak, jak to zostawiono — szafki, szuflady i drzwi były pootwierane. Ale nie powiedziała o niczym mężczyźnie, z którym rozmawiała po niemiecku.

Kiedy mężczyzna wyszedł, Lidia wróciła do fabryki.

— Kto tam jest? Kto się tu ukrywa? Wychodź. Nie odeślę cię i nie zrobię ci żadnej krzywdy. — Dani zeszła z krokwi przy dachu i stanęła przed nią. — Od jak dawna tutaj jesteś?

Lidia nie wyglądała przyjaźnie.

— Od ostatniego dnia pracy. Ile minęło od tamtej pory? Straciłam rachubę — przyznała Dani.

— Pięć dni. Chodź ze mną. — Lidia poprowadziła ją przez dziedziniec i wyprowadziła przez bramę prosto do swojego domu. Gdy znalazły się w kuchni, przygotowała jedzenie i czekała, aż Dani się posili. — Posłuchaj, ostatnie getto zostało zniszczone. W Karpacynie nie ma już Żydów, chyba że udało im się ukryć tak jak tobie. Musisz uciekać. — A po chwili dodała, jakby bardziej do siebie niż do niej: — Ale jesteś zbyt widoczna.

— Dlaczego fabryka jest zamknięta? — zapytała Dani.

— Nie może działać bez robotników z getta. A ten Niemiec próbuje mnie zmusić do jej sprzedania. Jego propozycja jest nie do przyjęcia. I pomyśleć, że to żydowskie interesy zwykli okradać. — Lidia przerwała, zorientowawszy się, że powiedziała za dużo.

W Niemczech przed wojną średnia wartość żydowskiej fabryki była równa jednej piątej jej wartości rynkowej, a sprzedaż była finansowana z nieoprocentowanej pożyczki od właściciela. Ta transakcja musiała być równie niekorzystna.

Lidia mieszkała teraz sama. Jej matka wróciła na zimę do Warszawy. Jedyne zmartwienie związane z ukrywaniem Dani wynikało z tego, że niemieccy oficerowie, którzy kradli płaszcze, zwykli byli składać jej wcześniej kurtuazyjne wizyty. Potencjalny nabywca, reprezentujący jeden z wielkich zakładów włókienniczych w Zagłębiu Ruhry, przyjechał tylko raz, na umówione wcześniej spotkanie. Dlatego Lidia była w stanie zapewnić Dani schronienie przez grudzień i pozostałą część zimy.

Rzecz, której nie mogła już dla niej zrobić, było załatwienie dokumentów. Miejscowy ksiądz nie chciał już współpracować, tłumacząc się naciskiem ze strony biskupa. A fałszerze opuścili okolicę. Odkąd zlikwidowano getto, interes nie przynosił im zysku. A poszukiwania nowych fałszerzy z pewnością sprowadziłyby do Lidii Gestapo.

Do końca stycznia sprzedaż, jakkolwiek ona nie była, została przerwana i ustalono datę przekazania fabryki Niemcom. Szynobusy miały wjechać na bocznice kolejową fabryki i wszystko, co się w niej znajdowało, miało zostać zabrane przez inżynierów Wehrmachtu, których specjalnie na tę okazję i na korzystnych warunkach wynajął miejscowy *Befehlshaber*.

Zaraz potem Lidia otrzymała list z Inspektoratu Podatkowego Rzeszy z Krakowa. Otwierając go, cała się trzęsła. Czy będzie musiała przejść kontrolę nazistów, którzy odbiorą jej fabrykę? Na widok listu od Rity poczuła ulgę, a w jej głowie zrodził się plan. Kiedy tylko maszyny zostaną załadowane na wagony towarowe, Dani będzie mogła schować się w jednej ze skrzyń. A w Lembergu, kiedy pociąg zwolni, przy odrobinie szczęścia uda jej się wymknąć. W większym mieście może jeszcze mieć szansę na przeżycie. Jednak nie było już czasu ani pieniędzy, żeby zdobyć dla niej jakieś dokumenty. Jedyne, co Lidia mogła zrobić, to dać jej krakowski adres Rity.

Kilka dni później, w godzinach popołudniowych, trochę podkarmiona i umyta na tyle, na ile pozwalały Lidii warunki, Dani wyskoczyła z wagonu towarowego, który zwałniał przed znajdującą się zaraz za stacją główną zwrotnicą w Lembergu. Szła między szeregami krytych wagonów towarowych oraz pasażerskich do czasu, aż znalazła się na drodze prowadzącej wzdłuż torów. Wkrótce droga zamieniła się w ulicę. I wtedy skończyła się jej dobra passa. Tak jej się przynajmniej wydawało. Kiedy szła ulicą, dogonił ją granatowy policjant. Chwycił ją za ramię i obrócił w swoją stronę.

— Dokumenty.

Spojrzała przerażona i powiedziała:

— Nie mam. Pochodzę z małej wsi. Nigdy nie potrzebowaliśmy żadnych dokumentów. Nie wiedziałam, że powinnam je mieć.

— Wybacz, siostrze. Jesteś najbardziej żydowsko wyglądającą dziewczyną, jaką w życiu widziałem. Pójdiesz ze mną.

Pomimo protestów Dani policjant prowadził ją do centrum miasta. Dani próbowała recytować po kolei wszystko, co była w stanie przypomnieć sobie z katechizmu, począwszy od oczywistego *Zdrowaś Maryjo*. Następnie zaczęła używać wobec niego polskich przekleństw, które od kobiety mógł usłyszeć jedynie policjant. Nic nie przynosiło efektu i wbrew sobie Dani zaczęła płakać. Po dziesięciu minutach znaleźli się na rogu ulicy i czekali aż minie ich koń z furmanką. Granatowy policjant spojrzał na kawiarnię za sobą, odwrócił się do Dani i powiedział:

— Zaczekaj tutaj. Ja idę na piwo.

Co powinna zrobić? Uciec? Czeakać? Wejść za nim do środka i zażądać czegoś do picia? Co zrobiłaby nieokrzesana wieśniaczka? Coś oczywistego: nie ruszałaby się z miejsca, w którym ją zostawiono. Tak też postąpiła Dani. Po dłużącym się w nieskończoność kwadransie policjant wyszedł.

— Jeszcze tu jesteś? Zatem możesz iść, moja droga. Żadna mała Żydówka nie byłaby na tyle głupia, żeby czekać. — Spojrzał na swój zegarek kieszonkowy. — Poza tym skończyłem już służbę — powiedział i odszedł.

W tej samej chwili z kawiarni wyszedł drugi mężczyzna.

— Chodź ze mną, moja droga, może będę mógł ci pomóc. — Zabrał ją na ten sam komisariat, do którego prowadził ją granatowy policjant, posadził przy biurku i zapytał, jak się nazywa. Chwilę myślał nad tym, co powiedziała:

— Daniela Cohen. To się nie uda. — Włożył kartkę do stojącej przed nim maszyny do pisania. — To nie załatwi sprawy, ale może zadziała coś w razie aresztowania. — Zamyślił się przez chwilę. — Zobaczmy. Nie nazywasz się już „Cohen”. Podoba ci się „Nowicka”?

Dani kiwnęła głową. Wyjął kartkę z maszyny i ją podpisał. Potem zabrał ją na dworzec i kupił jej bilet do Krakowa.

— I oto jestem.

— Mogę zobaczyć list, który dostałaś we Lwowie?

— Mam go tutaj.

Sięgnęła na przód swojej sukienki i wyjęła go, po czym ostrożnie rozłożyła.  
*Komenda Główna*

*Policja Miejska*

*Lemberg*

*Ten dokument potwierdza, że Daniela Nowicka stawiała się przede mną i wypełniła wniosek o kradzieży dokumentów. Wyrobienie nowych będzie trudne, jako że biuro ewidencji w Stanisławowie spłonęło.*

*Podpisano:*

*Mikołaj Bilek*

*Inspektor Policji*

Pod literą „l” w słowie „Bilek” znajdowała się mała niebieska kropka.

## Rozdział 25

Tak więc Dani Cohen nazywała się teraz Nowicka. To była kolejna rzecz do zapamiętania. Tego popołudnia Rita niespostrzeżenie zabrała Dani z biura Inspektoratu prosto do pokoju u pani Wilkowej. Ale po tygodniu właścicielce zaczęła przeszkadzać jej obecność. Dani nie zgłosiła się na policję i nawet dla niewprawnego oka pani Wilkowej wyglądała podejrzenie żydowsko. Każdego dnia przez około tydzień stwierdzała, że jej cierpliwość się skończyła i każdego wieczoru pozwalała uprosić się o jeszcze jedną noc. Rita musiała w końcu coś z tym zrobić.



— *Herr Lempke*, mam tyle pracy. Tak dużo gości przyjeżdża do nas z Niemiec. Obawiam się, że nie jestem w stanie zajmować się jednocześnie domem i sprzątaniami biur. Czy mogłabym przyprorowadzić jakąś miejscową kobietę do pomocy?

— Świetny pomysł, *Fräulein Truszenko*. — *Lempke* zawołał sekretarkę. — Halle, proszę zadzwonić do urzędu pracy i dać ogłoszenie na stanowisko pomocy domowej, narodowości polskiej. Nie musimy płacić za kogoś mówiącego po niemiecku. *Fräulein Truszenko* sobie z nią poradzi.

— W porządku.

Tego ranka Rita wróciła z targu. Zajrzała przez drzwi biura i powiedziała do Halle:

— Wydaje mi się, że znalazłam na targu dziewczynę dla nas. Jest trochę nieokrzesana, ale doświadczona, zdrowa i wygląda na uczciwą. Oszczędziłoby nam to trudu szukania w urzędzie pracy. Powiedziałam jej, żeby przyszła w porze podwieczorku.

Halle przytaknęła.

— Zapytam *Herr Lempkego*.

Kilka minut później wróciła do kuchni.

— Zgodził się.

Kiedy tego popołudnia zadzwonił dzwonek, na podwieczorku było trzech niemieckich inspektorów podatkowych — wszyscy w średnim wieku, bardzo porządni i dokładni. Rita poszła otworzyć i wróciła do jadalni, ciągnąc za sobą kobietę, która wyglądała jak połączenie wieśniaczki i ulicznicy. Jej wygląd oraz zachowanie były bacznie obserwowane przez zgromadzonych. Każdy, kto choć trochę znał polski, zauważyłby wyraźny, nawet przejaskrawiony, akcent klasy robotniczej.

Jej brak wykształcenia był oczywisty nawet dla Niemców. Pomimo skromnego ubioru młoda kobieta wyglądała dosyć wyzywająco.

Jeden z gości głośno się zastanawiał nad jej wcześniejszym doświadczeniem. Inni uznali, że jest zbyt niechlujna do tej pracy. Ale to nie zniechęciło *Herr Lempkego*.

— Może pracować?

Kiedy Rita tłumaczyła z niemieckiego, inni czekali na odpowiedź. Po kilku powiedzianych przez kobietę zdaniach, które brzmiały raczej jak obelgi, Rita wyjaśniła:

— Powiedziała, proszę mi wybaczyć: „Do diabła, oczywiście. Zajmuję się tym całe swoje życie”.

— Jak dla mnie wygląda nieuczciwie i niemoralnie — zawyrokował drugi z nich.

W tym momencie interweniowała Halle i Rita mogłaby ją za to ucałować.

— *Fräulein* Truszenko może ją uważnie obserwować. Dajmy jej tydzień. Jeśli się nie sprawdzi, to pójdziemy do urzędu pracy.

Ta propozycja zbiegła się w czasie ze obietnicą Polki, którą Rita przetłumaczyła:

— Mówi, że musi wiedzieć od razu. Ma coś innego na oku i nie będzie czekać. — Dani mówiła dalej, a Rita tłumaczyła jej słowa. — Mówi, że pracowała wcześniej w wielu wytwornych miejscach, nawet u katolickich księży i Żydów. Myje okna, parkiety i prasuje.

Ta uwaga miała trafić w drażliwy punkt u Lempkego, jako że jego koszule nie były prane i prasowane na takim poziomie, do jakiego przywykł.

— W porządku, proszę ją wziąć na próbę, *Fräulein* Truszenko. Może pani odprawić ją bez pytania, jeśli się nie sprawdzi. I proszę jej powiedzieć, że to bardzo szacowny dom. Proszę się upewnić, że rozumie, co to znaczy.

Rita odwróciła się do Dani. Najprościej, jak umiała, powiedziała po polsku:

— Masz tu nie przyprowadzać żadnych mężczyzn, rozumiano?

Dani kiwnęła głową. Nikt nawet nie zapytał jej, jak ma na imię.



W biurach panował całkowity spokój. Inspektorzy podatkowi położyli się spać zaraz po obiedzie, a *Fräulein* Halle gdzieś wyszła. Rita usiadła w kuchni nad swoimi rachunkami, zastanawiając się, jakie zrobić zakupy na nadchodzące dni.

Po sumiennym sprzątnięciu Dani wróciła do małego pokoiku dla służby. Przez niewielkie okno pokoju widać było kawałek trawnika między tym i następnym budynkiem. Budynek stojący po drugiej stronie dziedzińca był nocą zupełnie nieoświetlony, choć mieściło się w nim więcej biur *Generalgouvernement*. Przy ścianie obok drzwi stało wąskie łóżko nakryte ręcznikiem, który był zmechacony i stracił już cały swój kolor. Za łóżkiem, na niewielkim stoliku, stała prymitywna mała lampka — przez pęknięty pergamin widać było przezroczyste szkło, otaczające błądo świecący drucik żarówki. Było to jedyne oświetlenie znajdujące się w pomieszczeniu. Ściany miały błękitny kolor, a pod oknem, w pobliżu kaloryfera, były widoczne plamy. Ale na szczęście był tu kaloryfer. I w tej chwili sprawiał, że w małym pokoiku było przyjemnie ciepło, co obecnie było luksusem, na który w Polsce mogli sobie pozwolić jedynie Niemcy. Przy ścianie naprzeciwko łóżka stała surowa drewniana szafka i balia z zimną wodą.

Rozpakowanie niewielu rzeczy, zdobytych podczas tygodnia spędzonego w wynajmowanym przez Ritę pokoju, zajęło jej dosłownie chwilę. Reagując na otaczające ją ciepło, Dani zdjęła fartuch, który miała na sobie, i rozpięła sukienkę, a potem powiesiła je wysoko i zamyśliła się, patrząc na umywalkę. Szybko zmieniła obiekt zainteresowań: mając na sobie jedynie halkę, przesunęła się na łóżko, położyła przy ścianie i zapaliła jednego z niemieckich papierosów, które zwędziła ze srebrnej papierośnicy w jadalni.

Dani spojrzała w górę i zobaczyła Ritę opierającą się o ościeże drzwi z otwartą butelką Moselle w jednej dłoni i dwoma małymi kieliszkami w drugiej.

— Kiedy ostatnio piłaś wino?

— W poprzednim życiu, jakoś w okolicach ubiegłego stulecia.

Dani patrzyła, jak Rita kładzie się obok na łóżku. Kiedy oparła się o ścianę obok niej, ich wspólny ciężar sprawił, że łóżko się odsunęło. Obie poleciały na jedną stronę, zanosząc się śmiechem.

Rita wzięła głęboki wdech i położyła dłoń na jej przedramieniu.

— Powinnaś była zastanowić się, jakie ryzyko niesie ukrywanie ciebie tutaj, ale zupełnie mnie to nie obchodziło. — Przerwała. Jej słowa nie zabrzmiały tak, jak chciała. — Napijmy się.

Nalała do niskich kieliszków bursztynowego wina, które równocześnie wychyliły. Rita natychmiast dolala wina, jakby bardziej zależało jej na picciu niż na rozmowie. Wypiła połowę drugiego kieliszka i wstała. Podeszła do okna i próbowała je otworzyć.

— Tak tutaj gorąco.

— To zdejmij fartuch.

Rita zdjęła fartuch, a po chwili także sukienkę, i powiesiła je ostrożnie na wieszaku za drzwiami, które następnie zamknęła. Gdy tak stała w samej halce i widać było jej kształty, zarysowane przez słabe światło lampki za jej plecami, Dani spojrzała na nią z aprobatą.

— Kobiece ciało jest dużo bardziej interesujące niż męskie.

— Interesujące? — Rita dalej stała, ale podjęła temat. — Zawsze chętniej patrzę na kobietę, a ty?

Dani skinęła głową, poklepując łóżko.

— Siedząc obok mnie, dalej będziesz wyglądała dobrze.

Rita zastosowała się do jej słów, tym razem nie opierając się tak bardzo o ścianę. Była to pozycja trudna do utrzymania. Wkrótce zaczęła dotykać ramienia Dani, a potem trzymać głowę na jej kolanach. Sącząc wino, Dani bawiła się jej włosami. Następnie zaczęła wyciągać z nich szpilki do włosów, aż warkocze opadły na tył głowy. Kiedy już wszystkie szpilki uformowały stosik na łóżku obok niej, zrzuciła je na podłogę. Teraz jej ręka przesunęła się w dół, przez twarz i szyję Rity, aż do klatki piersiowej. Jej kciuk i palec wskazujący odkryły jeden z sutków pod cienką osłoną halki z wiskozy. Bezwiednie zaczęła się nim bawić.

Pierwszą reakcją Rity było zeszywnienie kręgosłupa, a jej ciało przygotowywało się na odparcie tej delikatnej napaści. Ale po chwili oparła się i zaczęła czerpać z tego przyjemność. Następnie sięgnęła lewą ręką w górę i ześlizgnęła z ramienia ramiączko halki. Sygnał był jednoznaczny, więc Dani włożyła rękę pod materiał i zaczęła dotykać nagą pierś i nabrzmiaty sutek. Kiedy Rita nie mogła już dłużej wytrzymać w bezruchu, lekko się podniosła, przyciągnęła twarz Dani do swojej i językiem zaczęła szukać jej języka. Nigdy nie robiła tego z kobietą. Ale pociągało ją to.

Po kilku minutach Dani się odsunęła.

— Co teraz robimy?

Rita podniosła się na łóżku, ciągnąc Dani za sobą. Cały czas myślała o zeszłorocznej nocy spędzonej z Erichem.

— Pokażę ci.

Zsunęła z ramion Dani ramiączka halki i pozwoliła jej spaść. Następnie bardzo powoli zaczęła zataczać zwężające się kółka nad jej klatką piersiową aż spotkały się z jej sutkami. Dani teraz kołysała się delikatnie w przód i w tył w rytmie, który pasował do rytmu jej palców. Pchnęła jej plecy po to, żeby oparła się o szafkę. Uginając nogi w kolanach, schyliła się i dwiema rękami zsunęła jej luźne majtki, rozszerzyła nogi i zaczęła głaskać wewnętrzną część ud. Nagle Rita zaczęła rytmicznie ścisnąć ze sobą górę warg sromowych palcami wskazującymi obu rąk. Następnie przeniosła palec niżej i Dani przeszył dreszcz pożądania. Rita wycofała się nieco, obiecując sobie, że będzie działała tak powoli jak Erich. Ale Dani nalegała. Wkrótce jej dłonie zaczęły mocno przyciskać głowę Rity do swojej, a jej ciało prawie błagało, żeby je gryźć aż do chwili, w której zalała ją fala orgazmu.

Rita stwierdziła, że wystarczy jak na pierwsze takie doznania. Wspólna rozkosz musiała poczekać do kolejnej nocy.

Kiedy tylko Dani pogrążyła się w głębokim śnie, Rita wymknęła się do drugiego pokoju dla służby. Następnego dnia, podczas wykonywania swoich obowiązków, zachowywały się wobec siebie obojętnie.



Później tego samego poranka do biura na górze wszedł członek cywilnej obrony przeciwlotniczej.

— *Fräulein*, czy pani zajmuje się tym domem? — Rita skinęła głową. — Otrzymaliśmy informację, że zeszłej nocy w tylnym oknie było zapalone światło. Tym samym został naruszony przepis o obowiązkowym zaciemnieniu, mającym obronić przed nalotem. Ktoś to zauważył i złożył skargę. Proszę się tym zająć. — Podniósł prawą rękę w geście „*Heil Hitler*”. Rita odpowiedziała, jak należy, a on wyszedł.

Co jeszcze ten ktoś zobaczył zeszłej nocy? Czy złamały z Dani prawo? Czy mogli je wysłać do obozu koncentracyjnego i zmusić do noszenia różowych trójkątów[2]? Z pewnością podglądacz by ich nie zgłosił. Rita nic nikomu nie powiedziała, dopisała tylko do listy zakupów zaciemniający materiał na zasłony.

Tego popołudnia Rita wróciła z walizką i oznajmiła:

— Wyprowadziłam cię z pokoju pani Wilkowej. Od teraz będziesz mieszkać tutaj.

Dani uśmiechnęła się i nie mówiły już nic więcej.



Dani nie miała odwagi zbyt często wychodzić. Odbyła kilka wypraw do okolicznych sklepów i parę wieczornych spacerów do Rynku. Nigdy nie wychodziła sama, zawsze była z nią Rita. Nawet wieszanie prania albo trzepanie dywanu na tyłach budynku wydawało się być ryzykowne. Pewnego ranka, kiedy nuciła coś sobie pod nosem, wieszając prześcieradła, z naprzeciwka usłyszała głos mówiący po polsku:

— Cicho tam. Żadnego jodłowania. To nie jest żydowski sztetl.

Czy ten ktoś chciał zasugerować, że coś podejrzewa?

Prośenie Lempkego o pomoc w załatwieniu Dani dokumentów było zbyt ryzykowne. Mógł być *Muss-Nazi*, ale jednak był nazistą. Dla ogólnej wiadomości Dani miała być tylko zwykłą osobą z ulicy, kimś, kto był w stanie na nią wrócić bez niczyjego zainteresowania. Halle i Lempke niejednokrotnie próbowali wydawać Dani polecenia, wysyłając ją gdzieś daleko w celu załatwienia paru spraw, które Rita musiała brać na siebie: „Ona ma coś do zrobienia. Ja pójdę” — nalegała. Obie z Dani wiedziały, że poza tym, iż była Żydówką, bez porządnych niemieckich dokumentów mogła także w każdej chwili zostać pojmana w trakcie codziennej łapanki osób do przymusowych prac na terenie miasta, lub nawet wysłana dużo dalej.

Dla Rity Kraków był zupełnie innym miastem niż dla Dani. Jej kenkarta, znajomość niemieckiego, praca oraz znajomości stanowiły najlepszą przykrywkę. Mogła się bezpiecznie poruszać, gdziekolwiek chciała. Jednak tutaj, podobnie jak w Warszawie, szybko stało się dla niej jasne, że wielu spośród *Echte-Deutsche* — prawdziwych Niemców — których spotykała każdego dnia, było tak naprawdę ukrywającymi się Żydami, dla Niemców niewidzialnymi, ponieważ Niemcy były już od tak dawna *judenrein*, że nie dało się odróżnić polskich wykształconych, zamożnych, miejskich Żydów od Polaków. Byli to ci, którzy przeżyli prawie cztery lata stosunkowo surowego odsiewu, mającego na celu eliminację Żydów z krakowskiego otoczenia. Dzień w dzień zajmowali się swoimi aryjskimi interesami, prawdopodobnie podejrzewając się nawzajem, ale nie chcąc sprawdzać swoich przypuszczeń. Kiedy jeden ukrywający się Żyd spotykał drugiego ukrywającego się Żyda, witali się ze sobą okrzykiem „*Heil Hitler*”, niczego nie zdradzając.

Czy Rita czuła się bezpieczniej wiedząc, że żaden z tych ludzi jej nie wyda? Czy jednak

powinna czuć się zagrożona, wiedząc, że było wokół niej tak wielu Żydów, iż jednodniowa łapanka zorganizowana przez gorliwego oficera Gestapo z łatwością zapełniłaby nimi wagon towarowy?

Urzędnicy ustanowili specjalne niemieckie sklepy, w których sprzedawano dobre jedzenie, szczególnie to niedostępne dla Polaków. Chodząc w tę i z powrotem między takimi sklepami i mijając budynki rządowe oraz codziennie tych samych urzędników i oficerów, Rita stała się w centrum miasta rozpoznawalną osobą, a ci, których spotykała, stali się rozpoznawalni dla niej. Czasami nawet zapominała o swoim statusie uciekinierki, a od czasu do czasu miewała poczucie wolności i swobody, które towarzyszyły jej jeszcze za czasów studenckich, prawie siedem lat wcześniej.

Kraków nie ucierpiał podczas niemieckich działań wojennych w 1939 roku. Leżał zbyt daleko od Wielkiej Brytanii i nie stanowił istotnego punktu dla strategicznego bombardowania aliantów. Był także chroniony przez Rzeszę pod pretekstem jego odwiecznej roli wyspy niemieckiej kultury pośród morza polskiego zacofania: aryjskim bastionem dla słowiańskich marszów Rzeszy. Jednak atmosfera w restauracjach i kawiarniach — których ciągle było jeszcze sporo — oraz w urzędach stała się nieco nerwowa, gdy zima 1943 roku przerodziła się w wiosnę. Porażka w bitwie stalingradzkiej, zakończonej poddaniem się feldmarszałka i wojska liczącego sześćset tysięcy żołnierzy, była tutaj jeszcze trudniejsza do ukrycia niż w samych Niemczech. Kiedy w Grossdeutscher Rundfunk ogłoszono kapitulację na rzece Woldze, cichy głos wątpliwości podszeptował, że Niemcy nie mają szans wygrać toczonej na dwa fronty wojny, która trwała już czwarty rok. Po komunikacie nastąpiła dłuższa chwila wypełniona muzyką żałobną. Gdyby tylko Dani i Rita mogły słuchać jej same!



Któregoś marcowego wieczora Rita znalazła się w kinie dla Niemców. Z mieszanką fascynacji i wstrętu oglądała umoralniające przemówienie „doktora” Goebbelsa w berlińskim Sportpalast, ociekające ironią, wyniosłością, nadmiernym patosem, z jakim demagog otwarcie mówił o nadchodzącym ze wschodu zagrożeniu. Podium znajdowało się na takiej wysokości, żeby niski człowiek z deformacją stopy był mógł górować nad fanatycznym tłumem umundurowanych nazistów, pielęgniarek, żołnierzy, partyjnych bojowników oraz urzędników państwowych wyższego szczebla. Za jego plecami wisiał wielki transparent: *Totaler Krieg, Kürzester Krieg* — „Wojna totalna, wojna najkrótsza”. Jednak przemowa zaprzeczała hasłu z transparentu. Nie było to wezwanie do pełnej mobilizacji, ale ostrzeżenie. Goebbels mówił Niemcom, słowami zrozumiałymi dla każdego z nich, że mogą przegrać.

Rita słyszała już przemowę dwa tygodnie wcześniej, kiedy to całe biuro Inspektoratu zgromadziło się przy radioodbiorniku. Jednak teraz, na ekranie, jej efekt i wiadomość, znak, że Niemcy mogli przegrać wojnę, miały większą moc i w ciemności sali kinowej Rita mogła pozwolić sobie na uśmiech i cichy śmiech. Ludzie zgromadzeni w Sportpalast zgodnie wstali, po czym wykonali gest „*heil*” dla swojego *Führera*, odpowiadając na wezwanie ministra propagandy. Ale z tego, co Rita pamiętała z audycji radiowej sprzed tygodnia, *Muss-Nazi* nie przejawiali tak wielkiego entuzjazmu.

Wyszła z kina sprężystym krokiem i w dobrym humorze. Tej nocy, za porządnie wykonaną zasłoną zaciemniającą, dwie kobiety leżały ramię w ramię, paląc wspólnie papierosa przed zgaszeniem lampki nocnej. Łóżko było wąskie, ale budzenie się w nocy obok kogoś innego dodawało im otuchy.

— Dzisiaj w kronice filmowej widziałam przemówienie Goebbelsa w Sportpalast.



Wiedzą, że przegrają wojnę.

Erich musiał mieć rację — najpierw Afryka, potem Sycylia, teraz kapitulacja Włoch. „Strategiczne wycofywanie się”, „skracanie frontu”, przyznanie się do porażki — to wszystko następowało zbyt regularnie. Zastanawiała się, czy powinna powiedzieć o tym swojej kochance.

— Zatem pewnie przegrają. — W głosie Dani było słychać obojętność.

— Nie obchodzi cię to?

Dani podniosła się na łóżku.

— Więc przegrają. Kogo pociągną za sobą w dół? Co już zdążyli zniszczyć? A co z moją rodziną, życiem i człowieczeństwem? Już nigdy ich nie odzyskam. Trafię do grobu z tym doświadczeniem, które odbierze wartość każdej rzeczy, której kiedykolwiek się jeszcze podejmę.

— Rita nie odpowiadała. — Nawet jeśli przegrają wojnę, to dlaczego ona w ogóle miała miejsce? Jaki Bóg mógł na to pozwolić? Jaki sens ktokolwiek z tego wydobędzie? Ty i ja widziałyśmy ludzkie bestialstwo tak bardzo przewyższające nasze wyobrażenia, że trudno nam teraz dalej z tym żyć. Nawet kiedy to się skończy, to i tak nic nie zmieni tego, że się wydarzyło. Nie sądzę, żebym mogła żyć z tą świadomością... A ty? Tak naprawdę to przez większość czasu chciałabym po prostu umrzeć.

To nie był dobry moment na mówienie o ateizmie czy determinizmie albo inne wyjaśnienia. Rita mogła tylko trzymać się kurczowo swojej kochanki, przyjaciółki i towarzyszki i powstrzymać własne odpowiedzi na te pytania — te, które pozwoliły jej przetrwać w takiej samej sytuacji i z taką samą emocjonalną reakcją. Nie mogła przestać myśleć o tym, że — pomimo całego ciężaru rozpacz — Dani wstanie jutro i będzie żyć następnym dniem, tłumiąc napadające ją klucie serca. Znajdzie małe rzeczy, które będą ją cieszyć. Będzie robić plany, które w ciągu kilku dni przyniosą małą satysfakcję. Właściwie to będzie dalej żyła pomimo przyszłości, na którą skaza ją jej myśli, emocje i wspomnienia.

Dani mówiła dalej:

— Jeśli przeżyję, to będę katować się pytaniem: dlaczego ja? Jakim prawem przeżyłam? Jaka jest wartość mojego życia w porównaniu z życiem miliona innych ludzi? Jeśli przegrają tę wojnę, nadal nie otrzymam odpowiedzi na to pytanie.

Rita pozwoliła przyjaciółce wypłakać się do snu. Wiedziała, że po zaśnięciu pytanie już więcej nie będzie jej męczyć.

[2] Używana w niemieckich obozach koncentracyjnych III Rzeszy forma oznakowania tych więźniów, którzy zostali tam umieszczeni za orientację homoseksualną (przyp. tłum.).

**Część V**  
**Zakończenie**



## Rozdział 26

20 kwietnia 1943 roku wypadła we wtorek. Jak każdego dnia *Herr Lempke, Fräulein Halle* oraz wizytujący biuro inspektor wstali od ksiąg handlowych i maszyny do pisania i dokładnie o szesnastej, jak w zegarku, przeszli do salonu na herbatę. Kiedy weszli, Dani i Rita miały już przygotowany napój, kilka małych kanapek, herbatniki oraz polski makowiec, który niemieckim gościom smakował szczególnie. Drzwi wahadłowe do kuchni były otwarte i zablokowane tak, żeby Rita mogła swobodnie chodzić w tę i z powrotem, nosząc akcesoria do herbaty. Kiedy zdejmowała ocieplacz z dzbanka, otworzyły się frontowe drzwi i do pomieszczenia wszedł kolejny Niemiec, który zajął swoje miejsce.

— Mam ciekawe wieści z Warszawy — powiedział nowo przybyły. — Ten Oberführer z SS z dwuczłonowym nazwiskiem, von Sammern-Frankenegg... Został zwolniony.

— Doprawdy, nie miałem o tym pojęcia. Ci Oberführerzy stanowią prawo dla samych siebie. Kto był tak wysoki rangą, żeby móc go zwolnić? I czym właściwie zawinił?

— Himmler. Najwyraźniej nie mógł poradzić sobie z Żydami. Okazuje się, że w warszawskim getcie wybuchł jakiś bunt. Udało im się zdobyć pistolety, strzelby i trochę broni maszynowej. W każdym razie nie potrafił tego stłumić. W Berlinie są wściekli. W getcie powiewały polskie flagi i transparenty terrorystów, widoczne nawet zza murów. Zginęły całe tuziny żołnierzy Wehrmachtu.

Rita nie odzywała się. Stała nieruchomo, mając nadzieję, że nie zauważą, iż podsłuchuje rozmowę. Dani podeszła po cichu tak blisko salonu, jak tylko mogła. Obie słuchały, czekając na więcej. Rita zebrała w całość informacje, łącząc je z tymi, które usłyszała w Warszawie, i tym, co zobaczyła w tamtejszym getcie. Przeszedł ją dreszcz.

Sprawa nie była jednak dla inspektorów podatkowych wystarczająco zajmująca, więc zmienili temat na taki, który nie cierpiał zwłoki, a mianowicie odpowiednią stopę amortyzacji polskich taborów kolejowych, wpisaną do rachunku kapitałowego Reichsbahn.

Nie pozostało nic innego, jak tylko czekać do północy, żeby podjąć ryzykowną próbę słuchania polskiej audycji radiowej BBC. Radio stało na kredensie. Był to przedwojenny model raczej dużych rozmiarów, o większej mocy niż *Volksempfänger*, tradycyjny odbiornik znajdujący się w większości niemieckich domów i biur. Miał nalepkę ostrzegającą użytkowników — na mocy *Führerbefehl*, zarządzenia samego Hitlera — przed szukaniem częstotliwości zagranicznych stacji. Kary za nieprzestrzeganie zarządzenia były surowe.

Kilka minut przed północą Dani włączyła radio, ale wyciszyła dźwięk. Trzy nieosłonięte próżniowe lampy zaczęły rzucać pomarańczowe światło na ścianę za odbiornikiem. Nie były w stanie nic na to poradzić, chociaż ich proceder mógł zostać zdradzony każdemu przechodzącemu korytarzem. Odbiornik musiał rozgrzewać się przez co najmniej trzy minuty, zanim zaczął odbierać. Gdy tak czekały w mroku, ogarniał je niepokój. Dały głośniejsze tylko na tyle, żeby móc odnaleźć stację, a Dani zaczęła przesuwając galką z dala od *Grossdeutscher Rundfunk*, mniej więcej tam, gdzie spodziewały się znaleźć częstotliwość BBC. Kiedy już ją znalazła, puściła galkę i dała jeszcze odrobinę głośniejsze. BBC zdawało pełną relację o działaniach wojennych na całym świecie: „Zwycięscy alianci oczyszczają tereny Tunezji z resztek nieprzyjaciela. Sowietci w dalszym ciągu przemieszczają się na zachód, walcząc z niemiecką Grupą Armii »Południe«. Mają miejsce częste nocne i dzienne bombardowania niemieckich ośrodków przemysłowych, Boliwia dołącza do wojny przeciwko Państwom Osi...”.

Ani słowa o Warszawie. Rita zmieniła częstotliwość z powrotem na *Grossdeutscher*

Rundfunk, wyłączyła radio i obie wróciły do swojego pokoju.

— Muszę wiedzieć. — Głos Dani przebił się w ciemnościach.

— To zbyt niebezpieczne. Może jutro się czegoś dowiemy.



— W jaki sposób możemy nawiązać kontakt z Armią Krajową? — Zastanawiała się Dani.  
— Oni mogą coś wiedzieć.

Następnego dnia po śniadaniu stały przy zlewie kuchennym.

— Dani, Armię Krajową niezbyt interesuje to, co dzieje się w getcie. Są w jej szeregach ludzie, którzy uważają, że Żydzi są za równie obcy w Polsce jak Niemcy czy Rosjanie. Jeśli w ogóle zrobią dla getta cokolwiek, to z pewnością bardzo niewiele. A szanse na to, że ktoś tutaj wie coś na ten temat, są zerowe. — Rita starała się przekonać ją oraz siebie samą. — Poza tym Kraków jest najgorszym miejscem w Polsce do szukania Armii Krajowej.

— Wychodzę — oznajmiła Dani. — Znajdę bar z *Polizisten* albo żołnierzami Waffen-SS i będę ich podsłuchiwać. Dłużej tego nie zniosę.

— *Verrückt*. — Rita użyła niemieckiego słowa oznaczającego wariatkę. — Zupełnie oszalałaś? Masz zamiar zmarnować swoje życie, a moje pewnie też, łudząc się, że dowiesz się, co dzieje się setki kilometrów stąd, skoro i tak nie możesz nic na to poradzić?

Dani spojrzała na swoją kochankę wzrokiem wyrażającym coś w rodzaju nienawiści.

— To lepsze niż siedzenie tutaj, podcieranie niemieckich tyłków, zlizywanie okruchów z ich stołu i staranie się jak najmocniej zostać aryjską *Mädchen*.

Dani rzuciła się na Ritę, wbijając paznokcie w jej ramię. Rita sapnęła, odpierając jej atak. Słowa Dani z pewnością było słyhać na całym korytarzu. Otworzyły się drzwi. To *Fräulein Halle*, sekretarka, przechodziła korytarzem.

— Lempke przysłał mnie, żebym dowiedziała się, co tutaj zaszło... — Spojrzała na wciąż szamocące się kobiety. — O co chodzi? Myślałam, że jesteście kochankami.

Obie, jednakowo zaskoczone tym stwierdzeniem, odwróciły się, patrząc na nią z rozdziawionymi ustami.

— Nie jestem taka niewinna, dziewczęta — powiedziała Halle pod nosem. Po czym uśmiechnęła się, żeby dodać im otuchy. — Mówiłam wam, że pochodzę z Berlina. Takie rzeczy nie są nam obce. — Podążyła za ich wzrokiem, gdy obydwie spojrzały w kierunku biur. — Oni nie mają o tym zielonego pojęcia. Ci niscy, siwi mężczyźni poświęcają się całkowicie regule podwójnego zapisu. Nie zdają sobie nawet sprawy, że jesteście Żydówkami.

Z końca korytarza dobiegło wołanie:

— Halle, skończmy ten list.

— *Jawohl* — powiedziała na głos. A odwracając się w stronę wyjścia, dodała po cichu:

— Pomówimy o tym w bardziej odpowiednim momencie.



Halle zajrzała przez drzwi kuchni.

— To o co poszło dzisiaj rano?

Była osiemnasta i biuro już zamykano.

— Bardzo chciałabyśmy się dowiedzieć, co się dzieje w Warszawie — powiedziała Rita.

— Co zostało z dzielnicy żydowskiej po jej próbie oporu.

Rita zamierzała mówić dalej, kiedy Halle jej przerwała:

— Żydzi się bronią? Trochę za późno!

— W każdym razie nie możemy się niczego dowiedzieć. Nawet w BBC nic nie mówili.  
— Zdradzała coraz więcej z każdym kolejnym słowem. — Dani zagroziła, że wyjdzie z domu szukać informacji na ten temat. Próbowalam ją powstrzymać. Pokłóciłyśmy się.

Halle spojrzała na Dani z podziwem i lekkim niedowierzaniem.

— Takie to dla was ważne? Nie mam pojęcia dlaczego. Dla nich jest tuż o wiele za późno. Nawet jeśli to prawda, to nie możecie zrobić nic, żeby im pomóc.

— Co masz na myśli, mówiąc: „jeśli to prawda”? Słyszałaś przecież, o czym wczoraj rozmawiali, pijąc herbatę.

— Posłuchajcie, jeśli żadna z was nie zrobi nic głupiego, to pójdę do biura *Befehlshaber* pod jakimś pretekstem i przejrzę dalekopisy z głównej siedziby Wehrmachtu lub biura SS/Gestapo. Tam przynajmniej mają pewne informacje.

— Zrobiłabyś to? — Dani była wdzięczna.

— Nie będziesz tym ryzykować? — zaniepokoiła się Rita.

— Właściwie to personel krakowskiej głównej siedziby wojskowej bardziej się boi ludzi z Inspektoratu Podatkowego Rzeszy niż samego Gestapo. Nic mi nie zrobią.



Następnego wieczora Halle wróciła po obiedzie i usiadła w kuchni. Do tej pory nie znały nawet jej chrześcijańskiego imienia.

— Nazywam się Magda. Magda Halle brzmi jak Matta Hari, szpieg w czasie Wielkiej Wojny.

Ludzie po obu stronach znali to imię.

Dowiedziały się od Magdy Halle, że między nazistami i berlińczykami nie ma sympatii. Pochodziła z rodziny podzielonej lojalnością wobec Róży Luksemburg, komunistycznej rewolucjonistki, lub Friedricha Eberta, socjaldemokratycznego założyciela powojennej Republiki Weimarskiej. Podział wybiegał tak daleko poza lewicowe poglądy, że w rodzinie Halle skutkowało prawie dekadą goryczy. Przez dziesięć lat między końcem Wielkiej Wojny i nastaniem wielkiego kryzysu kłótniom nie było końca. Ale kryzys zjednoczył front rodzinny przeciwko nazizmowi. Początkowo zbyt młoda, żeby uniknąć Bund Deutscher Mädel, Magda Halle była dzięki swoim doświadczeniom w pełni odporna na reżim. Zamiast tego zaczęła się skłaniać ku temu, co pozostało z berlińskiej kultury weimarskiej. Pozowała dla Yvy, sławnej niemieckiej fotograf mody, a nawet miała romans z jej protegowanym i uczniem, młodym mężczyzną o imieniu Helmut, który nieustannie ją namawiał, żeby się rozbierała. Epizod w kolegium dla sekretarek poprowadził ją w kierunku administracji państwowej i ostatecznie sprowadził do Krakowa. Rita i Dani dowiedziały się tego wszystkiego wieczorem tego samego dnia, w którym Magda Halle wróciła z *Kommandantur*.

— Jak na razie nie ma nic w dalekopisie z warszawskiej siedziby głównej Wehrmachtu, ale myślę, że będę w stanie zdobyć jakieś wiarygodne informacje od SS.

Kobiety głośno westchnęły.

— Jak się domyśliłaś, że jesteśmy Żydówkami? — zapytała Rita.

Zanim Magda zdążyła jej odpowiedzieć, Dani zapytała:

— Skąd wiedziałaś o... nas?

— To nie było trudne, wystarczyło spojrzeć, jak przechodzicie obok siebie i szukacie okazji, żeby się nawzajem dotknąć. A co do tego, że jesteś Żydówką — Dani, pasujesz do opisu Rebeki, Żydówki z angielskiej powieści, którą musieliśmy czytać w szkole... — szukała w pamięci tytułu. — *Ivanhoe* Waltera Scotta. A ty Rito, mówisz po polsku jak Polka i po niemiecku

jak Niemka, a na twojej półce są dwie książki Darwina. Nie możesz być tylko ukraińską katoliczką dorastającą w gospodzie swojego ojca przy granicy z Rosją. W zasadzie, kiedy zobaczyłam te książki, pomyślałam, że możesz być nazistką. Opowieści o Darwinie słyszałam tylko od nazistów — wiesz, przetrwanie najsilniejszych, rozmnażanie się w czystości rasowej, ewolucja rasy panów, *Übermensch*.

Rita przyjęła postawę obronną, i nawet nie dotarło do niej, że Magda węszyła w jej rzeczach.

— Nazistowska wersja teorii Darwina to same bzdury, właśnie to, czego można by się spodziewać od niewykształconych zbirów ulicznych, którzy wzięli swoje mądrości z *Mein Kampf*.

— Kiedy byłam uczennicą, ich wersja teorii Darwina brzmiała całkiem przekonująco.

— Właściwie to mam te książki tylko dlatego, że to jedyna rzecz, która kiedykolwiek wytłumaczyła okropności nazizmu.

Magda spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— W jaki sposób?

— Dalej Rita, wytłumacz — rzuciła jej wyzwanie Dani. — Ja tego nie rozumiem. Magda też nie zrozumie.

— Jest tutaj tylko jedna rzecz do rozumienia, no może dwie. Ewolucja jest nieunikniona. Ale ten proces nie przechodzi z niższego do wyższego, ale z jednego na inne — najsilniejsi dzisiaj mogą stać się jutro najsłabszymi. To środowisko decyduje o sile, a ono się zmienia. Być może zbyt wolno, żebyśmy mogli to zauważyć. Ale kiedyś to gady — dinozaury — dominowały, a teraz to ssaki są na szczycie. Dlaczego? Z powodu zmian. Może zmiany klimatu, pogody albo nowej choroby, której dinozaury nie umiały pokonać. Za milion lat dominować mogą znowu dinozaury, albo nawet karaluchy. Spójrzcie na rasę panów jak na dinozaury — albo lepiej, karaluchy.

— Zatem ewolucja nie zawsze oznacza postęp?

— Zapytaj o to dinozaury. — Rita się uśmiechnęła.

Dani nie była usatysfakcjonowana.

— To dlaczego ewolucja stworzyła nas, wyższe istoty, ludzi posługujących się językiem, mających kulturę, religię, znaczenie?

— Nie jest to trudne do wyjaśnienia. — Rita odczekała chwilę i zaczęła mówić. — Ludzie są zupełnie nieporadną grupą — w sumie jedynie bezwłosymi małpami. Nie mamy dużych kłów, nie jesteśmy zbyt silni, nie potrafimy latać. Nawet nie biegamy zbyt szybko. Nie mamy zbyt wielu cech, które czynią z nas „wyższe” istoty. Gdy tylko wyszliśmy z dżungli, musieliśmy walczyć o przetrwanie z mastodontami, lwami, hienami i wilkami. Jedynym sposobem, żeby się przed nimi uchronić, było zmówienie się przeciwko nim. Bez tego byśmy wyginęli. Musiała zatem istnieć bardzo duża potrzeba stworzenia czegośkolwiek — szczególnie gestów, chrząkania, znaków, które sprawiły, że ludzie mogli się zmówić, zacząć współpracować. W taki sposób, przez selekcję naturalną, powstał język i kultura.

— I wszystko inne odnośnie człowieka pochodzi od tego, prawda? — Dani była niewzruszona.

— A jest lepsza wersja? Może ta, która mówi o Bogu, Adamie i Ewie? — rzuciła jej wyzwanie Rita. Nie otrzymała natychmiastowej odpowiedzi, więc mówiła dalej: — Moja przynajmniej wyjaśnia istnienie religii i ustroju plemiennego. A właściwie to uzasadnia istnienie nazizmu.

— W jaki sposób? — zapytała Magda.

— Idee, które umożliwiają współpracę w plemienu, są jak każdy inny pasożyt, ale

atakują mózg zamiast, powiedzmy, wątroby. Pasożyty mózgowie przeżywają i rozprzestrzeniają się z powodu tego, co robią swojemu gospodarzowi i dla niego — dla nas. Zatem idee, które sprawiają, że łączymy się w grupy, w szczególności przeciwko obcym, będą pobudzane przez te same siły ewolucji, które dały nam umiejętność wybicia włochatego mamuta, tak? — Słuchaczki kiwnęły głowami, Dani niechętnie. — Dajmy selekcji naturalnej kilkaset tysięcy lat. Z pewnością znajdzie sposób, żebyśmy znienawidzili obcych, zagrażających naszemu przeżyciu. Lepiej dmuchać na zimne. I nienawidzić wszystkich. A najlepszym sposobem na zarażenie taką nienawiścią do obcych, którzy równie dobrze mogą zrobić ci krzywdę, jest ten sposób, którego używają religie. Nakłaniają one nawet do ofiarowania życia dla wyższego celu — ochrony plemienia przed obcymi.

Magda głośno myślała:

— Wróćmy na chwilę do szczurów i karaluchów. Gdyby rodzaj ludzki miał kiedykolwiek wyginać, a szczury albo karaluchy zostać dominującym gatunkiem na tej planecie, według Darwina nie oznacza to, że są one najlepsze, ale tylko tyle, że przeżyły w warunkach, które po sobie zostawiliśmy. Tak?

— Dokładnie tak. — Rita była zadowolona. Magda zrozumiała. — Naziści, Aryjczycy, rasa panów, czy jakkolwiek sami siebie nazywają, to tylko ludzie chwilowo zainfekowani przez dominującego pasożyta mózgu. Jeśli wygrają, a ich idee sprawią, że cywilizacja, kultura, lub nawet ludzkość, wyginie, będzie to tylko dowód na to, że bycie brutalnym sadystą to sposób życia pasujący do naszych czasów, ale nie uniwersalny. — Rita przerwała, ale zobaczyła, że ciągle jeszcze za nią nadażają, więc wznowiła wątek: — To sprowadza nas do drugiego wielkiego błędu w nazistowskim rozumieniu teorii *Herr* Darwina. On nigdy nie twierdził, że istnieje coś moralnie dobrego, słusznego albo najlepszego w przeżyciu, czy nawet staniu się dominującym gatunkiem w danym środowisku. W teorii Darwina nie ma nic, co by stwierdzało, że możliwość oznacza słusność. Nic! Zatem obydwie rzeczy, które naziści jakoby zaczerpnęli od Darwina, tak naprawdę nie są prawdą. Nie ma żadnej rasy panów, żadnego postępu, jest tylko zmiana. Nie istnieje żadna gloryfikacja przemocy ani pana jako moralnie słusznego.

— No dalej, powiedz jej wszystko — powiedziała Dani i zwróciła się do Magdy: — Ona uważa, że Darwin udowodnił, że nie ma zła ani dobra, żadnego znaczenia i celu w niczym. — Uśmiechnęła się, jak gdyby wyjawiała gorsząca plotkę.

Rita podjęła wyzwanie.

— Widzisz, Magdo, Darwin udowodnił, że cel w naturze to tylko złudzenie. Wszystko, co z pozoru wygląda na zaplanowane lub zorganizowane jako środek do osiągnięcia celu, jest tylko wynikiem przypadkowej zmiany, którą warunkuje bierne środowisko — zarówno w naturze, jak i kulturze. — Teraz spojrzała na Dani. — Zaprzeczanie temu to odwracanie się plecami do nauki. Sens i cel to tylko pobożne życzenia. Coś, na co nie możemy sobie pozwolić. Nie możemy tracić czasu, zastanawiając się, co ta wojna oznacza dla ludzkiej historii. Ludzka historia nie znaczy nic. Wojna to tylko jedna z katastrof, nie różni się specjalnie od epoki lodowcowej, tylko odbywa się znacznie szybciej, podobnie do czarnej śmierci.

Dani w końcu przypomniała sobie wieści, z jakimi przyszła Magda.

— Zatem Żydzi walczący w getcie przeciwko SS są uwikłani w walkę o przeżycie, która nic nie znaczy?

Rita musiała odpowiedzieć na to pytanie.

— Obawiam się, że tak. Jeśli zsumujesz wszystkie ludzkie działania, które składają się na historię, okaże się, że to, kto wygrał, a kto przegrał, nie ma znaczenia. Ta ścieżka jest tylko czystym przypadkiem, darwinowskim procesem selekcji mającym skutki w historii. — Przerwała na chwilę. — Jakie znaczenie dla kosmosu ma to, że Żydzi w końcu podjęli walkę z

Wehrmachtem w Warszawie? Żadne. Czy możemy się powstrzymać przed szukaniem go? Nie.

Jej słuchaczki milczały.

Odnosząc ostatnie naczynia z powrotem do kuchni, Rita zastanawiała się, jakie idee pełniły rolę pasożytów w jej własnym mózgu. Które z nich wybierała tylko dlatego, że kazały zachowywać jej się w sposób, który pozwalał im na przeżycie i rozprzestrzenianie się?



Przez kolejne trzy tygodnie, mniej więcej co dwa dni, Magda zatrzymywała się w kuchni, żeby streścić raporty z dalekopisów. Wiadomości o powstaniu w warszawskim getcie nigdy nie były dobre, często bolesne i ostatecznie tragiczne. Jedyna korzyść, która wynikała z tych trzech tygodni, to więc, jaką stworzyły z Magdą Halle, oraz zdobyty później porządny zestaw dokumentów dla Dani.



Magda przyniosła im ostatni raport 17 maja.

— To już koniec. Od kilku dni Wehrmacht używa miotaczy ognia, paląc całe getto. Niemcy szacują liczbę zabitych w wyniku pożarów na sześć tysięcy. Kolejne siedem tysięcy zginęło w walce lub jako ofiary cywilne. A teraz wyciągnęli ostatnie pięćdziesiąt tysięcy.

Rita przypomniała sobie swoją noc w getcie. Czy mogło tam ciągle jeszcze być tylu ludzi?

— Ofiary wśród Niemców? — zapytała Dani.

— Oficjalnie szesnastu martwych, osiemdziesięciu pięciu rannych. Ale przez miesiąc walk... Cóż, to pewnie kłamstwo.

— A my siedziałyśmy tutaj, w wygodnym Krakowie, nic nie robiąc.

Dani zaczęła płakać. Rita nie zrobiła nic, żeby ją pocieszyć.



Tydzień później Magda przyniosła aparat firmy Leica z trzydziestopięciomilimetrową matrycą i zrobiła Dani zdjęcie.

— Nie możemy pozwolić, żeby Rita robiła wszystkie zakupy i załatwiała sprawy sama. Więc załatwiam ci kenkartę. Masz w oszczędnościach pięćset złotych?

— Jasne! Nie mam na co wydawać swojej wypłaty, zamknięta tutaj — odpowiedziała Dani, uśmiechając się z wdzięcznością. Kiedy wróciła do kuchni z pieniędzmi, Magdy już nie było. Rita znalazła pieniądze szybciej.

Tydzień później Dani dostała dokumenty.

— Są prawdziwe... A przynajmniej na tyle prawdziwe, na ile może sobie pozwolić *Generalgouvernement!* — uśmiechnęła się szeroko Magda. — Ale będziesz musiała iść na *Polizei*, żeby się zameldować w Krakowie. Jest na Rynku. Idź tam wcześniej rano, zanim prawdziwi naziści odeślą swoje popijawy.



## Rozdział 27

Prawie rok później Rita wyjechała do Niemiec. Do wiosny 1944 roku *Muss-Nazi* w biurze wiedzieli już nie tylko, że wojna zostanie przegrana, lecz także, że porażka zostanie poniesiona nie na ziemi radzieckiej, ale prawdopodobnie na polskiej, albo nawet w samych Niemczech.

Pod koniec marca Grossdeutscher Rundfunk ogłosiło taktyczny odwrót na zachód od Lembergu. To oznaczało zajęcie Karpatynia przez wojska radzieckie. W wiadomościach nie było jednak nic, co ucieszyłoby Ritę oraz Dani. Dla nich Karpatyń stał się tylko punktem na mapie, niczym więcej. Jednak Lempke i inni księgowi w Inspektoracie Podatkowym byli cały czas świadomi, że front wschodni cofa się w ich kierunku. Fala, która niegdyś przemknęła na wschód, wracała teraz nieuchronnie w kierunku zamków z piasku, które zbudowali wzdłuż Wisły. Oficerowie wyjeżdżali w coraz to dłuższe odwiedziny do Niemiec, zabierając ze sobą coraz to większe bagaże i wracając z coraz to mniejszymi walizkami.

Pewnego kwietniowego poranka Lempke wezwał Ritę do swojego biura, co było sytuacją bardzo nietypową. Magda siedziała przy swoim biurku w rogu i uzupełniała rzędy liczb. Nawet nie spojrzała w górę.

— *Fräulein* Truszenko. — Nawet po czternastu miesiącach życia pod wspólnym dachem, ciągle tak się do niej zwracał. — Wkrótce wracam do Rzeszy. Chciałbym wysłać panią do mojej rodziny do Heidelbergu. — Spojrzał w górę, uśmiechając się z powodu swojej hojności. Rita nie wiedziała, jak powinna zareagować. Wyraz jej twarzy nie uległ zmianie. — Nie rozumie pani? Daję pani szansę ucieczki przed wojną i zamieszkania w Niemczech, być może na stałe, jeśli się pani sprawdzi. — Skinęła głową. Lempke uznał to za zgodę. — Mamy duży dom i sześcioro dzieci. Moja żona nie radzi sobie sama ze wszystkim. Będzie pani naszą gosposią. Zajmę się dokumentami niezbędnymi do podróży, bonami żywnościowymi i biletami na pociągi. Może pani wyjechać — spojrzał na kalendarz leżący na biurku — w przyszły czwartek.

— Dziękuję bardzo. — To było wszystko, co potrafiła z siebie wydusić. Jedyłą myślą, jaką miała w głowie, było: „Mój boże, mam zostawić Dani?”.



— Nie musisz wyjeżdżać — sugerowała Magda. — Możesz zwyczajnie wmieszać się w polskie społeczeństwo, jechać do Warszawy albo gdzieś indziej. Ale tutaj nie będziesz mogła zostać. Jeśli odrzucisz tę propozycję, natychmiast cię zwolnimy.

Dani pokiwała głową.

— Volksdeutsch nigdy nie odrzuciłaby takiej propozycji. Natychmiast wzbudzisz podejrzenia. Nie masz wyboru. Musisz jechać.

Dlaczego Dani przyjęła takie stanowisko? Z pewnością znaczyły dla siebie nawzajem zbyt wiele. Na samą myśl o utracie ostatniej żyjącej osoby, którą kochała, Rita poczuła się, jakby tonęła. Zaczęła oddychać z trudem. Tymczasem ta właśnie osoba siedziała obok niej, chłodno kalkulując, co Rita powinna zrobić, i najwidoczniej nie zdając sobie sprawy, jak to je rozdzieli. Czy to był znak? Czy przestała dawać jej poczucie bezpieczeństwa? Rita z pewnością pragnęła jej tak samo jak zawsze. Czy jej kochanka zaczęła już myśleć, że to, co znalazły w sobie nawzajem, było złe, nienaturalne i odrażające? Nie. To niemożliwe. Dla upewnienia się sięgnęła po jej dłoń, a Dani machinalnie odwzajemniła jej dotyk.

Ale Dani wymieniała kolejne argumenty za wyjazdem, których Rita nie chciała słuchać:

— Będziesz dużo bezpieczniejsza w Niemczech. Kiedy przyjadą Rosjanie, ludzie z *Volksdeutsche Kennkarte* nie będą tu bezpieczni. Jeśli zostaniesz tutaj i dalej będziesz pracować dla Niemców, będziesz w prawdziwym niebezpieczeństwie. — Rita chciała jej przerwać, ale Dani na to nie pozwoliła. — Tak, to szaleństwo, ale spróbuj przekonać komisarza stojącego między tobą a tuzinem żołnierzy. Nie będzie miał czasu sprawdzać twojej prawdziwej tożsamości u osoby, która załatwiła ci fałszywe dokumenty.

— Nie są fałszywe.

— To jeszcze gorzej.

— Ale co z tobą, Dani? — Rita zaczęła ulegać jej argumentom.

— To inna sprawa. Jeśli wyjedziesz do Niemiec, to może i dla mnie znajdziesz jakieś miejsce. To jedyny sposób, żebyśmy obie miały jakieś szanse.



Dopiero później wszystko to do niej dotarło.

Magda i Rita paliły na spółkę papierosa w kuchni.

— Wyglądałaś rano na zdziwioną, kiedy Dani powiedziała, żebyś jechała — powiedziała Magda.

— Nie potrafię zrozumieć, dlaczego tak usilnie próbuje się mnie pozbyć. Rozumiem jej argumenty, ale był w jej głosie pośpiech, którego nigdy wcześniej nie słyszałam.

Magda wypuściła nosem niebieski dym.

— Ty naprawdę tego nie widzisz, prawda?

— Czego?

— Ona chce, żebyś wyjechała. — Rita nie odrywała od niej wzroku. — Póki nie wyjedziesz, nie będzie mogła zrobić tego, co musi. Dlatego cię namawia.

— Co masz na myśli?

— Nie może cię zostawić. Ale musi dokonać czegoś w tej wojnie... Nie jestem pewna czego. Może dołączy do Armii Krajowej. Cokolwiek planuje, nie może tego zrobić, dopóki nie wyjedziesz. W Niemczech będziesz bezpieczna i nie będziesz mogła jej powstrzymać. Dlatego właśnie chce, żebyś wyjechała.

— A skąd ty o tym wszystkim wiesz? Powiedziała ci?

— Nie tak otwarcie. Po prostu domyślałam się i sądzę, że całkiem słusznie. Sama wiesz, jaka nerwowa i zgorzkniała zrobiła się od czasu zeszłorocznego powstania w warszawskim getcie. Kiedy jest na ulicy, bardzo ryzykuje. Widziałam na własne oczy. Zrywa obwieszczenia, krzywi się na widok Niemców. Zadawała mi wiele pytań na temat tego, skąd pochodziła kenkarta, którą dla niej zdobyłam. W zeszłym tygodniu przyniosła do domu znalezioną na ulicy ulotkę Armii Krajowej. Tylko sobie wyobraź, co by było, gdy Lempke ją zobaczył!

— Jest coś jeszcze? — Rita zaczynała się przekonywać do jej słów.

— Jeszcze jedna rzecz. Naprawdę przerażająca. — Magda wyjęła papierosa. — Coś, co naraża na niebezpieczeństwo was obie, i może nawet mnie. Jak na Żydówkę zbyt często chodzi do spowiedzi.

— Myślisz, że staje się wierzącą katoliczką?

— Nie. Myślę, że pyta księży, jak nawiązać kontakt z Armią Krajową. Jeśli zapyta nie tego, co trzeba, to cała nasza trójka może skończyć w wagonie towarowym.

Magda wyszła z kuchni.



W poniedziałek rano Lempke wręczył Ricie bilety oraz pozwolenie na podróż i tego samego wieczora wyjechał w wagonie sypialnym pociągu do Berlina. Ona miała wyruszyć do Heidelbergu w najbliższy czwartek rano, w wagonie trzeciej klasy, przez Drezno do Berlina, i z Berlina przez Lipsk do Heidelbergu.

Kiedy Rita wkładała książki Darwina do walizki — tej samej, z którą przyjechała tutaj ponad rok wcześniej — zobaczyła, jak niewiele rzeczy zgromadziła w ciągu tych dwunastu miesięcy. A teraz, po spakowaniu kilku ubrań i rzeczy osobistych, pokój wyglądał na niezamieszkały i opuszczony. Całe popołudnie i pół wieczora Dani trzymała się na uboczu. Rita rozejrzała się po pokoju, sprawdzając, czy na pewno niczego nie zapomniała. W tym momencie usłyszała ciche pukanie do drzwi. Weszła Dani. Miała zaczerwienione oczy, ale nie płakała. Rita zamknęła walizkę i zdjęła ją z łóżka. Niczym dwie uczennice usiadły po turecku na obu końcach niewielkiego materaca, na wyciągnięcie ręki. Nic nie mówiły. Zamiast tego pozwoliły swoim ciałom dzielić ze sobą tę chwilę słodko-gorzkiego pożegnania tak wolno, jak tylko mogły — krótkie dotyki, odwracające uwagę pieszczoty, a następnie palce jednej dłoni sięgając niżej, podczas gdy druga zajmowała się piersiami. Po dłuższej chwili leżały na boku z głowami opartymi na udach towarzyszki, poddając się raz za razem *la petite mort*. „Dlaczego teraz nie nadchodzi prawdziwa śmierć?” — pomyślała Rita. Przywitałaby ją godnie. Gdy zaspokoili się nawzajem, zasnęły, zbyt wyczerpane, żeby rozmawiać.

Obudziły się nagle wcześniej rano. Bez słowa, ale ze wzajemnym zrozumieniem, kochały się po raz ostatni. Miała to być ostatnia rzecz, jaką zapamiętają. Gdy skończyły, Rita wstała. Dani została w wąskim łóżku z odkrytą większą powierzchnią ciała i pozwalała ochłonąć swoim spoconym piersiom i udom. Ubierając się, Rita patrzyła na jej nagie ciało i był to swego rodzaju akt przeciwny do uwodzenia.



Pociąg, wypełniony głównie lekko rannymi żołnierzami oraz kilkoma oficerami na urlopie, przekroczył granicę Niemiec tuż po południu. W przedziale było czuć mieszanek zapachów, skomponowaną przez środek dezynfekujący, mokrą watę i mocny tytoń. Hełmy leżące na półkach na bagażu obijały się o siebie i na zakrętach przesuwały się z jednej strony przedziału na drugą. Karabiny przesuwało, żeby móc wyprostować i ponownie skrzyżować nogi, czasami następowało to w ciągu jednego, skoordynowanego ruchu. Żaden z wchodzących do przedziału i wychodzących z niego mężczyzn nie używał gestu „*Heil Hitler*”. Nawet jedyny znajdujący się tam oficer nie oczekiwał od nikogo salutowania, tylko zagłębił się w lekturze małego tomiku drukowanego poważną czcionką frakturą. Autorstwa Goethego? A może Schillera?

Rita była jedynym cywilem w przedziale i nie kazano jej pokazywać dokumentów, odkąd wyjechali z Krakowa. Zamiast tego, kiedy tylko okazała bilet i pozwolenie na podróż, stuknęły obcas. Żołnierze byli przesadnie uprzejmi, używając zwrotów: „Z pani przyzwoleniem”, „Proszę wybaczyć”, „Czy miałaby pani coś przeciwko, gdybym zapalił?” oraz „Czy pani też zapali?”. Walki na froncie ich zahartowały, ale byli na tyle młodzi, żeby w towarzystwie kobiety znów złagodnieć. Rita nie była w stanie wzbudzić w sobie nienawiści wobec żadnego z nich. Szeregowy z zabandażowaną prawą ręką poprosił ją, żeby wyjęła mu papierosa i zapaliła go. Z innym żołnierzem zamieniła się na miejsca, żeby nie musiał przechodzić nad nią o kulach. A trzeci powiedział jej znacznie więcej, niż chciałyby wiedzieć, o tym, jak zamierza spędzić swój urlop w Lubece.

Głównym zajęciem Rity było obserwowanie zmieniającego się krajobrazu, gdy pociąg odjeżdżał coraz to dalej w kierunku Drezna. Niemiecki krajobraz różnił się od polskiego. Pola

uprawne były tutaj znacznie większe i obsiane zbożami, a nie ziemniakami. Stada i trzody również wyglądały na większe. „Jak na ironię — pomyślała — w Niemczech było więcej *lebensraum* — przestrzeni życiowej — dla której Niemcy prowadzili wojnę”. Gdy wyjechała z Polski, stojące na polach małe świątki zniknęły. Częściej pojawiały się tereny leśne. Spodziewała się traktorów i mechanicznych żniwiarek, oznak niemieckiej produktywności, ale tutejsze gospodarstwa rolne nie wyglądały na wyposażone w nowocześniejszy sprzęt. Miasta okazały się za to tętnić życiem i były bardziej zaludnione. Widziała otynkowane na biało budynki i wyjątkowo wąskie wieże kościołów protestanckich zamiast kopułowych, zwieńczonych blankami wieżyczek, które preferowały polskie kościoły i arystokracja. W każdym mieście, przez które przejeżdżali, naprzeciwko dworca znajdowały się samochody i sklepy.

Kiedy pociąg zaczął zwalniać, a tory i bocznice kolejowe zaczęły się mnożyć i oddalać z jej pola widzenia, za oknem zmaterializowało się Drezno. Bogate, czyste, tętniące życiem, nietknięte przez wojnę. Klasyczne budynki oszpecone były jedynie przez długie czerwone flagi ze swastykami, manifestującymi swoją dominację spomiędzy jonicznych kolumn. Pociąg płynnie zwolnił i niemal wślizgnął się na stację. „Niestety — pomyślała. — Nie ma czasu na zwiedzanie”. Rita musiała odnaleźć ekspres do Berlina. Lipsk był znacznie bliżej Drezna, ale *Volksdeutsche Mädchen* nie kwalifikowała się do bezpośredniego połączenia. Będzie musiała podróżować do stolicy na bilecie trzeciej klasy.



Berlin był pogrążony w półmroku kwietniowego wieczoru. Konduktor szedł przez wagon, otwierając drzwi do przedziałów. „Berlin. Anhalter Bahnhof”. Ale Rita nie widziała żadnej głównej stacji, jedynie gruzowisko po obu stronach toru. Jadąc z południa, widziała już wystarczająco dużo zniszczeń po bombardowaniach, żeby zastanawiać się, dlaczego Drezno zostało oszczędzone, ale nie spodziewała się, że największy dworzec kolejowy w Rzeszy będzie ruiną. Pociąg zatrzymał się zaraz za wąskim kanałem, pośrodku stacji rozrządowej. Obok wagonów nie było peronu, ani nawet żadnego podwyższenia, tylko uskok na żwirowe podtorze. Młody mężczyzna ubrany w *feldgrau* Wehrmachtu pomógł jej zejść.

— *Danke*. — Spojrzała na niego Rita. — Przepraszam. Czy to dworzec główny w Berlinie?

— Obawiam się, że tak. To najbliżej, jak możemy się do niego dostać pociągiem tego wieczora. Dworzec został praktycznie zupełnie zniszczony zeszłej zimy. Proszę pozwolić, pokażę pani drogę. — Wziął od niej walizkę, zanim zdążyła się sprzeciwić, i razem z innymi pasażerami ruszyli obok pustych już wagonów. — Wspólne bombardowania RAF i Amerykanów praktycznie doprowadziły do zamknięcia dworca oraz wielu innych instytucji w Berlinie.

— Przejeżdżałam przez Drezno i jest nietknięte.

— Prawdopodobnie dlatego, że większość ludzi w Berlinie nie jest nazistami, a w Dreźnie przeciwnie. — Uśmiechnął się konspiracyjnie. Rita była pod wrażeniem jego odwagi.

— Jest pan z Berlina? Potrzebuję pewnych informacji.

— Tak, proszę pani.

— Muszę dostać się na stację, z której odjeżdżają pociągi do Frankfurtu i na zachód. To Dworzec Zoo, prawda? Może mi pan powiedzieć, jak się tam dostać?

— Właśnie idę w tamtą stronę. Chętnie zabiorę panią ze sobą tak daleko, jak będę mógł.

Dziesięć minut później przechodzili wzdłuż pokrzywionej żelaznej konstrukcji, części szklanego dachu Anhalter Bahnhof. Następnie skręcili w kierunku Potsdamer Platz. Czytając prowadzące ich znaki, Rita przygotowywała się na zobaczenie rzekomo najbardziej ruchliwego

skrzyżowania w Europie.

Zrujnowane i zbombardowane budynki, gruzy, zniszczenia po pożarach oraz wraki pojazdów wzdłuż każdej prowadzącej od dworca ulicy były gorsze niż wszystko, co Rita widziała w Warszawie. Wyludnienie ulic wokół niej nie pasowało do niemal pruskiego błękitu spokojnego nieba. Czuła się, jakby szła po czarno-biało-szarej fotografii, rozłożonej pod kolorowym niebem. Czy Potsdamer Platz będzie wyglądał inaczej?

Gdy do niego dotarli, młody mężczyzna przemówił, jakby czytając w jej myślach:

— Powinna pani zobaczyć go przed wojną, albo chociaż wtedy, kiedy jeszcze wygrywaliśmy.

Ponownie ten brak ostrożności. Bezczelny młody żołnierz narażał się na grożące śmiercią oskarżenie o defetyzm. Czy próbował skłonić ją do lekkomyślnych uwag? Obiecała sobie, że nie da mu tej satysfakcji.

— W tym budynku ze sklepieniami kiedyś były wszelkie rodzaje restauracji. A tam — wskazał na rozległy, prostokątny plac — stał największy dom towarowy w Berlinie. Wertheim — żydowski interes. Próbowali go utrzymać, nadając mu nazwisko żony właściciela. Nie pomogło.

Rita niespecjalnie interesowała się historią. Jej uwagę zwróciło natomiast to, że wśród tych ruin znajdowały się kawiarnie pełne ludzi — pijących, palących, zajętych rozmowami i właściwie spędzających miło czas. Było to coś, czego nie widziała prawdopodobnie od lata 1939 roku. Jakimś dziwnym sposobem Berlińczycy sprzeciwiali się braniu rzeczywistości na poważnie.

— Czy oni piją prawdziwą kawę? — Nawet nie zorientowała się, kiedy zadała to pytanie na głos.

— To niemożliwe. Ale pamiętamy jeszcze, jak smakowała, i to czasami wystarcza!

Ruszyli już główną ulicą, odchodzącą od Potsdamer Platz w kierunku Bramy Brandenburskiej, atrakcji nawet dla ludzi niebędących turystami. Gdy byli w połowie drogi, jej towarzysz odciągnął ją w boczną uliczkę, prowadząc w kierunku trawy i drzew.

— Nie chcesz tam iść, panienko. To Göring-Strasse. Dawniej Ebertstrasse, na cześć socjaldemokratycznego prezydenta. Teraz prowadzi prosto do kancelarii Rzeszy, głównej siedziby Hitlera. Zbyt wielu żołnierzy.

— W czym tkwi problem? Pan jest żołnierzem, prawda?

Łamała obietnicę daną samej sobie. Być może uda jej się go zdemaskować odrobinę bardziej, nie podejmując ryzyka.

— Jestem żołnierzem poborowym ze służb medycznych Wehrmachtu. Jedyna śmiercionośna rzecz, którą przy sobie mam, to pistolet do eutanazji. A ci ludzie tam to Waffen-SS. Nie chciałyby się pani znaleźć nawet w pobliżu. Poza tym park jest dużo ładniejszy. — Spojrzał w kierunku zieleni.

Wkrótce znaleźli się na szerokiej, dobrze utrzymanej zwirowej alejce, wiodącej między okazałymi krzewami rododendronów rosnących pod wielkimi drzewami, których liście zaczynały się żółcić i przepuszczały światło zachodzącego, ale ciągle widocznego słońca. Po kilku chwilach szli już szeroką uliczką przecinającą zieleń. Na jednym jej końcu Rita widziała Bramę Brandenburską, a na drugim Kolumnę Zwycięstwa upamiętniającą wojnę francusko-pruską. Znała je z kultowych pocztówek z dzieciństwa, tak samo jak dzieci z Europy Zachodniej znały wieżę Eiffla i Łuk Triumfalny. Były symbolami Berlina i całych Niemiec, wielkim kulturalnym motorem zmian przenoszących wschodnią Europę w nowe stulecie. Cieszyła się, że to właśnie były jej pierwsze zobaczone w Berlinie miejsca, a nie Kancelaria Rzeszy, otoczona przez maszerujące krokiem defiladowym roboty w czerni.

Żołnierz zauważył, jak odwraca głowę na wschód i na zachód, a potem z powrotem

patrzy w głąb alejki.

— Te budynki to...

— Wiem. — Uśmiechnęła się, doceniając jego lokalny patriotyzm. — Wiedzieliśmy o nich w Polsce wszystko. Nie miałam pojęcia, że można zobaczyć jeden, stojąc przy drugim.

— Nie było to możliwe, dopóki kilka lat temu Führer nie przeniósł całej Kolumny Zwycięstwa do parku. — Przez chwilę milczeli. Potem żołnierz zaczął opowiadać o projektach oczyszczania gruntu. — Myślmy, że urząd miasta pozwoli mieszkańcom na zakładanie w parku działek pod uprawę ogrodów warzywnych. Zaczynają się martwić o jedzenie. Nic już nie dociera z Ukrainy. W Berlinie od zawsze były działki ogrodowe, ale nie w Tiergarten. Ludzie i tak głównie hodowali na nich kwiaty. A teraz będą tutaj ziemniaki. Zeszłego lata, podczas nalotów bombowych RAF, w Tiergarten co noc spały tysiące ludzi.

Poprowadził ją z dala od szerokich bulwarów z powrotem na ścieżki osłonięte pokręconymi gałęziami drzew i ukryte pod chmurami listowia. Łatwo było zapomnieć, gdzie się było, albo nawet kiedy. Zapadła między nimi subtelną ciszą i żadne nie chciało jej przerywać.

Dziesięć minut później młody żołnierz się skrzywił, kiedy dotarli do masywnej betonowej wieży, wystającej z ziemi niczym czarny olbrzym wyłaniający się ponad ogromne, otaczające go drzewa. Rita nigdy nie widziała niczego równie budzącego grozę, niezłomnego, niedostępnego, ponurego i złowrogiego. Budowla wydawała się być przerażającą twierdzą czystego zła.

— Tutaj pracuję. To Tiergarten Flakturm. Na trzecim piętrze znajduje się szpital wojskowy. Na górze jest broń przeciwlotnicza. A na samym dole znajduje się schron.

— To najbrzydszy budynek, jaki kiedykolwiek widziałam. Proszę mnie stąd zabrać.

— Proszę wybaczyć, nie mogę tego zrobić. Właśnie tam idę. To moja praca. Ale jeśli pójdzie pani prosto, dojdzie pani do kanału, który biegnie przez park. Tam proszę skręcić w prawo. Kiedy pani dojdzie do drugiego mostu, proszę przez niego przejść. Minie pani kawiarnię w parku i wyjdzie wprost na stację, której pani szuka, Dworzec Zoo.

Czuła się bezpieczniej z tym żołnierzem Rzeszy.

— Czy może pan pójść ze mną?

Spojrzał na wieżę, a potem z powrotem na Ritę i potrząsnął głową. Po czym odwrócił się i odszedł.

## Rozdział 28

Było już ciemno, ale w powietrzu wciąż było czuć łagodny powiew wiosny, kiedy Rita dotarła na Dworzec Zoo. Po wejściu do środka ruszyła w kierunku poczekalni i zaczęła szukać tablicy z rozkładem jazdy pociągów. Nie było na niej żadnych kursów do Lipska. Rozejrzała się wokół, szukając punktu informacji, ale nie dostrzegła takiego. Były tam tylko kasy biletowe, a przy nich długie, ciągnące się kolejki. W końcu zobaczyła sprzątacza zamiatającego kupkę kurzu, papier gazetowy, opakowania po jedzeniu i wyrzucone bilety.

— Przepraszam, czy jestem na dobrej stacji, żeby jechać do Lipska?

Nie przerwał zamiatania, ale odpowiedział na tyle głośno, że usłyszała:

— Tak, ale nie ma dzisiaj żadnego pociągu. Bombardowanie na linii południowej. Zatrzymali wszystko, co jechało w tamtym kierunku, przynajmniej na najbliższą noc.

Przeszedł obok niej.

Czy to możliwe? Rita potrzebowała bardziej wiarygodnego źródła. Podeszła do kolejki i zajęła miejsce. Przed nią stała matka z dwójką dzieci, jedno z nich miało świszczący kaszel. Była z nimi starsza kobieta.

W ciągu piętnastu minut kolejka nie przesunęła się znacząco. Jednak sąsiedztwo kobiet sprawiło, że ich twarze i sylwetki, a nawet zapachy, stały się na tyle znajome, żeby przełamać anonimowość. Nie było żadną niespodzianką, kiedy starsza kobieta zapytała Ritę:

— Dokąd chcesz jechać, moja droga?

— Do Lipska. Ale nic już tam tej nocy nie pojedzie. — Spojrzała na tablicę z rozkładem odjazdów, znajdującą się nad kolejkami.

Do rozmowy wtrąciła się kobieta z dwójką dzieci:

— Hilde, kiedy przyszłyśmy, ogłaszali właśnie, że wstrzymano połączenia do Lipska do samego rana, pamiętasz? Podobno naloty.

— Tak, rzeczywiście.

Rita postanowiła okazać życzliwość:

— Dokąd pani jedzie?

— Do Magdeburga. — Brzmiała odpowiedź. W tej samej chwili w całym budynku zawyły syreny.

— Co to za hałas? — Rita nie mogła powstrzymać pytania, ani też drżącego ze strachu głosu.

— Nalot, moja droga. Chodźcie, dzieci...

Ludzie na stacji rzucili się w kierunku wyjścia. Rita podążyła za kobietami z dziećmi. Niewiele myśląc, wzięła za rękę starszego chłopca, który spojrzał na nią dla dodania sobie otuchy. Tłum wypływał ze stacji i kierował się wzdłuż szerokiej ulicy, ale grupa Rity nie była wystarczająco szybka. Zanim dotarli do podziemnej stacji na Kurfürstendamm, starsza kobieta stwierdziła:

— Nie uda się nam.

Miała rację. Bez tchu dotarli do schodów prowadzących na dół i natknęli się tam na potężny metalowy szlaban (oraz tabliczkę z napisem „Żydom wstęp wzbroniony”).

— Cała nasza nadzieja w parku — powiedziała młodsza kobieta i cała piątka zawróciła, kierując się pośpiesznie wzdłuż stacji kolejowej i pod wiaduktem w stronę parku. Na długo przed tym, jak znaleźli się przy wejściu do parku, chłopiec zaczął spazmatycznie kaszleć. Rita wzięła go na ręce i niosła, aż odzyskał oddech. Kiedy byli na miejscu, postawiła go na ziemię. Chłopiec

uśmiechnął się do niej.

Nie tylko oni szukali tam schronienia. Zanim dotarli do wejścia, wiele innych osób — rodziny, pary, samotni mężczyźni i kobiety — zajęło już teren parku, a niektóre spośród nich niosły poduszki, albo nawet pościel. Kiedy znaleźli się pod zamkniętą już teraz kawiarnią przy kanale, Rita ciągle jeszcze trzymała chłopca za rękę. Zajęli miejsca przy jednym z zewnętrznych stolików.

Matka zauważyła troskę Rity o jej dziecko.

— Dziękuję za pomoc. — Uśmiechnęła się. — Chyba panią polubił. Nie pozwala trzymać się za rękę zbyt wielu dorosłym. Mam na imię Flora. — Wzięła dziecko na kolana.

— Rita. — Podała rękę każdemu z osobna.

Starsza kobieta usiadła, po czym zwróciła się do Rity:

— Mam na imię Ingrid. Nie jest pani z Berlina, prawda? — Zanim Rita zdążyła odpowiedzieć, kobieta dodała: — Nie przeżyła pani nigdy nalotu. Stąd się domyśliłam.

Rita patrzyła w górę na jasne smugi bieli wytwarzane przez reflektory sunące po czarnym niebie. Następnie usłyszała odległy grzmot, który musiał oznaczać bomby lub artylerię przeciwlotniczą.

— Nie... To znaczy tak. To mój pierwszy nalot.

— Chciałabym, żeby to był mój pierwszy nalot — powiedziała młodsza kobieta.

Patrząc na chłopca siedzącego na kolanach Flory, Rita zapytała:

— Jak ma na imię?

Kiedy usłyszała błędnie „Stefan”, zaparło jej dech i powtórzyła imię do siebie.

— Nie. Ma na imię Sylvan. — Jego matka kontynuowała: — Ma cztery lata — jest duży jak na swój wiek.

Dziecko znowu zaczęło kaszleć.

— Zostało ci jeszcze trochę tego syropu na kaszel, który dostałaś w zeszłym roku od doktora Cohena? — zapytała Florę Ingrid.

— Byłam u niego w zeszłym miesiącu, ale powiedzieli mi, że go deportowali. I zrobili mi cały wykład na temat pozwalania żydowskiemu lekarzowi na leczenie aryjskiego dziecka.

— Mieli rację — skrytykowała ją Ingrid.

— Żyd czy nie, był jedynym lekarzem, który leczył cię jak człowieka. Czasami trzeba zrobić wyjątek.

Ponownie zwróciły się do Rity:

— A ty skąd jesteś, moja droga? — zapytała Ingrid.

— Z Polski, z tej części, którą w trzydziestym dziewiątym zagarnął Stalin.

Rita wyciągnęła paczkę papierosów i poczęstowała nimi swoje dwie nowe znajome. Flora, młodsza z nich, się skrzywiła.

— Führer nienawidzi tytoniu.

Była to uwaga, której nie zarejestrowała, zapalając papierosa. W przeciwnym wypadku nie brnęłaby dalej:

— Wracając do metra... I tabliczki „Żydom wstęp wzbroniony” na szlabanie. Czy w Berlinie są jeszcze Żydzi?

Kobiety odpowiedziały od razu:

— Tak, tysiące.

— Oczywiście, są wszędzie.

— Pewnie uczestniczą w tym nalocie i właśnie okradają moje mieszkanie! — dorzuciła Flora.

— To wszystko wina Goebbelsa, sprawującego rządu w Berlinie. Rząd jest dla nich zbyt



łagodny. Tysiące mieszańców i setki pełnej krwi Żydów żonaty z niemieckimi kobietami, popełniającymi zbrodnie na tle rasowym za każdym razem, kiedy idą nocą do łóżka... I nic nie można z nimi zrobić!

Rita była zdumiona.

— Dlaczego nie?

Ingrid odpowiedziała:

— To przez prawo, całkowicie niedorzeczne prawo. Wszyscy ci urzędnicy państwowi przestrzegający przepisów... Można by wziąć ich za Żydów, patrząc, jak wprowadzali w życie ustawy norymberskie. Jeśli ktoś jest Żydem w części mniejszej niż trzy czwarte albo zawarł małżeństwo z aryjczykiem lub aryjką przed 1935 rokiem, to jest nietykalny.

— Ona zna się na prawie. — Flora wskazała na swoją starszą przyjaciółkę. — Zna status każdego Żyda w naszej dzielnicy. Gdyby nie ci nietykalni, miałyby już teraz przyzwoite mieszkanie.

— Czekałam dziesięć lat. — Potwierdziła Ingrid. — Umrę, zanim kogoś stamtąd wykopią i oddadzą mi jego miejsce. Pytam was, jak długo ktoś musi być nazistą, żeby dostać to, na co zasługuje?

— Dostałaś ten piękny kołnierz z lisa z *Winterhilfe*. Nie wystarczy ci to?

— Co mi po używanym kołnierzu z lisa? Ty bez problemu dostałaś mieszkanie. Kiedy tylko ci *Ostjuden* z naprzeciwka zostali przesiedleni, pozwolili ci od razu się wprowadzić.

— To było pięć lat temu.

— Cóż, pobłażają Żydom coraz bardziej. — Starsza kobieta spojrzała na Ritę. — Nie jesteś stąd, więc nie wiesz. Ostatniej zimy próbowali wyłapać berlińskich Żydów zamężnych z niemieckimi kobietami. Ich żony przez tydzień protestowały na ulicy. I zamiast je zastrzelić, wypuścili ich mężów! Niewiarygodne!

— Tchórzliwi, niezdecydowani narodowi socjaliści, którym Goebbels pozwala rządzić Schutzpolizei. To tak samo złe jak sposób, w jaki przed wojną ugięli się pod ciężarem krwawiących serc.

— Co ma pani na myśli? — Rita nie mogła powstrzymać się przed chęcią usłyszenia dalszej części.

— Zaczynali już na poważnie eliminować społecznych pasożytów, tych, którzy jedzą, ale sami nie dają nic od siebie — niemych, upośledzonych umysłowo, „mongoloidów” i tych z wadami genetycznymi. Ale dowiedzieli się o tym pastorzy i zorganizowali protesty z udziałem praktykujących wiernych. Nie musielibyśmy żebrać o kartki żywnościowe, żeby kupić mięso, masło oraz jajka, gdyby Główny Urząd Rasy mógł wykonywać swoją pracę.

— Czego można się spodziewać po tym małym człowieczku? — Teraz już przekonywały się nawzajem, ignorując Ritę. — Dopiero co pozwolił, aby *schnorrer* wydzierali uczciwym ludziom zbiórki *Winterhilfe*. — Rita nie mogła powstrzymać uśmiechu, słysząc słowo w jidysz. Nie zwracając na nią uwagi, Flora mówiła dalej: — Kupiłaś w zeszłym tygodniu znaczek nowego ofiarodawcy? Jeśli nie będziesz go miała, w tym tygodniu każą ci zapłacić podwójnie.

Starsza kobieta kiwnęła głową.

Rita zastanawiała się: „Czy można otwarcie oczerniać Goebbelsa z powodu jego ułomności? Czy one naprawdę myślały, że był łagodny dla Żydów?”. Był to wycinek poglądów społecznych, którego nie знаła. I to słowo: *schnorrer* — żebrak. Nie miały problemu z posługiwaniem się jidysz. Nie powinna była prowokować ich do kontynuowania tego tematu, ale słuchanie tych dwóch kobiet ją zaintrygowało. Właśnie miała popełnić poważny błąd.

— Flora, Ingrid, nie rozumiem. Dwukrotnie wspominałyście przesiedlenie Żydów na wschód. Przypadek lekarza twojego dziecka oraz ludzi, którzy byli w twoim mieszkaniu, prawda,

Ingrid?

— Tak. Wszyscy Żydzi niemieckiego i nieniemieckiego pochodzenia zostali przesiedleni. Wszyscy Żydzi z terenu byłej Polski zostali przesiedleni na wschód.

— Właśnie, na wschód, ja stamtąd pochodzę. I nigdy nie widziałam tam żadnych przesiedlonych Żydów.

— Pewnie zostali przesiedleni znacznie dalej na wschód niż to miejsce, z którego pochodzisz, *liebes Kind*.

„Drogie dziecko” Ingrid było nieco złowieszcze. Jednak Rita pozbyła się wszelkich zahamowań:

— Być może. Ale w tej części Polski, z której ja pochodzę, Waffen-SS i Wehrmacht po prostu wywieźli tysiące Żydów z miast, rozstrzelali ich i pochowali w płytkich grobach.

Obydwie kobiety spojrzały na nią przerażone.

— Co ty mówisz? To najbardziej podłe oszczerstwo na temat niemieckiego Wehrmachtu i służb bezpieczeństwa, jakie kiedykolwiek słyszałam — wyrzucała z siebie słowa Ingrid.

Dołączyła do niej Flora:

— Siedzisz tutaj chroniona przed mongolskimi hordami, które bolszewicy wypuścili przeciwko niemieckim kobietom, i szargasz dobre imię naszych żołnierzy.

Obie zaczęły krzyczeć. Kobiety i mężczyźni siedzący przy najbliższych stolikach odwrócili głowy i zaczęli słuchać.

— *Polizei! Polizei!*

Kobiety wstały, krzycząc bez zahamowań. Flora przyciągnęła do siebie dzieci w geście obronnym, a Ingrid podnosiła się właśnie, żeby uderzyć albo złapać Ritę. Zaskakująco silna ręka Ingrid nagle zacisnęła się na jej przedramieniu.

Nagle wszystko zostało zagłuszone przez ryk czterech silników warkoczących pod skrzydłem lecącego zdecydowanie za nisko Avro Lancastera. Nikt nie był w stanie stwierdzić, czy samolot był uszkodzony i zaraz się rozbije czy jednak zboczył z kursu. Nieważne, sytuacja była wystarczająco absorbująca, żeby Rita mogła się wyrwać, złapać walizkę i zacząć uciekać z parku w kierunku niebezpiecznych bomb, widocznych i słyszalnych teraz nad Kurfürstendamm.

— *Thank you* — powiedziała głośno, zagłuszona przez hałas maszyn, używając jednego z niewielu angielskich wyrażeń, jakie знаła. „Lepiej już — pomyślała — ryzykować życiem w obliczu nalotu dywanowego RAF-u, niż musieć tłumaczyć się kochającej Żydów *Polizei Goebbelsa*”.

Rita dotarła biegiem do wyjścia z parku i na dworzec. Zamiast iść w stronę schronu przeciwlotniczego w metrze, postanowiła ruszyć wzdłuż torów nadziemnego S-Bahn, które skręcały na południowy zachód od dworca. Im bliżej była celu wojskowego, jakim były tory kolejowe, tym dalej od *Polizei*. Po dziesięciominutowym biegu, przerwany potrzebą złapania tchu oraz kłującym bólem w boku, znalazła się na placu z rozłupanymi i ściętymi drzewami, otoczonymi kilkoma budynkami opuszczonymi na skutek wcześniejszych bombardowań. Na końcu placu znajdowało się wejście na stację S-Bahn, a nazwa stacji „Savignyplatz” ciągle była oświetlona. Nazwa ta brzmiała dla Rity znajomo. Wtedy przypomniała sobie adres, który Magda Halle dała jej jeszcze w Krakowie. Sięgnęła do torebki i wyjęła skrawek papieru: „S-Bahn do Savignyplatz, potem dwie przecznice na zachód do Schlüterstrasse, 21” — tam znajdował się dom rodziny Halle w dzielnicy Charlottenburg. Bomby ciągle spadały, ale ich dźwięk zdecydowanie się oddalał. Rita odwróciła się w stronę, którą uznała za zachód.

Kilka minut później znalazła się przed budynkiem nr 21 na Schlüterstrasse, albo raczej tym, co z niego zostało. Numer budynku wciąż był dobrze widoczny na nadprożu wypalonych drzwi. Była to solidna budowla w stylu art nouveau, w kolorze pastelowo-brzoskwiniowym. Teraz

został już tylko tynk w kolorze poczerńiałej brzoskwini, z połamanymi białymi parapetami. Nad ścianami na drugim piętrze widać było niebieskie niebo prześwitujące przez połamane krokwie i drewniane belki. Wyniszczony parkiet opadał zamrażającym strumieniem na parter. Przez główne wejście Rita widziała schody prowadzące donikąd. Za nimi znajdowała się zwęglona tylna część budynku, było widać dziedziniec oraz duże wypalone drzewo oświetlane przez lampy uliczne, a fasada budynku rzucała cień na zbombardowane konstrukcje przy następnej ulicy. Jeśli ktokolwiek z rodziny Magdy ocalał, to z pewnością go tu nie było.

Nie pozostało jej nic innego, jak tylko dalej zwiększać odległość dzielącą ją od kobiet z Tiergarten. Po piętnastu minutach dotarła do innego, mniejszego parku, pośrodku którego nalot przeczekiwały setki ludzi, prawdopodobnie z powodu spóźnienia, a może z innych powodów, niewpuszczone na stację metra Fehrbelliner znajdującą się niedaleko parku. Rita rozłożyła płaszcz i oparła głowę o walizkę, na której szybko zasnęła.



Jeszcze zanim wszystko ucichło, Flora zaczęła popędzać Ingrid oraz dzieci, żeby wracali na stację. Pełna podniecenia chciała donieść na kobietę, która zniesławiła Wehrmacht i prawdopodobnie była Żydówką albo szpiegiem, a na pewno nie była lojalną osobą.

Poczekalnię przemierzał samotny *Orpo* — *Ordnungspolizist*. Nie było specjalnej potrzeby, żeby policja porządkowa dyscyplinowała berlińczyków, którzy ucierpieli wskutek bombardowania i teraz spali na ławkach i podłodze.

— *Herr Wachtmeister!* — zawołała Flora z drugiego końca poczekalni, budząc przy okazji kilku spośród tych, którzy jedynie drzemali. *Orpo* odwrócił się i przykładając palec do ust, wykonał uciszający gest. Następnie podszedł do kobiety.

— *Gnädige Frau?* — wyszeptał, stuknąwszy po cichu obcasami. Ze swojego powitania uczynił pytanie.

Flora zaczęła tłumaczyć:

— Chciałabym zgłosić zbrodnię, a przestępca może jeszcze być w okolicy... — rozejrzała się po poczekalni, szukając Rity na ławkach i we wnękach.

— Co to za zbrodnia, proszę pani? Kradzież, napaść?

— Nie. Zniesławienie Wehrmachtu.

Nagle *Orpo* zdał sobie sprawę, z czym ma do czynienia. Jeśli nie pokaże, że traktuje to zgłoszenie poważnie, wkrótce sam stanie się przedmiotem innej skargi, która będzie znacznie poważniejsza. Wyjął mały notes oraz ołówek, spojrział na Florę i powiedział:

— Proszę mówić.

Ona i Ingrid wyrwały się jednocześnie do odpowiedzi:

— Miała na imię Rita.

Flora kontynuowała:

— Przynajmniej tak mówiła. Nie podała nazwiska. Była ze wschodu, prawdopodobnie z Polski.

*Orpo* zapisywał wszystko uważnie.

— Rysopis?

Flora i Ingrid były na nią wściekłe. Jedna potwierdzała słowa drugiej na temat skandalicznego stwierdzenia Rity. Cóż, miał zamiar zgłosić sprawę do SS-Kripo oraz wykonać kopię dla RHSA — Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy tutaj w Berlinie. Jednak nie zamierzał przewracać do góry nogami całego dworca w poszukiwaniu kogoś, kto prawdopodobnie zdążył już uciec.



Następnego ranka Rita wróciła na Dworzec Zoo. Zanim stanęła w kolejce po nowy bilet do Lipska, rozejrzała się po poczekalni. Nie chciała spotkać Flory i Ingrid, więc zanim zaczęła szukać pociągu do Lipska, wyszukała na tablicy z rozkładem odjazdów pociąg do Magdeburga. Tym razem nie nawiązała żadnych znajomości, ani nawet kontaktu wzrokowego z nikim w kolejce. Po godzinie czekania miała już nowe bilety, tym razem bez przesiadek, bezpośrednio do samego Heidelbergu. Musiała od razu złapać pociąg. Ponieważ wczoraj odwołano pociągi na tej trasie, ten był przepełniony i aż do Lipska musiała siedzieć na walizce w korytarzu, razem z wieloma innymi pasażerami. Kiedy w końcu zajęła miejsce przy oknie, patrzyła w kierunku, z którego jechał pociąg, i przyglądała się uciekającemu krajobrazowi rolniczemu, mściwie mając nadzieję, że będzie mogła napawać się widokiem zniszczeń na trasie przejazdu wzdłuż Lipska, Jeny, Fuldy, Frankfurtu i Darmstadt, aż do Heidelbergu.

Im dalej jechał pociąg, tym bardziej rośnie jej rozczarowanie. Poza pojedynczymi mundurami, jakie mignęły jej na stacjach, przez które przejeżdżali, nie widać było prawie żadnych oznak wojny. „Sielanka” była najwłaściwszym słowem, które przychodziło jej do głowy. Ale i tak nie była przygotowana na to, co zobaczyła, kiedy pociąg przejeżdżał wzdłuż rzeki Neckar. Najpierw ukazał jej się zielony bluszcz, porastający stare kamienne mury i spadający aż na tory, a następnie majestatyczne góry, rozciągające się z dala od rzeki na północy. Potem ujrzała kamienny most z łukami i wieżyczkami, wyglądający jak z bajki dla dzieci. Przyciągał jej wzrok do momentu, gdy zobaczyła potężny zamek widniejący za oknami po drugiej stronie pociągu. Rita nie była przygotowana na widok skąpanego w porannym słońcu Heidelbergu i jego zanurzonych w blasku kamiennych murów. Piękno tego miejsca było kolejną tajemnicą w świecie, w którym nie istniały podziały kierowane rozsądkiem, sprawiedliwością, wartościami oraz zasługami. „Jakim cudem — zastanawiała się — na tym samym kontynencie co warszawskie getto może istnieć takie miejsce?”



Rita ponownie spojrzała na swoje instrukcje, zdjęła walizkę z półki bagażowej i wyszła z przedziału. Kiedy pociąg się zatrzymał, wysiadła z wagonu jako pierwsza. Po okazaniu biletu przy bramce wyszła z dworca do krainy marzeń, którą widziała z okien pociągu.

Wsiadła do tramwaju i usadowiwszy się przy oknie, podziwiała uciekające ulice, prowadzące w kierunku rzeki. Przeszła jej przez głowę myśl, że Żydówka nie miała prawa jeździć tramwajem, ale w tym momencie przepis wydawał się jej nie dotyczyć. Mała rysa na jej tożsamości. Może była na dobrej drodze do stania się Margaritą Truszenko, *Echte-Deutsche* — prawdziwą Niemką.

Oba końce mostu okalała para białych, okrągłych wieżyczek. Minąwszy jedną z nich, tramwaj przejechał przez snującą się rzekę, a potem skręcił na wschód, wzdłuż brzegu, na Neuenheimer Landstrasse. Na zalesionym zboczu wzgórza, ponad dwu- i trzypiętrowymi, pomalowanymi na lśniąco biel budynkami, znajdującymi się nad brzegiem rzeki, wznosiły się rezydencje. Rita odwróciła się, żeby ponownie zobaczyć zamek w oddali. Tuż pod poziomem ulicy, wzdłuż ścieżki biegnącej obok rzeki kobiety pchały wózki, pary beztrósko spacerowały, a starsi mężczyźni opalali się na ławkach. Mury oporowe otaczały każdą z ulic prowadzącą od rzeki w kierunku zalesionego wzgórza. Na każdym z nich widniała namalowana strzałka z napisem „*Philosophenweg*” — „Szlak filozoficzny”.

Tramwaj zatrzymał się na ostatnim przystanku.

— *Bitte, mein Herr* — powiedziała do motorniczego. — Czy może mnie pan pokierować na Schlangenweg?

— To ta mała, wąska ścieżka wiodąca pod górę. Musi się pani cofnąć jakieś pięćdziesiąt metrów.

Teraz szła już pod górę stromą, brukowaną dróżką, obok wysokich murów z piaskowca w kolorze miodu i obrosniętych bluszczem. Ścieżka oddalała się od rzeki w taki sposób, że główna droga nie była już widoczna. Rita nagle poczuła, że idzie przez labirynt prowadzący coraz to wyżej i otoczony z obu stron wysokimi murami. Ani przed nią, ani za nią nie było żadnego wyjścia. Właśnie wtedy zauważyła schody, a po ich prawej stronie bramę. Zatem dotarła pod tylne wejście do budynku przy Werrgasse 48. Przykazano jej, żeby nie przychodziła pod frontowe drzwi, ale weszła od tej strony. Rita odstawiła walizkę, otworzyła oburącz bramę i weszła do środka.

Tam zobaczyła na oko dziewięcioletnią dziewczynkę bijącą małego chłopca z pokrytymi błotem kolanami i przedramionami, podczas gdy kolejna dwójka dzieci patrzyła i się śmiała. Zobaczywszy ją, starsze dziecko odwróciło się w stronę domu i krzyknęło:

— Nowa *Ostie* przyszła.

Dzieci przestały się bić i zaczęły wołać chórkami: „*Ostie, Ostie, Ostie!*”. Nawet w głosie tych najmłodszych z każdym powtórzeniem tego słowa słychać było coraz większą drwinę, aż w końcu przez tylne drzwi wyszła kobieta, żeby je uciszyć.

— Dzieci, to nie jest *Ostie*. Ta dziewczyna to prawie aryjka, jest volksdeutschem. A to duża różnica.

Kobieta była średniego wzrostu, otyła, miała puciołowatą twarz i jaśniejsze od Rity blond włosy oraz dużo ciemniejsze, nadmiernie wyskubane brwi, szeroko otwarte zielone oczy, zbyt wyrazistą szminkę i ciężki, złoty łańcuch nad wydzierganą na szydełku błękitną sukienką. Na każdej ręce miała po kilka pierścionków, na jednym nadgarstku bransoletkę, a na drugim zegarek. Nawet z tej odległości Ricie rzucił się w oczy przypięty na piersi znaczek ze swastyką.

— Proszę tędy. — Poprowadziła ją do środka, a za nimi weszła czwórka dzieci, które bawiły się na zewnątrz. Kobieta mówiła nieprzerwanie. — Dzieci są odrobinę zdezorientowane. Ostatnia dziewczyna była *Ostarbeiter*, miała niebieską naszywkę<sup>[3]</sup> i w ogóle. Znalazłam ją przez NS-Frauenchaft — Narodowosocjalistyczną Wspólnotę Kobiet. Musiałam ją odesłać. Była zbyt słaba i chorowita. Szczerze powiedziawszy, podejrzewałam, że może być Żydówką. Ale nie miałam dowodów. — Właśnie weszły do pokoju gościnnego i pani domu odwróciła się do niej. — Pozwól, że przedstawimy się sobie oficjalnie. — Odchrząknęła. — *Heil Hitler*. — Podniosła rękę do sufitu. — Nazywam się *Frau Lempke*, a ty jesteś...?

Rita nie miała wyboru.

— *Heil Hitler*. Nazywam się Margarita Truszenko.

— Poproszę twoje dokumenty. Nigdy zbyt wiele ostrożności.

Rita wyjęła je z torebki i wręczyła kobiecie. *Frau Lempke* założyła okulary i zaczęła je przeglądać. Dla Rity, która widziała już wielokrotnie, jak sprawdzano jej dokumenty, było oczywiste, że ta kobieta nie wiedziała, czego szuka, ani nawet, na co dokładnie patrzy. Ale to dobrze.

— W porządku. A teraz poznaj moją gromadkę.

[3] Niebieska naszywka z białym napisem „OST”, noszona przez ostarbeiterów (przyp. tłum.).

## Rozdział 29

— Oto moje trzy najstarsze córki, panny Renu, Flossie, Gunde oraz Brone. Flossie ma dziewięć lat. — W tym momencie *Frau Lempke* przeszkodziła jedna z dziewczynek, która powtórzyła przywitanie matki „*Heil Hitler*” w tak głośnej tonacji, że sugerowało ono niepokój lub niezdolność panowania nad głosem. Miała naszywkę *Jungmädelsbund*, którą wypchnęła w przód, salutując. Od Rity oczekiwano, że powtórzy ten gest, więc także zasalutowała. Pozostałe dwie dziewczynki dygnęły lekko w trakcie przedstawiania. Miały sześć i siedem lat.

— Ten duży chłopiec nazywa się Horst. Ma pięć lat. — Duży chłopiec ciągle nosił pieluchę. Najwidoczniej nie był jeszcze oduczony. — Niemowlęta śpią w pokoju dzieciennym. — Klasnęła dwukrotnie w dłonie i dzieci się rozpierchły. „Niemowlęta? Lempke nie mówił nic o niemowlętach”.

— Usiądź proszę, wyjaśnię ci twoje obowiązki, a potem pokażę dom.

Obowiązki znacznie przewyższały możliwości fizyczne i organizacyjne jednej osoby. Tym samym *Frau Lempke* udowodniła, że sama nie ma pojęcia o zajmowaniu się domem oraz o tym, jakie to trudne oraz czasochłonne. W domu było dziesięć pokoi — w sześciu były zasłony i dywany wymagające odkurzania i trzepania — oraz piec węglowy, w którym trzeba było napalić i który produkował sadzę osiadającą na dywanach, a poza tym służył też do podgrzewania wody, niezbędnej do prania trzech zestawów pieluch. W kuchni obowiązywały zasady przygotowywania posiłków zgodne z odnoszonymi się do marnotrawstwa żywności wskazówkami Rzeszy, reprezentowanymi przez *Reichseierkarte* — książkę kartek żywnościowych, nazywaną tak z powodu restrykcji odnoszących się do konsumpcji jajek.

Ogród uzupełniał racje z książki z kartkami żywnościowymi, ale wymagał odchwaszczenia, podlania oraz nawozu przeciwko robactwu. Był tam też niewielki sad z kilkunastoma drzewami, których owoce miały zostać zapuszkowane oraz przerobione na przetwory przed zbliżającą się zimą.

— Pokonanie Rosjan może zająć jeszcze wiele lat, Rito. Tak będę cię nazywać. *Fräulein Truszenko* jest zbyt oficjalne. Ty możesz się do mnie zwracać per *Frau L*.

Kolejne obowiązki: kiedy *Herr L* bywał w domu, trzeba było prasować jego koszule — co nie było dla Rity niczym nowym — oraz robić pranie dla reszty rodziny, przy użyciu stojącej w piwnicy balii wyposażonej w najnowocześniejszą ręczną wyżymaczkę.

— Zobaczysz ją, kiedy zejdiesz do swojego pokoju w piwnicy — dodała *Frau L*.

Rundka po domu zaprowadziła je na drugie piętro. Był tam pokój dziecienny, urządzona w stylu rokoko biblioteczka pełna odpowiednich, ale najwidoczniej nieczytanych książek, pracownia krawiecka, zakurzona z powodu braku użytkowania w takim samym stopniu jak biblioteczka, oraz główna sypialnia w domu, w której niezasłane podwójne łóżko zarzucało Ricie miganie się od pracy, której jeszcze nie zaczęła. Wróciwszy na dół, weszły do dużej kuchni, z wewnętrzną ręczną pompą oraz piecem opalonym drewnem. W końcu dotarły do schodów prowadzących do piwnicy, które *Frau L* wskazała palcem, nie racząc nawet iść dalej.

— Rito, proszę, zacznij, gdy już się rozpakujesz. Drugie śniadanie o pierwszej. Należy przestrzegać wojennej książki kucharskiej NS-Frauensschaft.

Rita pojęła, że „NS” było skrótem od „narodowego socjalizmu”, łagodniejszego określenia nazizmu.



Na górze schodów Rita zapaliła lampę naftową i ruszyła na dół do ciemnej piwnicy. Pierwszymi rzeczami, jakie zobaczyła, były balie do prania i wspomniana wyżymaczka do ubrań, piec węglowy z wiadrem i skrzynią na węgiel, a dalej drzwi. Rita pchnęła je i ukazał jej się słabo umeblowany pokój bez okna: łóżko stojące przy ścianie obok pieca, biurko z miękkiego drewna, mające więcej szuflad niż potrzebowała — a żadna z nich nie otwierała się płynnie — mały stolczyk na lampę naftową i drewniane krzesło. Pod łóżkiem, które tak samo jak to na górze nie zostało zaścielone, Rita znalazła nocnik. Wyjęła go spod materaca i zobaczyła złożoną wpół kartkę papieru. Rozłożyła ją i zaczęła czytać. Liścik był napisany poprawną polszczyzną:

*Do mojej następczyni:*

*Frau L nigdy tu nie schodzi, zresztą i tak nie zmusiłaby się do dotknięcia nocnika, więc jestem pewna, że ten list trafi do Ciebie w nienaruszonym stanie. Oto kilka wskazówek, które pozwolą Ci tutaj przetrwać dłużej niż mi.*

*Kradnij! To jedyny sposób na przeżycie. Kradnij najlepsze kawałki mięsa lub warzywa z okropnej zupy, którą musisz im codziennie gotować. Zjadaj wszystkie pozostawione na talerzach resztki. Nie pozwól, żeby zobaczyli jakikolwiek leżący pod drzewem owoc. Zjadaj go natychmiast. Kiedy pójdziesz na targ, zawsze możesz zwinąć jakieś jedzenie, zanim wrócisz z nim do domu. Ale nie kombinuj, jeśli chodzi o zmienianie pieluch, bo skończysz z dzieckiem cierpiącym na wysypkę od mokrej pieluchy. Frau L nigdy nie będzie wstawać do nich w nocy.*

*Uważaj na Flossie. Szpieguje i mówi matce o wszystkim, co zobaczy, a jeśli Cię na niczym nie złapie, to zmyśla. Jeśli zobaczy, że wychodzisz z domu bez naszywki OST, powie o wszystkim matce.*

*Kiedy Lempke wyjeżdża na zimę, możesz palić do woli. Frau L lubi ciepło i nie wie, ile zużywasz węgla ani ile on kosztuje. Dla członków partii nie jest racjonowany.*

*Powodzenia!*

Ta kobieta z pewnością nie była zwykłą wieśniaczką *Ostie*. Podejrzenia *Frau L* prawdopodobnie były słuszne. Jednak jako *Ostarbeiter* musiała być na ograniczonych prawach. Czy *volksdeutsch* też będzie na nie skazana?

Rita zapaliła papierosa i spaliła liścik w popielniczce. To była dla niej ostatnia tego dnia szansa, żeby usiąść i zapalić papierosa. Spojrzawszy na popiół, zdała sobie sprawę, że musi napisać do Dani. Kupiła po drodze pocztówkę, żeby to zrobić. Teraz wyjęła ją z torby i szybko napisała linijkę dla cenzorów:

*Świetnie się bawię, szkoda, że Cię tu nie ma. Przyślij mi jakieś wieści pod ten adres.*

*Pozdrawiam*

*R.*

Odpowiedź nigdy nie dotarła. Tydzień później zebrała się na odwagę, żeby napisać do Magdy Halle. Przyszła pocztówka zwrotna, także napisana z uwzględnieniem niemieckich cenzorów:

*Daniela Nowicka wzięła urlop tydzień po Tobie. Odwiedza Warszawę.*

*Pozdrawiam*

*Magda Halle*

Zanim Rita otrzymała tę kartkę, zdążyła już sobie zorganizować pewien porządek dnia. Utrzymanie domu w czystości było niewykonalne ani dla jednej osoby, ani nawet dla trzech. Wszędzie trzeba było szukać łatwiejszego sposobu, który dobra gospośnia zauważyłaby od razu. Można było na przykład bardzo głośno trzepać dywaniki, nie wkładając w to zbyt wiele wysiłku. Odwracanie prześcieradeł na drugą stronę zamiast wymieniania ich na nowe także pozostało niezauważone przez *Frau L.* Nikt nie oglądał boazerii, żeby sprawdzić, czy jest zakurzona. Podkradanie jedzenia w trakcie gotowania było proste, a jeśli wykonywało się w kierunku Flossie wystarczająco często gest „*Heil Hitler*”, męczyła się zabawą i zostawiała cię w spokoju. Do trudniejszych zajęć należało niemal codzienne przewożenie *Lebensmittel* — jedzenia, często z samego targu za rzeką — w zabawkowym wózku w górę stromej *Schlangenweg*, wielokrotne spieranie amoniaku z pieluch bez wybielacza lub chociaż wystarczającej ilości proszku do prania — jak się okazało, był to towar deficytowy nawet dla członków elity partyjnej — oraz niekończące się puszki owoców, które zaczęło się jesienią. Ani jedna brzoskwinia, jabłko czy śliwka nie mogły zostać utracone na rzecz wiewiórek lub myszy polnych. Zjedzenie leżących na ziemi owoców przez gospośnię również nie należało do łatwych rzeczy, jako że dzieci zostały mianowane strażnikami sadu. *Frau L.* liczyła słoiki na każdym etapie przygotowywania przetworów, aby wiedzieć, kiedy jakiś zginie. Trzymała w tym celu mały notes, w którym zapisywała dla pewności stan słoików.



*Frau L.* była patriotką, która urodziła dla Führera sześcioro dzieci w ciągu dziewięciu lat. Pięcioro dzieci upoważniało rodzinę do otrzymywania znaczącej dziennej ilości mleka oraz jednego jajka tygodniowo na każde z nich. Szóste dziecko zapewniało jej dwukrotność racji. Jednak to *Frau L.* miała jak najlepiej rozdzielić tę niewielką ilość towarów na korzyść Rzeszy.

Pani domu często zabawiała sąsiadów:

— Rito, podaj do salonu herbatę z mlekiem, *sofort*.

— Proszę na słowo, *Frau L.*

— O co chodzi? Nie widzisz, że mam gości? — pani domu fuknęła na Ritę stojącą w



drzwiach salonu.

- Zostało nam tylko pół litra mleka, a dzieci nie jadły jeszcze kolacji — szepnęła Rita.
- Rób co ci każe. — *Frau L* odwróciła się i wróciła do gości.



Kilka dni później pani domu weszła do kuchni zamaszystym krokiem.

- Rito, dzieci chcą dziś na śniadanie gotowane jajka.
  - Nie mamy już jajek, proszę pani.
  - Wczoraj były dwa. Ukradłaś je? — Rozgniewała się *Frau Lempke*.
  - W jaki sposób Rita miała jej przypomnieć, że zamówiła sobie dzień wcześniej omlet?
  - Była pani wczoraj niedysponowana i potrzebowała jajek, pamięta pani, *Frau L*?
  - A, tak. W takim razie dzieci będą musiały uzbroić się w cierpliwość.
- Odwróciła się i wyszła z kuchni.



Cztery razy w tygodniu przychodziła guwernantka, która dawała lekcje starszym dzieciom, a do bliźniaków, osiemnastomiesięcznych niemowląt, ciągle jeszcze przychodziła mamka. Rita była świadkiem tego, jak kobiety przychodzą i wychodzą. Żadna z nich nie była zainteresowana podejmowaniem rozmowy ze służącą. Pierwsza była wzorową nazistką, a druga niewykształconą dziewczyną z okolicy. Od czasu do czasu Rita marzyła, żeby zostać sam na sam z dziećmi, żeby chociaż móc wyleczyć je z zabawy w prześladowanie Żydów. Najbardziej bano się w tym domu tego, że Żyd z nazistowskich karykatur będzie czał się pod łóżkiem, gotowy zanieść cię na wschód.

Pewnego dnia na początku czerwca Rita była na tyłach ogrodu i składała ostatnią część pościeli, patrząc na cienie rzucane na zamek stojący nad rzeką Neckar. Najpierw ściany murów, a potem balkony, zwieńczona blankami wieża, wieża warowna oraz wieża zegarowa zostały oświetlone na złoto, na fioletowo, aż w końcu całość stała się niewyraźną romantyczną bryłą w pogłębiającym się mroku. Na tyły domu wyszła *Frau L*, która zobaczyła zarówno piękny widok, jak i zachwyt gosposi, a to ostatnie było charakterystyczne raczej dla dystygowanych osób.

- Rito. — *Frau L* przestraszyła ją.

„Co znowu? — pomyślała Rita. — Zapomniałam o czymś?“. Zaczęła wertować w głowie listę obowiązków. Ale nagle usłyszała:

- Chodź do kuchni i napij się ze mną herbaty.

Rita przygotowała herbatę z odrobiną mleka, a *Frau L* zaczęła rozmowę:

— Miło mieć w domu wrażliwą osobę. Powiedz mi, tak dobrze mówisz po niemiecku, musiałaś używać go od urodzenia.

— Obydwie babcie mojej *Mutti* były Niemkami i jej matka też mówiła po niemiecku — improwizowała Rita. Wiedziała, że historia musi być spójna. — Od urodzenia mówiła do mnie po niemiecku, podczas gdy wszyscy inni mówili po polsku.

- Co się z nią stało?

— Och, Rosjanie wysłali ją razem z resztą rodziny na Syberię, kiedy zajęli wschodnią część Polski. Myśleli, że ja jestem tylko barmanką w hotelu, więc zostawili mnie tam, kiedy go przejmowali.

- Żydzi musieli oszaleć, kiedy wtargnęli bolszewicy.

„Bądź ostrożna, Rito”.

- Właściwie to w naszym mieście było ich niewielu.

— Widziałaś kiedykolwiek tych okropnych *Ostjuden*? Tych pokazywanych w kronikach filmowych — śniadych, z pulchnymi nosami, w krzykliwych krawatach i garniturach z długimi marynarkami, mającymi wywatowane ramiona, jak u czarnych ludzi. Albo tych z długimi brodami w wielkich kapeluszach i płaszczach do samej ziemi.

*Frau L* przeszkodziła sobie teraz swoimi własnymi wyobrażeniami. I przesyłał ją dreszcz.

— Widziałam kilku religijnych Żydów w Warszawie, kiedy byłam tam przed wojną. Tutaj w Heidelbergu nie było Żydów? — I oto zrobiła to, czego obiecywała sobie nie robić: zadała podchwytliwe pytanie. Dlaczego nie potrafiła utrzymać języka za zębami?

— Ach, tak. Ale wszyscy byli profesorami, lekarzami albo prawnikami. Nie można było odróżnić ich od reszty. Właściwie to stanowiło główny problem. Obsadzali wszystkie najlepsze stanowiska na uniwersytecie. Dla Niemca nie było tam miejsca. W każdym razie wszyscy wyjechali lata temu do Ameryki.

*Frau Lempke* zawahała się. Miała ważne powody, aby odbyć tę rozmowę, i nie chodziło jej o to, żeby poznać biografię Rity. Ewidentnie chciała ją o coś spytać, ale nie mogła się na to zdobyć. „O co mogło chodzić?” — zastanawiała się Rita.

W końcu pani domu zdobyła się na odwagę i zaczęła od nowa:

— Rito, bardzo się boję o dzieci. Jeśli przegramy wojnę... To znaczy, jeśli dotrą tu Rosjanie... A już są w Polsce... — Rita nie zamierzała przerywać ani podważać jej toku rozumowania. — Mam na myśli to, że doświadczyłaś życia pod nimi. Jak to wyglądało? Co z nami będzie? Co powinnam zrobić?

Nagle Rita wszystko zrozumiała. Nie chodziło o dzieci, ojczyznę ani partię Führera — to nie o to się martwiła. Była absolutnie przerażona perspektywą przemocy seksualnej — gwałtu z rąk radzieckich żołnierzy z Mongolii. To była największa zhora *Frau Lempke*.

Co powinna odpowiedzieć? Co ta kobieta chciała od niej usłyszeć? Czy Rita mogła ją przestraszyć, nie ponosząc żadnych konsekwencji? Podobna prowokacja już przysporzyła jej kłopotów w Warszawie, a potem w Berlinie. Lepiej jeśli zwróci się do kobiety, jaką *Frau L* pragnęła być.

— *Frau L*, oczywiście najpierw będzie pani myśleć o dzieciach i musi się pani przygotować na najgorsze. — Przerwała, żeby dać *Frau L* możliwość wyobrażenia sobie najgorszego. — Nie może pani pozwolić, żeby pani najbliżsi dostali się w ręce Mongołów. Takie piękne dzieci należy chronić przed tymi potworami za wszelką cenę. — Rita ściszyła nieco głos.

*Frau Lempke* kiwała głową z pełną żalu akceptacją tej mądrej rady.

— Być może uda mi się zasięgnąć porady u NS-Frauenschaft.

— To bardzo dobry pomysł, *Frau L*!



Usłyszawszy kilka dni później o lądowaniu aliantów w Normandii, *Frau Lempke* mogła się pocieszać, że ta część Rzeszy zostanie zajęta przez brytyjskich i amerykańskich żołnierzy, a nie azjatyckie hordy Armii Czerwonej. *Angst* spowodowany rosyjską okupacją zmalał w związku z nadzieją na to, że Führer znajdzie sposób, by zjednoczyć się z zachodnimi aliantami przeciwko Rosjanom i zatrzymać ich na polskiej granicy. To z pewnością nie wykraczało ponad jego geniusz polityczny. *Frau Lempke* niejednokrotnie mówiła o tym na głos. Czy Rita zostanie zbesztana za to, że niepotrzebnie ją nastraszyła?

W połowie lipca najgorsze obawy *Frau L* wróciły. Rosjanie wciąż szybko przemieszczali się na zachód. Przed końcem sierpnia zdążyli już zająć całą Polskę aż po Wisłę i byli gotowi na zajęcie Warszawy. W tym czasie tempo aliantów z Normandii zmalało. Pewnego ranka,

sprzątając w łazience na górze, Rita zauważyła pojawienie się w apteczce szklanej buteleczki z siedmioma kapsułkami cyjanku. Czy to taką fachową poradę otrzymała *Frau L*? Wtedy właśnie Rosjanie zatrzymali się po dotarciu do Wisły. Czyżby Niemcy jednak zdołali stworzyć barierę obronną?



Wczesną jesienią rozpoczęły się zajęcia na uniwersytecie. Choć jej dzień roboczy obejmował czas od szóstej do dwudziestej trzeciej, Rita miała wolne czwartkowe popołudnia i wieczory. Koniecznie musiała wydostać się z domu, w przeciwnym razie nawet te kilka godzin byłoby zaprzepaszczone. Z powodu braku wystarczającej ilości pieniędzy oraz braku zainteresowania niemieckimi filmami lub kronikami filmowymi *Deutsche Wochenschau* nie miała pojęcia, dokąd iść. „Czy udałoby mi się pozostać niezauważoną na sali wykładowej?” — zastanawiała się. Prawdopodobnie będzie ona zapełniona głównie przez kobiety, rannych oraz tych, którzy z innej przyczyny byli niezdolni do uczestniczenia w wojnie. Wstęp na wykłady był wolny i miało być na nich wielu uczestników, siedzących jeden obok drugiego, a jeśli rzeczywiście będą na nich aż takie tłumy, to pozostanie anonimowa. Przede wszystkim liczyła na to, że uniwersytet stanie się ratunkiem przed wszechobecną monotonią narodowego socjalizmu. Rita nie mogła wiedzieć, że uniwersytet w Heidelbergu był jednym z najbardziej nazistowskich w całych Niemczech.

Zastanawiając się, na jakie pójść wykłady, zdała sobie sprawę, że obecnie najbardziej chciała poznać lepiej nauki przyrodnicze — a właściwie biologię. Musiała się dowiedzieć, czy ktokolwiek na Wydziale Biologii odbierał teorie Darwina tak jak ona. W swoje pierwsze wolne czwartkowe popołudnie znalazła się na wykładzie z podstaw systematyki biologicznej. Rozglądała się za miejscem z tyłu sali, kiedy do auli wszedł wykładowca. Słuchacze zgromadzeni w auli wstali. Wykładowca podniósł rękę ku niebu, na wzór Führera, i wydał z siebie okrzyk „*Heil Hitler!*”. Audytorium mu odpowiedziało, powtarzając powitanie jak jeden mąż. „To by było tyle, jeśli chodzi o obiektywne nauki ścisłe” — pomyślała Rita.

Wykładowca rozejrzał się po sali. Zdjął okulary i je wyczyścił.

— Nazywam się Gerhard Heberer. Jestem profesorem antropologii i biologii ogólnej na Uniwersytecie w Jenie oraz Untersturmführerem w SS. Dzięki tutejszemu Wydziałowi Biologii mam zaszczyt wygłosić serię wykładów na temat ewolucji i rasy.

Po tych słowach Heberer spojrział w dół i zaczął czytać na głos. Jego wykład na temat ewolucji w niczym nie przypominał tego, co Rita czytała wielokrotnie w tych samych książkach, które cytował. Heberer nie wspominał nawet o wariacji, przypadku i wymieraniu gatunków. Za to miał bardzo dużo do powiedzenia na temat postępu, czystości rasowej i mieszania się ras. Czytając swoje notatki, Heberer wkładał i wyjmował slajdy z projektora. Przedstawiały one różnice rasowe i przewagę rasy aryjskiej, pokazywaną na przykładzie budowy czaszek, kości udowych oraz miednic różnych ssaków z rzędu naczelnych, wykresu pojemności czaszek, wymiarów czoła, podbródków i nosów oraz średnich wartości wzrostu i proporcji rąk względem ciała. O tym wszystkim mówił, podpierając się dywagacjami na temat ras afrykańskich i semickich. Wreszcie doprowadził wykład do końca, puentując go wezwaniem niemieckiej młodzieży do zasłużenia sobie na swoją wyższość nad innymi stworzeniami.

Rita wychodziła z auli, ponownie myśląc: „I to tyle, jeśli chodzi o nauki ścisłe na tym uniwersytecie”. Miała jeszcze czas pójść na jeden wykład, zanim będzie musiała wrócić do domu państwa Lempke.



Unterscharführer Otto Schulke stał w drzwiach sali zoologicznej. Powinien delectować się swoim szczęściem. Po kilku przedwojennych latach spędzonych w Wehrmachcie zwolniono go z baterii pułku artylerii z powodu utraty słuchu w wyniku przebywania zbyt blisko wylotu haubicy. Jego aktywność w Hitlerjugend oraz służba jego ojca w *Ordpolizei* — miejskiej policji — w Mannheim wystarczyły, żeby tuż po nasileniu działań wojennych latem 1941 roku załatwić mu reprezentacyjną służbę w uszczuplonym Gestapo w Heidelbergu. Przyzwoita pensja, długi, czarny skórzany płaszcz, luger pod ręką, możliwość zadawania bezczelnych pytań — to wszystko powinno mu wystarczyć.

Jednak źródeł jego frustracji było wiele i bardzo łatwo przykrywały jakiegokolwiek życiowe powodzenia. Otto Schulke nie należał do szczęśliwych policjantów. W ogóle nie wyglądał jak policjant — miał zbyt okrągłą twarz i nie musiał golić się częściej niż raz w tygodniu, bez względu na to, jak często chciał to robić. Był zbyt pulchny — nawet racjonowanie żywności nie pozwoliło mu pozbyć się tłuszczu z czasów dziecięcej otyłości. Był także zbyt drobiazgowy jak na pracownika policji — często mył ręce i przycinał skórki przy paznokciach. Nie mógł nad tym zapanować. Przydział do służb wewnętrznych w dzielnicy uniwersyteckiej był dogłębnie męczący. Wszystkie te śmiejące się z niego ironicznie kobiety, ranni weterani, których nie dało się zastraszyć, oraz obiboki, które znalazły sposób, żeby wymigać się od służby. Ci byli najgorsi — byli wrogami stanu. Zasługiwali co najmniej na małe uprzykrzenie życia. Był skłonny im to zapewnić.

— Dokumenty! — Schulke stał przed głównym wejściem do budynku Wydziału Biologii i wygłaszał swoje żądanie.

Rozkazał zamknąć dwie pary bocznych drzwi, żeby wszyscy, kiedy będą wychodzić, musieli przejść przez jego osobistą, szczegółową kontrolę dokumentów. Słyszał narzekania szukających swoich dowodów tożsamości studentów, stojących w kolejce, która ciągnęła się po schodach aż do sali wykładowej: „Spóźnię się na następny wykład...”, „Ostatni tramwaj do domu...”, „W sklepach nie zostanie już nic na kolację.” Zaczynał odczuwać coraz większą satysfakcję. Gdyby znał wyrażenie „mile połączany”, z pewnością by go użył. Dręczenie tych darmozjadów to jedyne, co mógł zrobić dla Führera.

Jednak teraz miał przed sobą kogoś dużo bardziej interesującego niż kolejne dziecko profesora patrzące na niego z nienawiścią klasową i pogardą intelektualisty. Dziewczyna była wyraźnie przestraszona. Drżała jej ręka, kiedy podawała ausweis ze spuszczonego wzrokiem. Była biedna — miała znoszony płaszcz i podniszczone buty. Zauważał takie rzeczy. Sam też kiedyś był biednym chłopcem. No i była cierpliwa, nie zabierała dokumentu, nie mówiła sarkastycznie, nie okazywała żadnej niechęci. Schulke skierował wzrok z jej twarzy na zdjęcie i z powrotem. Były takie same. Spojrzał ponownie w dół i zobaczył warszawski meldunek, a następnie wzmiankę o policyjnym zameldowaniu w Krakowie. Spojrzał w górę.

— Volksdeutsch?

Rita kiwnęła głową.

— Co pani tam robiła? — Wskazał wzrokiem na aulę wykładową. — Chciała się pani ogrzać?

Przytaknęła. „Dlaczego musiałem jej pomóc?” — zapytał sam siebie. „Nigdy nie będę dobrym policjantem”.

— Jak dotąd nie widziałem *Ostie* na uniwerku. Co pani tu robiła?

— Tak jak pan powiedział. Zabijałam tylko czas — odpowiedziała służalczym tonem

Rita.

Schulke wyjął notes. Tym razem będzie mądrym policjantem. Pracowicie spisał jej

szczegółowe dane, podczas gdy stojący za nią studenci coraz głośniejszym głosem wyrażali swoją irytację.

— Adres?

Rita wymamrotała numer na ulicy Schlangenweg. Oddał jej identyfikator i wskazał wyjście.

„Co teraz?”. Rita przeszła przez drzwi i zeszła po schodach, zastanawiając się, czy *Kontrolle* — kontrola dokumentów — była czymś, czym należało się martwić. „Jaka jest najmniej podejrzana rzecz, którą mogę teraz zrobić? Po prostu rób to, co zamierzałaś”. Skrzyła w kierunku budynku Wydziału Filozofii.

## Rozdział 30

Rita obserwowała młodego mężczyznę, który po cichu wynurzył się z wejścia dla wykładowców na klatce schodowej w korytarzu. Kiedy to zrobił, studenci zaczęli usadzać się na brzegach siedzeń, gotowi zerwać się z miejsc w harmonijnym geście zwycięstwa „*Sieg Heil*”. Jednak wykładowca podniósł ręce, powstrzymując ich, i powiedział:

— Drodzy studenci, nazywam się Eugen Fricker, jestem docentem filozofii. Niedawno minęło dziesięć lat od przemówienia ówczesnego rektora Uniwersytetu we Fryburgu, Martina Heideggera, na temat naszego wielkiego wyzwania, żeby zjednoczyć uniwersytet w nowym niemieckim duchu narodowego socjalizmu, którego pochodnię niesie sam Führer, Adolf Hitler!

W tym momencie, kierowani niepowstrzymanym entuzjazmem, wszyscy jednocześnie wstali, podnosząc ręce w obowiązkowym geście jedności. Rita przyłączyła się, niemal śmiejąc się z komizmu swojej podniesionej ręki i okrzyku, który z siebie wydała.

Fricker spojrzał w swoje notatki i zaczął czytać. Rita z początku słuchała, przypominając sobie idee, o których czytała w odległej bibliotece filozoficznej w Krakowie. Jednak wraz z kolejnymi stronami odwracanymi przez gładzącego Frickera coraz trudniej było jej się skoncentrować na słowach niosących się z podium. Z dźwięku szeleszczących kartek oraz szeptaniny można było wywnioskować, że większość studentów wokół niej straciło zainteresowanie jego słowami. Raz czy dwa któryś siedzący kilka rzędów niżej szczególnie gorliwy student — a może gorliwy nazista? — odwracał się w lewo i prawo, żądając teatralnym szeptem ciszy i szacunku. Rita postanowiła, że spróbuje się skupić, żeby wynieść cokolwiek z tego wykładu. Ale monotony głos Frickera był hipnotyzujący. Jej powieki zamykały się raz za razem i nie mogła nad nimi zapanować. Kilka razy uderzyła podbródkiem w klatkę piersiową, co gwałtownie wyrwało ją z drzemki. W pewnym momencie siedząca obok młoda kobieta nadepnęła na jej stopę. Rita się obudziła — Fricker patrzył prosto na nią... A przynajmniej tak jej się przez chwilę wydawało. Ukradkiem spojrzała na zegarek — piętnaście minut do końca, dwanaście... pięć.

Odwróciwszy ostatnią stronę notatek, Fricker rozejrzał się po sali i zakończył wykład słowami:

— Rektor Heidegger twierdził, że przeznaczeniem niemieckiego *Volk* jest przywrócenie filozofii na właściwą drogę, z której zbłądzili Grecy; wyprowadzenie jej z błędu, w który Żydzi wmanewrowali europejską cywilizację. To nasz Führer oraz partia narodowego socjalizmu wzięli w swoje ręce los naszego prawdziwego istnienia, nasze dusze, nasze *Dasein*. — Głos wykładowcy przybierał na sile z każdym słowem. — To on zmobilizował samą filozofię, żeby zniszczyć bliźniaczych wrogów istnienia: bolszewizm na wschodzie oraz materialistyczną plutokrację na zachodzie.

Teraz Fricker się uspokoił, wyczerpany retoryką, prawie imitując zmęczenie Führera w trakcie kulminacyjnego momentu przemówienia. Pochylił głowę tak, żeby jego szerokie czoło błyszczało w blasku światła skierowanych na podium. Studenci wstali jednocześnie, ostatecznie uwolnieni od zwykłej filozofii przez wezwanie do historycznego obowiązku wagi światowej, żeby zatriumfować nad niemieckimi wrogami. Po raz kolejny w auli rozległy się okrzyki „*Heil Hitler!*”. Następnie studenci zaczęli opuszczać salę.



Wychodząc z uniwersytetu, Rita czuła, że musi oczyścić swój umysł z mrocznego potoku słów, którym została zalana. Dlatego wracając przez most, pozwoliła, żeby wielokolorowe rybie łuski — srebrne, złote i fioletowe — błyszczące w nurcie Neckaru w świetle zachodzącego, południowego słońca odwróciły jej uwagę. Rita sprawnie wspięła się w górę Schlangenweg i otworzyła bramę do tylnego ogrodu. Po cichu weszła do kuchni. Tam zastała *Frau Lempke*, najwidoczniej oczekującą jej powrotu i w karykaturalnym geście zniecierpliwienia stukającą stopą.

— *Fräulein* Truszenko, co pani robiła dzisiaj na uniwersytecie? — Jej ton był oficjalny. Nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej: — Miejscowe Gestapo złożyło mi wizytę, bardzo dziękuję! Przez całe życie ani razu nie miałam kłopotów, a teraz... — *Frau Lempke* natychmiast pochłonęło jej własne rozgoryczenie.

Rita bardzo się starała wyglądać niewinnie.

— Zrobiłam coś złego, *Frau L*? Chciałam się tylko trochę doksztalcić. — W głowie dzwonił jej dzwonek alarmowy, ale musiała zachować spokój.

— Oficer przyszedł potwierdzić twoje nazwisko, pozwolenie na pracę i adres. To wszystko. Ale to taki wstyd zostać wezwaną przez policję, jak gdybym zrobiła coś złego. — Kobieta dosłownie trzęsła się z zażenowania, przeżywając na nowo wizytę gestapowca. — Powiedziałam mu to, co chciał wiedzieć. — Spojrzała na Ritę najsurowiej, jak potrafiła. — A teraz powiedz mi, dlaczego córka hotelarza ze wschodu, *Ostarbeiter*, zakrada się do instytucji wyższej edukacji, pyszniąc się i próbując brać się za rzeczy, które są poza jej zasięgiem? — Dalej stukała stopą, choć na chwilę przestała mówić. — A może jednak nie jesteś tą, za którą się podajesz? Być może jesteś jedną z tych nadętych, wykształconych, zeuropeizowanych Żydówek, udającą gojkę, ale ostatecznie nie potrafiącą zamaskować swojej prawdziwej tożsamości kosmopolitki?

Rita była zaskoczona erudycją *Frau Lempke*. „Kosmopolitka”, rzeczywiście. Jedna z możliwości ją przerażała, ale druga mogła być ostatnią deską ratunku. Mogłaby zdać się na łaskę dobrodziejki oraz wyrazić pragnienie podniesienia się ze swojej pozycji społecznej i chęć czerpania korzyści z kontaktu z prawdziwą niemiecką kulturą, być może nawet mogłaby powołać się na filozofię nazistowską. Czym była odrobina abnegacji po tych wszystkich latach?

— Ma pani rację, *Frau Lempke*... Nie miałam prawa tam być. Ale nie zajmowałam miejsca, które należało do *Echte-Deutsche* — prawdziwego Niemca. Sale wykładowe są w połowie puste, odkąd tak wielu młodych bohaterów jest na froncie. Jednak mam ambicję poddać się cywilizowanemu wpływowi kultury niemieckiej. — Przerwała, żeby sprawdzić reakcję. Przynajmniej jej nie przerywano. — Byłam na wykładzie na temat myśli ważnego narodowosocjalistycznego filozofa Martina Heideggera, który na początku istnienia III Rzeszy dał wspaniały wykład tutaj w Heidelbergu i wzywał studentów do służby Führerowi.

Nazwisko Heidegger było najwyraźniej poza zasięgiem *Frau Lempke*, ponieważ zmarszczyła brwi. W końcu odnalazła w głowie nazwisko, którego szukała, i zorientowawszy się, że przyłapała Ritę na kłamstwie, odpowiedziała:

— Filozof partii nazywa się Rosenberg, Alfred Rosenberg.

— *Frau Lempke*, proszę, gdyby tylko pani słyszała, jak wykładowca mówi o tym, jak myśl Führera i wielkość Niemiec zostały dwa tysiące lat temu okradzione z powodu nieporozumienia między Arystotelesem i judaizującym Greków Platonem.

— Czyli byłeś na wykładzie o myśli narodowosocjalistycznej? Myślę, że nie może z tego wyniknąć nic złego dla *volksdeutscha*. — Ricie nie groziło już niebezpieczeństwo bycia *Ostie* dla łaskawej niemieckiej kobiety. Wewnątrz odetchnęła. Jednak *Frau Lempke* ciągle nie była usatysfakcjonowana. — Ależ Rito, jak to jest możliwe, żeby dziewczyna, nawet częściowo

Niemka, bez studiów, gimnazjum i żadnego *Abitur* egzaminatorów szkół państwowych, była w stanie rozumieć wykłady z filozofii?

— Nigdy wcześniej nie miałam potrzeby o tym wspominać, ale przez pewien czas pobierałam nauki u siostr w miejscowym gimnazjum katolickim w moim mieście rodzinnym. Ale kiedy kryzys zrujnował interes mojego ojca, zabrał mnie stamtąd i musiałam iść do pracy. Oczywiście nie rozumiałam większości z tego, co dzisiaj usłyszałam, *Frau Lempke*. Miałam nadzieję, że będę mogła panią o to zapytać. Pomyślałam, że pomoże mi pani zrozumieć to, czego mnie się nie udało.

— Być może. Ale dzisiejszego wieczoru jest już na to za późno. Dobranoc, *Fräulein* Truszenko.

Tak naprawdę Rita najbardziej potrzebowała dowiedzieć się, w jak dużych kłopotach się znalazła. Ale to była ostatnia rzecz, o jaką mogła teraz zapytać *Frau L*.



Untersturmführer Schulke ciągle był w pracy. Przez długi czas po prostu siedział i myślał o tym, czego dowiedział się od bardzo skorej do współpracy *Hausfrau*, którą przesłuchiwał przy dwóch filiżankach herbaty i talerzu ciasteczek dla dzieci. O tym, skąd dokładnie przyjechała jej skromna pomoc domowa. Jak długo pracowała w Polsce dla męża tej dobrej kobiety i gdzie dokładnie? Spędzili nawet kilka minut w piwnicy, w pokoju dziewczyny, i stwierdzili istnienie kilku dokumentów i listów w szufladzie przy jej łóżku. Pani domu powiedziała o własnych podejrzeniach dotyczących pokojówki. Razem z policjantem w cywilnym ubraniu cieszyli się z każdej chwili swojego udziału w śledztwie.

Kiedy Otto wrócił do biura, *Kriminalsekretär* — oficer dyżurny — pełniący służbę tej nocy zaśmiał się ironicznie z jego gorliwości.

— Chcesz złapać szpiega, Schulke?

Biedny Otto był w miejscowej jednostce obiektem szyderstw z powodu nadużywania gestu „*Heil Hitler*” oraz niezbyt skutecznej pracy policyjnej. Nie odpowiedział na pytanie, tylko skulił się nad maszyną do pisania.

Trzykrotnie był zmuszony do wrywania kartek i kalek z maszyny. Za pierwszym razem zdążył już wypełnić pół formularza, zanim się zorientował, że źle włożył papier przebitkowy. Za drugim razem porwał papier, próbując wymazać literówkę, którą popełnił w wyniku posiadania grubych palców i niepełnej edukacji. Ostatecznie udało się. Wysłał teleksy do Berlina, Krakowa oraz archiwum warszawskiego oddziału Gestapo, aktualnie ewakuowanego na Śląsk, prosząc o informacje na temat Rity Truszenko: historię meldunków, zatrudnienia, raportów policyjnych i znanych powiązań. Schulke zdołał znaleźć na kartce miejsce na każdą najdrobniejszą informację, którą udało mu się wynieść ze swojego spotkania z *Frau Lempke*.

Zanim skończył, nikogo, nawet szefa i teletypistki, nie było już w biurze. Schulke zdał sobie sprawę, że to była jego szansa. *Kriminalsekretär* mógłby zażądać wglądu do jego wiadomości i odmówić sprawie pilnego charakteru, twierdząc, że nie ma co tracić czasu na doszukiwanie się informacji na temat przeszłości polskiej pomocy domowej. Następnie teletypistka zapytałaby szefa, czy dokument powinien zostać wysłany, i wykonałaby jego polecenie. Skoro wszyscy już wyszli, mógł po prostu zostawić pismo na górze tacy z korespondencją wychodzącą, żeby zostało wysłane następnego ranka.

Zanim zaczął otrzymywać pierwsze odpowiedzi, minęło pięć miesięcy i Otto Schulke zdążył już prawie zapomnieć o całej sprawie.



## Rozdział 31

Pewnego dnia na początku listopada dziewięcioletnia Flossie wsunęła głowę przez kuchenne drzwi.

— Rita. Na tyłach domu jest jakaś żebraczka i pyta o ciebie.

Rita strzepnęła z rąk wodę po naczyniach i sięgnęła po ścierkę. Zastanawiała się, o co mogło chodzić. Czy to głupi wybryk starszych dzieci, żeby wyciągnąć ją z kuchni i ukraść słoik przetworów? A może ktoś z ogródków działkowych handlujący warzywami? Wyszła na zewnątrz i rzeczywiście ujrzała przed sobą kobietę o wyniszczonej, miejscami pomarszczonej i pokrytej strupami twarzy, w podartym płaszczu, z ciemnymi włosami posklejanymi błotem, które było także na jej ubraniu. Kobieta trzymała małą brązową paczkę, związaną kawałkiem porwanego i poplątanego sznurka. „Żebraczka” — to było idealne określenie.

Kobieta spojrzała na nią i próbując się uśmiechnąć, szepnęła:

— W końcu cię znalazłam, siostró.

To była Dani. Znowu! Tym razem wyglądała niczym wrak człowieka, ale żyła. Rita ruszyła w stronę swojej przyjaciółki — nie, kochanki — i jak się okazało, zamiast ją uściskać, nagle musiała ją podeprzeć, aby ta nie przewróciła się na ziemię. Odwróciły się i Rita częściowo ją poprowadziła, a częściowo wniosła do domu i posadziła na krześle w kuchni.

Rita musiała najpierw ukrócić wścibskie pytania Flossie i zapobiec przekazaniu niewłaściwych informacji *Frau Lempke*. Na szczęście pani domu wyszła. Rita miała najwyżej godzinę, żeby wymyśleć sposób na poradzenie sobie z przybyciem Dani.

— Moja droga — zwróciła się do Flossie. — To jest moja szwagierka Dani, której w końcu udało się uciec z rąk bolszewików i przyjechać do Niemiec. Jak widzisz, przeszła przez nie lada gehenę, żeby się tutaj dostać. Ale w końcu jest bezpieczna wśród swoich rodaków Niemców. *Heil Hitler* — dodała po namyśle.

Flossie kiwnęła głową.

— Proszę, powiedz to mamie, jak tylko wróci do domu. Tymczasem ja zabiorę ją do piwnicy, żeby mogła się trochę umyć.

Kiedy dziecko odeszło, Dani spojrzała na Ritę:

— Natręć ze mnie. Zawsze pojawia się na twoim progu i próbuję wszystko zepsuć.

Obydwe się uśmiechnęły.

— Czego potrzebujesz najpierw — jedzenia, filiżanki herbaty, snu, kąpieli, lekarza?

— Wszystkiego — najpierw filiżanki herbaty, później kąpieli, a potem czystych bandaży na ranę. — Skrzywiła się i położyła dłoń na prawym boku.

Rita także się skrzywiła. Następnie wstała i wstawiła wodę na herbatę.

— Opowiadaj. Wiem, że pojechałaś do Warszawy zaraz po tym, jak wyjechałam z Krakowa. Magda Halle przysłała mi pocztówkę.

— Miałas rację.

— Odnosnie czego?

— Wszystkiego. — Dani zaczęła płakać.

To nie była odpowiednia chwila, żeby pytać, co miała na myśli. Rita zdjęła czajnik z płyty i pomogła przyjaciółce zejść po schodach.

Leżąc na łóżku Rity, Dani spojrzała na nią i poklepała materac.

— Rito, jestem zbyt poruszona i podekscytowana, żeby zasnąć. I tak chcę ci o wszystkim opowiedzieć. Więc usiądź koło mnie.

Zaczęła opowiadać.



Pod koniec kwietnia, tydzień po tym, jak Rita wyjechała z Krakowa, Dani po kryjomu wymknęła się z mieszkania i zniknęła, zabierając ze sobą kilka rzeczy i oczywiście nową kenkartę. Magda miała rację: Dani pojechała szukać Armii Krajowej. Nie mogła znieść chronienia się przed wojenną rzeczywistością pod okiem nazistów, nawet jeśli byli to tylko *Muss-Nazi*. Miała zamiar na coś się przydać, nawet jeśli wymagałoby to od niej skończenia ze sobą. Po przyjeździe do Warszawy z porządnym dokumentem tożsamości i po wynajęciu pokoju na Pradze zaczęła bywać w barach i kawiarniach. Sądziła, że były to miejsca, w których znajdzie kogoś z ruchu oporu, podziemia, Armii Krajowej, do kogo mogłaby dołączyć.

Mając prawdziwą kenkartę, Dani czuła się może nie niezniszczalna, ale co najmniej skłonna do podejmowania ryzyka. W tamtym czasie głównym zajęciem armii niemieckiej, i nawet Waffen-SS, było powstrzymywanie Sowietów gromadzących się przy polskiej granicy. Byli zbyt zajęci, żeby tracić czas na poszukiwanie w Warszawie Żydów. Poza tym getto zostało opróżnione, spalone i zburzone. Nawet szmalcownicy stali się nerwowi. Byli pojedynczo wystrzeliwani przez jednostki podziemne. Nikt nie był w stanie stwierdzić, czy było to dzieło Armii Krajowej lub pozostałych przy życiu powstańców z getta, czy też rezultat konkurencyjnych walk wynikających z coraz mniejszej liczby Żydów z jakimikolwiek pieniędzmi, których można by ograbić i ostatecznie sprzedać Niemcom. Gestapo było tak samo bezlitosne jak zawsze, jednak ich priorytetem było wycofywanie się do Rzeszy, a polska granatowa policja świetnie wiedziała już, w którą stronę wieje wiatr historii.

Dani znalazła pracę w jednej z nadrzecznych kawiarni po drugiej stronie Wisły, z dala od Pragi. Ale pomimo wszelkich starań, nie udało jej się nawiązać kontaktu z Armią Krajową. Z pewnością bywali w kawiarniach czy barach. Pewnego czerwcowego wieczoru była w kawiarni sama i szykowała się do zamknięcia lokalu. Ostatni klient ciągle jeszcze sączył piwo przy barze, a ona, ostentacyjnie zakładając odwrócone krzesła na stoliki i przygotowując się w ten sposób do mycia podłogi, próbowała zasugerować mu, żeby już wyszedł.

— Skąd ten pośpiech, siostró? Napij się ze mną. — Mężczyzna pchnął monetę wzdłuż baru i wskazał na kranik.

— Skoro pan tak grzecznie poprosił. — Dani wróciła za bar, nalała sobie duże piwo i przesunęła się z nim wzdłuż baru do momentu, aż stanęła naprzeciwko niego. — Dość spokojnie jest dzisiaj — powiedziała. — Nawet na ulicach... Przez cały wieczór prawie żadnego niemieckiego patrolu.

— Cisza przed burzą — odpowiedział.

Spojrzała na niego pytająco.

— Armia Krajowa siedzi w ukryciu, czekając tylko na to, aż Rosjanie podejną trochę bliżej. Wtedy rozpęta się piekło — dorzucił.

Czy to właśnie była jej szansa na nawiązanie kontaktu? Czy może zwykła prowokacja? Dlaczego ktokolwiek miałby mówić o takiej sprawie otwarcie? Szukała drogi na dostanie się do ruchu oporu zbyt długo, żeby teraz nie zaryzykować bezpośredniego pytania.

— Naprawdę? Jak kobieta mogłaby pomóc?

— Wybacz, siostró, żadnych Żydów. — Podniósł ręce w geście odganiającym jej protesty. — Nie próbuj zaprzeczać ani pokazywać mi dokumentów. Słysząc to w twoim głosie. Możesz oszukać Niemca, ale nie Polaka. Nie mam zamiaru cię wydać ani wyduszać z ciebie pieniędzy. Ale nie licz na to, że skontaktuję cię z ruchem oporu. — Mężczyzna odsunął się od

baru i zebrał się na wygłoszenie małej przemowy: — Armia Krajowa to patriotyczny wyraz polskiej tożsamości narodowej.

„Patrząc na budzący się do życia stary plakat propagandowy jednego z prawicowych ugrupowań — ONR-u albo Ligi Zielonej Wstążki” — pomyślała Dani. Tak jakby wojna nigdy nie miała miejsca.

— Nie mamy zamiaru pozwolić wielu wyzwolonym Żydom wcisnąć się do naszej walki — kontynuował. Będziemy mieć wystarczająco dużo kłopotów z Żydami z Armii Czerwonej, kiedy tutaj dotrze.

Z tymi słowami wstał i wyszedł z kawiarni.

Zatem pięć lat okupacji Polski przez wspólnego wroga nie zdołało jeszcze pojednać Żydów z nie-Żydami. Czy zostało jeszcze coś z Żydowskiej Organizacji Bojowej, która zorganizowała powstanie w getcie? Nawet jeśli tak, była trudniejsza do znalezienia niż Armia Krajowa. Podejmując największe ryzyko, na jakie było ją stać, Dani przemierzała ruiny getta w poszukiwaniu znaku istnienia nielicznych Żydów, którzy zostali w Warszawie. Jednak nie wzbudzała niczyjego zainteresowania. Nawet niemieccy strażnicy nie byli już tacy gorliwi, żeby sprawdzać kenkartę.

Dani mogła tylko nadal wytrwale szukać. Musiał istnieć jakiś oddział Armii Krajowej, który by ją przyjął. Jednak z końcem lipca była już gotowa porzucić swoje poszukiwania. I wtedy wszystko uległo zmianie. Nagle 27 lipca na murach całego miasta pojawiły się plakaty *Generalgouvernement*, ogłaszające skierowanie stu tysięcy obywateli do kopania umocnień, rowów i przeszkód przeciwzołgowych dla Wehrmachtu. Dla wszystkich był to znak, żeby zniknąć z ulic. Był to też sygnał dla Armii Krajowej. Cztery dni później rozpoczęła się walka o miasto. Polacy żyjący w Warszawie podjęli się wyzwolenia stolicy przed przyjazdem Rosjan. A stojący za rzeką Sowieci z chęcią im na to pozwolili. Wiedzieli, że nie uda im się wygrać.

Dani znalazła się nagle w strefie wojennej. A radzieckie wojska czekały za Wisłą i obserwowały, jak Warszawa samotnie walczyła przez następne dwa miesiące.

— Co robiłaś między sierpniem a październikiem? Jak ktokolwiek zdołał tam przeżyć?

— Właśnie wtedy dostałam szansę stać się naprawdę częścią Armii Krajowej.

— Walczyłaś?

— Byłam raczej czymś w rodzaju ludzkiej miny-pułapki. — Dani wzdrygnęła się i mówiła dalej. — Kiedy zaczęły się pierwsze walki, ludzie po prostu zostali w kryjówkach i trzymali się z dala od okien. Ale później, w miarę jak walki się zaostrzały i Niemcy zaczęli ostrzeliwać budynki, byliśmy zmuszeni przenieść się do piwnic. Na końcu mieszkaliśmy w kanałach, nie było nic do picia ani do jedzenia. I wtedy pojawiła się moja „szansa”. — Prawie śmiała się przez łzy, które wzbierały w jej oczach. — Znalazłam się w piwnicy z jednostką Armii Krajowej. Zaprowadzili mnie do dowódcy. Powiedzieli mu, że chcę pomóc. Okazało się, że jest coś, co mogłabym zrobić, i że podziela się ze mną swoją wodą i jedzeniem.

— Co to było takiego? — Rita prawie nie chciała się dowiedzieć.

— Być dziwką, być ich dziwką, obsługiwać ich oddziały. Jak ujął to dowódca: „budować morale”. Miałam znaleźć kąpiel w piwnicy i otworzyć jednoosobowy burdel! — Przerwała na chwilę. — Odwróciłam się i zaczęłam odchodzić. Pragnęłam jedzenia. Umierałam z pragnienia. Ale nie mogłam uwierzyć w to, co mówił. W każdym razie złapał mnie i obrócił. Uśmiechał się, i nawet słyszałam, jak mówi sam do siebie coś w rodzaju: „Cóż, warto było spróbować”. Potem powiedział: „W porządku, jest coś innego, w czym mogłabyś pomóc. To dużo bardziej niebezpieczne, ale nam pomoże”. Wysłał mnie kanałami na zewnątrz, za linię walk, tam, gdzie stacjonowały oddziały niemieckie. Używali mnie jako wabika, przynęty w ruinach, żeby zasadać się na niemieckich żołnierzach oraz patrolujących chłopców i móc ich zabijać, i odbierać

im sprzęt oraz broń.

Rita wzięła gwałtowny wdech.

— Chciałaś to zrobić?

— Nie miałam pojęcia, w co się pakuję, aż było za późno... Rito, to było straszne, może nawet gorsze niż bycie ich utrzymanką. Siedziałam w półmroku, próbując wyglądać na tyle niewinnie, żeby nie wzbudzać podejrzeń, i jednocześnie na tyle wyzywająco, żeby zachęcić żołnierza Wehrmachtu, albo nawet cały ich patrol. Nie opierałam się, ale prosiłam, żeby odejść w „intymne” miejsce. Kiedy odchodziliśmy, żołnierze Armii Krajowej po cichu dusili żołnierza za pomocą garoty, zabierali mu hełm, karabin, amunicję, apteczkę, wszystko... I nie tylko to. Właściwie to nie tego tak naprawdę chcieli. Rozbierali ciało, zabierali racje żywnościowe, papierosy, zegarek, pieniądze, czytali jego listy, bezczęścili zdjęcia rodzinne i czasami, kiedy byli bardzo pijani, okaleczali zwłoki... Nie mogłam na to patrzeć. Jedyne, co powstrzymywało ich przed rzuceniem się na mnie, to fakt, że potrzebowali mnie, żeby kontynuować tę zabawę.

— Nie wiem, jak mogłaś to zrobić. Chociaż, chyba przynajmniej walczyłaś.

— Walczyłam? To była walka czy okradanie i mordowanie? Powtarzałam sobie, że robię to, żeby przeżyć. Rito, patrzyłam prosto w oczy każdemu z tych niemieckich żołnierzy. Dzieciakom — siedemnasto-, osiemnasto-, najwyżej dwudziestolatkom. Rozmawiali ze mną nawet w drodze do miejsca, w które ich zabierałam... Mówili, że to będzie ich pierwszy raz, albo o tym, skąd pochodzą i jak są przerażeni. Kiedy tylko otwierałam płaszcz i przyciągałam ich do siebie, drut podcinał im gardła... Zabijałam niewinnych ludzi.

— Jak długo to trwało?

— Musieliśmy być tam jakieś pięć lub sześć dni. Do czasu, kiedy Niemcy zaczęli zauważać straty w ludziach, mieliśmy już tuzin gnijących ciał ułożonych jedno na drugim. Smród by nas wydał, gdyby nie to, że w ruinach wszystko tak śmierdziało... W każdym razie w końcu wycofaliśmy się kanałami. I to był praktycznie koniec.

— Jak udało ci się uciec?

— No cóż, Sowieci stali po drugiej stronie Wisły, patrząc, jak Niemcy niszczą całe miasto i prawie każdego, kto w nim pozostał. Pod koniec ludzie zaczęli wychodzić z kanałów i przemieszczać się w stronę Wisły, zmuszani do tego przez toczące się walki, pożary i pragnienie. Tej nocy, której dostałam się do rzeki, kilka łodzi było już przepełnionych. Kiedy zaczęły płynąć przez rzekę, Wehrmacht zaczął odpalać racje i rozświetlił cały brzeg. Ich artyleria zatopiła praktycznie każdą płynącą łódkę. Potem Niemcy zaczęli strzelać do tłumu stojącego przy brzegu. Wtedy mnie trafili. — Dani podniosła brudną bluzkę i pokazała bandaż na ranie, owinięty dookoła żeber, położyła wokół blednącego czerwonego znamienia na prawym boku, pod klatką piersiową.

— Pozwól, że pomogę ci zdjąć te ubrania. — Rita zaczęła rozpinać bluzkę z tyłu. — Upierzemy je... Albo może spalimy i znajdziemy ci inne. Jak poważna jest rana?

— Kula prawdopodobnie pochodziła z pistoletu. Nie była duża i przeszła na wylot, nie dotykając żadnego z organów, tak mi się wydaje. W każdym razie oto jestem, a rana się goi. Ale kiedy to się stało, musiałam stracić przytomność, bo gdy się obudziłam o świcie, byłam już zabandażowana i leżałam w grupie ludzi, ciągle po niemieckiej stronie rzeki. To się wydarzyło na początku października, może pierwszego lub drugiego — nie dowiedziałam się tego. Postanowiliśmy się poddać i poszliśmy na linię niemiecką z białą flagą.

— Kazali nam dołączyć do dużo większej kolumny ludzi opuszczających miasto pod osłoną Wehrmachtu. Marsz zakończył się na stacji kolejowej w Pruszkowie. Ludzie mówili, że stamtąd pojedziemy do obozu pracy. Ale ja wiedziałam, co to tak naprawdę oznaczało. Były tam tysiące ludzi — żołnierze Armii Krajowej i cywile z całej Warszawy. Ciągle miałam swoje

dokumenty i próbowałam je pokazać strażnikom. Ale za każdym razem, kiedy to robiłam, ktoś krzyczał „Żydówka” lub „Żydek”, lub coś podobnego. W każdym razie, gdy tylko rana przestała krwawić, zrozumiałam, że muszę uciec. Kilka dni przetrzymywali nas w tym miejscu, a potem wsadzili do pociągu pasażerskiego — z siedzeniami i oknami, nawet nie do wagonu bydłowego. Musieliśmy mieć wysoki priorytet, jeśli chodzi o eksterminację. W każdym razie wiedziałam, że zmierzamy w kierunku Krakowa, prawdopodobnie do obozu zagłady w Auschwitz. Kiedy pociąg ruszył i większość ludzi zasnęła, wyskoczyłam.

— Z taką raną?

— Byłam zbyt przestraszona, żeby zwracać na nią uwagę. Nie miałam wyboru. Coś zmuszało mnie do tego, żeby próbować przeżyć, bez względu na to, czego chciałam. Tak się czułam. Kiedy wyskoczyłam, w wyniku upadku znowu straciłam przytomność. Po raz drugi obudziłam się zaskoczona, że ktoś się mną zajął. Dlaczego ludzie tacy są — tak samo skłonni do ocalenia obcej osoby jak do jej zabicia?

Rita pomyślała, że zna odpowiedź na to pytanie. Ale to nie był dobry moment, żeby o tym mówić.

— Tym razem to była wieśniaczka spod Tomaszowa Mazowieckiego. I oto leżałam w łóżku w jej domu. Wyglądał on bardziej jak przytwierdzona do stodoły chata. Powiedziała, że przyniósł mi katolicki ksiądz i nazywał bohaterką powstania warszawskiego. To pewnie przez ranę w boku. Karmiła mnie przez trzy dni. Potem pojawił się jej mąż i stwierdził, że muszę być uciekającą Żydówką. Następnego dnia kazała mi odejść. Ale dała mi trochę jedzenia — pół kromki chleba i pomarszczone jabłka. Do tego czasu rana w boku zaczęła znowu krwawić i wyglądała, jakby miało wdać się zakażenie.

Dani przerwała na chwilę. Rita dała jej jedyną koszulę nocną, którą miała. Dani zdjęła koce, wsunęła na siebie koszulę i powoli z powrotem opuściła się na łóżko. Potem zaczęła mówić dalej:

— Musiałam znaleźć kogoś, kto by wyleczył ranę, jak należy. Więc poszłam do Tomaszowa i dostałam się do szpitala. Nie mówiłam zbyt wiele, ale gdy tylko zobaczyli, że to rana postrzałowa, uznali, że jestem z Armii Krajowej i uczestniczyłam w walkach w Warszawie. Dlatego mi ją oczyścili i porządnie zabandażowali. Środek odkażający, którego używali, był okropny. Ale potem zaczęły się pytania — jak masz na imię, skąd jesteś, jak się tu dostałaś... Po chwili zobaczyłam wzrok pielęgniarek, mówiący: „Jest niebezpieczna. Trzeba się jej pozbyć”. Nie chodziło o to, że mogłam być z Armii Krajowej stawiającej opór Niemcom. Nie. Słyszałam, jak jedna mówi do drugiej: „To chyba Żydówka”. Więc po prostu wstałam i wyszłam. Szwendałam się po mieście do czasu, gdy nie mogłam już ustać na nogach. Zasnęłam na ławce w parku. O świcie zbudził mnie niemiecki żołnierz, trącający mnie karabinem. Podniosłam do góry ręce i pokazałam mu kenkartę. Kazał mi iść z sobą, ale przynajmniej przestał do mnie celować. Skończyłam w publicznej łaźni, gdzie odwszawiano wiele polskich kobiet. Następnie mnie i inne kobiety wsadzono do pociągu do Katowic, który miał nas zawieźć na przymusowe roboty do Niemiec. Kiedy dojechalismy do Katowic, wreszcie mogłam odetchnąć. Kazali nam wysiąść z pociągu i czekać na stacji na następny, który zawiezie nas do Niemiec. Już wtedy słyszałam, jak kobiety szepczą między sobą na mój temat. Wiedziałam, że przyjdzie moment, że będę musiała przez to uciekać. Więc zeszałam z peronu i wyszłam na ulicę. Tam napotkałam na swojej drodze jadłodajnię dla ubogich uchodźców — volksdeutschów ze wschodu uciekających do Rzeszy. W tamtej chwili stałam się jedną z nich. Miałam ważny ausweis i kenkartę. Wszyscy byli tu Niemcami, nie było ani jednego Polaka, który zakwestionowałby mój wygląd, akcent albo cokolwiek innego. W tłumie uchodźców byłam bezpieczna jako kolejna bezdomna Niemka szukająca schronienia w Rzeszy. Karmili nas, nie zadając zbyt wielu pytań. Spaliśmy w

magazynie niedaleko stacji, który został zarekwirowany dla uchodźców. Cały problem polegał na tym, że spałam w najlepsze, kiedy odjechał pociąg, w którym powinnam się znaleźć. Następnego ranka przesłuchano mnie. Pokazałam im dokumenty i powiedziałam, że mam siostrę w Heidelbergu. Dali mi przepustkę aż do Breslau i kazali zgłosić się tam do biura relokacyjnego. — Dani przerwała, żeby wziąć łyk wody.

— Im bliżej byliśmy Niemiec, tym więcej było kontroli dokumentów. Zanim pociąg dotarł do Breslau były trzy. Wskoczyłam, kiedy pociąg zwalniał przed dworcem głównym. Rana znowu się otworzyła. Wróciłam do wejścia na dworzec i znalazłam jadłodajnię dla ubogich uchodźców, zjadłam posiłek, a potem ukrywałam się aż do zmroku. Znalazłam ciąg wagonów towarowych, do których ładowano tłum volksdeutschów jadących do Poznania, i wsiadłam do jednego z nich. W Poznaniu ukryłam się w toalecie. W pewnym momencie się rozejrzałam i zobaczyłam, że gapi się na mnie pokryta sadzą wiedźma. Byłam przerażona, aż zorientowałam się, że ta osoba w lustrze to ja!

Rita nie mogła powstrzymać się od śmiechu, wyobrażając sobie ten widok.

— Wszystko trwało dziesięć dni. Ukrywałam się w bombardowanych budynkach, spałam w noclegowniach, spędzałam godzinę po godzinie w umywalniach, unikałam bramek biletowych, sprawdzania dokumentów, wpasowywałam się w tłum uchodźców w Cottbus, Brunszwiku, Hanowerze... I w końcu we Frankfurcie. Czasami pociągi jechały w złym kierunku. Im dalej na zachód jechaliśmy, tym częściej musieliśmy się zatrzymywać, ponieważ usuwano zniszczenia po bombardowaniu. Ale w końcu jestem. — Dani zamknęła oczy.

Ricie zostało jedno pytanie: co Dani miała na myśli na początku swojej opowieści, kiedy powiedziała: „Miałaś rację... Rację odnośnie wszystkiego”?

**Część VI**

**Później**



## Rozdział 32

— Ta kobieta to twoja siostra?

Rita kiwnęła głową.

— Właściwie to szwagierka. Żona brata, który został zabrany przez Rosjan.

— Tutaj nie może zostać.

— Wiem, *Frau L*, natychmiast znajdę jej inne miejsce. — Tymi słowy sprawa została zamknięta i pani domu wyszła z kuchni.

Dani wszystko słyszała. Zwróciła się do Rity:

— Nie zadawała żadnych pytań. Nie chciała zobaczyć żadnych dokumentów. Ale wyglądała, jakby ci nie wierzyła. Myślę, że ma zamiar nas wydać.

— Nie. Dużo bardziej się boi stracić porządną gosposię.

— A *Herr Lempke*? Jak wróci, to mnie rozpozna i to będzie koniec.

— Przestań się martwić. On prawie cały czas jest w Berlinie. Niemal go nie widzimy. Znajdziemy ci pracę, zanim wróci. Poza tym on wie, że przegrywają wojnę. *Lempke* jest zbyt mądry, żeby brudzić sobie ręce jeszcze bardziej, donosząc na kogoś do Gestapo. Tylko czekać, aż powie mi, że od początku wiedział, że jestem Żydówką i mnie chronił!



Mannheim było oddalone o dwadzieścia kilometrów i zostało zbombardowane tak dotkliwie, że zamieniło się w rumowisko. Niewielu służących chciało tam pracować. Nietrudno było znaleźć Dani miejsce u starszej wdowy, która nie miała wygórowanych wymagań co do służby. Mieszkanie było niewielkie, a pokój służącej przylegał do sypialni pani domu. To rozmieszczenie nie sprzyjało zapraszaniu gości. Rita odpuściła sobie więc chodzenie w czwartkowe popołudnia na uniwersytet i zaczęły razem sprawdzać, co pozostało ze zniszczonego przez bombardowanie Mannheimu. W ciągu miesiąca poznały wszystkie kawiarnie w mieście, które zdołały ocaleć.

Po południu 14 grudnia 1944 roku niskie, zimowe słońce prześwitywało przez nieliczne pozostałości ścian budynków i docierało przez zaklejone taśmą szyby do kawiarni, podkreślając każdą nierówność na pożółkłej tapecie. Puste krzesła rzucały długie cienie na podłogę z płytek ułożonych w szachownicę. Dani i Rita sączyły z kubków *Ersatzkaffee* przez prawie godzinę, szepcząc o odległej przeszłości i zastanawiając się na głos nad niemożliwą do przewidzenia przyszłością.

— Dani, kiedy się tu pojawiłaś i opowiedziałaś mi, co się stało, powiedziałaś, że miałam rację, rację na temat wszystkiego. Już od tygodni proszę cię, żebyś mi to wyjaśniła, ale ty zawsze zmieniasz temat. Co miałaś na myśli? Czy myliłaś się w sprawie czegoś, co rozumiałaś dzięki tym tygodniom spędzonym w Warszawie i swojej ucieczce?

Dani uśmiechnęła się.

— Wiesz, zobaczenie prawdziwego świata nie czyni cię mądrzejszym ani lepszym. Może równie dobrze uczynić cię gorszym i bardziej zadowolonym ze swojego podejścia do różnych spraw.

— O czym ty mówisz?

— To ta sama kłótnia, którą zaczęłyśmy w 1942 roku w Karpatyniu. Nigdy nie byłaś skłonna próbować nadawać rzeczom sensu, dowiadywać się, co znaczą dla nas lub dla



kogokolwiek innego. Dla ciebie ta cała wojna i wszystko, co do niej doprowadziło, razem ze wszystkimi tragediami, jakie wyprodukowała, nie mają znaczenia. To tylko — jak zwykłaś to określać — losowe zmiany w środowisku, które zmienia się tak gwałtownie, że wczorajsi ocaleni stają się jutrzejszymi ofiarami. Zawsze myślałam, że się mylisz. Że wydarzenia mają znaczenie ze względu na to, co nastąpiło po nich. Że indywidualne ludzkie wybory miały znaczenie, przynajmniej dla samych ludzi. Że nic nie dzieje się bez powodu. Cóż, myliłam się. Proszę. W tym właśnie miałaś rację.

— Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?

— Niemcy, Sowietci, Polacy... Okres od sierpnia do października. Przeżyłam to. Zobaczyłam na własne oczy, jak ten proces przebiega. Każdy szukający morału tej historii, znaczenia stojącego za wojną będzie musiał dojść do wniosku, że jedynym celem historii jest zabijanie ludzi, nadziei, wolności i ludzkiego postępu. — Dani przerwała, żeby się zastanowić. — Ale to tak przewrotna myśl, że lepiej wyjdiesz na tym, jeśli stwierdzisz, że historia nic nie znaczy. Jaka jest puenta? To tylko wrzask i wściekłość. — Rita kiwnęła głową, a Dani mówiła dalej: — Oto następna rzecz, co do której miałaś rację. Nawet kiedy coś wygląda na działanie na rzecz dobra, tak jak Armia Krajowa musiała wyglądać w oczach tych liczących na polską niepodległość, wewnątrz jest tylko kolejną grupą stworzeń, na których żerują pasożyty. Nie mam na myśli dowódców ani Niemców, z którymi walczyli, ani Rosjan. Ludzie nie są pasożytami. To idee zakazają ludzkie umysły i rozprzestrzeniają się od nich do innych... I niszczą się nawzajem. Ale najpierw pasożyt musi mieć okazję przekazać je dalej. Idee rozprzestrzeniają się jak zarazki choroby. I — tak samo jak najgroźniejsze choroby śmiertelne — wymierają, bo zabijają swoich nosicieli, zanim zdołają przeskoczyć na nowych. To właśnie spotkało dużą część Armii Krajowej, nawet tych zbirów, z którymi miałam do czynienia, zabijających Niemców jednego po drugim. Nie byli przedtem mistrzami garoty i jeśli którykolwiek z nich przeżył, to nie są nimi także teraz. Ludzie myślą, że są tymi, którzy decydują... Ale wszyscy jesteśmy tylko ofiarami, nawet ci, których ofiarami byliśmy my.

— Wygląda na to, że wyłożyłaś moją teorię lepiej niż ja sama. — Rita się uśmiechnęła. — Chociaż tak naprawdę to nie jest ona moją własnością. Poznałaś w getcie w Karpaczu Freddy'ego Kaltenbrunera?

— Tego staruszka, który dał ci te książki? Nie, nie znałam go. To było dawno temu.

— To nie było aż tak dawno. Wszystko było wtedy beznadziejne. A teraz powoli kusząca staje się myśl o tym, że mogłybyśmy nawet przeżyć. — Rita spojrzała na Dani. — Niemcy przegrają wojnę. Za rok, albo nawet mniej staniemy się wolne. Co wtedy zrobisz? — Położyła rękę na otwartej dłoni Dani. Rita знаła swoją odpowiedź na to pytanie i potrzebowała, żeby Dani też swoją poznała.

— Myślę, że zostanę z tobą. Znajdziemy sobie wspólnie jakieś miejsce, prawda?

— Chcę tego, Dani. Ale najpierw muszę się dowiedzieć, czy mój syn wciąż żyje gdzieś w Polsce. Dopóki nie będę miała pewności, co ze Stefanem, bez względu na prawdę, nic innego nie będzie dla mnie możliwe.

— Zatem wrócisz do Polski? — Rita skinęła głową. Dani głośno odetchnęła. — Cieszę się. Ja też muszę tam wrócić. Bałam się, że nie będziesz chciała. Muszę wiedzieć, czy ktoś z mojej rodziny przeżył. Może to ukróci moje koszmary. — Kobiety zamilkły. — Przejdźmy się — zaproponowała Dani.

— Pewnie. — Rita się rozchmurzyła i wyszły razem z kawiarni.

Było ciemno, a opuszczone ulice wiodące z centrum miasta były zupełnie wyludnione. Zaczęły iść pod rękę, w sposób od dawna powszechny wśród europejskich kobiet. Dla Rity i Dani znaczyło to coś zupełnie innego.

Wieczór zwiastował śnieg i ich ramiona szybko zawinęły się wzdłuż talii, przyciągając ciała do siebie. Pod cienkimi płaszczami ich uda poruszały się jednocześnie, a potem Rita i Dani zaczęły ocierać się nawzajem biodrami. Uwolniło je to od ponurego zakłęcia, które wisiało nad nimi od tamtego rozstania. Wiedziały także, że przez najbliższy tydzień nie będą się widziały. Rita rozejrzała się wokół, czy na ulicy nie ma kogoś poza nimi. Dani rzuciła okiem na ciemne, zbombardowane budynki w poszukiwaniu schronienia, być może jakiegoś wiszącego górnego piętra. Kiedy znalazła stosunkowo bezpieczną wnękę z rozpadającymi się drzwiami, wciągnęła Ritę do środka. Obydwie śmiały się w oczekiwaniu na przyjemność, wspólne zakłopotanie z powodu pozostałości osobistej skromności oraz dreszczyk emocji związany z kochaniem się w zbombardowanych ruinach. W momencie, gdy ich usta się spotkały, żadnej nie było już zimno, a cienkie płaszcze były rozpięte i rozchylone dla dotykających dłoni.

Rita odsunęła twarz od Dani i pomyślała, że nie będzie czasu ani wystarczającej ilości miejsca, żeby mogła ofiarować jej to, co chciała. Zimne powietrze, otwarte żwirowe draśnięcie na kolanie, trud, jakiego wymagało od Dani przyjęcie pozycji ułatwiającej Ricie dostęp do siebie — cała ta niewygoda zakłócała ich namiętność i sprawiała, że ich wrażenia wróciły z powrotem do ciał. Jednak Rita zamierzała zabrać swoją kochankę tak daleko, jak tylko mogła. Dani podciągnęła spódnicę i poluźniła bieliznę. Najwidoczniej miała zamiar podążyć tak daleko, jak Rita ją poprowadzi.

Zacząła rozchyłać nogi, opierając się ręką o zawaloną ścianę. Czowała na swoich wargach sromowych język Rity, wędrujący z góry na dół. Szybko poczuła napływającą wilgoć, kiedy Rita pieściła ją językiem i zagłębiała w nią swój palec. Wtedy stanęła na kamień — może kawałek zaprawy murarskiej, a może obluzowaną cegłę — który zsunął się i spadł w dół, rozbijając się na kawałki z tępym odgłosem, który wydawał się im być niczym echo. Nagle usłyszały głos, a potem drugi.

— Co to było?

To był mężczyzna.

— Jakby z tamtej strony. — To był inny męski głos.

Światło latarki przesuwało się po otwartym wejściu obok nich i wracało na tylną ścianę.

— To pewnie koty.

Odgłos kroków zbliżał się coraz bardziej. Kiedy padło na nie światło, Rita ciągle podnosiła się z kolan, a Dani próbowała utrzymać równowagę, stojąc na jednej nodze i podciągając jednocześnie bieliznę na drugiej.

Z ciemności zbombardowanych ruin wyłoniły się dwie ciemne postacie. A potem rozległ się głos:

— Obydwie jesteście zatrzymane za obrazę moralności publicznej.

Usłyszały odgłos rozpinanej kabury. Był to dźwięk, który obydwie rozpoznały.

— Ausweis, natychmiast!

Rita otworzyła torebkę, a Dani wyciągnęła dokument z kieszeni płaszcza. Jedno światło dalej raziło je po oczach, podczas gdy drugie oświetlało dokumenty. Jeden z mężczyzn wydał z siebie coś w rodzaju pomruku zadowolenia, a następnie usłyszały dźwięk metalu uderzającego o metal, gdy wyjął kajdanki ze skózanego płaszcza.

Dwadzieścia minut później Dani i Rita, wciąż skute ręką w rękę, siedziały przy biurku Ottona Schulkego, w głównej siedzibie Gestapo w Heidelbergu. Schulke siedział naprzeciwko nich, kartkując zawartość teczek wypełnionych prześwietlonymi arkuszami, kopiami robionymi przez kalkę, wiadomościami z teleksu z porwanymi od maszyny do pisania rogami oraz notatkami z dokumentacji sprawy. Uśmiechał się.

Żadna z kobiet się nie odezwała. Każda z nich czuła przez kajdanki, jak ta druga drży. O

dziwo, stojąca przed nimi młoda marionetka Gestapo także się nie odezwała, nie licząc tego, co powiedziała podczas rozmowy telefonicznej, której się przysłuchiwały: „*Herr Sturmscharführer*, proszę tu natychmiast przyjść. Aresztowałem dwie osoby, które dopuściły się poważnego przestępstwa, a jedna z nich jest zamieszana w zbrodnię przeciwko państwu. I jestem prawie pewien, że to Żydówki”. Po chwili milczenia zakończył rozmowę słowami: „*Heil Hitler*” i odłożył słuchawkę. W tym momencie Rita go rozpoznała — to był oficer Gestapo, który przesłuchiwał ją na uniwersytecie minionej wiosny. Jak dużo informacji znajdowało się w jego aktach? Nagle ogarnął ją strach, nie tylko o nią samą i Dani, ale z powodu potwornej tajemnicy, z którą żyła od czasu swojej ucieczki z Karpatynia, dwa i pół roku temu. Tajemnicy związanej z szyfrem, tej, która jak wynikało z przebiegu wojny, okazała się być prawdą i która upewniła ją, że nadejdzie zwycięstwo, dla którego warto przeżyć. Czy zdołali powiązać ją z Erichem, a jego z szyfrem? Czy cokolwiek, co mogli jej zrobić, zmusi ją do wyjawienia tajemnicy? Czy tajemnica była czymś, co mogłaby prehandlować? Czy ocalenie własnego życia mogłoby być warte aż tak wielkich zniszczeń? Przez kajdanki, którymi były skute, Dani czuła, jak drżenie Rity przybiera na sile.

O pierwszej w nocy przyjechał *Sturmscharführer*. Powiesił kapelusz na wieszaku i powoli zdjął służbowy skórzany płaszcz, odsłaniając wymiętą koszulę bez kołnierzyka oraz parę cywilnych spodni, trzymających się na wojskowych szelkach. Miał około czterdziestu pięciu lat, był nieogolony, a jego twarz nosiła ślady długoletniej pracy w policji. Usiadł przy innym biurku.

— W porządku, Schulke, o co w tym wszystkim chodzi?

— Ja i Richtman przyłapaliśmy dzisiaj w nocy w Mannheim te dwie w trakcie wykroczenia seksualnego. — Rita i Dani widziały, jak na twarzy starszego mężczyzny pojawia się wyraz irytacji. Formowały się w nim słowa: „To był powód, dla którego zostałem wezwany do biura w środku nocy — żeby zajmować się parą lesbijek?”. Jednak zanim zdążył je wypowiedzieć, Schulke zaczął mówić dalej: — I tak przygotowywałem się do aresztowania jednej z nich. Rita Truszenko — to z pewnością fałszywe nazwisko — jest winna antyhitlerowskiej agitacji, brała udział w lipcowej konspiracji przeciwko Führerowi, jest podejrzana o fałszywą tożsamość i kradzież w Warszawie, uciekła z *Generalgouvernement*... I prawdopodobnie jest Żydówką. Ta druga na pewno nią jest, a jej nazwisko pojawia się w sprawozdaniach na temat tej pierwszej...

— Skąd to wszystko wiesz, Schulke? — Jego szef wydawał się być pod wrażeniem.

— No cóż, proszę pana. — Wskazał na Ritę. — Znalazłem tę blondynkę na uniwersytecie zeszłej wiosny i zacząłem ustalać jej pochodzenie... Docierając aż do samej Polski. Ona albo osoba, która pasuje do jej rysopisu, została zgłoszona zeszłej zimy w Berlinie za zniesławienie Wehrmachtu. W Krakowie była zatrudniona w tym samym biurze co krewna jednego z konspiratorów ze sztabu biorącego udział w zamachu na Führera z 20 lipca — ta krewna to kobieta o nazwisku Magda Halle. Mam powody przypuszczać, że jeszcze przed tym doniósł na nią jej pracodawca w Warszawie, oskarżając ją o kradzież i podejrzewając o komunistyczną agitację. — Rita osłupiała, słysząc, jakie możliwości ma niemiecka biurokracja, skoro potrafi ustalać takie szczegóły na temat kogoś, kto był nikim, podczas gdy cały naród wokół niej popadał w ruinę. — I to jeszcze nie wszystko, proszę pana. Pasuje też do rysopisu kogoś, kogo szuka z najwyższym priorytetem od dwóch lat RSHA — Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy. — Schulke przeczytał z notatek: „Natychmiast zgłosić do Generalmajora Friedricha von Richtera z Abwehry, kiedy i jeśli zostanie aresztowana”.

— To bardzo imponujące, Schulke, ale...

Kriminalsekretär nie był w stanie powstrzymać entuzjastycznego sprawozdania swojego podwładnego:

— A teraz przyłapaliśmy ją *in flagrante delicto* z inną kobietą. I ta druga miała przy sobie dokumenty potwierdzające znajomość z osobą zamieszaną w próbę zamachu na Führera: Daniela Nowicka pracowała z kobietą o nazwisku Halle i opuściła Podatkowy Inspektorat Rzeszy w Krakowie bez pozwolenia, a teraz, sześć miesięcy później, pojawia się tutaj z pierwszą podejrzaną i najwidoczniej jest jej kochanką.

Schulke rzucił teczkę z dokumentami na biurko Sturmscharführera, uśmiechając się zwycięsko. W końcu dowiódł swojej wartości.

W tej chwili dla Rity stały się jasne potworności, które miały teraz nastąpić. Oni wiedzieli. To Abwehra — służba wywiadowcza Sztabu Generalnego — chciała ją aresztować. To mogło oznaczać tylko jedno. Jakimś cudem Niemcy dowiedzieli się, że zna tajemnicę. Nigdy nie uda jej się stawić oporu przesłuchaniom i torturom, zaprzeczyć temu, co powiedział jej Erich, który ostrzegwał, że kosztem wyjawienia tego może być nie tylko jej życie, lecz też przegranie wojny przez aliantów. Dlaczego tak postąpił? Tylko po to, żeby dać jej powód do przeżycia? Ryzykując, że Niemcy wygrają wojnę? Zaczęła się rozglądać. Czy było tutaj coś, czego mogłaby szybko użyć, żeby ze sobą skończyć? Okno, z którego mogłaby skoczyć, kant biurka, w który mogłaby uderzyć głową, nóż do papieru, którego ostrze wystawałoby z pojemnika na ołówki i mogłaby się na nie nadziać? Czy mogłaby powiesić się w toalecie? Zrobić cokolwiek. Ale była przykuta kajdankami do Dani.

— Bardzo dobre śledztwo, Schulke. Cierpliwe, skrupulatne, całkowicie niepodważalne. Jestem pewien, że w końcu udało ci się wysledzić poważnych wrogów Rzeszy, a przynajmniej dwie ukrywające się Żydówki. — Sturmscharführer przerwał, pochylił się na krzesło, zapalił papierosa, wziął oddech i wypuścił serię kółeczek z dymu, z których każde było idealnie okrągłe i zastępowane przez kolejne, gdy poprzednie się rozpraszało.

Po pełnym uznaniu rzuceniu okiem na dokumentację leżącą przed nim zwrócił się do swojego podwładnego:

— A teraz zdejmij kajdanki i pozwól tym miłym, młodym damom iść do domu.

— Słucham? — Schulke powiedział to zbyt wyzywająco jak na Untersturmführera, aby nie zwrócić uwagi przełożonego.

— To rozkaz, Untersturmführer. Natychmiast. I nigdy więcej nie próbuj używać wobec mnie takiego tonu, nawet po kapitulacji.

Schulke nie mógł odpowiedzieć. Płatał mu się język.

— Tak, właśnie to powiedziałem... Po kapitulacji... Na rzecz *Ami*. — Sturmscharführer spojrzał na niego, zdając sobie sprawę, że ten głupiec nie potrafił zrozumieć, w jakiej znalazł się sytuacji. Gdyby tak było, nigdy nie ciągnąłby tego bezcelowego ćwiczenia aż tak daleko. — Rozkuj panie i usiądź, kolego.

Schulke bez słowa wyciągnął klucz ze swojej kamizelki, podszedł do krzesła, na których siedziały kobiety, zdjął kajdanki, wrócił do swojego biurka i opadł na krzesło.

— Pozwól, że wyjaśnię, Untersturmführer. *Ami* znajdują się na linii Zygryda, sto kilometrów stąd. — Nazywanie ich *Ami* sprawiało, że Amerykanie jawili się prawie jako przyjaciele. — Przy odrobinie szczęścia wojna skończy się za kilka tygodni. A kiedy się skończy, to my będziemy szczęśliwcami — żywi, w jednym kawałku i pod okupacją aliantów, a nie Iwanów. Jedyna rzecz, jaką ty i ja możemy teraz zrobić, żeby przegrać naszą osobistą wojnę, to sprawianie problemów młodym Żydówkom. — Schulke ciągle nie rozumiał. — Posłuchaj, kiedy Amerykanie tu dotrą, ludzie, którzy robili wszystko, żeby uprzykrzać życie Żydom, słono za to zapłacą. Ludziom, którzy zawłaszczyli sobie ich własność, także się dostanie. Ale ci, którzy tylko wykonywali rozkazy — na przykład policjanci — no cóż, co innego mieli zrobić? *Ami* to rozumieją. Poza tym będą nas potrzebowali, żeby sprawy toczyły się gładko, tak samo jak my

ich, żeby mieć co jeść przyszłej zimy. Jeśli w ostatniej chwili uczynisz swoim obowiązkiem wysłanie Żydów do jakiegoś obozu zagłady, który prawdopodobnie nie będzie już działał, kiedy tam dotrą, to niełatwo będzie *Ami* przeoczyć taki rodzaj gorliwości. Zrozumiano, Untersturmführer? — Zwrócił się do Rity i Dani: — A wy, dziewczyny, idźcie po prostu do domu. Właściwie to was tam zawiozę. Źle byłoby zostać złapanym po godzinie policyjnej.

Kiedy Kriminalsekretär wiózł je z dala od komendy swym mercedesem, Rita nie mogła pozbyć się narastającego uczucia satysfakcji. W końcu wszystko było jasne. Idea, którą Erich zaszczerpił w jej umyśle i która trzymała ją przy życiu tak długo, w nagle zmienionym środowisku komendy policji stała się dla niej śmiertcionośna. Jednak wtedy została oszczędzona przez następną darwinowską ewolucję. Zarazek nazizmu przegrywał walkę o przeżycie z innymi pasożytami zamieszkującymi niemieckie umysły. To nie dobroci, skrupułom czy oportunistom zawdzięczała teraz wygodną jazdę powrotną do domu państwa Lempke. Ale rzeczy, która od niedawna zawładnęła umysłem tego człowieka, takiej, która wyparła to, co tam było i rządziło jego życiem przez dwanaście minionych lat. To coś innego niż nazizm, w świetle bieżących wydarzeń znacznie skuteczniejsze w wykorzystywaniu jego osobistej woli przeżycia, kolejna cecha narzucona mu przez Matkę Naturę. To wszystko w połączeniu z pewną dozą przypadkowości. Miała zamiar przeżyć, żeby doczekać wyzwolenia.



Trzy dni później wyzwolenie nie było już tak oczywiste. Na falach Grossdeutscher Rundfunk aż szumiało od informacji o przełomowej bitwie o Ardeny, na granicy z Belgią. Nareszcie Führer dokonał mistrzowskiego posunięcia, które miało rozdzielić *Ami* i Anglików od bolszewików, doprowadzić do wstrzymania walk na zachodzie i pozwolić Niemcom na zgromadzenie wszystkich jednostek na wschodzie. Czy uprzejmy Sturmscharführer zmieni zdanie i mimo wszystko wyśle Schulkego po Ritę i Dani?

*Frau* Lempke przez cały dzień miała włączone radio i nasłuchiwała komunikatów. Od Rity oczekiwano radosnego uczestnictwa podczas wykonywania swoich obowiązków i wzywano ją do salonu co godzinę, aby przyłączyła się do rodziny i słuchała wiadomości na temat rozwoju sytuacji. Jak ta niespodzianka mogła zaskoczyć aliantów? Być może jednak nie posiadali niemieckich szyfrów? Możliwe, że ktoś wiedział o tym, tak samo jak Rita, i ich zdradził. Jeśli tak, to czy Niemcy zdołaliby unieruchomić aliantów na zachodzie? „Być może” — pomyślała Rita. Jednak nic nie mogło już powstrzymać ataku Sowietów. Po tygodniu bez wieści na temat jakichkolwiek niemieckich zwycięstw na wschodzie, ta sama myśl musiała powoli przychodzić do głowy *Frau* Lempke.

Pewnego popołudnia przed świętami Bożego Narodzenia zwróciła się do Rity:

— Co będzie, jeśli *Ami* zatrzymają się przed dotarciem do Rzeszy i Rosjanie przejdą całą drogę do samego Renu? Co wtedy? Czy w Berlinie o tym pomyśleli?

Rita nigdy przedtem nie była proszona o odpowiedź na geopolityczne pytanie. Milczenie zdawało się być najlepszą odpowiedzią. Brak otuchy uczynił *Frau L* bardziej gadatliwą:

— Myślałam o twojej przestrodze. Kupiłam truciznę — kapsułki z cyjankiem potasu — dla dzieci.

Nie mówiła o sobie, chociaż Rita wiedziała, że miała też jedną dla siebie, i zapragnęła ją sprowokować.

— Czy ma też pani jakąś dla siebie? I czy poświęci pani jedną dla służącej?

— Myślałam o tym. Nie mogę wybierać najprostszego wyjścia. Jeśli istnieje jakakolwiek szansa, to Führer będzie potrzebował większej liczby Niemców. Ciągłe jeszcze mogę mieć

więcej dzieci. Więc moja nie będzie mi już potrzebna. Dlatego mam dodatkową dawkę, którą ci proponuję.

— Dziękuję. — Rita dodała ciche „*Heil Hitler*”.



Gdy tylko alianci odparli ostatnią niemiecką ofensywę na linię Zygryda przy niemieckiej granicy, *Frau Lempke* zaczęła się intensywniej zastanawiać nad tym, jak poradzić sobie z nadchodzącą zachodnią okupacją. Zorganizowano beczki, które Rita wniosła na górę Schlangenweg. Wypełniono je szczelnie srebrami, porcelaną, figurkami dreźnieńskimi, kryształami oraz adamaszkiem, a następnie wyniesiono je do ogrodu z tyłu domu i tam zakopano. Rita postawiła sobie za cel niepoprawne zapamiętanie lokalizacji każdej wykopanej przez nią dziury oraz skrupulatne zanotowanie błędnej informacji w małym zeszycie do kaligrafii należącym do *Frau L.*

Pewnego dnia pod koniec marca, dzień po tym, jak Rita skończyła swoje prace wykopaliskowe, po raz pierwszy cała rodzina znalazła się w odwiedzinach w jej piwnicy. Najwyraźniej alianckie ataki lotnicze uaktywniły alarmy przeciwlotnicze w Heidelbergu, praktycznie pierwszy raz od początku wojny. Ryk silników coraz bardziej się zbliżał, a szyby zaczynały brzęczeć. *Frau Lempke* się nie patyczkowała. Przyprowadziła całą swoją gromadkę z wizytą na dół do piwnicy. Rita została poproszona o pójście na górę do kuchni i zwolnienie miejsca dla *Frau L* i jej dzieci w jedynym pokoju bez okien w całym domu. Kiedy znalazła się w kuchni, zaczęła rozmyślać nad ironią, która sprawiała, że po pięciu latach wojny i prawie czterech latach niemieckiego bestialstwa miała zginąć w wyniku ataku Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych. Kiedy dźwięk ucichł, jej oczom ukazało się coś, co na początku przypominało ogromne białe płatki śniegu. Niektóre trafiły na konary drzew, ale większość wylądowała w ogrodzie z tyłu domu. Jednak nie stopniały w gorącym słońcu ani w mokrych kałużach. To były ulotki.

Kiedy Rita wyszła przez tylne drzwi, zobaczyła napis na karteczkach. Napisane antykwą, ale po niemiecku, ulotki wzywały mieszkańców Mannheimu do ewakuacji albo pozostania w schronach przeciwlotniczych, piwnicach lub na innych obszarach ochronnych. Rozrzucający ulotki najwidoczniej zoczyli z kursu o dwadzieścia kilometrów na zachód. W tej samej chwili z domu wyszły dzieci i dowodzone przez Flossie, zaczęły zbierać ulotki i zanosić je do kuchni do spalania. *Frau L* stała w drzwiach.

— Wyzbierałyście wszystkie, dzieci?



Następnego popołudnia pod tylne drzwi przyszła Dani. Rita nie była zaskoczona jej widokiem.

— Staruszka, dla której pracowałam, wyjechała z miasta. Kazała mi się wynieść, zanim zamknęła mieszkanie. Wszyscy uciekają z Mannheim.

— Widzieliśmy ulotki. Trochę ich tutaj spadło.

— Volkssturm — bojówki ludowe — oraz to, co zostało z Hitlerjugend, bronią miasta. *Bürgermeister* próbował poddać miasto, ale oni na to nie pozwolą. Czekają ich walki uliczne w ruinach. Kiedy odchodziłam, widziałam cywilów z karabinami czających się w ukryciu. To będzie wyglądało zupełnie tak jak w Warszawie.

— Możesz zostać tutaj, chociaż na kilka dni. Idź na dół. Ja zajmę się *Frau Lempke*.

W tej samej chwili zadzwonił dzwonek wiszący na ścianie w kuchni.

Rita weszła na górę i zastała otwarte frontowe drzwi. Stał w nich *Herr Lempke*, którego widziała najwyżej dwukrotnie, odkąd przyjechała z Krakowa. Przenosił walizki z rządowego opla do domu. Zeszła po schodach, wzięła z jego ręki walizkę i wniosła ją do środka. Skinął na nią, a ona podążyła za nim do salonu, w którym zdjął kapelusz i płaszcz i oddał je jej. *Frau Lempke* stała przy sznurze dzwonka do wzywania służby.

— Ach, Rito, przynieś panu Lempke dzbanek z herbatą.

— Z mlekiem, proszę pani?

— Jeśli jakieś jest.

Kiedy wróciła z herbatą, państwo Lempke toczyli burzliwą dyskusję. Rita przeciągnęła proces przygotowywania, nalewania i serowania herbaty. Musiała usłyszeć, co Lempke miał do powiedzenia. Musiała go też przygotować na spotkanie ze służącą, którą ostatnio widział w Krakowie.

— Nie jadę do żadnego bawarskiego schronu, koniec kropka.

— Ale jeśli minister Rzeszy Frank wyda taki rozkaz, nie będziesz miał wyboru.

— Jak to nie będę miał wyboru? Mogą wydawać rozkazy, ale nie mogą ich już egzekwować. Nie byli w stanie nawet mnie przewieźć przez linię frontu z Berlina. Sam musiałem wymyśleć sposób ucieczki i podróżować z brudnymi uchodźcami w wagonach niższych klas. Dostanie się tutaj zajęło mi trzy dni. Wyjeżdżając z Berlina, zostaliśmy zbombardowani przez Sowietów, a potem każdej nocy atakował nas RAF.

— Ale nie możesz zdezerterować. Wieszają dezertorów na latarniach ulicznych w Mannheim, dwadzieścia kilometrów stąd.

— Nie należę do Wehrmachtu. Nie mogą mnie powiesić za dezercję.

*Frau Lempke* wstała, cała się trzęsąc.

— Ale oto nadszedł czas, żeby stanąć w obronie Führera.

— Przykro mi, moja droga. Nigdy nie byłem fanatykiem. — Słowo zawisło między nimi.

Dla Rity wyglądało to tak, jakby Lempke przerwał tuż przed dopowiedzeniem: „w przeciwieństwie do ciebie.” — Teraz, kiedy przegraliśmy wojnę, musimy zacząć myśleć o tym, jak przeżyć. Dalsze słuchanie rozkazów z Reichsfinanzministerium nam w tym nie pomoże.

— Nie możemy przegrać, ty defetysto! — wysyczała. — A co z rakietami odwetowymi, tajną bronią? Führer powali naszych wrogów razem z nami.

Zignorował tę uwagę i dalej próbował przywrócić ją do rzeczywistości.

— Przywiozłem dokumenty, które ułatwią *Ami* rozpracować finanse rządowe. Mam zamiar wykorzystać je do umieszczenia nas po dobrej stronie okupacji, która nas czeka.

— Przecież jesteś członkiem partii, Heinrich. Złożyłeś osobistą przysięgę Führerowi.

Lempke się skrzywił.

— Tak samo jak ci wszyscy oficerowie, którzy próbowali go zabić zeszłego lipca. — Przerwał i na chwilę się zamyślił. — Nie martwi cię, że Amerykanie mnie zamkną? Posłuchaj, *Ami* i Brytyjczycy nie będą mieli wyboru. Będą musieli zrobić pożytek ze wszystkich *Muss-Nazi*, a nawet niektórych prawdziwych nazistów, żeby kraj nie upadł. — Odwrócił się do Rity. — Usłyszała już pani wystarczająco dużo, *Fräulein* Truszenko. Proszę wracać do kuchni.

Być może mówienie Lempkemu o Dani mogło poczekać jeszcze jeden dzień.



Ale nie było następnego dnia. Następnego dnia wojna Rity dobiegła końca.

## Rozdział 33

Niestety, nadszedł czas, żeby znowu stać się Tadeuszem Sommermannem. W Hiszpanii Gil Romero był dla niego wyzwoleniem. Jednak tutaj w Moskwie teraz, przy zbliżającym się końcu wojny, Gil Romero oznaczał wyrok śmierci. Jedynym sposobem na uniknięcie egzekucji było stanie się ponownie Tadeuszem Sommermannem.

Wyrok śmierci, który miał być wydany na Gila Romero, uwzględniał wiele kwestii: był obcokrajowcem i lekarzem, mówił w zbyt wielu językach, był intelektualistą, miał poglądy, których nie ukrywał, przebywał w Hiszpanii, gdzie z pewnością spotkał trockistów, a może nawet był jednym z nich. Poza tym naruszył prawo zakazujące aborcji, przyjmował łapówki w złocie oraz kłamał na temat swojej tożsamości — a to nie były najgorsze problemy, z jakimi musiał się zmierzyć. Jego prawdziwymi problemami były te, które dzielił z milionem innych osób w Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Każda z nich nosiła w sobie pierwiastek kosmopolityzmu, którym zwracała na siebie uwagę NKWD.

To, że Gil posiadał kompromitujące informacje na temat liderów Komunistycznej Partii Hiszpanii, mogło narażać go na niebezpieczeństwo, ale on tak nie uważał. Enrique Lister został generałem Armii Czerwonej i już dawno przestał czuć się na tyle zagrożony, żeby wysyłać Gilowi jeszcze cokolwiek do ukrycia. Właściwie, kiedy widzieli się po raz drugi, podczas przyjęcia w dacy latem 1944 roku, Lister zupełnie go zignorował i przeszedł obok, jakby go nie rozpoznał. Gilowi to odpowiadało.

Jednak Gil był w niebezpieczeństwie. Jak wielkie było to niebezpieczeństwo, wyjaśnił jego słynny przyjaciel, pisarz Erenburg. Spotkali się po raz ostatni kilka dni po tym, jak armia radziecka przebiła się przez skromną linię niemieckiego oporu na Wiśle. Wszyscy w Moskwie wiedzieli, że zatrzymanie się przed Warszawą latem 1944 roku było wyłącznie zagranem taktycznym. Stalin odmówił nawet Amerykanom i Brytyjczykom prawa do lądowania samolotów zrzucających zaopatrzenie dla Armii Krajowej w Warszawie. Niemcy wykonali pracę za niego, niszcząc wszelką nadzieję na niekomunistyczną Polskę. Dla Gila i Erenburga to wszystko było jasne. A teraz, w listopadzie, po zmiążdżeniu Armii Krajowej przez Niemców, nie było na co czekać. Mieli wszelkie powody, żeby przetoczyć się przez resztę Polski i zająć jak najwięcej niemieckich miast i miasteczek, zanim dotrą do nich zachodni alianci.

— Wracam na front, Gil — powiedział Erenburg. — Wkrótce.

— Dlaczego? Mało widziałeś zabijania?

Gil nie był tak naprawdę zaskoczony. Wiedział, że Erenburg lubił akcję i bycie w centrum zainteresowania, za nic sobie mając brak wygod oraz ryzyko.

— Słyszałem wieści na temat okrucieństwa Niemców. Muszę przekonać się osobiście i powiedzieć światu, czy to prawda. Muszę także wydostać się z Moskwy. Właściwie to dlatego cieszę się, że na ciebie wpadłem.

Wpadł na Gila? Erenburg nalegał na to spotkanie, koniecznie w publicznym parku. Oczywiście było, że coś go martwiło. Nie było wątpliwości, że to nie było zwykłe spotkanie.

— Gil, posłuchaj mojej rady. Uciekaj. Widziałem ich kampanię czystek jeszcze przed wojną. Kiedy to się skończy i znowu poczują się pewnie, zaczną zadawać pytania o wykształconych ludzi i badać robotnicze pochodzenie co najmniej dwa pokolenia wstecz. Obcokrajowcy staną się podejrzani. Całe szczęście, że nie jesteś polskim Żydem. Ta gruzińska mafia naprawdę czeka na nich ze swoimi długimi nożami.

— Ale dlaczego, Ilja?



— Bo prawdziwych ideowców i ludzi zdolnych boją się najbardziej. Ci wszyscy „sabotażyści” z lat 30. — inżynierowie, agronomowie — byli winni jedynie posiadania zbyt wysokich ambicji jak na skalę rewolucji. Byli niebezpieczni. Obawiam się, że tutaj rządzi przeciętność i nienawiść. Uciekaj. Masz paszport, prawda? — Gil kiwnął głową. — Nie zabrali ci go? To dobrze. Użyj go, proszę.



Erenburg miał zbyt duże powiązania, żeby nie brać tego, co mówi, na poważnie. Przed końcem stycznia w Lublinie utworzono rząd tymczasowy Polski okupowanej przez Sowiec. Gil zdał sobie sprawę, że będą potrzebowali ludzi wiarygodnych politycznie, prawdziwych polskich obywateli. Lekarze z autentycznymi polskimi dokumentami będą bezpieczni i otoczeni opieką.



Gil siedział w biurze ordynatora Miejskiego Szpitala Położniczego. Nie siedzieli przy biurku, ale przy niskim stoliku stojącym między dwoma skórzanymi fotelami.

— Zatem chcesz wziąć urlop, Romero? Cóż, zasłużyłeś sobie. Pracujesz w Szóstce od trzech lat, bez przerwy, nie licząc akcji na Półwyspie Krymskim. Nie było łatwo, nie? Jak dużo czasu potrzebujesz?

— Czy mogę wziąć urlop na dwa tygodnie?

— Weź miesiąc, Romero. Dokąd zamierzasz jechać?

— Na południe, być może z powrotem na Krym albo do Odessy. Gdzieś w okolice Morza Czarnego z odrobiną słońca i świeżymi warzywami. Gdzieś z dala od stref wojennych.

— Przygotuję jakieś dokumenty przepustowe. Lepiej w dzisiejszych czasach nie podróżować bez upoważnienia. A bez dokumentów i tak nie kupisz biletów na pociąg.

— To bardzo uprzejme z pańskiej strony, towarzyszu ordynatorze.

Gil wstał i wymienili uścisk dłoni.

To nie będzie łatwe. Do Kijowa będzie w stanie dotrzeć bez większych problemów. W końcu tamtędy wiodła droga nad Morze Czarne. Ale potem musiałby odbić na zachód w kierunku frontu. Musiałby znaleźć odpowiedni moment, żeby pochować Gila Romero i wskrzesić Tadeusza Sommermanna. Mógł jedynie mieć nadzieję, że im bliżej Polski będzie, tym bardziej dezorganizowana i niestabilna będzie sytuacja. Wyciągnął walizkę, którą woził ze sobą, odkąd opuścił Lwów, i dotknął ręką szwu, za którym znajdowały się dokumenty Sommermanna. Następnie spakował swój cywilny garnitur, rzeczy osobiste oraz worek z kilkunastoma złotymi monetami, które zgromadził — swoistymi medalami otrzymanymi w podziękowaniu za służbę na rzecz armii. Postanowił zacząć nosić mundur, który otrzymał, pełniąc obowiązki przy wypędzaniu Tatarów z ich ojczyzny. Zapewniło mu to tymczasowy stopień majora. W końcu na niego zasłużył. Na początku wojny był majorem i pełnił wierną służbę.

Z Moskwy do Kijowa. Czekala go długa podróż, ale przynajmniej dokumenty gwarantowały mu miejsce w pierwszej klasie, zarezerwowanej dla oficerów i umożliwiającej dostęp do wagonu restauracyjnego. Ekspres nie zatrzymywał się zbyt często, ale gdy pociąg zwalniał, przejeżdżając przez stacje, Gil widział grupy niemieckich więźniów wojennych pracujących na podtorzu lub zajmujących się odgruzowywaniem. Był styczeń, ale wielu z nich miało na sobie pozostałości letnich mundurów, wypchanych starymi gazetami, odkryte głowy i szmaty owinięte wokół dziur w butach wojskowych, o ile takie w ogóle nosili. Pewnego ranka w Briańsku na peronie zobaczył Rosjanina rzucającego na tory niedopałek papierosa i trzech

walczących o niego Niemców. Na sam widok przeszył go dreszcz. „Tak — pomyślał. — Udało nam się. Pokonaliśmy ich!”. To uczucie było tak intensywne, czyste i orzeźwiające, że musiał doświadczyć go jeszcze raz.

Wysiadając z pociągu w Kijowie, Gil wręczył swoją walizkę bagażowemu. Nie była ciężka, ale usługi bagażowego kosztowały bardzo niewiele i nie wypadało oficerowi — majorowi — nosić własnej walizkę. Szedł wzdłuż peronu. Po każdej stronie stał długi, pojedynczy rząd niemieckich więźniów — nie było oficerów i podoficerów, tylko niechlujni, w oplakany stan, brudni i nieogoleni, przedwcześnie postarzały mężczyźni o nieobecny wzrok i z podbródkami przytulonymi do zapadniętych klatek piersiowych. Gil zaczerpnął powietrza, otworzył klatkę piersiową i wyprostował ramiona, a następnie kręgosłup, żeby maksymalnie się wydłużyć. Potem przyspieszył kroku i marszem wojskowym chodził wzdłuż peronu, wyglądając w każdym calu jak zwycięski oficer radziecki. Co kilka kroków podnosił rękę, udając salutowanie i oznajmiał w nienagannym niemieckim: „*Wir danken dem Führer!*” — „Dziękujemy Führerowi” — hasło, które przetaczało się przez tysiącletnią Rzeszę. Jednak zaniedbani, głodni i podniszczeni żołnierze w każdym z rzędów byli zbyt zmęczeni, przygnębieni oraz zbyt odrętwiali trwającą już od miesięcy karą, żeby przynajmniej spojrzeć w górę i przyjąć to niewielkie poniżenie. Jednak Gil nie zwracał na to uwagi. Dobrze się bawił aż do chwili dojścia do końca peronu.



Cały pociąg był wypełniony żołnierzami — rezerwistami jadącymi na front lub przemieszczającymi się z wysokim priorytetem do kadr zastępczych we Lwowie. Jak na razie nie miał szans stać się polskim cywilem. A może nawet wcale nie będzie ich miał, kiedy już wysiądzie. Był pewny, że Lwów na zawsze pozostanie w rękach Ukraińców i Sowieców. W czasie wojny stał się Lembergim, a teraz będzie nosił nazwę Lwów i będzie miastem w pełni ukraińskim.

W wielkim gmachu dworca kolejowego wciąż dało się zauważyć słowo „*Lemberg*” przebijające na wybielonych wapnem ścianach spod jaskrawego napisu wykonanego cyrylicą. Wyszedł na otwarty plac i od razu zorientował się, gdzie jest. Spojrzał wzdłuż jednej z ulic w kierunku szpitala i wzdłuż drugiej w stronę budynku, w którym mieściło się jego mieszkanie. Lwów-Lemberg-Lwów był prawie nietknięty przez wojnę. Gil miał jednak świadomość, że nie może tu zostać — nie, jeśli miał znów stać się Tadeuszem Sommermannem. Wrócił na dworzec i stanął w kolejce oficerów czekających na miejsce w następnym pociągu na zachód, żeby dołączyć do swoich jednostek, na front, i walczyć z Niemcami. Było wcześniej i przy biurku nikt jeszcze nie urzędował, jednak kolejka już była dosyć długa. I wydłużała się za jego plecami coraz bardziej.

Kiedy kolejka zaczęła przesuwać się do przodu, Gil skonsultował się ze swoją wyobrażoną mapą terenu, który kiedyś należał do Polski, ale odtąd był częścią Ukrainy. Musiał dostać się tak daleko na zachód od tej nowej wschodniej granicy Polski, jak tylko mógł. Przed chwilę rozważał nawet objazd w kierunku południowo-wschodnim do Karpatynia, liczący sto pięćdziesiąt kilometrów. „Dlaczego?” — zadawał sobie pytanie. Nie ze względu na rodziców. Zostali deportowani przez Rosjan i niemożliwe, żeby przeżyli w Kazachstanie lub za Uralem. Przez wzgląd na Ritę? Jeśli przeżyła, z pewnością jej tam nie było. A szanse na to, że przeżyła, były tak małe, że nie pozwoliliby sobie uwzględniać jej w swojej przyszłości, nawet we własnej wyobraźni. Zatem nie południe, tylko zachód. Musiał przemieszczać się na zachód, jak najdalej i jak najszybciej potrafił. Dotarł na początek kolejki. Przyszło mu do głowy słowo „*Gleiwitz*”. W okresie międzywojennym było to pierwsze miasto po niemieckiej stronie granicy, o czym

zdecydowano w plebiscycie Ligi Narodów. To właśnie tam Hitler zaaranżował pozorowany, dokonany przez przebranych w polskie mundury Niemców, atak na radiostację, który sprowokował wojnę.

Gil położył na biurku swój dowód i upoważnienie do podróży. Oficer spojrzął na jego mundur medyczny.

— Dokąd to, doktorku?

— Do Gleiwitz. — Próbował powiedzieć to z przekonaniem i nonszalancką oczywistością.

— Gleiwitz, doktorku? — powiedział sceptycznie oficer. — Wszystkie oddziały przeszły tamtędy już ponad tydzień temu. Nie ma tam żadnych szpitali polowych ani ewakuacyjnych. Poza tym według tych dokumentów nie jest pan tam przydzielony.

— To delikatna sprawa, towarzyszu. — Człowiek przy biurku był kapitanem. Technicznie Gil przewyższał go rangą, ale odrobina szacunku mogła ułatwić mu załatwienie sprawy, więc... — Widzicie... — ściszył głos. — Widzieliście te wszystkie kobiety w oddziałach, coraz więcej ich, nawet na froncie, pełniących funkcje kierowców, urzędniczek oraz drobnych przyjaciółek oficerów. No cóż, nie wszystkie ich potrzeby medyczne są wynikiem ran wojennych. Rozumie pan. — Urzędnik kiwnął głową, poczuł się niezręcznie i wyraźnie stracił zainteresowanie tą kwestią.

Gil mówił jeszcze chwilę — niewiarygodne było, jak mało przeciętni mężczyźni chcieli wiedzieć na temat kobiecych dolegliwości.

— Zostałem poproszony o założenie oddziału moskiewskiego Miejskiego Szpitala Położniczego nr 6 w Gleiwitz dla... Cóż... — zamilkł.

Kapitan ujął gumową pieczętkę, zanurzył ją w tuszu i odcisnął na dole dokumentów podróży Gila. Następnie wziął długopis, wypisał upoważnienie i złożył podpis. Szarpnął głową w kierunku peronów, krzyżąc: „Następny!”

Kilkanaście metrów dalej czekający w tej samej kolejce Urs Guildenstern zobaczył, jak Tadeusz Sommermann otrzymuje zgodę na podróż.



Gil siedział w dworcowej stolówce dla oficerów, czekając na swój pociąg i sącząc mały kieliszek wódki, kiedy spostrzegł wchodzącego Ursa. Urs patrzył wprost na niego. Jakikolwiek odwrót lub ucieczka były niemożliwe, tak samo jak udawanie, że się nie znają. Urs podszedł do niego, odsunął krzesło naprzeciwko niego i zapytał:

— Można? — Zajmując stanowczo miejsce, patrzył na wyraźnie zdenerwowanego Gila. — Nie martw się. Nie życzę ci już źle. Problemy osobiste trójki ludzi nie mają większego znaczenia po sześciu latach tej wojny. To, co nas poróżniło, stało się dawno temu. Nie mam zamiaru donieść na ciebie do NKWD tylko dlatego, że podajesz się za hiszpańskiego lekarza.

Zapalił papierosa.

„Dlaczego nie? — pomyślał Gil. — Głównie dlatego, że sam nie chcesz mieć nic wspólnego z tajną policją. I nie ma żadnego znaczenia to, jak bardzo jesteś niewinny. Jeśli tylko wdepniesz w tę plamę smoły, nie zdołasz się już od niej odkleić”.

— Skąd o tym wiesz?

— Dzięki mojej randze. Jestem pułkownikiem. Oficer transportowy jest kapitanem. — Nie musiał mówić nic więcej. — A więc, przeżyłeś wojnę.

— To jeszcze nie koniec, Urs. Obaj mamy jeszcze szansę zostać bohaterami.

— Jak tego dokonałeś, Tadeuszu?

Odpowiedź na to pytanie mogła być trudna. Kusiło go, żeby opowiedzieć mu całą historię i pokazać, jak inteligentnie tego dokonał. Ale jeśli chciał zatrzeć za sobą ślady, nie mógł sobie pozwolić na mówienie o tym nikomu. Historia, którą miał wymyśleć, musiała być trudna do sprawdzenia i wiarygodna.

— Tak samo jak ty. — Spojrzał na ramię Ursy oraz jego dystynkcje. — Służby medyczne.

— Zatem nauczyłeś się wielu rzeczy, których nie uczyli nas w szkole medycznej. — Urs spojrzał na swoje dłonie, najwidoczniej rozmyślając o operacjach, które wielokrotnie przeprowadzał. — Gdzie służyłeś?

Tadeusz musiał improwizować.

— Na Froncie Stalingradzkim. — Jeśli zamierzał zacierać za sobą ślady, to dlaczego nie miałby zrobić na nim wrażenia? — Było ciężko. Przez sześć tygodni żyliśmy na wódce i amerykańskich jajkach w proszku. — Przynajmniej ta część była prawdziwa. Żył na wódce i jajkach. Ale wspomniane sześć tygodni upłynęło w Moskwie. — Następnie pomagałem w usuwaniu zwolenników faszyzmu z półwyspu Krymskiego w zeszłym roku.

— Słyszeliśmy o tym w służbach medycznych. Czterdzieści spośród około dwustu tysięcy z nich zmarło w trakcie przewożenia na skutek wychłodzenia oraz niedożywienia.

— Trudno zdobyć się na współczucie dla ludzi, którzy walczyli u boku nazistów. Istniał cały Legion Tatarów, walczących w ramach Waffen-SS.

— Nie wiem. Nie dostali niczego od władz radzieckich przed wojną. Prawdopodobnie myśleli o tym w kategoriach: wróg mojego wroga jest moim przyjacielem. A podczas przesiedlenia ucierpiały głównie kobiety i dzieci.

„Takie gadanie nie pozwoli pozostać Ursowi przy życiu zbyt długo w stalinowskiej Rosji” — pomyślał Gil.

— Faszyści muszą dostać nauczkę. — Czekał na ripostę. Nie było żadnej. — A jak twoja wojna?

— Byłem na Froncie Leningradzkim. W Leningradzie byliby skłonni zabić za jajka w proszku. — Zmienił temat. — Kiedy Sowietci zabrali w 1940 roku twojego ojca i matkę, byłem jeszcze w Karpatyniu. Udało ci się ich namierzyć?

Tadeusz potrząsnął głową. To byłoby niebezpieczne i bezcelowe. Właściwie to były pierwsze potwierdzone wiadomości, jakie usłyszał na temat ich losu.

— A jak twoja rodzina, Urs?

Bardzo chciał zapytać o Ritę, ale nie miał zamiaru ryzykować sprowokowania zdradzonego męża.

— Wszyscy zginęli. Zamordowali ich Niemcy. W zeszłym miesiącu przejeżdżałem przez Karpatyni. Otworzyli miejscowe biuro informacyjne. Moja matka została zabita, a ojca wysłano bardzo wcześnie do obozu zagłady w Bełżcu. Całe getto zostało zlikwidowane i spalone. Nikt nie przeżył. Tak mi przynajmniej powiedziano. — Urs nie miał zamiaru wspominać o Ricie. — Wszyscy zginęli, włącznie z moim synem.

— Miałeś dziecko... z Ritą? — zapytał Gil bez zastanowienia. Urs kiwnął głową. — Bardzo mi przykro z powodu twojej straty, Urs — rodziców, syna... Rity.

— Właściwie to ożeniłem się ponownie — z Rosjanką, którą poznałem w Moskwie — i mamy syna.

— Gratulacje. Zatem otrzymałeś potwierdzenie o śmierci Rity?

— Nic konkretnego. Ale samotna kobieta z małym dzieckiem... Nie miała żadnych szans. — Urs wydawał się jednak być nieco poruszony.

— Masz rację.

— Tadeusz, posłuchaj, obaj zaczęliśmy w tym samym miejscu i pięć lat później obaj

ciągle żyjemy, i nawet nie mamy na sobie zadrapania, podczas gdy wszyscy inni stamtąd nie żyją. Zastanawiasz się czasami dlaczego? Nie dręczy cię to? Ja nie mogę spać nocami, myśląc o tym.

Gil nie miał problemu z tym, że przeżył. I doskonale wiedział, dlaczego tak się stało. To nie była zasługa szczęścia. To była kwestia zdolności przewidywania, bycia na tyle mądrym, żeby zawsze przewidzieć rozwój sytuacji, bycia na tyle bezkonfliktowym, żeby zawsze korzystać z nadarzającej się okazji, nieprzebierania w środkach, kiedy cel był tego wart. Zasłużył sobie na przeżycie. Miło by było się tym pochwalić, ale to też wydawało się ryzykowne. Nie odpowiedział.

Urs wstał. Spojrzał na Gila z góry.

— No cóż, powinienem wiedzieć, że lepiej nie pytać cię o to, czy to ma sens.

Gil podniósł się, próbując zmniejszyć dystans, którego tamten potrzebował, by patrzeć z góry.

— Co masz na myśli? — Każda cząstka jego istnienia powstrzymywała go teraz przed powiedzeniem tego, co tak naprawdę myślał: „Urs, ty idioto, nie zasłużyłeś na to, żeby przeżyć. Gdyby tylko udało ci się popełnić samobójstwo w trzydziestym ósmym, miałbym Ritę i mogłaby przeżyć u mojego boku. Zamiast tego ona nie żyje, a ty wróciłeś z wielkiej patriotycznej wojny jako pułkownik”.

— Chodziło mi tylko o to — odparł Urs — że nie warto zadawać takich pytań komuś, kto nigdy nie zastanawia się nad tym, jak wpływa na życie innych. — Spojrzał na zegarek. — Mój oddział zmierza do Katowic. Lepiej do niego wróć.

Odwrócił się i odszedł bez podania ręki, czy nawet jakiegokolwiek pożegnania.

Czy Gil musiał się martwić o to, że ich drogi znów się skrzyżują? Nie mógł na to zbyt wiele poradzić, więc starał się skupić na innych rzeczach.



Gil nie był jedynym, którego przyciągnęło położenie Gleiwitz. Do miasta zjechali uchodźcy — Niemcy, Polacy i wielu z byłych polskich terenów, teraz na stałe włączonych do Ukrainy. Dzięki swojemu mundurowi szybko znalazł kwatery. Sztuczka polegała na tym, jak i gdzie przestać go nosić. Wyciągnąwszy Tadeusza Sommermanna z dna walizki, gdzie był przez siedem lat, Gil zarejestrował go w miejscowym biurze informacyjnym dla uchodźców i podał imiona członków jego rodziny, kiedy zapytano go, kogo chciałby odnaleźć. Te informacje złożył na rejestr. Jeśli Urs miał rację co do zgładzenia ich rodzin i znajomych z Karpatynia, nie będzie nikogo, kto mógłby podważyć jego mało wiarygodną historię o ukrywaniu się i walkach w komunistycznej, niezwiązanej z Armią Krajową partyzantce. Z dokumentami w ręku poszedł zarejestrować się w komendzie miejskiej policji oraz odnowić swój polski dowód tożsamości u miejscowych władz.

Następnie — już jako Tadeusz — zabrał się za szukanie pracy w roli lekarza. Było to nieco trudniejsze, jako że wszystkie dokumenty potwierdzające, jakie przywiózł, były wystawione na nazwisko Gil Romero. Niemniej jednak zapotrzebowanie na personel medyczny było zbyt wielkie, żeby szpitale stwarzały problemy, a Tadeusz najwyraźniej wiedział, co robi. W ciągu kilku dni został rezydentem dwóch różnych szpitali.

Prawie od samego początku nic nie wydawało się właściwe dla Tadeusza Sommermanna. Codziennie odczuwał potrzebę bycia Guillermo Romero — dla pielęgniarek, swoich pacjentów oraz ich rodzin. Musiał być wytwornym, egzotycznym romantykiem z katalońskim nazwiskiem i wrodzonym talentem. Zamiast tego był Tadeuszem Sommermannem, w pełni kompetentnym

lekarzem, ale Żydem w *judenrein* Polsce. Po sześciu latach nazistowskiej okupacji ludzie nie byli już dumni ze swojej wrogości wobec Żydów, ale ciągle ją żywili. Bez względu na ich zaskoczenie z powodu spotkania z Żydem, który przeżył, jego żydowskość wywoływała u nich dreszcz, a potem niepokój o diagnozę, rokowania oraz leczenie, i nie potrafili tego ukryć. Sanitariusze przenosili na oddział typowy antysemityzm z ulicy. Pielęgniarki nie reagowały na jego bezpośredniość albo skłonność do słuchania i konsultowania się z nimi w taki sam sposób, w jaki traktowały Gila Romero. Lekarze nie wdawali się w inne dyskusje poza wymianą informacji na temat pacjentów. Tadeusz nie był tak naprawdę ich kolegą z pracy. Był zjawą, powrotem do przeszłości, dziwakiem, wyrzutem sumienia. Był kimś, z kim musieli — z powodu wojny, Sowietów oraz własnego poczucia winy — pracować, a nie z kim pracować chcieli. Życie z Tadeuszem Sommermannem nie miało być łatwe dla nikogo, nawet dla samego Tadeusza.

## Rozdział 34

Rankiem 30 marca 1945 roku Rita zeszła w dół Schlangenweg na Neuenheimer Landstrasse, która biegła wzdłuż północnego brzegu Neckaru. Miała za zadanie zdobyć mleko dla dzieci. Spojrzawszy w górę, w stronę mostu, zobaczyła dwa długie szeregi mężczyzn w zielonych mundurach. Niektórzy mieli krótkie kurtki w kolorze khaki, a wszyscy mieli zielone hełmy, nieprzypominające wcale niemieckich. Ich chód był niezgrabny i nie emanował elegancją ani zdecydowaniem, z którymi kojarzyli jej się niemieccy żołnierze. Nieśli broń na różne sposoby — niektórzy przewieszoną z tyłu przez ramię, inni w rękach, równoległe do ziemi. W pasie mieli zawieszane różne sakwy, torby oraz narzędzia, które z kolejnymi krokami zdawały się poruszać w górę i w dół. Nic nie było przywiązane starannie, jak przystało na niemiecką piechotę. Stała i czekała. Między nimi pojawił się mały, otwarty pojazd z płaską maską, nieprzypominający w niczym Kübelwagen. Podjechał do niej i się zatrzymał. Na masce widniała wymalowana w kole biała gwiazda. W końcu Rita zorientowała się, na co patrzy: na Amerykanów — *Ami*, tak nazywali ich Niemcy, jak gdyby byli ich dalekimi kuzynami. *Ami*, którzy mieli traktować Niemców lepiej niż mściwi Brytyjczycy.

Na taki samochód mówiło się „dżip” i miało to być jedno z pierwszych angielskich słów, jakie przyswoiła. Z pojazdu wyskoczył oficer, który zapytał łamanym niemieckim:

— Jak daleko następny most?

Był w jej wieku, ale brudny i nieogolony, miał opadające powieki i pojedynczy biały pas na przedzie hełmu. Posiadał przezroczysty mapnik z celuloиду, ale żadnej broni z wyjątkiem pistoletu.

— Nie wiem. Nigdy nie byłam za rzeką dalej niż tu. Nie jestem miejscowa.

Nagle zdała sobie sprawę, że mówiła szczerze. Mówiła komuś coś prawdziwego na swój temat, zamiast ukrywać fakty.

— Można znaleźć ktoś, kto wie?

Zauważyła, że mówił bardzo podstawowym niemieckim, nie stosując deklinacji.

— Tak. Proszę za mną.

Rita zaprowadziła oficera w górę Schlangenweg.

— A skąd jesteś, jeśli nie stąd? — zapytał, kiedy wchodzili po schodkach na ścieżce. Nie wyjmował broni.

W tamtej właśnie chwili, kiedy szli pod górę, uświadomiła sobie, że została oswobodzona. Odwróciła się. Do oczu napłynęły jej łzy. Rzuciła się na tego obcego Amerykanina, który szedł o krok za nią po stromej ścieżce.

— Nareszcie! Jestem wolna! Oswobodzono mnie, żyję! Kocham cię — krzyczała. Niemieckie słowa wypłynęły nieproszone.

Zdjął jej ręce ze swojej szyi, ale się uśmiechał.

— Wolna, oswobodzona? I już we mnie zakochana? — Zrozumiał każde słowo. — Byłaś więźniarka? — Jego niemiecki nie był aż tak elementarny, jak myślała.

— Kocham cię, bo przyjechałeś. I tak, jestem... Byłam więźniarką. — Czy zrozumie czas przeszły?

Odwróciła się z powrotem w górę ścieżki i teraz szła już obok żołnierza.

— Jestem Polką, Żydówką, przebywam w Niemczech na fałszywych dokumentach, pracuję dla nazistowskiej rodziny.

— To do nich mnie zabierasz? Do nazistów na końcu tej ścieżki? Powinienem

zawiadomić mój pluton? Będę potrzebował broni?

— Nie sądzę. Musisz tylko uważać na dziewięcioletnią dziewczynkę i jej matkę. Reszta jest nieszkodliwa, a mąż jest poborcą podatkowym, a nie entuzjastą Hitlera.

Doszli pod tylną bramę. Rita otworzyła ją i przytrzymała. Kiedy weszli do kuchni, Rita zawołała w dół do piwnicy:

— Dani, chodź tu szybko.

Chwilę później Dani już była na górze. Od razu zrozumiała, jak nagle wszystko się zmieniło.

— Jesteś Amerykaninem? — zapytała po angielsku.

Znała angielski! Jak Rita mogła znać ją tak długo i o tym nie wiedzieć?

— Tak, proszę pani. Nazywam się porucznik Shaw. — Spojrzał na Ritę pytająco. — A ona?

— Jest Żydówką tak jak ja, poruczniku. Z fałszywymi dokumentami. Jest z Polski, tak jak ja, i ukrywa się tutaj na widoku.

Kiwnął głową.

— Może będziesz mogła mi pomóc. Chodź ze mną.

Po czym przeszedł w towarzystwie obu kobiet przez kuchnię do salonu.

Rodzina jadła wspólnie śniadanie. Wszyscy wstali, wpatrując się w intruza. Zaczął mówić po niemiecku:

— Jestem porucznik Shaw z 44. Dywizji Armii Stanów Zjednoczonych. Czujcie się jak pod nadzorem militarnym w strefie wojennej. Mam kilka pytań. Brak udzielenia poprawnej odpowiedzi będzie traktowany jako naruszenie regulaminu władz okupacyjnych.

Zabrzmiało to jak wyuczony scenariusz. Porucznik Shaw zwrócił się do Dani po angielsku:

— Mój niemiecki może nie być wystarczający. Jeśli odpowiedzi będą błędne, powiesz mi o tym?

Kiwnęła głową. W międzyczasie Lempke zaczął przyglądać się twarzy Dani. Po chwili w jego oczach pojawił się błysk — rozpoznał ją.

Shaw zaczął zarzucać Niemców gradem pytań o lokalizację pobliskich mostów oraz obiekty niemieckie. Jednak pomiędzy padającymi pytaniami i odpowiedziami między Lempke i jego żoną miała miejsce szybka wymiana zdań w kolokwialnym niemieckim. Porucznik Shaw spojrzał na Dani.

— O co chodziło?

— Proszę pana, żona powiedziała mu, żeby nie odpowiadał, a on kazał się jej zamknąć. Zdali się teraz na pańską łaskę. — Uśmiechnęła się.

Lempke zaczął teraz odpowiadać na pytania, używając takiego poziomu niemieckiego, który byłby zrozumiały. Po jakimś czasie porucznik Shaw odwrócił się i wyszedł. Dani poszła za nim i Rita też do nich dołączyła.

Dani mówiła po angielsku. Kiedy zauważyła Ritę za swoimi plecami, zaczęła tłumaczyć to, co powiedziała:

— Zamierza pan nas tak po prostu zostawić z tą nazistowską rodziną? Co powinniśmy teraz zrobić?

— A, tak. To dobre pytanie. — Myślał przez chwilę, następnie wyjął ołówek i kartkę papieru. Zaczął mówić po niemiecku. — Oto moje nazwisko i nazwa jednostki. Rozbijemy obóz przy rzece Neckar, około dwa kilometry stąd, między tym miejscem a mostem, o którym nam powiedzieli. Jest tam też jednostka wojskowa. Jeśli przysporzą jakichkolwiek *flak* — to niemieckie słowo, znacie je? — po prostu przyjdźcie do mojej jednostki i zapytajcie o mnie. A



jeśli o nich chodzi — wskazał na pokój, w którym ciągle siedziała rodzina — na waszym miejscu nie przejmowałbym się wykonywaniem poleceń. A nawet mogłybyście same zacząć im rozkazywać.

Porucznik Shaw odwrócił się i wyszedł z domu.

Po chwili do kuchni przyszedł *Herr Lempke*.

— Och, Dani. Co za miła niespodzianka. Tak się cieszę, że cię widzę. Bałem się o ciebie, odkąd odeszłaś od nas w Krakowie.

Dani była złośliwa:

— W Krakowie nie wiedział pan o moim istnieniu. A teraz kiedy wojna dobiegła końca i przegraliście, jest już za późno na okazywanie troski.

— Moja droga, od początku wiedziałem, że obie z Ritą jesteście ukrywającymi się Żydówkami. Dlatego was przyjąłem do siebie, żeby was chronić. — Zwrócił się do Rity: — Rito, teraz, kiedy wojna dobiegła końca, przynajmniej dla nas, gdzie się podziejesz? Co będziesz robić? Oczywiście możesz zostać tutaj, na tych samych warunkach, jeśli tylko chcesz. — Uśmiechnął się nieznacznie, nie mogła jednak stwierdzić, czy z powodu swojego sprytu czy hojności.

Rita czekała na tę małą przemowę, a teraz zabrała głos:

— Dziękuję, *Herr Lempke*. Zostanę i Dani również. Ale nie jako pańska służba. Wprowadzamy się do jednego z pokoi na górze. Pan i *Frau Lempke* będziecie musieli przenieść dwójkę dzieci z ich pokoi do waszego. Nie będę już dla państwa pracować. Będę państwa gościem, tak jak i Dani. Jeśli nie będziemy odpowiednio traktowane, to porucznik Shaw z 44. Dywizji Stanów Zjednoczonych się o tym dowie.

*Frau Lempke* słuchała tego wszystkiego. Na twarzy robiła się coraz bardziej czerwona i w końcu wybuchła złością, krzycząc do swojego męża:

— Ta mała Żydówka nie może się do ciebie tak zwracać, Heinrichu! Natychmiast dzwoń do urzędu pracy. Dzwoń do Gestapo albo uciekną. — Podeszła do Rity i zażądała: — Idź i przynieś mi swoje dokumenty!

Rita zmierzyła *Frau Lempke* z góry na dół. Następnie podniosła prawą dłoń, spoliczkowała ją obustronnie i wyszła z pokoju.

Kiedy wyszła, *Herr Lempke* zwrócił się do żony:

— Moja droga, nic nie rozumiesz. Przegraliśmy wojnę. Jeśli nie będziemy się wkradać się w łaski tych dwóch kobiet, to sprawią, że życie pod okupacją będzie dla nas ciężkie.



Godzinę później dwie kobiety leżały w poprzek dwóch, trochę za małych, dziecięcych łóżek w jasnym pokoju, na drugim piętrze rezydencji naprzeciwko rzeki Neckar, pałac papierosy pochodzące z jednej ze srebrnych papierosnic *Herr Lempkego*. Niewielka ilość ich osobistych rzeczy zdążyła już zastąpić dziecięce zabawki i ubrania.

Leżąc na łóżku, Rita gapiła się przez okno na zamek w Heidelbergu stojący po drugiej stronie rzeki. Był to widok, którego prawie nigdy nie miała czasu podziwiać z okna na drugim piętrze willi. Zwróciła się do Dani:

— Wiesz, kiedy spotkałam tego oficera *Ami*, powiedziałam do niego: „Jestem wolna, oswobodzono mnie, żyję. Kocham cię”. Co on musiał sobie o mnie pomyśleć?

Dani się uśmiechnęła:

— Ale co wolno nam robić? Teraz, kiedy nas oswobodzono, co mamy robić? Gdzie się podziać? Czego chcemy teraz, kiedy już odzyskałyśmy nasze życie?

— Pierwszą rzeczą, jaką zrobisz teraz, kiedy jesteś wolna, Dani, będzie nauczenie mnie angielskiego. Będę go potrzebować. A ciebie, z twoim angielskim, będą potrzebować *Ami*.

Dani nie słuchała. Czowała ogarniające ją zmęczenie, uczucie całkowitej pustki, tak jak gdyby uciekło z niej całe powietrze. Ledwo miała ochotę się odzywać. Zaczęła mówić przyciszonym głosem:

— Dlaczego wolno mi było przeżyć? Nie ma ku temu żadnego powodu. — Zgasła papierosa w popielnicze. — Rito, nie mogę się z tym pogodzić. Czuję się, jakbym umierała razem ze wszystkimi innymi. Oddalając się od tego, co się wydarzyło... Jestem za bardzo zmęczona, nie mam na to siły. Co mam zrobić?

Rita podeszła do jej łóżka i długi czas pozostawały w objęciach.

Tej nocy, kiedy weszły do ciepłych, miękkich łóżek, Dani zadała pytanie, na które już знаła odpowiedź:

— Naprawdę zamierzasz wrócić, żeby szukać Stefana? To już pewne?

Jej przyjaciółka kiwnęła głową.

— Zatem wracam z tobą.

Przynajmniej była to jakaś motywacja do życia.



Dwa dni później, po południu, na górę do ich sypialni przyszła Flossie.

— Oficer *Ami* chce rozmawiać z kobietą, która zna angielski.

Dani zeszła z nią po schodach. W rezydencji państwa Lempke pojawił się porucznik Shaw.

Dani wróciła po kilku minutach.

— Shaw przyszedł z innym oficerem. Mówił tylko po angielsku. Poprosił mnie, żebym poszła z nimi i pracowała dla *Ami*. Powiedział, że będzie płacił mi w dolarach i dostanę amerykańskie racje, włącznie z prawdziwą kawą. Powiedziałam mu, że zrobię to, jeśli wezmą też ciebie. Powiedziałam mu, że uczysz się angielskiego.

— Co mamy dla nich robić? — Rita była podejrziwa.

Dani rozumiała jej podejrzenia. Obydwie doskonale wiedziały, do czego służyły Wehrmachtowi kobiety na okupowanych terytoriach.

— Nie, nie. Nic z tych rzeczy. Jest w porządku. Ten drugi oficer był chrześcijańskim kapelanem. Mówił, że mają takie miejsce, klub dla żołnierzy, i potrzebują hostess, które mogą udzielać informacji, serwować przekąski — nie pić, Rito! — i być może pomóc im, żeby nie czuli się samotni. — Rita się skrzywiła. — Nie, obiecał, że nie chodzi o to.

— Prawdziwa kawa? — W myślach Rita już się zgodziła. — Kiedy miałybyśmy zacząć?

Dani zaczęła mówić po angielsku, a Rita próbowała za nią nadążyć:

— Jutro, w kawiarni na dworcu kolejowym w mieście.



Następnego dnia Dani i Rita rozpoczęły pracę za kontuarem w klubie naprzeciwko dworca kolejowego w Heidelbergu. Ubrano je w używane, ale czyste kurtki oficerskie w kolorze khaki oraz furażerki mające na sobie insygnia USO[4]. Czarny kucharz — pierwszy czarnoskóry, jakiego którakolwiek z nich w życiu widziała — nauczył je, jak smażyć pączki w głębokim oleju oraz jak przyrządzać taką kawę, jaką lubili amerykańscy żołnierze — co było zdecydowanie pożądanym smakiem dla dwóch kobiet, które nie piły filiżanki espresso przez pięć lat.

Amerykańscy żołnierze byli zupełnie inni niż niemieccy. W mniejszym stopniu formalni,

a za to dużo bardziej kulturalni, przyjaźni i skłonni do dzielenia się batonikami, papierosami, gumą do żucia, puszkami z szynką konserwową „Spam”, rolkami papieru toaletowego i workami z wacikami, za które nie oczekiwali niczego w zamian. Nie zawsze wstawali i salutowali, kiedy wchodził oficer. Jeden z nich powiedział Ricie, że kiedy nie nosi się czapki, jest to zupełnie zbyteczne. Każdy z nich miał inny mundur i czasami ich nie nosili. Buty mieli niewypolerowane, a krawaty, o ile w ogóle je nosili, krzywo założone. Traktowali kluby USO jako ucieczkę przed wojną i swoimi oficerami, którzy rzadko się tam pojawiali. Chętnie tańczyli, kiedy radio grało skoczne piosenki. Ale był to taniec, którego Dani i Rita nigdy się nie uczyły i nie widziały nawet w filmach. Kobiety próbowały tańczyć *jitterbug*, ale kręciło im się w głowach, a kroki były dla nich zbyt skomplikowane i zbyt atletyczne. Żołnierze próbowali uczyć je kroków powoli, nawet pokazując je między sobą. Mogłoby to zdać egzamin, gdyby kapelan — jedyny oficer, którego Dani i Rita widywały — nie zniechęcił ich do ćwiczeń.

Inną rzeczą, której nie pochwalał kapelan, była potoczna odmiana języka angielskiego, której bardzo szybko uczyły się od żołnierzy. Dani zaczęła sumiennie uczyć Ritę angielskiego, ale jej rozumienie slangu amerykańskiego było minimalne, a wiedza na temat skrótów i akronimów była z oczywistych powodów żadna. Uczyły się obu tych aspektów języka razem, łącznie z przekleństwami, wulgaryzmami i sprośnymi zwrotami, których zaczęły używać w dokładnie taki sam sposób jak żołnierze 44. Dywizji, ale bez świadomości, co one znaczą.

Pewnego poranka, słysząc ich język, kapelan zapytał:

— Czy wiedzą panie, co oznaczają słowa „SNAFU”[5] i „FUBAR”[6]?

— Tak, panie kapitanie — powiedziała Dani. — To pierwsze oznacza sytuację, kiedy coś poszło nie tak, a drugie oznacza coś zepsutego i spieszonego.

— Spieszonego? Kto cię nauczył tego słowa?

Skrzywił się i wyszedł z klubu.



Na początku maja, kiedy naziści w końcu skapitulowali, na rzecz zachodnich aliantów i Sowietów, Dani i Rita ciągle mieszkały u państwa Lempke. Pani domu nie poddała się nowym porządkom. Natomiast *Herr* Lempke dalej utrzymywał, że chroni obydwie kobiety od ich najwcześniejszych dni w Krakowie.

Dzień po kapitulacji Lempke wszedł wieczorem do salonu i oznajmił kobietom:

— Właśnie się dowiedziałem, że Magda Halle żyje.

— Co się z nią stało? — Wcześniej nie miały odwagi pytać, ale zdziwiony ton *Herr* Lempkego wzbudził ich ciekawość.

— No cóż, przyszli ją aresztować krótko po wykryciu spisku przeciwko Hitlerowi z 20 lipca. Wygląda na to, że jej kuzyn był jednym z członków Wehrmachtu, którzy brali w tym udział, a zabierali wszystkich, którzy byli z nimi jakoś powiązani.

— Ale ona pracowała dla pana przez dwa lata. Dlaczego pan także nie został aresztowany?

— Po tym, jak ją zabrali, wrócili, żeby mnie przesłuchać. Uważali, że załatwiała uciekinierom *ausweisy* tuż pod naszym... pod ich nosem. Wysłano ją do Buchenwaldu, ale przeżyła. — Uśmiechnął się.

— Ale na ten temat też pan nic nie wiedział, prawda? — zapytała sarkastycznie Dani.

— Cieszę się, że nigdy nie opowiadała mi o konspiracji ani dokumentach, które załatwiała ukrywającym się ludziom. Taka wiedza byłaby dla mnie niebezpieczna. — Od pewnego czasu Lempke przekonywał sam siebie, że przez dwanaście lat trwania *Drittes Reich*

był tylko niewinnym obserwatorem. — Z pewnością nie mieliśmy pojęcia o okrucieństwach popełnianych przez... innych. Rito, Dani, same wiecie, że nie widywaliśmy zbyt często w krakowskim biurze mundurowych, nie wspominając o Gestapo i SS. — Wyjął kartkę papieru z wewnętrznej kieszeni swojej szarej, dwurzędowej marynarki, rozłożył ją, wyjął wieczne pióro i odkręcił skuwkę. — Rito, przygotowałem oświadczenie i będę wdzięczny, jeśli zgodzisz się je podpisać.

— Ach tak? Proszę je przeczytać. — Głos Rity brzmiał uprzejmie.

— Oświadczam, że ja, Margarita Truszenko, byłam zatrudniona najpierw w Krakowie jako gosposia w Biurze Inspektoratu Podatkowego, a następnie w Heidelbergu, w Niemczech, jako pokojówka w domu Heinricha Lempkego od lutego 1943 do marca 1945 roku. W tym czasie otrzymywałam obowiązujące średnie wynagrodzenie, miałam zapewniony wikt i opierunek, byłam traktowana poprawnie i z szacunkiem, a moje żydowskie pochodzenie oraz wrogie poglądy wobec Rzeszy niemieckiej były szanowane przez *Herr* Lempkego.

— Przykro mi, ale nie mogę tego podpisać, *mein Herr*. Zacznijmy od tego, że to nie jest moje nazwisko. Nazywam się Rita Feuerstahl.



— Hej, Rito, kapelan chce widzieć ciebie i Dani natychmiast w swoim biurze — rzucił sekretarz kapelana, stojąc w drzwiach USO. — Powiedz, masz może jakiegoś pączka?

Poprawiły swoje mundury, dały kapralowi pączka i wyszły razem z nim ze stołówki.

— Drogie panie — mówił tylko po angielsku, mając nadzieję, że go zrozumieją. — Znalazłem dla was obu znacznie ważniejszą i dużo bardziej odpowiednią pracę. Teraz, kiedy wojna dobiegła końca, zmagamy się w Europie z napływem uchodźców. Rząd Stanów Zjednoczonych ustanowił biuro, które ma się pomóc w odnajdywaniu krewnych oraz zapewnić jedzenie i schronienie dla byłych ofiar pracy przymusowej, więźniów obozów koncentracyjnych i wszystkich, którzy cierpieli pod okupacją nazistowską. W każdym razie potrzebują ludzi, którzy mówią w różnych językach, którym ofiary zaufają i którzy rozumieją, przez co one przeszły. To bardzo ważna praca, w całych Niemczech Korpusy Kapelanów Armii Amerykańskiej szukają do niej pracowników. Myślę, że wy dwie byłybyście idealne. Zatem jeśli tylko chcecie, zdobędę rozkazy, żeby wysłać was do Frankfurtu, abyście mogły dołączyć do tego projektu. Nazywa się UNRRA — Administracja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy. — Spojrzał najpierw na Dani, a potem na Ritę. — Co o tym myślicie?

[4] Organizacja zajmująca się wojskowymi stacjonującymi poza Stanami Zjednoczonymi oraz ich rodzinami (przyp. tłum.).

[5] Ang. *Situation Normal All Fucked Up* — „sytuacja opanowana, wszystko spieprzone” (przyp. tłum.).

[6] Ang. *Fucked Up Beyond All Recognition* — „spieprzone nie do poznania” (przyp. tłum.).

## Rozdział 35

W ciągu tygodnia Dani i Rita znalazły się we Frankfurcie, zwolnione z obowiązków wobec USO. Zamiast tego dostały mundury UNRRA. Były to porządne stroje, ale Rita i Dani zwykle ich nie nosiły. W pracy, którą właśnie rozpoczęły, ważne było, żeby ubierać się po cywilnemu. Uchodźcy byli wyczuleni na mundury.

Ponieważ znały niemiecki, polski, podstawy rosyjskiego, w znacznie lepszym stopniu jidysz oraz nowo przyswojony angielski, obydwie zostały niemal natychmiast oddelegowane do pracy w Biurze ds. Poszukiwań, punkcie informacyjnym zajmującym się obsługą przychodzących z terenu całych Niemiec zapytań o zaginionych. Oficer dowodzący, major Thompson, przysadzisty Kanadyjczyk, powiedział im, że są pierwszymi odpowiednimi do tej pracy Europejkami, które udało im się znaleźć. Słowo „odpowiednie”, jak zgodnie uznały Rita i Dani, oznaczało jedynie tyle, że nie były wcześniej prześladowane w takim stopniu, żeby ta praca je przerosła.

Biuro ds. Poszukiwań stanowiło epicentrum prawie każdego miasta byłej Rzeszy. Każdy obóz dla osób przesiedlonych w Europie Środkowej także takie posiadał. W pierwszych tygodniach po nazistowskiej kapitulacji obozy prowadzone przez UNRRA zostały wypełnione byłymi ofiarami pracy przymusowej. We Frankfurcie wielu z nich pochodziło z podziemnej fabryki broni rakietowej Speera w górach Harzu. Chociaż wychudzeni, ludzie ci byli dużo silniejsi niż ci, którzy ocalili z obozów koncentracyjnych i zagłady.

Rita i Dani zostały przydzielone do Salzhelm, obozu mieszczącego się niedaleko Frankfurt-Höchst, zachodniej dzielnicy miasta. Zabudowania nie różniły się zbyt od niemieckich baraków więziennych, ale było tam jedzenie, schronienie, ubrania oraz opieka lekarska. Jednak przybywający tam uchodźcy mieli dużo pilniejsze potrzeby. Przychodzili z listami nazwisk, zawierającymi kilkanaście, kilkadziesiąt, a czasami nawet po sto nazwisk członków rodziny i ludzi, na których temat szukali informacji. Ich zapytania musiały zostać rozesłane do każdej części okupowanych Niemiec. Wpływające listy były na bieżąco aktualizowane i wymieniane, ciągle brane pod uwagę, sprawdzane, ponownie sprawdzane, poprawiane i oznaczane odsyłaczem. Nawet kiedy Rita i Dani dopisywały do swoich list kolejne pozycje, były już z nimi tak zaznajomione, że mogły recytować nazwiska z pamięci.

Spora część uchodźców była *Ostie* — *Ostarbeiter*, zmuszani do pracy w fabrykach, na budowach, w zakładach paliw syntetycznych oraz w fabrykach przemysłu zbrojeniowego Kruppa, Thyssena czy I. G. Farbena. Byli to Ukraińcy oraz Rosjanie — Sowieci, którzy dobrowolnie służyli Niemcom, gdy ci wygrywali, a teraz bali się perspektywy repatriacji na wschód. Byli tam nawet *volksdeutsche* z krajów bałtyckich — Litwy, Łotwy i Estonii — którzy na początku wojny za zgodą Hitlera otrzymali od Stalina radzieckie obywatelstwo, następnie zostali „wyzwoleni” przez nazistów i ostatecznie „ewakuowani” przez niemieckie dowództwo, kiedy Rosjanie przesunęli się na zachód. I oczywiście byli też Żydzi z obozów zagłady i pracy przymusowej oraz ci ukrywający się po całych Niemczech i w Polsce.

Pierwszą rzeczą, która zwróciła uwagę Rity, jeśli chodzi o żydowskich uchodźców, szczególnie tych młodszych, była ich własna tożsamość narodowa. Byli wśród nich Polacy, Litwini, Jugosłowianie, Rumuni, Węgrzy, i nawet Austriacy — narodowość, która od 1938 roku nie funkcjonowała. Natomiast rzadko przyznawali się do bycia Żydami. Przynajmniej do momentu, kiedy mówiła im, że sama jest Żydówką. Wtedy wszystko ulegało zmianie: ich zachowanie stawało się bardziej ożywione, a żądania bardziej zdecydowane. Zaczynali także

mówić o swoich doświadczeniach. Musieli jej powiedzieć, a ona musiała słuchać. Była widocznie jedyną niepokrytą bliznami, zdrową i wyraźnie normalną Żydówką, jaką spotkali.

Nawet biorąc pod uwagę całą swoją osobistą tragedię — getto, przymusową pracę, konieczność życia pod fałszywym nazwiskiem czy perypetie z szantażystami wszelkiej maści — Rita szybko zdała sobie sprawę, że w porównaniu do niemal każdego uwolnionego z obozu, wojna była dla niej... jaka? Jak to nazwać? Ciągle szukała odpowiedniego słowa. Nie miała prawa porównywać się do nich. Przez większość czasu żyła w strasznym napięciu, ale niewiele więcej poza tym. Jej osobista gehenna była naznaczona grozą i pełna ryzykownych sytuacji oraz okrutnych strat i wyrzeczeń. Jednak większość tych ludzi również doświadczyła tego wszystkiego, a dodatkowo spędzili lata w asyście nieustannej tortury, bestialskiego sadyzmu, odczłowieczającej degradacji, obowiązkowego wyrzekania się własnego „ja”, głodu, chorób oraz wszechobecnej maszyny zagłady... Rita miała z tą rzeczywistością tylko sporadyczne kontakty — w gettach w Karpatyniu i Warszawie. To były krótkie migawki tej rzeczywistości. Ale to, co przeżyli ocalali z obozów, musiało znacznie przerastać to, co wystarczyłoby, żeby zmusić ją do rzucenia się na ogrodzenie pod napięciem, do przejścia do strefy zabijania przez drut rozciągnięty nisko nad ziemią czy do sprowokowania strażnika do szybkiego jej zabicia. Życie w takich warunkach nie miało żadnej wartości. Wiedziała o tym bez cienia wątpliwości.



Praca Rity sprowadzała się do dni spędzonych na staniu za biurkiem, do odpowiadania na zapytania przesiedleńców, wypełniania protokołów nowoprzybyłych, aktualizowania list oraz segregowania informacji. Czasami musiała przejść na teren obozu, żeby dostarczyć wiadomości — dużo częściej złe niż dobre — któremuś z mieszkańców. Idąc błotnistymi drózkami między surowymi, jednopiętrowymi, pokrytymi papą sosnowymi chatami, kuchniami komunalnymi i cuchnącymi latrynami, Rita musiała sobie przypominać o warunkach, w których ich mieszkańcy do niedawno żyli. Nieustannie zadziwiała ją, kiedy ludzie się do niej uśmiechali i machali przyjaźnie. Widywała mniejsze dzieci bawiące się prowizorycznymi zabawkami albo przechodziła obok grup starszych dzieci zgromadzonych wokół kogoś nauczającego. Kobiety zaczynały już pielęgnować małe ogródki. Ludzie nieustannie przemierzali się na zewnątrz i do wewnątrz obozu. Z pewnością w końcu zaczną być nerwowi i niezadowoleni. „Ale jeszcze nie teraz — pomyślała. — Jeszcze nie teraz”.

Pod koniec czerwca do biurka Rity podszedł młody, ciągle jeszcze wychudzony mężczyzna.

— Poproszę nazwisko i miejsce urodzenia — powiedziała z automatu.

— Kurtzbaum, Moritz, Gorlice, Polska.

Rita była wstrząśnięta. Tam był jej dom, a to nazwisko coś jej chyba mówiło. Spojrzała w górę, ale nie mogła zidentyfikować twarzy. Nieważne, minęło dziewięć lat, odkąd wyszła za mąż i wyjechała z miasta — w ciągu tych dziewięciu lat dziecko mogło dorosnąć, a dorosły mógł stać się duchem przed jej oczami. Odłożyła długopis.

— Znał pan rodzinę Feuerstahl?

— Oczywiście. — Ożywił się. — Kiedy byłem mały, mieszkali po drugiej stronie ulicy. To było przed wojną. Kiedy utworzono getto, mieszkaliśmy z nimi w tym samym domu. — Przerwał, a potem kontynuował ponurym tonem. — Zostaliśmy zabrani podczas ten samej *Aktion*.

Z początku Rita nie wiedziała, co zrobić — przedstawić się, czy zadać pytanie, na które bała się usłyszeć odpowiedź: co ze Stefanem? Czy był z nimi? „Powoli — pomyślała. —

Rozpocznij tak, żeby miał powód przypomnieć sobie coś, o czym wolałby zapomnieć”.

— Nazywam się Rita Feuerstahl. Jestem ich córką.

— Przykro mi. Nie pamiętam pani.

Rita nie słuchała go. Patrzyła mu żarliwie w oczy.

— To bardzo ważne. Czy kiedy zostaliście zabrani, z moimi rodzicami było też około dwuletnie dziecko?

— Nie. Było tam tylko dwoje starszych ludzi i moja rodzina.

— Jest pan pewien? Naprawdę pewien?

Młody człowiek stał się posępny.

— To była najgorsza chwila w moim życiu. Mogę opowiedzieć pani każdy szczegół. —

Podniósł głos. — Nie było żadnego dziecka!

Rita chciała wybuchnąć radością, ale nie mogła.

— Przepraszam, wróćmy do pańskiej sprawy...

Podniosła długopis.

— Czy to było pani dziecko? — Jego złość została wyparta przez współczucie. Rita potwierdziła. — W takim razie powinna się pani cieszyć. Zostaliśmy załadowani do wagonów bydłych do Auschwitz natychmiast po *Aktion*. Przykro mi, ale pani rodzice zostali wybrani od razu.

Niespodziewanie Rita wyobraziła to sobie. Ale nie mogła pozwolić sobie na roztrząsanie tego obrazu ani chwilę dłużej. Nie teraz. Może później.

— A pan? Co się panu przydarzyło?

— Miałem szesnaście lat. Zabrali moich rodziców i młodszą siostrę. Mnie włączyli do obsługi Kanady — tak nazywaliśmy obozowy magazyn, w którym trzymali rzeczy zabierane ludziom idącym na zagazowanie. Potem przenosili mnie do innych obozów. Potem przez jakiś czas byłem kucharzem. I to ocaliło mi życie... — spojrzał na swoje dłonie, kościste i z widocznymi żyłami. — Podtuczyło mnie to. — Zaśmiał się. — Następnie, zeszłej zimy, maszerowaliśmy przez parę miesięcy do Niemiec.

— A więc szuka pan kogoś?

— Miałem kuzynów w Nowym Sączu.



— Wracam do Polski tak szybko, jak to tylko możliwe. — To była pierwsza rzecz, jaką Rita powiedziała do Dani tego wieczoru. Ponieważ pracowały przy osobnych biurkach w różnych barakach, nie widziały się przez cały dzień. Zanim Dani zdążyła zapytać, Rita zaczęła wyjaśniać, czego się dowiedziała.

— Jest szansa, rozumiesz? Możliwe, że jest jeszcze gdzieś tam żywy.

Dani nie zatrzymała się nawet, żeby przetrwać tę wiadomość. Wyjęła wysłużoną walizkę spod swojego łóżka polowego i rozpięła ją.



— Rito, nie rób tego. — Administrator obozu, Thompson, zajął się sprawą następnego ranka. — Nie masz paszportu, poza tym granica między Niemcami a Czechosłowacją jest zamknięta. Nie wiadomo, jak wygląda sytuacja na czechosłowacko-polskiej granicy. Poczekałbym, aż sytuacja się bardziej unormuje. Poza tym potrzebujemy cię tutaj.

Obydwie kobiety potrzęsnęły głowami. Dani odezwała się:

— Im dłużej czekamy, tym bardziej trop wietrzeje.

— My? Jedzicie obie?

— Nigdy nie dowiedziałam się dokładnie, co się stało z moimi rodzicami i... moim bratem.

Dani nie miała brata. Rita podejrzewała, że kłamstwo zostało wymyślone przez Dani, żeby zaakcentować nagły charakter sprawy.

— Posłuchajcie, sporządzą jakieś oficjalnie wyglądające dokumenty — upoważnienia, identyfikatory — na oficjalnym papierze firmowym. Załatwię wam przynajmniej kwatery w Monachium i Ratyzbonie, żebyście dojechały do Czechosłowacji. To najkrótsza droga do Polski. Dam wam nazwisko kogoś, kto może pomóc po czechosłowackiej stronie.

— Skąd pan tam kogokolwiek zna? — Ritę zaskoczyła jego oferta oraz znajomość geografii.

— Niektórzy Kanadyjczycy pomagają uchodźcom dostać się przez Czechosłowację do Palestyny. Ufam, że nie będziecie wspominać o tym Brytyjczykom.



Karlsruhe, Stuttgart, Augsburg, Monachium — na każdej stacji roilo się od resztek europejskiego człowieczeństwa, wspinających się po sobie na peronach, śpiących pod gołym niebem lub czekających w milczeniu na zwolnienie się miejsca na dachu pociągu. Jak z kolejnych mrowisk, wysyłających i odbierających poszukujące jednostki, z każdej stacji wylewały się fale uchodźców. Na każdej ze stacji było stanowisko UNRRA, gotowe pomóc Dani i Ricie, które wykorzystywały zwierzchność, jaką zapewniały im noszone mundury. W Ratyzbonie przedstawiły odpowiednikowi majora Thompsona jego pisemne upoważnienie. Oficer ożywił się, kiedy zobaczył nazwisko.

— Musimy przedostać się przez czechosłowacką granicę. Może nam pan pomóc?

— Niezbyt wiele osób jedzie w tamtą stronę, drogie panie. Większość podróżujących zmierza w kierunku przeciwnym, w stronę strefy amerykańskiej. I to nie tylko Czesi. Wielu Polaków, Ukraińców, Bułgarów i Rumunów. Części spośród nich w ogóle nie udaje się przekroczyć granicy. To efekt kontroli paszportowych przeprowadzanych przez radzieckich strażników granicznych. Dokąd się kierujecie?

— Do Katowic w Polsce, majorze.

— Mam nadzieję, że planujecie podróż w jedną stronę, drogie panie. — Kobiety milczały, więc oficer kontynuował. — Posłuchajcie, dziewczyny, jesteście Żydówkami? Bo jeśli tak, to w Pradze są ludzie, którzy mogą wam pomóc. Jest tam biuro założone przez Joint.

— Joint? — Rita i Dani jednocześnie zadały lakoniczne pytanie.

— Stary amerykański JDC. Wspierają ocalałych Żydów i próbują pomagać tym, którzy chcą wyjechać do Palestyny.

Skrót „JDC” nie znaczył dla Dani i Rity więcej niż słowo „Joint”. Spróbował ponownie:

— Amerykańsko-Żydowski Połączony Komitet Rozdzielczy. Prawdopodobnie zorganizowali przedstawicielstwa także w Polsce. Oto ich adres w Pradze. A teraz poszukajmy samochodu do Elsarn. To ostatnie miasto po tej stronie granicy.



O północy szły za rolnikiem wzdłuż suchej, dwupasmowej drogi wiodącej przez wzrastające łąny pszenicy, blednące w świetle półksiężyca. Ścieżka prowadziła przez rzadki zagajnik. Następnie wyszli na świeżo uprawiane pole i czołgając się pośród sięgających do kolan kłosów, dotarli do pierwszych drzew gęstego lasu.



Podążając za rolnikiem, wdrapały się na mur, który został wzniesiony w wyniku mozolnego, pięćsetletniego przemieszczania kamieni i umieszczania ich na skraju pola. Rolnik zatrzymał się.

— Od teraz jesteście w Czechosłowacji. Tam jest wasza ścieżka do Żelaznej. Będziecie musiały złapać podwózkę do Smolova, ale jest tutaj wielu rolników, którzy podwożą takie dziewczyny jak wy.

Wystawił rękę po zapłatę. Dani sięgnęła do swojego chlebaka i wręczyła mu karton Cameli. Najlepszej waluty, jaka była w obiegu.



Praga była daleko poza zasięgiem rozporządzenia UNRRA. Była zajęta przez siły radzieckie, chociaż większość jednostek przygotowywała się już do odwrotu do Polski. Jednak Joint był wyraźnie widoczny w głównej poczekalni Dworca Głównego. Stanowisko mogłoby zostać uznane za obsługiwane przez UNRRA: kolejki petentów, przechodzący między nimi pracownicy Joint, pozostali przy biurkach porównujący listy, szukający nazwisk, zapewniający mieszkania, transport oraz dokumenty. Rita i Dani się cofnęły. Wiedziały już z doświadczenia, że ci pracownicy nie przedłożą dwóch dobrze odżywionych, zdrowo wyglądających i schludnie ubranych kobiet ponad pozostałych.

Kiedy kobieta przy biurku znalazła wreszcie chwilę, porozmawiały.

— Możemy przenocować was na jedną noc, dziewczyny. Będzie tłoczno. Możliwe jest zdobycie biletów do Brna, ale prawdopodobnie nie będziecie miały gdzie usiąść. Stamtąd nie będzie trudno dostać się do jakiegokolwiek miejsca w Polsce. Będą nawet miejscówki. — Spojrzała na Ritę. — Naprawdę jesteście Żydówkami?

— Tak, dlaczego pani pyta?

— Obydwie wyglądacie na całkiem zdrowe. — Spojrzała na Ritę. — Ale to prawdopodobnie przez te bawarskie warkoczki podpięte z boku głowy. Pewnie ocaliło ci to życie. Razem z twoim niemieckim to był świetny kamuflaż. — Wtedy przyznała się, co tak naprawdę myśli: — Nie jest to zbyt popularny wygląd w dzisiejszej Pradze.



Dotarcie do Katowic było tak łatwe, jak się spodziewały. Biuro Joint na dworcu kolejowym też nie było trudne do odnalezienia. Tym razem były petentami, tak jak tysiące innych osób stojących w kolejce, i czekały na swoją kolej. W końcu Rita znalazła się przy biurku. W dłoni trzymała wypełniony formularz: nazwisko panięskie, Feuerstahl, nazwisko po mężu, Guildenstern — minęło pięć lat, odkąd je gdzieś zapisywała, czy chociaż myślała o sobie jak o Guildenstern. Nie było potrzeby wpisywać w formularz nazwiska Truszenko. Jakie to dziwne. Miejsce urodzenia: Gorlice. Ostatnie polskie miejsce zamieszkania: Karpatyń. Przesunęła formularz wzdłuż lady i nagle dotarło do niej, jak czuli się ci wszyscy, całe setki, może nawet kilka tysięcy ludzi, którzy stali niecierpliwie naprzeciwko niej w biurze UNRRA we Frankfurcie. Patrzyli, jak przesunęła palcem lub ołówkiem w dół, lista po liście, notatnik po notatniku, patrząc od czasu do czasu na mimo wszystko nietraczącą nadziei twarz. W dziesięciu przypadkach na dziesięć rozczarowywała ich, mówiąc: „Przykro mi, nie ma na naszych listach nikogo z takim nazwiskiem”. Teraz nadeszła jej kolej, żeby poczuć się wyrzutkiem społecznym, jedyną ocaloną, miotaną prądami na morzu pustych twarzy, wyrzuconych na brzeg przy podobnych stanowiskach na terenie całej Europy. Kobieta siedząca za biurkiem miała na rękawie naszywkę „Wielka Brytania”.

— Mówi pani po angielsku?

Rita kiwnęła głową, ale przyciągnęła Dani bliżej siebie.

— Pracowałyśmy dla UNRRA przez trzy miesiące.

— Przykro mi, nie ma nikogo pod nazwiskiem Feuerstahl, to bardzo rzadkie nazwisko. Sprawdźmy jeszcze pod Guildenstern. Kolejne rzadkie nazwisko. To ułatwia sprawę. — Kobieta wróciła do pierwszej listy. Uśmiechnęła się i spojrzała na Ritę z niezwykłym wyrazem zadowolenia. — No, to rzadko się zdarza. — Zdawała się nie zauważać zmieszania, które zaczęło pokrywać twarz Rity, kiedy przekazywała informacje. — Guildenstern, Urs, Karpatyń, pułkownik, służby medyczne, Północna Grupa Wojsk Armii Radzieckiej, miejsce służby: Szpital Ewakuacyjny nr 3. — W tym momencie zaczęła mówić głośniej, tak, że współpracownicy i petenci odwrócili głowy. — Obecne miejsce zamieszkania: Katowice, Polska. Jest pani praktycznie tuż obok niego. To pani mąż?

Rita kiwnęła głową. Kobieta ściszyła głos.

— Ale to dosyć dziwne. Tutaj jest napisane: szuka informacji na temat swoich rodziców, prawdopodobnie nieżyjących... ale nie ma nic na temat „małżonki”. Sprawdź kartoteki w powiązonym indeksie. — Odeszła od biurka i przeszła do ciemnego pomieszczenia. Po kilku minutach wróciła do biurka, marszcząc brwi. Rita przez cały czas milczała. — To zwykły zbieg okoliczności. On nie może być tym, którego pani szuka. Albo to poważny błąd w aktach. Mamy w nich wpis dla Guildensterna, który wymienia żonę Karłę, obywatelkę ZSRR, oraz syna Saula, urodzonego w Moskwie w 1944 roku.

Spojrzała na Ritę, gotowa zadawać dalsze pytania. Ale powstrzymała się, widząc jej twarz. Była dosłownie pozbawiona wyrazu. Rita stała w miejscu, rozmyślając nad tym, co usłyszała, i próbując rozpoznać emocje, jakie w niej to wzbudziło, gdzieś w środku wychodząc z siebie i obserwując, jak te wiadomości na nią wpłynęły. Następnie odsunęła się o kilka kroków od biurka, ciągle zastanawiając się nad sytuacją.

Teraz przyszła kolej na Dani, a raczej Dani Cohen. Pracownica Jointu ciągle miała w rękach listy z Karpatynia.

— Spójrzmy, sporo tutaj osób o nazwisku Cohen. Michał i Dina? Obydwoje wywiezieni do Bełżca. Ale jest tutaj też Michał Cohen z Karpatynia, zarejestrowany w stacji polowej w Rzeszowie, córka Dani. To pani?

— To może być mój ojciec. To musi być mój ojciec! Rzeszów — gdzie to jest? — zapytała podniecona Dani.

— To miasto na wschodzie, przed Lwowem, obecnie Lwivem, miastem po stronie radzieckiej. Stacjonowało tam dużo sił Armii Krajowej, walcząc najpierw z Niemcami, a potem Sowietami. Mamy wysłać zapytanie, czy chce pani tam jechać? Dostanie się tam może być dla kobiety dosyć kłopotliwe.

— Dlaczego?

— Bardzo dużo radzieckich żołnierzy po drodze. Od kilku lat nie widzieli kobiety, która wyglądałaby tak jak pani, a ich oficerowie niespecjalnie są zainteresowani utrzymaniem dyscypliny. Wśród miejscowych chłopów prawdopodobnie także nie ma szczególnego współczucia dla polskich Żydów. I nie ma jeszcze bezpośredniego połączenia kolejowego. Na pani miejscu zostałabym tutaj, a my możemy wysłać zapytanie. Jeśli to pani ojciec, prawdopodobnie uda się nam załatwić mu transport tutaj.

Dani przełknęła ślinę.

— Tak, proszę to zrobić od razu.

— Gdzie się panie zatrzymały? — zapytała kobieta, zerkając na ich formularze.

— Dopiero co przyjechałyśmy z Pragi — powiedziała Rita. — Pracowałyśmy w biurze

UNRRA we Frankfurcie — rozejrzała się dokoła. — Robiąc to, co pani.

— Przypuszczam, że lepiej by było, gdybyście zatrzymały się wśród personelu Jointu. Jesteśmy zakwaterowani po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko dworca.

— Dziękujemy. Jest jeszcze jedna sprawa. — Rita przygryzła wargę i kontynuowała: — Lepiej sprawdzę tego pułkownika Guildensterna. Prawdopodobnie jest krewnym mojego męża.

Spojrzała ponownie na Ritę i na swój notatnik.

— Radziecki Szpital Ewakuacyjny nr 3, w centrum miasta. Wezwę kogoś, żeby panią zawiózł.



Rita musiała czekać około dwudziestu minut, aż odnaleziono pułkownika Guildensterna. To pozwoliło jej przeanalizować kilka różnych wersji rozmowy. Przede wszystkim chciała uniknąć fałszu w jej wstępnej fazie. Zastanawiała się, czy istnieje jakakolwiek szansa, że spotkanie będzie miało charakter rzeczowy. W końcu byli dorośli i żadne z nich nie powinno być zmuszone się tłumaczyć. Jednak zdawała sobie sprawę, że sama sytuacja stwarzała napięcie i niebezpieczeństwo pojawienia się wzajemnych oskarżeń. Jej skargi będą oczywiste. Ale jego też, szczególnie jeśli chodzi o Stefana. I stwierdziła, że będzie miał rację. Jej działania doprowadziły do śmierci ich dziecka.

Stojąc przy wejściu do wydzierżawionego, oznaczonego znaną jej białą gwiazdą w przerywanym kole, namiotu polowego, w którym mieściła się jednostka administracyjna szpitala ewakuacyjnego, zobaczyła Ursa już z daleka. Nadal był wysoki i chudy; z trudem pokonywał zabłocone koleiny po ciężarówkach, ślizgając się i przytrzymując zaparkowanych pojazdów, a dodatkowo co chwilę salutując lekko niezręcznymi ruchami prawej dłoni w kierunku czapki. Było dla niej oczywiste, że trzy i pół roku nie uczyniło z niego prawdziwego oficera. „Tym lepiej” — pomyślała. Wszedł z ulgą na mokre deski ułożone pięć metrów od namiotu, obciągnął bluzę mundurową pod pasem i zdjął furazerkę. Zobaczywszy Ritę, nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Jednak jej nieruchoma twarz szybko wyparła uśmiech z jego twarzy. Wszedł do środka i zajęli dwa miejsca przy biurku, siadając naprzeciwko siebie w półmroku słabo oświetlonego namiotu.

— Minęły prawie cztery lata — odezwała się pierwsza.

— Trzy lata, jedenaście miesięcy, trzy tygodnie i jeden dzień.

Czy właśnie to policzył, czy też może liczył dni przez cały ten czas? Znała odpowiedź na to pytanie.

## Rozdział 36

— A więc przeżyłaś — stwierdził.

Czy wyraził w ten sposób swoje zaskoczenie, rozczarowanie, a może po prostu świadomość komplikacji, z których zdał sobie sprawę?

— Jak widać. — To było jedyne, co była w stanie odpowiedzieć, nie okazując gniewu.

— Nie miałem o tym pojęcia... Jak?

— Łut szczęścia, nieudolność, obojętność i odrobina pomocy od osób, które nie miały powodów, żeby to robić. Nieważne. Jestem tutaj. — Przypomniała sobie, jak bardzo ucieszyło ją, kiedy pozbywała się go tam, na peronie w Karpatyniu, tego dnia pod koniec czerwca 1941 roku. Byłoby przejawem tej samej hipokryzji, której tak bardzo chciała uniknąć, gdyby teraz oskarżyła go o dezercję. Jednak przez chwilę miała na to ochotę.

— Naprawdę byłeś przekonany, że nie udało mi się przeżyć, czy też zwyczajnie cię to nie interesowało?

— Co masz na myśli, Rito? To okrutne.

— Twoje zapytanie w biurze Jointu... Byłeś zainteresowany jedynie losem swoich rodziców, nie moim, nawet nie Stefana. I jeśli ich dane nie są błędne, ożeniłeś się z jakąś kobietą w Rosji i masz z nią dziecko. To wszystko bez żadnego zainteresowania, czy twoja żona i dziecko jeszcze żyją... To miałam na myśli.

Dokładnie tego obiecała sobie nie robić. Rita podniosła obie ręce. Chciała właśnie przeprosić i zacząć od nowa, kiedy niewzruszona postawa Ursa zupełnie się rozpadła.

— Jak śmiesz mówić do mnie takie rzeczy? Ty, która zdradziłaś mnie przed wojną i która odesłałaś nasze dziecko, żeby móc przeżyć w czasie wojny.

Nie miała problemu z tym, że popełniła cudzołóstwo, ale oczywista odpowiedzialność za śmierć Stefana przytłoczyła ją. Rita zaczęła płakać.

To nie było celem Ursa. Podał jej chusteczkę. Przyjęła ją jako gest pojednania i zaczęła wyjaśniać:

— To nie było tak. W Gorlicach nie było getta, ludzie tam nie cierpieli, było jedzenie i nie było żadnych *Aktionen*. Ani transportów do obozów koncentracyjnych. To wszystko miało miejsce w Karpatyniu. Myślałam, że będzie tam bezpieczny.

— Rozumiem. — Wydawał się mówić szczerze.

— Ale, Urs, on nigdy nie dotarł do Gorlic. Stefan został zabrany przez kobietę, kuriera Armii Krajowej. Kiedy moich rodziców wysłano do Auschwitz, nie było z nimi żadnego dziecka. Powiedział mi to ktoś, kto był z moimi rodzicami, kiedy ich zabierali, i jakoś udało mu się przeżyć obóz.

— Stefan nie mógł przeżyć, Rito.

Ursa wzruszyła jej wyjaśnienia, ale nie potrafił zaakceptować nawet możliwości, że Stefan mógł jakimś sposobem przetrwać.

— Nie wiem tego. Ale wróciłam, żeby spróbować go odnaleźć. Szukałam go w warszawskim getcie, tuż przed powstaniem, które tam wybuchło. Nie mieli o nim wzmianki. Kto wie? Może być w jakimś klasztorze albo gdzieś z jakimiś Polakami.

— Nie. — Potrząsał głową Urs.

— Co masz na myśli, mówiąc „nie”?

— Nowy rząd ustanowiony w Lublinie uzyskał ze wszystkich kościołów, klasztorów, katolickich sierocińców i organizacji podziemnych, a także z archiwów podatkowych, listy z

nazwiskami dzieci przetrzymywanych i ukrywanych w czasie wojny. Mają wrócić do swoich rodziców, jeśli nadal żyją. Na żadnej z tych list nie widnieje nikt nazywający się Stefan Guildenstern. Odkąd tu jestem, powiadamiają mnie regularnie o osobach dopisywanych do rejestru.

Rita westchnęła.

— Rozumiem. No cóż, gratulacje z okazji twojego ślubu. Nie sądzę, żebyśmy musieli się rozwodzić. Nasze małżeństwo zostało rozwiązane przez wojnę. Przez wzgląd na to nie będę się niczego domagać. — Tak naprawdę miała na myśli to, że ich małżeństwo zostało rozwiązane na długo przed wojną, ale nie było potrzeby go prowokować. — Urs, twoje dziecko ma moralne prawo do bycia ślubnym dzieckiem. Nie przejmuj się więcej naszą wspólną przeszłością.

— To bardzo wspaniałomyślne. Jednak chciałbym ci coś wyjaśnić. — Rita potrząsnęła głową, jak gdyby chciała zasugerować, że nie ma takiej potrzeby, ale on kontynuował: — Karla to dziewczyna, którą poznałem w Moskwie w czterdziestym trzecim po tym, jak usłyszeliśmy, że getto w Karpaczu zostało... zlikwidowane, a wszyscy wysłani do Bełżca. W każdym razie zaszła w ciążę i musiałem się z nią ożenić. Była skłonna poddać się aborcji, ale to było nielegalne.

— Nielegalne? — zauważyła Rita. — Ale ty mógłbyś zrobić to bez żadnego ryzyka, prawda?

— Nie, nie mógłbym, nie potrafiłbym. Nie złamałbym prawa ani przysięgi Hipokratesa. Nigdy nie byłem taki jak twój... — Szukał odpowiedniego słowa: „przyjaciół”, „kochanek”, „partner w cudzołóstwie”? W końcu zdecydował się na nazwisko. — Jak Gil Romero.

— Co masz na myśli?

— Spędził większość wojny w Moskwie, przeprowadzając aborcje w zamian za złoto i twardą walutę — powiedział z ewidentną pogardą.

— Skąd o tym wiesz?

— Moja żona urodziła naszego syna w moskiewskim Miejskim Szpitalu Położniczym nr 6. Kiedy została przyjęta do szpitala, Romero pracował tam już od dwóch lat. Wyjechał wtedy, kiedy rodziła. Ale wszyscy w szpitalu, a przynajmniej wszyscy pracujący tam lekarze, wiedzieli, że wykonywał aborcje za twardą walutę.

— Nie został złapany?

— Nikt nie rozumiał, dlaczego tak się nie stało. Tak wiele osób o tym wiedziało. Ktoś musiał donieść do NKWD, albo chociaż na moskiewską milicję. Posiadanie takiej wiedzy i niemówienie o tym władzom byłoby niebezpieczne. Musiał mieć jakiegoś możnego protektora. Tak przynajmniej uważali lekarze.

— Nadal tam jest? — Rita sama była zaskoczona, że zadała to pytanie.

— Nie wiesz? — Spojrzała na niego osłupiała. — Jest prawdopodobnie niecałe czterdzieści kilometrów stąd. W Gleiwitz. Spotkałem go miesiąc temu w Kijowie i tam właśnie zmierzał.



Tej nocy, nie szukając Dani w biurach Jointu, Rita wyjechała na wschód. Musiała upewnić się — na tyle, na ile mogła — że nigdzie nie ma śladu Stefana, zanim zacznie myśleć o reszcie swojego życia. Godzinę oczekiwania na kolejny pociąg spędziła w Krakowie, znowu wędrując między budynkami uniwersytetu. Ale wszystkie jej wspomnienia z lat 30. zostały już wymazane. Wojna, okupacja niemiecka, getta, ciężka praca w biurze *Herr* Lempkego, nieustające niebezpieczeństwo, w jakim były ona i Dani — jej kochanka i partnerka *contra*

*mundum* — tylko to już teraz pamiętała. A nie życie przed wojną.

Rozpoczęła poszukiwania w Nowym Sączu, gdzie funkcjonowało biuro poszukiwawcze. Złożyła standardowy formularz dotyczący jej rodziców i Stefana. Tak jak się spodziewała, rodzice zostali przewiezieni do Auschwitz w 1942 roku. Nie było żadnych wzmianek o zabranym z nimi dziecku. Niemcy byli systematyczni. Rejestry były prawdopodobnie kompletne.

Trzeciego dnia poza Katowicami Rita szła ulicami miasta swojego urodzenia. Gorlice zaczynały się już odbudowywać, niczym po przejściu trąby powietrznej. Na wypalanej ulicy, gdzie mieścił się jej dom rodzinny, pojawiły się już nowe szopy — nie były to jeszcze domy. Ale wzdłuż ulicy, na której dorastała, nie natknęła się na żadne nazwisko ani twarz kogoś, kogo by rozpoznała. Domy, które znała, były zamieszkane przez nowych lokatorów.

Rita zgłosiła się na miejscowy posterunek policji. Oczywiście było, że nikt nie interesował się specjalnie niedawną przeszłością oraz najbliższą przyszłością Żydów mieszkających kiedyś w Gorlicach. Jedyne policjant na służbie był zajęty — było mu obojętne wszystko oprócz papierosów, które zwijał prawie idealnie jeden za drugim.

— Przykro mi, proszę pani, wszystkie zapytania należy kierować do Nowego Sącza, do władz powiatu. — Policjant wrócił do bibulek papierosowych i sypkiego tytoniu.

— Czy może mi pan powiedzieć cokolwiek na temat miejscowej Armii Krajowej?

Tymi słowami zwróciła jego uwagę, ale nie w sposób, na jaki liczyła.

— Przykro mi, towarzysko. — Przenikał ją wzrokiem. — Tutaj nic nie wiemy na temat terrorystycznych, faszystowskich organizacji. To komisariat policji. Musi pani kierować się do Urzędu Bezpieczeństwa. To też w Nowym Sączu.

— Terroryzmu? Nie rozumiem. — Rita upierała się przy swoim. — Muszę dowiedzieć się czegoś o kobiecie, kurierze Armii Krajowej, która działała na tym obszarze w 1942 roku. — Po czym dodała: — Ta kobieta nie mogła być faszystką, walczyła z nazistami.

— Armia Krajowa to organizacja terrorystyczna, panienko. Wciąż są gdzieś tam w górach, walczą z legalnym rządem. Radziłbym nie pytać dalej albo będę musiał poinformować o tym organy bezpieczeństwa.

— Przepraszam. Przez wiele lat byłam poza krajem. Może mi pan wyjaśnić, dlaczego Armia Krajowa jest faszystowską organizacją terrorystyczną?

Spojrząwszy na Ritę, policjant przybrał nagle dobroniuszny wygląd.

— No cóż, moja droga, wiem tylko tyle, że zeszłej zimy zaatakowali więzienie rządu tymczasowego na zamku w Rzeszowie, próbując uwolnić innych zbirów z Armii Krajowej, aresztowanych za sprzeciwianie się naszym radzieckim sojusznikom. Te szumowiny zostały złapane i przebywają teraz w więzieniu. Powiedziałem już dość.

Z tego, co pamiętała, Rzeszów był miastem, w którym, jak im powiedziano, miał znajdować się ojciec Dani.

— Dziękuję panu.

— Drobną radą, siostrze. Jesteś taką ładną dziewczyną. Nie chciałbym zobaczyć cię w mamrze. Nie zadawaj zbyt wielu pytań w Nowym Sączu. Na temat Żydów i Armii Krajowej... Dla narodowych organów bezpieczeństwa nie są to pytania pożądane.



Rita ponownie znalazła się przy stanowisku biura poszukiwawczego w Nowym Sączu, stolicy powiatu. Siedząca za biurkiem Polka w średnim wieku nie powiedziała Ricie niczego nowego. Rita nie spodziewała się niczego innego.

— Mam jeszcze jedno pytanie. Czy w Nowym Sączu albo w powiecie jest jakiś klasztor,

sierociniec albo dom dziecka?

— Niestety nie. — Kobieta najwidoczniej była pobożną katoliczką, bo zrobiła jej wykład z historii. — Jest zbyt mało zamożnych katolickich rodzin, żeby utrzymywać klasztory. Tylko szkoła sióstr benedyktynek sobie radziła. Ale wszystko już się pozamykało. Nie było tutaj nigdy na tyle wielu dziewcząt niechających wyjść za mąż, żeby potrzebny był klasztor. Większość majątków w tej okolicy należała do Żydów, a większość chrześcijan była Ukraińcami. Tych kilka dziewcząt, które poczuły powołanie, wyjechało do Krakowa...

Rita przestała jej słuchać. Nagle zapragnęła wyleczyć się z potrzeby szukania Stefana. Po ostatnich trzech latach nie miała już więcej energii życiowej do dalszej walki, niebezpieczeństw i rozczarowań. Nie żył i to wszystko, powiedziała sobie stanowczo i zaczęła szukać w myślach sposobów na utwierdzenie się w tym wniosku.



Koniec z Ursem, koniec ze Stefanem, tylko Dani. Te trzy myśli powtarzały się w sekwencji, której rytm zgrywał się ze stukotem kół przetaczających się przez dziury w szynach. Pociąg, którym jechała na zachód, w stronę Katowic, był dużo bardziej zapełniony. Wszędzie wyglądało to tak samo: dysproporcja między dużą liczbą ludzi jadącą na zachód i niewielką liczbą zmierzających w kierunku wschodnim była olbrzymia. Wszyscy rozumieli dlaczego. Rita pospiesznie wyszła z dworca w Katowicach, chcąc szybko odnaleźć Dani i powiedzieć jej, że skończyła z próbami wskrzeszania zmarłych i była gotowa rozpocząć ich wspólne życie.

Weszła do pokoju kwatery Jointu, w której zapewniono im nocleg. Z tyłu pokoju, na swoim łóżku siedziała Dani, a przed nią dwie osoby — mężczyźni siedzący na łóżku naprzeciwko. Starszy z nich był przysadzisty i miał siwiejące, kręcone włosy nad bardzo szorstką i pomarszczoną twarzą o dobrych rysach. Pomimo swojego wieku mężczyzna wyglądał na silnego, a rękawy jego koszuli opinały się na mięśniach ramion. Obok niego siedział młodszy mężczyzna, opalony i wysportowany, surowo atrakcyjny, niemal przystojny. Kiedy Rita podeszła, Dani powiedziała na tyle głośno, żeby mogła ją usłyszeć:

— Oto ona. — Wstała z łóżka. — Rito, to mój ojciec, Michał... — Przerwała, ewidentnie zdenerwowana. — Oraz mój narzeczony, Paweł Bernaś.

Kiedy powiedziała te słowa, złapała Ritę za prawą dłoń i ścisnęła ją bardzo mocno. Rita zrozumiała znaczenie tego gestu, ale była wstrząśnięta wiadomością. Zmusiła się do uśmiechu.

— Ale Dani, nigdy mi nie mówiłaś, że jesteś zaręczona. Przez te wszystkie miesiące i lata...

Rita nie miała pojęcia, co teraz, co powiedzieć, w którą stronę pokierować rozmową. Młody mężczyzna postanowił pomóc.

— Tak, no cóż, nie miała powodów sądzić, że którykolwiek z nas żyje. Opowiedz jej, jak nam się udało przeżyć, Michał.

Mężczyźni wydawali się nie zauważać jej zdenerwowania. Starszy mężczyzna odchrząknął.

— To był ostatni apel, jaki Leideritz zwołał w getcie w Karpaczu. Nie chciałem pozwolić na rozdzielenie mnie z Ewą.

— Moją matką — dopowiedziała Dani.

— Pawłowi i mi udało się uciec z jednego z ostatnich wagonów bydłowych jadących do Bełżca. Jednemu z mężczyzn w wagonie udało się jakimś cudem przemycić obcęgi tak, żeby nie zauważyli ich strażnicy. Przeciął kłódkę na drzwiach wagonu, kiedy pociąg zwalniał przez zakrętem. Dwudziestu spośród nas wyskoczyło i rzuciło się do biegu. Zatrzymali pociąg, żeby

spróbować nas zagonić z powrotem, ale człowiek od obcęgów wiedział, dokąd iść. Pobiegliśmy za nim. Przez tydzień przemieszczaliśmy się nocami na Pińskie Błota, na północ od Bełżca. Nie do przebycia dla niemieckich samochodów albo czołgów i pełne partyzantów.

Szok spowodowany narzeczonym Dani zastąpiony został teraz uświadomieniem sobie, o kim mówił ten mężczyzna.

— A ten mężczyzna z obcęgami, który prowadził was na Pińskie Błota i do partyzantów. Wie pan, jak się nazywał?

— Ach tak. Mieszkaliśmy z nim przez następny rok. Szajbus z niego. Ludzie go szanowali, ale nikt się do niego nie zbliżał. A przynajmniej nikt porządny. Nazywał się Erich Klein. Był *feygele*, pedałem, ciotą.

— Był twardzielem, ale homoseksualistą — dodał Paweł. — Mieszkał z innym facetem w bunkrze przez prawie cały czas, jak byliśmy tam razem.

— Co się z nim stało? — Rita domagała się informacji, patrząc raz na jednego, raz na drugiego mężczyznę.

Odpowiedział Paweł.

— Zginął podczas walk z Wehrmachtem. Prawdopodobnie razem ze swoim... kolegą. Nikt nie chciał wyjść na zewnątrz po ich ciała po wymianie ognia, więc nie możemy mieć całkowitej pewności. Razem z nami, wśród partyzantów, było paru dosyć agresywnych Rosjan. Nie lubili pedałów tak samo jak my i nie wahali się ich prześladować. Więc równie dobrze mógł zostać dźgnięty w plecy podczas tej potyczki.

W tym momencie Michał Cohen przerwał mu, pytając nieco podejrzliwie:

— Znałaś go?

Rita nie zamierzała ukrywać tego ani przez chwilę.

— Tak. Byliśmy bliskimi przyjaciółmi w Karpatyniu. W zasadzie to wynajmował u mnie pokój, a potem zajmowaliśmy wspólną przestrzeń w getcie. Uratował mi życie. Był wspaniałym człowiekiem.

Żaden z mężczyzn nie wiedział, jak odpowiedzieć na to dumne stwierdzenie. Michał w końcu powiedział:

— Przykro mi, jeśli był twoim przyjacielem, ale był degeneratem...

Rita była zbyt zmęczona i rozgoryczona, żeby znosić takie podejście. Po prostu wstała i wyszła z pokoju. Będąc już na ulicy, zatrzymała się, żeby zapalić papierosa, kiedy Dani ją dogoniła.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś, że masz narzeczonego i że wychodzisz za mąż? — Obwiniła ją Rita.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi, że w Karpatyniu mieszkałaś z homoseksualistą? — odpowiedziała Dani.

— Słucham? Masz zamiar uderzyć w moralizatorski ton, mówiąc o mężczyznach, podczas gdy byłaś moją kochanką przez dwa lata? — Dani nic nie mówiła, więc Rita kontynuowała: — Nie wspominałaś mi nigdy o żadnym narzeczonym, albo nawet o przyjacielem płci męskiej.

— Nie pytałaś, a ja miałam dostateczne powody, żeby myśleć, że nie żyje.

Rita postanowiła przerwać tę kłótnię.

— Dani, posłuchaj, przekonałam siebie, że Stefan nie żyje. Nie mogę zostać w Polsce. Kiedy możemy wracać na zachód?

Dani wzięła głęboki wdech.

— Ja nie... Nie mogę wrócić. Zostaję.

Zaczęła płakać, szukając jej ramienia, ale Rita trzymała ją od siebie z daleka, patrząc



gniewnie w jej twarz.

— Nie było mnie trzy, może cztery dni. Co się stało? Czy chodzi o tego chłopaka na górze? Brak aprobaty ze strony twojego ojca?

— Nie, nie... On nie wie o tobie, o nas.

— Co? Nie mówiłaś mu nic o ostatnich dwóch latach?

— Nie mogę o tym rozmawiać z moim ojcem, z żadnym mężczyzną, z nikim właściwie o... O tym.

„Nie umiesz nawet powiedzieć »o nas«. Wszystko, co miałyśmy, zamieniło się po prostu w »to«” — pomyślała Rita. Dani mówiła dalej.

— Słyszałaś, co mówili.

— Tak. — Rita zdała sobie sprawę, że byłaby równie niechętna do rozmowy z nimi lub kimkolwiek innym o tym, co robiła z Dani. — Dani, rozumiem. Nie musisz im o niczym mówić. Ale jedziesz ze mną, prawda? Z powrotem do Frankfurtu?

Dani potrząsnęła głową.

— Nie. Nie mogę. Zostaję tutaj. Spróbuję ułożyć sobie życie z Pawłem.

— Ale... ja cię kocham. — Kiedy to powiedziała, zapytała samą siebie, czy naprawdę w to wierzyła, czy to była prawda. Nigdy nie mówiły sobie takich rzeczy, nawet w chwilach, kiedy ich ciała ochoczo reagowały na wzajemny dotyk. Nawet wtedy jakaś powściągliwość powstrzymywała je przed tym, aby o tym mówić. Teraz, kiedy wypowiedziała te słowa, wiedziała, że są szczere.

Ale Dani znowu potrząsnęła głową.

— To wszystko przez wojnę, Rito. To przez strach, straty i porzucenie, które wycierpiałymy. To była potrzeba odrobiny przyjemności w pozbawionym jej świecie. To nie była prawdziwa miłość, na której można budować życie.

Teraz Rita wszystko zrozumiała.

— To nie poczucie winy, to wstyd cię ode mnie oddała. Nigdy nie czułaś się nawet przez chwilę winna, leżąc w moich ramionach. Kochałaś mnie. Nadal mnie kochasz. Tu chodzi o to, co powiedzą inni ludzie, o wstyd, który w tobie wzbudzą — to byłoby dla ciebie zbyt wiele.

Wówczas Dani wybuchła.

— Tak! To zbyt wiele po tym wszystkim. Po prostu nie mogę już żyć w ukryciu — z inną kobietą, pod kolejnym fałszywym nazwiskiem. To byłoby nieustanne przypominanie sobie o horrorze. Nie mogę dalej walczyć ze... wszystkim. Z Pawłem i moim ojcem czeka mnie prawdziwe życie. Z tobą spędziłabym całe życie, udając, że jesteśmy czymś, czym nie jesteśmy.

Do Rity w końcu dotarło: Dani nie mogła poradzić sobie ze swoim uczuciem do Rity, bo nagle znowu miała rodzinę. Rita miała komfort bycia w pojedynkę. Nie było nikogo, kto mógłby ją zawstydzić. A i ona nie była jedną z tych osób, które inni mogli zawstydzić tym, co o nich myślą. Wiedziała o tym już wtedy, kiedy prześladowcy nazywali ją dziwką za siedzenie w getcie ławkowym w sali wykładowej na Wydziale Prawa w Krakowie.

Rita przyciągała Dani do siebie, nawet kiedy w myślach ją odpychała. Wiedziała, że z emocjami nie da się dyskutować rozsądnie oraz że nie istnieje impuls, który mógłby odmienić uczucia. Nie pozostało im nic innego, jak tylko zaakceptować rzeczywistość i się rozejść. Mogła mieć nadzieję na przyszłą zmianę w Dani, ale w tej chwili mogła się tylko wycofać. Rita myślała, że teraz już rozumiała ludzi na tyle dobrze, żeby się nie oszukiwać, jeśli chodzi o to, co ich wzruszało, a co nie. A potem to analityczne myślenie zostało wyparte przez jej własne emocje — pogardę i gniew.

— W porządku. Rozumiem. Żegnaj.

Cofnęła się i zaciągnęła mocno trzymanym w dłoni papierosem, jak gdyby próbowała

przez niego oddychać. Następnie odeszła, próbując zapanować nad szalejącą w niej burzą, próbując to zrobić ze względu na zachowanie twarzy w obliczu Dani oraz własną równowagę umysłową. Ostateczne pożegnanie ze Stefanem bez możliwości znalezienia zapomnienia się miłości — to było dla niej zbyt wiele do uniesienia. Wszystko, czego teraz pragnęła, to zasnąć samotnie w pustym pokoju.

Jeśli miała zamiar wrócić do Frankfurtu, polskie złote w jej kieszeni na niewiele się zdadzą. Postanowiła wydać je na pokój hotelowy tylko do własnej dyspozycji.



Późnym popołudniem następnego dnia Rita, wystrojona w swój mundur UNRRA, przechodziła przez ulicę, podążając z kwater Jointu na dworzec kolejowy w Katowicach, kiedy obok niej zatrzymał się amerykański dżip z insygniami Armii Czerwonej. Spod plandeki wynurzyła się czapka oficerska. Usłyszała słowo „Rita”. To był Urs. Zawołał ponownie: „Rita!”. Zatrzymała się, stawiając torbę.

— Proszę, wsiadaj, Rito. Przez kilka ostatnich dni czekałem, aż wrócisz.

— Wróciłam wczoraj w nocy. Czego chcesz?

— Chcę cię gdzieś zabrać. — Rita czekała. — Niedaleko. Czterdzieści kilometrów... Do Gleiwitz, jeśli musisz wiedzieć.

W tamtej chwili wszystko zrozumiała.

## Rozdział 37

Urs zatrzymał się przed drzwiami do polikliniki.

— Idź do środka i spytaj o Tadeusza. Wie, że przyjedziesz. Będę w kawiarni. — Pokazał na drugą stronę ulicy.

— Skąd wiedział, że tu jadę?

— Powiedziałem mu, że cię przywiozę.

— Jesteś bardzo pewny siebie, nie sądzisz?

— Wybacz. Powiedziałem mu tylko, że spróbuję.

„No cóż, nie musiałeś się zbyt mocno starać” — pomyślała Rita. Przez całą drogę rozmyślała, podczas gdy dżip sunął pokrytymi koleinami drogami, a błoto dostawało się do środka, znajdując swoją drogę między metalem a płótnem plandeki. Rita stwierdziła, że martwi ją jej wygląd. Nie mogła zaprzeczyć temu, że czuła lekkie podniecenie. Czy to z powodu twardych siedzeń i kołyszącego się pojazdu? A może na wspomnienie tych odległych, leniwych popołudni? Czy była aż tak zmienna, jeśli chodzi o pociąg seksualny? „Wygląda na to, że tak — pomyślała nie bez satysfakcji. — Pomyśl o Erichu... Mogłaś go kochać i pozwalać mu zaspokajać jego pragnienia, nie będąc zaborczą”.

Prawdziwe pytanie nie dotyczyło tego, czy mogła mieć z mężczyzną to, co miała z Dani. Znała siebie na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że tak. Prawdziwe pytanie dotyczyło tego, czy chciała tak szybko zaczynać od nowa z kimś innym — z mężczyzną, z kobietą? A jeśli tak, to czy to była właściwa osoba? Czy mogła istnieć prawdziwa... zgodność, chemia, partnerstwo i miłość między Ritą i tym mężczyzną? Kiedyś, w innym świecie, myślała, że tak. „Cóż — powiedziała do siebie. — Wkrótce, właśnie dzięki Ursowi, znajdą się odpowiedzi na te pytania”.

Weszła do szpitala i zapytała o doktora Sommermanna.

— Wizyta?

Rita myślała przez chwilę.

— Tak mi się wydaje.

— Nazwisko? — pielęgniarka spojrzała na nią, trzymając słuchawkę.

„Dobre pytanie” — pomyślała. Feuerstahl, Guildenstern, Truszenko?

— Proszę mu po prostu powiedzieć, że to Rita.



Była tam przynajmniej chemia. Czuła, jak wzbiera już wtedy, kiedy szedł korytarzem w jej stronę, uśmiechając się coraz szerzej, a ostatecznie śmiejąc się z zachwyty. To było zaraźliwe i wbrew zaleceniom na temat rozwagi, które sama sobie narzucała, ona także się uśmiechnęła, raczej zakłopotana.

— Żyjesz! Jesteś tutaj! — powtórzył to trzykrotnie. Ale nie wyciągnął ręk, żeby jej dotknąć, jakby bojąc się, że się rozpuści, zniknie, wyparuje

— Ty też — powiedziała po cichu. W końcu wyciągnęła ręce i ich dłonie się spotkały.

— Jak to zrobiłaś? — Pytał czy się dziwił?

— Myślę, że tak samo jak ty. Dużo szczęścia i niewiele ostrożności.

— Skończyłem na dzisiaj, siostró. — Zwrócił się do recepcjonistki.

Zdjął biały kitel i wyjął marynarkę z szafy przy biurku. Odwracając się do Rity, powiedział:

- Po drugiej stronie ulicy jest kawiarnia.
- Urs tam jest. Czeka, żeby zabrać mnie z powrotem do Katowic.
- Powinniśmy kazać mu czekać?
- Nie.

Jej stanowcza odpowiedź zdziwiła oboje.



Spędzili z Tadeuszem w kawiarni dwie godziny, delikatnie upijając się rumuńskim winem, mówiąc sobie nawzajem sporo półprawd, parę ćwierćprawd i kilka całkowitych prawd na temat swoich losów od tamtego 1938 roku.

Na długo zanim zdążyli się zorientować, zrobiło się ciemno. Tadeusz spojrzął za okno w ciemność i zapytał:

- Kolacja?
- Czy możemy liczyć na dobry posiłek gdziekolwiek w Gleiwitz?
- Tylko u mnie — odpowiedział. Z chęcią się zgodziła.

Poszli pod rękę. A kiedy tak szli, Rita przeorganizowała swoje uczucia. „Ostatnim razem robiłam to z Dani, kiedy jeszcze żyła dla świata. Czy teraz czuję się tak samo naturalnie? Tak. Nie rozumiem tego, ale mogę z tym żyć”.

- Chciałbym ci przyrządzić barcelońską paellę, ale dopiero co skończył mi się szafran.
- Rita nie zrozumiała żartu i Tadeusz stwierdził, że tłumaczenie go będzie zbędne.

— Mam pół tuzina prawdziwych jajek, które dostałem wczoraj od wdzięcznego pacjenta. Przyrządę ci hiszpański przysmak, *tortilla de patatas*.



Po kolacji Rita poczęstowała Tadeusza amerykańskim papierosem. Przypalił jej, a potem sobie. Oboje odchyliłi się do tyłu, wydychając dym przez nos. Tadeusz się podniecił, patrząc, jak Rita to robi. Mając w pamięci ich wspólnie spędzone popołudnia sprzed ośmiu lat, Rita natychmiast zdała sobie sprawę, jak to na niego działało.

- Rito, wyjdiesz za mnie?

Zanim zdołała odpowiedzieć, zaszedł ją od tyłu i pochylił się, dotykając ustami jej ust, kiedy odwróciła do góry głowę. Zsunął dłonie z jej ramion na piersi i poczuł, jak jej sutki twardnieją pod koszulą mundurową w kolorze khaki, gdy ją szybko rozpinął. W tym samym momencie wstała, obracając się, żeby stanąć przed nim. Zaczęli zdzierać z siebie ubrania.

— Zatem pobierzemy się i będziemy żyli długo i szczęśliwie. — Przerwał na chwilę, ale nie po to, żeby usłyszeć jej odpowiedź. — Nie tutaj, nie w Polsce, i nie jako pan i pani Sommermann.

Nie zauważył nawet, że jego oświadczenia nie doczekały się odpowiedzi.

- Masz to wszystko już zaplanowane?

— Nie. Wypełniłem tylko kilka pustych pól. Do ciebie należy wypełnienie pozostałych. Zamieszkamy tam, gdzie zechcesz, byleby tylko to nie była Polska. Nie chcesz tutaj zostać, prawda? — Rita potrząsnęła głową. — A ja nie chcę być Tadeuszem Sommermannem. Chcę być Guillermo Romero. Pojadę gdziekolwiek, gdzie będę mógł nim znowu być.

Później ponownie się kochali, nieskończenie powoli drocząc się i kusząc, a każde z nich doprowadzało to drugie raz za razem na skraj wytrzymałości, zanim ostatecznie spadli razem w przepaść usianą jej spazmami i regulowaną przez jego długie jęki. Opadł na nią. Już kiedyś, zanim świat poszedł na wojnę, zrobili to w taki sposób. Każde z nich cieszyło się po cichu z

rzeczywistości, w której mogli to dalej robić.

Leżeli obok siebie w chmurze dymu z dwóch kolejnych papierosów, gapiąc się na sufit i obserwując odbijające się w nim od czasu do czasu lampy. On odezwał się jako pierwszy.

— Rita Romero. Dobrze brzmi, nie?

— Gil — już zaczęła go tak nazywać i podobało mu się to. — Myślę, że wolę moje własne nazwisko, Feuerstahl, Rita Feuerstahl, bez względu na to, co się wydarzy.

Zdawał się nie zauważać możliwości, jakie sugerowało to stwierdzenie, a jeśli nawet zauważył, to postanowił nie dać się sprowokować.

— Może ci opowiem, jak udało mi się przeżyć? — Gil spodziewał się ciepłego zaproszenia do rozpoczęcia romantycznej opowieści, która wywołałaby wyrazy zdziwienia, podziwu, radości i ostatecznie zadowolenia. Ale jego słowa zawisły w ciszy.

— Nie teraz, Gil. — odpowiedziała w końcu Rita. — Myślę, że wiem, dlaczego ty i ja przeżyliśmy. To wystarczy.

Kilka miesięcy później, kiedy cofnęła się wspomnieniami w przeszłość, Rita była pewna, że jej bliźniaki zostały poczęte właśnie tej nocy w Gleiwitz.



Następnego ranka, ubrani w dwa mundury — UNRRA i służb medycznych Armii Radzieckiej — wyjechali do Brna. Dotarcie ich obojga na miejsce w komfortowych warunkach kosztowało Gila szwajcarski zegarek, a przekroczenie czechosłowackiej granicy w Bratysławie kolejny. Kilka tygodni później Rita pracowała w biurze poszukiwawczym na dworcu kolejowym w Salzburgu, a Gil był lekarzem wojskowym w sześciu obozach dla przesiedleńców w amerykańskiej strefie w Górnej Austrii. Mieszkali w najpiękniejszym mieszkaniu w mieście, zarekwirowanym przez Armię Stanów Zjednoczonych pewnej nazistowskiej rodzinie.



Sierpień 1947 roku. Ogrody Mirabell, Salzburg, Austria. Można by tam spędzić cały dzień, patrząc na zamek wznoszący się pod ostrym niebieskim alpejskim niebem. Rita przysłuchiwała się, jak biały żwir chrupie pod nogami spacerujących ludzi, biegających psów i małych, mozolnie drepczących dzieci, które popychały kamyki do przodu swoimi sandałkami. Codziennie późnym popołudniem przyprowadzała tam bliźniaki, wyciągała je z wózka i pozwalała im raczkować i próbować chodzić wzdłuż długich żywopłotów na zielonych, porośniętych trawą prostokątach otaczających fontannę.

Rita usiadła w większej odległości niż przeciętna młoda matka. To nie byli jej pierwsi synowie i wiedziała, że małe dzieci nie są takie delikatne. Podeszła do niej jakaś kobieta.

— Mogę? — Wskazała na miejsce obok Rity.

Rita skinęła głową, nie patrząc w górę, i tamta usiadła.

Kobieta wyjęła z torby książkę i położyła ją na kolanach. Była to polska książka. Rita spojrziała uważniej na okładkę. *Pan Tadeusz* — dzieło, które czytała Dani w dniu, kiedy się poznały w fabryce Terakowskiego w 1942 roku.

Kobieta otworzyła książkę w miejscu zaznaczonym wstążką i zaczęła czytać. Kiedy przewracała stronę, Rita zauważyła jej koniuszki palców. Nie miała paznokci, ani jednego. Było już za późno, żeby ukryć wyraz zakłopotania, kiedy kobieta przypadkowo na nią spojrziała. Kobieta lekko się zarumieniła i zacisnęła pięść, chowając pozbawione paznokci koniuszki palców. Rita odezwała się do niej po polsku:

— Znam tę książkę.

— Dużo dla mnie znaczyła w czasie wojny. — Uśmiechnęła się kobieta.

— Dla mnie też.

Rita spojrzała na jej twarz. Kobieta była szczupła i wysoka, miała około trzydziestu pięciu lat oraz krótkie, przedwcześnie siwiejące włosy. Były tak krótkie, że musiały zostać całkowicie obcięte i dopiero niedawno odrosły. „Odwszawianie?” — zastanawiała się Rita. Jej twarz była naznaczona doświadczeniami, a na czole miała bliznę. „Wojna tej kobiety była gorsza niż moja”. Było w niej coś jeszcze. Jej usta wydawały się być lekko skrzywione w prawo. Udar mózgu, uraz poporodowy?

Kobieta zamknęła książkę.

— Niemcy je zdjęli. — Rzuciła krótko. — Paznokcie — dodała dla wyjaśnienia.

Ponownie otworzyła dłonie i spojrzała na palce.

— Tak właśnie pomyślałam.

— Należałam do polskiej Armii Krajowej. Złapali mnie. Nie chciałam nic powiedzieć. Codziennie wyrwali mi jeden paznokieć. Potem mnie wypuścili.

— To bardzo odważne.

— Nieszczerólnie. Gdybym coś powiedziała, z pewnością by mnie zabili. — Spojrzała w kierunku idącego w ich stronę chłopca, który wyglądał na około siedem lat. — A wtedy on nie miałby nikogo.

Rita spojrzała na lewą dłoń kobiety. Brak obrączki.

Dziecko podeszło i wyraźnie chciało coś powiedzieć.

— *Mutti*, moja żaglówka.

Kobieta sięgnęła do leżącej obok torby i wręczyła dziecku zabawkę.

— Proszę bardzo, Stefanku.

— Dziękuję.

Dziecko ucałowało kobietę, podeszło do sadzawki po środku ogrodu i zaczęło wodować swój statek.

Nie było cienia wątpliwości. Nie zapomina się twarzy własnego dziecka i nie zmienia się ona aż tak bardzo między trzecim a siódmym rokiem życia. W tym momencie wszystko do niej wróciło. Kurier — kobieta, której Rita przekazała swojego syna. Jej naznaczona twarz, piękne paznokcie. Paznokcie, które zostały wyrwane, jeden po drugim. Jej podziw dla kobiety w jednej chwili zastąpiony został przez wdzięczność. Zachowanie Stefana, ochranianie i wychowanie go kosztowało tę kobietę tak wiele. Chłopiec stojący przed nią dobrze wyglądał i był wyraźnie szczęśliwy. Jak Rita miała się jej kiedykolwiek odplacić za to, co zrobiła i co tyle ją kosztowało? Miłość, którą hojnie obdarzyła to dziecko, które nie było jej. Rita nigdy nie zdoła spłacić tego długu, ale będzie musiała spróbować. Zaczęła się zastanawiać. Ale pomysły na zadośćuczynienie zostały wyparte przez nagłą potrzebę, żeby chłopiec dowiedział się, że Rita jest jego matką. Chciała krzyknąć jego imię, szukać rozpoznania w jego twarzy, pobiec do sadzawki, wziąć go w ramiona.

Kobieta nie zwróciła uwagi na nagłą zmianę na jej twarzy. Zamknęła książkę i zaczęła przyglądać się małym dzieciom kilka metrów dalej. W końcu powiedziała:

— Nazywam się Franciszka... Sajak. Przyjaciele mówią do mnie Frania. — Podała jej dłoń i uśmiechnęła się. — Zawieranie znajomości na ławce w parku przed wojną było nie do pomyslenia. Ale świat się zmienił, prawda?

Zanim zdążyła się zorientować, co robi, Rita wzięła ją za rękę i odwzajemniła uśmiech.

— Ja nazywam się Rita Feuerstahl. Miło mi panią poznać.

Ale wygłaszała jedynie frazesy, jej myśli zajęte były wieloma cudownymi komplikacjami związanymi z odzyskaniem syna. W końcu musiał się dowiedzieć, że nie nazywał się wcale

Stefan Sajak. Będzie musiała powiedzieć Ursowi. Nie byłby w stanie zrobić zbyt wiele, będąc daleko na wschodzie z nową rodziną, po złej stronie granicy, której nikt nie mógł swobodnie przekroczyć. A co z Gilem? Nie był ojcem Stefana, nigdy go nawet nie widział. Czy będzie stanowił problem? To nie miało znaczenia. Ale co z tą kobietą, którą Stefan nazwał *Mutti*? Musiała zostać częścią jego — oraz Rity — życia.

Spojrzała na kobietę, której wzrok skierował się teraz ku Stefanowi biegającemu wokół fontanny i dogładającemu żaglówki. Potem pomyślała, że ta uśmiechająca się z miłości do swojego dziecka kobieta nie ma pojęcia, co za chwilę straci. Jak Rita miała ulżyć jej w cierpieniu w wyniku straty, której miała doznać? Jak miała sprawić, żeby była dalej częścią jego życia? W te myśli wtrąciła się jej nowa znajoma.

— Pochodzę z Radomia. A ty z której części Polski pochodzisz?

Jak powinna na to odpowiedzieć? Musiała tylko wspomnieć nazwę miasta, z którego wysłała Stefana, albo to, do którego został wysłany. Zbieg okoliczności ujawni się po kilku następnych pytaniach i Stefan znowu będzie należał do niej.

Nagle zdała sobie sprawę, że nie może do tego dopuścić. On nie podzieliłby radości, jaką czuła. Dla Stefana pojednanie byłoby na początku niepokojące, a potem byłoby bolesną utratą jedynej ochrony i miłości, jaką tak naprawdę pamiętał. Już raz został odebrany matce. I to Rita się do tego przyczyniła. Nie mogła odebrać mu matki po raz drugi. Wtedy ponownie poczuła ból tej straty, odesłania go w nadziei, że przeżyje. Nie mogła zadawać takiego bólu kobiecie, która poświęciła się, żeby ocalić Stefana. Rita powtórzyła jej pytanie:

— Skąd pochodzę? — W tej chwili wiedziała, co musiała powiedzieć. — Jestem z Krakowa. — Pokazując na bawiące się na wypielęgnowanej trawie bliźniaki, mówiła dalej: — To są moi synowie. Mam nadzieję, że wyrosną na tak samo grzecznych jak twój syn.

## O autorze



*Fot. © 2011 Jim Wallace*

Alex Rosenberg jest autorem wielu książek naukowych i filozoficznych, wśród nich szeroko omawianej *The Atheist's Guide to Reality*. Jest wykładowcą na Duke University. *Dziewczyna z Krakowa* to jego pierwsza powieść. On i jego brat bliźniak urodzili się w austriackim Salzburgu w 1946 roku.



## **Spis treści**

In medias res Część I Wcześniej Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5 Część  
II Podczas Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11 Rozdział 12  
Część III W międzyczasie Rozdział 13 Rozdział 14 Rozdział 15 Rozdział 16 Część IV  
Nieprzemijająco Rozdział 17 Rozdział 18 Rozdział 19 Rozdział 20 Rozdział 21 Rozdział 22  
Rozdział 23 Rozdział 24 Rozdział 25 Część V Zakończenie Rozdział 26 Rozdział 27 Rozdział 28  
Rozdział 29 Rozdział 30 Rozdział 31 Część VI Później Rozdział 32 Rozdział 33 Rozdział 34  
Rozdział 35 Rozdział 36 Rozdział 37 O autorze

